

# Mo Yan

# KRAINA WÓDKI

*(Przełożyła: Katarzyna Kulpa)*

## Rozdział 1

### I

Śledczy do zadań specjalnych Ding Gou'er, wysłannik prokuratury, udawał się ciężarówką marki Wyzwolenie do położonej na przedmieściach kopalni Luo Shan, gdzie miał przeprowadzić dochodzenie w pewnej szczególnej sprawie. Mózg spuchł mu od intensywnej pracy; brązowa czapka z daszkiem, numer 58, która wcześniej swobodnie podskakiwała mu na głowie, zrobiła się wyraźnie za ciasna. Ściągnął czapkę z niezadowoleniem, dostrzegł zgromadzone na potniku połyskliwe krople i poczuł wydobywającą się z wnętrza woń tłuszczu – nieprzyjemną, obcą. Zemdlilo go. Zacisnął palce na gardle.

Droga była usiana wyrwami. Ciężarówka posuwała się coraz wolniej, resory trzeszczały i pojękiwały dziwnie. Ding nieustannie uderzał głową w sufit szoferki; kierowca obrzucał paskudnymi przekleństwami wyboistą szosę i ludzi na drodze. Posmak czarnego humoru nadawał sytuacji fakt, że obelgi sypały się z ust młodej, dość ładnej kobiety. Ding nie mógł przestać jej się przyglądać. Białą szyję kobiety-kierowcy chronił wysoki kołnierzyk różowej koszuli, wystający spod roboczego ubrania z niebieskiego płótna. W ciemnych oczach igrały szmaragdowe błyski. Włosy miała krótkie, sztywne, bardzo czarne i bardzo lśniące. Trzymała kierownicę dłońmi w białych rękawiczkach i kręciła nią zamasyście, starając się omijać wyboje. Skręcając w lewo, wykrzywiała usta w lewo, przy skrętach w prawo prawy kącik jej ust wędrował w prawo. I tak poruszała wargami to w lewo, to w prawo, marszcząc przy tym spocony nos. Patrząc na jej niskie czoło i zdecydowany zarys podbródka, Ding doszedł do wniosku, że ma przed sobą mężatkę, która wie już co nieco o seksie. Chętnie poznałby ją bliżej. Zabawne uczucie, jak na czterdziestoosmioletniego starego wyjadacza z prokuratury, pomyślał, kręcąc swoją wielką głową.

Droga pogarszała się coraz bardziej. Ciężarówka pełzła niczym robak; w końcu dołączyła do długiej, nieruchomej kolumny samochodów. Kobieta-kierowca zdjęła stopę z gazu, zgasiła silnik, ściągnęła rękawiczki i chłoszcząc nimi kierownicę, obrzuciła Dinga wrogim spojrzeniem.

– Całe szczęście, że nie mam dziecka w brzuchu – powiedziała.

Ding z zaskoczenia nie mógł wydobyć słowa.

– O tak, gdyby je pani miała, od tych wstrząsów mogłoby wypaść na zewnątrz! – powiedział w końcu układowym tonem.

– W żadnym wypadku nie pozwoliłabym na coś takiego – odrzekła kobieta bardzo poważnie. – W końcu jedno dziecko to dwa tysiące juanów!

Kończąc zdanie, utkwiała wzrok w twarzy Dinga. W jej spojrzeniu czaiła się prowokacja; całą sobą wyczekiwała na odpowiedź. Ding Gou'er był kompletnie oszołomiony. Po tej krótkiej, oschłej wymianie zdań poczuł się jak ziemniak kiełkujący mnóstwem szmaragdowych pędów, który właśnie żwawo wtoczył się do koszyka tej kobiety. Wszystkie zakazane tajemnice seksu nagle ukazały swe oblicze w mglistej atmosferze dwuznaczności, a dystans między obojgiem wyraźnie zmaleł. Do serca Dinga nagle wkradł się niepokój i zniecierpliwienie. Zerknął czujnie na kobietę. Znów wykrzywiła usta, co tym razem go zirytowało. Głupia, płytka kobieta, która udaje tajemniczą i interesującą, pomyślał, nie będę się z nią cackał.

– To pani jest w ciąży? – zagadnął obcesowo, nie bawiąc się już w uprzejmości, lecz ona przełknęła to gładko i odrzekła niemal bezwstydnym tonem:

– Jestem bezpłodna. Alkaliczna gleba.

„Podejmujemy się ważnych zadań. Dobry śledczy nie powinien pozwolić, by jakaś kobieta stanęła mu na przeszkodzie w ich wykonaniu. Kobiety należy traktować jako część zadania.” Ding przypomniał sobie nagle tę słynną maksymę, popularną wśród jego kolegów, i pragnienie, by dać upust pożądaniu, poczęło drażnić jego mózg niczym robak. Wymacał w kieszeni niedużą piersiówkę, wyjął ją, wyciągnął gumowy korek i pociągnął spory łyk.

– Jestem agronomem, specjalistą od nawożenia – oznajmił, podając kobiecie butelkę.

Kobieta uderzyła dłonią klakson, samochód odezwał się niskim, miękkim buczeniem – przed nimi, z ciężarówki marki Huang He wyskoczył kierowca, stanął na poboczu drogi i spojrzał gniewnie na kobietę. Ding Gou'er wyczuwał wściekłość w jego oczach, skrytych za lustrzanymi szklami okularów. Kobieta ujęła piersiówkę, wciągnęła powietrze nosem, jakby chciała węchem ocenić jakoś alkoholu, i pociągnęła długi, gulgoczący łyk, aż do dna. Ding już miał pochwalić jej umiejętność

picia, ale zreflektował się – ocenianie możliwości mieszkańców Alkoholandii pod tym względem wydało mu się trochę nie na miejscu. Wytał usta i wpił wzrok w wydatne, mokre od alkoholu wargi kobiety.

– Chciałbym cię pocałować – oświadczył bez najmniejszego skrępowania. Kobieta nagle się zarumieniła.

– Też chcę cię pocałować, do cholery! – burknęła gniewnie.

Ding oniemiał. Rozglądając się po okolicy, zauważył, że kierowca ciężarówki Huang He wspiął się już z powrotem do szoferki. Przed nimi wiała się jak smok długa kolumna samochodów, za nimi stała kryta plandeką ciężarówka oraz wóz zaprzężony w osła. Na szerokiej oślej głowie powiewały czerwone wstążki. Po obu stronach szosy, w rowach pełnych zielska i polnych kwiatów, rosło kilka powykręcanych karłowatych drzewek; lodygi i liście pokrywał czarny pył. Za rowami rozciągały się późnojesienne, wyschnięte pola, podmuchy jesiennego wiatru muskały żdźbła żółtoszarej słomy – widok ani radosny, ani przygnębiający. Był już późny poranek. Przed nimi wznosiły się góry kamieni, z których wzbijały się w niebo żółto-brązowe chmury pyłu. Kołowrót przy wejściu do kopalni obracał się luźno; Ding widział tylko jego górną połowę, resztę zasłaniała ciężarówka. Kobieta wciąż na nowo wykrzykiwała zdanie, które tak spłoszyło Dinga, lecz nie ruszyła się ani na milimetr. Ding delikatnie musnął palcem jej pierś. Kobieta nagle runęła na niego, chwyciła jego głowę w lodowate dłonie i przywarła ustami do jego ust. Wargi kobiety były chłodne, zadziwiająco miękkie, lecz niesprężyste, jak kłębki waty. To całkowicie ostudziło zapal Dinga. Odepchnął kobietę, ona jednak wciąż napierała na niego, niczym dumny, zapalczywy kogucik. Ding Gou'er, z początku zaskoczony tym gwałtownym atakiem, w końcu zastosował jeden z chwytów, które służą do obezwładniania przestępców. Siedzieli obok siebie, zdyszani. Ding wciąż trzymał kobietę za nadgarstki, kontrolując jej opór. Wyrwała się ze złością, wyginając ciało jak sprężynę, i wydawała przy tym odgłosy przypominające żalosne muczenie cielaka. Zjawisko było tak rozczulająco zabawne, że Ding nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała nagle kobieta.

Puścił jej rękę, sięgnął do kieszeni po wizytówkę i rzekł:

– Moja droga, na mnie już czas. Gdybyś za mną zatęskniła, szukaj pod tym adresem. Tylko dyskretnie!

Kobieta zmierzyła Dinga wzrokiem, rzuciła okiem na wizytówkę i ponownie zlustrowała jego twarz z uwagą, niczym oficer straży granicznej sprawdzający paszporty. Ding Gou'er wyciągnął rękę, dał kobiecie lekkiego prztyczka w nos, a następnie wcisnął pod pachę swoją teczkę z dokumentami i złapał za klamkę drzwiczek.

– Do widzenia, moja miła – powiedział. – Pamiętaj, że znam się na doskonałych specjalnych nawozach do alkalicznych gleb!

Był już prawie na zewnątrz, gdy kobieta złapała go z tyłu za koszulę. Ding dostrzegł w jej oczach mieszaninę lęku i zaciekawienia. Nagle poczuł, że ma do czynienia z młodziutką, niezamężną dziewczyną, która nie zaznała jeszcze dotyku mężczyzny. Wzruszający i budzący współczucie widok. Dotknął wierzchu jej dłoni.

– Moja mała – powiedział czule – mógłbym być twoim wujem...

– Kłamca – rzuciła. – A mówiłeś przedtem, że pracujesz w stacji kontroli pojazdów!

– Czy to nie wszystko jedno? – odrzekł ze śmiechem.

– Jesteś szpiegiem – oznajmiła kobieta.

– Mogę być i szpiegiem – zgodził się Ding.

– Gdybym wiedziała, że jesteś szpiegiem, nie zabrałabym cię ze sobą!

Ding wyjął paczkę papierosów i rzucił dziewczynie ze słowami:

– Już dobrze, nie gniewaj się.

– I co to za picie, z takiej małej butelki! – parsknęła, wyrzucając piersiówkę Dinga do rowu.

Ding Gou'er wyskoczył z wozu, trzasnął drzwiami i ruszył przed siebie szosą.

– Ej, szpiegu! Wiesz, czemu droga do kopalni jest taka dziurawa? – usłyszał za sobą wołanie kobiety.

Odwrócił się, zobaczył jej głowę wychyloną z okna wozu, zaśmiał się, lecz nie odpowiedział.

Obraz twarzy dziewczyny pozostał w umyśle Dinga przez chwilę, jak posmak chmielu, po czym powoli rozplynał się w niebyt, niczym bąbelki piany musujące na przezroczystym szkle kufla. Wąska droga wiła się we wszystkie strony jak poskręcane kiszki. Ciężarówka, traktory, wozy konne, wozy zaprzężone w woły, pojazdy najrozmaitszych kształtów i kolorów, niby sznur dziwacznych zwierząt, powiązanych za ogony, stały w miejscu. Niektóre miały wyłączone silniki, inne wciąż pracowały. Blaszane kominy traktorów pluły w górę kłębamii bladego

dymu. Woń benzyny i oleju silnikowego Diesla mieszała się z odorem bydła, koni i osłów, tworząc brudny opar, który swobodnie unosił się w powietrzu. Ding był zmuszony co chwila ocierać się to o karoserie, to o poskręcane konary karłowatych drzewek na poboczu drogi. W prawie wszystkich szoferkach kierowcy coś popijali. Ding mglście przypominał sobie o istnieniu jakichś przepisów, dotyczących picia za kierownicą... Jednak tutejsi piją swobodnie, pomyślał, najwidoczniej żadne zakazy tu nie obowiązują. Spojrzał w górę – było widać już dwie trzecie żelaznej konstrukcji kołowrotu u wejścia do kopalni.

Srebrnoszara stalowa lina zwijała się z turkotem na kołowrocie. Czy to z powodu rdzy, czy też była to farba olejna – w słońcu konstrukcja nabierała koloru ciemnej czerwieni. Brudny, cholernie brudny, ciemnoczerwony kolorek. Ogromny bęben był czarny, a przesuwająca się po nim nieustannie stalowa lina rzucała przytłumione, lecz przerażające srebrzyste błyski. Barwy i światła oślepiały oczy, uszy atakowały dźwięki – skrzyp kołowrotu, turkot przesuwającej się liny, głuche odgłosy podziemnych wybuchów. Owalny plac przed wejściem do kopalni, obsadzony sosnami w kształcie pagód, wypełniały wozy czekające na załadunek węgla. Szary, uwalany błotem osioł wtykał pysk między gałęzie sosenek, jakby chciał skubnąć trochę igieł, a może tylko się poczochnąć. Kilku mężczyzn w podartych łachmanach, przepasanych konopnym sznurem, z głowami owiniętymi w ręczniki, o twarzach czarnych od sadzy, tłoczyło się na jednym wozie zaprzężonym w konia. Koń pożywiał się z worka z obrokiem, ludzie popijali. Spora butla w kolorze purpury krążyła z ust do ust; pito z wielkim smakiem. Ding Gou'er nie miał zbyt mocnej głowy, ale pić lubił, potrafił też ocenić jakość alkoholu. Drażniący zapach, unoszący się wokół, nieodparcie sugerował, że płyn w purpurowej flasce jest dość podłym trunkiem, a wygląd ubrań pijących go mężczyzn pozwalał przypuszczać, że są rolnikami z alkoholandzkiej wsi. Przechodząc obok końskiego łba, Ding usłyszał ochryple pytanie jednego z chłopów:

– Towarzyszu, którą godzinę pokazuje ten wasz zegarek?

Ding uniósł rękę, zerknął na przegub i odpowiedział na pytanie. Młody chłop o nabiegłych krwią oczach, który je zadał, wyglądał odpychająco i groźnie. Serce Dinga podskoczyło, przyśpieszył kroku.

– Wołajcie ich, niech otwierają, banda wieprzy spasionych na białym ryżu! – rozległ się za jego plecami krzyk tego samego wieśniaka.

Na dźwięk gniewnego głosu Ding poczuł się nieswojo, jednak nie mógł odmówić chłopu powodów do złości. Było już kwadrans po dziesiątej, a żelazna brama wciąż pozostawała zamknięta na wielką, odlaną z żelaza czarną kłodę. „Służby bezpieczeństwa pierwsze świętują Pierwszego Maja” – głosiło pięć wyblakłych czerwonych ideogramów na okrągłych stalowych tabliczkach, przyspawanych do ogrodzenia. Piękne, jesienne słońce przypiekało mocno; wszystko, na co padał jego blask, zdawało się błyszczeć nowością. Mur z szarych cegieł górował nad ludźmi, a

wzniesienia i obniżenia gruntu nadawały mu kształt wijącego się cielska długiego smoka. Niewielka boczna brama nie była zaryglowana; podobny do wilka duży pies wylegiwał się leniwie obok, ważka tańczyła wokół jego głowy.

Gdy Ding Gou'er pchnął mniejszą bramę, pies stanął na równe nogi. Jego mokry, spocony nos prawie musnął wierzch dłoni Dinga, a właściwie bardziej niż prawie – Ding wyraźnie poczuł chłodny dotyk, przywodzący na myśl kalmara lub owoc liczi. Pies odskoczył z nerwowym ujadaniem i schował się w cieniu bramy, gdzie zaszył się wśród zarośli indyga i zaczął wyć, potrząsając prostokątną niemal głową. Ding nacisnął klamkę, otworzył bramę i stał tak, oparty o zimny metal, patrząc tępo na psa. Spojrzał na rękę – na wierzchu szczupłej, kościstej dłoni odznaczały się ciemne żyły, którymi płynęła krew niosąca niewielką liczbę cząsteczek alkoholu. Żadnej elektryczności, żadnych niezwykłych sztuczek, nic z tych rzeczy – dlaczego tak nagle uciekłeś? – zapytał w myślach.

Strumień gorącej, parującej wody z miednicy rozbryztał się nad jego głową. W powietrzu zawisł wodospad, niczym wielobarwna zasłona, przypominająca niedokończoną tęczę. Bańki mydlane opalizujące w słońcu. Nadzieja. Woda spłynęła po szyi Dinga, po chwili poczuł chłód na całym ciele. Jeszcze moment, i oczy zaczęły go piec, w ustach poczuł słonawy, a zarazem perfumowany smak, smak brudu zmytego z czyjejś twarzy, niematerialną esencję zmarszczek. Na tych kilka chwil Ding Gou'er zapomniał o dziewczynie w szoferce, o jej ustach jak kłębki bawełnianej waty. Rozdrażnienie powróciło, gdy znów stanęła mu przed oczami niewyraźna sylwetka kobiety trzymającej jego wizytówkę, niby górski krajobraz, widziany przez gęstą mgłę. Szlag by to trafił.

– Ty sukinyś! Życie ci niemiłe? – wrzeszczał odźwierny z miską w ręku, tupiąc wściekle.

Ding Gou'er szybko się zorientował, że wrzaski są skierowane do niego. Otrząsnął głowę z wody, wytarł szyję, splunął, zamrugnął oczami i postarał się skupić wzrok na twarzy odźwiernego. Zobaczył parę nierównej wielkości, czarnych jak węgle zamglonych oczu o tępych wyrazie, kulfontasty nos, czerwony niczym glóg, oraz sinawe wargi, skrywające rząd upartych zębów. Fale gorąca przepływały mu przez głowę, prześlizgując się węzowym ruchem, przeciskając się niby dżdżownice krętymi korytarzami jego mózgu. Płomień gniewu wybuchł nagle, jak na draśniętej główce zapalki, mózg wypełnił się żarem, białym niczym rozgrzany popiół w piecu, niczym światło błyskawicy; jego czaszka stała się przezroczysta. Odwaga falami rozsadała mu pierś. Czarne włosy odźwiernego, szorstkie jak psie kudły, stanęły dęba; bez wątpienia widok Ding Gou'era przeraził go śmiertelnie. Ding widział włosy w jego nosie, sterczące niby jaskółcze ogony. Ani chybi, jakaś zła czarna jaskółka zamieszkała w głowie odźwiernego, uwiała gniazdo, zniosła jaja i wychowała pisklęta. Wycelował w jaskółkę i nacisnął spust. Nacisnął spust. Spust.

Paf – paf – paf!

Trzy dźwięczne wystrzały zburzyły spokój panujący u bramy kopalni Luo Shan, uciszyły ujadanie wielkiego brunatnego psa i przyciągnęły uwagę wieśniaków. Kierowcy powyskakiwali z szoferek, sosnowe igły pokłuły ośle wargi, wszyscy zamarli na moment, a następnie ruszyli tłumnie i zaroili się wokół miejsca wypadku. O dziesiątej trzydzieści pięć rano rozległ się huk wystrzału, odźwierny kopalni Luo Shan osunął się na ziemię, trzymając się obiema rękami za głowę. Jego ciałem wstrząsały konwulsje.

Ding Gou'er stał ze śnieżnobiałym rewolwerem w ręku, uśmiechając się, prosty jak kij, podobny do jednej z sosen w kształcie pagody. Z lufy uniósł się obłoczek siniego dymu i rozwiął się nad jego głową. Ludzie stłoczyli się przy metalowym ogrodzeniu i w osłupieniu patrzyli. Po nieskończonej długiej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk:

– Zabili człowieka! Stary odźwierny Lü zabity!

Ding Gou'er. Sosna w kształcie pagody. Bardzo ciemna zieleń.

– Stare psisko, złe do szpiku kości.

– Może go sprzedać Akademii Kulinarnej, do Działu Żywności Specjalnej?

– Stary pies, za twardy do gotowania.

– Dział Żywności Specjalnej bierze tylko delikatnych małych chłopców, na co im takie stare próchno?

– No to do zoo z nim, na karmę dla wilków.

Ding Gou'er zakręcił rewolwerem w powietrzu, broń błyszczała w słońcu jak srebrne lusterko. Zatrzymał ją w dłoni i pokazał ludziom stłoczonym wokół bramy. Zgrabny, lśniący, o wytwornym kształcie – prawdziwy, elegancki rewolwer. Roześmiał się.

– Przyjaciele – rzekł – nie ma się czego obawiać, to tylko zabawka, rewolwerek dla dzieci!

Nacisnął przycisk, otworzył bębenek, wyjął ciemnoczerwoną, plastikową tarczkę i pokazał zgromadzonym. W zagłębieniach tkwiły kapiszony wielkości ziarenek soi.

– Gdy naciskamy spust – tłumaczył Ding – tarczka się obraca, młoteczek uderza w kapiszon i słychać trzask.

Znakomita zabawka, nadaje się też na rekwizyt teatralny, do kupienia w każdym domu towarowym.

Ding włożył tarczkę z powrotem, zatrzasnął bębenek i nacisnął spust.

Paf!

– O, właśnie tak – zademonstrował, niczym sprzedawca zachwalający towar. – Nie wierzycie? Popatrzcie.

Wycelował lufą rewolweru we własny rękaw i ponownie nacisnął spust.

Paf!

– To Wang Lianju! – krzyknął jeden z kierowców, który najwyraźniej znał operę rewolucyjną Czerwona latarnia.

– To nie jest prawdziwy rewolwer – powiedział Ding Gou'er, podnosząc rękę. – Widzicie? Gdyby był prawdziwy, miałbym już dziurę w ramieniu, prawda?

Na rękawie widniała okrągła żółtawa plamka, unoszący się z niej drażniący zapach prochu po chwili rozwiął się w rozświetlonym słońcem powietrzu. Ding Gou'er schował rewolwer z powrotem do kieszeni, podszedł do leżącego odźwiernego i kopnął go, mówiąc:

– Wstawaj, stary, nie udawaj nieżywego!

Odźwierny gramolił się z ziemi, wciąż trzymając głowę w dłoniach. Twarz miał pożółkłą, jak dobrze wypieczone noworoczne ciastko.

– Nie chciałem cię zabijać – zapewnił Ding – tylko postraszyć. Nie chowaj się za tym psem. Już dawno po dziesiątej, czas otworzyć bramę!

Odźwierny opuścił ręce i im się przyjrzał. Z niedowierzaniem znów obmacał głowę, ponownie popatrzył na dłonie, szukając krwi... Westchnął z wielką ulgą, jak człowiek, który cudem wymknął się śmierci, i, wciąż głęboko poruszony, zapytał:

– Ty... a ty tu czego?

Ding zachichotał chytrze.

– Jestem nowym dyrektorem kopalni, przysłały mnie władze miejskie.

Odźwierny zerwał się, pobiegł do stróżówki, przyniósł wielki, błyszczący złoty klucz i pośpiesznie, ze szczękiem otworzył żelazną bramę. Ludzie rozbiegli się do samochodów i po kilku chwilach cały plac trząsł się od warkotu pracujących silników.

Fala pojazdów popłynęła powoli, nieubłaganie w kierunku bramy, wozy potraçały się i obijały o siebie z łoskotem. Śledczy odskoczył na bok i patrząc na nieustannie przesuające się człony tego krętego, potwornego robaka, poczuł falę nagłej wściekłości. Narodzinom owej wściekłości towarzyszyły skurcze wokół odbytu – kilka naczyń krwionośnych pulsowało gwałtownie, powodując ból. Ding już wiedział, że to atak hemoroidów. Cóż, śledztwo i tak potoczy się dalej, bez względu na hemoroidy. Jak za dawnych czasów. Ta myśl osłabiła wzbierający gniew. Nie da się uniknąć tego, co nieuchronne. Nie da się uniknąć chaosu, nie da się uciec przed hemoroidami. Tylko święta prawda jest wieczna. Jaka jest prawda – tym razem?

Twarz odźwiernego wykrzywiła się w sztucznym uśmiechu. Ukłonił się.

– Prosimy! Czy nasz nowy przywódca zechce spocząć w recepcji?

Ding Gou'er, jak to miał w swoim śledczym zwyczaju, dał się ponieść fali wydarzeń i poszedł za odźwiernym. Pokój był duży i przestronny. Stało w nim łóżko przykryte czarnym kocem. Dwa termosy. Ogromny piec. Dwie sterty czarnego węgla, każda bryła wielkości psiej głowy. Bobas płci męskiej, o różowym ciałku, z brzoskwinia długowiecz-

ności w rączce, uśmiechał się szeroko na noworocznym zwoju, wiszącym na ścianie; jego śliczny, pudroworóżowy siusiak prężył się i wyginał niczym gąsieniczka jedwabnika, zupełnie jak żywy. Serce Dinga podskoczyło, hemoroidy skurczyły się boleśnie. W pokoju było nieznośnie gorąco i duszno. W piecu syczał ogień. Piec i połowa komina były już czerwone od wściekłego żaru. Gorący powiew krążył w całym pokoju, poruszając po kątach stare, zakurzone pajęczyny. Ding nagle poczuł swędzenie na całym ciele. Do tego okropnie rozboleł go nos. Odźwierny obserwował jego twarz ze służalczą gotowością.

– Czy nie za chłodno, panie dyrektorze?

– Chłodno – odrzekł Ding ze złością.

– Oczywiście, oczywiście, już dorzucam węgla... – mamrotał w kółko odźwierny, wyciągając spod łóżka nieduży, ostry toporek o rączce czerwonej jak owoc jobjoby.

Śledczy instynktownie przycisnął rękę do biodra. Obserwował odźwiernego, który garbiąc się, podszedł do pieca, przykucnął i wybrał błyszczącą bryłę węgla przypominającą rozmiarami i kształtem poduszkę. Jedną ręką przytrzymał bryłę, drugą uniósł toporek i – trzask! – kawał rozpękł się na dwie części zbliżonej wielkości, połyskujące rtęciowo. Trzask, trzask, trzask, trzask – bryłki robiły się coraz mniejsze, tworząc całą stertę. Odźwierny otworzył drzwiczki pieca, białe płomienie buchnęły z sykiem na stopę w górę. Ciało śledczego spływało potem, a odźwierny wciąż dokładał węgla.

– Zaraz się ogrzeje – zapewnił przeproszającym tonem. – Tutejszy węgiel jest miękki, spala się zbyt szybko, trzeba częściej dokładać...

Ding Gou'er rozpiął kołnierzyk i otarł czapką pot z czoła.

– Dlaczego palicie w piecu we wrześniu? – zapytał.

– Zimno, panie dyrektorze, zimno... – Odźwierny wstrząsnął się. – Zimno... A węgla dużo, mamy tu całą górę...

Twarz odźwiernego była wysuszona jak zanadto przypieczona bułka. W końcu Ding Gou'er, nie chcąc go już dłużej męczyć, przyznał, że nie jest żadnym nowym dyrektorem, przyjechał tu tylko załatwić pewną sprawę, a on może palić sobie w piecu, ile chce. Bobas ze ściany śmiał się, zupełnie jak żywy. Ding wyteżył wzrok, mrużąc oczy, by dokładnie się przyjrzeć słodkiemu chłopczykowi. Odźwierny, trzymając wciąż toporek, powiedział:

– Udawałeś dyrektora i groziłeś mi pistoletem! Zaraz cię zaprowadzę do strażników!

– Ciekawe, co byś zrobił, gdybym naprawdę był dyrektorem? – spytał Ding z uśmiechem.

Odźwierny wsunął toporek z powrotem pod łóżko, sięgnął głębiej i wyciągnął butelkę alkoholu. Odkorkował ją zębami, pociągnął spory łyk i podał flaszkę Dingowi. Żółty plasterk żeń-szenia unosił się zawieszony w cieczy, a razem z nim siedem czarnych skorpionów, wystawiających groźnie kleszcze. Potrząsnął butelką, skorpiony pływały w żeńszeniowym płynie, z butelki unosił się dziwny zapach. Ding Gou'er musnął wargami wylot butelki i oddał ją odźwiernemu. Ten zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

– Nie napijesz się? – zapytał.

– Nie piję dużo.

– Nietutejszy?

– Spójrz, przyjacielu, cóż to za pulchny, jasnoskóry bobasek!

Ding z uwagą obserwował wyraz twarzy odźwiernego, który był wyraźnie zniechęcony; pociągnął kolejny łyk.

– Co za problem, dorzucić trochę węgla? Choćby i tona tego towaru, jaki to koszt... – mamrotał pod nosem.

Ding Gou'er nie mógł już wytrzymać z gorąca. Trudno mu było oderwać spojrzenie

od bobasa, lecz w końcu otworzył drzwi i śmiałym krokiem wyszedł na słońce, orzeźwiający i chłodny. Bardzo przyjemny.

Ding Gou'er urodził się w roku 1941, ożenił w 1965. Życie po ślubie było zwyczajne, stosunki w małżeństwie takie sobie, synek całkiem sympatyczny. Miał też kochankę. Uroczą i nieznosną zarazem. Była raz jak słońce, raz jak księżyc. To uwodzicielska jak kotka, to wściekła jak pies. Ding trochę chciał się rozwieść, a trochę nie chciał. Pragnął zostać z kochanką i jednocześnie nie miał na to ochoty. Za każdym razem, gdy chorował, wyobrażał sobie, że to rak, i bał się go śmiertelnie. Kochał życie, i zarazem miał go serdecznie dość. Wiecznie się wahał. Nieraz przykładał sobie lufę do skroni, by za chwilę opuścić ją z powrotem, podobnie bawił się ze swoją klatką piersiową i sercem. Jedyną rzeczą, która zawsze sprawiała mu niezmaconą satysfakcję, było śledztwo i rozwiązywanie kryminalnej zagadki. Był starszym, doświadczonym śledczym, wybitnym fachowcem, w bliskich układach z wysokimi urzędnikami. Miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, szczupłą budowę, śniadą cerę i lekkiego zęza. Był palaczem, lubił alkohol, jednak nie mógł wypić zbyt dużo. Miał krzywe zęby. Radził sobie w walce wręcz. Z celnością było różnie – w dobrym nastroju trafiał idealnie, w kiepskim – niezawodnie chybiał. Był trochę przesądny, wierzył w ślepy traf, a szczęście często mu sprzyjało.

Prokurator generalny poczęstował Dinga papierosem marki Chiny, sam wziął drugiego. Ding wyjął zapalniczkę, podał ogień prokuratorowi, a następnie zapalił swojego papierosa. Dym wypełnił mu usta, po czym rozpląnął się w nich jak landrynka – słodki, aromatyczny. Ding zauważył w ruchach prokuratora pewną niezręczność. Tamten otworzył szufladę, wyjął z niej jakiś list, przyjrzał mu się, a następnie wręczył go Dingowi. Ding szybko odcyfrował dziwaczne pismo donosu, którego autor podpisywał się jako Głos Ludu. Z pewnością fałszywka. Treść listu z początku wstrząsnęła Dingiem, lecz po chwili zaczęła budzić wątpliwości. Obejrzał go jeszcze raz dokładnie, skupiając się na notatkach na marginesie, skreślonych wytwornym pismem wysokiego urzędnika, z którym łączyła go bliska znajomość. Obserwował wyraz oczu prokuratora, który przyglądał się jaśminowi kwitnącemu w doniczce na oknie. Białe kwiatuszki rozsiewały wokół delikatny zapach.

– Czy to możliwe? – zapytał jakby sam siebie. – Kto zdobyłby się na coś takiego? Smażyć i zjadać niemowlęta?

– Sekretarz Wang chce, żebyście to sprawdzili. – Prokurator uśmiechnął się tajemniczo.

W sercu Dinga rosło podniecenie, mimo to rzekł tylko:

- To nie jest sprawa dla prokuratury. A służba bezpieczeństwa to co, śpi?
- A czy to moja wina, że słynny Ding Gou’er pracuje akurat u mnie? – odparł prokurator.
- Kiedy mam wyruszyć? – spytał Ding, nieco zmieszany.

– Jedźcie, kiedy chcecie – odpowiedział prokurator. – Rozwiedliście się już? Tak czy owak to czysta formalność. Oczywiście, mamy nadzieję, że to fałszywe oskarżenie i że nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Musicie zachować całkowitą dyskrecję. Wolno wam używać wszelkich środków, dozwolonych przez prawo.

Ding Gou’er wstał.

- Czy mogę już iść?

Prokurator wstał również, sięgnął po kolejną paczkę papierosów Chiny i przesunął ją po powierzchni stołu w kierunku Dinga. Ding wziął papierosy i wyszedł z prokuratorowskiego gabinetu. Zjechał windą. Wychodząc z budynku, postanowił, że pójdzie do szkoły odwiedzić syna. Po drodze miał przejść przez aleję Zwycięstwa. Oba pasy były zajęte – roje samochodów nie zostawiały ani odrobiny wolnej przestrzeni. Musiał czekać. Z lewej, po drugiej stronie ulicy, czekał oddział przedszkolaków. Z rozświetlonymi słońcem twarzyczkami dzieciaki wyglądały jak słoneczniki. Dinga ciągnęło w ich kierunku. Rowerzyści mijali go szybko, jeden po drugim, niczym stado przepływających węgorzy; nie mógł dojrzeć rysów ich twarzy, widział tylko białawe, niewyraźne plamy. Dzieci, wystrojone w kolorowe ubranka, miały jasne, okrągłe buzie i roześmiane oczy. Były powiązane ze sobą grubą, czerwoną linką, jak ryby na sznurku albo dojrzałe owoce na patyku. Otaczały je chmury spalin, połyskujące w słońcu niby węgiel drzewny i wydzielające drażniącą woń. Cała grupa przypominała jeden wielki barani szaszłyk, posypany różnokolorowymi przyprawami. Dzieci są przyszłością narodu, jego kwiatem, jego skarbem, któż śmiałyby im zagrażać? Samochody zatrzymały się, bo cóż innego mogły uczynić, i stały z warkotem silników, czekając, aż dzieci przejdą przez jezdnię. Pochód zamykały kobiety w białych uniformach, o twarzach jak księżycy w pełni, cynobrowych wargach i białych, ostrych zębach; mogły być bliźniaczkami. Naprężając linkę, strofowały dzieci ostrym głosem:

- Trzymać się linki! Nie puszczać!

Ding wciąż stał na poboczu pod drzewem o pożółkłych liściach, gdy grupa dzieci przeszła na jego stronę ulicy, a sznur samochodów znów pociągnął jezdnię. Kolumna przedszkolaków wygięła się i skręciła, dzieciarnia świergotała i skrzeczała jak stado jaskółek. Małe nadgarstki przywiązano czerwonymi wstążeczkami do czerwonej linki. Łańcuszek wprawdzie nie był już równy, lecz czerwona linka wciąż łączyła poszczególne ogniwa. Wystarczyło, że opiekunka pociągnęła za linkę, a oddział

natychmiast ustawiał się w prostym szeregu. „Trzymać się linki! Nie puszczać!” – usłyszał Ding w myślach pokrzykiwania opiekunek i ogarnęła go złość. Co za bzdura, pomyślał, jak dzieci mogą puścić, skoro są przywiązane? Oparł się o drzewo.

– Po co je związałyście? – zwrócił się lodowatym tonem do przedszkolanki prowadzącej grupę.

Kobieta odpowiedziała mu zimnym spojrzeniem.

– Wariat – rzuciła.

Dzieci spojrzwały na Dinga.

– Waa-riat! Waa-riat! – powtórzyły chórem.

Przeciągały sylaby w taki sposób, że Ding miał wątpliwości, czy robiły to naturalnie, czy też nauczono je takiego skandowania. Melodyjne, słodkie, cienkie głosiki unosiły się nad ulicą niczym odlatujące stado świergoczących ptaszków. Ding uśmiechnął się głupawo i przepaszająco skinął głową w kierunku opiekunki z końca szeregu, która nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem. Odprowadzał dzieci wzrokiem, gdy te znikwały w zaułku, między wysokimi murami z czerwonej cegły. Z wielkim trudem udało mu się przedrzeć na drugą stronę ulicy, gdzie sprzedawca baranich szaszłyków z Xinjiangu głośno, z silnym akcentem, zachwalał swój towar. Ding nie miał ochoty na jedzenie. Patrzył, jak dziewczyna o bardzo długiej szyi kupuje dzie-

sięć porcji. Miała bardzo czerwone wargi, niczym ostre papryczki. Zanurzała ociekające tłuszczem szaszłyki w pojemniku z ostrą przyprawą i jadalną, dziwnie wykrzywając usta, by nie naruszyć pokrywającej je szminki. Ding poczuł pieczenie w gardle, odwrócił się i odszedł. Kilka chwil później stał już przed bramą szkoły podstawowej, paląc papierosa i czekając na syna. Syn wybiegł z tornistrem na plecach, nie zauważając go. Policzki dziecka zdobiły plamy granatowego atramentu – emblematy prawdziwego ucznia. Ding zawołał go po imieniu. Gdy chłopczyk bez entuzjazmu dołączył do ojca, Ding oznajmił mu, że wysyłają go służbowo do Alkoholandii.

– No i co z tego? – rzekł chłopiec.

– Co to znaczy „co z tego”? – spytał Ding.

– Co z tego, to co z tego, a co ma być?

– I co z tego, słusznie, co z tego... – powtórzył za synem Ding.

Ding Gou'er wszedł do lokalnego biura Wydziału Bezpieczeństwa Komitetu Partii. Przywitał go ostrzyżony na jeża młodzieniec, który otworzył wysoką pod sam sufit szafę, wyjął szklankę, napełnił alkoholem i podał Dingowi. W tym pokoju także stał duży piec, który grzał wprawdzie nieco słabiej niż tamten w stróżówce, lecz skutecznie utrzymywał temperaturę na bardzo wysokim poziomie. Ding Gou'er poprosił o lód, młody człowiek jednak zachęcał go do picia:

– Proszę, niech pan wypije, ogrzeje się pan!

Ding, widząc szczerą entuzjazm na jego twarzy, nie potrafił odmówić. Przyjął szklankę i zaczął powoli sączyć napój. Pokój wydawał się hermetycznie zamknięty, okna i drzwi były szczelnie dopasowane.

Ding poczuł swędzenie na całym ciele, pot spływał mu po twarzy.

– Spokojnie, ochłodzi się pan, gdy tylko nieco ochłonie – usłyszał życzliwy głos młodzieńca.

Uszy Dinga wypełniły się bzyczeniem. Pszczoły, miód, niemowlęta w miodzie... Mam ważną misję do spełnienia, nie wolno mi sobie folgować! – pomyślał. Szyby w oknach zdawały się wibrować lekko. Na zewnątrz całą przestrzeń pomiędzy ziemią a niebem wypełniały ogromne maszyny kopalniane, poruszające się powoli i bezszelestnie. Ding czuł się jak ryba w akwarium. Maszyny były żółte – oszołamiający, ogłupiający kolor. Wytężał słuch, lecz nie mógł dosłyszeć żadnych odgłosów.

– Chciałbym się spotkać z waszym dyrektorem i z sekretarzem partii – usłyszał własne słowa.

– Proszę się napić, proszę – zachęcał najeżony.

Ujęty uprzejmością młodego człowieka, Ding uniósł szklankę do ust i pociągnął łyk. Gdy tylko odstawił naczynie, najeżony nalał mu kolejną porcję.

– Już dziękuję, proszę zaprowadzić mnie do dyrektora i sekretarza.

– Po co ten pośpiech, jeszcze tylko jedna szklaneczka – wypije pan i idziemy! Dostanę naganę za lekceważenie obowiązków, jeśli wypuszczę pana bez drinka. Miłe spotkania trzeba opijać podwójnie! Bardzo proszę – przekonywał młodzieniec.

Ding popatrzył na szklankę wielką jak pięść i poczuł lekką obawę. A co tam, niech będzie, dla dobra sprawy – wypił do dna. Gdy tylko odstawił szklankę, natychmiast znowu była pełna.

– To taka dewiza naszej kopalni – rzekł najeżony – nie wychylisz trzech kielichów, to

zły będziesz jako lichy!

– Nie mogę pić zbyt dużo – protestował Ding.

Najeżony ujął szklankę w obie dłonie i podniósł ją na wysokość ust Dinga.

– Błagam, proszę wypić, inaczej to ja będę zły jak lichy!

Ding poczuł tak wielką serdeczność w jego głosie, że serce mu zadrżało, po czym natychmiast zmiękło. Chwycił szklankę i wlał jej zawartość do gardła.

– Bardzo dziękuję, ogromnie dziękuję – powtarzał z uczuciem najeżony młodzieniec  
– a może jeszcze ze trzy kolejki?

Ding zakrył dłonią szklankę.

– Dostyc, już dostyc – zaprotestował – niechże pan zabierze mnie wreszcie do swoich szefów.

Najeżony spojrzał na zegarek.

– Jeszcze trochę za wcześnie na spotkanie z nimi – rzekł.

Ding wyjął legitymację i oznajmił rzeczowym tonem:

– Mam bardzo ważną sprawę, proszę mnie nie zatrzymywać.

Najeżony zawahał się.

– Chodźmy – powiedział w końcu.

Ding poszedł za nim. Opuścili biuro Wydziału Bezpieczeństwa i podążyli korytarzem pełnym drzwi; na każdych umieszczono drewnianą tabliczkę z nazwiskiem.

– Czy gabinety sekretarza partii i dyrektora kopalni nie mieszczą się w tym budynku?

– Proszę za mną – rzekł najeżony – wypił pan u mnie trzy szklaneczki, więc na pewno nie wyprowadzę pana w pole. Gdyby nie to, zostawiłbym pana asystentce w biurze sekretarza partii i tyle.

Gdy opuszczali budynek, Ding zobaczył swoje odbicie w przydymionej szybie drzwi wejściowych. Był zaskoczony widokiem własnej twarzy – poszarzałej, zmęczonej, o obcym wyrazie. Zaskrzypiały zawiasy. Skrzydło drzwi, wracając na swoje miejsce, uderzyło go tak mocno w pośladki, że zatoczył się do przodu, a najeżony młodzieniec musiał go podtrzymać.







w malutkiego siusiaka.

– Mistrzowski strzał!

– Prosto w główkę ptaszka!

Ding był sztywny z przerażenia. Pośpiesznie podniósł teczkę, wyjął pistolet i zabezpieczył go.

– Jestem pewien, że go zabezpieczałem – zwrócił się do obu urzędników.

– Nawet znakomite rumaki miewają potknięcia.

– Broń czasem wypala – zwyczajna rzecz.

Te wspaniałomyślne, pocieszające słowa sekretarza partii i dyrektora kopalni tylko powiększyły zmieszanie Ding Gou'era; cała odwaga i animusz, z którymi przekraczał próg tego pokoju, stopniały bez śladu. Spuścił pokornie głowę, wyjął legitymację i list polecający.

– Ach, to pan jest towarzysz Ding Gou'er!

– Czujemy się zaszczytni, że zechciał pan przyjechać i przyjrzeć się naszej pracy!

Zbyt zażenowany, by spytać, skąd wiedzieli zawczasu o jego planowanej wizycie w kopalni, Ding potarł nerwowo nos i oznajmił:

– Towarzyszu dyrektorze, towarzyszu sekretarzu. Przybyłem tu na rozkaz pewnej wysoko postawionej osoby, by przeprowadzić śledztwo w sprawie doniesień dotyczących gotowania i zjadania dzieci na terenie waszej kopalni. Jest to sprawa ogromnej wagi i bardzo delikatna, dlatego wymaga najwyższej dyskrecji.

Dyrektor kopalni i sekretarz partii wymienili długie, dziesięciosekundowe spojrzenia, a następnie klasnęli w dłonie i wybuchnęli gromkim śmiechem. Ding Gou'er zmarszczył brwi i rzekł:

– Bardzo proszę o poważne podejście do sprawy. Wicedyrektor Wydziału Propagandy Alkoholandii, Jin Gangzuan, który jest głównym podejrzanym, wywodzi się właśnie z waszej kopalni.

Dyrektor kopalni, a może sekretarz partii, odparł:

– Tak, zgadza się, pan wicedyrektor był nauczycielem w kopalnianej szkole podstawowej. Jest wyjątkowo zdolnym, uczciwym towarzyszem z zasadami. Takich ludzi jak on przypada jeden na milion!

– Proszę opowiedzieć mi o nim bliżej.

– Bardzo chętnie porozmawiamy, najlepiej przy stole!

Ding Gou'er, zanim zdążył zaprotestować, został wepchnięty do sali jadalnej.

## II

Drogi i szanowny Nauczycielu, Panie Mo Yan,

Pozdrawiam serdecznie!

Jestem doktorantem alkoholologii na Uniwersytecie Gorzelnictwa Alkoholandii, moja specjalizacja to sporządzanie mieszanek. Nazywam się Li, na imię mam Yidou – Li Jedna Miarka – to mój pseudonim artystyczny; proszę wybaczyć, że na razie nie wyjawię moich prawdziwych personaliów. Należy Pan do grona wybitnych pisarzy współczesnych (to nie pochlebstwo), i z pewnością domyśla się Pan, dlaczego wybrałem taki pseudonim. Moje ciało przebywa w Alkoholandii, lecz serce oddałem literaturze – pluska się ono w jej rozległych oceanach. Z tego właśnie powodu mój opiekun naukowy i jednocześnie ojciec mojej żony, czyli mąż jej matki, pan domu, a zwyczajnie mówiąc – mój teść, Yuan Shuangyu, profesor Yuan, często krytykuje mnie za brak dostatecznego zaangażowania w moją właściwą karierę, a nawet podburza swoją córkę przeciwko mnie i nakłania ją do rozwodu. Lecz to wszystko mi niestraszne – dla literatury mógłbym wspiąć się na górę mieczy, przepłynąć morze ognia. „Dla ciebie szesznać mogę, szaty moje obwisną, lecz żałować nie będę nigdy.” Odpieram jego zarzuty zawsze tymi samymi słowami: co to znaczy „angażować się we właściwą karierę”? Tołstoj był żołnierzem, Gorki piekarzem i pomywaczem, Guo Moruo studiował medycynę, a Wang Meng za czasów nowej demokracji był zastępcą sekretarza partii w pekińskim oddziale Ligi Młodzieży. Czyż wszyscy ci wybitni pisarze nie rzucili swoich zajęć, by poświęcić się literaturze? Za każdym razem, gdy mój teść chciał kontynuować spór, ja zwykłem naśladować poetę Ruan Ji – rzucałem mu tylko pogardliwe spojrzenie; nie opanowałem jednak tej sztuki na tyle dobrze, by ukryć prawdziwy wyraz czarnych pereł moich oczu. Lu Xun też tego nie potrafił, nieprawdaż, ale Pan doskonale o tym wie, więc po cóż zwracam Panu tym wszystkim głowę? To tak, jakby recytować Księgę trzech ideogramów przed domem Konfucjusza, wymachiwać mieczem przed wojownikiem Guan Yu czy rozprawiać o picciu przy Jin Gangzuanie. Lecz powróćmy do tematu.



Drogi doktorze alkoholologii!

Serdecznie pozdrawiam!

Pański list wraz z opowiadaniem Alkohol dotarł szczęśliwie. Nie mam formalnego wykształcenia, dlatego podziwiam i darzę wielkim szacunkiem studentów Uniwersytetu, a zwłaszcza doktorantów, takich jak Pan. W dzisiejszych czasach, jak się wydaje, poświęcenie się literaturze nie jest zbyt mądrym wyborem, i ci spośród nas, literatów, którzy nie mają już innych perspektyw poza pisaniem, mogą tylko żałować. Pewien pisarz nazwiskiem Li Qi stworzył powieść zatytułowaną Nie traktujcie mnie jak psa i opisał w niej kilku wyrzutków, którzy wyczerpawszy już lokalne możliwości kantowania, rabowania i napadania, wpadli na pomysł: „Zostańmy pieprzonymi pisarzami!”. Nie chciałbym tutaj drażyć tematu; jeśli to Pana zainteresuje, proszę tej książki poszukać. Jest Pan badaczem alkoholu i tego Panu niesamowicie wręcz zazdroszczę – gdybym to ja był alkoholologiem, nie zajmowałbym się wcale pisaniem książek. W Chinach, gdzie odór fermentacji wisi w powietrzu, trudno o bardziej obiecujące zajęcie niż zgłębianie wiedzy alkoholologicznej, trudno o bardziej przyszłościową, bardziej intratną specjalność. Niegdyś mawiano: „W książkach znajdziesz pałace ze złota, tysiące korców ziarna, znajdziesz kobiety piękne jak nefryt”. Dawne księgi nie były zbyt mądre – zamiast „w książkach” powinno być „w winie”. Weźmy takiego Jin Gangzuana, wicedyrektora Jina, który potrafi wypić morze alkoholu – jest człowiekiem powszechnie uwielbianym, gwiazdą Alkoholandii. Proszę się zastanowić, czy którykolwiek pisarz może się równać z naszym wicedyrektorem Jinem? Tak więc, drogi młodszy bracie (nawiasem mówiąc, nie zasłużyłem na tytuł „szanownego nauczyciela”), radzę Panu posłuchać teścia i nie zbaczać z właściwej drogi. Pisze Pan w swoim liście, że to po przeczytaniu mego artykułu zdecydował się Pan zmienić zawód i zająć się literaturą. Popełnił Pan wielką omyłkę! Moje sformułowania „Alkohol jest jak literatura”, „Ludzie, którzy nie znają się na trunkach, nie mają nic do powiedzenia o literaturze” to zwykły bełkot, nabazgrany po pijanemu, i nie wolno było Panu w to wierzyć – jeśli tak się stało, to nie jestem wart, by żyć dalej! Dzieło Pana przeczytałem bardzo pilnie. Nie mam przygotowania teoretycznego i nie jestem znawcą literatury, dlatego nie śmiałybym czynić Panu nieuprawnionych uwag. Wysłałem Pana utwór do redakcji „Literatury Narodowej”, która skupia najwybitniejszych redaktorów, zajmujących się literaturą współczesną. Wierzę głęboko, że jeśli okaże się Pan „rączym rumakiem, co biegnie tysiąc li bez wytchnienia”, znajdzie się tam dla Pana odpowiedni trener. Co do alkoholu, mam go tu pod dostatkiem, szczerze dziękuję za troskę.

Życzę zdrowia i pomyślności!

Mo Yan

## IV

### Li Yidou, Alkohol

„Drodzy przyjaciele, drodzy studenci! Na wieść, że zostałem zaproszony na gościnne wykłady w Uniwersytecie Gorzelnictwa, poczułem, jak ten ogromny zaszczyt przenika moje wierne, czerwone serce, szmaragdowe płuca oraz wnętrzości niczym powiew ciepłego, wiosennego wiatru w środku zimy – przede wszystkim jednak poczułem, jak ów powiew ogrzewa mą pracovitą, purpurową wątrobę. To, że mogę teraz stać na tym świętym podium, udekorowanym gałązkami sosny i cyprysu, przyozdobionym różnobarwnymi kwiatami z plastiku, i wygłaszać te słowa, zawdzięczam w dużej mierze niezwykłym właściwościom i umiejętnościom tego organu. Wiecie doskonale, że gdy alkohol rozpływa się w ludzkim ciele, większość trafia do wątroby – tam odbywa się jego rozkład.”

Jin Gangzuan stał na wysokim podium w głównej sali wykładowej Uniwersytetu Gorzelnictwa i uroczyście wykonywał swoje zadanie. Na swój pierwszy wykład wybrał bardzo obszerny temat – Alkohol a społeczeństwo. Jako wybitny przywódca nie wdawał się podczas swego wystąpienia w zbędne szczegóły. Był jak bóg spoglądający na świat z góry: to przenosił się w starożytność, by za chwilę powrócić do czasów współczesnych, to wzlatywał w niebo, to znów przyglądał się ziemi, przy czym co chwila wykazywał się wybitną erudycją. Jak każdy znakomity wykładowca nie trzymał się niewolniczo tematu – niekiedy wydawało się, że daje się ponieść dygresjom, w końcu jednak każde zdanie okazywało się bezpośrednio lub pośrednio związane z głównym wątkiem wykładu. Myśl jego wzlatywała w górę niczym boski rumak galopujący po nieboskłonie, jednak od czasu do czasu powracała na ziemię. Dziewięć setek alkoholandskich studentów, o puchących od wiedzy głowach, umysłach gotowych do szaleńczego galopu, młodzieńcy i młode dziewczyny, a z nimi profesorowie, wykładowcy, asystenci i przedstawiciele władz uniwersyteckich – wszyscy zgromadzili się w jednej sali niczym stadko maleńkich gwiazdek, wpatrzonych w jedną wielką gwiazdę centralną. Był słoneczny wiosenny poranek. Jin Gangzuan na swym podium jaśniał niczym diament<sup>1</sup>. Wśród słuchaczy był też profesor Yuan Shuangyu, mężczyzna po sześćdziesiątce; siedział z uniesioną głową w aureoli siwych włosów, elegancki i wytworny; każdy jego włos był niby oddzielne pasmo srebra, jego zaróżowiona twarz emanowała spokojem i jasnością – to była twarz mędrca, który osiągnął drogę Tao; był jak Nieśmiertelny, jak płynący obłok, jak dziki żuraw. Jego srebrzysta głowa wyróżniała się na tle tłumu; górował nad wszystkimi, niczym wielbłąd w stadzie owiec. Ten oto starszy pan był moim opiekunem naukowym. Znałem nie tylko jego, ale także jego żonę, zakochałem się w



Wiceprzewodniczący naszego Miejskiego Stowarzyszenia Pisarzy twierdzi, że powinienem pisać o życiu, które znam, o tym, co jest mi bliskie. Często wykradam alkohol z laboratorium i przynoszę mu do domu. Nie oszukiwałby mnie przecież. A ty – dokąd już dotarłeś w swoim wykładzie? Nadstawmy uszu, skoncentrujmy się. Dziewięćset studentów zachowywało się jak wielkie stado podekscytowanych, młodych osiołków. Wyraz twarzy i gesty naszego wykładowcy, wiceprzewodniczącego Jin Gangzuana, w gruncie rzeczy niewiele różniły się od tych osiołkowych. Stał na mównicy, emanując swobodą i samozadowoleniem. Wzbudzał powszechną sympatię.

„Moja historia alkoholowa... – mówił – zaczęła się czterdzieści lat temu. Przed czterdziestoma laty, w tym samym miesiącu, w którym proklamowano Republikę Ludową, zapaściłem korzenie w łonie mojej matki; moi rodzice, podobnie jak wszyscy w owym czasie, oszaleli z radości, a wszystko to, co nastąpiło później, wywołało stan tak wielkiego uniesienia i odurzenia, jakby deszcz kwiatów spadł z niebios. Jestem więc produktem – czy też skutkiem ubocznym – powszechnej ekstazy. Drodzy studenci, wszyscy zdajemy sobie sprawę ze związków, które łączą alkohol i gromadne świętowanie. Nie będziemy się jednak teraz zajmować kwestią, czy ludowe święta są w istocie swej tożsame z obchodami ku czci Boga Wina, ani próbami odpowiedzi na pytanie, czy to prawda, że Nietzsche urodził się w dniu święta tego boga. Dla naszego wyvodu doniosłe znaczenie ma natomiast fakt, że powstałem w wyniku połączenia odurzonego plemnika mojego ojca z odurzonym jajeczkiem mojej matki, i że to właśnie zdecydowało o moim losie i o jego nierozdzielalnym związku z alkoholem.”

Jin rozpostarł podaną mu kartkę papieru, przeczytał, a następnie tonem wielkodusznym i tolerancyjnym oznajmił:

„Pracuję w służbie ideologii naszej Partii, jakże więc mógłbym propagować idealizm? Jestem materialistą z krwi i kości i zawsze będę wysoko niósł sztandar, na którym złotymi nićmi wyhaftowano słowa: «Po pierwsze, dobra materialne, po drugie – sprawy duchowe». Plemnik, który jest rezultatem podniecenia, jest przecież materialny, czyż powstałe również z podniecenia jajeczko nie składa się także z materii? Inny przykład: czy to możliwe, że ludzie w ekstazie opuszczają swoje ciała, zamieniają się w istoty duchowe i odlatują w cztery światy strony? Tak czy owak, moi drodzy studenci, nasz czas jest cenny, czas to pieniądz, czas to życie – nie możemy pozwolić, by nasze umysły kręciły się w kółko, rozważając kwestie tak trywialne. Dziś w południe otwieram pierwsze doroczne Święto Małpiego Wina, zorganizowane dla naszych dobroczyńców, wśród których są amerykańscy Chińczycy oraz nasi bracia z Hongkongu i Makau; wszyscy oni zasługują na największą gościnność.”

Gdy Jin Gangzuan wspominał o małpim winie, z końca sali dojrzałem, jak dwa trójkątne mięśnie na karku męża mojej teściowej napinają się i czerwienieją. Małpie wino, ten cudowny i niezrównany, legendarny eliksir był powodem, dla którego ten

staruszek przez większość życia nie mógł zaznać spokoju. Wytworzenie małego wina, sprawienie, by legenda nareszcie przybrała postać naczynia wypełnionego prawdziwym napojem – przedsięwzięcie to miało spełnić marzenia dwóch milionów Alkoholandczyków. Powołano w tym celu grupę specjalną, a władze miejskie wyłożyły znaczne fundusze. To staruszek profesor przewodniczył owej grupie – więc czyje mięśnie szyjne miały się napinać, jeśli nie jego? Nie widziałem twarzy profesora, lecz domyślałem się jej wyrazu w tamtej chwili.

„Drodzy studenci, niech taki oto uświęcony obraz ukaże się oczom waszej wyobraźni: stadko odurzonych szczęściem plemników, machających delikatnymi ogonkami. Patrzcie, są jak armia dzielnych żołnierzy szturmujących fortecę. Są w ekstazie, lecz poruszają się energicznie i z wdziękiem. Hitler, przywódca faszystów, pragnął, by niemiecka młodzież była «szybka i zręczna jak psy myśliwskie, odporna i sprężysta jak skóra, mocna i twarda jak stal z fabryki Kruppa». Oddział plemników tańczących nam właśnie przed oczami, z których jeden ma wkrótce wejść w skład jądra mnie samego, może się wprowadzić kojarzyć z ową idealną młodzieżą Hitlera – lecz metafory, nawet dobrej, nie powinno się używać po raz drugi, zwłaszcza jeśli jej autorem jest król demonów, zniechęcony przez cały świat. Zostawmy cudzoziemskie specjały, lepiej posługujmy się naszym krajowym towarem. To kwestia zasad, od których nie wolno nam odstępować nawet na milimetr. Towarzysze przywódcy wszystkich szczebli, poświęćcie tej sprawie najwyższą uwagę, nie wolno wam jej lekceważyć. W podręcznikach medycyny plemniki porównuje się do kijanek, wyobraźmy więc sobie kijanki. Stadko kijanek, wśród których jedna zawiera cząstkę przyszłego mnie, płynie ciepłym strumieniem we wnętrzu ciała mojej matki. Ścigają się, a nagrodą dla zwycięzcy jest soczyste, jędrne, białe winogrono. Oczywiście, od czasu do czasu zdarza się, że dwóch pływaków dociera do mety równocześnie, i w takich sytuacjach, jeśli winogrona są dwa, każdy zwycięzski zawodnik otrzymuje jedno z nich, lecz jeśli na mecie czeka tylko jeden owoc, muszą oni podzielić się jego słodkim sokiem. Ale co wtedy, gdy wyścig wygra trzech, czterech lub więcej zawodników? To sytuacja wyjątkowa, przypadek niezwykle rzadki, a teorie naukowe powstają poprzez uogólnienia przypadków zwykłych – przypadki szczególne rozważa się osobno. Tak czy owak, ja jeden zwyciężyłem tamten wyścig, białe winogrono połknęło mnie, stałem się jego częścią, a ono stało się częścią mnie. Zaiste, porównanie, nawet najbardziej obrazowe, jest niedostateczne – tak twierdził Lenin, lecz bez metafory nie ma literatury – to słowa Tolstoja. Wino często porównuje się do pięknej kobiety, a piękne kobiety bywają metaforą wina – co dowodzi, że wino i piękne kobiety mają pewne obszary wspólne. W ramach tych obszarów znajdują się pewne cechy szczególne, odróżniające jedno od drugiego, oraz takie, które je do siebie zbliżają. Tak to wino i piękne kobiety przenikają się wzajemnie. Jednak niewiele jest takich, którzy potrafią, pijąc wino, zgłębić prawdziwą, łagodną naturę kobiet. Są oni zjawiskiem tak rzadkim, jak pióra feniksa czy róg jednoroźca. Podobnie niewiele potrafi, smakując łagodność pięknej kobiety, osiągnąć prawdziwe zrozumienie natury wina – jest ich na świecie tak mało, jak piór feniksa, jak rogów jednoroźca.”

Jego słowa, wygłoszone tamtego dnia, wstrząsnęły nami do głębi – nami, studentami o powierzchownej wiedzy, i nieco lepiej wykształconymi doktorantami – wszak nie zdążyliśmy jeszcze w naszym krótkim życiu wypić tyle wody, co on – alkoholu.

„Prawdziwa wiedza pochodzi z praktyki, moi drodzy studenci. Wyborowy strzelec żywi się kulami, gwiazda wina kąpie się w alkoholu. Nie da się skrócić drogi do sukcesu; tylko ci, którzy, nie lękając się niebezpieczeństw, śmiało podążają stromą górską ścieżką, mogą liczyć na to, że osiągną szczyty chwały.”

Spłynęła na nas światłość prawdy. Salę wykładową wypełniły grzmiące oklaski.

„Drodzy studenci, miałem bardzo trudne dzieciństwo.”

Wszyscy wielcy ludzie muszą mężnie torować sobie drogę w oceanie przeciwności, on też nie był pod tym względem wyjątkiem.

„Potrzebowałem alkoholu, lecz nie miałem go.”

Wicedyrektor Jin opowiedział nam o tym, jak ciężkie warunki zmusiły go do zastępowania wódki alkoholem przemysłowym, gdy hartował swoje organy wewnętrzne. A ja zamierzam opisać te niezwykle doświadczenia językiem literatury. Wypilem łyk i z brękiem odstawiłem kieliszek na tacę z laki. Zapadał zmierzch. Jin Gangzuan przebywał gdzieś w pół drogi między odurzonym plemnikiem a wicedyrektorem. Kiwnął na mnie ręką. Miał na sobie zniszczoną pikowaną kurtkę. Zaprowadził mnie do swej rodzinnej wioski. Była mroźna noc zimowa. Sierp księżycy zawieszony na usianym gwiazdami niebie oświeślał uliczki i obejścia w wiosce Jin Gangzuana, blask padał na zwędłe liście, suche gałęzie wierzb, opadłe kwiaty śliwy. Po niedawnej śnieżycy dwukrotnie pokazało się słońce i stopiło część śniegu, pod każdym okapem zawisły połyskliwe sople. Sople błyszczały łagodnie w świetle gwiazd, migotał śnieg przykrywający dachy i gałęzie drzew. Zgodnie z opowiadaniem wicedyrektora Jina, noc była bezwietrzna, kry na rzecę pękały od siarczystego mrozu. Trzask pękającego lodu wśród głębokiej nocy rozbrzmiewał tym głośniej. Zapadała coraz większa cisza i spokój. Wioska, nasza wioska na przedmieściach stolicy Alkoholandii, była pogrążona we śnie. Być może pewnego dnia wsiądziemy do wicedyrektorskiego volkswagena santany, i pojedziemy zwiedzać te wszystkie święte miejsca, podziwiać święte relikwie. Tutaj każda góra, każde jezioro i rzeka, każde źdźbło trawy i każde drzewo powiększają nasz podziw i szacunek dla wicedyrektora Jina. Ach, cóż to za ciepłe, serdeczne uczucie! Pomyślmy tylko – to z tej ubogiej, zrujnowanej wioski weszła na nieboskłon gwiazda wina i oświeciła swym blaskiem całą Alkoholandię; jej światło oślepiło nas, napełniło nasze oczy gorącymi łzami, wzbudziło potężną falę wzruszenia. Zrujnowana kolebka wciąż pozostaje kolebką, nie da się jej niczym zastąpić, a wszystko wskazuje na to, że wicedyrektor Jin Gangzuan ma przed sobą nieskończone perspektywy rozwoju. Jin Gangzuan, przywódca wysokiej rangi, prowadzi nas do swojej Diamentowej Wioski, a my przechadzamy się jej uliczkami i ścieżkami, odpoczywamy nad szemrzącymi



wstrzykiwać penicylinę, a także kastrować świnie, psy i osły. Jak wszyscy mężczyźni w wiosce, lubił wypić. Niestety, nie było już nic do picia – zużyto całe ziarno, z którego można by cokolwiek uwarzyć, a rzeczą najwyższej wagi stało się zdobycie pożywienia. „Całe długie zimowe noce męczyliśmy się z burczącymi brzuchami – mówił Jin. – W tamtych chwilach nie miałem wielkich nadziei na przeżycie. Nie zaprzeczam, że nos mój jest szczególnie wrażliwy na zapach alkoholu – zwłaszcza na wsi, gdzie w powietrzu nie ma śladu zanieczyszczeń. W wiejską, chłodną noc potrafię rozpoznać mnóstwo najróżniejszych zapachów, a jeśli w promieniu kilkuset metrów ktokolwiek pije alkohol, poczuję go z pewnością.

Noc mijała, a ja poczułem zapach alkoholu dochodzący z północnego wschodu, mimo że byłem za ścianą, a owa intymna woń musiała wcześniej minąć zasypane bielą dachy i przebić się między drzewami zakutymi w zbroje ze zlodowaciałego śniegu, odurzając po drodze kury, kaczki, gęsi i psy. Szczekanie psów stało się okrągłe, jak bukłaki z winem, i pełne podchmielonej werwy. Pijane aromatem gwiazdozbiory mrugały wesoło i kołysały się niby małe urwisy na huśtawkach, w rzece ululane ryby kryły się wśród miękkich wodorostów i pluły lepkiemi, słodkawymi pęcherzykami powietrza. Nocne ptaki, a wśród nich dwie obficie upierzone sowy, także nawdychały się alkoholowego aromatu, podobnie dwie polne myszki, które właśnie podgryzały korzenie traw w swoich podziemnych norkach. Na tej rozległej połaci ziemi, tak pełnej życia mimo zimowego chłodu, cała gromada stworzeń cieszyła się urokami ludzkiego wynalazku. Dzięki niemu narodziły się w nich prawdziwe mistyczne przeżycia. «Alkohol był odkryciem starożytnych władców, niektórzy mówią, że dokonał go Yi Di, inni, że Du Kang.» Alkohol przenosi nas w sferę boską. Dlaczego składamy go przodkom w ofierze, modląc się o oczyszczenie ich dusz z grzechów? Tamtej nocy znalazłem odpowiedź na to pytanie. Doznałem olśnienia. Tamtej nocy obudził się duch, ukryty głęboko w moim ciele. Dotknąłem wielkiej tajemnicy wszechświata, wymykającej się wszelkim opisom, pięknej i łagodnej, wrażliwej i dobrej, tęsknej i smutnej,

wilgotnej, aromatycznej... czy rozumiecie, o co mi chodzi?”

Rozpostarł ramiona ku nam – pilnym słuchaczom, a my wyciągaliśmy ku niemu szyje; nasze oczy i usta otwierały się szeroko, jakbyśmy chcieli zobaczyć, a następnie spożyć ukryty w jego dłoniach cudowny eliksir, jednak niczego tam nie było.

„Twoje oczy mieniają się kolorami, które poruszają nas do głębi; tylko ci, którzy rozmawiają z Bogiem, miewają oczy o takich barwach. Widzisz to, czego nie możemy zobaczyć, słyszysz, czego nie potrafimy usłyszeć, czujesz zapachy, których my nie czujemy – jakże wielki jest nasz smutek z tego powodu! Potok mowy, która płynie z twojego organu, zwanego ustami, jest jak muzyka, jest jak płynąca meandrami rzeka, jak unosząca się w powietrzu jedwabna nić, wysnuta z pajęczego odwłoku, jest duża i gładka jak kurze jajo i tak samo pożywna. Jesteśmy pijani muzyką, niesieni prądem rzeki, tańczymy na pajęczej nici, widzimy Boga. Lecz nim Go spotkamy, ujrzymy nasze martwe ciała, dryfujące w dół rzeki... Dlaczego tamtej

nocy pohukiwania sów były łagodne jak szept kochanków? Alkohol był w powietrzu. Dlaczego dzikie i domowe gęsi kopulowały w głęboką, mroźną noc zimową, jakby zaczęła się właśnie pora godowa? Bo alkohol był w powietrzu.

Pociągnąłem mocno nosem, a Fang Dziewiątka spytał zduszonym szeptem:

– A ty czemu tak marszczysz nos? Chce ci się kichać?

– Alkohol, czuję alkohol!

Wszyscy już pociągali nosami, nos Siódmego Wuja był cały w zmarszczkach.

– Gdzie ten alkohol? – zapytał. – Nie czuję żadnego alkoholu!

Moje serce galopowało, myśli biegły jak szalone.

– Powąchajcie, powąchajcie – zachęcałem.

Ich spojrzenia rozbiegły się na wszystkie strony, badając kąty izby. Siódmy Wuj podniósł z kangu matę.

– I po co to podnosisz? – parsknęła gniewnie Siódma Ciotka. – Nie szukasz chyba wina w kangu? Doprawdy, co ci też chodzi po głowie!

Siódma Ciotka, jak już wspomniałem, była intelektualistką i używała słów w rodzaju «doprawdy». Niedługo po zamążpójściu krytykowała moją matkę, że zbyt energicznie płuczac ryż, zmywa z niego wszystkie witaminy. Na dźwięk słowa «witaminy» matka wytrzeszczyła oczy i otworzyła usta ze zdumienia.

Opary alkoholu zawierają białka, eter, kwasy i fenole, a także wapń, fosfor, magnez, sód, potas, chlor, siarkę, żelazo, miedź, mangan, cynk, jod i kobalt oraz witaminy: A, B, C, D, E, H i wiele innych substancji. Popisuję się tu przed wami wiedzą o składnikach alkoholu, a wasz profesor Yuan Shuangyu przecież zna się na tym najlepiej.”

Mięśnie szyjne mego teścia poczerwieniały – otrzymał wszak pochwałę Jin Gangzuana. Nie mogłem widzieć wzruszenia na jego twarzy, lecz wyobrażałem je sobie bardzo dokładnie. W oparach alkoholu jest coś, co wykracza poza materię, coś w rodzaju ducha, jest wiara, święta wiara, której nie da się wyrazić słowami – język jest tak nieporadny, metafory tak nieudolne – wiara ta zalewa mi serce i sprawia, że dreszcz wstrząsa moim ciałem.

„Towarzysze, studenci, czy musimy tracić czas na rozważanie kwestii, czy alkohol ma naturę szkodnika, czy też pożytecznego owada? O nie, absolutnie nie! Alkohol to jaskółka, to żaba, to czerwonoooka pszczoła, biedronka siedmiokropka, to żywy

środek szkodnikobójczy!”

Wybuchał entuzjazmem, wymachiwał rękami z pasją, zatracił się w uniesieniu. Sala wykładowa rozgrzewała się do białości, a on coraz bardziej przypominał przemawiającego Hitlera. Powiedział:

„– Siódmy Wuju, patrz, zapach alkoholu przenika przez okna, przedostaje się przez sufit, wciska się do środka każdą szparą...

– Ten dzieciak chyba zwariował – orzekł Fang Dziewiątka, pociągając nosem. – Czy zapach ma kolor? Czy można go zobaczyć? Oszalał...

Zmierzyli mnie spojrzeniami pełnymi niedowierzania, jakbym faktycznie był wariatem, ale nic mnie to nie obchodziło! Ruszyłem jak wichur przez tęczy most, skąpany w alkoholowym oparze, i biegłem, biegłem... I stał się cud, drodzy studenci, stał się cud!”

Spuścił głowę, jakby przytłoczony nadmiarem emocji.

Stojąc na podium w głównej sali wykładowej Uniwersytetu Gorzelnictwa, Jin Gangzuan zaczął mówić dalej, głosem ochrypłym i niezwykle sugestywnym:

„Oczom mej duszy ukazał się obraz przyjęcia w zasypaną śniegiem noc. Lampa gazowa, świecąca białym światłem. Kwadratowy stół na osiem osób. Na nim parujący dzbanek. Wokół stołu siedzą cztery osoby, każda trzyma czarę z napojem o różnej barwie wieczornych chmur. Twarze mają niewyraźne... O! Obraz się wyostrzył, poznaję ich... Sekretarz komórki partyjnej, księgowy brygady, komendant milicji, przewodnicząca Ligi Kobiet... W palcach trzymają gotowane jagnięce nóżki, maczają je w paście czosnkowej z sosem sojowym i olejem sezamowym... Mówiłem do Siódmego Wuja tonem reportera, zdającego relację z wydarzeń. Miałem mgłę przed oczami, nie widziałem wyraźnie twarzy jego ani pozostałych, bałem się zdekoncentrować, żeby nie stracić z oczu tam-

tego widoku... Siódmy Wuj chwycił mnie za rękę i zaczął potrząsać.

– Mały Yu, Rybko3! Co ci jest?

Lewa ręka Wuja szarpała mnie za ramię, prawa uderzała w potylicę. W mojej głowie rozlegał się łomot, jakby ktoś wrzucał pokruszone cegły i odłamki dachówek do spokojnego, gładkiego jak lustro jeziora, fontanny wody tryskały we wszystkich kierunkach, fale na powierzchni zderzały się ze sobą.

– Co to jest? Co wy wyprawiacie? – krzyknąłem ze złością.

Patrzyli na mnie z wielką troską, a Siódmy Wuj zapytał:







pachą. Kawał twardej stali uwierał go boleśnie w żebra, co pomogło mu częściowo odzyskać spokój. Dwie sekundy wystarczą, by wycelować czarną lufą w pierś kogoś z nich, pomyślał, choćbym miał potem wylądować w piekle czy też, zwyczajnie – w grobie. Ding uświadomił sobie, że są już głęboko pod ziemią. Mimo jasno świecących lamp i niezmiennie jaskrawej czerwieni dywanu ogarnęło go uczucie chłodu; rzecz jasna, nie był to rzeczywisty chłód.

Hostessa o błyszczących oczach i śnieżnobiałych zębach, w szkarłatnym uniformie i łódkowatym kapelusiku na głowie, czekała na nich w końcu korytarza. Jej wystudiowany uśmiech i mocny zapach włosów podziałały kojąco na nerwy Dinga. Gdy już udało mu się przewyciężyć przemożną chęć pocałowania tych włosów, przeprowadził w myślach wnikliwą samokrytykę, a następnie samorozgrzeszenie. Dziewczyna ujęła lśniąca kławkę z nierdzewnej stali i otworzyła przed nimi drzwi. Trójkątny szyk wreszcie się rozpadł, Ding Gou'er odetchnął z ulgą.

Ich oczom ukazała się luksusowo urządzona jadalnia; subtelna kolorystyka i delikatne oświetlenie stwarzały atmosferę szczęścia i ciepłych uczuć. Zakłócał ją jedynie słabo wyczuwalny, dziwny, niepokojący zapach. Oczy Dinga rozbłysły. Wędrował wzrokiem po sali, od kremowych sof do beżowych zasłon, od nieskazitelnej bieli sufitu ozdobionego płaskorzeźbą po równie nieskażoną biel obrusa na jadalnym stole. Rzędy zmyślnie zaprojektowanych lamp przywodziły na myśl sznury delikatnych pereł, świeżo wypastowana podłoga błyszczała jak lustro. Podczas gdy Ding rozglądał się po jadalni, sekretarz partii i dyrektor kopalni przypatrywali mu się bardzo uważnie. Nie zdołali się jednak zorientować, że Ding cały czas poszukuje źródła owego tajemniczego zapachu.

Duży okrągły stół miał trzy poziomy. Na pierwszym, zewnętrznym kręgu stały niskie szklanki do piwa, długonogie kieliszki do wina i jeszcze smuklejsze do wódki, oprócz tego seledynowe ceramiczne kubki z pokrywkami do herbaty. Obok białych talerzy różnych rozmiarów leżały pałeczki z imitacji kości słoniowej w pochawkach, sztuce z nierdzewnej stali, papierosy marki Chiny, zapalki o dużych czerwonych główkach w specjalnych pudełkach, były też popielniczki z imitacji kryształu, w kształcie pawich ogonów. Drugi, wyższy poziom zajmowało osiem rodzajów zimnych zakąsek: drobno posiekane jajka z makaronem ryżowym i owocami morza, paski wołowiny na ostro, kalafior w sosie curry, pokrojony ogórek, kacze łapy, korzeń lotosu w cukrze, seler i skorpiony smażone w głębokim oleju. Ding Gou'er był człowiekiem bywałym w świecie i wszystkie te smakowite dania nie zrobiły na nim większego wrażenia. Trzecie i najwyższe piętro okrągłego stołu zajmowała jedynie doniczka z wyjątkowo kolczastym kaktusem z gatunku „dłoń Nieśmiertelnego”. Na ten widok Dingowi ścierpła skóra. Cemu nie wazon z kwiatami? – zadał sobie w myślach pytanie. Zajęcie miejsc przy stole poprzedziło, jak zwykle przy takich okazjach, kilka chwil uprzejmego cetero. Ding przypuszczał, że przy okrągłym stole nie będzie mniej i bardziej honorowych miejsc, lecz dyrektor kopalni i sekretarz partii nalegali, by usiadł przy oknie, na miejscu uznanym przez nich za najszczytniejsze. Gdy w końcu zasiadł, sekretarz partii i











stołu, a ostatnia poustawiała świeże nakrycia.

Ding Gou'er, wielce poruszony tą błyskawiczną serią prac porządkowych, zaczął żałować rzucanych niedawno w pijackim odurzeniu drastycznych oskarżeń i już miał próbować zatrzeć przykre wrażenie jakąś uprzejmą kwestią, gdy sekretarz partii lub dyrektor kopalni spytał:

– Ding, przyjacielu, jak się panu podobają nasze kelnereczki?

Ding, zmieszany nieco, popatrzył na dziewczęce twarze, podobne kwietnym pączkom, i odrzekł tonem pełnym zachwytu:

– Świetne! Znakomite! Niezrównane!

Czerwone kelnerki, które z pewnością przeszły staranne szkolenie, zbiegły się do stołu jak gromada głodnych szczeniaków albo zastęp pionierów z kwiatami dla honorowych gości. Stół był pełen pustych kieliszków. Dziewczęta chwyciły je kolejno, jeden za drugim, małe i duże, i napełniały czerwonym winem, złotym piwem i przejrzystą wódką, a następnie chórem wzniosły toast na cześć Ding Gou'era.

Ding cały sływał potem, wargi miał lodowate, język zeszywniały – nie był w stanie wykrztusić słowa. Mógł tylko zacisnąć zęby i wpuścić magiczny napój do żołądka. W końcu nawet wielcy wojownicy ulegają pięknym kobietom... Ostatecznie mógł zdobyć się na tę ostatnią odrobinę wysiłku.

Czuł się fatalnie, a mały niesforny demon w jego głowie znów podnosił łeb i gotował się do kolejnej próby ucieczki przez otwór w czaszce. Ding zrozumiał, na czym polega problem zachowania jedności duszy i ciała. Przeraziła go przykra wizja własnej duszy, wiszącej pod sufitem, i ledwie powstrzymał przemożną chęć złapania się rękami za głowę, by zakryć ziewający w niej otwór, który wcześniej posłużył jego świadomości jako droga ucieczki. Cóż to byłoby za głupi widok. Przypomniał sobie czapkę, którą miał na sobie podczas bliskiego spotkania z kobietą w ciężarówce. Czapka z kolei podsunęła mu myśl o czarnym pistolecie, spoczywającym w jego teczce. Spocił się jak mysz. Jego rozbiegane spojrzenie zwróciło uwagę bystrej dziewczyny w czerwieni, która nie wiadomo skąd wyciągnęła teczkę. Przyjął ją i upewniwszy się, że twardy, żelazny przyjaciel wciąż tam jest, natychmiast przestał się pocić. Nie znalazł jednak czapki. Przypomniał sobie odźwiernego i psa, i młodzieńca z działu bezpieczeństwa, kłody, las słoneczników – wszystkie te miejsca i postaci wydawały mu się tak odległe, że nie był pewien, czy widział je naprawdę, czy we śnie. Ostrożnie umieścił teczkę między kolanami. Jego rozbrykany, wiercący się, zbuntowany umysł atakował go przeróżnymi obrazami, to rozbłyskającymi i ostrymi, to znów mrocznymi i zasnutymi mgłą. Wpatrywał się w brudne, tłuste plamy na kolanach spodni, które raz przypominały mu oświetloną mapę Chin, to znów ciemny zarys Jawy. Kontury były miejscami niedokładne, toteż usilnie starał się je poprawić i wyostrzyć, mając przy tym nadzieję, że Chiny na zawsze pozostaną rozświetlone i



pięknego motyla, siedzącego wciąż na głowie Ding Gou'era. Ding podniósł się wbrew własnej woli. Nie chciał się uśmiechać, lecz jego twarz zrobiła to za niego. Uśmiechnięty Ding Gou'er wstał grzecznie na powitanie.

Sekretarz partii i dyrektor kopalni oznajmili chórem:

– Oto wicedyrektor Wydziału Propagandy Miejskiego Komitetu Partii, a to – śledczy Ding Gou'er z prokuratury.

Jin, złożony ręce na piersi, rzekł z miłym uśmiechem:

– Przepraszam, bardzo was przepraszam, spóźniłem się.

Wyciągnął rękę do Ding Gou'era. Ding nie chciał uściskać mu dłoni, ale zrobił to. Przypuszczał, że ten demon, ten pożeracz dzieci, będzie miał zimne łapska – jednak dłoń była ciepła i miękka, pokryta odrobiną przyjemnej wilgoci.

– Witamy, witamy! Jakże miło mi pana poznać! – usłyszał uprzejme słowa.

Gdy wszyscy na nowo zajęli miejsca przy stole, Ding Gou'er zacisnął zęby i postanowił za wszelką cenę zachować trzeźwość umysłu i nie pozwolić sobie na wypicie kolejnego drinka. Do roboty! – rozkazał sobie w myśli.

Siedział teraz ramię w ramię z Jin Gangzuanem, utrzymując swój umysł w stanie najwyższej gotowości. Jin Gangzuanie, ach, Jin Gangzuanie! Choćbyś był twardy jak mur z żelaza i brązu, choćbyś był krewnym cesarza, choćbyś miał najgęstszą siatkę powiązań, a twoje korzenie i macki sięgały daleko – gdy już wpadniesz w moje ręce, nie myśl, że wyjdiesz z tego cało. Gdy ja sam czuję się zagrożony, nikt nie może pozostać bezpieczny!

– Spóźniłem się, więc należy mi się trzydzieści karnych kolejek! – ogłosił Jin Gangzuan.

Ding był zdumiony. Spojrzał na sekretarza partii czy też dyrektora kopalni i ujrzał na jego twarzy porozumiewawczy uśmiech. Dziewczyna w czerwieni wniosła tacę świeżych, lśniących kieliszków i postawiła ją przed Jin Gangzuanem. Kolejna czerwona dziewczyna przyniosła karafkę i zaczęła nalewać, przechylając głowę wdzięcznie niczym feniks. Jej ruchy zdradzały długą praktykę – robiła to pewnie i z bezwzględną dokładnością, nie roniąc ani

kropki. W okamgnieniu prawie wszystkie kieliszki były pełne – gdy nalewała ostatni, perluste bąbelki jeszcze nie ulotniły się z pierwszego. Przed Jin Gangzuanem rozkwitł bukiet niezwykłych kwiatów. Ding Gou'er był oczarowany – z jednej strony perfekcją i wdziękiem czerwonych dziewcząt, a z drugiej – odwagą Jin Gangzuana. Zaiste, słusznie się mawia, że „bez diamentu nie można stworzyć pięknej porcelany”.



wydając okrzyki entuzjazmu. Ding Gou'er, przebywający wciąż w świecie poezji, milczał. Zaległa cisza. Czerwone dziewczęta zastygły w bezruchu, każda w nieco innej pozie, jak pędy kanny, zasłuchane, pogrążone w rozmyślaniach. Dziwaczny dźwięk, który wydobył się nagle z klimatyzatora w rogu sali, rozbił ciszę. Sekretarz partii i dyrektor kopalni namawiali wicedyrektora na następne trzydzieści kolejek, lecz Jin pokręcił głową, mówiąc:

– Już więcej nie wypiję. To byłoby marnotrawstwo. Jednak ponieważ jest to nasze pierwsze spotkanie ze śledczym Ding Gou' erem, czuję się zobowiązany wznieść trzy razy po trzy toasty za jego zdrowie.

Ding Gou'er patrzył oczarowany na tego, który bez mrugnięcia okiem wypił trzydzieści kolejek. Był wprost odurzony jego wdziękiem, osobowością, czarem jego głosu, miękkim blaskiem brązowego czy też złotego zęba. Wciąż jeszcze nie docierał do niego fakt, że trzy razy trzy daje dziewięć.

Dziewięć kieliszków stało przed Ding Gou' erem – tyle samo, co przed Jin Gangzuanem. Ding Gou'er nie mógł się oprzeć urokowi tego człowieka. Świadomość i ciało szarpały go w przeciwny strony. Świadomość krzyczała: Nie wolno ci pić! Lecz dłoń wlewała mu wódkę do gardła.

Dziewięć kieliszków po kolei lądowało w żołądku, z oczu płynęły mu strumienie łez. Nie rozumiał, z jakiego powodu nagle zalał się łzami, siedząc przy jadalnym stole. Nikt cię nie uderzył, nikt nie znieważył, więc czemu ryczysz? – zapytywał sam siebie. Ależ ja wcale nie płaczę, czy łzawienie musi oznaczać płacz? Łez wciąż przybywało, aż twarz Dinga zaczęła przypominać liść lotosu po deszczu. Usłyszał słowa Jin Gangzuana:

– Podajcie ryż, towarzysz Ding Gou'er powinien coś zjeść, zanim uda się na spoczynek!

– Jest jeszcze główne danie!

– Ach – Jin zastanawiał się chwilę – no to żwawo, dawajcie je tu!

Dziewczyna w czerwieni zabrała „rękę Nieśmiertelnego” ze szczytu stołu. Dwie inne czerwone kelnerki wniosły duży okrągły, złożony półmisek. Na półmisku siedział złotoskóry, niezwykle smakowicie pachnący malutki chłopczyk.





uznany za „promień słońca w mrocznym królestwie”, za współczesny Dziennik szalonego Lu Xuna. Załączam więc swoje dzieło i proszę o surową krytykę. „Prawdziwy materialista niczego się nie lęka”, proszę więc nie owijać w bawełnę i napisać prosto z mostu, co Pan o tym myśli. Kawa na łąkę – to chlubna tradycja naszej partii.

Jeśli po lekturze uzna Pan, że utwór ten nadaje się do publikacji, bardzo proszę o poszukanie dla Mięsnego chłopca jakiejś dobrej rodziny. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach nawet znalezienie miejsca w krematorium wymaga znajomości, a co dopiero drukowanie opowiadań. Więc bardzo proszę, niech Pan się nie waha ich nawiązywać. Jeśli trzeba będzie kogoś zaprosić, niech Pan zaprasza. Jeśli będą potrzebne prezenty, proszę je dawać – wszystkie wydatki pokryję (proszę zawsze pamiętać o wzięciu rachunku).

Szanowny Nauczycielu, napisanie Mięsnego chłopca kosztowało mnie wiele ciężkiej pracy. Wysłanie go właśnie do „Literatury Narodowej” wydaje mi się właściwym posunięciem. Po pierwsze „Literatura” jest przodującym chińskim czasopismem literackim, promującym nowe trendy w literaturze, i lepiej opublikować jedno opowiadanie tam niż dwa w lokalnym, regionalnym czy miejskim magazynie. Po drugie, zamierzam przyjąć strategię polegającą na przypuszczeniu ostrego ataku w jednym kierunku, a inne na razie sobie darować. Chcę jak najszybciej zdobyć potężną twierdzę „Literatury Narodowej”!

Życzę zdrowia i pozostaję z szacunkiem,

Pański uczeń

Li Yidou

PS Mój przyjaciel wybiera się do Pekinu w interesach, więc poprosiłem go, by wziął dla Pana skrzynkę z dwudziestoma butelkami naszej alkoholandskiej specjalności, trunku zwanego „mrowiem zielonych mrówek”. Uczestniczyłem w opracowaniu jego receptury. Zapraszam do spróbowania!

Li Yidou

III

Drogi doktorze alkohologii!

Witam serdecznie.

Bardzo dziękuję za prezent w postaci „mrowia zielonych mrówek”; kolor tego trunku, bukiet i smak są naprawdę znakomite, jednak w moim ogólnym odczuciu coś w nim „nie gra” – jest niby dziewczyna o pięknych rysach, której nie można odmówić urody, lecz brakuje jej tego nieuchwytnego, trudnego do zdefiniowania wdzięku.

Moje rodzinne miasteczko także jest znane z produkcji alkoholi, lecz, rzecz oczywista, nie mogą one się równać z waszymi alkoholandskimi trunkami. Według opowiadań mego ojca, przed wyzwoleniem w naszej wiosce nieliczącej więcej niż stu mieszkańców były aż dwie destylarnie, gdzie produkowano wódkę z sorga. Obydwie miały swoje nazwy – jedna nazywała się Zongji, druga Juyuan; każda z nich zatrudniała kilkudziesięciu robotników; były tam także muły i konie i panował wielki hałas. Co się zaś tyczy alkoholi z prosa, wytwarzała je prawie każda rodzina w wiosce, tak że twierdzenie, iż aromat wódki unosił się nad każdym domostwem, nie jest dalekie od prawdy. Wuj mego ojca pewnego razu uraczył mnie szczegółowym opisem pracy ówczesnych destylarni – sztuki destylacji, technologii i zarządzania produkcją; pracował on w naszej Zongji przez kilkanaście lat. Jego opowieści dostarczyły mi wiele cennego materiału, który wykorzystałem przy pisaniu Wódki z sorga. Ten alkoholowy aromat, którym jest przesiąknięta cała historia mojej rodzinnej wioski, stanowił dla mnie źródło inspiracji.

Alkohol zawsze bardzo mnie interesował; rozmyślałem dużo i intensywnie na temat związków alkoholu z kulturą. W środkowym rozdziale mojej książki, tym zatytułowanym Wódka z sorga, pokrótce zaprezentowałem wyniki tych rozważań. Zawsze chciałem napisać długą powieść o alkoholu. Znajomość z Panem, doktorem alkoholologii, jest dla mnie szczęściem tak wielkim, że dałoby się nim obdzielić trzy życia. Z pewnością będę miał do Pana mnóstwo pytań i prośb o udzielenie mi odrobiny Pańskiej cennej wiedzy, dlatego bardzo proszę, niech Pan już nie nazywa mnie „nauczycielem”.

Przeczytałem z szacunkiem Pański list oraz opowiadanie Mięśny chłopiec, mam w związku z nimi mnóstwo wrażeń i refleksji, którymi stopniowo podzielę się z Panem. Zaczę od listu.

1) Sądę, że buta, czy też arogancja, i skromność to dwie postawy ludzkie, które są ze sobą sprzeczne, a zarazem wzajemnie się warunkują. Trudno orzec, która z nich jest właściwa. Często się zdarza, że ludzie wyglądający na aroganckich w rzeczywistości są skromni, a ci, którzy zachowują się skromnie, w głębi duszy grzeszą arogancją. Niektórzy ludzie pod pewnymi względami, bądź też w niektórych momentach, zachowują się butnie, w innych – skromnie. Totalna arogancja, podobnie jak wieczna skromność, w rzeczywistości praktycznie nie występują. Pańska „pijacka buta” jest w dużej mierze jedynie reakcją chemiczną, w której nie ma niczyjej winy. W gruncie

rzeczy samozadowolenie, jakiego doznał Pan pod wpływem alkoholu, tylko mnie cieszy. Rzucanie epitetów pod adresem „Literatury Narodowej” to żadna zbrodnia, zwłaszcza że jak na razie nie obrażał Pan niczyich matek – napisał Pan tylko, że redaktorzy okażą się ślepcami, jeśli nie wydrukują Pańskiego opowiadania.

2) Pan Li Qi miał własne powody, by napisać swoją powieść tak, a nie inaczej. Jeśli uważa ją Pan za złą, proszę ją wyrzucić i o niej zapomnieć. Jeśli spotka Pan pewnego dnia jej autora, niech Pan go obdaruje dwiema butelkami „mrowia zielonych mrówek” i czym prędzej zejdzie autorowi z oczu. Pod żadnym pozorem nie wolno Panu ulegać wpływowi rewolucyjnego romantyzmu i urządzać autorowi „krwawych bitew na słowa” – ten facet ma silne powiązania z przestępczym półświatkiem, jest okrutny, brutalny i całkowicie nieobliczalny. Mówią, że pewien krytyk literacki z Pekinu, nudząc się po obfitym obiedzie, napisał artykuł krytykujący niedostatki jego prozy. W niecałe trzy dni po tym, jak tekst ujrzał światło dzienne, żona krytyka została porwana przez Li Qi i jego ludzi i sprzedana do Tajlandii jako prostytutka. Radzę więc Panu, póki czas, niech Pan się trzyma od niego z daleka. Są na tym świecie ludzie, których nawet Bóg boi się drażnić, i Li Qi do nich należy.

3) Jeśli Pana decyzja o poświęceniu się literaturze jest rzeczywiście nieodwołalna, na pewno już nigdy nie pozwolę sobie nakłaniać Pana, by powrócił Pan, jak ten syn marnotrawny, do poprzedniego zajęcia – choćby po to, by nie narażać się na Pana niechęć. Nieumyślne wzbudzenie w kimś niechęci jest czymś, na co nie mamy wpływu, lecz świadome na nią zasługiwanie jest niczym przysłowiowe „wykrzywanie się do lustra w poszukiwaniu własnej brzydoty”. Jestem wystarczająco brzydki z natury, nie muszę się wykrzywiać.

Wściekał się Pan na „bezwstydných drani”, którzy chcą „okupować literacką scenę” – jestem tym szczerze uradowany, i jeśli rzeczywiście istnieją tacy „bezwstydni dranie”, z rozkoszą będę ich przeklinał razem z Panem.

Pracowałem w szkole kadetów w Baoding kilkanaście lat temu, przez moje wykłady przewinęło się dobrych kilkuset studentów; przypominam sobie dwie osoby nazwiskiem Liu Yan: jedną o jasnej cerze i wечно wytrzeszczonych oczach, drugą śniadą i przysadzistą. Nie wiem, która z nich pracuje teraz z Panem.

Co do krytykowania Wang Menga, naprawdę nic takiego sobie nie przypominam, jednak wydaje mi się, że czytałem jakiś jego artykuł, w którym zachęcał młodych pisarzy, by dokonali chłodnej autoanalizy. Po tamtej lekturze być może poczułem się atakowany, może nawet urażony, ale zdecydowanie nie sędzę, bym kiedykolwiek krytykował Wang Menga w czasie wykładów, które miały propagować komunizm.

Tak naprawdę do dziś nie wyrzuciłem mojej żebraczej laski i nie wyobrażam sobie, bym w dniu, gdy rzeczywiście się jej pozbędę, „brał się do bicia innych żebraków”. Jednak nie jestem w stanie niczego zagwarantować – ludzie się zmieniają, i nic nie można na to poradzić.

Przejdę teraz do Pańskiego opowiadania.

1) Używa Pan w odniesieniu do niego terminu „okrutny realizm”. Co dokładnie Pan przez to rozumie? Nie jest to dla mnie oczywiste, choć wydaje mi się, że chwytam ogólny sens tego pojęcia. Opisane przez Pana zdarzenia wstrząsnęły mną. Całe szczęście, że to tylko literatura. Gdyby Pan napisał reportaż podobnej treści, to dopiero byłby kłopot.

2) Co do „nadawania się do publikacji” – stosuje się dwa kryteria: kryterium polityczne oraz kryterium artystyczne. Obydwa nie są dla mnie jasne, i dokładnie tyle chcę przez to powiedzieć, nie owijam niczego w bawełnę. Na szczęście w „Literaturze Narodowej” pracują prawdziwe znakomitości, może Pan zdać się na ich osąd.

Wysłałem już Pana utwór do działu redakcyjnego, a co do zapraszania i podarunków, to jest to wielka sztuka, której, niestety, nie posiadałem. Nie wiem, czy w przypadku tak ważnych, centralnych wydawnictw jak „Literatura Narodowa” podobne zabiegi są dobrze widziane – lepiej, żeby zorientował się Pan osobiście.

Z życzeniami szczęścia

Mo Yan

#### IV

#### Mięsny chłopiec

Późna noc jesienna. Wschodził księżyc – wielkie półkole o rozmytych brzegach, jak nadtopniała kostka lodu, zawisło we wschodnich rejonach nieba. Chłodne promienie padały na wioskę Winny Aromat, pogrążoną w głębokim śnie. W czyimś kurniku odezwał się kogut – pianie było zduszone, jakby dobiegało z piwnicy.

Przytłumiony okrzyk był jednak wystarczająco głośny, by wyrwać ze snu żonę Jina Yuanbao. Kobieta usiadła, owijając się kołdrą, oszołomiona, nadal w półśnie.

Sinawy blask księżycy wlewał się przez okna, rysując białe wzory na czarnej kołdrze. Stopy męża, zimne jak lód, dotykały prawego boku żony. Kobieta naciągnęła na nie róg kołdry. U jej lewego boku kulił się Xiao Bao, czyli Mały Skarb, pochrapując

równo. Z oddali dobiegło jeszcze bardziej zduszone pianie. Kobieta wzdrygnęła się. Wstała z łóżka, narzucając pośpiesznie ubranie. Wyszła na podwórze i spojrzała w niebo – trzy gwiazdy odchodziły już ku zachodowi, na wschodzie wyłaniała się gwiazda poranna. Świt był blisko. Szturchnęła mężowską nogę, mówiąc:

– Wstawaj, wstawaj szybko, gwiazda poranna na niebie!

Mężczyzna przestał chrapać, mlasnął kilka razy, po czym podniósł się.

– Już jasno? – zapytał zdezorientowany.

– Szybko, musisz tam iść jak najwcześniej. Nie tak jak ostatnim razem, kiedy w końcu się okazało, że siedleś na próżno.

Mąż leniwie narzucił pikowaną kurtkę, sięgnął po zawiniątko z tytoniem, leżące w głowach łóżka, wyszperał fajkę, napchał ją porcją tytoniu i wetknął sobie do ust. Wymacał gdzieś krzesiwo, kamień i hubkę i zabrał się do krzesania ognia. Gwiazdziste iskry prysnęły wokoło, jedna z nich padła na hubkę. Mężczyzna, dmuchając, rozniecił płomień. Ciemnoczerwony blask rozświetlił mroczną izbę. Zapalił fajkę i zaciągnął się dwa razy. Chciał już gasić hubkę, gdy usłyszał głos żony:

– Zapal jeszcze lampę.

– Koniecznie?

– Zapal, zapal, nie zbawi nas ta odrobina oleju, którą zużyjemy.

Zaczerpnął powietrza i jął dmuchać na hubkę, która rozjarzała się coraz mocniej za każdym dmuchnięciem, aż w końcu – buch! – zapłonęła jasnym płomieniem. Kobieta przyniosła lampę, zapaliła ją i powiesiła na ścianie. Łagodny blask napełnił izbę. Spojrzenia męża i żony spotkały się na chwilę, po czym natychmiast rozbiegły w przeciwnych kierunkach.

Jedno z dzieci śpiących od strony ojca głośno mamrotało przez sen, jakby skandowało jakieś slogany. Inne macało wyciągniętą ręką ścianę pokrytą tłustym brudem, jeszcze inne płakało. Mężczyzna schował wystającą rączkę pod kołdrę. Szturchnął płaczące dziecko.

– I czego beczysz, mały pasożycie? – rzucił zirytowany.

Żona westchnęła.

– Mam gotować wodę? – spytała.

– Gotuj, dwie tykwy powinny wystarczyć.

– Zagotujmy jedną więcej – rzekła po chwili zastanowienia – może będziemy mieli więcej szczęścia, jeśli będzie dokładniej umyty.

Mężczyzna milczał. Uniósł fajkę i ostrożnie odwrócił głowę, zerkając w stronę rogu łóżka. Maluch spał smacznie.

Kobieta przesunęła lampę w stronę drzwi, by światło wpadało do obu izb. Wyszorowała garnek, odmierzyła do niego trzy tykwy wody, przykryła pokrywką. Za pomocą lampy podpaliła wiązkę słomy i ostrożnie umieściła w piecu. Stopniowo dorzucała coraz więcej, a płomień rozpałał się coraz mocniej; złote języki lizały już piec po wierzchu, malowały rumieńce na twarzy kobiety. Mężczyzna siedział na ławie przed łóżkiem i patrzył w zamyśleniu na żonę. Wyglądała, jakby nagle ubył jej lat.

Woda w garze zaczęła bulgotać, kobieta dorzuciła jeszcze słomy do pieca. Mężczyzna postukał główką fajki w ramę łóżka, odchrząknął i zaczął niepewnie:

– U Suna Wielkozębego, na wschodnim krańcu wsi, znowu ciąża. A jego żona jeszcze karmi poprzednie.

– Czy wszyscy ludzie muszą być tacy sami? – odparła kobieta łagodnie. – Ech, kto by nie chciał co roku rodzić dziecka? A jeszcze lepiej – trojaczków?

– Udało się skurczybykowi, bo ma teścia w kontroli jakości. Inny by nie przeszedł, a jemu przyjęli. Powinien dostać najwyżej drugą klasę, a dostał specjalną – rzekł mąż.

– Łatwo o dobry stołek, gdy się ma znajomości na górze, zawsze tak było – zauważyła żona.

– Tak czy owak, nasz Mały Skarb musi dostać pierwszą klasę. W żadne inne dziecko nie włożono takich pieniędzy – oznajmił mąż. – Zjadłś sto funtów fasolowych placków, dziesięć karpia, sto funtów rzepy...

– Ja zjadłam? Co tylko wpadło mi do żołądka, od razu zamieniało się w mleko, a on wszystko ze mnie wysysał.

Gdy tak rozmawiali, woda w garze zaczęła wrzeć. Para buchała spod pokrywki, przyciszając płomień lampy, który pełgał słabo w zaparowanym powietrzu, podobny z barwy do czerwonej fasolki.

Kobieta przestała dokładać do pieca.

– Przynieś miednicę! – zarządziła.

Mężczyzna wymamrotał coś pod nosem, otworzył drzwi i wyszedł na podwórze. Wrócił z czarną ceramiczną misą z obtłuczonym brzegiem. Dno misy pokrywała cienka warstwa szronu.

Kobieta zdjęła pokrywę z gara, kłęb pary wzbił się w górę i niemal całkowicie zduślił płomyk lampy, który dopiero po dłuższej chwili powrócił do poprzedniej jasności. Kobieta wzięła tykwę i zaczęła przelewać wodę z garnka do miednicy.

– Nie dodajemy zimnej wody? – spytał mąż.

– Nie, taka jest dobra – odpowiedziała żona. – Przynieś małego.

Mężczyzna wyszedł do drugiej izby. Schylił się i wyciągnął z łóżka wciąż smacznie śpiącego chłopczyka. Malec zaczął płakać.

– Ćśśś, Mały Skarbie, Mały Skarbie, nie płacz, tata będzie cię kąpał – przemawiał Jin Yuanbao uspokajająco, poklepując synka pieściotliwie po pupie.

Kobieta sięgnęła po dziecko. Mały Skarb odwrócił główkę i natychmiast przytulił się do piersi matki, obejmując ją rączkami.

– Mama jeeść... Mama... – gaworzył.

Mama nie miała wyboru, usiadła w progu i rozchyliła koszulę. Mały Skarb skwapliwie objął wargami jej sutek. Rozległo się ciche gulgotanie. Kobieta zgarbiła się mocno, jakby ciężar dziecka przygniatał ją do ziemi.

Mężczyzna włożył rękę do miednicy i zamieszał.

– Skończ już to karmienie, woda stygnie – ponaglił żonę.

Ta poklepała synka po pośladkach, mówiąc:

– Mały Skarbie, Skarbuniu, już wystarczy tego ssania, wszystko już wyssałeś. Idziemy się kąpać, a potem, kiedy już będziesz czyściutki, pojedziemy do miasta się bawić.

Próbowała oderwać go od siebie, lecz Mały Skarb uparcie ścisnął w buzi sutek, który, wyciągnięty na znaczną długość, przypominał kawałek starej, wymęczonej, nieelastycznej gumy.

Mężczyzna chwycił dziecko i pociągnął do siebie, kobieta jęknęła, a Mały Skarb – łaaa! – zapłakał głośno. Jin Yuanbao dał mu lekkiego klapsa.

– Łaaa, łaaa, i czego ryczysz? – rzucił gniewnie.

– Trochę delikatniej, bo będzie miał siniaki i obniżą mu klasę – rzekła żona z wyrzutem.

Mężczyzna zdjął dziecku ubranko i rzucił na bok. Sprawdził ręką wodę, mamrocząc do siebie: „Gorąca, gorąca... dobra, będzie rumiany...”, a następnie zanurzył nagiego chłopczyka w miednicy. Malec zapłakał przeraźliwie, dużo głośniej niż przedtem – jego krzyki, wcześniej podobne do łagodnych pagórków, urosły do rozmiarów stromych górskich szczytów. Machał nóżkami, próbując się wyrwać i wydostać z wody, lecz Jin Yuanbao upychał go z powrotem w miednicy. Gorąca woda chlapała naokoło, kilka kropel padło na twarz kobiety. Wydała cichy okrzyk i zakryła twarz rękami.

– Ojczulku, za gorąca ta woda, jeszcze się poparzy i obniżą mu klasę...

– Gorąco mu... pasożyt jeden... – mamrotał „ojczulek”. – No dobrze, dolej jeszcze pół tykwy zimnej.

Kobieta wstała pośpiesznie, nie zdążywszy nawet zakryć obwisłych piersi; długa koszula pętała jej się między

nogami, jak zmoczona, podarta flaga. Napełniła tykwę do połowy, przelała wodę do miski i zamieszała energicznie dłonią.

– Nie gorąca, nie gorąca. Nie płacz, Skarbie, no już, nie płacz...

Wrzaski Małego Skarba wyraźnie przycichły, lecz nie przestał się wiercić i wyrwać. Zdecydowanie nie miał ochoty przebywać w wodzie, ale Jin Yuanbao wciąż wpychał go do środka. Kobieta stała obok jak wmurowana, z tykwą w dłoniach.

– A ty co, umarłaś? – zirytował się Jin Yuanbao. – Szybko, pomóż mi trochę!

Kobieta, jakby obudzona z głębokiego snu, odstawiła tykwę i uklękła obok miednicy. Obmyła plecy i pośladki chłopca, polewając je wodą ze stulonej dłoni. Najstarsza, siedmio- a może ośmioletnia córka, potargana i bosa, o gołych plecach i przygarbionych ramionach, ubrana tylko w długie do kolan, za luźne czerwone spodnie, wyszła z izby obok, przecierając oczy.

– Tato, mamo, po co go kąpiecie? Chcecie go ugotować i dać nam do jedzenia?

– Wynocha spać! – warknął Jin Yuanbao.

Mały Skarb zapłakał do starszej siostry. Dziewczynka nie śmiała wydobyć głosu, odwróciła się i wycofała cicho do drugiej izby, gdzie zza progu obserwowała zajętych rodziców.







Mały Skarb i łuskowaty chłopak spacerowali wzdłuż brzegu, trzymając się za ręce; zdążyli już odejść na dobre kilkadziesiąt kroków, gdy Yuanbao pośpieszył za nimi. Dogoniwszy ich, chwycił Małego Skarba w ramiona, a łuskowaty spojrzał na niego wielkimi, szeroko otwartymi oczami. Mały Skarb marudził i wierzgał, domagając się postawienia z powrotem na ziemię.

– No już, nie płacz, nie płacz – uspokajał go Jin. – Chodź, popatrzymy jak dziadek przewoźnik płynie do nas promem!

W samej rzeczy na drugim brzegu jakaś jasna postać zbliżała się chwiejnym krokiem do przystani. Kilku chętnych do przeprawy pośpieszyło za starym wzdłuż brzegu, w kierunku przycumowanego promu.

Jin Yuanbao nie wypuszczał Małego Skarba z objęć. Malec powiercił się przez chwilę i przestał płakać, za to zażądał jedzenia. Yuanbao wyjął kilka ziaren smażonej soi, włożył je do ust i przeżuł na pastę, którą wpuścił do buzi dziecka. Mały Skarb rozbeczał się na nowo – widocznie nie przypadł mu do gustu ten smakołyk, jednak przełknął wszystko.

Prom był już w połowie drogi przez rzekę, gdy z gąszczu mangrowców wypadł zarośnięty, postawny mężczyzna, trzymający w objęciach dziecko długości około dwóch stóp, i dołączył do grupy czekających.

Jin Yuanbao, z ustami pełnymi smaku spalenizny, obrzucił brodacza szybkim spojrzeniem i poczuł niewytłumaczalną obawę. Mężczyzna z uwagą zmierzył wzrokiem wszystkich zebranych. Miał ogromne, bardzo ciemne oczy i spiczasty, lekko haczykowany nos. Dziecko, które trzymał – chłopiec – było wystrojone w nowiutkie, jaskrawoczerwone ubranko, ozdobione tu i ówdzie złotymi nitkami. Miało gęste, sztywne włosy i raczej jasną, delikatną cerę. Spojrzenie małych oczek wydawało się niezwykle dojrzałe, wręcz starcze; z pewnością nie były to oczy dziecka. Malec miał też dziwnie wielkie i mięsiste uszy. Wzbudzał powszechnie zainteresowanie mimo że cichutko kulił się w ramionach brodatego mężczyzny. Prom zbliżał się do brzegu, odwracając się dziobem w kierunku rzeki. Czekający zbili się w grupę, patrząc, jak wpływa na płyciznę. Głuchy staruszek odłożył wiosło, chwycił bambuso-wy pręt i za jego pomocą dalej manewrował promem. Dziób wzbudzał czerwonawe fale; wreszcie łódź oparła się o brzeg. Siedem różnych postaci zeskoczyło po kolei na ląd, wrzuciwszy uprzednio banknot lub kilka błyszczących monet do tykwy wiszącej obok kabiny. Głuchy starzec stał

oparty o bambusowy pręt, wpatrzony w wody Słonej Rzeki, toczące się nieprzerwanie na wschód.

Gdy tylko wszyscy wysiedli, czekający na brzegu jęli żwawo wchodzić na prom. Jin Yuanbao mógł być pierwszy, tymczasem ociągał się przez chwilę, czekając, aż

brodaty mężczyzna wsiądzie przed nim. Zaraz za Jinem na prom weszła kobieta z dzieckiem, potem para starszków – łuskowaty młodzieniec pomagał im przy wsiadaniu: najpierw podał rękę starszej pani, potem panu, w końcu sam zwinnie wskoczył na pokład.

Jin Yuanbao siedział naprzeciwko brodacza. Bał się czarnych czeluści jego oczu, a jeszcze bardziej – ponurego wzroku odzianego w czerwień chłopca, którego mężczyzna trzymał w objęciach. To nie było dziecko, lecz demon, który przybrał dziecięcą postać. Pod jego badawczym spojrzeniem Yuanbao denerwował się do tego stopnia, że nie mógł usiedzieć na miejscu; cały dygotał tak silnie, że łódź zaczęła się kołysać.

– Panie pasażerze, niechże pan siedzi spokojnie – rzekł głośno stary przewoźnik, który był wprawdzie głuchy, ale nie niemy.

Yuanbao bardzo się starał unikać wzroku małego demona. Patrzył na wodę, na słońce, na niebieskoszarą mewę, frunącą tuż nad powierzchnią wody. Mimo to wciąż odczuwał niepokój; zimne prądy przepływały przez jego ciało. Mógł patrzeć tylko na gołe plecy starego przewoźnika. Staruszek był przygarbiony, lecz muskularny. Długie lata pracy na łodzi nadały jego skórze odcień polerowanego brązu. Widok starca dodawał Jinowi otuchy i siły; nie miał ochoty odrywać od niego wzroku. Staruszek rytmicznie, miękko poruszał wielkim wiosłem na rufie, pióro wiosła pruło powierzchnię wody, jakby wielka brązowa ryba płynęła tuż za nimi. Poskrzypywanie liny, którą było przywiązane wiosło, dźwięk fal uderzających o dziób i miarowy oddech przewoźnika – wszystkie te odgłosy układały się w spokojną, kojącą melodię, lecz Jin wciąż nie mógł się uspokoić. Mały Skarb nagle rozplakał się głośno. Jin poczuł, jak główka dziecka tuli się mocno do jego piersi, uciskając ją boleśnie, jakby malec śmiertelnie się czegoś przeraził; podniósł głowę i znowu napotkał ostre jak szpikulec spojrzenie małego demona. Serce Yuanbao skurczyło się gwałtownie, włosy stanęły dęba. Odwrócił się i jeszcze mocniej przytulił dziecko. Oblała go fala zimnego potu, nasiąkło nim całe jego ubranie.

To nie była łatwa przeprawa, lecz w końcu znaleźli się na drugim brzegu. Gdy prom przycumował, Yuanbao wyciągnął przesiąknięty potem banknot i wcisnął do tykwy głuchego przewoźnika, a następnie zeskoczył na ląd, na wilgotny, piaszczysty brzeg. Nie odwracając się za siebie, przycisnął dziecko do piersi i czym prędzej podążył w poprzek plaży. Przekroczył nasyp i trafił na szeroką drogę, prowadzącą do miasta. Ruszył nią z prędkością meteoru, sadząc długaśne kroki – bardzo chciał jak najszybciej dotrzeć na miejsce, a jeszcze bardziej – znaleźć się poza zasięgiem wzroku małego czerwonego demona.

Równa, szeroka droga wydawała się ciągnąć bez końca. Z gęstego listowia przydrożnych topoli pozostało tylko trochę żółtych liści. Ciszę przerywały nieliczne skrzeki jaskółek i krakania wron. Późna jesień. Niebo było czyste i bezchmurne, powietrze rześkie i przejrzyste. Wzdłuż drogi rozciągały się urokliwe widoki, ale Jin

Yuanbao spoglądał głównie pod nogi, prując naprzód z prędkością zająca uciekającego przed wilkiem.

Gdy dotarł w samo południe do miasta, miał kompletnie wyschnięte gardło i język, a Mały Skarb był zgrzany jak rozżarzony węgielek. Yuanbao sięgnął do kieszeni, wygrzebał kilka monet i skierował swe kroki do małej winiarni. Wybrał stolik w rogu sali, usiadł i zamówił czarę „wybornego posmaku”. Wlał sporo do gardła Małego Skarba, sam też pociągnął łyk. Kilka much krążyło, brzęcząc, wokół główki dziecka. Jin już podnosił rękę, by je odpędzić, lecz w połowie ruchu zamarł, jak rażony gromem.

Przy stoliku w drugim rogu sali siedział brodaty typ, a na stole – ów mały demon, który przyprawiał Yuanbao o skurcz serca. Demon trzymał szklankę i pił, łyk za łykiem, wyćwiczonym, wytrawnym ruchem starego bywalca knajp. Jego wygląd kontrastował z czynnościami i zachowaniem, tworząc iście absurdalny dysonans. Wszyscy goście łącznie z obsługą wpatrywali się w ten niesamowity widok. Brodacz nie zwracał najmniejszej uwagi na spojrzenia z sali, całkowicie skupiony na wlewaniu w siebie „aromatu rozchodzącego się na trzy li”. Yuanbao pośpiesznie osuszył czarę „posmaku”, ostrożnie położył na stole cztery monety, złapał Małego Skarba i, z głową tak nisko opuszczoną, że brodą prawie dotykała piersi, wypadł na ulicę. Zawsze był raczej materialistycznie nastawiony do świata, w wiosce miał opinię odważnego, lecz dziś było zupełnie inaczej – dziś targały nim obawy i złowrogie podejrzenia.

Była już pora poobiedniej sjesty, gdy Yuanbao z Małym Skarbem w objęciach stanął wreszcie u bram Działu Zakupów Specjalnych Akademii Kulinarnej. Mieścił się on w niedużym, nieskazitelnie białym budynku, krytym kolistym dachem, ze wszystkich stron otaczał go mur z czerwonej cegły, z okrągłą, „księżycową” bramą. Na dziedzińcu rosły egzotyczne kwiaty i wiecznie zielone drzewa. Pośrodku znajdował się owalny staw, a w nim – miniaturowa sztuczna góra, z której szczytu tryskała fontanna w kształcie chryzantemy, to rozkwitającej, to więdnącej w monotonnym, nieprzerwanym rytmie. Wodny kwiat chlapał rozgłośnie naokoło. W stawie mieszkały żółwie o kolorowych, wzorzystych skorupach.

Mimo iż Jin Yuanbao już po raz drugi gościł w Dziale Zakupów Specjalnych, był tak spięty, jakby miał za chwilę wstąpić do groty Nieśmiertelnych; każda komórka jego ciała drżała, jakby w oczekiwaniu na ich błogosławieństwo.

Wzdłuż stalowych poręczy ustawiała się kolejka licząca już ponad trzydzieści osób, Yuanbao czym prędzej do niej dołączył. Przed nim stał wielki brodacz z małym demonem w czerwieni. Głowa demona wystawała ponad ramieniem mężczyzny, mroczne oczy patrzyły lodowato.

Yuanbao otworzył usta, miał ochotę krzyknąć, lecz ze strachu nie mógł wydobyć głosu.

Minęły dwie męczące godziny. W końcu wewnątrz budynku rozległ się elektryczny dzwonek. Zmęczeni ludzie wyprostowali się i ożywili. Jeden po drugim zabierali się do wycierania twarzy i nosków tudzież wygładzania ubranek swoich małych chłopców. Kilka kobiet nawet pudrowało małe buzie wacikami, niektóre pluły w dłonie i rozpuszczonym w ślinie różem muskały dziecięce policzki. Yuanbao rękawem kurtki otarł odrobinę potu z twarzyczki Małego Skarba i przeczesał mu palcami włosy. Tylko brodacz nie tracił fasonu, a mały demon leżał spokojnie, zwinięty w jego objęciach, niewzruszenie obserwując otoczenie swymi zimnymi oczami.

Żelazna furta rozwarła się z głośnym skrzypnięciem, otwierając dostęp do dużego, jasno oświetlonego pomieszczenia. Zakupy specjalne nareszcie się rozpoczęły. Poza płaczem dzieci nie rozlegały się już żadne głośne dźwięki. Personel rozmawiał ze sprzedającymi przyciszonym tonem, panowała atmosfera spokoju i harmonii. Yuanbao, ze strachu przed spojrzeniem demona, cofnął się odrobinę, lecz nie musiał się martwić, że ktoś wepchnie się przed niego w kolejce – poręczce były rozstawione na taką szerokość, że tylko jeden dorosły z dzieckiem na ręku mógł się zmieścić pomiędzy nimi. Szum wody tryskającej z fontanny rozbrzmiewał to głośniejsz, to ciszej, w niezmiennym rytmie; ptaki ćwierkały wśród drzew.

Jakaś kobieta opuściła pokój z pustymi rękami, brodacz z małym demonem wszedł do środka. Yuanbao z Małym Skarbem stał trzy metry za nimi i nie słyszał dokładnie, co mówili. Bał się demona, lecz obserwował wszystko uważnie. Widział, jak człowiek w białym stroju i wysokiej białej czapie z czerwonym otokiem zabiera małego brodatemu mężczyźnie. Na ponurej twarzy diablika nieoczekiwanie wykwitł uśmiech. Yuanbao zatrząsł się cały ze zgrozy, lecz na urzędniku uśmiech demona zrobił zgoła inne wrażenie – wywołał widoczny przyływ dobrego nastroju. Zdjął małemu ubranko i szklaną szpatułką szturchnął go w klatkę piersiową, a demon zanosił się chichotem. W chwilę później Yuanbao usłyszał wzburzony głos brodacza:

– Co? Druga klasa? Niech was diabli porwą! Co wy sobie wyobrażacie, robić w konia mnie, starego?!

– Przyjacielu – odparł urzędnik lekko podniesionym głosem – nie bójcie się, ja potrafię ocenić prawdziwą jakość – ona mówi sama za siebie! Ten twój dzieciak jest całkiem spory, ale skórę ma twardą, mięso łykowate, i gdyby nie ten śliczny uśmiech, dostałby najwyżej trzecią klasę!

Brodacz zmiął w ustach przekleństwo. Złapał zaoferowany mu zwitek banknotów, przeliczył je z grubsza

i wepchnął do kieszeni. Z opuszczoną głową wyszedł za poręcz. Yuanbao usłyszał głos malca, który, ze znaczkiem drugiej klasy przylepionym do skóry, wyrzaskiwał w kierunku znikających pleców brodacza:

– Niech cię szlag trafi, morderco! A żebyś wpadł pod ciężarówkę, jak tylko stąd wyjdiesz, ty skurwysynu!

Któż by pomyślał, że ten głos, chrapliwy i głuchy, wypowiadający tak ordynarne słowa, wydawało z siebie dziecko nieliczące więcej niż trzy stopy wzrostu. Yuanbao spojrział na twarz malca, którą jeszcze przed chwilą zdobił uśmiech. Ujrzał dwie bruzdy na czole i zmarszczone gniewnie brwi – dzieciak miał minę małego rzeźnika. Pięć osób z personelu aż podskoczyło z wrażenia, chmura strachu przesłoniła im twarze. Zamarli w bezruchu. Mały demon podparł się pod boki i splunął obficie w ich kierunku, następnie odwrócił się i pomaszerował rozkołysanym krokiem w kierunku grupki dzieci z naklejkami na ciałach.

Pracownicy stali przez chwilę jak wmurowani, potem wymienili spojrzenia, jakby uspokajając się wzajemnie: Nic się nie stało, prawda? Zupełnie nic.

Praca rozpoczęła się na nowo. Siedzący za biurkiem rumiany mężczyzna w średnim wieku, o dobrodusznym wyrazie twarzy, z wysoką czapą na głowie, skinął ręką na Yuanbao, który zbliżył się czym prędzej. Serce trzepotało mu w piersi. Bardzo chciał uspokoić Małego Skarba, który znowu się rozbeczał. Wspomnienia niedawnych doświadczeń wdarły się nagle do umysłu Jina: przyszedł za późno, limit przyjęć już się skończył. Mógł próbować jakoś uprosić urzędników, ale Mały Skarb ryczał tak, że Jin miał kompletny zamęt w głowie.

Dokładnie tak samo ryczał w tej chwili.

– Nie płacz – przemówił Jin błagalnie – nikt nie lubi dzieci, które ciągle płaczą.

– Czy to dziecko zostało urodzone z przeznaczeniem dla naszego działu? – spytał urzędnik ściszonego głosem.

Jin miał taką suchość w ustach, że słowa więzły mu w gardle.

– A więc to dziecko nie jest człowiekiem, zgadza się? – pytał dalej urzędnik.

– Zgadza się, nie jest – odpowiedział Jin.

– A więc nie sprzedajecie nam dziecka, tylko produkt specjalny, czy tak?

– Tak.



– Te wszystkie pieniądze to dla mnie?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Czy mogę już iść?

Mężczyzna kiwnął głową.

### Rozdział 3

#### I

Chłopczyk siedział po turecku na pozłaczonym półmisku. Jego złociste ciało, udekorowane ciemnozielonymi liśćmi warzyw i jasnoczerwonymi kwiatami rzodkwi, ociekało smakowitym tłuszczem, na twarzy widniał szeroki, głupawy uśmiech. Śledczy wpatrywał się w dziecko jak zahipnotyzowany, przeliskając ciec, która wciąż na nowo podpływała z żołądka. Chłopiec spoglądał na niego pięknymi błyszczącymi oczami, buchając parą z nozdrzy. Poruszył lekko wargami, jakby chciał otworzyć usta i przemówić. Przez ten jego niemądry uśmieszek śledczy nie mógł się pozbyć natrętnej myśli, niewyraźnego uczucia, że skądś zna chłopca, że niedawno gdzieś go spotkał. Czysty, melodyjny śmiech dziecka dźwięczał mu w uszach. Z małych usteczek wydobywał się zapach świeżych truskawek. Tato, opowiedz mi bajkę. Nie męcz taty. Żona uśmiechała się łagodnie, tuląc różowe maleństwo. Nagle, w mgnieniu oka, jej uśmiech stał się przerażająco tajemniczy, policzki zadrgały, twarz przybrała nieodgadniony wyraz. Dranie! Ze złością huknął pięścią w stół i wstał.

Znaczący uśmiech pojawił się na twarzy Jin Gangzuana. Dyrektor kopalni i sekretarz partii uśmiechali się tajemniczo. Śledczy poczuł się jak we śnie. Wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się intensywnie w chłopca, który wciąż siedział po turecku na swoim półmisku.

– Zapraszamy, drogi towarzyszu Ding! – rzekł Jin Gangzuan.



z wolna powędrowały w górę. Z twarzy Jin Gangzuana nie zniknął uśmiech.

– Drogi towarzyszu Ding, czy wasz żart nie zaszedł już zbyt daleko? – spytał spokojnie, pewnym głosem.

– Żart? – wysyczał przez zęby Ding Gou’er. – A kto tu z wami dowcipkuje, dzikie bestie, pożeracze dzieci?!

Jin Gangzuan uniósł głowę i wybuchnął głośnym, dźwięcznym śmiechem. Sekretarz partii i dyrektor kopalni roześmiali się głupkowato.

– Drogi towarzyszu Ding – rzekł Jin Gangzuan z uśmiechem – widzę, że przepelnia was duch humanitaryzmu. To doprawdy godne podziwu, dobry z was towarzysz! Jednak mylicie się, wpadacie w pułapkę subiektywizmu. Prosimy, przyjrzyjcie się dokładnie. Czy to jest prawdziwy chłopiec?

Wzrok Ding Gou’era posłusznie zwrócił się w stronę dziecka na półmisku. Na twarzy chłopca trwał uśmiech, jego wargi wydęły się odrobinę, jakby zamierzał przemówić.

– On jest zupełnie jak żywy! – krzyknął Ding Gou’er.

– Macie słuszność, całkiem jak żywy – potwierdził Jin Gangzuan – a dlaczego ten niby-chłopiec wygląda jak żywy? To zasługa mistrzów alkoholandzkiej kuchni, dzieło ich wybitnej sztuki. Robota godna bogów!

– To jeszcze nic! – dołączyli się sekretarz partii i dyrektor kopalni. – Chłopcy produkowani przez panią profesor z naszej Miejskiej Akademii Kulinarnej potrafią nawet trzepotać rżęsami. Aż szkoda tknąć pałeczkami takie arcydzieło!

– Drogi towarzyszu Ding, prosimy, odłóżcie tę broń, chwycicie pałeczki, razem rozkoszujemy się tym niezrównanym przysmakiem – zaapelował gorliwie Jin Gangzuan, opuszczając wcześniej wzniesione w geście poddania ręce.

– O nie! – oznajmił Ding Gou’er pryncypialnym tonem. – Oświadczam, że wycofuję swój udział w tej uczcie kanibali.

Na twarzy Jin Gangzuana pojawił się ledwie dostrzegalny wyraz irytacji. Tonem wcale nie wyniosłym, ale też i nie pokornym rzekł:

– Drogi towarzyszu Ding. Jesteście doprawdy uparci. Przecież wszyscy, unosząc w górę pięści, składaliśmy przysięgę przed sztandarem partii. Praca dla dobra ludu jest naszym wspólnym celem. Dlaczegoż to uważacie się za jedyne porządne człowieka na świecie? Wśród tych, którzy tu, w Alkoholandii, brali udział w naszych „dziecięcych” przyjęciach, byli przywódcy partyjni i państwowi, nasi znakomici przyjaciele ze wszystkich pięciu kontynentów, najsłynniejsi artyści z kraju i















wilgotną, zatechłą wonią kopalnianych korytarzy. Ich spojrzenia przewiercały mnie na wylot. Usłyszałem kilka przekleństw. Dziewczyny, krocząc z dumnie podniesionymi głowami i wypiętymi piersiami, nie zwróciły na nie najmniejszej uwagi. Nagle zrozumiałem, że te wyzwiska o seksualnym zabarwieniu nie były skierowane do mnie, lecz do nich.

Zaniosły mnie do niewielkiego, samotnie stojącego budynku. W środku dwie białe ubrane kobiety siedziały naprzeciw siebie, dotykając się kolanami, przy biurku, na którym wyryto jakieś znaki. Gdy weszliśmy, ich kolana rozsunęły się nieco; jedna z nich przycisnęła guzik w ścianie, co spowodowało otwarcie się drzwi – zapewne prowadzących do windy. Dziewczyny wniosły mnie do środka, drzwi zamknęły się za nami – była to rzeczywiście winda. Zaczęliśmy zjeżdżać w dół z prędkością światła. Poszybowałem za moim ciałem jak latawiec pociągnięty za sznurek. Zjeżdżaliśmy coraz niżej i niżej. W końcu to kopalnia, pomyślałem z pewnym podziwem, wszystko tutaj dzieje się pod ziemią. Nie miałem wątpliwości, że w tych podziemiach mógłby stać nawet Wielki Mur. Winda stęknęła, drgnęła trzykrotnie i w końcu się zatrzymała. Drzwi się rozsunęły, oślepiło mnie białe, ostre światło. Znalazłem się w wielkim, przepysznie urządzonym holu; ludzkie postacie odbijały się w marmurowej posadzce, gładkiej jak lustro wody. Zdobiony reliefami sufit oświetlały setki eleganckich lamp. Zobaczyłem cztery ogromne graniaste kolumny, wyłożone marmurowymi płytkami. Wszędzie było mnóstwo świeżych kwiatów i zieleni. Było też bardzo nowoczesne akwarium, a w nim stado złotych rybek, których widok przyprawił mnie o dreszcz obrzydzenia. Kobiety zawlokły moje ciało do pokoju numer 410. Zachodziłem w głowę, skąd tak wysoki numer – czyżby to był jakiś wieżowiec? Cóż, skoro nowojorskie drapacze chmur mogą dotykać niebios, alkoholandzkie mogą sięgać w głąb piekieł. Kobiety ściągnęły mi buty, a następnie położyły mnie do łóżka. Teczkę postawiły obok, na stoliku do herbaty. Wyszły. Po pięciu minutach pokojówka w stroju koloru ryżowej bieli weszła do pokoju i postawiła na stoliku szklankę herbaty. „Herbata dla szanownego pana” – usłyszałem, jak przemówiła do mojego ciała.

Ciało nie odpowiadało.

Pokojówka w bieli była bardzo mocno umalowana, rzęsy miała grube niczym kolce jeża. Zadzwonił telefon stojący przy wezglowiu łóżka. Ręką o długich, spiczastych paznokciach podniosła słuchawkę. W pokoju było tak cicho, że usłyszałem męski głos w telefonie:

– Obudził się?

– Nie. Nie rusza się. Boję się.

– Sprawdź, czy serce mu bije.

Kobieta w ryżowej bieli przyłożyła mi dłoń do piersi; na jej twarzy pojawił się wyraz

najwyższego obrzydzenia.

– Biję – stwierdziła.

– Daj mu trzeźwiącego wywaru pierwszego stopnia.

– Tak jest.

Ryżowa pokojówka wyszła. Wiedziałem, że zaraz wróci. Wróciła, trzymając w ręku metalową strzykawkę, taką, jakich używają weterynarze. Na szczęście jej końcówka była plastikowa, więc nie bałem się ukłucia. Umieściła plastikową rurkę w moich ustach i wstrzyknęła we mnie porcję jakiegoś płynnego lekarstwa.

Po chwili moje ciało jęknęło i zamachało rękami. Powiedziało coś. Promieniowało straszną siłą, która przyciągała mnie, próbowała schwytać. Opierałem się, jak mogłem; zamieniłem się w wielką przyssawkę i uczepiłem sufitu. Poczułem, że mimo to udało mu się wessać część mnie.

Ciało podniosło się z trudem, rozchyliło powieki i przez dobrą chwilę gapiło się tępo w ścianę. Złapało szklankę z herbatą i z gulgotem wlało w siebie całą jej zawartość, po czym zważyło się z powrotem na łóżko.

Po dłuższej chwili drzwi otworzyły się cicho. Bosy, półnagi, ubrany w niebieskie spodnie chłopak o łuskowatej skórze, może czternastoletni, wszedł do pokoju. Poruszał się ostrożnie i całkowicie bezszelestnie, jak czarny kot. Obserwowałem go, zaintrygowany. Jego twarz wyglądała znajomo, na pewno gdzieś już go widziałem. W ustach trzymał mały nożyk w kształcie wierzbowego liścia, jak kot trzymający w pysku rybę, rybę w kształcie wierzbowego liścia.

Byłem przerażony. Bałem się śmiertelnie o moją na wpół martwą cielesną powłokę. Jednocześnie zastanawiałem się, jakim cudem ten mały diabeł zdołał się zakraść do tego ukrytego głęboko pod ziemią pokoju. Drzwi zamknęły się automatycznie. Cisza, jaka zapanowała wokół, aż ścisnęła uszy. Gdy łuskowaty chłopak zbliżył się do mego ciała, poczułem ziemistą woń, coś jak zapach mrówkojada-łuskowca, który właśnie wylazł ze skalnej szczeliny. Jakie miał zamiary? W jego potarganych włosach tkwiły wplątane niezliczone kuleczki rzepów, wydzielające zapach węży, małych węży, które wpełzały mi do nozdrzy, po czym wślizgiwały się prosto do mózgu. Moje ciało kichnęło. Mały demon nagle padł na dywan. Wstał i wysuniętymi pazurami dotknął mojego gardła. Nóż w kształcie wierzbowego liścia, który wciąż trzymał w ustach, błysnął niebieskawo. Tak bardzo chciałem ostrzec moje ciało! Lecz nie byłem w stanie. Zastanawiałem się, a raczej wyciskałem z mojego biednego mózgu wszystkie soki, usiłując przypomnieć sobie, kiedy, gdzie i w jaki sposób zasłużyłem sobie na gniew tego małego demona. Znów wyciągnął paluchy w kierunku części mego ciała zwanej szyją i ścisnął ją jak wytrawny kucharz, który zamierza zarznąć kurę. Czułem uchwyt tych przerażających, twardych szponów, lecz moje ciało nadal spoczywało

nieruchomo, pogrążone we śnie, wydając z siebie zduszone pochrapywania, całkowicie nieświadome obecności ducha śmierci. Czekałem niecierpliwie, aż wreszcie wyjmie nóż z ust, przyłoży mi do gardła i wykona cięcie, kładąc kres moim podsufitowym mękom. Nie zrobił tego jednak. Znudziło mu się trzymanie mnie za gardło i zabrał się do obmacywania mojego ubrania, ze szczególnym uwzględnieniem kieszeni. Z jednej z nich wyciągnął złote pióro marki Bohater, zdjął skuwkę i zaczął je wypróbować na skórze wierzchu dłoni, który także był pokryty łuskami. Narysowawszy kreskę, od razu cofnął dłoń, a jego wargi rozciągnęły się w grymasie, który mógł być uśmiechem, a mógł być też skurczem bólu. Być może łaskotanie pióra sprawiło mu przyjemność, a może przywołało jakieś wspomnienie. Bazgrał dalej i nadal się uśmiechał. Sądząc po skrzypiących odgłosach, towarzyszących skrobaniu stalówką po łuskowatej skórze, mojego luksusowego bohatera 800 mogłem już spisać na straty. Dostałem go w nagrodę jako przodownik pracy. Mały demon bawił się w ten sposób jeszcze co najmniej pół godziny, w końcu mu się znudziło. Odłożył pióro na podłogę i kontynuował poszukiwania. Wyciągnął mi z kieszeni chusteczkę, papierosy, elektryczną zapalniczkę, legitymację, rewolwer-zabawkę o nad wyraz realistycznym wyglądzie, portfel i parę monet. Sprawiał wrażenie oszołomionego obfitością tych wszystkich skarbów. Usiadł na podłodze, z dziecianną zachłannością ułożył sobie swoje drogocenne znaleziska pomiędzy nogami, i jakby nikogo innego nie było w pobliżu, zaczął się bawić każdą rzeczą po kolei. Piórem już się nie zajmował. Swobodnym, naturalnym gestem ujął zabawkowy rewolwer i uniósł na wysokość twarzy, by mu się przyjrzeć. Chromowana kolba lśniła w świetle lampy. Była to doskonała, wierna imitacja broni, którą noszą u pasa amerykańscy oficerowie. Miała naprawdę piękną linię. Wiedziałem, że w tarczce tkwi jeszcze parę kapiszonów, gotowych do wybuchu. Radość i podniecenie w oczach chłopca dodawały mu uroku. Bałem się, że pociągnie za spust i w ten sposób zdradzi swoją obecność. Czym się różni ręka dziecka od korzenia lotosu? Czy moje ciało zostało oszukane, czy nie? Tak czy owak, co się stało, już się nie odstanie. Chłopak pociągnął za spust. Paf! W jednej chwili usłyszałem huk wystrzału i zobaczyłem smugę sinego dymu. Czekałem na odgłosy pośpiesznych kroków na korytarzu i na ryżowobiałe pokojówki, wpadające do pokoju w asyście ochrony. Strzały w środku nocy mogły wszak oznaczać tylko morderstwo albo samobójstwo. Niepokoiłem się o łuskowatego chłopaka. Groziło mu niebezpieczeństwo. Wcale nie życzyłem sobie, by został schwytany. Przyznam szczerze, że bardzo mnie zaintrygował, i to wcale nie dlatego, że miał łuski. Wiele stworzeń je ma – ryby, węże, łuskowce, i o ile do tych ostatnich – niezdatnych, nieco zmanierowanych stworzeń – nie żywię szczególnej niechęci, o tyle zdecydowanie nie przepadam za zimnymi rybami, wzdrygam się na samą myśl o tych mrocznych istotach, wężach. Moje rozważania okazały się jednak bezprzedmiotowe – padł strzał, i wszystko zostało po staremu, nikt nie biegł korytarzem, nikt nie wpadł do pokoju. Chłopak wystrzelił jeszcze raz. Strzał, prawdę mówiąc, był całkiem zwyczajny i raczej słaby, a pokój dobrze izolowany; dywan, strop, tapety – wszystko było z dźwiękochłonnych materiałów. Chłopak siedział spokojnie, bez śladu zaskoczenia czy obawy – jak człowiek głuchy albo weteran wojenny, na którym takie błahostki jak wystrzały nie robią żadnego wrażenia. Najwyraźniej znudziła mu się zabawa pistoletem, bo odrzucił go na bok. Otworzył

mój portfel i wytrząsnął całą zawartość: pieniądze, kartki na zboże, kupony stołówkowe, rachunki, z których nie zdążyłem się jeszcze rozliczyć. Zaczął oglądać zapalniczkę, która wystrzeliła nagle jasnym płomieniem. Zapalił papierosa. Zakasłał. Rzucił niedopałek na podłogę. Dobry Boże! Dywan zaczął się tlić, natychmiast poczułem swąd palącej się wełny. W jednej chwili zdałem sobie sprawę, że jeśli moje ciało spłonie, skończę jako obłoczek dymu. Jego śmierć oznaczałaby dla mnie kres istnienia. Moja powłoka cielesna, obudź się wreszcie!

Nienawidzę cię, łuskowaty demonie!

Nie, to nie nienawiść, chce mi się tylko śmiać, ale nie potrafię. Chłopak zauważył, że dywan się zapalił, wstał powoli i zadarł w górę nogawkę spodenek. Ujął w dwa palce i wyciągnął na zewnątrz swoją sporą, z wyglądu twardą, lecz nie całkiem sztywną sikawkę i wycelował w tłące się miejsce na dywanie. Pod obfitym strumieniem, głośno ciurkającym z siusiaka, ogień zgasał z sykiem – ilość cieczy wystarczyłaby na ugaszenie co najmniej dwóch takich pożarów. Uspokoilem się, czując mieszaninę zapachów moczu i spalenizny.

Chłopak zaczął rozbierać moje ciało. Zawzięcie próbował zdjąć mi marynarkę; słyszałem, jak dyszy z wysiłkiem. Gdy tylko to się udało, natychmiast ją włożył; poły zwisały mu do kolan. Pozbierał z dywanu swoje zabawki i upchnął po kieszeniach. Co by tu jeszcze?...

Wypluł nóż; trzymając go w ręku, rozejrzał się po pokoju. Wydrapał na ścianie cztery dziesiątki i włożył wierzbowy liść z powrotem do ust. Strzepnął rękawy marynarki, po czym rozkołysanym krokiem wyszedł na korytarz.

Moje ciało, pchnięte z powrotem na łóżko, chrapało dalej.

## II

Szanowny Nauczycielu, drogi Panie Mo Yan,

Proszę mi pozwolić zwracać się w ten sposób do Pana – w przeciwnym razie będę naprawdę niepokieszony, poczuję się dziwnie i niezręcznie. Tytuł ten jest w Pana wypadku całkowicie uzasadniony. Jest Pan nie tylko ekspertem w pisaniu powieści, ale także prawdziwym znawcą alkoholu. Pana powieści są niczym stopy kobiety, skrępowane bandażami przez doświadczoną starszą damę – naprawdę mistrzowska robota. W dzisiejszych czasach wprawdzie nie jest trudno ani o dobrych pisarzy, ani o

koneserów napojów alkoholowych, jednak prawdziwie utalentowani fachowcy w obu dziedzinach jednocześnie – zarówno w sferze sztuki pisarskiej, jak i w dziedzinie alkoholu – są wielką rzadkością. Pan, szanowny Nauczycielu, jest właśnie jednym z nich.

Przeprowadzona przez Pana analiza „mrowia zielonych mrówek” jest konkretna i celna, prezentuje najwyższy poziom fachowości. Podstawowymi surowcami, użytymi do produkcji tego trunku, są sorgo i zielona fasola, fermentacja odbywa się w stuletniej piwnicy. Pożywkę dla drożdży stanowi mieszanka pszenicy, otrębów zbożowych i grochu, z domieszką otrębów ryżowych. Otrzymany w wyniku fermentacji płyn jest subtelny i klarowny, ma delikatny, jasnozielony kolor. Należy do trunków o ciężkim, pełnym i bogatym bukiecie. Smak ma stosunkowo ostry; w czasie sporządzania mieszanki staraliśmy się wszelkimi sposobami poskromić jego ognistą naturę, lecz rezultaty naszych działań nie były zbyt imponujące. Zależało nam jednak na wystawieniu tego nie w pełni doskonałego produktu na targach alkoholu – chcieliśmy zdobyć mu jakąś markę. „Mrowie zielonych mrówek” jest alkoholem wysokiej jakości, lecz ma Pan rację, że „coś w nim nie gra”.

Porównanie alkoholu do pięknej kobiety to najbardziej obrazowy środek wyrazu, jaki można zastosować w jego opisie – Pana odczucie w tym względzie jest najzupełniej słuszne. Wraz z moim teściem, profesorem Yuanem Shuangyu, długo zastanawialiśmy się nad metodami udoskonalenia „mrowia zielonych mrówek”. Jesteśmy już bliscy opracowania dojrziałych rozwiązań, lecz, niestety, ostatnio jestem tak odurzony literaturą, że nie mogę myśleć o niczym innym.

Szanowny Nauczycielu, na tym szerokim świecie, gdzie żyją miliardy istot, są istne morza alkoholu i rzeki trunków. Lecz ci, którzy naprawdę znają się na alkoholu, ci, którzy zasługują na miano „smakujących wino tak, jakby podziwiali piękną kobietę”, są ogromną rzadkością – jest ich tak mało, jak gwiazd o poranku, jak piór feniksa, jak rogów jednorożca, jak tygrysich penisów, jak jaj dinozaurów. Pan, Nauczycielu, jest jednym z nich, podobnie jak ja, Pański uczeń. Mój teść Yuan Shuangyu zalicza się do nich również, a wicedyrektor Jin Gangzuan zasługuje na to miano jedynie w połowie. Poeta Li Bai także należał do naszego grona. „Wznoszę kielich do księżyca, wraz z moim cieniem jest nas troje.” Kim jest ten trzeci? Li Bai jest pierwszym, księżyc – drugim, a trzecie jest wino. Księżyc to Chang’e, niebiańska piękność, a wino – „zielony lotos”, piękność ziemską. Li Bai i wino to jedność w dwóch postaciach – stąd jego pseudonim, Li Zielony Lotos, Li Qinglian. To dlatego Li potrafił stworzyć te wszystkie cudowne wizje, wizje swobodnych wędrówek po niebie i ziemi. Poeta Du Fu także, choć tylko w połowie, zaliczał się do naszej elity. Pijał głównie wiejskie trunki, nie najlepszej jakości. Przejrzałe, kwaśne, szorstkie i łykowate jak stara wdowa. Dlatego nigdy nie wychodziło Du Fu pisanie poezji naprawdę żywej, poezji, która wlatuje ku niebu. Cao Mengde to kolejny poeta z naszego grona – przy winie śpiewał tak pięknie, jakby chciał oczarować jakąś uroczą istotę. Życie ludzkie jest krótkie, a piękne kobiety są jak poranna rosa. Piękno to rzecz płynna, ulotna i przemijająca – trzeba umieć się nim cieszyć, póki trwa. Od starożytności do czasów

współczesnych, przez te pięć tysięcy lat, nie więcej niż kilkadziesiąciu udało się osiągnąć tajemną sztukę smakowania trunków w taki sposób, jakby się podziwiała kobietą urodę. Cała reszta to śmierdzące skórzane bukłaki, którym jest wszystko jedno – można w nie wlać jakąkolwiek palącą ciecz. Po co im „mrowie zielonych mrówek”, po co „czerwień osiemnastu li”?

Wspominając o „czerwieni osiemnastu li”, ja, Pański uczeń, czuję przyśpieszone bicie serca. Szanowny Nauczycielu, to arcydzieło, którego siła wyrazu jest w stanie poruszyć niebo i ziemię. Oddać mocz do kotła z alkoholem – cóż to za zdumiewająca innowacja w dziedzinie mieszania trunków, cóż za niezwykle dzieło twórczego geniuszu! To początek nowej epoki w historii gorzelnictwa. Najcenniejsze substancje mogą zawierać nawet najbardziej odrażające składniki. Wszyscy na całym świecie wiedzą, że miód jest słodki, lecz ilu ludzi naprawdę zna jego skład? Mówi się: podstawowym składnikiem miodu jest pyłek kwiatowy! I słusznie, to zdanie prawdziwe. Twierdzenie, że podstawowy składnik miodu stanowi pyłek, jest tak samo poprawne jak to, że napoje alkoholowe składają się z alkoholu etylowego, ale co z tego? Równie dobrze można nie powiedzieć nic. Czy wie Pan, że napoje alkoholowe zawierają dziesiątki minerałów? Czy wie Pan, że roją się od mikroorganizmów? Napoje alkoholowe zawierają całe mnóstwo składników, których nie potrafię nawet wymienić. Wszystkich nie znam ani ja, ani mój teść, Pan zapewne również nie. Czy wie Pan, że miód zawiera wodę morską? Czy jest Pan świadom, że zawiera także odchody? Bez świeżych ekskrementów nie da się wyprodukować miodu, czy słyszał Pan o tym?

Ostatnio wyczytałem w jakimś czasopiśmie, że pewni osobnicy, niemający najmniejszego pojęcia o sztuce produkcji alkoholu, pozwolili sobie na niewybredne ataki na Pańskie unikalne, nowatorskie dzieło, twierdząc, że sikanie do wina to obraza ludzkiej kultury i cywilizacji. Nie są świadomi faktu, że wartość pH, czyli odczyn, jest czynnikiem decydującym, jeśli chodzi o smak napoju. Jeśli odczyn zbliża się do kwaśnego, alkohol jest cierpki i trudny do przełknięcia, lecz jeśli dodamy doń nieco uryny dziecka, zamieni się on w „aromatyczny, z miodowym posmakiem” wyborny trunek, zwany „czerwienią osiemnastu li” (nawiasem mówiąc, nazwa ta brzmi apetyczniej niż „czerwień uczonych” czy też „czerwona córka”). Nie ma w tym nic niezwykłego ani niedorzecznego, więc skąd się biorą te ignoranckie ataki? Jako doktorant alkohologii oświadczam: To jest nauka! A nauka to rzecz poważna. Nauka wyklucza jakąkolwiek hipokryzję. Jeśli czegoś nie wiesz, musisz się tego nauczyć. W nauce nie ma miejsca na wytykanie palcami, a tym bardziej na personalne ataki. Swoją drogą, cóż jest takiego obrzydliwego w moczu? Obrzydliwy jest mocz tych, co sypiają z prostytutkami i zarażają się od nich syfilisem, rzeżączką albo AIDS. Lecz to, co Pański szanowny dziad raczył był wpuścić do kadzi z wódką, było moczem małego chłopca, przejrzystym jak źródłana woda. Klasyczne dzieło słynnego farmaceuty chińskiego Li Shizhena Kompedium ziołolecznictwa stwierdza jasno, że mocz dziecka dodany do leczniczego wywaru pomaga na podwyższone ciśnienie krwi, chorobę wieńcową, arteriosklerozę, jaskrę, zatrzymanie mleka i wiele innych dokuczliwych chorób – czy w takim razie Li Shizhen również zasłużył na

ataki? Mocz małego chłopca jest najbardziej uświęconym, najbardziej tajemniczym płynem na świecie; sam diabeł nie wie, ile dobroczynnych, cennych składników zawiera. Premier Japonii, by zachować zdrowie i dobry nastrój, co dzień rano wypija szklaneczkę moczu. Nasz alkoholandzki sekretarz partii, pan Jiang, dodaje chłopięcego moczu do swojego kleiku z korzenia lotosu, by pozbyć się trapiącej go latami bezsenności. Mocz to najprawdziwszy cud boski, to najpiękniejszy symbol ludzkości. Panie Mo Yan, nie zwracajmy uwagi na tę bandę idiotów. Towarzysz Stalin, komisarz ludowy, powiedział: „Nie zwracajmy na nich uwagi!” Zasluguja co najwyżej na końskie siki.

Wspomniał Pan w liście, że zamierza napisać powieść o alkoholu. Tylko Pan jest w stanie podołać tak trudnemu zadaniu. Szanowny Nauczycielu, duch alkoholu przenika na wskroś Pańską duszę, a jego substancja od stóp do głów wypełnia Pańskie ciało. Pańskie alkoholowe ciało jest doskonale harmonijne i piękne, niczym czerwone kwiaty i zielone liście, szmaragdowe góry i lazurowa woda – zdrowe i gibkie kończyny, wdzięczne ruchy, postawa wyprostowana, mowa elegancka – oto organizm z krwi i kości, wcielenie wigoru. Nic dodać, nic ująć. Nic zbędnego, nic w nadmiarze. Mój drogi Nauczycielu, jest Pan po prostu żywą butelką „czerwieni osiemnastu li”! By wspomóc Pana w gromadzeniu materiałów na temat alkoholu, przygotowałem dla Pana dziesięć butelek „mrowia zielonych mrówek”, dziesięć butelek „czerwonogrzywego rumaka” i dziesięć butelek „piękności Wschodu”. Wyślę je Panu przy najbliższej okazji, gdy nasz uniwersytecki autobus będzie wyruszał do stolicy. Od tej chwili, szanowny Nauczycielu, proszę śmiało kroczyć naprzód, nie rozstając się z butelką, dzierżąc pióro w dłoni, a ta banda kretynów niech zwiewa z wrzaskiem.

Tekst Mięśny chłopiec, który wysłałem Panu ostatnim razem, nie jest wprawdzie reportażem, lecz w istocie niewiele się od niego różni. To najprawdziwsza prawda, że pewna grupa do cna skorumpowanych, nieludzkich dostojników partyjnych zjada małych chłopców. Słyszałem, że ktoś właśnie bada tę sprawę – jeżeli ujrzy ona światło dzienne, poruszy się niebo i ziemia, cały świat zadrzży w posadach. A kto w przyszłości napisze o tym reportaż, jeśli nie ja, Pański uczeń? Jeżeli ja, mając taką bombę w ręku, nie znajdę odwagi – ktoś inny to uczyni?

Nie doczekałem się jeszcze odpowiedzi „Literatury Narodowej”; mam nadzieję, że zechce Pan w moim imieniu trochę ponaglić redakcję.

Tutejsza Liu Yan jest „piegowata, z dużymi, szeroko otwartymi oczami”, może to właśnie ta „o jasnej cerze i wiecznie wytrzeszczonych oczach”, o której Pan wspominał. Piegi mogą mieć związek z kilkoma nielegalnymi ciężarami. Mówiła mi kiedyś, że jest płodna jak najżyźniejsza gleba, zachodzi w ciążę od samego dotyku męzczyzny. Powiedziała też, że pozostawione przez nią w szpitalu nienarodzone płody były za każdym razem zabierane przez lekarzy i odkładane z przeznaczeniem do spożycia. Słyszałem, że sześcio-, siedmiomiesięczne płody mają ogromną wartość odżywczą. Przypuszczam, że to prawda. Czyż płód sarny nie jest znanym środkiem

wzmacniającym? Czyż jajo nie jest najdoskonalszą odżywką?

W załączeniu przesyłam Panu moje najnowsze dzieło, Cudowne dziecko. Zastosowałem w nim metodę „realizmu demonicznego”. Bardzo proszę o przeczytanie i krytyczne uwagi, a następnie o przesłanie go do „Literatury Narodowej”.

Nie zaznam spokoju, dopóki nie otworzę na oścież tych piekielnych wrót!

Z życzeniami owocnej twórczości

Pański uczeń, Li Yidou

### III

#### Cudowne dziecko

Drodzy czytelnicy, opowiedziałem Wam niedawno historię o chłopcu przeznaczonym na mięso. Staralem się jak najlepiej przedstawić obraz pewnego małego chłopca, odzianego w czerwoną tkaninę. Zapewne przypominacie sobie jego niezwykle oczy: malutkie, rzucające lodowate, bardzo dorosłe spojrzenia. Klasyczne spojrzenia spiskowca. Oczy te nie tkwiły jednak w twarzy spiskowca, lecz spoglądały na nas z buzi dziecka nieprzekraczającego trzech stóp wzrostu. Właśnie dlatego tak głęboko wryły się w naszą pamięć i dlatego napęłniały tak wielką grozą serce poczciwego holenderskiego farmera Jina Yuanbao. W opowiadaniu o długości niewiele ponad dziesięć tysięcy znaków nie mogłem zagłębiać się w szczegóły historii tego dziecka. Pojawia się ono na scenie wydarzeń w gotowej, dokładnie zdefiniowanej postaci: ciało małego chłopca, nie wyższego niż trzy stopy, na głowie potargana czupryna, para oczu spiskowca, wielkie, mięsiste uszy, ochryply głos. Mały chłopiec, po prostu mały chłopiec.

Ta historia rozpoczyna się o zmroku, w Dziale Zakupów Specjalnych Akademii Kulinarnej. Drodzy czytelnicy, „nasza opowieść już trwa”.

Tego wieczoru świecił księżyc. Świecił, ponieważ jest nam potrzebny. Wielka, jasnoczerwona tarcza powoli wyłaniała się zza sztucznego pagórka na dziedzińcu Akademii, różana poświata nadawała twarzom łagodną miękkość. Snopy księżycowego światła przebijały się przez podwójne szyby okien, podobne do różowych wodospadów. Wszyscy obecni byli małymi chłopcami: jeśli czytaliście



Zeskoczył ze sztucznego pagórka; w czasie lotu jego obszerne czerwone ubranie trzepotało na wietrze, zmieniając się w parę niesamowitych skrzydeł.

Splótł ręce za plecami i zaczął defilować tam i z powrotem przed gromadką dzieci. Od czasu do czasu wycierał usta rękawem i spluwał na lśniąca kamienną posadzkę. W końcu zatrzymał się, uniósł chude jak kozia nóżka ramię i zamachał ręką w powietrzu.

– Posłuchajcie, dzieci – oznajmił poważnie – nie urodziłyście się jako ludzie, i nie jesteście ludźmi. Wasi rodzice sprzedali was, sprzedali was jak jagnięta, jak prosiaki! Wobec tego, od tej chwili, przyłożę każdemu, kto waży się zapłakać za mamą i tatą!

Krzyczał na cały głos, potrząsając w górze szponiastą dłonią. Promień księżycy padł na jego bladą twarz, dwoje oczu błysnęło zielonkawym światłem. Dwóch chłopców wybuchnęło płaczem.

– Nie płakać! – wrzasnął.

Wyciągnął z gromadki dzieci płaczących, zacisnął pięść i wymierzył obydwóm cios w brzuch. Uderzeni huknęli o ziemię i potoczyli się jak piłki.

– Kto płacze, ten obrywa! – obwieścił demon.

Chłopcy zbili się w jeszcze ciaśniejszą grupkę, żaden nie śmiał nawet pisnąć.

– A teraz poczekajcie, poszukam jakiegoś światła – oznajmił demon.

Zaczął przeszukiwać dziwne, wielkie pomieszczenie, badając ściany, jak skradający się kot. Zatrzymał się w pobliżu drzwi, podniósł głowę i zmierzył wzrokiem cztery wiszące rzędem sznury od lamp. Wyciągnął rękę, lecz najniższy koniec znajdował się o metr wyżej, niż sięgał jego środkowy palec. Podskoczył dwa razy, bardzo zręcznie, lecz zbliżył się do sznura jedynie o kolejne pół metra. Odszedł, po czym przysunął do ściany sztuczne wierzbowe drzewko ze stalowych prętów. Wspiął się na nie, złapał za sznury i pociągnął mocno w dół. Wszystkie światła w pokoju pstryknęły i zabłyśły jednocześnie. Jarzeniówki, żarówki, lampy halogenowe, światła białe, niebieskie, czerwone, zielone i żółte. Lampy na ścianach, na suficie, na sztucznym pagórku, na sztucznym drzewie. Mnóstwo jasnych światel, oślepiających tęczę barw, jak w jakiejś niebiańskiej krainie, jak w bajce. Dzieci zapomniały natychmiast o bólach i troskach, krzyczały z radości i klaskały w rączki.

Mały demon na ten widok skrzywił się pogardliwie i obojętnie podziwiał swoje dzieło. Po chwili podszedł do kąta, podniósł leżący tam sznurek żelaznych dzwonek i potrząsnął nimi, jakby dzwonił na alarm. Głośny dźwięk zwrócił uwagę dzieci. Demon przewiązał się w pasie sznurkiem dzwonek, który wyglądał, jakby był zrobiony specjalnie dla niego, splunął obficie i oznajmił:

– Dzieci! Czy wiecie, skąd się wzięły te wszystkie światła? Nie wiecie, bo pochodzicie z zapyziałych, zacofanych wiosek, gdzie krzeszą ogień krzesiwem. To całkiem naturalne, że nie macie pojęcia, skąd się bierze światło. Powiem wam. To, co daje nam światło, nazywa się elektryczność.

Dzieci słuchały tej przemowy w milczeniu. Czerwony blask księżyca opuścił już pokój, pełen błyszczących ciekawością oczu. Dwaj przewróceni na ziemię chłopcy wstali.

– Czy elektryczność jest dobra? – spytał demon.

– Dobra! – odpowiedział chór chłopców.

– Czy jestem genialny?

– Tak!

– Czy będziecie się mnie słuchać?

– Tak!

– No dobra. Dzieci, chcecie mieć tatę?

– Tak! Chcemy!

– Więc od dziś będę waszym tatą. Będę was bronił, uczył i będę wami rządził. Kto mnie nie posłucha, wrzucę go do stawu i utopię. Zrozumiano?

– Tak!

– No to zawołajcie „tato” trzy razy. Wszyscy razem!

– Tato! Tato! Tato!

– A teraz na kolana i ukłonić mi się trzy razy, twarzą do ziemi!

Niektóre dzieci nie były wystarczająco bystre, by pojąć, co demon miał na myśli, lecz pomogła im zdolność naśladowania. Trzydziestu jeden chłopców poklękało na ziemi w kompletnym nieładzie i chichocząc, oddawało pokłony demonowi. Ten wskoczył na sztuczny pagórek, usiadł na nim ze skrzyżowanymi nogami i dumnie przyjmował czołobitny hołd gromady synów.

Gdy pokłony dobiegły końca, wybrał czterech najzręczniejszych, najlepiej mówiących malców i mianował ich dowódcami, a następnie podzielił całą

trzydziestkę jedynkę na cztery drużyny. Zakończywszy dzielenie, przemówił:

– Dzieci, od tej chwili jesteście wojownikami. Wojownicy to mężczyźni, którzy nie boją się walczyć i nie boją się zwyciężać. Nauczę was walczyć, walczyć z tymi wszystkimi, którzy będą próbowali nas zjeść.

– Tato, a kto chce nas zjeść? – zapytał dowódca pierwszej drużyny.

– Durniu! – mały demon potrząsnął dzwonekami. – Gdy ojciec mówi, syn nie waży się przerywać!

– Tato, źle zrobiłem. Już nie będę przerywał – przeprosił dowódca pierwszej drużyny.

– Towarzysze – kontynuował demon – teraz opowiem wam o tych, którzy chcą nas zjeść! Mają oni czerwone oczy, zielone pazury i złote zęby!

– To oni są tygrysami? Albo wilkami? – zapytał grubasek z dołączkami w buzi.

Dowódca pierwszej drużyny wymierzył mu policzek.

– Gdy tato przemawia, nie wolno przerywać! – krzyknął karcąco.

Grubasek zagryzł wargi, powstrzymując płacz.

– Towarzysze, dzieci, oni nie są wilkami, są o wiele gorsi od wilków! Nie są też tygrysami – są znacznie groźniejsi od tygrysów!

– A dlaczego oni jedzą dzieci? – spytał inny malec.

Demon zmarszczył brwi.

– Co za utrapienie! Nie przerywać, mówiłem! Dowódcy drużyn, brać go i postawić do kąta!

Czterej dowódcy wyciągnęli gadatliwego chłopca z grupy. Mały wyrywał się i płakał, jakby prowadzili go na egzekucję. Gdy tylko rozluźnili chwyt, puścił się biegiem i dołączył z powrotem do gromady. Czterej dowódcy rzucili się za nim, ale demon rzekł:

– Nieważne, dajcie mu spokój. Ale powtarzam jeszcze raz: kiedy tato mówi, dzieci siedzą cicho. A czemu tamci jedzą dzieci? To bardzo proste. Znudziło im się zjadanie wołów, baranów, świń, psów, mułów, królików, kur, kaczek, gołębi, osłów, wielbłądów, koni, jeży, wróbli, jaskółek, gęsi dzikich, gęsi domowych, kotów, szczurów, łasic i rysi i nabrali ochoty na dzieci. Nasze mięso jest delikatniejsze od wołowiny, świeższe od baraniny, bardziej aromatyczne od wieprzowiny, miększe od





zębami i wgrzył się z całej siły w ucho śmiałka. Odgryzł połowę.

W tym momencie drzwi stanęły otworem.

Ukazała się w nich starsza kobieta w nieskazitelnie białym ubraniu. Wpadła do pokoju i z wielkim wysiłkiem rozdzieliła demona i ugryzionego chłopca, który płakał tak histerycznie, że niemal odchodził od zmysłów. Demon spluwał krwią raz po raz, jego oczy miotaly zielonkawe iskry. Milczał. Odgryziony kawałek ucha leżał, drgając, na podłodze. Kobieta spojrzała na ucho, następnie na twarz małego demona. Zbladła i z okrzykiem przerażenia wybiegła z pokoju, kołysząc biodrami, jej obcasy wybijały na podłodze bezładny rytm. Mały demon wspiął się na żelazną wierzbę i pogasił wszystkie światła. W ciemności rozległ się niski, potężny głos:

– Kto będzie marudził, odgryzę mu ucho!

Demon podszedł do sztucznej góry i obmył twarz z krwi w wodzie z wodospadu. Za drzwiami rozległ się stukot licznych kroków, jakby nagle zbiegł się cały tłum ludzi. Mały demon złapał ten sam kamień, którym wcześniej rozbił lampę, i czekał na rozwój wypadków, zaczajony za żelazną wierzbę.

Drzwi się otworzyły, stanęła w nich biała postać. Trzymała się ściany, szukając po omacku włącznika światła. Demon posłał kamień w jej kierunku, celując w górną połowę ciała. Postać wrzasnęła i zachwiała się; pozostali ludzie za drzwiami uciekli z krzykiem. Mały demon podniósł kamień i wycelował powtórnie w postać. Rzucił z całej siły. Postać padła na ziemię.

Wkrótce potem przez drzwi wpadło kilka snopów białego światła, a za nimi ludzie z latarkami. Mały demon przemknął się po cichu do kąta, gdzie położył się na podłodze i zamknąwszy oczy, udawał, że śpi.

Zapłonęły światła. Siedmiu, może ośmiu rosyłych ludzi rzuciło się, by podnieść kobietę, która doznała poważnego wstrząsu, oraz nieprzytomnego, pogryzionego chłopca wraz z jego uchem, i wynieśli oboje z pokoju. Następnie zabrali się do szukania winnych.

Mały demon wciąż spał w kącie, chrapiąc rozgłośnie. Mężczyzna w bieli podniósł go w górę za kark; demon zamajtał w powietrzu rączkami i nóżkami, wydając z siebie niemowlęce pokwęknięcia; przypominał małe, wystraszone kocię.

Postępowanie wyjaśniające nie posuwało się naprzód. Dzieci, zmordowane całym dniem i tym wszystkim, co wycierpiały od małego demona, były straszliwie głodne, przelewały się przez ręce i miały kompletną pustkę w głowach. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, wśród powszechnego chrapania.











murze, wspinali na drzewa, przyczajali w rowach. Wykorzystywali wszystkie dostępne kryjówki. Gdy moja teściowa otworzyła żelazną bramę, prowadzącą do pomieszczeń Działu Zakupów Specjalnych, dzieciaki dosłownie dostały szału. Teściowej wydawa-

ło się, że wyprowadza gromadę dzieci z jaskini krwiożerczych demonów – było to złudzenie, w rzeczywistości podążał za nią tylko jej cień. Gdy stała przy tylnej bramie Akademii Kulinarnej, ponagłając dzieci do ucieczki, jej wołania doszły jedynie uszu starych dziadków i babć, którzy kryli się w pobliżu miejsca, gdzie wody kanału płynącego przez teren Akademii wpadały do rzeki, unosząc ze sobą smakowite resztki z kuchni. Chowali się w niezwykle gęstych zaroślach, całkowicie zakryci przed wzrokiem mojej teściowej. Dlaczego teściowa, osoba na poważnym stanowisku, oszalała? Może w wyniku porażenia prądem? Odpowiedź na to pytanie odkładam na kiedy indziej.

Gdy odkryto ucieczkę dzieci, cały dział bezpieczeństwa Akademii spotkał się na nadzwyczajnym zebraniu w celu zaplanowania możliwych działań zaradczych. Zablockowano wszystkie cztery bramy. Zorganizowano małe oddziały poszukiwawcze, które przeczeswały teren uczelni. W trakcie poszukiwań dziesięć osób zostało bestialsko pogryzionych przez mięsne dzieci, pewnej kobiecie wydłubano jedno oko. Władze Akademii złożyły wizyty poszkodowanym oraz przyznały im hojne nagrody o wartości zależnej od stopnia odniesionych obrażeń. Mięsne dzieci zamknięto w dobrze strzeżonym pomieszczeniu, gdzie podczas odliczania okazało się, że jednego z nich brakuje. Według kobiety w bieli, która odzyskała przytomność po zastosowaniu specjalnej terapii, zbiegłe mięsne dziecko było tym samym, które wcześniej zaatakowało ją. Prawdopodobnie chłopiec ten był również sprawcą śmierci sokoła. Kobieta przypominała sobie niejasno, że miał czerwone ubranie i okrutne spojrzenie węża.

Po kilku dniach jeden z pracowników czyszczących kanał odkrył straszliwie brudne czerwone ubranko, lecz po małym demonie-zabójcy, przywódcy bandy mięsnych dzieci, nigdzie nie było śladu.

Drodzy czytelnicy, czy chcielibyście poznać jego dalsze losy?

IV

Drogi doktorze alkoholologii Yidou,



tymczasem „Film Masowy” opublikował notatkę o konferencji prasowej z bankietem, na którą zaproszono wiele osobistości świata filmu, zorganizowanej w Shenzhen przez destylarnię „Czerwień Osiemnastu Li” z powiatu Shangcai w prowincji Henan. Na konferencji tej ogłoszono, że produkowana przez nich „Czerwień osiemnastu li” to ten sam trunek, o którym mowa w filmie Czerwone sorgo. Na skrzynekach tego napoju umieszczono informację, której sens był mniej więcej taki: bohaterka Czerwonego sorga, Dai Jiu'er, pochodziła z powiatu Shangcai w prowincji Henan, a podczas głodu wraz z ojcem uciekła do północno-wschodniego Gaomi w prowincji Shandong – w ten sposób przepis na „czerwień osiemnastu li” przywędrował z Shangcai w Henanie do Gaomi w Shandongu. Tak więc prawdziwą ojczyzną tego trunku jest powiat Shangcai.

Kierownik naszej wioskowej destylarni, dowiedziawszy się o wszystkim, natychmiast oskarżył ludzi z Shangcai o manipulację. Przysłał do mnie do Pekinu kogoś z butelką autentycznej „czerwieni osiemnastu li” z Gaomi, z prośbą, bym jako autor osobiście zajął się sprawą przywrócenia Gaomi tytułu do jego prawowitej własności. Niestety, spryciarze z Shangcai zarejestrowali już znak towarowy „czerwień osiemnastu li” w Państwowym Biurze Przemysłu i Handlu. Prawo nie uznaje sentymentów – „czerwień” z Gaomi stała się nielegalna. Gdy mieszkańcy Gaomi zwrócili się do mnie o pomoc w założeniu sprawy sądowej, uznałem, że sprawa taka byłaby pozbawiona podstaw – Dai Jiu'er jest tylko postacią literacką, nie ma nic wspólnego z moją babką, a w twierdzeniu ludzi z Shangcai, że pochodziła z tamtych stron, nie ma niczego niewłaściwego. Gaomijczycy z pewnością przegraliby taki proces. Jedyne, co im pozostało, to cierpieć w milczeniu. Potem doszły mnie słuchy, że ludziom z Shangcai udało się wprowadzić „czerwień osiemnastu li” na rynek międzynarodowy i zarobić na niej sporo dewiz. Mam nadzieję, że to prawda – taki związek alkoholu i literatury to coś absolutnie fantastycznego. W związku z tym – z okazji wejścia w życie ustaw o prawach autorskich – wybieram się do powiatu Shangcai wraz z reżyserem filmowym Zhangiem Yimou, by uzyskać trochę pieniędzy dla siebie.

Wszystkie słynne trunki, o których wspominał Pan w liście, są rzeczywiście znakomite, lecz nie są mi potrzebne. To, czego najbardziej potrzebuję, to materiały na temat alkoholu. Mam nadzieję, że zechciałby Pan przesłać mi wybrane, najistotniejsze pozycje z tej dziedziny. Oczywiście pokryję koszt przesyłki.

Proszę przy okazji pozdrowić ode mnie Liu Yan.

Z życzeniami zdrowia

Mo Yan

## Rozdział 4

### I

Śledczy Ding Gou'er uniósł powieki. Oczy go szczypały, głowa pękała z bólu, oddech cuchnął, a dziąsła, język, całe wnętrze jamy ustnej i gardło pokrywała warstwa jakiejś gęstej, lepkiej substancji. Żyrandol jarzył się przytłumionym, żółtawym światłem; nie sposób było zgadnąć, czy jest dzień, czy noc, poranek czy też zmierzch. Jego zegarek gdzieś się zapodział, a zegar biologiczny całkiem zgłupiał. W brzuchu coś burczało, hemoroidy pulsowały boleśnie w rytm bicia serca. Rozżarzone wolframowe włókna żarówek wywoływały drgania powietrza, objawiające się w postaci cichego bzyczenia, które w uszach Dinga zamieniało się w głośne brzęczenie. Gdy brzęczenie cichło, Ding słyszał uderzenia własnego serca. Starał się nakłonić swoje kończyny do podjęcia próby wstania z łóżka, lecz odmówiły mu współpracy. Przypominał sobie wydarzenia tamtego pijackiego wieczoru – wizja był tak niewyraźna, jakby wszystko to zdarzyło mu się dawno temu we śnie. Nagle złotoskóre, pachnące niemowlę uśmiechnęło się do niego ze środka pozłacanego półmiska. Śledczy wydał nieartykułowany okrzyk. Jego świadomość przełamała jakąś niewidzialną barierę. Mózg zapłonął myślami, które rozbiegły się do wszystkich zakątków jego ciała, parząc je niczym prąd elektryczny. Ding drgnął i zerwał się z łóżka niczym karp wyskakujący ponad powierzchnię wody, wyginając ciało w piękny łuk. Wywoławszy w ten sposób zakrzywienie przestrzeni i pola magnetycznego oraz rozszczepienie fal świetlnych, śledczy przyjął na chwilę pozę psa łakomie rzucającego się na kupę w trawie, by w końcu wylądować na podłodze, zarywszy nosem w puszysty dywan z syntetyku.

Gdy tak leżał, nagi do pasa, przyglądając się ze zdumieniem czterem wydrapanym na ścianie dziesiątkom, poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu wzdłuż kręgosłupa. Obraz łuskowatego chłopaka, trzymającego w ustach nożyk w kształcie wierzbowego liścia, wyłonił się nagle z alkoholowego oparu. Ding zdał sobie sprawę z faktu, że jest do połowy nagi – widać mu żebra i sterczący brzuch – tors ma porośnięty rzadkimi zmierzwionymi kłakami, a pępek pełen paprochów. Wsadził głowę pod zimną wodę. Gdy zobaczył w lustrze swoją opuchniętą twarz z pozbawionymi blasku oczyma, w głowie powstała mu nagła myśl: A może by tak już teraz, w tej łazience, popełnić samobójstwo? Znalazł teczkę, wyjął pistolet, odbezpieczył. Zważył go w rękę, czując chłodną gładkość kolby. Gdy tak stał z pistoletem przed lustrem, odbita w nim postać wydała mu się obca, wręcz wroga. Wcisnął sobie w nozdrze lodowaty wylot lufy. Na rozciągniętym skrzydełku nosa ujawniło się kilka podskórnych

niespodzianek, przypominających nieco kręte korytarze, jakie ryją niektóre pasożyty. Następnie przyłożył sobie lufę do skroni; skóra w tym miejscu zadrgała radośnie. W końcu wsadził lufę do ust, obejmując ją wargami tak ciasno, że i szpilki nie dałoby się wetknąć; widok był do tego stopnia komiczny, że zachciało mu się śmiać. Zaśmiał się więc, jego odbicie zaśmiało się również. Zapach prochu z lufy wdzierał mu się do gardła. Kiedy ostatnio strzelano z tej broni? Paf! Głowa chłopczyka siedzącego na półmisku rozprysła się na mnóstwo kolorowych drobinek, niczym roztrzaskany arbuz; pachnący smakowicie mózdzek osiadł na wszystkim dookoła. Ding widział oczyma wyobraźni, jak ktoś zlizuje go niczym łakomy kocur. Wyrzuty sumienia wezbrały mu w sercu, w umyśle kłębiły się czarne chmury wątpliwości. Czy ktokolwiek mógł zagwarantować, że to wszystko było na niby?

Ze rączki dziecka były zrobione ze świeżego lotosu i melona? A może specjalnie tak je przyrządzono – by przypominały pięciooki korzeń lotosu?

Ktoś zapukał do drzwi. Ding Gou'er wyjął lufę z ust.

Weszli dyrektor kopalni i sekretarz partii, cali w uśmiechach, a z nimi wicedyrektor Jin Gangzuan, przystojny i elegancki.

– Towarzyszu Ding Gou'er, jak się spało?

– Towarzyszu Ding Gou'er, jak się spało?

– Towarzyszu Ding Gou'er, jak się spało?

Ding poczuł się niezręcznie. Narzucił ręcznik na ramiona, mówiąc:

– Ktoś ukradł mi ubranie.

Wicedyrektor Jin nie odpowiedział, wpatrując się intensywnie w wyskrobane na ścianie cztery dziesiątki. Jego twarz przybrała poważny, zatroskany wyraz. Milczał przez dłuższą chwilę.

– To znowu on – powiedział do siebie.

– Kim jest „on”? – spytał z niepokojem Ding Gou'er.

– Mistrzem sztuki złodziejskiej, bezszelestnym włamywaczem. – Jin Gangzuan postukał zgiętym środkowym palcem lewej dłoni w znaki na ścianie. – Zawsze podpisuje się w ten sposób po wykonaniu roboty.

Ding Gou'er podszedł bliżej, chcąc się lepiej przyjrzeć. Zawodowy instynkt śledczego sprawił, że w jednej chwili udało mu się uporządkować chaos panujący w jego umyśle oraz odzyskać pewność siebie. Wysznięte gałki oczne pokryła świeża

warstwa wilgoci, powrócił sokoli wzrok. Cztery krzyżyki stały w jednym rzędzie. Wszystkie cięcia sięgały mniej więcej jednej trzeciej grubości ściany; plastikowa tapeta pozwijała się na krawędziach, odsłaniając gipsową gładź.

Ding spojrział na Jin Gangzuana, ciekaw wyrazu jego twarzy, i odkrył, że piękne oczy mężczyzny są właśnie wpatrzone w niego. Poczul się, jakby to on był przedmiotem śledztwa, jakby stał twarzą w twarz z groźnym przeciwnikiem, jakby wpadał w zastawioną przez niego pułapkę, lecz piękne oczy Jin Gangzuana uśmiechały się tak przyjaźnie, że wszelkie bariery ostrożności w umyśle śledczego w końcu padły z hukiem.

– Towarzyszu Ding Gou'er – odezwał się wicedyrektor głosem upojnym jak wyborne wino – jak pan sądzi, jako specjalista, co mogą oznaczać te cztery krzyżyki?

Ding Gou'er zaniemówił – uroczy motyl świadomości, wypłukany z jego umysłu przez falę alkoholu, jeszcze nie do końca usadził się na swoim miejscu. Śledczy był jedynie w stanie wpatrywać się z lękiem w usta Jin Gangzuana i podziwiać blask jego złotego czy też brązowego zęba.

– Sądzę – rzekł Jin Gangzuan – że jest to znak gangu, liczącego czterdziestu członków. Cztery dziesiątki to czterdziestu zbójców. Może pokaże się jeszcze Ali Baba? A może pan, towarzyszu Ding Gou'er, podejmie się tej roli – byłby to prawdziwy zaszczyt dla dwumilionowej społeczności Alkoholandii – żartobliwie złożył dłonie w geście hołdu, wprawiając Dinga w ogromne zakłopotanie.

– Moje dokumenty, portfel, papierosy, zapalniczka, golarka elektryczna, rewolwer-zabawka i notes z telefonami – wszystko ukradło tych czterdziestu rozbójników – poskarżył się Ding Gou'er.

– Że też ośmielili się obrabować tak czcigodną osobę! – Jin Gangzuan wybuchnął śmiechem.

– Całe szczęście, że zostawili mi mojego prawdziwego stalowego przyjaciela! – Ding błysnął swoim autentycznym pistoletem.

– Drogi panie Ding, przyszedłem się pożegnać. Zamierzałem wprawdzie zaprosić pana na pożegnalnego drinka, lecz pomyślałem sobie, że z pewnością jest pan bardzo pochłonięty obowiązkami służbowymi, i postanowiłem, że nie będę panu przeszkadzać. W razie potrzeby zawsze można mnie znaleźć w Miejskim Komitecie Partii.

Z tymi słowami Jin Gangzuan wyciągnął rękę do Dinga. Oszołomiony śledczy potrząsnął jego dłonią, po czym puścił ją i patrzył, wciąż tak samo otępiały, jak Jin Gangzuan, dyrektor kopalni i sekretarz partii znikają z pokoju niby zdmuchnięci. Fala odruchu wymiotnego wezbrała w jego żołądku i ruszyła w górę, powodując klujący

ból w piersiach. Kac nie chciał przejść. Sytuacja była bardzo poważna. Trzymał głowę pod kranem przez dobre dziesięć minut, a następnie wypił szklanek zimnej, odstanej herbaty. Wziął kilka głębokich oddechów, zamknął oczy i skupił się na kontroli pracy przepony, starając się opanować chaos myśli i uczuć, wyzbyć się egoizmu oraz niskich pobudek. Gdy nagłym ruchem otworzył oczy, jego myśli odzyskały jasność. Były ostre jak świeżo naostrzony toporek – pociął nim bezlitośnie zasłonę z lian i pnączy, wiszącą mu przed oczami. Całkiem nowa myśl ukazała się niezwykle wyraźnie na ekranie jego mózgu: W Alkoholandii grasuje banda dzikusów-kanibali! Wszystko, co wydarzyło się na przyjęciu, było sprytnie obmyślonym oszustwem!

Wytaął głowę i twarz, włożył skarpetki i buty, zapiał pasek, schował pistolet, nacisnął czapkę, a niebieską koszulę w kratę, która wcześniej nasiąkła jego wymiocinami, a potem leżała na dywanie, zrzucona przez łuskowatego chłopaka, narzucił na ramiona. Nieustraszony, skierował się do wyjścia. Otworzył ciemnobrązowe drzwi i zamaszystym krokiem podążył korytarzem w poszukiwaniu jakiejś windy bądź klatki schodowej. Uprzejma recepcjonistka w kremowym uniformie pokazała mu drogę do wyjścia z labiryntu.

Na zewnątrz powitała go przedziwna mieszanka zjawisk atmosferycznych – pięknej słonecznej aurze towarzyszyły wielkie, galopujące chmury. Minęło południe. Po ziemi przesuwały się ogromne cienie, złoty blask płonął na żółtych liściach drzew. Ding Gou'erowi zakręciło się w nosie. Kichnął po siedmiokroć, zginając się wpół jak suszona krewetka. Jego oczy wypełniły się łzami. Wyprostował się i przez mgłę ujrzał ciemnoczerwony kołowrót u wejścia do kopalni i szary bęben, na który bezszelestnie nawijała się srebrzysta lina. Wszystko wyglądało po staremu: złote słoneczniki, drewniane kłody, rozsiewające subtelny woń, budzące skojarzenia z pierwotną puszcza. Załadowany węglem wagonik kursował tam i z powrotem po wąskich torach, pomiędzy gigantycznymi stertami węgla. Na wagoniku był zainstalowany niewielki silniczek, połączony z długą gumowaną taśmą. Pojazd obsługiwała czarna dziewczyna o śnieżnobiałych zębach, lśniących jak perły. Stała na podeście z tyłu; wyglądała majestatycznie niczym zakuty w zbroję wojownik. Za każdym razem, gdy wagonik zbliżał się do końca torów, zatrzymywała go, naciskając mocno na hamulec, po czym przechylała wagonik, a kaskada czarnych brył o wilgotnym połysku spływała w dół z głośnym szurgotem. Z krzaków wypadł wilczurowaty pies, zapewne ten ze stróżówki. Ujadał jak szalony, jakby chciał wyrzucić z siebie całą nienawiść do Dinga.

Pies w końcu uciekł, pozostawiając go z uczuciem zawodu. Śledczy doszedł do wniosku, że gdyby spojrzeć na niedawne wydarzenia chłodnym okiem, to jego przypadek wyglądał raczej beznadziejnie. Skąd przybył? Ze stolicy prowincji. Po co przyjechał? Przeprowadzić bardzo ważne śledztwo. Gdzieś w nieskończonym wszechświecie, na maleńkiej jak ziarno kurzu planetce, w morzu zamieszkujących ją istot, stoi śledczy Ding Gou'er. W jego umyśle panuje zamęt, brak mu woli działania, jego morale spada, czuje się samotny i załamany, nie widzi przed sobą

żadnego celu. Bez konkretnych zamiarów, nie mając nic do zyskania ani nic do stracenia, skierował się w stronę hałaśliwych pojazdów, na plac, gdzie odbywał się załadunek węgla.

Nie ma fabuły bez zbiegów okoliczności.

– Ding Gou'er! Ding Gou'er! – rozległo się dźwięczne wołanie. – Co ty tu robisz, stary?

Ding odwrócił się w stronę, z której dochodził głos. Od razu dostrzegł czarne, sztywne, lśniące włosy, a pod nimi znajomą, żywą twarz. Stała obok ciężarówki, trzymając parę szarych od brudu rękawiczek. W świetle słońca przypominała małego osiołka.

– Chodź no tu, człowieku! – wymachiwała rękawiczkami, jakby to była magiczna różdżka, przywołująca duchy, i przyzywała do siebie śledczego, przyzywała Ding Gou'era, który cierpiał na „syndrom opuszczonego” i był niezdolny do jakiegokolwiek oporu.

– O, alkaliczna gleba, to ty! – wypalił beczelnie. Stojąc przed nią doświadczył niezwykle przyjemnego uczucia, jak dziecko, które właśnie zobaczyło matkę, jak statek, który pomyślnie dobił do brzegu.

– O, nawóz! – rzekła z szerokim uśmiechem. – Człowieku, ciągle jeszcze tu jesteś?

– Właśnie się zbieram do odjazdu.

– Chcesz się przejechać moim wozem?

– Jasne!

– Ale to kosztuje.

– Paczka marlboro?

– Dwie paczki.

– Niech będą dwie.

– Zaczekaj.

Ciężarówka z przodu odjechała, plując czarnym dymem, wzbijając kołami chmury węglowego pyłu.

– Odsuń się! – krzyknęła, wskakując do szoferki, chwyciła kierownicę i kręcąc nią

zamaszyście to w lewo, to w prawo, ustawiła wóz dokładnie na wylocie torów.

– Niezła jesteś, dziewczyno! – krzyknął młodzieniec w ciemnych okularach tonem niekłamane podziwu.

– Nie powiększysz krowy dymaniem, nie ruszysz pociągu pchaniem, a z kupy kamieni nie zbudujesz góry Tai! – odparła z dumą i wdziękiem.

Wyskoczyła z szoferki. Ding Gou'er poweselał i uśmiechnął się szeroko.

– A ty z czego się śmiejesz? – spytała.

Wagon szczęknął i popłynął w ich kierunku, podobny do wielkiego czarnego żółwia. Stalowe koła, ocierając się o szyny, co chwila krzeszały wielkie iskry. Czarna gumowana taśma to napinała się, to kołysała luźno, jak wielki wąż. Poważny wyraz twarzy i zdecydowane spojrzenie dziewczyny stojącej na tyłach wagonu wzbudzały w patrzących mieszaninę lęku i głębokiego szacunku. Wagon parł do przodu niczym groźny tygrys schodzący z gór. Ding Gou'er bał się, że zderzy się z paką ciężarówki i zgniecie ją na miazgę. Rzeczywistość jednak dowiodła, że stanowczo przesadził z obawami. Dziewczyna miała bezbłędne wyczucie, szybki refleks, mózg jak komputer i ciało jak maszyna. Zatrzymała wagonik dokładnie we właściwym momencie, przechyliła go i wypuściła wartki, szumiący strumień brył węgla prosto do ciężarówki. Nie uroniła nawet jednej bryłki ani przy transporcie, ani przy wyładunku. Świeży zapach węgla dotarł do nozdrzy Ding Gou'era. Śledczy poweselał jeszcze bardziej.

– Masz papierosy, koleżanko? – wyciągnął rękę do Alkalicznej Gleby. – Poratuj człowieka – poprosił.

Podowała mu papierosa, sama też zapaliła.

– Coś kiepsko wyglądasz – odezwała się wśród kłębow papierosowego dymu. – Ktoś cię napadł?

Nie odpowiedział, zajęty obserwowaniem mułów.

Oboje patrzyli, jak przez zawalony głazami, pełen węglowego pyłu, potrzaskanych kamiennych płyt i próchniejących kłód plac zbliża się w ich kierunku wóz zaprzężony w parę mułów. Woźnica z arogancką dumą dzierżył w lewej ręce lejce, a w prawej bat, którym wymachiwał zawzięcie, poganiając swoje zwierzęta. Były to czarne muły, bardzo dorodne okazy. Większy, wyglądający na ślepego, był przywiązany do dyszla, a drugi, mniejszy, który nie tylko nie był ślepy, ale szczycił się parą ognistych oczu, ogromnych niczym dzwony z brązu, ciągnął uprząż. Wio, wio, wio! Dalej, dalej! Długi, podobny do węża bat świszczwał w powietrzu, mniejszy muł rwał się odważnie do przodu, ciągnąc skrzypiący wóz. Aż tu nagle: katastrofa!

Mały muł obalił się na brudną, gołą, zdradliwą ziemię, jakby ktoś przewrócił czarną, lśniąca ścianę. Woźnica uderzył go batem w zad; biedne zwierzę wyteżyło wszystkie siły i wstało, chwając się i dygocząc, rycząc rozdzierająco z bólu. Woźnica zamarł, wypuścił bat, zeskoczył na ziemię, uklęknął i wyciągnął sino-czerwono-białe kopyto ze szczeliny między dwoma kamiennymi blokami. Ding Gou'er złapał swoją towarzyszkę za rękę i zrobił kilka kroków do przodu.

Poblądły woźnica trzymał kopyto muła i płakał w głos.

Większy muł zwiesił głowę w milczeniu, niczym gość na stypie.

Mniejszy muł stał na trzech nogach, a czwartą, niekompletną tylną kończyną w szybkim tempie uderzał w leżącą na ziemi spróchniałą kłodę, jakby bił w bęben. Ciemna krew buchała z rany, plamiąc na czerwono kłodę i wszystko wokół.

Serce Ding Gou'era waliło jak szalone. Chciał się odwrócić i odejść, lecz Alkaliczna Gleba nie chciała puścić jego przegubu. Chwył był tak mocny, jakby zakuto ich razem w kajdany twardsze od stali.

Ludzie dookoła zawzięcie komentowali wydarzenie – jednym było żal muła, inni współczuli woźnicy, niektórzy go obwiniali, jeszcze inni przeklinali wyboistą drogę. Zachowywali się jak stado wrzaskliwych wron.

– Z drogi! Z drogi!

Zaskoczony tłum zamilkł i rozstąpił się pośpiesznie. Nie wiadomo skąd pojawiły się dwie szczupłe postacie – z bliska okazało się, że są płci żeńskiej. Bładość ich twarzy kojarzyła się z białą kapustą, która przeleżała całą zimę w piwnicy. Były ubrane w nieskazitelnie białe uniformy i nieskazitelnie białe czapki. Jedna trzymała skrzynkę z woskowanego bambusa, druga wiklinowy koszyk. Wyglądały jak para aniołów.

– Weterynarze przyjechali!

– Są weterynarze! Weterynarze przyszli, nie płacz, człowieku, weterynarze przyszli! Dawaj im szybko to kopyto, przyczepią je z powrotem!

Kobiety w bieli tłumaczyły się pośpiesznie:

– Nie jesteśmy weterynarzami, kierujemy kuchnią hotelową! Jutro do kopalni przyjeżdżają z wizytą władze miejskie. Dyrektor kazał nam przyjąć ich elegancko, a tu tylko

kura i ryba, same pospolite potrawy. Byłyśmy załamane, aż doszły nas słuchy, że muł złamał kopyto.

- Duszone kopyto muła, kopyto muła w rosole.
- Woźnico, sprzedaj im kopyto!
- Nie sprzedam... – woźnica obejmował kopyto z tęsknym wyrazem twarzy, jakby trzymał odciętą rękę ukochanej.
- Zwariowaliście? – zirytowała się jedna z biało odzianych kobiet. – Myślicie, że odcięta część ciała da się przyszyć z powrotem? A macie na to pieniądze? W dzisiejszych czasach nie zawsze można przyszyć ludzką nogę czy rękę, a co dopiero bydlęcą kończynę.
- Płacimy bardzo dobrą cenę.
- W innej wsi tak łatwo nie znajdziecie kupca.
- A... a ile mogę za to dostać?
- Trzydzieści juanów sztuka, to chyba niemało?
- Bierzecie tylko kopyta?
- Tylko kopyta, nic więcej.
- Wszystkie cztery kopyta?
- Wszystkie cztery.
- Przecież on jeszcze żyje.
- Ale nie ma kopyta. Jaki z niego pożytek?
- On żyje...
- Dosyć tego gadania. Sprzedajecie czy nie?
- Sprzedaję...
- Tu macie pieniądze. Liczcie.
- I wyprzęgajcie go, szybko!

Woźnica, ściskając w dłoni pieniądze za wszystkie cztery kopyta, drugą, lekko drżącą ręką podał kobiecie w bieli kopyto numer jeden. Kobieta przyjęła je i ostrożnie umieściła w bambusowej skrzynce. Druga kobieta wyciągnęła z wiklinowego

koszyka nóż, toporek i piłę do kości, wyprostowała się energicznie i podniesionym głosem nakazała młodemu woźnicy szybko wyprząc małego muła. Woźnica kucnął, pochylił się do przodu, szeroko rozstawiając kolana, i drżącymi rękami uwolnił muła z uprzęży.

Opis tego, co nastąpiło później, zajmuje sporo miejsca – w rzeczywistości wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka: kobieta w bieli uniosła w górę toporek, wycelowała w sam środek szerokiego czoła małego muła i cięła błyskawicznie, wbijając ostrze toporka w czaszkę zwierzęcia tak głęboko, że nie mogła go wyciągnąć z powrotem. Nie dawała jednak za wygraną. Tymczasem przednie nogi muła ugięły się, całe jego ciało stopniowo poddawało się grawitacji, aż w końcu legło płasko na wyboistej drodze.

Ding Gou'er długo wypuszczał haust powietrza.

Mały muł jeszcze nie do końca poddał się śmierci – wciąż dał się słyszeć jego ciężki, chrapliwy oddech; słabe i niepozorne strużki krwi ciągle sączyły się po obu stronach ostrza tkwiącego w jego głowie, mocząc rzęsy, nozdrza i wargi zwierzęcia.

Kobieta w bieli, ta sama, która cięła toporkiem, chwyciła krótki nóż z niebieską rączką, przypadła do muła, złapała go za nogę – czarne kopyto czarnego muła spoczęło w delikatnej, białej kobiecej dłoni – i szybkim ruchem przeciągnęła nożem dookoła, wzdłuż linii łączenia kopyta z resztą nogi, i jeszcze raz dookoła, aż w końcu, za jednym pociągnięciem białej ręki, kopyto muła przestało być częścią jego nogi – łączyło je ze sobą tylko jedno białe pasmo ścięgna. Krótkie cięcie, i obie części rozstały się ze sobą na zawsze. Biała ręka uniosła się, kopyto powędrowało do rąk drugiej kobiety w bieli.

Amputacja wszystkich trzech kopyt zajęła jedynie krótką chwilę. Obserwujący te zabiegi ludzie byli zdumieni zręcznością dwóch pań – z wrażenia nikt nie odezwał się nawet słowem, nikt nie zakasłał, nikt nie puścił bąka –

zresztą któż odważyłby się na taką zuchwałość w obecności kobiet-wojowniczek?

Ding Gou'erowi pociły się dłonie, w głowie kołatała mu się obsesyjna myśl o legendarnym Dingu – mistrzu sztuki rzeźniczej.

Kobieta w bieli poruszała toporkiem tak długo, aż udało jej się wreszcie wyciągnąć go z głowy czarnego muła.

Mały czarny muł w końcu wydał ostatnie tchnienie. Leżał brzuchem do góry, jego cztery nogi sterczały sztywno, pokazując w cztery strony niebios; wyprostowane, przypominały lufy karabinów maszynowych.

Ciężarówka zjechała z krętej, podłej drogi kopalnianej. Gigantyczne sterty kamieni i widmowe sylwetki dźwigów zniknęły w wieczornej mgle, a ujadanie psa ze stróżówki, szczekanie i skrzyp wagonów tudzież odgłosy podziemnych eksplozji już dawno przestały docierać do ich uszu, jednak podobne do karabinów nogi małego czarnego muła wciąż majaczyły przed oczyma Dinga, nie dając mu spokoju. Nastrój jego towarzyszki także pozostawał pod wyraźnym wpływem smutnego losu biednego zwierzaka. Wcześniej, gdy jeszcze podskakiwali na wybojach, co chwila miotała paskudnymi przekleństwami, a teraz, gdy znaleźli się na szerokiej szosie prowadzącej do miasta, wrzuciła szybki bieg, otworzyła klapę wentylacyjną i wcisnęła gaz do dechy, aż silnik zaczął się krztusić. Ciężarówka pędziła ze świstem, niczym pocisk wystrzelony przez faszystowską artylerię. Przydrożne drzewa pochylały się całymi rzędami, jak ścięte w jednej chwili ogromną siekierą, ziemia przypominała wirującą szachownicę. Strzałka prędkościomierza wskazywała osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Wiatr gwizdał, koła kręciły się jak szalone, rura wydechowa co trzy minuty parskała kłębam dymu. Ding Gou'er zerkał co chwila na swoją towarzyszkę i zachwycał się jej urodą. Widok strzelających w niebo nóg muła stopniowo wywierał mu z pamięci.

Zbliżali się do miasta. Para buchająca z chłodnicy osadziła się mglistą warstewką na przedniej szybie – Alkalicznej Glebie udało się zamienić chłodnicę w bojler. Z ustami pełnymi plugawych przekleństw zatrzymała wóz na poboczu. Ding Gou'er wysiadł za nią i z pewną dozą mściwej satysfakcji obserwował, jak podnosi maskę, pozwalając się maszynie ochłodzić w podmuchach wiatru. Silnik buchał niebezpiecznie gorącym powietrzem, wrząca woda w chłodnicy syczała i bulgotała. Patrząc, jak kobieta odkręca wlot chłodnicy przez rękawiczkę, Ding uznał, że jej twarz jest piękna i delikatna niczym wieczorne obłoki.

Wyciągnęła spod samochodu blaszane wiadro.

– Idź, przynieś wody! – rozkazała gniewnym tonem.

Z obawy, a także dlatego, że nie miał ochoty jej się sprzeciwić, Ding Gou'er wziął wiadro. Zapytał z głupia frant:

– A nie pojedziesz sobie precz, korzystając z tego, że mnie nie ma? Dziewczyno, jeśli już komuś pomagasz, rób to do końca. Jeśli odwozisz do domu, odstaw pod drzwi...

– Wiesz, co to logika? – zezłościła się. – Skoro, twoim zdaniem, chcę uciec, to co ja tu jeszcze robię? I w dodatku zostawiam ci swoje własne wiadro?

Ding Gou'er wykrzywił się zabawnie – wiedział, że takie wygłupy nadają się do rozśmieszania naiwnych dziewczątek, nie takich heter jak ta – lecz zrobił to

podświadomie.

– No proszę, jeszcze marszczy nos, wytrzeszcza gały i robi z siebie widowisko! – wrzasnęła. – Idź, szukaj wody!

– Dziewczyno! Tutaj, w szczerym polu? Gdzie ja ci tu znajdę wodę?

– Gdybym wiedziała, tobym cię nie posyłała, nie?

Ding Gou'er spojrzał na kobietę, z ociąganiem podniósł wiadro, rozgarnął miękki gąszcz przydrożnych zarośli, przekroczył płytki, do cna wyschnięty rów i wyszedł na zaorane pole. Nie przypominało pól, które znał – nie było rozległą, ciągnącą się aż po horyzont połacią ziemi, kojarzącą się z dzikim stepem. Byli już prawie na przedmieściach – macki miasta, a przynajmniej ich końca, sięgały aż tutaj: tu samotny wielopiętrowy dom, tam komin plujący dymem. Pola przecinała nieregularna sieć zabudowań. Ding Gou'er stał, czując w sercu ukłucia dojmującego smutku. Po chwili spojrzał w górę, na warstwy czerwonych jak krew wieczornych chmur, gromadzących się na zachodnim skraju nieba. Widok ten momentalnie rozproszył jego melancholię. Szybkim krokiem skierował się w stronę najbliższej budowli o niezwykłym wyglądzie.

„Galopuj w stronę gór, a stracisz konia” – to powiedzenie zawsze się sprawdza. Budynek, skąpany w krwistoczerwonym blasku wieczoru, wydawał się tuż-tuż – lecz dla zmierzającego w jego stronę piechura okazał się bardzo odległy. Coraz to nowe połączenie uprawnej ziemi wciskały się uparcie w przestrzeń między Dingiem a domem, jakby spadały z nieba, stając na jego drodze do szczęścia.

Pośrodku pola kukurydzy, na którym pozostały już tylko same łodygi, Ding przeżył wielkie zaskoczenie.

Zmrok już niemal zapadł, niebo miało kolor czerwonego wina. Łodygi kukurydzy stały obok siebie na baczność niczym oddział milczących strażników. Ding starał się iść bokiem, lecz mimo to ciągle ocierał się z szelestem o zwieszające się z łodyg zeschnięte liście. Ogromny czarny cień niespodzianie wyrósł mu przed samą twarzą, jakby jakiś duch nagle wyskoczył spod ziemi. Śledczy, człowiek skądinąd znany z odwagi, przeraził się tak okropnie, że wszystkie włosy w jednej chwili stanęły mu dęba, a całe ciało przeszedł lodowaty dreszcz. Instynktownie uniósł wiadro i zaczął nim wymachiwać przed sobą, gotując się do walki z podziemnym demonem. Demon cofnął się o krok i wymamrotał zduszonym głosem:

– Ty, co to, uderzyć mnie chcesz?

Śledczy uspokoił się, zrozumiał, że ma przed sobą tylko starego, słusznego wzrostu człowieka. Światło gwiazd wydobyło z gęstego mroku krzaczasty zarost na podbródku starca, padło też na jego zmierzwioną czuprynę. W jego twarzy,

niewyraźnie rysującej się w ciemności, błyszczały dwa zielonkawe punkty. Intuicja podpowiadała Dingowi, że odziany w łachmany grubokościsty olbrzym jest ciężko pracującym, skromnym, odważnym, uczciwym człowiekiem. Miał ciężki, urywany oddech, przerywany pokaszaniem, przypominającym dźwięk gongu.

– Co pan tu robi? – spytał Ding Gou'er.

– Świerszcze sobie łowię – odrzekł staruszek, unosząc w górę gliniany dzbanek.

– Świerszcze pan łapie?

– A tak, za świerszczami chodzę – potwierdził staruszek.

Świerszcze podskakiwały w dzbanku, uderzając o gliniane ścianki – pi, pi, pa, pa. Staruszek stał w milczeniu, para zielonych światełek drgała nieznacznie, jak zmęczone lataniem robaczki świętojańskie.

– Więc łowi pan świerszcze? Lubicie tu walki świerszczy?

– Nie, nie lubimy walk świerszczy. Lubimy jedzenie świerszczy – powiedział stary powoli, odwracając się. Zrobił kilka kroków i ukląkł, niemal bezszelestnie; liście kukurydzy zaszumiały cicho, opadając na jego ramiona i głowę. Wyglądał jak kopiec grobowy.

Gwiazdy rozpalaly się wciąż mocniej. Chłodne podmuchy wiatru zrywały się z coraz to innej strony i przemykały obok bez śladu, tajemnicze, nieprzewidywalne. Ding Gou'er poczuł, że sztywnieją mu barki; w jego serce wkraść się chłód. Świetliki unosiły się bezszelestnie dookoła, potęgując wrażenie nierealności. Nagle zewsząd rozległy się żalosne wołania świerszczy, jakby cały świat niespodzianie zaroił się od tych owadów. Ding Gou'er obserwował staruszkę, który zapalił małą latarkę; złoty promień padł w dół, na wyrastające z ziemi łodygi, i zatrzymał się na dorodnym świerszczu o złocistoczerwonym ciałku, kwadratowej głowie i wypukłych oczach, grubych nogach i wydatnym brzuszku; owad oddychał chrapliwie, gotów w każdej chwili do skoku. Staruszek ostrożnie zarzucił na niego małą siatkę, a następnie przeniósł owada do dzbanka. Wkrótce świerszcz wylądował w garnku z wrzącym olejem, po czym skończył w ludzkim żołądku.

Śledczy mgliście przypominał sobie artykuł, który przeczytał w piśmie „Wyborna Kuchnia” – omawiano w nim wartości odżywcze świerszczy oraz podawano liczne sposoby ich przyrządzania.

Staruszek poczołgał się dalej. Ding Gou'er ruszył przez kukurydziane pole w stronę światła.

Była to niezwykle intrygująca noc, żywa i pełna wydarzeń. Owej niezwyklej nocy

odkrycia towarzyszyły eksploracji, ciężka praca szła ramię w ramię z nauką, miłość zjednoczyła się z rewolucją, a światła gwiazd na nieboskłonie oraz światła lamp na ziemi wspólnie rozpraszały mroki najciemniejszych kątów. Oślepiające światło kulistej lampy rtęciowej padało na ogromną tablicę. Ding Gou'er stanął przed nią z wiadrem w ręku i zmrużywszy oczy, rozszyfro-

wał wielki czarny napis wykaligrafowany w stylu epoki Song:

## CENTRUM BADAWCZE UPRAW SPECJALNYCH

Centrum było raczej niewielkie. Ding Gou'er z namysłem zmierzył spojrzeniem kilka niebrzydkich budynków oraz oświetlonych rzęsiście baraków. Zza bramy wyskoczył odźwierny w brązowym mundurze i kapeluszu z szerokim rondem, z kaburą na biodrze.

– A ty tu czego? – krzyknął. – Czego zapuszczasz żurawia? Kombinujesz, co by ukraść?

U boku miał pistolet na gaz łzawiący, w ręku trzymał elektryczną pałkę, którą potrzasał zuchwale i agresywnie. Widok ten wyprowadził śledczego z równowagi.

– Licz się lepiej ze słowami, młodziku! – rzucił.

– Co? Coś ty powiedział?! – zaperzył się młody odźwierny, podchodząc bliżej.

– Mówię, żebyś się liczył ze słowami!

Ding Gou'er, jako pupilek służb specjalnych i wymiaru sprawiedliwości, był przyzwyczajony do szacunku i posłuchu. Wrzaski odźwiernego rozsierdziły go, pięści zaczęły go świerzbic.

– Ty psie łańcuchowy – wycedził.

„Pies” szczechnął i podskoczył na co najmniej dwadzieścia centymetrów w górę.

– Ty zajęczy bobku! Jak śmiesz mnie obrażać? Lepiej pożegnaj się z życiem! – ujadał. Wyciągnął pistolet z kabury i wymierzył w Ding Gou'era.

– Uważaj, nie zrób sobie krzywdy! – powiedział Ding Gou'er ze śmiechem. – Żeby kogoś obezwładnić taką bronią, musisz się najpierw ustawić z wiatrem.

– No, no, kto by pomyślał, że taki z ciebie spec, zajęczy bobku!

– Takich pistolecików jak ten używam codziennie do podcierania tyłka!

– Nie piernicz!

– O, twój szef przyszedł! – Ding Gou'er wskazał spojrzeniem miejsce za plecami odźwiernego, zaciskając wargi.

Młodzieniec popatrzył za siebie – Ding wykorzystał ten moment. Machnął wiadrem, jakby od niechcienia, i wytrącił mu z ręki pistolet, który upadł ze szczękiem na ziemię. Następnie szybkim kopnięciem w drugą rękę wysłał w powietrze elektryczną pałkę.

Odźwierny już chciał się schylić po broń, lecz Ding Gou'er, podnosząc znowu wiadro, zagroził:

– Rusz się, a wylądujesz z pyskiem przy ziemi, jak pies nad kupą!

Odźwierny doszedł do wniosku, że trafił na lepszego od siebie. Cofnął się kilka kroków, po czym odwrócił się na pięcie i uciekł w stronę niewielkiego budynku. Ding Gou'er z uśmiechem wkroczył przez bramę na dziedziniec.

Grupa mężczyzn, ubranych tak samo jak młody odźwierny, wypadła biegiem z budynku. W ustach jednego z nich tkwił metalowy gwizdek, w który ten dmuchał z całych sił: frriuu-frriuu-frriuu!

– To on! To on! Dołóżcie sukinsynowi!

Kilkanaście elektrycznych pałek skakało w powietrzu wokół Ding Gou'era – tamci otoczyli go niczym stado wściekłych szczeniaków.

Sięgnął do pasa – cholera, pistolet został w teczce, a teczka – w szoferce ciężarówki.

Mężczyzna z opaską na ramieniu, zapewne jakiś pomniejszy dowódca, wycelował pałką w Ding Gou'era.

– Czego tu chcecie? – spytał agresywnie.

– Jestem kierowcą ciężarówki – odparł Ding, demonstrując blaszane wiadro.

– Kierowcą? A po coście tu przyszli? – spytał dowódca nieufnie.

– Po wodę. Chłodnica mi się zagotowała.

Atmosfera wyraźnie się rozluźniła. Kilka uniesionych pałek opadło.

– Jaki tam kierowca! – zaprotestował odźwierny. – Facet nieźle robi pięściami!

– To tylko dowodzi, że jesteś do kitu – odparł Ding Gou'er.

– Miejsce waszego zatrudnienia? – kontynuował przesłuchanie dowódca.

Ding Gou'er szczęśliwie przypomniał sobie napis wymalowany na drzwiach ciężarówki.

– Uniwersytet Gorzelnictwa – odpowiedział bez wahania.

– Dokąd was wysłano?

– Do kopalni.

– Macie dokumenty?

– W kieszeni kurtki.

– A kurtka gdzie?

– W samochodzie.

– A samochód?

– Na szosie.

– Ktoś z wami jedzie?

– Ładna dziewczyna.

Dowódca zachichotał.

– Ech, ci kierowcy z uniwerku, sami napaleńcy!

– Pewnie, że napaleńcy!

– No to idźcie sobie, róbcie, co macie do roboty – rzekł dowódca. – Woda jest w środku, nie macie po co tu sterczeć.

Ding Gou'er wszedł razem z nimi do budynku. Za plecami słyszał, jak dowódca beszta odźwiernego:

– Ty głupcze, nie umiesz dać sobie rady z byle kierowcą? A gdyby zjawiała się tu banda czterdziestu? Od razu by cię zrobili w jajo!

Gdy tylko Ding znalazł się wewnątrz, niezwykle jasne oświetlenie przyprawiło go o

zawrót głowy. Jego stopy tonęły w miękkim szkarłatnym dywanie z owczej wełny. Na ścianach wisiały bajecznie kolorowe fotografie – wszystkie przedstawiały uprawy: kukurydzę, proso, sorgo i jeszcze inne, niepodobne do niczego. Ding Gou'er domyślał się, że to krzyżówki opracowane z dużym nakładem pracy przez tutejszych agronomów. Dowódca, całkiem już przyjaźnie nastawiony, wskazał mu drogę do toalety, radząc, by nabrał wody z kranu używanego do płukania ścierek. Ding Gou'er podziękował. Patrzył, jak dowódca i jego podkomendni znikają w niewielkim pomieszczeniu, z którego wydobywają się gęste kłęby drażniącego dymu. Pomyślał, że pewnie grają w pokera albo w madżonga, choć równie dobrze mogą studiować ważne dokumenty z centrali. Uśmiechnął się. Z wiadrem w ręku ostrożnie podążył korytarzem w kierunku toalety. Po drodze oglądał drewniane tabliczki na drzwiach: Dział Techniczny, Dział Produkcji, Księgowość, Finanse, Archiwum, Biblioteka, Laboratorium, Pokój Nagrań. Drzwi do ostatniego pomieszczenia były uchylone, w środku pewnie ktoś pracował.

Wciąż trzymając wiadro, zajrzał do pokoju. Wewnątrz siedzieli mężczyzna i kobieta i oglądali nagranie wideo. To, co zobaczył na ekranie ogromnego telewizora, zaskoczyło go – był to pięknie, w starożytnym stylu wykaligrafowany napis: „Niezwykły przysmak – ryż z kurzych łebków”.

Podkład muzyczny stanowiła piękna, wzruszająca tradycyjna melodia kantońska Kolorowe chmury płyną za księżycem. Temat filmu nie interesował Dinga, lecz to, co zobaczył po chwili, niesłychanie go wciągnęło. Oczarowały go ruchome, kolorowe obrazy. Automatyczna linia produkcyjna do zabijania kur. Kurze łebki, obcinane metodycznie, jeden po drugim spadają na ziemię. „Szumią, szumią bambusy...” I słowa spikera: „Szerokie masy przywódców z Centrum Badawczego Upraw Specjalnych przy entuzjastycznym poparciu... podjęły wspólny trud i wysiłek umysłowy i działając w duchu maksymy «szturmuj punkt strategiczny, nie poddając się lękowi», dniem i nocą walczyły mężnie...”. Grupa ludzi o dużych głowach i mizernych twarzach, ubranych w nieskazitelnie białe kombinezony, bada coś, co znajduje się w poustawianych rzędami probówkach. Grupa ładnych kobiet, z włosami wciśniętymi pod białe czapeczki, z białymi fartuchami na piersiach, wkłada surowy ryż, ziarnko po ziarnku, do odciętych kurzych łebków. Identycznie ubrane, tak samo ładne kobiety wsadzają napakowane ryżem kurze łebki do ognia czerwonych doniczek. Zmiana obrazu – z doniczek wyrastają młode pędy ryżu. Roślinki podlewa kilkadziesiąt spryskiwaczy. Kolejna scena – rozgałęzione pędy. Kolejna sekwencja obrazów. W końcu pojawiają się parujące miseczki, pełne czerwonych jak krew i lśniących jak perły ziaren gotowanego ryżu, ustawione na stole jadalnym, przybrany świeżymi kwiatami. Grupa dygnitarzy – kilku młodych, szczupłych przystojniaków, kilku korpulentnych i kilku rośliwych, dobrze zbudowanych mężczyzn – siedzi przy stole, kosztując niezwykłego przysmaku; wszyscy

uśmiechają się z zadowoleniem. Ding Gou'er westchnął z żalem, zdawszy sobie sprawę ze swojego ograniczenia – jak przysłowiowa żaba na dnie studni, o pewnych rzeczach najwidoczniej nie miał najmniejszego pojęcia. Nagranie zbliżało się do

końca. Mężczyzna i kobieta zaczęli rozmawiać. Ding, nie chcąc wzbudzać zamieszania, chwycił swoje wiadro i pośpiesznie ruszył dalej. Wychodząc przez bramę na zewnątrz, znalazł się znowu w zasięgu wzroku odźwiernego – jego wrogie spojrzenie wywierciło mu parę dziur w plecach. Gdy szedł z powrotem przez pole, zeschnięte liście kukurydzy ocierały mu się o twarz, powodując łzawienie oczu. Po staruszkę łowiącym świerszcze nie było śladu. Ding był jeszcze dosyć daleko od ciężarówki, gdy do jego uszu doszły gniewne krzyki kobiety:

– Gdzie, do jasnej cholery, chodziłeś po tę wodę?! Do Huang He czy do Jangcy?

Odstawił wiadro.

– Chodziłem po tę wodę do cholery rzeki Yalu Zangbu – odparł, rozluźniając zdrętwiałe, obolałe ręce.

– Bo już myślałam, kurwa, żeś wpadł do tej rzeki i się utopił.

– Nie tylko się, kurwa, nie utopiłem, ale jeszcze obejrzałem sobie film na wideo.

– Czy to był cholerny film kung-fu, czy pierdolone porno?

– Ani cholerny film kung-fu, ani pierdolone porno, tylko film o niezwykłym przysmaku, ryżu z kurzych łebków.

– Co jest takiego niezwykłego w ryżu z kurzych łebków, że co się, kurwa, odezwiesz, to zaraz cholera to, kurwa tamto?

– Żeby nie moje cholera to, kurwa tamto, nigdy byś nie zamknęła swojej cholery jadaczki!

Ding Gou'er jedną ręką przyciągnął kobietę do siebie, następnie objął ją ciasno w pasie i przycisnął swoje słodko-kwaśno-gorzko-ostre usta do jej ust.

## II

Drogi Nauczycielu, panie Mo Yan,

Otrzymałem Pański list.

Jeśli chodzi o „Literaturę Narodową” – wciąż nie mam od nich żadnej wiadomości. Bardzo mnie to niepokoi. Mam nadzieję, że spróbuje Pan ponownie zachęcić dwóch wybitnych panów, Zhou Bao i Li Xiaobao, do rychłego skontaktowania się ze mną.

Ostatniej nocy napisałem kolejne opowiadanie, które zatytułowałem Ośła Uliczka. W dziele tym zastosowałem specyficzne techniki pisarskie, właściwe utworom o tematyce związanej ze sztukami walki. Bardzo Pana proszę, drogi Nauczycielu, niech Pan się przyjrzy temu opowiadaniu z właściwą Panu przenikliwością, a następnie prześle je do jakiegokolwiek magazynu, który uzna Pan za odpowiedni.

Co do materiałów o alkoholu – wysyłam je Panu jednocześnie z niniejszym listem, a obiecane trzydzieści butelek dobrych trunków wyślę najbliższym autobusem do Pekinu. Nauczyciel pijący wino swego ucznia – to rzecz ze wszech miar właściwa. Wiemy przecież doskonale, że w dawnych czasach Konfucjusz żądał od swoich uczniów zapłaty w postaci dziesięciu pasków suszonego mięsa.

Milczenie „Literatury Narodowej” wywołuje u mnie wielkie zniechęcenie, odbiera mi ducha. Jako doświadczony pisarz na pewno rozumie Pan doskonale moje uczucia.

Z życzeniami pomyślnego tworzenia

Li Yidou, oddany uczeń

### III

Yidou, Drogi Bracie,

Dziękuję bardzo za list i za opowiadanie. Czekam wciąż na materiały – proszę się jednak nie niepokoić, druki zwykle wędrują dłużej niż listy.

Doskonale rozumiem Pana uczucia – tego rodzaju cierpienia były także moim udziałem. Powiem Panu szczerze – byłem gotów na wszystko, byle tylko moje teksty ukazały się drukiem. Po otrzymaniu Pańskiego listu natychmiast zatelefonowałem do Zhou Bao. Powiedział, że nie tylko przeczytał wszystkie trzy Pana opowiadania, ale wręcz kilkakrotnie do nich wracał. Mówił, że wciąż nie może się zdecydować, że jeszcze nie wie, co Panu odpowiedzieć. Twierdził, że rozważa sprawę bardzo głęboko i że przekazał Pańskie utwory panu Li Xiaobao z prośbą o szybkie przeczytanie, zachęcając go do wymiany opinii. Na zakończenie rozmowy orzekł, że wprawdzie we wszystkich trzech dziełach jest sporo fragmentów dyskusyjnych, lecz nie ulega

żadnej wątpliwości, że autor jest bardzo utalentowany. Przypuszczam, że to nieco poprawi Pański nastrój. Dla pisarza talent jest najważniejszy. Bardzo wielu ludzi para się literaturą przez całe życie, pisze dużo i wie, jak należy postępować, by zostać wielkim pisarzem, lecz mimo to nie osiąga sukcesu, albowiem brak im tej jednej, jedynej rzeczy – talentu, bądź też mają go zbyt mało.

Przeczytałem Oślą Uliczkę trzy razy – moje ogólne wrażenie z tej lektury da się zamknąć w słowach: śmiała, odważna. Historia ta przypomina mi trochę osła, który tarza się po ziemi i wierzga kopytami. Jednym słowem: dzika. Czy nie pisał jej Pan przypadkiem pod wpływem „czerwonogrzywego rumaka”?

Kilka spraw jest dla mnie nie do końca jasnych. Poproszę więc Pana o odniesienie się do tych paru nie w pełni przemyślanych uwag:

1. Czy ten porośnięty łuską chłopiec, który jeździ na czarnym ośle, fruwa nad dachami i spaceruje po ścianach tak swobodnie, jak po ziemi, jest walecznym bohaterem czy też rozbójnikiem? Występował już w Mięsnym chłopcu i w Cudownym dziecku (to ta sama postać, prawda?) jako, wydawałoby się, zwykły śmiertelnik, a w tym opowiadaniu nagle zamienia się w supermena, półboga, półdemona – czy nie jest to pewna przesada? Rzecz jasna, jestem świadom, że nigdy nie dawał Pan jasno do zrozumienia, że wszystkie te trzy opowiadania łączy jakiegokolwiek treściowe pokrewieństwo. Ciekaw jestem, jaki jest jego związek z tym małym demonem w czerwonym ubranku. W Cudownym dziecku sugerował Pan, zdaje się, że łuskowaty chłopiec i demon to ta sama osoba?

Nigdy nie deprecjonowałem powieści o sztukach walki. Choćby fakt, że przyciągają tak ogromne rzesze czytelników, skłania do szacunku. Rok temu, w czasie letnich wakacji, przeczytałem kilkadziesiąt takich książek – zaabsorbowały mnie tak bardzo, że zapomniałem nawet o jedzeniu i spaniu. Gdy skończyłem, byłem zdumiony – dlaczego tak mnie oczarowały, skoro wiedziałem doskonale, że są pełne fantastycznych zmyśleń? Mówi się, że powieści kung-fu są bajkami dla dorosłych – bardzo trafne określenie. Rzecz oczywista, po przeczytaniu kilkadziesiątu tomów wiedziałem już doskonale, jak bardzo są one schematyczne, i doszedłem do wniosku, że sklecie czegoś podobnego prawdopodobnie nie sprawiłoby mi większej trudności – jednak dorównać takim autorom, jak Jin Yong czy Gu Long, nie byłoby już tak łatwo. Próbuje Pan w swoim opowiadaniu stworzyć swego rodzaju krzyżówkę gatunków – niezależnie od rezultatów tego eksperymentu, sam pomysł uważam za nad wyraz ciekawy. Jest pewna bardzo awangardowa pisarka, niejaka Starsza Siostra Kwiat, której „krzyżówki” odniosły już pewne sukcesy. Mógłby Pan w wolnej chwili zajrzeć do jej dzieł. Zdaje się, że mieszka całkiem niedaleko waszej Alkoholandii, w powiecie Qixing (głowa tamtejszej powiatowej administracji wsławiła się handlem trutką na szczury) – jeśli będzie Pan miał okazję, proszę się spotkać z tą „kwiatową panią”.

2. Słyszałem kiedyś, jak Zhao Wielkousty, doktorant w Instytucie Literatury imienia

Lu Xuna, mówił, że „smok i feniks w szczęśliwym połączeniu” jest klasycznym daniem kuchni kantońskiej, a jego główne składniki to trujące węże i dzikie kury (oczywiście, w dzisiejszych oszczędnych czasach jest wielce prawdopodobne, że zastąpiono je wężorazami i kurami domowymi). Do przyrządzania Pańskiego „smoka i feniksa” użyto męskich i żeńskich oślich genitaliów – doprawdy nie wiem, czy ktokolwiek odważyłby się tknąć coś takiego pałeczkami. Obawiam się, że to danie, ze względu na widoczne odchylenie w kierunku burżuazyjnego liberalizmu, może nie zostać dobrze przyjęte przez krytyków literackich. Ostatnimi czasy mamy w naszym literackim świecie paru „bohaterów” o sokolim wzroku i psim węchu, którzy z lupą w ręku przesiewają dzieła literackie w poszukiwaniu różnych „brudnych słówek”. Doprawdy trudno się przed nimi ukryć – szansa jest mniej więcej równa prawdopodobieństwu, że musze larwy nie dobiorą się do pękniętego jaja. Od czasu napisania *Radości i Czerwonej szarańczy*, czyli od dobrych kilku lat, nie mogę się pozbyć tej lepkiej, cuchnącej śliny, którą mnie opluli. Stosując taktykę z czasów „bandy czworga”, wyrywają moje słowa z kontekstu, atakują jeden punkt, ignorując całą resztę, nie biorąc w ogóle pod uwagę ani funkcji w dziele, ani specyficznego kontekstu danego „niesmacznego detalu”. Nie stosują kryterium wartości literackiej, lecz atakują brutalnie, z czysto biologicznego bądź etycznego punktu widzenia, nie dopuszczając mnie w ogóle do głosu. Dlatego też, opierając się na własnym doświadczeniu, doradzam Panu wybór jakiegoś innego dania.

3. Co do Yu Yichiego – niezwykle zaintrygowała mnie ta postać. Niestety, nie pisze Pan o nim zbyt wiele. Postaci karłów jest całkiem sporo w literaturze, zarówno chińskiej, jak i obcej, lecz tylko niewielki procent z nich można uznać za typowe. Mam nadzieję, że użyje Pan swego talentu, by uczynić z Yu Yichiego postać wybitną. Czyż nie domagał się, byś „ty” napisał jego „biografię”? Przypuszczam, że byłaby ona ogromnie ciekawa. Urodził się w rodzinie literatów, naczał się *Księgi pieśni* i *Księgi dokumentów*, był karmiony dziełami klasycznymi i rozprawami, by następnie przez dziesiątki lat wieść życie pełne upokorzeń. Aż w końcu, pewnego dnia, uleciał nagle w chmury, niby na skrzydłach wschodniego wiatru – zdobył bogactwo, sławę, pozycję, a teraz przysięga, że „przeleci wszystkie ładne kobiety w Alkoholandii” – jaka motywacja leży u podstaw tej chełpliwej obietnicy? Jakie procesy zachodziły w umyśle Yu Yichiego, gdy ją wypełniał? Jaki był stan jego ducha, gdy już urzeczywistnił ów śmiały plan? Za każdym z tych pytań kryje się wielkie bogactwo czekających na opowiedzenie historii – czemu nie spróbuje Pan swych sił, by je spisać?

4. Co do wstępnego fragmentu opowiadania – proszę mi wybaczyć bezpośredniość, ale, moim zdaniem, jest to całkowicie zbyt techniczna ozdoba paplanina, pozbawiona głębszego sensu; opowiadanie tylko zyska na zwięzłości, jeśli Pan to wyrzuci.

5. Ojcu sióstr karlic nadał Pan wysoką pozycję w rządzie centralnym – im wyższe stanowisko, tym korzystniej, ale pod warunkiem że postać jest pozytywna. Jednak w swoich dziełach dość często prezentuje Pan krytyczny stosunek do wysoko postawionych osobistości – to niebezpieczne. Proszę wziąć pod uwagę, że nasze

społeczeństwo ma kształt pagody, która zwęża się ku górze – a im węższy krąg osób, tym łatwiej dopatrzeć się analogii między tymi, którzy zajmują pozycje bliskie szczytu pagody, a postaciami z Pańskich opowiadań. Jeżeli ktoś to dostrzeże, może Pan ucierpieć bardziej niż od najgorszej zarazy. Dlatego sugerowałbym nieco zredukować status rodziny karlic bliźniaczek, obniżając pozycję ich ojca.

Skończę już tę moją chaotyczną pisaninę, rojącą się od sprzeczności. Proszę nie przejmować się za bardzo tym, co Pan właśnie przeczytał, i nie być przesadnie skrupulatnym w uwzględnianiu moich uwag. Na tym świecie skrupulatność nie popłaca; kto jest zbyt sumienny, naraża się na kłopoty.

Sądzę, że najlepiej będzie wysłać Ośłą Uliczkę do „Literatury Narodowej”, a jeśli nic z tego nie wyjdzie, pomyślę o zarekomendowaniu jej gdzie indziej.

Napisałem już kilka rozdziałów mojej długiej powieści Alkoholandia (to roboczy tytuł). Początkowo sądziłem, że nie będę miał kłopotów z pisaniem o alkoholu – w końcu byłem parę razy w życiu pijany – lecz gdy zabrałem się do pracy, natrafiłem na całe mnóstwo rozmaitych trudności i komplikacji. W relacji między człowiekiem a alkoholem mieszczą się wszystkie sprzeczności, zachodzące w procesie rozwoju ludzkiej egzystencji i wszelkie możliwe aspekty tych sprzeczności – gdybym dysponował większym talentem, mógłbym stworzyć na ten temat wielkie dzieło, lecz, niestety, przy moich skromnych zdolnościach, ustawicznie popełniam błędy – zadanie to stanowczo mnie przerasta. Mam nadzieję, że w kolejnych listach uda nam się więcej podyskutować o alkoholu – może to być dla mnie bardzo inspirujące.

Z życzeniami szczęścia,

Mo Yan

IV

Ośła Uliczka

Drodzy przyjaciele, zapewne przeczytaliście niedawno moje opowiadania: Alkohol, Mięśny chłopiec i Cudowne dziecko – pozwólcie, że teraz zaprezentuję Wam moje najnowsze dzieło – Ośłą Uliczkę, prosząc Was o cierpliwość i wyrozumiałość. Według krytyków literackich zdecydowanie nie należy umieszczać w treści opowiadania takich niedorzeczności, jak powyższe zdanie – tego typu wtręty tylko zaburzają konstrukcję, rozbijają jedność. Lecz ja jestem doktorantem alkoholologii,

codziennie patrzę na alkohol, wącham alkohol, piję alkohol, obejmuję alkohol, całuję się z alkoholem, poklepujemy się nawzajem po ramionach i drapiemy pieszczotliwie po plecach; nawet mój oddech zawiera opary etanolu. Mam alkoholową moralność i alkoholowy temperament. Czymże jest kształtowanie osobowości? Właśnie tym. Dzięki alkoholowi mój umysł wpada w trans, uwalnia się od wszelkich ograniczeń, reguł i zasad. W naturze alkoholu leży nieskrępowana wolność, a alkoholowy temperament oznacza mówienie wszystkiego, na co przyjdzie ochota.

Drodzy przyjaciele, przejdźcie wraz ze mną pod tym wspaniałym łukiem – bramą Uniwersytetu Gorzelnictwa w Alkoholandii, omińmy razem butelkowaty pawilon z salami wykładowymi, przejdźmy obok laboratorium w kształcie wielkiego kieliszka, wydostańmy się poza zasięg intensywnej woni dymów unoszących się z komina uniwersyteckiej gorzelni.

„Pozostawcie bagaże, podążajcie lekko naprzód” – idąc u mego boku, miejcie jasny umysł i szeroko otwarte oczy, nie zbaczajcie z drogi. Przekroczcie wraz ze mną most na Strumieniu Słodkiego Wina, pięknie wyrzeźbiony z drewna chińskiej jodły, zostawcie w tyle bulgoczącą wodę, unoszące się na jej powierzchni nenufary, przysiadające na nich motyle, igrające w wodzie białe kaczki, pluskające się ryby, uczucia ryb, nastroje kaczek, przemyślenia rzeszy wodnej, senne mamrotanie strumienia.... Zostawmy to wszystko daleko za nami. Spójrzcie, proszę – oto wonna brama Akademii Kulinarnej, która kusi nas drażniącymi nozdrza aromatami! Moja teściowa, pracownica tej właśnie instytucji, ostatnio straciła rozum – ukrywa się teraz w pokoju o oknach zasłoniętych czarnymi kotarami, gdzie dniem i nocą pisze donosy i oskarżycielskie listy. Na razie jednak nie będziemy się nią zajmować, nie będziemy też zwracać uwagi na zapachy unoszące się nad Akademią. „Ludzie tracą życie, goniąc za bogactwem, jak ptaki za pożywieniem.” W powiedzeniu tym zawiera się głęboka prawda. W tych czasach chaosu i zepsucia ludzie są podobni ptakom – wyglądają na swobodnych, cieszących się wolnością, w rzeczywistości jednak czyhają na nich zastawione pułapki i zarzucone sieci, celują w nich łuki i strzelby. No, wystarczy, nasze nosy są już przytrute tutejszą wonią, więc czym prędzej je zatkajmy i zostawmy szybko w tyle Akademię Kulinarną. Zejdźmy po pochyłości, w stronę uliczki Jeleni – słyszycie, jak porykują, pasąc się dziką rzeszą wodną? Spójrzmy na zawieszane nad drzwiami sklepików jelenie poroża, na ich rozwidlone, krzyżujące się gałązki, przypominające las włócznie albo zarośla mieczy. Wstąpmy na prastarą ścieżkę, wyłożoną zielonkawym kamieniem, omszałym, poprzerastanym trawą i bardzo śliskim – stąpajcie ostrożnie, strzeżcie się potknięć! Z najwyższą ostrożnością pokonujemy zakręty, kierując się w stronę Oślej Uliczki.

Pod stopami mamy wciąż ten sam zielonkawy bruk, bruk, który wiele doświadczył – wiejące wiatry i padające deszcze, wirujące koła i stukoczące kopyta stępiły krawędzie, wypolerowały powierzchnię kamieni, które stały się gładkie na podobieństwo luster z brązu. Ośła Uliczka jest nieco szersza niż uliczka Jeleni; bruk szpecą brudne plamy zabarwionej krwią wody i czarne kawały oślej skóry. Jest tu też bardziej ślisko niż na uliczce Jeleni. Czarne jak smoła wrony kraczą, potykając się na

śliskich kamieniach. Nie jest łatwo tędy spacerować – zalecam wszystkim dużą ostrożność. Dobrze wam radzę, przestrzegajcie pewnych zasad. Po pierwsze, utrzymujcie prostą postawę ciała i krocicie w taki sposób, jakbyście za każdym stąpieniem chcieli się zakorzenić w podłożu. Nie wolno wam też rozglądać się na boki jak wieśniak, który po raz pierwszy w życiu trafił do miasta, bo możecie się potknąć i upaść. Upadki są nieeleganckie, a przede wszystkim bardzo niebezpieczne – grożą poważnym potłuczeniem zadka, a w najlepszym razie kończą się pobrudzeniem ubrania – tak czy owak, zawsze oznaczają jakieś kłopoty. A teraz sprawmy przyjemność naszym czytelnikom i odpocznijmy chwilę, zanim udamy się w dalszą drogę.

Mamy u nas w Alkoholandii wiele bardzo utalentowanych jednostek – prawdziwych bohaterów, godnych sławienia w pieśniach, którzy potrafią wypić nawet tysiąc kieliszków i wcale się nie upić. Mamy też pijaków gotowych przepić wszystkie oszczędności swych żon oraz najróżniejszej maści łotrów i zbójów, którzy potrafią kraść, napadać, popełniać wszelkiego rodzaju niegodziwości i oszustwa. Pamiętam na przykład Trzeciego Zhanga, zwanego Zielonym Wężem Trawnym, który zaliczył śmiertelne spotkanie z pięścią pewnego buddyjskiego mnicha, i Drugiego Niu Wrednego, którego zasztyletował Czarnogęba Bestia. Wszyscy oni pozostawili po sobie kolejne pokolenia niegodziwców – ich linie nie wygasną przez najbliższe dwa tysiące lat. Ośła Uliczka przyciąga tego rodzaju indywidua – mamy tutaj okazję podziwiać jedno z wielu oblicz Alkoholandii. Spójrzcie choćby na tego tam, z papierosem przyklejonym do wargi, opartego o drzwi, i na tamtego, co trzyma butelkę i obgryza kawałek mięsa zwany „sznurkiem nawleczonych monet”, i na tego, pogwizdującego, z ptasią klatką w ręku. To właśnie oni. Posłuchajcie mnie uważnie, przyjaciele – starajcie się ich nie prowokować. Przyzwoici ludzie nie zwracają uwagi na ulicznych łotrów, nie wdęptują w nowych butach w psie łajno. Ośła Uliczka jest tym, czego Alkoholandia się wstydzi, i jednocześnie jest jej chlubą. Jeśli nie odwiedziłeś Oślej Uliczki, to tak jakbyś w ogóle nie był w Alkoholandii. Są tu dwadzieścia cztery ośle jatki. Zarzynano tutaj osły od czasów dynastii Ming, zarzynano za Qingów, zarzynano w czasach Republiki. Wraz z nastaniem komunizmu osły zaliczono do środków produkcji, zabijanie ich stało się przestępstwem. Ciężkie czasy nastały dla Oślej Uliczki. Ostatnio jednak, odkąd mamy politykę „wewnętrznego ożywienia i otwarcia na zewnątrz”, a poziom życia ludności nieustannie się podnosi, zwiększyła się konsumpcja mięsa, dzięki czemu polepsza się jakość naszej rasy, a Ośła Uliczka na nowo przeżywa rozkwit. Ośle mięso jest aromatyczne, ośle mięso jest wykwentne, ośle mięso to największy na świecie rarytas. Drodzy czytelnicy, szanowni goście, przyjaciele, panie i panowie, „cien-ku-jem baa-zo”, „mi-li pani-swo”, te wszystkie powiedzenia w rodzaju „jak jeść – to tylko w Kantonie” to bzdurne plotki, sfabrykowane w celu wprowadzenia ludzi w błąd. Posłuchajcie mnie uważnie. A o czym chcę mówić? Chcę mówić o naszych alkoholandzkich przysmakach – lecz wymieniając jeden, jestem zmuszony pominąć dziesięć tysięcy innych, więc wybaczcie mi państwo, że moja lista będzie nader niekompletna. Proszę – stojąc tu, na Oślej Uliczce, rzućmy okiem na całą Alkoholandię. Rarytasów jest tu mnóstwo, niczym chmur na niebie, dużo więcej, niż

zdołamy ogarnąć tym jednym spojrzeniem. Na Oślej Uliczce zarzyna się osły, na Uliczce Jeleni – jelenie, na Wołowej – woły, przy alei Baraniej – barany, w chlewniach – wieprze, przy Końskim Zaułku – konie, a psy i koty kończą na psich i kocich targowiskach... Ginie ich tak wiele, tak niezliczone mnóstwo, że z wrażenia drży serce, w głowie się miesza, usta pierzchną, a język staje kołkiem.

Podsumowując: wszystko, co na tym świecie nadaje się do zjedzenia, można znaleźć u nas, w Alkoholandii – przysmaki z gór i delikatesy z mórz, wszelkie ptaki, ssaki, ryby i robaki. To, co mają w dalekich krajach, spotkasz i u nas, a to, czego tam nie mają, także u nas znajdziesz. Mamy wszystko – a co najważniejsze, co doprawdy wspaniałe – wszystko, co mamy, ma swój szczególny charakter, swoją historię, tradycję, ideę, swoje znaczenie kulturowe i swoją moralną wartość. Brzmi to jak przechwałki, lecz jest prawdą. Ostatnimi czasy w naszym kraju, ogarniętym szaleństwem bogacenia się, jedynie przywódcy Alkoholandii wykazali się dostateczną przenikliwością i kreatywnością, by poprowadzić nas tą jedyną w swoim rodzaju drogą do bogactwa. Czytelnicy, przyjaciele, panie i panowie, w naszym życiu na tym padole nie ma nic ważniejszego ponad jedzenie i picie. Po cóż wyrastają nam usta, jeśli nie po to, by jeść i pić? Trzeba sprawić, by każdy, kto przybędzie do Alkoholandii, dobrze się najadł i porządnie napił. Niech jedzą dla urozmaicenia, niech jedzą dla przyjemności, niech jedzą, by pofolgować nałogom. Niech piją dla urozmaicenia, niech piją dla przyjemności, niech piją, by pofolgować nałogom. Niech zrozumieją, że jedzenie i picie nie służy tylko podtrzymywaniu funkcji życiowych, niech zrozumieją, że poprzez jedzenie i picie można doświadczyć prawdziwego smaku ludzkiej egzystencji, zgłębić filozofię życia. Niech się dowiedzą, że jedzenie i picie nie jest jedynie procesem fizjologicznym, lecz również procesem kształtowania ducha i wrażliwości estetycznej.

Posuwajmy się z wolna, podziwiajmy otoczenie. Ośła Uliczka ma długość dwóch li, ośle jatki mieszczą się po obu jej stronach. Jest tu dziewięćdziesiąt hoteli i restauracji; we wszystkich podstawowym surowcem do przyrządzania posiłków jest oślina. Repertuar dań zmienia się jak w kalejdoskopie, nowe potrawy zastępują stare – wytrawni znawcy oślej kuchni tu właśnie osiągają wyżyny swej sztuki. Kto posmakował ośliny we wszystkich dziewięćdziesięciu lokalach, może już do końca życia nie jeść nic oślego. I tylko ci, którzy skosztowali ośła we wszystkich lokalach na Oślej Uliczce, mają prawo z dumą uderzyć się w pierś i oznajmić: „Jadłem oślinę!”.

Ośła Uliczka jest jak wielki, gruby słownik – nawet gdybym miał język tak twardy, że mógłbym nim wbijać gwoździe w żelazo, nie zdołałbym w pełni zaprezentować, wyczerpać i zakończyć tego tematu. Marny ze mnie gawędziarz – bełkoczę bez ładu i składu, bardzo przepraszam i proszę o wybaczenie – pozwólcie, że wychylę kieliszek „czerwonogrzywego rumaka” – to powinno mnie nieco pokrzepić. Od stuleci nieprzeliczone stada osłów traciły życie tu, na Oślej Uliczce – wyobraźmy sobie, że dniem i nocą przechadzają się tędy tłumnie ośle cienie, że każdy kamień nasiąkł ośłą krwią, że ośli duch płynie w sokach każdej rośliny, w każdym kłozecie rozkwitają dusze osłów, że każdy, kto kiedykolwiek odwiedził Ośłą Uliczkę, mniej lub bardziej

nasiąkł ośłością. Drodzy przyjaciele, sprawy ośle są jak dym, unoszący się nad Oślą Uliczką, przyćmiewający światło słoneczne. Zamknijmy na chwilę oczy, a ujrzymy stado osłów, mniejszych i większych, rozmaitego pokroju, galopujących z ochrypłym rykiem.

W tutejszych okolicach znana jest pewna legenda czy też mit. Głęboką nocą, gdy panuje całkowita cisza, niezwykle zgrabny, urodziwy czarny osiołek (płci nieznanej) galopuje ze wschodniego krańca brukowanej uliczki na zachodni i z powrotem. Jego delikatne kopytka, przypominające kieliszki z czarnego agatu, uderzają o śliski bruk z dźwięcznym stukotem. Odgłos ten pośród głębokiej nocy brzmi jak niebiańska muzyka, trochę straszna, trochę tajemnicza i jednocześnie łagodna; słuchając jej, mamy ochotę się rozplakać, wpadamy w ekstazę, ta muzyka nas upaja, wywołuje głębokie wzruszenie. A w księżycową noc...

Tamtej nocy Yu Yichi, właściciel i szef restauracji „Pod Karłem”, wypiłszy sporo starego wina, które gorącą falą nappełniło jego okrągły jak bęben obnażony brzuch, wynosił właśnie bambusowe krzesło, by zażyć nieco chłodu pod rosnącym u wrót starym drzewem granatu. Strumienie księżycowego światła padały na bruk lśniący jak lustro. Była to pełnia jesieni, wiał zimny wiatr. Inni spragnieni świeżego powietrza już dawno skryli się w domach; gdyby nie wino, Yu Yichi także nie wyściubiałby nosa na zewnątrz. Gwarny dzień, tak pełen ludzi, jak mrowisko mrówek, ustąpił miejsca wieczornej aurze spokoju i chłodu; słychać było jedynie brzęczenie i ćwierkanie owadów – przenikliwe, ostre niczym strzały, zdolne przebić stalowe ściany i mury z żelaza. Zimny wiatr owiewał brzuch Yu Yichiego, co sprawiało mu ogromną przyjemność. Z zadartą głową przyglądał się słodkim owocom granatu, małym i dużym, z kształtu podobnym do kwiatnych płatków, i już prawie odpłynął w senne marzenie, gdy nagle poczuł, jak kurczy mu się skóra na głowie, a na całym ciele występuje gęsia skórka. Senność zniknęła w okamgnieniu. Yu Yichi zamarł w bezruchu, jakby został trafiony przez jakiegoś mistrza sztuk walki prosto w południk akupunktury. Rzecz jasna, jego umysł był w pełni sprawny, a wzrok nie stracił bystrości. Zobaczył niedużego czarnego osła, który pojawił się na ulicy tak nagle, jakby spadł z nieba. Tłuściutki i dorodny, cały jarzył się delikatną poświatą, niczym zrobiony z wosku. Przez chwilę tarzał się po bruku, po czym wstał, otrząsnął się – może chciał strzepnąć z siebie odrobinę nieistniejącego kurzu – a następnie wyskoczył wysoko w górę i z uniesionym ogonem puścił się pędem ulicą. Przegalopował ze wschodniego krańca na zachodni, potem z zachodniego na wschodni, i tak trzy razy, tam i z powrotem – wyglądało to, jakby chmura czarnego dymu zakłębiła się nad Oślą Uliczką. Głośny tętent zagłuszył cykanie jesiennych owadów. Z chwilą gdy osiołek zatrzymał się i stanął nieruchomo pośrodku uliczki, chór owadów odezwał się na nowo. W tej samej chwili Yu Yichi usłyszał ujadanie psów, dobiegające z psiego rynku, muczenie cieląt z ulicy Wołowej, beczenie jagniąt z alei Baraniej, rzenie źrebiąt z Końskiego Zaułka i dobiegające zewsząd żalodne wołania kur: gdaak-gdaak-gdaak... Osiołek wciąż stał na środku ulicy, jakby na coś czekał; oczy świeciły mu jak latarnie. Yu Yichi słyszał kiedyś opowieści o czarnym ośle, lecz teraz, gdy zobaczył go na własne oczy, był w prawdziwym szoku –

przekonał się, że nie wszystkie legendy na tym świecie to tylko wysane z palca historyjki. Skurczył się w sobie i siedział bez ruchu jak pniak, patrząc szeroko otwartymi oczami, ciekaw dalszego ciągu legendy o czarnym osiołku.

Mijały godziny, oczy rozbolały go od patrzenia, a czarny osiołek wciąż stał tam, pośrodku ulicy, nieruchomo, niczym pomnik. Nagle, w jednej chwili, wszystkie psy w całej Alkoholandii zaczęły ujadać jak szalone – ich głosy dobiegały z oddali. Yu Yichi ożywił się. Usłyszał zbliżający się klekot, jakby ktoś stąpał po dachówkach. Czarny cień spłynął z dachu i bez chwili wahania usadowił się wprost na grzbiecie czarnego osła. Osioł błyskawicznie zerwał się do galopu, unosząc ze sobą tajemniczą postać. Zniknęli w oddali jak dym. Yu Yichi, jako karzeł, nie ukończył żadnej szkoły, lecz pochodzi z wykształconej rodziny – ojciec był profesorem, pradziad – wielkim uczonym, a kilka pokoleń wstecz byli w rodzie cesarscy urzędnicy, członkowie Akademii Hanlin. Yu Yichi zna wiele tysięcy chińskich ideogramów, ma za sobą wielką obfitość różnorodnych lektur. To, co przed chwilą zobaczył, od razu przypomniało mu legendę z czasów dynastii Tang, o tajemniczym rycerzu, który pojawiał się i znikał. Pomyślał, że pomimo błyskawicznego w ostatnich czasach rozwoju nauki, wciąż spora liczba zjawisk zachodzących wokół nas pozostaje całkowicie niewyjaśniona. Sprawdził stan swojego ciała – zeszywniał nieco, lecz poruszał się swobodnie. Dotknął brzucha – był mokry od zimnego potu. Gdy czarna postać zeskakiwała z dachu, w świetle księżyca udało mu się dojrzeć, że to młodzieniec niewielkiego wzrostu, o skórze pokrytej czymś lśniącem, co przypominało rybie łuski. W ustach trzymał ów młodzieniec nóż w kształcie liścia wierzby, na plecach niósł spory pakunek...

Drodzy czytelnicy, przypuszczam, że już czynicie mi w myślach wyrzuty: „Co z ciebie za nudziarz, zamiast zaprowadzić nas do jakiejś winiarni, każesz nam się kręcić bez końca po tej Ośleju Uliczce!” Wasze uwagi są ze wszech miar słuszne, mądre i trafiają prosto w sedno, więc przyśpieszmy kroku, popędźmy nasze konie. Wybaczcie, że nie przedstawiam wam wszystkich firm, mieszczących się po obu stronach Ośleju Uliczki, mimo że każdy lokal, każdy sklepik ma tu swoją historię, z każdym wiąże się wiele anegdot, każdy zachowuje swój własny, unikalny charakter. Ja jednak nie powiem nic, choć nie jest mi łatwo zachować milczenie. Nie zwracajmy też uwagi na stada osłów przyglądających nam się z obu stron Uliczki, podążajmy bez wahania do naszego celu. Są cele wielkie i małe – naszym wielkim celem jest społeczeństwo komunistyczne, w którym każdy daje według swoich możliwości, a otrzymuje według potrzeb, a małym celem – restauracja „Yichi” na końcu Ośleju Uliczki, ta ze starym drzewem granatu przed wejściem. Skąd nazwa: restauracja „Yichi”? Słuchajcie uważnie, opowiem wam wszystko po kolei.

Właściciel nazwiskiem Yu Yichi, czyli Yu Jedna Stopa, w rzeczywistości mierzy stopę i pięć cali wzrostu i, jak to karłowaci mają w zwyczaju, nigdy nie zdradza swojego wieku, nikomu też jak dotąd nie udało się go odgadnąć. Jeśli wierzyć pamięci mieszkańców Ośleju Uliczki, ten niezwykle sympatyczny karzełek przez ostatnie kilkadziesiąt lat ani trochę się nie zmienił, wciąż tak samo wygląda i

identycznie się zachowuje. Na zdumione spojrzenia zawsze odpowiada przemiłym uśmiechem. Uśmiecha się tak uroczo, tak czarująco, że wzbudza w sercach wszystkich dziwną melancholię, która rodzi fale troskliwości i opiekuńczości. Mocy swego uśmiechu Yu Yichi zawdzięcza całkiem dostatnie życie, a dzięki starannemu wykształceniu pełen jest różnorodnej wiedzy, z której czerpie obficie, sypiąc co chwila perłami błyskotliwych uwag, czym sprawia mnóstwo radości wszystkim na Oślej Uliczce. Aż strach pomyśleć, jak smutna i samotna byłaby uliczka bez Yu Yichiego. Sam talent mógłby mu zapewnić wygodny, beztroski żywot, lecz on miał w sercu żądzę czynu, nie chciał żyć z cudzych datków – złapał w żagle wiatr „reform i otwarcia” i postarał się o licencję na prowadzenie interesów. Następnie wyłożył gruby plik pieniędzy oszczędzanych od nie wiedzieć jak dawna i kazał przebudować swój stary dom na restaurację, która stała się słynną na całą Alkoholanię restauracją „Yichi”. Wszystkie te ekscentryczne pomysły być może zrodziły się pod wpływem klasycznej powieści Kwiaty w lustrze, a może zainspirowały je Zamorskie dziwy – któż to wie. Po otwarciu restauracji Yu Yichi zaanonsował w „Dzienniku Alkoholandzkim”, że poszukuje ludzi o wzroście nieprzekraczającym trzech stóp do obsługi. Sprawa ta stała się sensacją na całą Alkoholanię i była przedmiotem żartowanych dyskusji. Jedni uważali, że karzeł prowadzący restaurację to obraza socjalizmu i brudna plama na szkarłatnej fladze z pięcioma gwiazdami – w związku z coraz większym napływem naszych zagranicznych przyjaciół turystów do Alkoholanii taka restauracja może skompromitować miasto, przez co nie tylko Alkoholandia, ale i cały chiński naród straci twarz. Inni twierdzili, że istnienie karłów to przecież obiektywne i uniwersalne zjawisko. W innych krajach karły utrzymują się z żebractwa, u nas zaś karzeł żyje z własnej pracy. To nie tylko żaden wstyd, ale wręcz powód do chwały. Takie zjawisko, jak restauracja „Yichi”, może tylko pomóc zagranicznym przyjaciołom w zrozumieniu wyższości naszego socjalistycznego systemu. Sporom nie było końca. Tymczasem Yu Yichi przez kanały ściekowe przekradł się na teren ratusza (główną bramą wejść nie mógł, obawiając się strażników groźnych niczym wilki i tygrysy), wśliznął się do budynku i przedostał do biura burmistrza, z którym przeprowadził długą rozmowę o nieznannej treści. Burmistrz odesłał go z powrotem na Oślą Uliczkę własną luksusową „cesarską koroną”. W tym momencie wszelkie dyskusje w prasie zamilkły. Przyjaciele, panie i panowie, oto restauracja „Yichi”, cel naszej wędrówki. Dziś ja was zapraszam – stary Yu jest moim przyjacielem, często razem delektujemy się dobrym winem i recytujemy poezję, napawając się widokami tego świata, oszołamiającego nas różnorodnością barw, i komponujemy przedziwną, cudowną muzykę. Pan Yu, mój szczerzy druh, który ceni sobie uczucia międzyludzkie, a pieniędzmi gardzi, potraktuje nas dziś wyjątkowo i udzieli nam dwudziestoprocentowego rabatu.

Drodzy przyjaciele, stoimy u wrót restauracji „Yichi”. Unieście, proszę, głowy i spójrzcie na ten złożony napis na czarnej tablicy. Cztery ideogramy, pełne rozmachu i wdzięku – każdy z nich emanuje skoncentrowaną energią niczym smok albo tygrys. Napis ten jest dziełem słynnego w naszym mieście artysty kaligrafa Liu Banpinga, który zgodnie ze znaczeniem swego imienia – Liu Pół Butelki – nie zabiera się do pisania, nim nie wypije co najmniej pół flaszki dobrego wina. Po obu stronach

wejścia stoją kieszonkowych rozmiarów kelnerki – nie mierzą więcej niż po dwie stopy wzrostu – haftowane szarfy spływają wzdłuż ich wdzięcznych postaci, na ich twarzach widnieją uprzejme uśmiechy. To bliźniaczki, które przeczytały anons w „Dzienniku Alkoholandzkim” i przyleciały tu aż z Szanghaju, odrzutowcem „Trident”. Pochodzą one z rodziny wielkich dostojników. Ich ojciec jest tak sławny, że na dźwięk jego nazwiska podskoczylibyście z wrażenia, więc lepiej będzie, jeśli je przemilczę. Dzięki władzy i wpływowi ojca mogłyby wieść beztrudne życie, opływać w bogactwa i piękne stroje, jadać wykwintne potrawy, lecz zdecydowały się zrezygnować z tych wszystkich dóbr dla radosnego gwaru Alkoholandii. Perspektywa zstąpienia dwóch niebianek na ziemię tak poruszyła alkoholandzkich przywódców partyjnych, że aby je powitać, wyruszyli w strugach deszczu na odległe o siedemdziesiąt kilometrów od miasta Lotnisko Brzoskwiniowego Źródła. Niebiankom towarzyszyła matka – żona dostojnego przywódcy, oraz różnej maści sekretarze i sekretarki. Personel lotniskowego hotelu pracował nad przygotowaniem przyjęcia powitalnego dwa tygodnie bez chwili wytchnienia. Niech wam się jednak nie zdaje, drodzy przyjaciele, że Alkoholandia poniosła w związku z tym jakiegokolwiek straty – byłoby to rozumowanie bardzo krótkowzroczne, godne ślepych szczurów. Alkoholandia, owszem, zainwestowała sporo w godne powitanie niebiańskich istot, lecz dzięki temu nawiązała cenne przyjazne kontakty z wysoko postawioną osobą. Wystarczy parę pociągnięć pióra tego wybitnego dostojnika, by Alkoholandia zyskała nowe, wspaniałe możliwości zrobienia doskonałych interesów, a w związku z tym okazałe dochody. W zeszłym roku był on u nas z wizytą i przy okazji wykonał kilka ruchów swoim pisarskim narzędziem. Czy wiecie, co nam się trafiło? Nie zgadniecie. Niskoprocentowa pożyczka w wysokości stu milionów – i to w warunkach powszechnego ograniczania kosztów i złej sytuacji na rynku finansowym. Sto milionów juanów, przyjaciele! Nasza akcja promocyjna „małpiego wina” ruszyła z kopyta, zbudowaliśmy wspaniałe Chińskie Muzeum Winiarstwa i Gorzelnictwa, a w październiku zorganizowaliśmy obchody pierwszego międzynarodowego Święta Małpiego Wina – wszystko dzięki owym stu milionom. Gdyby nie te dwie bliźniacze niebiańskie istoty – czy nasz dobroczyńca kiedykolwiek spędziłby w Alkoholandii całe trzy dni? Tak więc, przyjaciele, nie popadnę w żadną przesadę, nazywając pana Yu Yichiego osobą wybitnie zasłużoną. Słyszałem, że Miejski Komitet Partii kompletuje już odpowiednie dokumenty, by wystąpić o nadanie mu tytułu przodownika na najbliższych obchodach Święta Pracy.

Dwie szlachetnie urodzone damy oddają nam ukłon. Na ich twarzach rozkwitają promienne uśmiechy. Mają piękne rysy, proporcjonalne figury – nie można im zarzucić nic z wyjątkiem niewielkiego wzrostu. Odwzajemniamy ich uśmiechy z szacunkiem, należnym wysoko urodzonym. Witamy szanownych gości. Dziękujemy, dziękujemy.

Restauracja „Yichi”, znana też jako restauracja „Pod Karłem”, jest urządzona naprawdę luksusowo. Podłogę przykrywa gruby na pięć cali dywan z czystej wełny – nasze stopy zapadają się w nim miękko aż po kostki. Na ścianach wykładanych naturalną brzozą z gór Changbai wiszą dzieła wybitnych malarzy i kaligrafów, w

ogromnym akwariem pływają leniwie złote rybki rozmiarów dłoni, egzotyczne kwiaty szaleją w wazonach niczym buchające płomienie. Pośrodku sali stoi czarny osiołek, który wygląda zupełnie jak żywy, dopiero na bliższy rzut oka okazuje się rzeźbą. To przybyciu pary niebianek restauracja „Yichi” zawdzięcza ten niezwykle rozkwit. Przywódcy Alkoholandii nie są głupcami – nigdy nie dopuściliby do tego, by dwa najdroższe skarby, należące do tak wysoko postawionej osoby, pracowały w jakiejś obskurnej prywatnej speluncie. Doskonale wiecie, jak to się robi w dzisiejszych czasach, więc mogę sobie darować szczegółowe sprawozdania z rewolucji, jaka dokonała się w restauracji „Yichi” w ciągu ostatniego roku. Pozwólcie mi tylko na jedną króciutką retrospekcję: zanim matka dwóch niebianek powróciła do Szanghaju, władze miejskie wybudowały specjalnie dla nich nieduży dom w centrum miasta, w sąsiedztwie Parku na Wodzie, oprócz tego każda z siostr otrzymała małego fiata. Być może, wchodząc, zauważyliście dwa fiaciki, zaparkowane pod starym drzewem granatu przed bramą.

Majordomus w czerwonym uniformie i czerwonej czapeczce zbliża się, by nas powitać. Ma posturę dwuletniego dziecka i pasujące do niej drobniutkie rysy twarzy o dziecięcych proporcjach. Idąc po grubym dywanie, kołysze się niczym kaczątko brodzące w błocie. Prowadzi nas jak tłusty mały szczeniak wiodący grupę ślepców.

Schodami z pomalowanych na czerwono sosnowych desek wspinamy się na najwyższe piętro, gdzie czerwony chłopczyk otwiera przed nami drzwi i staje z boku, w pozycji wujaszka-policjanta kierującego ruchem – z lewą ręką zgiętą na piersi, prawą opuszczoną wzdłuż ciała. Sztwno wyprostowanymi dłońmi, lewą skierowaną środkiem do wewnątrz, prawą – na zewnątrz, wskazuje nam kierunek: sala winogronowa.

Proszę, wejdźcie, drodzy przyjaciele, czujcie się jak u siebie – jesteśmy honorowymi gośćmi, a oto nasze honorowe miejsce. Podziwiacie zwieszające się z sufitu kiście winogron, a ja od niechcenia rzucam okiem na chłopca, który nas tu przyprowadził. Jego oczy, sztucznie uśmiechnięte, miotają w naszym kierunku mordercze błyski, jakby strzelały zatrutymi strzałami, wywołującymi gangrenę. Ostry ból atakuje moje gałki oczne, na chwilę tracę wzrok. Ogarnięty ciemnością czuję, jak serce tłucze mi się w piersi. Mały demon, owinięty w czerwoną flagę, którego wymyśliłem, pisząc Mięsnego chłopca i Cudowne dziecko, stanął mi właśnie przed oczami, wlepiając we mnie swoje diaboliczne spojrzenie. Tak, to on, to musi być on! Wąskie oczka, wielkie, mięsiste uszy, kręcone włosy i około dwóch stóp wzrostu. W Cudownym dziecku dokładnie opisałem bunt, który zaplanował i zorganizował w Dziale Zakupów Specjalnych Akademii Kulinarnej. Przedstawiłem go jako małego konspiratora, genialnego stratega. Doprowadziłem opowieść do miejsca, gdzie banda dzieci pod jego przywództwem zamordowała pilnującego ich „łysego sokoła”, po czym rozproszyła się i ukryła na terenie uczelni. W tym momencie odłożyłem pióro. Pierwotnie planowałem, że dzieci zostaną sprawnie wyłapane, aresztowane i doprowadzone do kierowanego przez moją teściową centrum badawczego Akademii Kulinarnej, gdzie czekałoby je gotowanie na parze bądź duszenie w sosie sojowym.

Tylko mały demon miał wymknąć się kanałem ściekowym z terenów Akademii i wpaść w ręce żebraków żywiących się wyłowionymi z kanału resztkami, a następnie rozpocząć na nowo swoje owiane legendą życie. Lecz on nie chciał słuchać moich rozkazów, zdradził mnie i uciekł z mojej historii. Przystąpił do bandy karłów, dowodzonej przez Yu Yichiego. Stał teraz przede mną, w szkarłatnej czapeczce w kształcie łódki, obuty w czarne skórzane lakierki.

Bez względu na wszystko nie wolno mi zaniedbywać gości, toteż tłumię szalejące w moim sercu wiry i sztormy, przywołuję na twarz miły uśmiech i zasiadam z wami do stołu. Miękkie obicia krzeseł, nieskazitelna biel obrusa, zachwycające kwiaty i delikatna muzyka już zawładnęły naszym nastrojem. Trzeba dodać, że w restauracji karłów wszystkie meble – stoły, krzesła – są bardzo niskie, dzięki czemu jest nam tu bardzo wygodnie. Kelnerka podobna do małego ptaszka wnosi tacę pełną sterylnych ręczniczków do rąk. Widok tej drobniutkiej postaci niosącej wielką tacę, która musi być dla niej sporym ciężarem, budzi we mnie szczerze współczucie. Małego demona nigdzie nie widać – wykonał swoje zadanie i poszedł wprowadzać kolejną grupę gości. Mam przeczucie, że jego zniknięcie ma jakiś dodatkowy, złowrogi cel.

Drodzy przyjaciele, abyśmy mogli skorzystać z naszej dwudziestoprocentowej zniżki, muszę skontaktować się z naszym starym przyjacielem Yu Yichim. Pozostawię was na krótką chwilę – możecie w tym czasie zapalić, napić się herbaty, posłuchać muzyki, wyjrzeć przez kryształowo przejrzystą szybę na malowniczy tylny dziedziniec.

Początkowo zamierzałem wraz z wami, szlachetni czytelnicy, oddać się uciechom obficie zastawionego stołu, lecz nasze wnętrza jest niewielkie, a gości sporo – w sali winogronowej mamy tylko dziewięć miejsc. Jest mi niezmiernie przykro, że nie będę wam towarzyszył. Nasze wzajemne relacje powinna cechować otwartość, byście nie mieli powodów wątpić w szczerłość moich intencji. Tak się składa, że znam ten lokal jak własną kieszeń, więc odnalezienie Yu Yichiego nie sprawia mi najmniejszego kłopotu. Otwierając drzwi do jego biura, widzę jednak, że wybrałem niezbyt odpowiedni moment – mój stary druh stoi na biurku i całuje się z apetyczną kobietą o pełnych pośladkach i obfitym biuście. Przepraszam, bardzo przepraszam, niezmiernie mi przykro, zapomniałem o podstawowej zasadzie dobrych manier, która nakazuje pukać przed wejściem...

Yu Yichi zeskakuje z biurka zwinnie i lekko niczym dziki kot. Gdy dostrzega moje zażenowanie, na jego żywej, wesołej twarzy rozkwita szeroki uśmiech.

– Ach, doktor alkoholologii, to ty, przyjacielu! – wita mnie swoim cienkim głosikiem. – Jak tam twoje badania nad „małpim winem”? Śpiesz się, musisz zdążyć przed świętem! Ten twój staruszek teść całkiem zgłupiał – żeby uciekać w jakieś Małpie Góry, mieszkać razem z małpami!

Potok jego wymowy zalewa mnie i przytłacza, lecz ponieważ przyszedłem z prośbą,

mogę tylko cierpliwie słuchać i udawać zainteresowanie. Doczekawszy końca jego wypowiedzi, odzywam się w te słowa:

– Przeprowadziłem przyjaciół na oślinę...

Yu Yichi wstaje, zbliża się do kobiety. Czubek jego głowy znajduje się dokładnie na wysokości jej kolan. Kobieta jest naprawdę piękna. Nie wygląda na niewinną dziewczynę, raczej na młodą mężatkę. Ma pełne, mięsiste wargi, pokryte czymś lepkiem, jakby przed chwilą jadła ślimaki. Yu wyciąga rękę i klepie ją po pośladku, mówiąc:

– Idź, kochanie, i powiedz staremu Shenowi, żeby się nie martwił. Yu Yichi jest mężczyzną twardym i nieustępliwym jak żelazo, a jego słowa zawsze znajdują odbicie w czynach.

Kobieta schyla się swobodnie, pozwalając wydatnym piersiom zawisnąć ciężko tuż przed twarzą Yu Yichiego, który cofa się z grymasem zaskoczenia. Ostrożnie podnosi karła. Różnica wzrostu i wagi między nimi jest na tyle duża, że wyglądają jak matka i syn, lecz ich rzeczywiste relacje są, rzecz jasna, dużo bardziej skomplikowane. Kobieta z dzikim zapałem całuje karła w usta, a następnie rzuca nim jak piłką na stojącą pod ścianą kanapę. Podnosi ręce i mówi czarującym, uwodzicielskim głosem:

– Do zobaczenia, mój malutki stary kumpelku!

Yu Yichi podskakuje na sprężynującym materacu; kobieta odchodzi, kołysząc jaskrawoczerwoną pupą.

– Zmykaj stąd, lisico! – woła Yu Yichi w kierunku jej uroczych pleców.

Zostaliśmy sami. Yu Yichi zeskakuje z kanapy, podchodzi do ogromnego lustra, przygląda włosy i poprawia muszkę, małymi pazurkami delikatnie skrobie się w policzki. Robi szybki obrót w miejscu. Jest bardzo wytworny i dostojny, gdy tak stoi naprzeciw mnie z poważną miną, roztaczając aurę bardzo ważnej osoby. Gdyby nie to, co działo się przed chwilą, dałbym się zwieść temu obrazowi i nie pozwoliłbym sobie na żadne żarciki.

– Stary druhu, widzę, że masz powodzenie u ślicznotek. Jesteś jak ten gronostaj, co zalicza wielbłądzice – gustujesz w większych rozmiarach! – mówię z figlarnym uśmiechem.

W odpowiedzi Yu wydaje z siebie złowrogi rechot. Jego twarz rośnie, nabierając sinoczerwonej barwy, oczy miotają zielone iskry, ramiona rozpościerają się jak skrzydła starego sokoła, zrywającego się do lotu. Wygląda naprawdę groźnie. Znam go od dawna, lecz jeszcze nigdy nie widziałem go w stanie takiej furii. Być może moje żartobliwe słowa uraziły jego ego, myślę i natychmiast żałuję swojego

zachowania.

– Ty nicponiu! – zbliża się do mnie, zgrzytając zębami. – Śmiesz kpić sobie ze mnie?

Cofam się powoli, wpatrzony w jego ostre szpony, drżące z narastającej wściekłości. Czuję, że moje gardło jest w niebezpieczeństwie. Yu sprawia wrażenie, że potrafiłby bez trudu skoczyć mi na szyję i rozszarpać tchawicę z prędkością światła.

– Przepraszam, stary, naprawdę mi przykro... – Już prawie oparłem się plecami o obitą tkaniną ścianę. Wciąż próbuję się wycofać. Nagle doznaję olśnienia. Wymierzam sobie z zapalem kilkanaście policzków: Klap-klap-klap! – rozlega się seria kłaśnieć, twarz mi płonie, dzwoni mi w uszach, widzę wszystkie gwiazdy...

– Przepraszam cię, starszy bracie, zasłużyłem na śmierć, nie jestem godzien miana człowieka, jestem żółwym bękartem, fiutem czarnego osła...

W trakcie moich żalonych popisów jego twarz z sinej staje się biała, uniesione w gniewie ramiona z wolna opadają. Popadam w odrętwienie.

Yu wraca na swój czarny, skórzany obrotowy tron ze śrubą pod siedziskiem. Nie siada na nim, lecz kuca. Wyciąga z pudełka luksusowego papierosa, zapala zapalniczkę – trach! – bucha mocny jak fajerwerk, jasny płomień. Yu zaciąga się głęboko, po czym powoli wypuszcza chmurę dymu, wpatrując się w obrazy na ścianie. Jego twarz przybiera zamyślony wyraz. Głębokie, tajemnicze oczy przypominają mroczne jeziora. Kulę się wciąż w pobliżu drzwi, pełen złych przeczuc. Jakaż tajemnicza siła spowodowała, że ten błazen, przedmiot powszechnych kpín, zamienił się nagle w despotycznego tyrana, rządzącego pokaz siły? I czemu ja, dostojny przyszły doktor alkoholologii, boję się tego żalonego stworzenia, o wzroście nieprzekraczającym półtorej stopy, o wadze nie większej niż trzydzieści funtów?

Odpowiedź przychodzi natychmiast, wyskakuje niczym pocisk z lufy, lecz nie będziemy się nad nią teraz rozwodzić.

– Mam zamiar zaliczyć wszystkie ładne kobiety w Alkoholandii!

Nagle z pozycji kucznej przechodzi do wyprostowanej. Stojąc na swoim obrotowym fotelu, unosząc w górę pięść, oznajmia uroczyście:

– Zaliczę wszystkie ładne kobiety w Alkoholandii!

Rozentuzjasmowany, z twarzą rozciągniętą w uśmiechu, stoi dłuższą chwilę z wyciągniętymi w górę ramionami. Widać, że myśli w jego głowie wiosłują energicznie, a łódź świadomości kołysze się na spienionych falach ducha. Wstrzymuję oddech, bojąc się zakłócić tę podróż.

W końcu rozluźnia się i rzuca mi papierosa.

– Znasz ją? – pyta łaskawie.

– Kogo?

– Tę kobietę, co tu była przed chwilą.

– Nie znam... Ale wydawała mi się znajoma...

– Prowadzi program w telewizji.

– Ach, już sobie przypominam! – mówię, uderzając się dłonią w czoło. – To ta, co stoi z mikrofonem w ręku, uśmiecha się pięknie i łagodnie, lubi dużo mówić i nie przy tym nie powiedzieć.

– To już trzecia! – oznajmia z dziką radością. – Trzecia...

Jego głos nagle chrypnie, oczy tracą blask, zadbana, gładka twarz w jednej chwili pokrywa się zmarszczkami, niewielkie ciało robi się jeszcze mniejsze. Yu kurczy się na swoim tronie.

Pałę papierosa, obserwując ze smutkiem mego dziwnego przyjaciela, nie wiedząc, jak zareagować.

– Ja wam wszystkim pokażę... – jego mamrotanie przerywa ponurą ciszę. – A właściwie to z czym do mnie przyszedłeś? – pyta, unosząc głowę.

– Zaprosiłem przyjaciół, są w sali winogronowej... – jąkam zawstydzony. – To ubodzy inteligenci...

Yu podnosi słuchawkę telefonu, rzuca parę niewyraźnych zdań. Odkłada ją ze słowami:

– Ponieważ wszyscy jesteście moimi przyjaciółmi, urządzam dla was ucztę z całego osła.

Przyjaciele! Ależ mamy szczęście! Uczta z całego osła! Jestem niezmiernie wzruszony i składam głęboki ukłon. Yu nabiera nowego wigoru, zmienia pozycję z siedzącej na kuczną, jego oczy odzyskują blask.

– Podobno jesteś pisarzem? – pyta.

– Takie tam... gówniane eseje... – odpowiadam wystraszony. – Nie ma o czym

mówić, parę dodatkowych groszy dla rodziny...

– Panie doktorze, ubijemy razem interes.

– Jaki interes?

– Napiszesz za mnie moją autobiografię, a ja ci zapłacę dwadzieścia tysięcy.

Z wrażenia serce tłucze mi się w piersi jak szalone, lecz mówię jedynie:

– Boję się, że z moimi miernymi zdolnościami mogę nie podołać tak ważnemu zadaniu.

Yu macha tylko na to ręką.

– Daruj sobie tę fałszywą skromność, już postanowiłem. Będziesz przychodził do mnie w każdy wtorkowy wieczór, a ja będę ci opowiadał swoją historię.

– Ależ starszy bracie, starszy bracie – wyrzucam z siebie – po cóż pieniądze, wystawić pomnik tak niezwykłemu człowiekowi jak ty, to dla mnie, niegodnego, zaszczytny obowiązek – po cóż mówić o pieniądzach?

– Tylko bez hipokryzji. – Uśmiecha się ironicznie. – Pieniądze nawet diabła zapędzą do roboty. Może i są na świecie tacy, co nie kochają forsy, ale jak dotąd jakoś na żadnego nie trafiłem. Tak to już jest, i dzięki temu starszy brat może przysiąc, że zaliczy wszystkie piękne kobiety w Alkoholandii!

– Starszy bracie, twój urok osobisty także ma ogromne znaczenie.

– Phi! Wsadź sobie gdzieś te bzdury. Jak mawiał przewodniczący Mao, „mądrość ludzka polega na samoświadomości”. A teraz – mam już dosyć twojej gadaniny. Zabieraj się stąd.

Wyjmuje paczkę marlboro z szuflady biurka i rzuca w moim kierunku. Łapię papierosy z uprzejmym podziękowaniem i wracam do sali winogronowej. Dołączam do was, drodzy przyjaciele, panie i panowie.

Kilkoro karłów nalewa nam herbatę i alkohole, ustawia talerze i układa sztuce; kręcą się wokół nas, jakby mieli kółka przyczepione do podeszew. Herbata to ulung, a alkohol – maotai, nie ma żadnych lokalnych specjalności, lecz wszystko jest na dobrym krajowym poziomie. Na początek dwanaście zimnych przekąsek, ułożonych w kształt kwiatu lotosu: ośli żołądek, ośla wątroba, ośle serce, ośle flaczki, ośle płucka, ośli ozór i ośle wargi – wszystko ośle.

Przyjaciele, kosztujcie oszczędnie, zostawcie miejsce na więcej – doświadczenie

podpowiada mi, że to, co najlepsze, jeszcze daleko przed nami. Proszę – oto gorące dania. Ostrożnie, drogie panie, nie oparzcie się! Karlica w czerwieni, z czerwoną szminką na ustach i różem na policzkach, w czerwonych butach i czerwonej czapce, cała w szkarłacie od stóp do głów, podobna do czerwonej świecy, toczy się w kierunku naszego stołu, trzymając w wysoko uniesionych rękach talerz z parującym daniem. Z jej maleńkich usteczek niczym perły wypadają słowa:

- Ośle ucho duszone w sosie sojowym, smacznego!
- Ośli mózdzek gotowany na parze, prosimy się częstować!
- Perłowe ośle oczy, prosimy skosztować!

Ośle oczy w zdecydowanych barwach czerni i bieli pływają pośrodku wielkiego półmiska. Przyjaciele, nie obawiajcie się, chwycicie pałeczki – te oczy wyglądają jak żywe, lecz ostatecznie to zwykłe chińskie jedzenie. Powstaje wszakże pewien kłopot – nas jest dziesięcioro, a oczu tylko jedna para – jak je podzielić, żeby było sprawiedliwie? Droga pani, prosimy o pomoc. Pani Czerwona Świeczka uśmiecha się, ujmuje stalowy widelec. Dwa leciutkie ukłucia – i perły pękają. Półmisek wypełnia się galaretowatą masą. Towarzysze, bierzcie łyżki, zgarniajcie i jedzcie, łyżka po łyżce, to danie wygląda rzeczywiście paskudnie, ale za to wybornie smakuje. Specjalnością restauracji „Yichi” jest potrawa o nazwie „czarny smok igrający z perłami”, którego podstawowymi składnikami są ośli penis i para oślich oczu. Dziś jednak szef kuchni przyrzędził dla nas „perłowe ośle oczy” – wygląda na to, że smok sobie nie poigra... Możliwe, że dzisiaj spożywamy oślicę.

Przyjaciele, proszę, nie krępujcie się. Popuście pasa, oswobodźcie swoje brzuchy, objedzcie się do wypęku. Wokół sami moi, więc nie będę wznosił toastów – pijcie do woli i nie martwcie się o rachunek, dzisiaj przejadamy tylko moją krwawicę.

- Ośle żeberka gotowane w winie, smacznego.
- Ośli ozór w zalewie, smacznego.
- Ośle ścięgna duszone w sosie sojowym, smacznego.
- Ośle gardło z gruszką i korzeniem lotosu, smacznego.
- Ośli ogon „złoty bicz”, smacznego.
- Smażone ośle flaczki, smacznego.
- Ośle kopyta w rosole z ogórkiem morskim, smacznego.
- Ośla wątroba w pięciu smakach, smacznego.

Fala oślich dań zalewa nasz stół. Skóra na coraz bardziej wydętych brzuchach napina się jak na bębnach. Co chwila rozlega się bekanie. Twarze wszystkich pokrywa warstwa oślego łożu, przez którą przebija znużenie przypominające zmęczenie osłów obracających młyńskie koło. Towarzysze, jesteście wyczerpani. Przy najbliższej okazji zatrzymuję jedną z kelnerek.

– Ile jeszcze dań nas czeka? – pytam.

– Jakieś dwadzieścia parę, nie wiem dokładnie. Co zrobią, to podaję.

Wskazuję moich przyjaciół.

– Są już bardzo najedzeni. Czy moglibyśmy zrezygnować z kilku dań?

Niezadowolenie maluje się na jej twarzy.

– Zamówiliście całego osła – odpowiada – a chcecie zrezygnować już teraz?

– Naprawdę nie zdołamy już więcej zjeść – mówię błagalnym tonem. – Droga pani, bardzo prosimy powtórzyć w kuchni, by wydano tylko najważniejsze, najbardziej wyjątkowe dania, a z pozostałych zrezygnujemy.

– Rozczarowaliście mnie – odpowiada kelnerka. – Ale niech będzie, powiem im.

Prośba została spełniona. Wniesiono ostatnie danie.

– „Smok i feniks w szczęśliwym połączeniu”, prosimy podziwiać, prosimy kosztować!

Poprosiła nas, byśmy najpierw podziwiali wygląd dania, a następnie zabrali się do jedzenia.

Jedna z pań, z kwaśną miną i niezbyt rozgarnięta, pyta:

– Z których części osła przyrządzono to danie?

Kelnerka odpowiada bez zająknięcia:

– Z narządów płciowych.

Kobieta rumieni się, lecz wypytuje dalej, nie mogąc powstrzymać ciekawości:

– Ależ my przecież jemy jednego osła, więc jak... – ściąga wargi w ryjek, pokazując „smoka” i „feniksa” na talerzu.

– Opuściliście kilkanaście dań, szef kuchni czuł pewien niedosyt – odpowiada kelnerka – więc dodał żeński narząd i skomponował dla was to danie.

Skosztujcie, panie i panowie, częstujcie się swobodnie, oto klejnoty oślego ciała, o wstrętnym wyglądzie, ale wybornym smaku. Nie spróbujecie – to wasza strata, spróbujecie – też na marne, ale jedzcie, dalej, jedzcie, jedzcie, jedzcie „smoka i feniksa w szczęśliwym połączeniu”!

W chwili gdy wszyscy zastygają w niepewności z pałeczkami w dłoniach, mój stary przyjaciel Yu Yichi wkracza do naszej jadalni. Wstaję czym prędzej i przedstawiam go wam:

– To jest słynny pan Yu Yichi, dyrektor restauracji „Yichi”, członek zwyczajny Ludowej Konferencji Konsultacyjnej, członek zwyczajny zarządu Miejskiego Stowarzyszenia Przyjaźni Pisarzy i Przedsiębiorców, przodownik pracy w prowincji, kandydat na przodownika pracy w kraju. To właśnie on jest gospodarzem dzisiejszego przyjęcia.

Yu z promiennym uśmiechem okrąży stół i wymienia z każdym gościem uścisk dłoni, wręcza pachnące wizytówki, gęsto zadrukowane chińskimi ideogramami oraz obcymi napisami. Widzę, że wszyscy jesteście do niego bardzo przyjaźnie nastawieni. Yu rzuca okiem na „smoka i feniksa”, mówiąc:

– No proszę, to też wam podali... Cóż, to oznacza, że jedliście już osła!

Wokół stołu szaleje burza podziękowań; na waszych twarzach, drodzy bracia, rozkwitają przymilne uśmieszki.

– Nie dziękujcie mnie, podziękujcie jemu – Yu wskazuje na mnie. – Nie jest łatwo przyrzucić „smoka i feniksa w szczęśliwym połączeniu”. Danie to jest uważane za niemoralne. W zeszłym roku kilka znanych osób domagało się tej potrawy, lecz bez skutku – nie były wystarczająco wysoko postawione. Mogę więc śmiało stwierdzić: Spotkało was prawdziwe szczęście smakosza.

Opróżnia z nami trzy szklaneczki „czarnej perły” (słynny alkoholandzki trunek, ułatwiający trawienie). Napój ten działa tak mocno, jakby w naszych brzuchach kręciły się z turkotem malutkie maszynki do mięsa.

– Nie przejmujcie się tym zamieszaniem w waszych żołądkach, jest z nami doktor alkoholologii. – Yu znów pokazuje na mnie. – No, dalej, bierzcie się do jedzenia, próbujcie czym prędzej „smoka i feniksa w szczęśliwym połączeniu”. Na zimno nie jest już taki smaczny!

Chwyta pałeczkami smoczą głowę i wkłada do miseczki pani, która była tak

zainteresowana oślimi organami reprodukcyjnymi. Kobieta bez śladu zażenowania pochłania głowę wielkimi kęsami. Pozostali także pracują pilnie pałeczkami. Sprawnie sprzątają z talerza „smoka i feniksa w szczęśliwym połączeniu”, szybko jak wiatr, który czyści niebo z chmur.

– Dzisiejszej nocy nie zmrzycie oka! – oznajmia Yu z chytrym uśmiechem.

Czy domyślacie się, co ma na myśli?

Drodzy przyjaciele, panie i panowie, historia ta powoli dobiega końca, a właściwie już się skończyła. Zaprzyjaźniliśmy się jednak tak bardzo, że z przyjemnością pogawędzę z wami kilka chwil dłużej.

Tamtego wieczoru, gdy po zakończeniu oślej uczty opuściliśmy chwiejnym krokiem restaurację „Yichi”, okazało się, że jest już głęboka noc – niebo skrzyło się gwiazdami, ziemię pokrywała chłodna rosa. Ośła Uliczka lśniła sinawym, wilgotnym blaskiem. Kilka pijanych kotów rozrabiało na dachach domów, aż dzwoniły dachówki. Lodowata rosa przypominała szron, liście drzew po obu stronach Oślej Uliczki opadały pod jej ciężarem. Kilku podchmielonych przyjaciół zaczęło wyśpiewywać pieśni rewolucyjne – oderwane zdania, pasujące do siebie jak ośle wargi do końskich pysków, pomieszane melodie i akcenty; brzmiało to niewiele lepiej od kocich wrzasków. Innych gorszących zachowań nie będę nawet wymieniał. W trakcie całego tego zamieszania od strony wschodniego krańca uliczki dał się słyszeć dźwięczny stukot kopyt. Czarny osiołek, o kopytkach jak kieliszki i oczach jak latarenki, pojawił się nagle przed nami, jakby ktoś wystrzelił w naszym kierunku czarną strzałę. Byłem zdumiony, pozostali także – ci, którzy śpiewali, zakryli usta, podobnie jak ci, którym właśnie zbierało się na wymioty. Wytrzeszczaliśmy nasze pijane oczy, wpatrując się w czarnego osiołka, który galopował ze wschodniego krańca uliczki na zachód, a potem z zachodniego na wschód. Po trzech okrążeniach zatrzymał się pośrodku uliczki. Jego niewielkie ciało lśniło. Nie wydawał żadnych odgłosów – stał tak, nieruchomy i cichy niczym posąg. My również staliśmy jak wryci, czekając, aż rzeczywistość potwierdzi legendę. Nareszcie zadźwięczały dachówki i czarny cień sfrunął z góry prosto na grzbiet osła. Był to młodzieniec z dużym pakunkiem na plecach, jego naga skóra lśniła, jakby była pokryta łuskami, w zębach ścisnął płonący zimnym blaskiem nóż w kształcie liścia wierzby.

Drogi Nauczycielu, Panie Mo Yan!

Witam serdecznie!

Nie umiem wprost wyrazić, co czuję w tej chwili. Mój drogi, szanowny Nauczycielu, Pański list był dla mnie jak butelka przedniego wina, jak piorun podczas wiosennej burzy, jak zastrzyk morfiny, jak potężny haust opium, jak piękna dziewczyna... Tchnął wiosenną radość w moje życie, uzdrowił ciało, ucieszył duszę. Nie ma we mnie ani odrobiny fałszywej skromności – doskonale wiem i nie zawaham się ogłosić publicznie, że przepełnia mnie talent, który dotąd pozostawał w ukryciu, niczym konkubina Yang Yuhuan w swym buduarze, niczym wspaniały rumak, trzymany w wiejskiej stodole i zmuszany do ciągnięcia wozu. Lecz nareszcie pojawili się cesarz Li Shimin oraz słynny Bo Le, znawca koni – mój talent został dostrzeżony przez Pana oraz przez pana Zhou Bao, jednego z tak zwanych „dziewięciu sławnych redaktorów Chin”! Czuję się tak, jak to opisywał poeta Du Fu: „Mam mnóstwo ksiąg i zwojów z wierszami – przepełnia mnie szalona radość!”. Jak to uczcić? Nie ma jak Du Kang! Wyjmuję z kredensu butelkę oryginalnego du kanga, zębami wyciągam korek, przyciskam usta do wylotu szyjki i odchylam głowę daleko w tył. Gul, gul, gul – piję do dna. Radosny i odurzony, czując się, jakbym leciał, biorę pióro, kreślę na papierze tańczące smoki i węże. Unosząc się na wielkiej fali inspiracji, rozkwitając niczym sto kwiatów, jak rozpostarty pawi ogon, piszę do Pana, drogi Nauczycielu.

Zdołał Pan, Nauczycielu, mimo natłoku zajęć, znaleźć chwilkę czasu, by uważnie przeczytać moje dzieło, Oślą Uliczkę – oczy Pańskiego ucznia wypełniają łzy wdzięczności, kapią z oczu i nosa, zalewają twarz. A teraz pozwoli Pan, że odpowiem na pytania, które zadał mi Pan w liście.

1. Czerwono odziany mały demon, występujący na kartach mojej historii, ten, który wzniecił wielki zamęt w krainie mięsnych dzieci, jest rzeczywiście osobą z Alkoholandii, a opisane przeze mnie wydarzenia mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Niektórzy tutejsi urzędnicy są zepsuci do szpiku kości – do tego stopnia, że złamali najświętsze tabu ludzkości – zjadają niemowlęta płci męskiej. Historię tę opowiedziała mi moja teściowa (były profesor Akademii Kulinarnej i dyrektor Centrum Żywności Specjalnej). Mówiła mi, że na peryferiach Alkoholandii leży pewna wioska, gdzie hoduje się dzieci na mięso, i że jest to dla tamtejszych mieszkańców rzecz całkiem zwyczajna – sprzedają swoje „mięsne dzieci” jak małe tuczone prosiaki, nie doświadczając przy tym żadnych dramatycznych przeżyć. Nie sądzę, by moja teściowa mnie oszukała – nie przysporzyłoby jej to ani sławy, ani korzyści, więc po cóż miałaby kłamać? Na pewno mówiła prawdę. Wiem, że cała ta sprawa może mieć poważne konsekwencje, że pisząc o niej, mogę napytać sobie biedy. Lecz nauczył mnie Pan, Nauczycielu, że pisarz powinien odważnie stawiać czoło prawdziwemu życiu, że powinien pisać prawdę, nawet jeśli narazi go to na okrutną śmierć, nie powinien wahać się zaatakować choćby samego cesarza – tak więc pisałem, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Rzecz jasna, wiem o tym, że

dzieło literackie powinno „czerpać z życia i jednocześnie wykraczać poza życie” oraz opisywać „typowe postaci w typowych okolicznościach”, dlatego nieco ożywiłem i podkoloryzowałem postać małego demona w czerwieni – dodałem odrobinę oleju, kapkę octu, szczyptę przypraw. Łuskowaty młodzieniec jest naszym alkoholandskim tajemniczym bohaterem, który czyni dobro i niszczy zło, zwalcza niegodziwców, okrada bogatych i rozdaje biednym. Wszystkie męty z Oślejskiej Uliczki kiedyś doznały jego dobroci i teraz czczą go jak bóstwo. Nie miałem jak dotąd szczęścia stanąć twarzą w twarz z tą godną osobą, lecz fakt, że nigdy owego młodzieńca nie widziałem, nie dowodzi przecież, że jest postacią fikcyjną. Wielu mieszkańców Oślejskiej Uliczki go spotkało, jest znany w całej Alkoholandii, a cokolwiek uczyni w nocy, nazajutrz wie o tym całe miasto. Na wieść o nim urzędnicy partyjni zgrzytają zębami, zwykli ludzie podskakują z radości, a szef bezpieczeństwa dostaje skurczów łydek. Nauczycielu, istnienie tego młodego bohatera jest nieuniknioną konsekwencją rozwoju społecznego. Jego szlachetne czyny łagodzą nastroje, służą jako wentyl bezpieczeństwa dla niepokoju społecznego, mają funkcję stabilizującą i wzmacniającą społeczną solidarność. Jego egzystencja kompensuje niedoskonałe prawo, które zawsze faworyzuje władzę. Jak Pan myśli, dlaczego Alkoholandczycy jeszcze nie powstałi przeciwko zepsutym urzędnikom? Gdzie leży przyczyna? Otóż to – przyczyną jest nasz łuskowaty bohater! Wszyscy spokojnie czekają, aż tajemniczy młodzieniec ukarze niegodziwców. Kara z rąk łuskowatego młodzieńca to kara sprawiedliwa, kara wymierzona przez lud. Łuskowaty młodzieniec jest uosobieniem sprawiedliwości, wykonawcą woli ludu, służą porządku społecznego. Bez łuskowatego młodzieńca chaos w Alkoholandii byłby nieunikniony. Młodzieniec wprawdzie nie może zapobiec niemoralnym postępkom urzędników, lecz może ugasić płomień gniewu ludu. W gruncie rzeczy łuskowaty młodzieniec wyświadcza władzom Alkoholandii wielką przysługę – mimo to jednak jacyś przygłupi urzędnicy wydali Urzędowi Bezpieczeństwa polecenie, by go aresztowano.

Czy łuskowaty młodzieniec i mały demon odziany w czerwień to ta sama osoba? Nauczycielu, proszę wybaczyć uczniowi arogancję – uważam to pytanie za wysoce naiwne. Jakie ma dla Pana znaczenie, czy to ta sama, czy też całkiem różne osoby? Co z tego, jeśli ta sama? Co z tego, jeśli różne? Wszak podstawową zasadą pisarstwa jest stworzyć coś z niczego i swobodnie wymyślać, co tylko się zechce! W dodatku ja wcale nie zmyśliłem sobie tego wszystkiego. Powiem otwarcie: Łuskowaty młodzieniec i czerwony mały demon są jednocześnie i tożsami, i różni. Czasem jeden dzieli się na dwóch, kiedy indziej dwaj stają się jednym. Jeden w dwóch, dwóch w jednym – długotrwała rozłaka powoduje zjednoczenie, długotrwała jedność prowadzi do podziału. Takie jest prawo Niebios – czemu nie miałyby dotyczyć i ludzi?

Pisze Pan w swoim liście, że przesadnie wyolbrzymiłem umiejętności łuskowatego młodzieńca i że stały się przez to niewiarygodne – trudno mi zaakceptować tę krytyczną uwagę. Dziś, gdy nauka codziennie robi tysięczny krok naprzód, w czasach, gdy ludzie potrafią sadzić fasolkę na Księżycu – czy fruwanie ponad dachami bądź też chodzenie po ścianach można jeszcze uznać za coś niezwykłego? Dwadzieścia lat temu w naszej wiosce pokazywano film pod tytułem Dziewczyna o

białych włosach – balet, w którym białowłosa dziewczyna stąpała na czubkach palców. Nie mogliśmy się z tym pogodzić – ta dziewczyna potrafi chodzić w taki sposób, a my nie? Bierzmy się więc do ćwiczeń! Jeśli nie posiadziemy tej sztuki pierwszego dnia, zrobimy to w dwa dni, jeśli nie w dwa, to w trzy, jeśli nie w trzy, to może w cztery albo pięć dni? A czemu nie w sześć czy nawet siedem? Po ośmiu dniach wszyscy – z wyjątkiem naprawdę przygłupiego Drugiego Psa Li – cała nasza paczka nauczyła się chodzić na czubkach palców. Od tamtej pory nasze matki, szyjąc nam buty, umacniały czubki grubszą warstwą materiału. Skoro my, głupie i niezbyt zdolne dzieciaki, zdołaliśmy dokonać czegoś takiego, to co powiedzieć o łuskowatym młodzieńcu, wyposażonym w niezwykle talenty, który na dodatek nosił w sercu zapiekłą nienawiść i ćwiczył swe umiejętności dla zemsty? Czyż w takich warunkach nie mógłby osiągnąć podwójnych rezultatów, przy, dajmy na to, o połowie mniejszym nakładzie pracy niż nasz?

Rozpisywał się Pan, Nauczycielu, na temat powieści o sztukach walki, lecz ja nie przeczytałem ani jednej takiej książki, nie mam też najmniejszego pojęcia, kim są Ji Yong czy Gu Long. Do tej pory zajmowałem się tylko poważną literaturą, taką, jaką tworzyli Gorki czy Lu Xun, i ściśle trzymałem się jedynie słusznego kursu „połączenia realizmu rewolucyjnego z romantyzmem rewolucyjnym”. Nigdy nie zboczyłem z tej drogi nawet na pół kroku. Z całą pewnością nie zamierzam poświęcać swoich zasad tylko po to, by przypodobać się czytelnikom. Z drugiej strony, skoro tak poważny powieściopisarz jak Pan, Nauczycielu, uległ fascynacji powieściami kung-fu, to ja, jako Pański uczeń, także przeczytam kilka z nich – być może przyniesie mi to korzyść. Co do pani kwiatowej pisarki-biedronki, to wydaje mi się, że słyszałem o niej gdzieś w publicznej toalecie. Podobno lubi pisać rzeczy w stylu „z ziemi wyrosła ogromna, krwistoczerwona, cielesna kolumna” – z mocnym podtekstem seksualnym. Nie czytałem żadnej jej książki, lecz gdy tylko znajdę wolną chwilę, poszukam czegoś jej autorstwa do poczytania w ubikacji. Miczurin prowadził burdel w boskim ogrodzie botanicznym – ciekawe, czy Starsza Siostra Kwiat, z głową zdobną w literackie laury, odważy się otworzyć burdel w socjalistycznym ogrodzie powieściopisarstwa.

2. Obawia się Pan, Nauczycielu, że mój „smok i feniks w szczęśliwym połączeniu”, słynne danie z Oślej Uliczki, może zwabić wstrętne muchy. Ja, skromny uczeń, pozwałam sobie twierdzić, że martwi się Pan na wyrost. Czy może być cokolwiek nieprzyzwoitego w potrawie, którą nawet słynni pekińscy krytycy i muzycy pozerają, aż im się uszy trzęsą? Celem naszych dążeń jest piękno, tylko i wyłącznie piękno. A piękno nigdy nie będzie prawdziwe,

jeśli sami go nie stworzymy. Piękno zbudowane z rzeczy pięknych także nie jest prawdziwym pięknem. Prawdziwe piękno może powstać tylko w wyniku przemiany – przemiany brzydoty w piękno. Mamy tu do czynienia z dwiema warstwami znaczeniowymi. Proszę o chwilę uwagi, wszystko powoli wyjaśnię. Po pierwsze, ośli siusiak i ośla cipka, złączone ze sobą i wyłożone na talerz, czarne jak smoła, owłosione, brudne i cuchnące, nie mają w sobie nic pięknego, i chyba nikt nie

odważyłby się czegoś takiego jeść. Lecz szef kuchni restauracji „Yichi” myje oba organy trzykrotnie w czystej wodzie, trzykrotnie płucze je w wodzie zmieszanej z krwią i trzy razy zagotowuje w wodzie z solą. Następnie usuwa z penisa ścięgna i dokładnie wyskubuje owłosienie z obu organów. Potem smaży je na oleju, dusi w glinianym garnku, gotuje na parze pod ciśnieniem, po czym wykonuje delikatną, mistrzowską robotę nożem – wycina w nich najróżniejsze wzory. Dorzuca rzadkich, wykwintnych przypraw, dekoruje danie świeżymi środkami kapusty w kolorze żywej zieleni. W taki oto sposób męski organ zmienia się w czarnego smoka, a żeński – w czarnego feniksa. Smok i feniks, złączone wargami i organami płciowymi, wiją się wśród jaskrawych barw, odurzają zapachem, wyglądają całkiem jak żywe – cieszą oko i radują umysł. Czyż nie jest to prawdziwa przemiana brzydoty w piękno? Po drugie, siusiak i cipka to słowa przykre dla oka, drażniące dla ucha i nieobyczajne, mogące ludziom o słabej woli podsunąć nieodpowiednie skojarzenia. A teraz pierwsze słowo zamieńmy na „smok”, drugie na „feniks”. Smok i feniks to święte totemy chińskiego narodu, to piękne, wzniosłe symbole, kryjące w sobie miliony znaczeń, zbyt licznych, by je tu opisywać. Sam Pan widzi: czyż nie jest to przemiana okropnej brzydoty w najczystsze piękno?

Nauczycielu, nagle uderzyło mnie, jak bardzo są do siebie podobne te dwa procesy: przyrządzanie sławnego dania z Ośleń Uliczki i proces twórczy w literaturze i sztuce. Obydwa czerpią z życia i wykraczają poza życie. Oba polegają na przekształcaniu natury w celu uszczęśliwienia ludzkości, na przemianie niemoralnego w szlachetne, na przemianie cielesnej chuci w sztukę, ziarna w alkohol, rozpaczy w siłę. Tak więc, bez względu na to, jak bardzo mrozące krew w żyłach wizje będzie Pan przede mną roztaczał, nie sprzątnę tego dania ze stołu.

Szanowny Nauczycielu, Radość i Czerwona szarańcza to według mnie Pańskie najznakomitsze dzieła. Ci, co Pana za nie atakują, obżarli się pewnie niemowląt i łożysk, co przyprawiło ich o nadmiar wewnętrznego gorąca – gorąco poszło do góry i ugotowało im mózgi. Niech Pan się nie przejmuje tymi bzdurami, które wygadują. Przewodniczący naszego alkoholandzkiego stowarzyszenia pisarzy nie potrafi przeżyć jednego dnia bez zjedzenia łożyska. Codziennie wypija sporą miskę zupy z łożyska rozbełtanego z kaczymi jajami, pewnie dlatego jego artykuły są tak bardzo „ludzkie”.

3. Yu Yichi jest nader dziwaczną, enigmatyczną postacią – okropnie się go boję. Chce, żebym napisał jego biografię, i obiecał mi spory zarobek. Mam bardzo mieszane uczucia. Lecz skoro tak mnie Pan zachęca do pisania, postaram się nałykać odwagi jak zupy, i, tak pokrzepiony, wezmę się do tej roboty. Mam tym większą nadzieję, że zechce Pan ze mną współpracować. Jest Pan bardzo sławny – jeżeli zgodzi się Pan pracować nad biografią Yu Yichiego, ten będzie aż kręcił tyłkiem z radości. Nie ma Pan pojęcia, jaki to przesłodka widok, Yu Yichi kręcący

tyłkiem – wygląda jak malutki pekińczyk, hasający radośnie w śniegu. Ten facet śpi na pieniądzach i ma szeroki gest – co sięgnie do kieszeni, wyciąga tysiąc juanów. Na

pewno nie będzie Panu niczego skąpił. Poza tym powinien Pan, Nauczycielu, koniecznie odwiedzić naszą Alkoholandię, rozejrzeć się, poszerzyć horyzonty – myślę, że wizyta u nas może się okazać tak korzystna dla Pańskiej twórczości, jak uczta z niemowlęcia dla zdrowia. Jeśli odmówi Pan przyjazdu do Alkoholandii, będzie to ogromna strata; obojętne, z której strony na to patrzeć, powinien Pan się tu pojawić, choćby po to, by skosztować naszego „smoka i feniksa w szczęśliwym połączeniu”.

4. Co do wstępnego fragmentu Ośleń Uliczki – cieszę się, że docenił Pan jego ozdobność, ale nie rozumiem, dlaczego przeszkadza Panu brak „głębszego sensu”? W dzisiejszych czasach publikuje się tyle różnych pokrętnych nonsensów; nie widzę powodu, dla którego ja miałbym „wyrzucać” moją „paplaninę”. Nie chcę i nie mogę zaakceptować tej sugestii.

5. Pierwowzór ojca sióstr karlic jest jednym z członków rządu centralnego, po cóż każe mi Pan obniżyć jego pozycję? Zresztą przypuśćmy, że zesłałbym go do jakiejś zapadłej górskiej wioski i obsadził na stanowisku sołtysa – jak by to przyjął? Nie obeszloby się chyba bez śmiertelnej walki. Z drugiej strony, literatura i sztuka to przecież fikcja; kto koniecznie chce szukać odpowiedników fikcyjnych postaci w rzeczywistości – niech sobie szuka, nie moja sprawa. A jeśli serce pęknie ojcu sióstr ze złości, a ja będę musiał przyplącić to życiem? Taki los. „Wojownik nie boi się śmierci, więc śmiercią go nie wystraszysz.” „Obcięcie głowy to tak, jakby wiatr stracił czapkę”, „za dwadzieścia lat znowu będę bohaterem”.

Panie Nauczycielu, proszę w moim imieniu zapytać panów Zhou Bao i Li Xiaobao, czy nie chcieliby dostać czegoś dobrego do picia. I jeszcze jedno – w październiku odbędzie się w Alkoholandii Święto Małpiego Wina, nie muszę chyba dodawać, że jest to niezwykle ważne wydarzenie w kręgach smakoszy alkoholu, nie tylko w Alkoholandii, ale i w całych Wielkich Chinach. W czasie obchodów mężczyźni śmiałowicie z różnych stron świata będą mogli bez ograniczeń raczyć się najlepszymi trunkami. Panie Mo Yan, Pan także może się opić do syta najwspanialszymi napojami! Serdecznie zapraszamy, również Pana rodzinę. Mój teść, profesor Yuan Shuangyu, jest wiceprzewodniczącym komisji doradczej Pierwszego Święta Małpiego Wina; wszystko jest już załatwione, niczego Panu nie zabraknie.

Z życzeniami zdrowia

Pański uczeń, Li Yidou

(pisane po pijanemu)

I

Rękami długimi jak u małpy Ding Gou’er ciasno obejmował kobietę w pasie, zręcznie przyciskając swoje usta do jej ust. Kobieta kręciła głowę, usiłując się oderwać, lecz on podążał za jej ruchami, udaremniając wszelkie próby. W trakcie całej tej szamotaniny zdołał wessać mięsiste wargi w całości do swoich ust.

„Cholera! Ty cholerny...!” – bełkotała. Cholery strzykały prosto w jamę ustną Ding Gou’era, wsiąkały w jego język, dziąsła i gardło. Ding wiedział z doświadczenia, że protesty wkrótce ustaną, że twarz kobiety obleje się rumieńcem, oddech przyśpieszy, brzuch zrobi się gorący – a ona uspokoi się w jego ramionach, łagodna i przymilna jak małe kocię. Wszystkie kobiety się tak zachowują. Rzeczywistość jednak wkrótce dowiodła, że tym razem popełnił błąd generalizacji. Usta Dinga wcale nie podziały na kobietę jak narkotyk, jej aktywny opór bynajmniej nie osłabł pod ich naciskiem – wręcz przeciwnie, stał się jeszcze bardziej gwałtowny, jeszcze bardziej szaleńczy. Wbijając pazury w plecy Ding Gou’era, kopała go po nogach, tłukła kolaniem w żołądek. Jej brzuch parzył jak rozżarzone węgle, smak jej warg upajał niczym mocna wódka; Ding Gou’er, niezwykle podniecony, był gotów na dowolnie bolesne doznania, byle tylko nie tracić kontaktu z tymi upojnymi ustami. Usiłował nawet wepchnąć język między zacisnięte zęby. To go zgubiło.

Nie podejrzewał, że rozwarte na moment szczęki okażą się pułapką – czym prędzej wepchnął język do środka.

Jedno kłapanie zębów – śledczy zawył, fale ostrego bólu rozeszły się z czubka jego języka w kierunku wszystkich zakątków ciała. Jego ręce gwałtownie puściły talię kobiety. Odskoczył. Poczul nieprzyjemny, słodkawy smak. Usta wypełniła mu fala gorącej cieczy. Zakrył je ręką, w myślach nadal jęczał z bólu. Kiepska sprawa – odgryziony język. W całej romansowej karierze śledczego byłaby to pierwsza tak bolesna porażka. „Ty dziwko, ty kurewski pomiole!” – wyzywał w myślach kobietę, schylając głowę, by wypluć porcję świeżej krwi. Gwiazdy na niebie świeciły wspaniale, lecz nisko przy ziemi panował mrok. On jednak był pewien, że wypluta ciecz jest krwią, choć nie widział jej koloru. Najbardziej niepokoił go stan języka. Spróbował dotknąć go górną wargą i zębami – okazało się, że jest cały, z wyjątkiem ubytku wielkości ziarnka soi na samym koniuszku. To z tego miejsca ciekła krew.

A więc język nadal był na swoim miejscu – kamień spadł Ding Gou’erowi z serca, lecz pocałunek ten kosztował go stanowczo zbyt wiele. Był wściekły, chciał dać

kobiecie nauczkę, ale ze zdenerwowania miał taki zamęt w głowie, że nie wiedział, co robić. Stała naprzeciw niego, bardzo blisko – słyszał wyraźnie jej ciężki oddech, przez cienką koszulę czuł ciepło jej ciała. Patrzyła na niego z uniesioną głową. Nagle, nie wiadomo skąd, w ręku kobiety pojawił się klucz francuski. W coraz jaśniejszym świetle gwiazd wyraźnie dostrzegł złość na jej żywej twarzy. Miała w sobie coś z krnąbrnego dzieciaka. Mimo woli zaśmiał się gorzko.

– Ostre masz ząbki – wybełkotał.

Kobieta dyszała ciężko.

– I tak nie gryzłam z całej siły. Potrafię przegryźć drut numer dziesięć!

Po tej krótkiej wymianie zdań nastrój śledczego wyraźnie się poprawił, ból języka ustąpił miejsca odrętwieniu. Wyciągnął rękę, by poklepać swoją towarzyszkę po ramieniu. Odskokzyła gwałtownie, unosząc rękę z kluczem.

– Tylko spróbuj mnie tknąć, a zatłukę cię na śmierć! – krzyknęła.

Cofnął rękę.

– Dziewczyno – rzekł – nic ci nie zrobię, słowo daję. Może byśmy pogadali spokojnie, co?

Kobieta opuściła narzędzie.

– Nalej wody do chłodnicy! – rozkazała zduszonym głosem.

Zapadała coraz głębsza noc. Ding Gou'er poczuł chłodny powiew na plecach. Posłusznie podniósł wiadro i nalał wody do chłodnicy. Otoczyły go kłęby pary z silnika – ogrzał się nieco. Wlana do chłodnicy woda gulgotała głośno, niczym spragniona krowa u wodopoju. Spadająca gwiazda przecięła Drogę Mleczną, wokół rozbrzmiewało cykanie owadów, z oddali dobiegał szum jakby fal morskich uderzających o brzeg.

Gdy już zasiedli w szoferce, Ding popatrzył przez okno na jasne światła Alkoholandii. Nagle poczuł się ogromnie samotny, jak jagnię, które zgubiło swoje stado.

Ding Gou'er siedział na miękkiej kanapie w mieszkaniu kobiety-kierowcy. Czuł się kompletnie odurzony. Przepocone, cuchnące alkoholem ubrania leżały rozrzucone na balkonie, gdzie roztaczały swe wonie ku rozległym przestrzeniom nocnego nieba. Ciało śledczego otulał obszerny, miękki, puszysty i ciepły szlafrok. Mały, zgrabny

pistolecik i magazynek z kilkudziesięcioma nabojami leżały na herbacianym stoliku, lufa lśniła niebieskawo, naboje migotały złocistym blaskiem. Ding przechylił się do tyłu i ze zmrużonymi oczami nasłuchiwał szumu wody dochodzącego z łazienki, wyobrażając sobie, jak gorące strumienie z prysznicza obmywają ramiona i piersi kobiety. Wszystko, co wydarzyło się od czasu, gdy został ugryziony w język, wydawało mu się snem. Odkąd wsiedli do ciężarówki, nie odezwał się ani słowem, kobieta również milczała. Uważnie, choć nieco rutynowo przysłuchiwał się równemu buczeniu silnika i szumowi kół na drodze. Ciężarówka mknęła jak wiatr; w szybkim tempie zbliżali się do Alkoholandii. Czerwone światło, zielone światło. Zakręt w lewo, zakręt w prawo. Wóz wjechał na teren Uniwersytetu Gorzelnictwa przez boczną bramę i zatrzymał się na placu wyładunku węgla. Kobieta wysiadła, Ding także. Szła, on za nią, zatrzymała się, on stanął również. Wyglądało to nieco dziwnie, lecz jednocześnie było całkiem naturalne. Mógłby przecież być jej mężem bądź bliskim przyjacielem. Uroczyście wkroczyli do jej mieszkania. Teraz on siedział na kanapie, popijając wino, a jego żołądek radośnie trawił przygotowany przez kobietę smaczny posiłek. Podziwiał gustownie i przytulnie urządzonego pokój, czekając, aż jego towarzysza wyjdzie z łazienki.

Od czasu do czasu bolesne ułknięcie w języku budziło jego czujność na nowo – być może to wszystko było tylko kolejną, jeszcze większą pułapką. Mało prawdopodobne, żeby mieszkanie to nie miało żadnego męskiego lokatora. Może za chwilę wpadnie tu jakiś brutal? A niech wpada choćby i dwóch brutalni – ja nie zamierzam stąd wychodzić, pomyślał. Wypił do dna słodkie wino i padł w czułe objęcia marzeń.

Wyszła z łazienki w kremowym płaszczu kąpielowym, narzuconym na ramiona, i jaskrawoczerwonych domowych pantoflach na koturnie. Szła, po mistrzowsku kołysząc biodrami, jak zawodowa tancerka. Parkiet trzeszczał przy każdym jej kroku. Całą kobiecą postać spowijał złoty blask lampy. Włosy przylegały ciasno do głowy okrągłej jak tykwa. Tykwa lśniła, unosząc się na ciepłych falach złotego światła, wzmocnionego przez biel szlafroka. „Jedną ręką zbieraj owoce rozkwitu, drugą – odtrącaj rozpasanie” – nagle, nie wiadomo skąd, przyszedł Dingowi do głowy popularny slogan. Stała przed nim ze skrzyżowanymi nogami, w szlafroku luźno przewiązanym paskiem. Na śnieżnobiałym udzie widniało czarne znamię, przypominające czujnie patrzące oko. Pod rozchylonym do pasa okryciem piętrzyły się dwa sporych rozmiarów śnieżnobiałe pagórki. Ding leżał nieruchomo, z przymkniętymi oczami, podziwiając ten piękny widok. Wystarczyło sięgnąć i pociągnąć za pasek otaczający talię kobiety, by ukazała mu się w pełnej krasie. Bardziej przypominała arystokratkę niż kierowcę ciężarówki. Zlustrowawszy wcześniej mieszkanie i jego wyposażenie, śledczy doszedł do wniosku, że mąż tej pani na pewno nie jest byle kim. Teraz Ding palił papierosa i patrzył na nią, jak szczywaną lis na tkwiącą w pułapce przynętę.

– Tylko obserwacja, żadnych działań? – rzuciła z irytacją. – Co z ciebie za członek partii?

– Właśnie taką metodę stosują tajni działacze komunistyczni wobec kobiet szpiegów  
– odparł Ding Gou'er.

– Naprawdę?

– Nie, w filmach.

– Jesteś aktorem?

– Uczę się grać.

Powolnym ruchem rozwiązała pasek, poruszyła ramionami – szlafrok wylądował u jej stóp. Smukła i wdzięczna, błysnęło w umyśle śledczego.

– I jak? – spytała, podtrzymując piersi dłońmi.

– Nieźle – odrzekł śledczy.

– To jaki będzie następny krok?

– Dalsza obserwacja.

Ujęła w dłoń pistolet śledczego, naładowała go z widoczną wprawą i cofnęła się o krok, stając w odległości

odpowiedniej do oddania strzału. Jej ciało wyglądało jak pokryte złotem, nie całe oczywiście – na przykład otoczki sutków miały kolor ciemnoczerwony, a same sutki przypominały jaskrawoczerwone owoce jojoby. Z wolna uniosła broń, celując w głowę śledczego.

Śledczy lekko drżał, wpatrzony w lśniącą niebieskawo lufę i czarną czeluść wylotu. Zawsze to on mierzył w cudze głowy, on występował w roli kota obserwującego mysz szamoczącą się w uścisku jego ostrych pazurów. Większość owych myszy w obliczu śmiertelnego zagrożenia trzęsła się ze strachu i sikała po nogach. Tylko nieliczne potrafiły zachować pozory spokoju, lecz drgająca opuszka palca czy kącik ust zawsze zdradzał ich przerażenie. Teraz kot stał się myszą, sądzący – sądzonym. Ding przyglądał się swojej broni z taką uwagą, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Niebieskawy, porcelanowy połysk zachwycał niczym dojrzały bukiet starego wina, wdzięczny kształt emanował złowrogim pięknem. Pistolet był bogiem, przeznaczeniem, czarnym duchem śmierci. Biała, spora kobieca dłoń dzierżyła mocno kolbę pokrytą wypukłym wzorem, długi i smukły palec wskazujący spoczywał na spuście, w pozycji gotowej do oddania strzału. Ding z doświadczenia wiedział, że trzymany w ten sposób pistolet nie jest już kawałem zimnego żelaza, lecz żywą istotą, która myśli, czuje, ma swoją kulturę i moralność. W jej ciele kryje

się bogactwo duszy. Dusza ta jest duszą tego, kto trzyma pistolet. Dzięki tym wszystkim wędrówkom myślowym spięty umysł śledczego rozluźnił się bezwiednie. Nie skupiał się już na czarnym otworze, z którego w każdej chwili mogła wystrzelić kula. Wylot z powrotem stał się zwykłym otworem w pistolecie. Ding zaciągnął się leniwie dymem z papierosa.

Zauważył ze zdumieniem, że naga młoda kobieta, trzymająca gotową do wystrzału broń, przedstawia widok niezwykle prowokujący i seksowny. Pistolet przestaje być zwykłym pistoletem – przeradza się w organ seksualnego ataku, w żywe narzędzie seksu. Ding Gou'er nigdy nie należał do tych członków partii komunistycznej, którzy odwracają wzrok na widok nagiej kobiety. Jak już wcześniej wspomniano, miał kochankę o ognistym temperamencie. Dla dopełnienia obrazu – również kilka przygodnych romansów. W normalnych okolicznościach już dawno trzymałby to jagniętko w objęciach – silny niczym tygrys, który zstąpił z gór. Jego obecne wahanie miało dwie przyczyny: po pierwsze – od momentu, gdy trafił do Alkoholandii, wciąż czuł się zagubiony i niepewny siebie, jakby zabłądził w wielkim labiryncie. Po drugie, rana na czubku języka nadal dawała znać o sobie. W obliczu tego demonicznego motyla, tej perwersyjnej samicy, bał się uczynić jakiś nieostrożny ruch, zwłaszcza że jego głowa wciąż znajdowała się naprzeciwko czarnego otworu pistoletu. Jaką miał gwarancję, że demoniczny motyl nie pociągnie za spust? Strzelanie jest jednak znacznie łatwiejsze niż gryzienie, jest też dużo bardziej cywilizowane, nowocześniejsze, bardziej romantyczne. Duże, ładnie urządzone mieszkanie kobiety dziwnie kontrastowało z jej ciężką, fizyczną profesją. „Pocałowałem ją tylko i omal nie straciłem języka – a co, jeśli... Czy mogę być pewien bezpieczeństwa tych skarbów, które noszę między nogami?” Śledczy powstrzymał więc „burżuazyjne skłonności do promiskuityzmu” i przyjąwszy postawę „szlachetnej proletariackiej skromności”, siedział nieporuszony, jak góra Tai, naprzeciw kobiety z gołym zadkiem i czarnego wylotu lufy pistoletu – godnie, emanując niezwykłym spokojem – rzadki

okaz odwagi i bohaterstwa. Niewzruszenie obserwował dalszy przebieg wydarzeń.

Twarz kobiety oblewała się coraz mocniejszym rumieńcem, sutki aż drżały z podniecenia, jak wydłużone pyszczki małych zwierzątek. Śledczy z trudem powstrzymywał chęć rzucenia się na nie z zębami. Poczul jednak ukłucie w języku i pozostał na miejscu.

Kobieta westchnęła cicho.

– Poddaję się – oznajmiła.

Rzuciła pistolet na stół, ostentacyjnym gestem podniosła ręce do góry.

– Poddaję się... poddaję się...

Unosząc ręce, rozstawiła nogi. Otworzyła przed nim szeroko wszystkie bramy swojego ciała.

– Naprawdę nie chcesz? – spytała ze złością. – Nie podobam ci się?

– Wręcz przeciwnie, jesteś bardzo ładna – odrzekł leniwie śledczy.

– No to o co chodzi? Wykastrowali cię? – kpiła.

– Boję się, że mi coś odgryziesz.

– Samce modliszki zawsze umierają na ciałach samic, a i tak na nie włożą.

– A co to ma do rzeczy? Nie jestem samcem modliszki.

– Ty pieprzony tchórzliwy typie! – krzyknęła. – Spadaj stąd! – rzuciła, odwracając się tyłem. – Będę się masturbować!

Śledczy poderwał się i złapał ją od tyłu, chwytając dłonią za pierś. Zwisła w jego objęciach, po czym odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego. Nie mogąc się oprzeć, zbliżył usta do jej ust – już dotykał rozpalonych warg, gdy kolejne ukłucie bólu przeszło mu język.

– Auuu! – wrzasnął, cofając się gwałtownie.

– Nie ugryzę cię... – powiedziała, odwracając się do niego, i zaczęła go rozbierać. Zdejmowała ze śledczego ubranie, sztuka po sztuce, a on pomagał jej posłusznie, jak samotny wędrowiec napadnięty przez rozbójników. Zerwała z niego szlafrok i cisnęła do kąta, następnie pozbawiła go slipów i podkoszulka, które zarzuciła na żyrandol. Ding spojrział w górę i opanowała nim nagła chęć, by ściągnąć je z powrotem. Pragnienie było tak silne, że zdecydował się „wyrwać cebulę, póki czas”. Podskoczył na dobre trzydzieści centymetrów w górę – zdołał dotrzeć swojej bielizny koniuszkiem palca prawej ręki, lecz jego stopy zbyt szybko wylądowały na dywanie. Spróbował jeszcze raz, ale kobieta podcięła go i padł jak długi na podłogę.

Zanim zdążył wrócić do siebie, jego partnerka już go dosiadła. Chwyliła go obiema rękami za uszy i zaczęła podskakiwać na pośladkach, w górę i w dół, z dźwięcznym klaskaniem. Ding Gou'er czuł się, jakby wyciskano z niego wnętrzości; nie był w stanie powstrzymać rozpaczliwych wrzasków. Kobieta sięgnęła po cuchnącą skarpetkę i wepchnęła mu ją do ust. Jej zachowanie było dzikie i brutalne, nie miało w sobie nic z kobiecej łagodności. Usta Dinga wypełniał paskudny, trudny do zniesienia smak, śledczy miał ochotę krzyczeć. To ma być uprawianie miłości? Przypomina raczej świniobicie. Jego świadomość już miała rozkazać ręką, by zepchnęły kobietę-rzeźnika z jego ciała, lecz ona, niczym wytrawny myśliwy, przewidziała ruch ofiary i zawczasu przygwoździła mu nadgarstki. Ding Gou'orem

miotwały sprzeczne uczucia – chciał walczyć i jednocześnie nie chciał. Przyczyny chęci do walki zostały już opisane; przyczyną niechęci były odczucia w dolnych partiach jego ciała, które właśnie przechodziły próbę krwi i ognia. W końcu zamknął oczy, zdając się na wyroki boskie.

Potem wydarzyło się, co następuje:

Gdy kobieta, zlana potem i rozgrzana, tarzała mu się po brzuchu, wijąc się jak piskorz, Ding usłyszał nad sobą szyderczy śmiech.

Otworzył oczy. Oślepił go błysk flesza, następnie usłyszał serię trzasków migawki, a w końcu terkot automatycznie przewijanego filmu. Poderwał się gwałtownie do siadu, celując pięścią w roznamiętnioną twarz kobiety. Trafił – kobieta padła na wznak przy akompaniamencie kolejnych trzasków i błysków, jej ramiona osunęły się na stopy Dinga, podbrzusze ujawniło wszystkie swoje tajemnice. Kolejna seria błysków – i historyczna scena z udziałem śledczego i kobiety-kierowcy została uwieczniona na zdjęciach przez współspiskowca.

– No dobra, towarzyszu śledczy Ding Gou’er, mamy ze sobą do pogadania – rzekł Jin Gangzuan szyderczym tonem, wkładając film do kieszeni. Założył nogę na nogę i rozsiadł się wygodnie na kanapie. Mówiąc, umyślnie poruszał mięśniem prawego policzka, ku najwyższemu obrzydzeniu Dinga.

Ding Gou’er zepchnął z siebie oszołomioną kobietę i spróbował wstać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa – były tak zdrętwiałe, jakby tknął je paraliż.

– Wybornie! – rzekł Jin Gangzuan, poruszając policzkiem. – Pan śledczy, osoba na odpowiedzialnym stanowisku, sparaliżowany od pasa w dół z przedawkowania cielesnych rozkoszy!

Patrząc w tę przystojną, wypielegnowaną twarz, Ding Gou’er poczuł, że ogień wściekłości bucha mu w piersiach, a gorąca krew rozplywa się po całym ciele. W zimnych jak lód nogach poczuł mrowienie – roiły się tam tysiące małych owadów. Podpierając się rękami, z wysiłkiem przyjął niepewną pozycję stojącą. Zablockowane naczynia krwionośne nagle się odetkały. W myślach komentował własne ruchy: „Śledczy wstaje. Rozprostowuje ręce i nogi, bierze ręcznik, wyciera ciało z potu oraz z lepkich wydzielin, które na jego brzuchu pozostawiła żona czy też kochanka Jin Gangzuana, wicedyrektora alkoholandzkiego działu propagandy. Wycierając się, żałuje swoich obaw sprzed kilku chwil. Nie popełniłem żadnego przestępstwa – wpadłem tylko w pułapkę zastawioną przez przestępców”.

Rzucił ręcznik, który z wolna sfrunął na podłogę u stóp Jin Gangzuana. Policzek wicedyrektora drgał jak szalony, jego twarz poszarzała.

– Masz naprawdę niezłą kobietę, szkoda jej dla takiego ciemnego typu jak ty.

Ding czekał na wybuch gniewu, lecz Jin Gangzuan tylko roześmiał się w głos. Jego śmiech brzmiał tak groteskowo i dziwacznie, że Ding się wystraszył.

– Z czego się śmiejesz? Myślisz, że zagłuszysz własne wyrzuty sumienia?

Jin Gangzuan przestał się śmiać, wyciągnął chusteczkę i otarł łzy.

– Towarzyszu Ding Gou'er – rzekł – który z nas ma powód do wyrzutów sumienia? Włamałeś się pan do prywatnego lokalu, zgwałciłeś mi żonę, na co mam niezbite dowody – postukał w pudełko z filmem w kieszeni. – Jesteś pan funkcjonariuszem w służbie prawa – ciągnął – który z pełną świadomością prawo złamał, co dodatkowo zwiększa ciężar winy. – Cmoknął kącikiem warg. – I kto tu powinien czuć się winny?  
– zakończył zjadliwie.

Ding Gou'er zazgrzytał zębami.

– To twoja żona zgwałciła mnie!

– A to ci dopiero! – rzekł Jin Gangzuan, ruszając policzkiem. – Uzbrojony mężczyzna w sile wieku, mistrz wu-shu, zgwałcony przez bezbronną kobietę!

Spojrzenie śledczego padło na dziewczynę. Klęczała na podłodze, z zamglonym spojrzeniem, jak odurzona, z obu nozdrzy kapiała jej świeża krew. Serce Ding Gou'era zadrżało – przyjemne wspomnienie jej rozgrzanego łona powróciło niepowstrzymaną falą. Oczy go piekły, poczuł napływające łzy. Ukląkł, by podnieść z podłogi rzucony niedbale szlafrok i wytarł nim krew z nosa i ust kobiety. Gorąco żałował swojego mocnego uderzenia. Dwie białawe krople pojawiły się na wierzchu jego dłoni. Łzy jak grochy sypały się z oczu kobiety – pi-pi-pa-pa.

Ding Gou'er objął ją, położył na łóżku, przykrył kołdrą. Następnie podskoczył, ściągnął z żyrandola slipy i podkoszulek, włożył je, po czym otworzył drzwi balkonu, by zabrać spodnie i koszulę. Ubrał się. Sięgnął po leżący na stoliku pistolet i pod spojrzeniem ruszającego policzkiem Jin Gangzuana zabezpieczył go, wetknął za pasek i usiadł.

– Wyłóżmy karty na stół – rzekł.

– Jakie karty? – zainteresował się Jin Gangzuan.

– Nie udawaj pan głupiego.

– Ja się nie wygłupiam, ja cierpię.

– A jakież jest powód tych cierpień?

– Cierpię, bo właśnie się dowiedziałem, że nasza partia wydała ze swego łona takiego degenerata jak wy!

– Jestem degeneratem, bo uwiodłem pana żonę – zgadza się, to objaw degeneracji. Ale są tu tacy, co gotują i zjadają dzieci! To nie ludzie, to dzikie bestie!

– Ha ha ha! – roześmiał się Jin Gangzuan, klaszcząc w dłonie. – A cóż to za baśnie tysiąca i jednej nocy? – zapytał, gdy już skończył się śmiać. – Mamy tu w Alkoholandii pewne specjalne danie, owoc wspaniałej wyobraźni i twórczego zapachu. Jedli je członkowie rządu centralnego i pan też je jadł. Jeżeli my jesteśmy dzikimi kanibalami, to pan również nim jest!

– Skoro pan ma czyste sumienie, to po co ten cały erotyczny spisek przeciwko mnie?

– Tylko wy, wyrzutki z prokuratury, możecie mieć taką chorą wyobraźnię! – odrzekł Jin Gangzuan gniewnym tonem. – A teraz, wasza ekscelencjo, chciałbym w imieniu Miejskiego Komitetu Partii oraz władz naszego miasta przekazać, co następuje: Serdecznie witamy w naszym mieście śledczego Ding Gou'era z prokuratury. Jesteśmy gotowi zaoferować mu wszelką pomoc w śledztwie.

– Mógłby pan bez trudu wstrzymać to śledztwo – rzekł Ding Gou'er.

Jin Gangzuan poklepał się po kieszeni.

– Ściśle rzecz biorąc, oboje przyłożyliście się do tej zdrady. Wprawdzie zachował się pan obrzydliwie, lecz to jeszcze nie przestępstwo. Mógłbym wygnać pana stąd jak psa, lecz w imię podporządkowania prywatnych interesów dobru ogółu nie będę panu przeszkadzał w kontynuowaniu pańskiej misji.

Jin Gangzuan otworzył barek, wyjął flaszkę maotai, odkręcił ją i opróżnił, nalewając alkohol do dwóch sporych szklanek. Jedną z nich postawił przed Ding Gou'orem, a drugą wznosił, mówiąc:

– Wypijmy za powodzenie pańskiego śledztwa!

Brzęknął szklanką o szklankę Dinga, odchylił głowę i jednym haustem wypił swoją porcję maotai. Z pustą szklanką w dłoni, ruszając policzkiem, obserwował Ding Gou'era błyszczącymi oczyma.

Ding Gou'er na widok tych drgawek poczuł wzbierającą złość. Uniósł szklankę i – raz kozie śmierć! – wlał w siebie całą jej zawartość.

– Znakomicie! – pochwalił go Jin Gangzuan. – To się nazywa mężczyzna!

Wyjął z barku całą baterię butelek, same markowe trunki.

– A teraz zobaczymy, kto lepszy! – oznajmił, wskazując butelki.

Pootwierał je szybko i sprawnie, po czym zaczął nalewać. Fale alkoholu zabulgotały w szklankach, aromat uniósł się w powietrzu.

– Kto nie wypije, ten skurwysyn! – Jin porzucił wytworne maniery na rzecz pijackiej fantazji. Jego policzek wciąż drgał. – To pijesz pan czy nie? – rzucił wyzywająco. Wciąż ruszając policzkiem, odchylił głowę i wychylił kolejną szklankę. – Niejeden woli być nazwany skurwysynem, niż się porządnie napić!

– Kto powiedział, że się nie napiję? – Ding Gou'er podniósł szklankę i wychylił do dna. W jego czaszce otwarło się małe okienko; świadomość zamieniona w demonicznego motyla, wielkiego jak okrągły wachlarz, roztańczyła się w świetle lampy.

– Wypiję... kurwa wasza mać, wypiję do dna wszystkie wasze alkoholandzkie...

Ding widział, jak z jego dłoni, wielkiej niczym trzciniowa mata, wyrasta mrowie palców i wyciąga się po szklankę – maleńką niczym gwoździk czy igielka, a po chwili rozdętą do rozmiarów pucharu, blaszanego wiadra, wielkiej maczugi. Światło migotało, motyl zataczał się w powietrzu. Tylko drgający policzek Jin Gangzuana nie uległ żadnej przemianie. Pić! Posmak alkoholu był śliski, wilgotny jak miód. To, co śledczy odczuwał na języku i w przełyku, było cudowne ponad wszelkie opisy. Pić! Pochłaniał alkohol z ogromną szybkością. Miał wizję świetlistej cieczy, płynącej jego krętym, brązowym przełykiem. Ciecz spływała, wzbudzając niezwykle rozkoszne odczucia, które kołowały w powietrzu wzdłuż ścian całego pomieszczenia.

Jin Gangzuan falował powoli w świetle lampy. Nagle nabrał prędkości komety. Jego wyraz twarzy, niczym ostry nóż, wyciął szczelinę w złocistej poświacie, wypełniającej pokój. Unosił się swobodnie w tej szczelinie, aż w końcu zniknął.

Kolorowy motyl był wyraźnie znużony. Skrzydła ciążyły mu coraz bardziej, jakby były mokre od rosy. W końcu przysiadł na ramieniu żyrandola, gdzie smutno potrząsając czułkami, patrzył, jak jego kokon pada ciężko na podłogę.

Drogi Panie Mo Yan,

Czekam już dość długo na Pańską odpowiedź; moje serce drży z niepokoju. W ostatnim liście byłem tak oszołomiony sukcesem, że powypisywałem jakieś bzdury – czyżby to Pana zniechęciło? Jeśli tak, to ja, Pański uczeń, jestem autentycznie przerażony, wręcz trzęsę się ze strachu, boję się nawet spocić – za taką zbrodnię powinienem dziesięć tysięcy razy ponieść karę śmierci! Panie Nauczycielu, „człowiek szlachetny nie zwraca uwagi na błędy maluczkich, dostojny minister ma serce tak wielkie, że zmieści cały okręt” – bardzo proszę nie zniżać się do mojego dziecinnego poziomu! Za nic nie chciałbym stracić Pańskiej sympatii i życzliwości. Od tej pory będę Pana uważnie słuchał, nie będę już Pana łapał za słowa, będę się starał więcej Pana nie denerwować. Jeśli uważa Pan, że danie „smok i feniks w szczęśliwym połączeniu” ma liberalne odchylenia, natychmiast wyrzucę je z Oślejskiej Uliczki. Mogę także udać się do pana Yu, szefa restauracji „Yichi”, i poprosić go o usunięcie tej potrawy z menu. Kilka dni temu w rozmowie z nim wspomniałem o Panu – jego oczy od razu rozbliły. Spytał: „Czy to ten, co napisał Czerwone sorgo?”. Potwierdziłem: „Tak, to on, to mój nauczyciel”. On na to: „Ten twój nauczyciel to prawdziwy rozrabiaka, a jego słowa zawsze przekładają się na czyny – bardzo go szanuję”. Ja na to: „Jak pan śmiesz nazywać mojego nauczyciela rozrabiaką?” A on: „W moim języku oznacza to, że cenię go bardzo wysoko. W czasach, gdy świat pełen jest hipokrytów w przebraniu szlachetnych, prawdziwy łobuz, wierny swoim słowom, jest na wagę złota”. Panie Nauczycielu, wobec tak niezwykłych ludzi nie możemy stosować zwykłych kryteriów – Yu Yichi jest dziwakiem, postacią pełną tajemnic i sprzeczności – mam nadzieję, że nie będzie Pan miał do niego pretensji o te bezczelne impertynencje.

Wspomniałem mu, że prosiłem Pana o pomoc w pisaniu jego biografii, co bardzo go uszczęśliwiło. Powiedział: „Tylko Mo Yan zasługuje na to, by pisać moją biografię”. Spytałem dlaczego. Odpowiedział: „Jesteśmy z Mo Yanem ulepiani z jednej gliny”. Sprzeciwiłem się: „Pan Mo Yan należy do najwybitniejszych młodych pisarzy swojej epoki – jakże więc Pan, karzeł, może się z nim porównywać?”. Zaśmiał się ironicznie i odrzekł: „Mówiąc, że jesteśmy z tej samej gliny, obdarzyłem go wielką pochwałą. Mnóstwo ludzi chciałoby być z tej samej gliny co ja – ale nic z tego”.

Panie Nauczycielu, mam nadzieję, że nie będzie Pan się zniżał do jego poziomu. W dzisiejszych czasach, gdy wszystko jest na opak, nawet prezenterka z naszej telewizji, zwana największą piękną Alkoholandii, poszła z nim do łóżka. Do tego trzeba prawdziwego talentu. On ma pieniądze, lecz nie ma sławy – Pan jest sławny, ale bez pieniędzy. Uzupełniacie się idealnie. Panie Nauczycielu, nie ma sensu udawać, że jest Pan ponad to wszystko – trzeba ubić z nim ten interes. Powiedział, że jeśli zgodzi się Pan napisać jego biografię, na pewno Pana nie skrzywdzi. Ja, Pański uczeń, zachęcam Pana szczerze do przyjęcia tej pracy. Po pierwsze, może Pan zarobić parędziesiąt tysięcy naszej ludowej waluty, po drugie, może Pan zmienić swój wizerunek, kojarzący się raczej z ubóstwem i materialnym zacofaniem. Poza tym Yu Yichi, jako postać niezwykła, na pewno Pana zaintryguje. Ta pokraka, która nie

mierzy wiele więcej niż stopę wzrostu, przysięgła zaliczyć wszystkie ładne kobiety w Alkoholandii, i faktycznie prawie wszystkie zaliczyła! Ta tajemnica po prostu musi wzbudzić Pańską ciekawość. Pana genialny, pełen rozmachu styl z pewnością sprawi, że Życie Yu Yichiego będzie dziełem wybitnym. Yu Yichi obiecał, że jeśli tylko okaże Pan chęć pisania jego biografii, zaprosi Pana do Alkoholandii i zapewni wszelkie wygody – będzie Pan mógł zamieszkać w najlepszym z tutejszych hoteli, pić wyborne trunki, jeść najlepsze potrawy, palić markowe papierosy i smakować najślawniejsze gatunki herbat. Szepnął mi na ucho, że gdyby Pan miał innego rodzaju życzenia, jesteśmy gotowi wszystkie spełnić. Nauczycielu, jeśli nie przepada Pan za męczącymi wywiadami, chętnie Pana zastąpię. Drugiej takiej okazji można by ze świecą szukać, więc bardzo proszę, niech Pan się już dłużej nie waha.

Nauczycielu, by jeszcze bardziej zachęcić Pana do podjęcia działań i przekonać, że Yu Yichi jest typowym sympatycznym draniem, specjalnie napisałem opowiadanie

w formie reportażu, które zatytułowałem Yichi bohater. Proszę Pana o jego ocenę. Jeśli zdecyduje się Pan przybyć do Alkoholandii i zabrać się do tej biografii, nie trzeba mojego utworu pokazywać nikomu innemu. Decydując się, wyświadczy Pan swemu uczniowi wielką przysługę, której nie sposób wynagrodzić, niechże więc ten tekst stanie się moim skromnym podarunkiem dla Pana.

Z życzeniami pomyślnego pisania,

Pański uczeń, Li Yidou

### III

Yidou, drogi Bracie,

List oraz „opowiadanie w formie reportażu” pod tytułem Yichi bohater dotarły szczęśliwie.

W ostatnim liście byłeś ze mną niezwykle szczery. Doceniam to, nie musisz się niczego obawiać. Moja odpowiedź opóźniła się z powodu wyjazdu. W sprawie Twoich opowiadań nie mam jeszcze żadnych wiadomości, radzę cierpliwie czekać.

„Smok i feniks w szczęśliwym połączeniu” to tylko potrawa, bez przynależności klasowej, więc nie ma sensu mówić o jej „burżuazyjnym liberalizmie”. Absolutnie nie trzeba wyrzucać jej z „Ośleń Uliczki” ani tym bardziej usuwać z menu restauracji

„Yichi”. Jeśli któregoś dnia zjawię się w Alkoholandii, z przyjemnością spróbuję tego światowej sławy smakołyku – jak miałbym to uczynić, jeśli zniknie z menu? Poza tym wartość odżywcza tych oślich specjałów jest tak wysoka, że doprawdy głupotą i marnotrawstwem byłoby ich nie jeść. A skoro już jeść – to nie ma elegantszego sposobu ich przyrządzenia niż „smok i feniks w szczęśliwym połączeniu”. Zresztą właściciel restauracji

Yu Yichi i tak nie zgodziłby się na usunięcie tej pozycji z menu.

Postać Yu Yichiego interesuje mnie coraz bardziej, i w zasadzie już się zgadzam na podjęcie pracy nad jego biografią. Co do wynagrodzenia, niech je ustali w odpowiadającej mu wysokości. Jeśli będzie chciał dać dużo – przyjmę, jeśli mało – też przyjmę, jeśli nie da nic – niczego nie będę żądał. To nie pieniądze skłaniają mnie do przyjęcia tej propozycji, lecz przypominająca legendę historia jego życia. Mam niejasne wrażenie, że Yu Yichi jest czymś w rodzaju uosobienia duszy waszej Alkoholandii, że jest ucieleśnieniem ducha epoki, na wpół aniołem, na wpół diabłem. Opisanie duchowego świata tej postaci mogłoby się stać moim największym wkładem w literaturę. Możesz przekazać panu Yu Yichi, że moje pierwsze odczucie jest bardzo pozytywne.

Nie będę chwalił Twojego Yichi bohatera – nazywasz to dzieło opowiadaniem, lecz ja odbieram je jako jeden wielki bałagan; przywodzi mi ono na myśl te wszystkie ośle fragmenty, rozsiane po restauracji „Yichi”. Jest tam Twój list do mnie, są Dziwne przypadki w Alkoholandii, są majaczenia naszego bohatera. Całość jest zbyt nieujarzmiona, przypomina rumaka galopującego po nieboskłonie – widać, że nie masz nad nią żadnej kontroli. Kilka lat temu ja sam byłem krytykowany za brak samokontroli, lecz w porównaniu z Tobą jestem wręcz przesadnie uładzony. Żyjemy w czasach bezwzględnej podporządkowania prawu i regułom, co dotyczy także pisania opowiadań, dlatego nie jestem skłonny wysyłać tego tekstu do „Literatury Narodowej”. To nie ma sensu. Na razie niech zostanie u mnie, zwrócę Ci go, gdy przyjadę do Alkoholandii. Zawarte w tekście informacje wykorzystam – bardzo dziękuję za ten piękny prezent.

I coś jeszcze – czy masz może u siebie Dziwne przypadki w Alkoholandii? Jeśli tak, to proszę, wyślij mi je – bardzo chciałbym sobie poczytać. Jeśli obawiasz się, że zagina, zrób kserokopię – chętnie pokryję koszty.

Z życzeniami spokoju

Mo Yan

## IV

### Yichi bohater

– Doktorze alkoholologii, proszę spocząć, musimy pogadać od serca – zaproponował fałszywie serdecznym tonem, przykucnięty na swoim obrotowym fotelu. Wyraz jego twarzy i tembr głosu były niby wieczorne chmury na niebie – jaskrawe i zmienne. Wyglądał jak demon, jak jeden z tych potężnych wojowników z powieści kung-fu, którzy przeszli na stronę zła. Budził we mnie lęk. Zdenerwowany siedziałem naprzeciw niego na luksusowej kanapie.

– Ty mały nicponiu – odezwał się kpiąco – kiedy się spiknąłeś z tym śmierdzącym łobuzem, Mo Yanem?

– On jest moim nauczycielem, nasza znajomość sprowadza się do wymiany myśli na temat literatury – wygdakałem jak kwoczek. – Jak dotąd nie miałem szczęścia spotkać go osobiście, czego bardzo żałuję – tłumaczyłem się.

– He he he – zaśmiał się szyderczo. – Ten łobuz Mo wcale nie nazywa się Mo, jego prawdziwe nazwisko to Guan, i jest siedemdziesiątym ósmym potomkiem pierwszego ministra Guan Zhonga – co też jest wyssaną z palca bzdurą. Pisarz! Wielkie rzeczy, uważa się za nie wiadomo co, a ja i tak wiem o jego przeszłości wszystko.

– Jakim cudem możesz pan znać przeszłość mojego nauczyciela? – spytałem zdumiony.

– Jak to mówią, jeśli chcesz pozostać nieznanym, nie rób nic – odparł. – Ten łobuz rozrabiał od urodzenia. W wieku sześciu lat podpalił pegeerowski spichlerz, a jako dziewięciolatek zadurzył się w pewnej nauczycielce nazwiskiem Meng – od rana do wieczora kręcił jej się koło tyłka, coś okropnego. W wieku jedenastu lat ukradł pomidory – złapali go i spuścili mu niezłe manto, w wieku trzynastu lat za kradzież rzodkwi kazano mu złożyć uroczyste przeprosiny przed szacownym posągiem przewodniczącego Mao w obecności ponad dwóch setek robotników. Łobuz miał niezłą pamięć i popisywał się swoją zmyślnością ku uciesze gawiedzi, za co pewnego razu ojciec stłukł go na kwaśne jabłko – tyłek tak mu spuchł...

– Jak śmiesz obrażać mojego szacownego mentora!? – zaprotestowałem podniesionym głosem.

– Obrażać? Sam wszystko opisał w tych swoich esejach! – zarechotał złośliwie. – Nikt nie nadaje się lepiej do pisania mojej biografii niż to diabelskie nasienie. Tylko ktoś obdarzony tak występłą odmianą talentu jest w stanie pojąć równie nikczemną

osobowość jak moja. Napisz do niego i przyciśnij go trochę, niech czym prędzej przyjeżdża do Alkoholandii, a przekona się, że źle go nie potraktuję! – Uderzył się w pierś.

Zakończywszy tę przemowę, wzmocnioną biciem się w piersi, zakręcił zamasyście swoim obrotowym fotelem. Wirował jak wiatrak. Widziałem to jego twarz, to tył głowy. Twarz, potylica, twarz, potylica, twarz ruchliwa i chytra, głowa okrągła, w kształcie tykwy, pełna rozmaitych mądrości. Kręcił się jak bąk, aż uniósł się w powietrze.

– Panie Yichi – powiedziałem. – Już napisałem do mego Nauczyciela, lecz wciąż czekam na odpowiedź. Obawiam się, że może nie być skłonny do podjęcia się pracy nad pańską biografią.

– Nie martw się, będzie skłonny. – Uśmiechnął się szyderczo. – Drań, po pierwsze, lubi kobiety, po drugie, pije i pali, po trzecie, potrzebuje forsy, a po czwarte, kolekcjonuje niesamowite opowieści i anegdoty, różne historie o duchach i demonach, i wykorzystuje je w swoich własnych utworach. Przyjedzie tu, możesz być pewien. Podejrzewam, że nie ma na świecie nikogo, kto znałby go tak dobrze jak ja.

Obracając się nadal, opadł z powrotem na fotel.

– Doktorze alkoholologii – podjął zjadliwie – a właściwie to co z ciebie za doktor? Czy ty w ogóle wiesz, czym jest alkohol? Rodzajem cieczy? Bzdura! Krwią Chrystusa? Bzdura! Wzniosłym duchem? Bzdura! Alkohol jest matką snów, sny to jego córki. I jeszcze coś – dodał ze zgrzytnięciem zębów, wpatrując się we mnie intensywnie – alkohol jest smarem dla trybików naszego państwa, bez niego cała ta machina nigdy nie kręciłaby się tak gładko i sprawnie! Pojmujesz to czy nie? Cóż, patrzę na tę twoją dziobatą gębę i wyraźnie widzę, że nie pojmujesz. Chcecie razem z tym bękartem Mo Yanem pisać historię mojego życia? Niech będzie, pomogę wam, zorganizuję robotę. Tak naprawdę żaden porządny autor biografii nie zawraca sobie głowy przeprowadzaniem wywiadów i zbieraniem materiałów, ponieważ dziewięćdziesiąt procent informacji zdobytych w ten sposób to kłamstwa. Musicie się nauczyć oddzielać fikcję od rzeczywistości, musicie przejrzeć te kłamstwa na wylot, by dotrzeć do prawdy.

I chciałbym, żebyś wiedział, mały nicponiu, i przekaż to temu drugiemu łobuzowi Mo Yanowi, że Yu Yichi kończy w tym roku osiemdziesiąt pięć lat. Niezły wiek, nie

uważasz? Ciekaw jestem, szczeniaki, gdzieście byli wtedy, kiedy ja wędrowałem po świecie, unosząc się na fali życia? Pewnie gdzieś w wąsach kukurydzy albo w kapuście, a może w marynowanej rzodkwi, w pestkach dyni? Ten drań Mo Yan pisze Alkoholandię? Cóż to za arogancja, cóż za niebywałe przecenianie własnych zdolności – ciekawe, ile wypił alkoholu, zanim wziął się do pisania o Alkoholandii.

Wychlałem w życiu więcej wody, niż on wypił wody! Czy wiecie, kim jest ten łuskowaty chłopak, co galopuje na oślim grzbiecie Oślą Uliczką w każdą księżycową noc? To właśnie ja, to ja! Nie pytajcie, skąd pochodzę – mój rodzinny dom jest gdzieś tam, skąpany w oślepiającym blasku słońca. Co, uważasz, że nie jestem do niego podobny? Powątpiewasz w moją nadzwyczajną zdolność fruwania nad dachami i chodzenia po ścianach? No dobra, pokażę ci, łobuzie, otworzę ci oczy!

Drogi, szanowny Nauczycielu, Panie Mo Yan – później zdarzyło się coś, na co każdy z nas wytrzeszczyłby oczy ze zdumienia i zapomniał języka w gębie. Ze źrenic tego zadziwiającego karła nagle wystrzeliły strumienie światła niczym dwa lśniące ostrza. Szeroko otwartymi oczami obserwowałem, jak skurczył się cały w swoim skórzanym obrotowym fotelu i przyjąwszy postać ulotnego czarnego cienia, uniósł się w górę. Fotel wciąż się obracał, aż – bang! – skończyła się obrotowa śruba. Nasz przyjaciel, bohater tego opowiadania, uczepił się sufitu tak skutecznie, jakby na wszystkich kończynach, a może i na całym ciele, wyrosły mu przyssawki. Przypominał gigantycznego, ohydneho gekona. Pełzał po suficie swobodnie i z wyraźną przyjemnością. Z wysoka dobiegł mnie jego stłumiony głos:

– Widzisz, łobuzie? To jeszcze nic takiego, mój mistrz potrafił tak wisieć cały dzień i całą noc bez ruchu.

Mówiąc to, spłynął lekko w dół, niczym szerniały liść, opadający z drzewa. Przykucnął znów w fotelu i zapytał zadowolonym tonem:

– I jak? Teraz już wierzysz w moje zdolności?

Niezwykły pokaz chodzenia po ścianach sprawił, że z wrażenia cały się spociłem. Byłem kompletnie oszołomiony, czułem się jak we śnie. Nigdy bym się nie domyślił, że bohaterski młodzieniec, dosiadający osła, i ten karzeł są jedną i tą samą osobą. W myślach miałem kompletny zamęt. Idol legł w gruzach. Mój brzuch wypełniło dojmujące uczucie zawodu. Nauczycielu, jeśli przypomina Pan sobie opis łuskowatego młodzieńca z Oślej Uliczki – jasny blask księżycy, cudowny czarny osiołek, brzęk dachówek, dumny młody bohater, trzymający w ustach nóż w kształcie liścia wierzyby – na moim miejscu Pan także byłby zawiedziony.

– Nie wierzysz mi – rzekł Yu Yichi. – Nie chcesz, by łuskowaty młodzieniec był mną, widzę to po tobie, ale cóż, taka właśnie jest obiektywna rzeczywistość. Na pewno chciałbyś wiedzieć, gdzie się nauczyłem tych wszystkich sztuczek – tego nie mogę ci zdradzić. W gruncie rzeczy dla kogoś, kto gotów jest traktować życie lekko niczym gęsi puch, nie ma takiej umiejętności, której nie byłby w stanie osiąść.

Zapalił papierosa, lecz nie wydmuchnął dymu zwyczajnie – wypuścił kilka kółek, a następnie długi strumień, który trafił dokładnie w środki dymnych kręgów. Patyk z dymu wraz z nawleczonymi nań kólkami długo wisiał w powietrzu. Dłonie i stopy karła ani przez chwilę nie pozostawały nieruchome – przypominał jedną z tych

małych ruchliwych małpek, zamieszkujących Małpią Górę.

– Mały nicponiu – rzekł, kręcąc się na fotelu. – Opowiem wam, tobie i Mo Yanowi, pewną historię o alkoholu. Nie jest zmyślona – wymyślanie historii to wasz zawód, nie mój.

– Dawno temu – zaczął – była sobie na Oślej Uliczce restauracja, której właściciel najął młodego pracownika – chudego, mniej więcej dwunastoletniego chłopaka. Miał on wielką głowę, osadzoną na długiej, cienkiej szyi, i parę wielkich oczu, czarnych jak bezdenne studnie. Był bardzo pracowity – nosił wodę, zamiatał podłogi, wycierał stoły, robił dosłownie wszystko, i robił to znakomicie. Właściciel był z niego ogromnie zadowolony. Jednocześnie wszakże zaczęło się dziać coś bardzo dziwnego. Odkąd chłopak pojawił się w restauracji, w kadziach ubywało więcej wina, niż wskazywałyby na to wpływy w kasie. Starsi pracownicy i właściciel nie mogli się temu nadziwić. Pewnego dnia do restauracji dostarczono kilkanaście koszy z gąsiorami pełnymi wina i napełniono kadzie. Gdy zapadła noc, właściciel zaczął się obok kadzi. Minęła pierwsza połowa nocy i nic specjalnego się nie wydarzyło. Właściciel był bardzo zmęczony i już chciał iść spać, gdy nagle usłyszał cichutki odgłos, tak delikatny, jak ostrożne stąpanie kota. Nadstawił uszu i wzmógł czujność, czekając na rozwój wydarzeń. Nadeszła ciemna postać. Ponieważ właściciel już długo krył się w mroku, jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i bez trudu rozpoznał w czarnym cieniu swojego młodocianego pracownika. Jego oczy lśniły szmaragdowym blaskiem, jak u kota. Chłopak podniósł pokrywę jednej z kadzi, dysząc ciężko z wysiłku, następnie zanurzył w niej twarz i zaczął chleptać wino. Poziom napoju w kadzi wyraźnie spadał. Zdumiony właściciel obserwował to wszystko, wstrzymując oddech, by nie spłoszyć młodzieńca. Ten wypił po trochu z każdej kadzi, a potem oddalił się bezszelestnie. Poznawszy prawdę, właściciel po cichu wrócił do siebie i udał się na spoczynek. Następnego ranka stwierdził, że w każdej kadzi poziom wina obniżył się o jedną stopę. Tak ogromne możliwości, jeśli chodzi o picie alkoholu, to rzecz na świecie niespotykana. Właściciel restauracji był człowiekiem wykształconym i domyślił się, że w brzuchu chłopca kryje się prawdziwy skarb, zwany alkoholową ćmą. Gdyby wrzucić ją do kadzi, wino w niej nie tylko nigdy się nie skończy, ale i jego jakoś niebywale wzrośnie. Właściciel kazał związać młodzieńca, usadowić obok kadzi i nie dawać mu nic do jedzenia ani picia. Poleciał także nieustannie mieszać wino w kadzi, by zapach wciąż rozchodził się wokoło. Chłopak krzyczał i płakał z głodu, wiercił się i wił na podłodze. Cierpiał tak przez siedem dni, aż w końcu właściciel kazał go uwolnić. Młodzieniec rzucił się na jedną z kadzi, wsadził głowę do środka, otworzył usta i jął chleptać łapczywie, aż tu nagle dał się słyszeć głośny plusk, i ropuchopodobny stwór o czerwonym grzbiecie i żółtym brzuchu wpadł do wina.

– Czy wiesz, kim był ten młody pracownik? – spytał Yu Yichi smutno.

Widząc wyraz cierpienia na jego twarzy, spytałem z wahaniem:

– Ten chłopak – to był pan?

– A kto, do cholery? Pewno że ja! Gdyby ten właściciel knajpy nie ukradł mi skarbu, który nosiłem w brzuchu, możliwe, że już w tym życiu stałbym się Nieśmiertelnym Wina!

– Teraz też nieźle się panu wiedzie – pocieszałem go. – Ma pan pieniądze, władzę, pod dostatkiem jedzenia, picia i przyjemności – nawet bogowie nie zawsze mogą się cieszyć tak beztróskim życiem.

– Gównu mam! Po tym, jak ukradł mi mój skarb, zniknęły moje wspaniałe możliwości w dziedzinie picia. Gdyby nie to, nigdy nie byłbym zmuszony ulegać tyranii tego drania Jin Gangzuana!

– Wicedyrektor Jin zapewne także ma w brzuchu alkoholową ćmę – zauważyłem – bo nie upija się nawet tysiącem kieliszków.

– Gównu, nie alkoholową ćmę! On ma w brzuchu stado alkoholowych tasiemców. Z ćmą można zostać Nieśmiertelnym Wina, a z tasiemcami – co najwyżej demonem wody.

– Dlaczego nie połknie pan tej alkoholowej ćmy z powrotem?

– Aj, jak ty nie masz o niczym pojęcia! Alkoholowa ćma była tak spragniona, że gdy tylko dostała się do kadzi, zadławiła się na śmierć. – Jego oczy poczerwieniały.

– Panie Yichi, niech mi pan zdradzi nazwisko tego człowieka, a zburzę mu tę jego knajpę!

Yu Yichi roześmiał się na cały głos. Gdy skończył, rzekł:

– Ty młody głuptasie, naprawdę mi uwierzyłeś? Wymyśliłem sobie to wszystko od początku do końca. Nie ma na świecie czegoś takiego, jak „alkoholowa ćma”. Kiedyś, gdy pracowałem w restauracji, usłyszałem tę historyjkę od szefa. Wszyscy restauratorzy śnią o tym, by wino w ich kadziach nigdy się nie kończyło. Lecz, niestety, są to tylko marzenia. Gdy nie radziłem sobie z cięższymi pracami, bo byłem za mały, właściciel restauracji narzekał, że za dużo jem, że mam za czarne oczy, i w końcu mnie wyrzucił. Wędrowałem po świecie, czasem żebrząc, czasem zajmując się do pracy za jedzenie.

– Wiele pan w życiu przeszedł, lecz dziś ma pan wysoką pozycję.

– Gównu gównu gównu... – wyrzucił z siebie całą stertę „gówien”. – Wszystko to banały, możesz na takie rzeczy

nabierać innych, ale nie mnie. Na świecie są miliony cierpiących i poniżanych, a tych, co mają wysoką pozycję, jest niewiele, są taką samą rzadkością, jak pióra feniksa czy rogi jednorożca. To kwestia szczęśliwego trafu, uśmiechu losu. Wszystko siedzi w kościach. Jeśli urodzisz się z kośćmi żebraka, całe życie będziesz żebrał. A zresztą nieważne, nie powiem już nic więcej na ten temat, bo czuję się tak, jakbym grał krowie na flecie. Masz za małą wiedzę i możliwości umysłowe, żeby to pojąć. Z wyjątkiem podstaw fermentacji nie masz pojęcia o niczym. Tak samo Mo Yan – na niczym się nie zna z wyjątkiem pisania powieści. Wy obaj – mistrz i jego uczeń – jesteście parą przygłupich dupków, bękartów, żółwich pomiotów. Proszę was o napisanie mojej biografii tylko dlatego, że podobają mi się te pokręcone, nikczemne myśli w waszych głowach. Przetkaj uszy, łobuzie, i słuchaj uważnie – twoi przodkowie mają ci do opowiedzenia jeszcze jedną historię.

I zaczął opowiadać:

– Dawno, dawno temu był sobie bardzo uczony chłopiec. Pewnego razu oglądał uliczny występ dwojga akrobatów. Byli to: dziewczyna zdumiewającej urody, w wieku około dwudziestu lat, i starzec, głuchy i niemy, zapewne jej ojciec. Wszystkie numery wykonywała dziewczyna, a staruszek tylko kuczał z boku, pilnując rekwizytów i kostiumów, co nie było wcale konieczne, więc w gruncie rzeczy wydawał się zbędny. Jednak bez niego trupa stałaby się niekompletna. Był potrzebny – po to, by kontrastować z piękną i młodą dziewczyną.

Na początek dziewczyna pokazała takie sztuczki, jak „wyczarowanie” jajka, a potem gołębia. Sprawiała, że różne przedmioty, małe i duże, znikwały w jednym miejscu, by pojawić się w innym. Widzów przybywało, aż zebrał się

całkiem spory tłum, który otoczył ją ciasnym murem. Dziewczyna ogłosiła z entuzjazmem:

– Szanowni widzowie, wy, którzy karmicie i odziewacie naszą skromną rodzinę! Teraz przedstawimy wam sadzenie brzoskwiń. Lecz przedtem pozwólcie, że przypomnę nam wszystkim słowa: „Nasza literatura i sztuka ma służyć robotnikom, rolnikom i żołnierzom”.

Wzięła pestkę brzoskwini, wsadziła w ziemię, splunęła na nią nabraną wcześniej w usta wodą i rozkazała: „Rośnij!” I rzeczywiście, przez warstwę ziemi natychmiast przebił się jaskrawoczerwony kiełek brzoskwiniowego drzewka. Kiełek rósł w oczach, po chwili stał się dorosłym drzewem. Drzewo zakwitło i wydało owoce. Brzoskwinię dojrzały błyskawicznie. Miały białawą skórkę i szkarłatne „usteczka” u góry. Dziewczyna zrywała je i rozdawała widzom, nikt jednak nie odważył się spróbować owocu. Tylko młody chłopak wziął brzoskwinię i łapczywie zjadł. Zapytany, jak mu smakowało, odpowiedział, że była pyszna. Dziewczyna ponownie zachęciła zebranych do jedzenia brzoskwiń, lecz wszyscy tylko stali i patrzyli szeroko otwartymi oczami – nikt nie śmiał nawet skosztować. Dziewczyna

westchnęła, machnęła ręką i drzewko brzoskwiniowe wraz z owocami rozpląnęło się w powietrzu – pozostał po nim jedynie splachetek gołej ziemi.

Spektakl dobiegł końca. Dziewczyna i staruszek już poskładali swoje rzeczy i zbierali się do odejścia, lecz młodzieniec wciąż nie mógł przestać przyglądać się dziewczynie. Ta uśmiechnęła się życzliwie – miała czerwone wargi, białe zęby i cerę jak kwiat brzoskwini. Była tak zachwycająca, że tracił głowę.

– Młodszy bracie – rzekła – tylko ty jeden odważyłeś się skosztować moich brzoskwiń. Widać nasze losy są połączone. Więc zrobmy tak: Zostawię ci swój adres, a ty, gdy zatęsknisz za mną, będziesz mógł mnie odszukać.

Wyjęła długopis i skrawek białego papieru, skrob-skrob, skreśliła kilka znaków i wręczyła kartkę chłopcu. Chłopiec schował ją pieczołowicie niczym najcenniejszy skarb. Dziewczyna i starzec ruszyli w drogę, a młodzieniec podążył za nimi jak zaczarowany. Odprowadzał ich tak przez dobrych kilka mil, aż w końcu dziewczyna zatrzymała się i rzekła:

– Wracaj, młodszy bracie, na pewno jeszcze kiedyś się spotkamy.

Dwie łzy spłynęły z oczu młodzieńca. Dziewczyna wyjęła czerwoną jedwabną chusteczkę i otarła jego policzki.

– Młodszy bracie! – odezwała się nagle. – Spójrz, twoi rodzice przyszli po ciebie!

Chłopak odwrócił się i zobaczył swoich rodziców, człapiących za nim drogą; machali rękami i otwierali usta, jakby coś krzyczeli, lecz nie słyszał ich głosów. Gdy odwrócił się z powrotem, okazało się, że dziewczyna i staruszek zniknęli bez śladu. Odwrócił się znowu – rodziców też już nie było. Padł na ziemię i żałośnie zapłakał. Płakał długo. W końcu, zmęczony płaczem, usiadł. Długo siedział, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Gdy miał już dość siedzenia, położył się na wznak na ziemi i wpatrywał w niebieskie jak ocean niebo z leniwie płynącymi białymi obłokami.

Po powrocie do domu młodzieniec rozchorował się z tęsknoty. Nie jadł, nie mówił, codziennie wypijał jedynie szklankę wody. Chudł coraz bardziej, aż została z niego tylko żółtawa skóra i kości. Otwartymi oczami nie widział nic, lecz ledwie je zamknął, ukazywała mu się piękna dziewczyna – stała obok niego, jej oddech pachniał piżmem, patrzyła wzrokiem pełnym namiętności.

– Starsza siostrze! – wołał. – Umieram z tęsknoty!

Rzucił się w jej kierunku, lecz gdy otwierał oczy, widział tylko pustkę. Nikł w oczach. Zrozpaczeni rodzice zaprosili wuja, by służył im radą. Wuj był wykształconym człowiekiem o bystrych oczach i otwartym umyśle, dalekowzrocznym, rozsądnym i zdecydowanym. Wystarczyło jedno spojrzenie na

chłopca, i już znał przyczynę jego choroby. Westchnął i rzekł:

– Starsza siostrze, drogi szwagrze, na chorobę mojego siostrzeńca nie ma lekarstwa. Jeśli tak dalej pójdzie, chłopak straci życie. Sądzę, że najlepiej będzie „traktować umierającego konia tak, jakby był zdrowy” – niezwłocznie wyprawcie go w drogę. Jeśli znajdzie dziewczynę, może staną się parą, a jeśli nie, zrezygnuj z niej na zawsze.

Rodzice zalali się łzami, lecz nie mieli wyboru – posłuchali rady wuja.

Wszyscy troje zbliżyli się do łóżka chłopca.

Wuj rzekł:

– Dziecko, przekonałem twoich rodziców, żeby pozwolili ci wyruszyć na poszukiwanie tej dziewczyny.

Chłopak wyskoczył z łóżka i padł wujowi do nóg. Na jego żółtej jak wosk twarzy pojawił się rumieniec, spowodowany zapewne silnymi emocjami.

Ojciec oświadczył:

– Synu, jesteś jeszcze młody, lecz masz wielkie serce. Nie docenialiśmy cię. Zdecydowaliśmy się więc postąpić zgodnie z radą twego wuja – pozwalamy ci wyruszyć w poszukiwaniu tego żeńskiego demona, który cię opętał. Nasz stary sługa Wang Bao będzie ci towarzyszył. Jeśli znajdziesz tę dziewczynę, to dobrze, a jeśli nie – wróć do domu, nie zwlekając, oszczędź nam zmartwień i niepokoju. Ojciec i matka znajdą ci piękną dziewczynę z dobrego domu. Trudno na tym świecie o dwunogie ropuchy, lecz dwunogich dziewcząt jest wszędzie pod dostatkiem. Nie ma sensu wieszać się od razu na najbliższym drzewie.

Chłopak zdecydowanie się sprzeciwił, mówiąc, że nie chce żadnej innej, choćby to była jedna z bogiń Dziewięciu Niebios. To ona, dziewczyna-akrobatka, jest tą jedyną, której pragnie.

Lecz ojciec, jako człowiek doświadczony, próbował mu radzić:

– Synu, ta dziewczyna-demon rzuciła zaklęcie na twoje serce. Po bułce gotowanej na parze nie widać, że ma w środku mięsne nadzienie – podobnie charakteru kobiety nie można ocenić po jej urodzie. Piękno i brzydota stają się tym samym, gdy tylko zamkniesz oczy.

Oczywiście chłopak trwał przy swoim zdaniu, miłosny urok trzymał mocno – któż mógłby młodzieńca przekonać? Rodzice byli bezradni. Nakarmili więc osła, spakowali prowiant na dwa tygodnie, a staremu słudze Wang Bao udzielili tysięcy

pouczeń i instrukcji. Po czym, wśród niekończących się lamentów i zamieszania, wyprawili syna z wioski.

Chłopak jechał na osle, kołysząc się, jakby dosiadał chmur. Marzył o rychłym spotkaniu z dziewczyną. Był tak odurzony szczęściem, że wiercił się nieustannie, niemal tańczył na osłim grzbiecie, a napotkani ludzie sądzili, że postradał zmysły.

Wędrował tak przez wiele dni, aż skończył się zapas prowiantu i pieniądze, które dostał na drogę. Nikt nie wiedział, gdzie szukać Jaskini Brzoskwiniowego Kwiatu w Górze Zachodniego Wiatru. Stary sługa nakłaniał młodzieńca do powrotu, lecz ten go nie słuchał – podążał wytrwale na zachód. Wang Bao wymknął się ukradkiem i wrócił do wioski, zebrząc po drodze o jedzenie. Osioł zdechł. Młodzieniec szedł dalej piechotą, zupełnie sam. Mijały dni, droga się skończyła. Chłopak usiadł na przydrożnym głazie i zapłakał. Tęsknota za dziewczyną ani trochę nie osłabła w jego sercu. Nagle usłyszał grzmot. Ziemia pod nim się rozstała, a głaz wraz z nim zaczął się zapadać. Gdy otworzył oczy, był już w słodkich objęciach dziewczyny. Omdlał ze szczęścia...

– To ja byłem tym młodzieńcem! – oznajmił Yu Yichi z chytrym uśmieszkiem – wędrowałem długo z trupą akrobatów, nauczyłem się połykać miecze, chodzić po linie, ziać ogniem... życie wędrownych sztukmistrzów jest piękne, tajemnicze i romantyczne – gdy będziesz pisał moją biografię, pamiętaj, żeby ten epizod przedstawić szczególnie barwnie i bogato.

Panie Mo Yan, ten Yu Yichi ma zdumiewający talent i niezwykle bogatą wyobraźnię. Opowiedziana przez niego historia wydaje mi się znajoma. Być może pamiętam ją z Księgi dziwów z pracowni Liao, może z Opowieści o bóstwach. Niedawno przeglądałem Dziwne przypadki w Alkoholandii i natrafiłem na następujący fragment, który Panu przytoczę:

W początkach Republiki do Wioski Winnego Aromatu zawitała sztukmistrzyni – kobieta niezwyklej urody, piękną dorównująca Bogini Księżycy. Zebrał się tłum widzów. Był wśród nich młodzieniec nazwiskiem Yu, imieniem Yichi, którego nazywano Pieskiem Pokojowym. Był synem bogatej rodziny, jego rodzice mieli po czterdzieści lat, a on był ich oczkiem w głowie. Miał lat trzynaście, był bystry, zdolny i urodziwy jak nefryt. Gdy dziewczyna uśmiechnęła się do niego łaskawie, jego serce podskoczyło z radości, a dusza zadrżała ze szczęścia. Rozpoczął się spektakl. Dziewczyna wzywała wiatr i deszcz, tworzyła chmury, dmuchała mgłą. Widzowie byli zachwyceni. W końcu wyjęła małą buteleczkę wielkości ludzkiego palca, uniosła do góry i pokazując ją wszystkim zebranym, rzekła: „Ta butelka jest jaskinią, w której mieszkają bogowie i nieśmiertelni. Kto zechce wraz ze mną wejść do środka?” Ludzie popatrzyli po sobie, wymieniając zdumione spojrzenia. Jak dwoje ludzi normalnego wzrostu może się zmieścić w buteleczce wielkości palca? To pewnie tylko takie gadanie, żeby zrobić wrażenie na widzach. Lecz Yichi oczarowany urodą dziewczyny wyskoczył przed szereg, mówiąc: „Ja pójdę z tobą”.

Ludzie śmiali się z niego. Dziewczyna rzekła: „Masz, panie, szlachetną naturę, a twoje ciało wydziela niezwykley zapach, nie możesz być zwykłym śmiertelnikiem. Gdy wkroczymy razem do butelki, niechybnie okaże się, że nasze losy są ze sobą związane na całe trzy życia”. Podniosła rękę, układając dłoń w kształt orchidei, z czubków jej palców uniósł się dym. Dymne smugi rozplływały się i rozpraszały wśród widzów, jak drobne fale na wodzie, jak cienie na tarczy księżyca – postrzępione, zmienne. Yichi poczuł na nadgarstku uchwyt dziewczyny. Jej palce przypominały nici – jedwabiste, miękkie, jakby bezkostne. Szepnęła mu do ucha: „Chodź ze mną, panie”. Jej głos przypominał poćwierkiwanie jaskółki, oddech pachniał piżmem. Rzuciła buteleczką w powietrze. Butelka załśniła w blasku zachodzącego słońca, wysyłając we wszystkich kierunkach dobrowróbne promienie. Wirowała w powietrzu, a jej wlot zaczął się poszerzać – momentalnie przekroczył średnicę dziesięciu stóp i przybrał formę bramy w kształcie księżyca. Yichi z wolna podążył za dziewczyną do wnętrza. Znaleźli się na ścieżce obsypanej świeżym kwieciem, w cieniu zielonych sosen; rzadkie ptaki i niezwykle zwierzęta igrały wokoło. Yu poczuł się odurzony, jakby pijany, w jego sercu zapłonął ogień pożądania. Chwyił dziewczynę za rękę i przyciągnął do siebie, chcąc rzucić się wraz z nią w wir namiętności. Dziewczyna zachichotała i rzekła: „Nie boisz się, panie, że starszyzna wioski cię wyśmieje?” Ręką wskazała zgromadzony wokół tłum i głowy ludzi zagląających do środka. Yu przeraził się, jego emocje opadły na chwilę, lecz nie znikły. Ze wzruszenia nie mógł wykrztusić słowa. Dziewczyna rzekła: „Panie, siła twoich uczuć porusza mnie do głębi. Jeśli nie przeszkadza ci moje niskie urodzenie ani moja brzydota, zapraszam cię, byś dokładnie za rok, licząc od dzisiaj, przybył do Jaskini Brzoskwiniowego Kwiecia, by spotkać się ze mną, a ja przygotuję łoże na twoje przybycie”. Fala uczuć wezbrała w sercu Yu, lecz język miał zeszywniały. Dziewczyna uczyniła gest ręką, i Yu na powrót znalazł się w jasnym świetle dnia, z małą buteleczką w dłoni; jego ubranie było przesiąknięte dziwnym, kwiatowym zapachem.

Wcześniej, gdy dziewczyna po raz pierwszy złapała Yu za rękę, oczom zebranych ukazał się niezwykley widok: ciała obojga zaczęły się kurczyć, aż każde z nich zmalało do rozmiarów komara; w tej owadziej postaci wlecieli do wnętrza butelki, która wciąż unosiła się w powietrzu i wirowała, jak magiczny przedmiot. Widownia oniemiała ze zdumienia.

Dziewczyna zasadziła w ziemi nasienie tykwy, splunęła na nie wonną śliną i rozkazała: „Rośnij!” Pojawił się kielek, który zaraz stał się pędem, pokrył się liśćmi i w okamgnieniu wystrzelił na kilkadziesiąt stóp w górę. Rósł sobie dalej swobodnie, wijąc się jak smuga dymu. Z tobołkiem na ramieniu dziewczyna wspięła się po liściach w górę łodygi, a gdy znalazła się na wysokości dziesięciu stóp, zwróciła się życzliwie do Yu: „Panie, nie zapomnij dotrzymać obietnicy”. Wypowiedziawszy te słowa, uleciała w górę, potrząsając liśćmi, i znikła mu z oczu. Pęd, który wyrósł z nasiona tykwy, rozwiął się w pył. Ludzie po dłuższej chwili rozeszli się bez słowa.

Yu wrócił do domu, lecz nie mógł zapomnieć dziewczyny o księżycowej urodzie.

Odmawiał jedzenia i picia, dniami i nocami leżał w łóżku, krzycząc i majacząc, jakby rozmawiał z duchami i demonami. Wystraszeni rodzice radzili się mnóstwa lekarzy, lecz choroba była niepokonana niczym góra Tai Shan, a lekarstwa słabe jak drobniutki deszczyk. Ciało i dusza Yu były ciężko chore – wydawało się, że jest bliski śmierci. Rodzice zalewali się łzami i nie wiedzieli, co począć. Nagle usłyszeli za drzwiami brzęk uprząży i wołania: „Wuj, wuj przyjechał!” Ledwie zabrzmiały te słowa, u progu stanął postawny mężczyzna. Pokłonił się i zapytał: „Szwagrze, starsza siostrzo, czy jesteście zdrowi?” Matka na widok jego dużego nosa, szerokich ust, żółtych włosów i niebieskich oczu, zupełnie nie jak u Chińczyka, zaniemówiła z przestradchu. Mężczyzna podszedł do łóżka chłopca i rzekł: „Mój siostrzeniec jest ciężko chory z tęsknoty. Myślicie, że wasze lekarstwa go wyleczą? Słabi na umyśle starcy! Chcecie chyba, by postradał życie!” Choroba Yu trwała już bardzo długo. Leżał z zamkniętymi oczami, ledwie oddychając. Wyglądał jak martwy i na nic nie reagował. Przybysz pochylił się nad nim, by lepiej mu się przyjrzeć, westchnął i rzekł: „Jego młoda, delikatna cera jest wyjątkowo blada – to znak, że mój siostrzeniec jest głęboko nieszczęśliwy”. Wyjął trzy czerwone tabletki i włożył w usta Yu. Po chwili twarz młodzieńca okryła się rumieńcem, a oddech stał się wyraźniejszy. Przybysz trzy razy klasnął w dłonie i zawołał: „Ty młody głuptasie, wkrótce nadejdzie czas, by wypełnić zeszłoroczną obietnicę, chwila, na którą czekałeś tyle dni! Chyba nie chcesz jej przegapić?” Yu natychmiast otworzył oczy, które rozbłysły jasnym blaskiem. Błyskawicznym ruchem wyskoczył z łóżka i uderzając się ręką w czoło, rzekł: „Wuju, gdyby nie ty, spóźniłbym się na moje najważniejsze spotkanie!” Przybysz ponaglił go: „No, ruszaj już, ruszaj!” Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się i wyszedł. Yu, nie zważając na swój nieświeży strój, bosi i potargany, wybiegł za nim. Rodzice wołali go z płaczem, lecz syn ich nie słuchał.

Przybysz, już w siodle, czekał na Yu przy drodze. Wyciągnął długie niczym u mały ramiona i pomógł chłopcu dosiąść swego konia – uczynił to z taką łatwością, jakby podnosił kurczaka. Smagnął konia batem, wierzchowiec zarżał i zerwał się do biegu. Pogalopowali jak wicher. Yu trzymał się mocno końskiej grzywy, wiatr świszczał mu w uszach. Nagle usłyszał głos swego towarzysza: „Otwórz oczy, siostrzeńcze”. Jego oczom ukazała się pustynia Gobi. Otaczały go wyschnięte trawy i kamienie, nigdzie ani śladu człowieka. Przybysz bez słowa ponaglił konia i pomknął jak dym, nie zostawiając śladów.

Yu siedział samotnie na kamieniu i płakał. Nagle poczuł, że kamień się zapada, i usłyszał odgłos podobny do grzmotu. Oślepiło go złote światło. Zemdlał z wrażenia. Obudził się, czując odurzający zapach i dotyk delikatnych palców na twarzy. Gdy otworzył oczy, ujrzał przed sobą dziewczynę i ze szczęścia zalał się łzami. Dziewczyna rzekła: „Tak długo czekałam na ciebie, Panie”. (W tym miejscu opuszczono pięćset znaków.) Spacerowali, trzymając się za ręce, podziwiając ogród pełen niezwykłych drzew i rzadkich kwiatów. Na jednym z drzew, o liściach wachlarzowatych jak u palmy, rosło mnóstwo owoców w kształcie maleńkich chłopców – wyglądali na najzupełniej prawdziwych. Gdy zasiedli do obiadu, na stole

stał półmisek, na którym siedział złotoskóry chłopczyk, całkiem jak żywy. Wyglądał tak zdumiewająco prawdziwie, że Yu bał się dotknąć go palcami. Dziewczyna rzekła: „Młody panie, jesteś mężczyzną, masz już pięć stóp wzrostu – czemu taki z ciebie tchórz?” Ujęła palce i zaatakowała nimi dziecięcego siusiaka. Chłopczyk rozpadł się na części. Dziewczyna złapała kawałek rączki i zaczęła obgryzać łapczywie, niczym wygłodniały wilk albo tygrys. Yu był coraz bardziej przerażony. Dziewczyna rzekła z drwiącym uśmiechem: „Ten chłopiec nie jest prawdziwym chłopcem, to tylko owoc w kształcie chłopca, a ja już mam dosyć twoich wygłupów, młody panie”. Yu, starając się być grzeczny, złapał palcem jedno ucho chłopca i włożył sobie do ust. Było niebywale smaczne. Wyborny aromat dodał mu odwagi – rzucił się na jedzenie niczym wygłodniały wilk albo tygrys. Dziewczyna zakryła usta, zachichotała i rzekła: „Póki nie znalazłeś tego smaku, byłeś tchórzliwy jak jagnię, a teraz, po skosztowaniu, jesteś dziki jak wilk!” Yu, pochłonięty bez reszty jedzeniem, nie odpowiedział. Jego policzki ociekały tłuszczem, wyglądał nad wyraz zabawnie.

Dziewczyna przyniosła gąsior wina o doskonałym aromacie. Powiedziała, że wino to, zrobione z owoców zebranych w górach przez małpy, jest najbardziej poszukiwanym trunkiem na świecie...

Panie Mo Yan, przypuszczam, że naczytał się Pan już dosyć; ja także dość się już naprzepisywałem. Chciałbym zwrócić Pana uwagę na fakt, że w tym przedziwnym tekście wspomina się o zjadaniu małych chłopców oraz o „małpim winie”. Oba te zjawiska są w dzisiejszej Alkoholandii ważne i aktualne, można powiedzieć, stanowią klucz do tajemnicy tej krainy. Autor Dziwnych przypadków w Alkoholandii jest nieznany, a ja nigdy wcześniej nie słyszałem o tym dziele. Od kilku lat krąży ono między ludźmi, rozpowszechniane w postaci ręcznie przepisywanych kopii; podobno wydział propagandy Miejskiego Komitetu Partii polecił, by je skonfiskowano. W związku z tym podejrzewam, że autorem tej książki jest osoba żyjąca i pełna energii, niczym smok albo tygrys, i że mieszka tu, w Alkoholandii. Główny bohater nazywa się Yu Yichi! Stąd też moja hipoteza, że autorem jest nikt inny, tylko właśnie on.

– Panie Yu, kompletnie namieszał mi pan w głowie. Najpierw młody pracownik restauracji, potem porośnięty łuską młody wojownik, który pojawia się i znika, to znów klaun w wędrownej trupie cyrkowców, a teraz – szacowny dyrektor restauracji. Prawda przeplata się z fałszem, wszystko się zmienia jak w kalejdoskopie – i jak tu pisać pańską biografię?

Roześmiał się w głos. Kto by pomyślał, że z tej karłowatej, kurzej piersi może się wydobyć tak głośny i dźwięczny śmiech. Walił ręką w przyciski telefonu, przez co znajdujący się w środku komputerki oszalał. Następnie cisnął o sufit czarką do herbaty z delikatnej porcelany z Jingdezhen, sprawiając, do spółki z siłą ciężenia, że razem z herbatą wylądowała na luksusowym drogim dywanie, rozprysnięta na mnóstwo kawałków. Wyciągnął z szuflady plik kolorowych zdjęć i rzucił w powietrze; zdjęcia fruwały wokoło niczym chmara kolorowych motyli.

– Znasz te kobiety? – zapytał z dumą.

Pozbierałem zdjęcia i zacząłem je oglądać zachłannie, z fałszywym wyrazem zawstydzenia na twarzy. Były tam same piękne kobiety, zupełnie nagie. We wszystkich twarzach dostrzegłem coś znajomego.

– Nazwiska są na odwrocie – rzekł Yichi. – Informacje o zatrudnieniu, wiek, nazwisko i data naszego spotkania. Wszystkie z Alkoholandii.

Jego ambitne plany były bliskie realizacji.

– Doktorze alkoholologii, jak myślisz: taki pokraczny karzeł jak ja, z takimi osiągnięciami na koncie, chyba zasługuje na pomnik w postaci biografii? Każ temu draniowi nazwiskiem Mo, niech przyjeżdża tu czym prędzej, bo inaczej chyba się zabiję.

Ja, Yu Yichi, wiek nieznany, wzrost siedemdziesiąt pięć centymetrów, z biednej rodziny, długo wędrowałem tu i tam. Rozkwit mej kariery przypadł dopiero na wiek średni. Zostałem przewodniczącym Miejskiego Stowarzyszenia Przedsiębiorców, przodownikiem pracy w prowincji, szefem restauracji, kandydatem na członka Komunistycznej Partii Chin. Byłem partnerem seksualnym dwudziestu dziewięciu najładniejszych kobiet w Alkoholandii. Zwykli śmiertelnicy nie są w stanie pojąć stanu mego ducha ani dorównać moim nadzwyczajnym zdolnościom. Moje losy są barwne i niezwykle niczym legenda. Moja biografia będzie najniezwyklejszą książką świata. Powiedz temu łobuzowi Mo Yanowi, niech się decyduje, i to zaraz: Pisze czy nie pisze, sra czy tylko puszcza bąki?!

## Rozdział 6

### I

Ding Gou'er poczuł, że złocone wrota piekieł otwierają się przed nim z potężnym łoskotem. Ze zdumieniem odkrył, że piekło w niczym nie przypomina ciemnych czeluści, opisywanych w mitach – jest oszołamiająco jasne, oświetlone jednocześnie czerwonym blaskiem słonecznym i niebieskawą poświatą księżycy. Stada

opancerzonych, jaskrawo pasiastych morskich stworzeń o delikatnych, miękkich odnóżach otaczały jego chwiejne ciało. Poczł, jak jakaś kolorowa rybka o spiczastym pyszczku ostrożnie obgryza mu odbył, usuwając wszystkie zbędnę tkankę, niczym specjalista proktolog, sprawnie przeprowadzający operację. Motyl świadomości, który tak długo przebywał z dala od ciała, powrócił do jego czaszki, wywołując w mózgu przyjemne uczucie chłodu. Po długim okresie nieprzytomności śledczy w końcu otworzył oczy. Ujrzał kobietę-kierowcę, zupełnie nagą. Siedziała obok niego i wycierała całe ciało samochodową gąbką nasączoną jakąś cieczą o kwaśnym zapachu. Zorientował się, że sam także jest kompletnie nagi. Leżał na lśniącej podłodze z tekowego drewna. Wspomnienia niedawnych wydarzeń powracały powolnymi falami do jego umysłu. Chciał się podnieść, lecz nie był w stanie. Kobieta starannie, ze skupionym wyrazem twarzy nacierała piersi, jakby w pobliżu nie było nikogo, niczym matka przygotowująca się do karmienia niemowlęcia. Jej oczy powoli napełniły się krystalicznymi łzami, które spłynęły w dół w postaci dwóch małych strumyczków i zaczęły kapać dokładnie na koniuszki jej purpurowych sutków. Rozkoszne, boskie uczucia wezbrały w sercu śledczego. Chciał coś powiedzieć, lecz ona rzuciła się na niego i zakryła jego usta swoimi. Po chwili zauważył, że stada rybek znów zbierają się wokół niego; powietrze wypełniło się rybią wonią. Nagle poczuł, jak opar alkoholu, który opanował jego ciało, gwałtownie przenika do organizmu kobiety. Oprzytomniał. Wydał nieartykułowany okrzyk i pozbawiony czucia padł na ziemię.

Śledczy wstał chwiejnie. Miał zawroty głowy, musiał się oprzeć ręką o ścianę, by nie upaść. Nigdy w życiu nie czuł się taki słaby. W miejscu wszystkich ważnych organów swojego ciała czuł pustkę, tak jakby pozostała z niego tylko skóra. Nad ciałem kobiety unosił się białawy opar, niczym nad rybą ugotowaną na parze, którą przed chwilą wyjęto z garnka. Po chwili para się ulotniła – pozostał zimny pot, który występował kroplami na jej skórę, po czym skapywał na podłogę. Leżała tak, nieprzytomna, przedstawiając żalostny, budzący współczucie widok. Litość rozplenila się w sercu śledczego niczym trujące ziele, lecz mimo to nie mógł zapomnieć o zbrodniczej, złej naturze kobiety. Ding Gou'er poczuł wielką ochotę, by obsikać jej ciało, niczym dzikie zwierzę, lecz odegnał tę paskudną myśl. Przypomniał sobie o Jin Gangzuanie i o swojej świętej misji. Zaciśnął zęby. Czas na mnie! Spałem z twoją żoną – to nie było w dobrym stylu, przyznaję, ale wasze gotowanie i pożeranie niemowląt to prawdziwa, potworna zbrodnia! Spojrzał na kobietę. Wyobraził sobie, że jest cielesną tarczą, należąca do Jin Gangzuana. Trafiłem już w sam środek tarczy, a pocisk sprawiedliwości wciąż jeszcze mknie w powietrzu! Otworzył szafę, wybrał ciemnoniebieski wełniany garnitur i włożył go. Garnitur paso-

sował jak ulał, jakby był uszyty dla niego. Spałem z twoją kobietą, pomyślał, teraz noszę twoje ubrania. W końcu odbiorę ci twoje życie. Wygrzebał pistolet ze stosu swojej brudnej odzieży i włożył do kieszeni. Otworzył lodówkę, zjadł ogórka. Wypił spory łyk wina zhongyu. Miało smak łagodny i gładki, niby skóra kobiety. Już miał wychodzić, gdy kobieta-kierowca zaczęła się powoli podnosić z podłogi. Uklękła, podpierając się rękami, jak żaba albo raczkujące niemowlę. Jej bezradne spojrzenie

wzruszyło Dinga – przypomniał sobie nagle o swoim synku, fala ojcowskich uczuć wezbrała w jego sercu. Podszedł, pochylił się i pogłaskał ją po głowie, ze słowami:

– Mój skarbie, mój ty biedny skarbie...

Wyciągnęła ramiona i objęła go za nogi, spoglądając na niego z czułością.

– Muszę już iść – powiedział. – Nie mogę pozwolić uciec twojemu mężowi.

– Weź mnie ze sobą – poprosiła. – Nienawidzę go. Pomogę ci. Oni zjadają dzieci.

Wstała, ubrała się pośpiesznie, wyjęła z szafki butelkę zawierającą brudnożółty proszek.

– Wiesz, co to jest? – spytała.

Śledczy pokręcił głową.

– To niemowlęcy proszek, na wzmocnienie. Oni wszyscy to jedzą.

– Jak to się produkuje? – spytał śledczy.

– Produkuje to Dział Żywności Specjalnej naszego miejskiego szpitala.

– Z żywych?...

– Z żywych. One płaczą!

– Chodź, idziemy do tego szpitala.

Kobieta wzięła z kuchni nóż i podała Dingowi. Zaśmiał się i rzucił go na stół. Kobieta wydała z siebie kilka dźwięcznych, gdaczących chichotów, niczym kwoka, która

właśnie zniosła jajo, albo drewniane koło toczące się po kamienistej drodze. Chichocząc jak nietoperz, po raz kolejny rzuciła się na Dinga. Jej czułe ramiona objęły go ciasno za szyję, namiętne nogi owinęły mu się wokół kolan. Rozpaczliwym wysiłkiem zdarł ją z siebie, lecz ona ponowiła próbę – była niby dręcząca zmora, od której nie sposób się uwolnić. Śledczy zaczął podskakiwać jak mała, by zapobiec kolejnym czułym atakom.

– Tylko spróbuj znów się na mnie rzucić – zamorduję! – wyjąkał, dysząc.

Zdumiona, patrzyła na niego przez chwilę bez słowa, w końcu wybuchnęła histerycznym krzykiem:

– To morduj mnie! Zabij mnie, ty niewdzięczniku, na co czekasz?

Rozdarła ubranie na piersi, czerwony guzik z pleksiglasu wystrzelił i upadł z brzękiem na podłogę. Toczył się tam i z powrotem, poruszany tajemniczą siłą, jak małe zwierzątko – ani grawitacja, ani tarcie podłoża nie wpływały w żaden widoczny sposób na jego zachowanie. Śledczy nadepnął na paciorek ze złością; poczuł, jak wierci mu się pod stopą, łaskocząc przez skarpetkę i grubą podeszwę buta.

– Kim ty właściwie jesteś? To Jin Gangzuan kazał ci robić to wszystko?

Ciepłe uczucia wobec kobiety, które wytworzyły się w Ding Gou’erze w następstwie intymnych kontaktów cielesnych, stopniowo zanikały. Jego tkliwe serce zaczęło twardnieć, aż nabrało koloru stali.

– Jeśli tak, to jesteś z nimi w zмовie – wycedził lodowato. – I też jadłaś niemowlęta.

Odwracał się już w stronę wyjścia, gdy kobieta przeturlała się w jego kierunku.

– Starszy bracie, starszy bracie, nie zostawiaj mnie, pocałuj... – jęczała.

Śledczego nagle olśniło. Zdjął z balkonu kawał nylonowego sznura i przywiązał ją do krzesła. Wyrywała się i kopała, wrzeszcząc:

– Ty zdrajco! Zagryzę cię na śmierć, zagryzę!

Śledczy wyjął chusteczkę i zakneblował usta kobiety, po czym zawiązał jej pętlę na szyi. Wybiegł z mieszkania, trzaskając drzwiami, w takim pośpiechu, jakby od tego zależało jego życie. Dogonił go słaby odgłos stukania nogami krzesła o podłogę. Bał się, że ta nieokiełznana bandytka zacznie go gonić, choćby i razem z krzesłem. Przyśpieszył kroku. Zbiegał po betonowej klatce schodowej z ogłuszającym tupotem. Pamiętał, że mieszkanie kobiety-kierowcy znajduje się na dość niskim piętrze, lecz schody wiły się w nieskończoność, jakby wiodły do czeluści piekielnych. Na którymś z kolei zakręcie wpadł prosto na starszą kobietę, która biegła żwawo do góry. Jej opasły brzuch przypominał skórzany bukłak, wypełniony cieczą – był nieelastyczny, pod naciskiem sprawiał wrażenie, jakby wewnątrz przelewał się płyn. Ding patrzył, jak kobieta pada na schody, wymachując krótkimi, grubymi rękami. Miała ogromną twarz, bardzo bladą; przypominała ona białą kapustę prosto z piwnicy. Śledczy, jęcząc w duchu, poczuł się, jakby cała polana trujących grzybów nagle wyrosła mu w mózgu. Zeskoczył na półpiętro i pośpiesznie podał kobiecie rękę, chcąc jej pomóc wstać. Miała zamknięte oczy, jęczała. Jej głos brzmiał łagodnie i rozpaczliwie zarazem. Śledczy poczuł się winny. Schylił się, objął ją w pasie i pociągnął w górę. Była bardzo ciężka, przelewała się przez ręce. Naczynia krwionośne w głowie śledczego prawie popękały z wysiłku. Czuł kłujący ból szyi w miejscu ugryzienia przez kobietę-kierowcę. W końcu stara objęła go rękami za kark, dzięki czemu

nareszcie udało mu się ją postawić. Uchwyt tłustych, lepkich palców w miejscu zranienia przyprawił Dinga o tak potworny ból, że oblał się zimnym potem. Poczul cuchnący oddech, przypominający woń zgniłych owoców. Nie mogąc znieść smrodu, rozluźnił uchwyt. Kobieta miękko zwała się z powrotem na schody, niczym siatka pełna trzęsących się zimnych klusek z zielonej fasoli. Uczepiła się jego nogawek. Ding zauważył na jej rękach kilkanaście połyskujących rybich łusek. Dwie żywe ryby, które niosła w plastikowej torbie – karp i węgorz – wydostały się na zewnątrz. Karp przeżył się i podskakiwał na schodach jak szalony, a węgorz o żółtym pysku, zielonych oczach i wąsach prostych niby druty wił się chytrze, tajemniczo. Woda wylewała się powoli z plastikowej torby, zatapiając najpierw jeden stopień schodów, potem kolejny. Ding usłyszał własne oschłe pytanie:

– Proszę pani, nic się pani nie stało?

– Mam złamane jedno biodro i rozdarte jelito – oznajmiła.

Usłyszawszy tak szczegółowy raport starszej pani z odniesionych obrażeń, śledczy wyobraził sobie kolejną, niekończącą się lawinę kłopotów, która za chwilę spadnie na jego biedną głowę. Był w gorszym położeniu niż ten karp, a w porównaniu z beztruskim węgorzem jego sytuacja była tym bardziej nie do pozazdroszczenia. Poczul gwałtowny impuls, by uciec od tej starej kobiety, lecz pochylił się i rzekł:

– Cioteczko, zaprowadzę panią do szpitala.

– Mam złamaną nogę i poważnie uszkodzone nerki – powiedziała.

Czul się, jakby trujące powietrze rozdymało mu brzuch. Karp wskoczył mu na stopę. Potrząsnął nią, strącając rybę, która uderzyła o żelazną poręcz.

– Zapłać mi za rybę!

Nadepnął na wijącego się węgorza.

– Zabiorę panią do szpitala.

Stara kobieta wciąż trzymała go za nogi.

– Nie ma mowy!

– Cioteczko – tłumaczył. – Ma pani złamane żebro, złamaną nogę, rozdarte jelito, uszkodzone nerki i nie chce pani do szpitala. Czy chce pani tu zostać i czekać na śmierć?

– Jeśli umrę, to tylko razem z tobą! – odparła zdecydowanie.

Śledczy poczuł rosnącą siłę jej uchwytu.

Westchnął z rezygnacją. Spojrzał na schody, na śniętego karpia i zdechłego węgorza, na szare, ponure niebo, widoczne przez pękniętą szybę okna. Nie miał pojęcia, co robić. Nagle poczuł mocny zapach alkoholu i usłyszał brzęk, jakby ktoś walił w blachę. Zimny dreszcz przeszył go od stóp do głów. Miał przeogromną ochotę na alkohol.

W tym momencie z góry dobiegł szyderczy śmiech, a następnie stukot obcasów. To kobieta-kierowca, z krzesłem na plecach, sztywno, małymi kroczkami schodziła po schodach.

Ding zaśmiał się zmieszany. Obecność kobiety wcale go nie przestraszyła, wręcz przeciwnie – ucieszył się na jej widok. Z dwojga złego lepiej się męczyć z młodą dziewczyną niż ze starą babą, pomyślał i uśmiechnął się. Ten uśmiech go uspokoił. Zza czarnych chmur rezygnacji niespodzianie wyjrzał rąbek słonecznej tarczy nadziei. Zauważył, że kobiecie udało się przegryźć chustkę, którą przewiązał jej usta, co zwiększyło jego podziw dla jej ostrych zębów. Posuwała się raczej wolno – przeszkadzało w tym krzesło na plecach. Z każdym krokiem kobiety w dół tylne nogi krzesła uderzały o krawędź stopnia. Ding skinął jej głową. Odwzajemniła ukłon. Zatrzymała się obok starej kobiety i wykonała zamach ciałem, niczym tygrys zadający cios ogonem. Uderzyła staruchę krzesłem.

– Puszczaj! – usłyszał Ding wściekły rozkaz.

Stara kobieta popatrzyła na młodą. Zabelkotała, jakby meła w ustach przekleństwa, i opuściła ręce. Śledczy cofnął się kilka kroków, chcąc się znaleźć w bezpiecznej odległości od starszej pani.

– Czy wiesz, kto to jest? – spytała kobieta-kierowca, zwracając się do starej.

Zapytana pokręciła głową.

– To burmistrz.

Stara podniosła się czym prędzej, trzymając się poręczy. Trzęsła się od stóp do głów.

– Cioteczko, zaprowadzę was do szpitala na badania – zaproponował znów pośpiesznie śledczy.

– Rozwiąż mnie – poleciała kobieta-kierowca.

Rozwiązał ją. Krzesło upadło na podłogę. Gdy rozprostowywała ręce, śledczy odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Słyszał za sobą jej kroki.

Wybiegając z budynku przez drzwi wejściowe, zaczepił rękawem o stojący obok rower. Trzask-łubudu – rower przewrócił się z łoskotem. Trrrach – rozdarło się ubranie śledczego. Tymczasem kobieta zarzuciła mu od tyłu sznur na szyję. Zacisnęła pętlę, tak że ledwie mógł złapać oddech.

Wywlokła go na zewnątrz niczym psa czy też inne bezradne zwierzę. Powietrze wypełniała gęsta mżawka, która zmoczyła powieki śledczego; widział jak przez mgłę. Rozluźnił ręką linę, broniąc się przed uduszeniem. Jakiś okrągły przedmiot przeleciał mu przed nosem – struchlał. W chwilę później zobaczył małego chłopca o łysej głowie, przemoczonego do nitki, uwalanego błotem, który biegł za piłką. Wykręcił głowę w stronę kobiety.

– Dziewczyno młoda – poprosił. – Puść mnie, ludzie patrzą. Jak ja teraz wyglądam?...

Szarpnęła sznur, który zacisnął się jeszcze mocniej.

– A nie uciekniesz mi znowu?

– Nie będę uciekał, nie będę, choćbym miał umrzeć!

– Przysięgnij, że mnie nie zostawisz, że pozwolisz mi iść z tobą.

– Przysięgam, przysięgam.

Poluzowała sznur, pozwalając śledczemu uwolnić głowę. Ding już szykował się do wybuchu wściekłości, gdy usłyszał słowa, padające z jej uroczych, łagodnych ust – słowa, które pieściły jego uszy niczym muzyka:

– Ech, ty... Jesteś jak malutkie dziecko. Gdybym cię nie chroniła, każdy mógłby cię skrzywdzić.

Śledczy był wzruszony. Ciepłe uczucia zakręciły mu się w brzuchu. Szczęście, niczym mgła wiosennego dżdżu, która zasnuwa niebo i okrywa ziemię, zwilżyło mu nie tylko powieki, ale i kąciki oczu.

Drobna mżawka tknęła delikatną, gęstą sieć, która przykrywała budynki, drzewa, wszystko. Ding poczuł, że kobieta bierze go pod rękę. Usłyszał pstryknięcie – różowa składana parasolka otworzyła się w jej drugim ręku i osłoniła głowy ich obojga. Naturalnym gestem objął kobietę w pasie i przejął parasolkę niczym odpowiedzialny, opiekuńczy mąż. Nie miał pojęcia, skąd się wzięła parasolka – przez chwilę wydawało mu się to podejrzane, lecz uczucie wszechogarniającego szczęścia szybko wypędziło z jego umysłu wszelkie wątpliwości.

Niebo było ciemne – nie potrafił stwierdzić, czy jest poranek, czy też popołudnie. Nie wiedział, która godzina – zegarek ukradł mu wcześniej mały demon. Drobny

deszczyk bębnił delikatnie o parasolkę – odgłos przyjemny, lecz smutny, niczym słodkie białe wino – poruszający, melancholijny, niespokojny. Objął kobietę ciasniej ramieniem. Przez jedwab jej koszuli czuł chłodną skórę i delikatne burczenie w brzuchu. Przytuleni, szli wąską, wybetonowaną ścieżką przez teren Uniwersytetu Gorzelnictwa, wśród ostrokrzewów o liściach lśniących jak paznokcie ładnych dziewcząt, pomalowane pomarańczowym lakierem. Mlecznobiała para unosiła się znad wielkich hałd na terenie kopalni, rozsiewając smugi zapachu spalonego węgla. Czarny, paskudny dym, wydobywający się ogromnych kominów, wił się i kołował pod naciskiem ciężkiego powietrza niczym czarny smok na tle niskiego nieba.

Opuścili teren uczelni. Szli dalej powoli, drogą wśród wierzb, brzegiem małej rzeczki, znad której unosiły się kłęby pary i woń alkoholu. Zwieszające się nisko gałęzie od czasu do czasu ocierały się o nylonową tkaninę parasolki, strącając z niej wielkie krople deszczu. Drogę przykrywała mokra warstwa opadłych złotych liści. Śledczy opuścił parasolkę i patrzył na ciemnozielone gałęzie wierzb.

– Od jak dawna jestem w Alkoholandii? – spytał.

– Mnie pytasz? – odparła kobieta. – A kogo ja mam zapytać?

– Niedobrze. Muszę się brać do roboty – oznajmił śledczy.

Kącik jej warg drgał.

– Bez mojej pomocy daleko nie zajdziesz w tym swoim śledztwie – oznajmiła szyderczym tonem.

– A jak ty się właściwie nazywasz?

– Człowieku! – zirytowała się. – Co się z tobą dzieje? Spałeś ze mną i nie wiesz, jak się nazywam?

– Przepraszam – odparł. – Pytałem cię, ale nie odpowiedziałaś.

– Nie pytałeś.

– Pytałem.

– Nie pytałeś! – Kopnęła go. – Nie pytałeś!

– Niech będzie, nie pytałem. Ale teraz pytam.

– Nie masz po co pytać – odrzekła. – Ty jesteś detektyw Hunter, a ja Dee Dee McCall. Będziemy partnerami. Co ty na to?

– No dobra, współniku – zgodził się, poklepując ją poniżej talii. – To dokąd teraz idziemy?

– A co chcesz wyśledzić?

– Bandę zwyrodniałych zbrodniarzy, morderców i pożeraczy dzieci, której hersztem jest twój mąż.

– Zaprowadzę cię do człowieka, który wie wszystko o wszystkim, co się dzieje w Alkoholandii.

– A kto to jest?

– Pocałuj mnie, to ci powiem.

Musnął delikatnie wargami jej policzek.

– Zaprowadzę cię do Yu Yichiego, szefa restauracji „Yichi”.

Szli objęci Oślą Uliczką, pod ciemnym niebem. Instynkt podpowiadał śledczemu, że słońce schowało się za górami, a raczej że właśnie się chowa. Wyobraził sobie dokładnie ten wspaniały spektakl zmierzchu: ogromna, czerwona tarcza słońca bezwolnie opada w kierunku ziemi, wysyłając tysiące świetlistych promieni, które nadają dachom, drzewom, twarzom ludzi i zielonkawym kamieniom brukowym na Oślej Uliczce bohaterską, podniosłą barwę. Król państwa Chu, Xiang Yu, w jednym ręku dzierżąc włócznie, w drugim wodze swego rumaka, stoi na brzegu rzeki Wu Jiang i spogląda na toczące się bez końca burzliwe wody. Niestety, tego wieczoru nad Oślą Uliczką nie świeciło słońce. Śledczy, okryty zasłoną deszczu, pogrążał się w smutku i melancholii.

W jednej chwili zdał sobie sprawę z bezsensu swojego pobytu w Alkoholandii, z jego absurdalnej śmieszności. Nadgniła główka kapusty, pół główki czosnku i łysy ośli ogon płynęły cicho rynsztokiem wzdłuż Oślej Uliczki, zbite w grupę jarzącą się zielonkawo, brązowo i szaroniebiesko w słabym świetle latarni. Śledczy pomyślał ze smutkiem, że te trzy przedmioty nadają się na godło jakiegoś upadającego królestwa albo, jeszcze lepiej – powinno się je wyryć na jego własnym nagrobku. Niebo wisiało nisko. Strugi drobnego deszczu w żółtawym świetle latarni przypominały fragmenty wiszącej w powietrzu jedwabnej nici. Różowa parasolka wyglądała jak jaskrawy kapelusz muchomora. Ding odczuwał zimno i głód, co uświadomił sobie nagle, dopiero w chwili, gdy zobaczył płynące rynsztokiem odpadki. Jednocześnie zauważył, że ma kompletnie przemoczone siedzenie i nogawki spodni. W zakamarkach uwalanych błotem butów stopniowo zbierało się coraz więcej wody, która przy każdym kroku chlupotała głośno, jak piskorz taplający się w mule. Na koniec tego łańcucha nieprzyjemnych doznań poczuł, że pod wpływem dotyku zimnego ciała kobiety prawie zamarzło mu ramię. Wciąż starał się przykładać dłoń

do jej dziwnie burczącego brzucha. Miała na sobie tylko różową piżamę oraz włochate kapcie z puszkiem, na podeszwie z tkaniny. Człapała po błocie, co wyglądało, jakby niosła ją na grzbietach para wyliniałych kotów. Dingowi przyszło na myśl, że długa historia relacji między mężczyznami a kobietami w gruncie rzeczy przypomina historię walki klas; czasem zwycięża kobieta, czasem mężczyzna, a zwycięzca zawsze jest zarazem przegranym. Pomyślał, że jego relacje z kobietą-kierowcą niekiedy przypominają zabawę w kotka i myszkę, innym razem – zgodną współpracę dwóch wilków-złoczyńców. Raz uprawiali miłość, raz walczyli na śmierć i życie. Czułość i okrucieństwo w tym związku równoważyły się wzajemnie. Przypuszczał, że jego „mały” także jest już całkiem zamarznięty; wyobraził sobie, że i kobieta zamarzła. Dotknął jej sutka. Odkrył, że to, co wcześniej było tak jędrne i sprężyste, zrobiło się twarde i zimne jak żelazny odważnik, jak niedojrzały banan albo jabłko długo trzymane w lodówce.

– Zimno ci? – spytał bez sensu. – Może pójdziemy do ciebie – dodał pośpiesznie. – Poczekamy, aż się ociepli, a potem wznowimy śledztwo.

Szczękała zębami z chłodu, lecz odparła twardo:

– Nie!

– Martwię się o ciebie, ten ziąb ci zaszkodzi.

– Nie!

Detektyw Hunter, trzymając za rękę swą bliską towarzyszkę broni Dee Dee McCall, podążał cicho Ośłą Uliczką wśród deszczowej, chłodnej, jesiennej nocy... – takie oto słowa ukazały się wyraźnie w umyśle śledczego, jak napisy na nagraniu do karaoke. On – męzny heros i ona – to okrutna i nieokiełznana, to znów czuła i namiętna. Ośła Uliczka wyglądała na opustoszałą. Wypełnione wodą dziury w drodze lśniły mgliście jak matowe szkło. Śledczy przebywał w Alkoholandii od nie wiedzieć jak dawna, lecz wciąż kręcił się tylko po obrzeżach miasta. Miasto wciąż było dla niego zagadką, a nocą zyskiwało jeszcze więcej tajemniczości. I właśnie nocą znalazł się w końcu w owym tajemniczym mieście. Starodawna Ośła Uliczka przywodziła mu na myśl ten święty kanał, znajdujący się między nogami kobiety-kierowcy. Skrytykował sam siebie za to wynaturzone skojarzenie. Niczym błądzący młodzieniec z nerwicą natręctw, nie mógł się uwolnić od tego szokującego porównania, które nieustannie chodziło mu po głowie. Czuł napływającą falę przyjemnych wspomnień. Miał niejasne przeczucie, że ta kobieta może być kochanką jego życia, oblubienicą przeznaczoną mu przez los, że ich ciała pewnie połączył już ciężki stalowy łańcuch. Zrozumiał, że w swojej głupocie pozwolił, by powstało w nim uczucie, które czasem stawało się nienawiścią, czasem litością, czasem strachem – z całą pewnością była to miłość.

Na ulicze panował mrok, większość lokali i sklepów już zamknięto. Zaplecza były jednak rześkie oświetlone. Raz po raz, to z tej strony, to z innej, dobiegały głucho

odgłosy uderzeń. Ding był bardzo ciekaw, co też się tam dzieje. Jego towarzyszka zawczasu oświeciła go:

– W nocy zarzyna się osły.

Nagle, dosłownie w ciągu sekundy, droga zrobiła się bardzo śliska; kobieta potknęła się i upadła na pupę, a śledczy, chcąc pomóc jej wstać, pośliznął się także. Przy upadku połamali parasolkę. Kobieta wyrzuciła ją do rowu. Drobną mżawka zmieniła się w na wpół zamarznąty deszcz, w powietrzu wisiała lodowata wilgoć. Zimne powiewy wciskały się Dingowi w szpary między zębami. Pociągnął kobietę za rękę, by przyśpieszyła kroku. Wąska, mroczna, złowroga Ośła Uliczka – gniazdo zepsucia, kryjówek zbrodniarzy. Trzymając ukochaną za rękę, śledczy wkroczył do jaskini lwa – Ding zobaczył te słowa, wyraźnie wykaligrafowane na papierze swojego umysłu. Stado czarnych osłów o połyskliwej sierści wybiegło im na powitanie i zastąpiło drogę akurat w chwili, gdy stanęli przed wielkim szyldem restauracji „Yichi”, oświetlonym czerwonymi lampkami.

Stado było liczne i stłoczone. Ding ocenił pobieżnie liczbę zwierząt – dwadzieścia cztery, może dwadzieścia pięć sztuk. Wszystkie były czarne, co do włoska. Całe lśniły, mokre od deszczu. Dorodne, o urodziwych pyskach, wyglądały na młode. Z zimna albo, co bardziej prawdopodobne, z powodu złowrogiej atmosfery Oślej Uliczki, tłoczyły się bojaźliwie obok siebie, garnęły się desperacko ku środkowi stada – te, które stały z tyłu, wypychały te, które znalazły się wewnątrz. Szelesty ocierających się o siebie oslich skór kłuły śledczego w uszy jak szpilki. Zauważył, że niektóre osły zwieszają głowy, inne trzymają je podniesione. Wszystkie, co do jednego, strzygły ogromnymi uszami. Tłocząc się tak i przepychając nawzajem, parły naprzód. Ośle kopyta uderzały o bruk i ślizgały się na kamieniach z odgłosem przypominającym oklaski. Stado sunęło przed śledczym i jego towarzyszką niczym ruchoma góra. Ding zauważył, że na tyłach oślej gromady podskakuje czarnoskóry młodzieniec. Dostrzegł pewne podobieństwo między nim a tamtym łuskowatym chłopakiem, który go okradł. Już otwierał usta do krzyku, gdy młodzieniec głośno zagwizdał. Dźwięk ten, ostry jak nóż, rozciął grubą, ciężką kurtynę nocy i pobudził stado osłów do ryku. Według wcześniejszych obserwacji śledczego, ryczący osioł zawsze staje i podnosi głowę, skupiając się całkowicie na ryku, lecz te najwyraźniej potrafiły ryczeć w biegu. Ten dziwaczny widok wywołał skurcz w jego sercu. Puścił rękę kobiety. Ruszył do przodu, nieustraszony, mając przed sobą jeden cel: Złapać tego oślego pastucha, schwytać czarnego nicponia. Jego ciało, jak na złość, padło ciężko na ziemię; tyłem głowy uderzył mocno o bruk. Uennng! – dziwny odgłos puchł mu w uszach, przed oczami drgały dwie wielkie kule żółtego światła.

Gdy śledczy odzyskał zmysły, po stadzie i młodym pastuchu nie było już śladu. Przed nim ciągnęła się jedynie opustoszała, zimna Ośła Uliczka. Kobieta chwyciła go mocno za rękę i spytała z ogromnym niepokojem:

– Nic ci się nie stało?

– Nic.

– O nie, to był groźny upadek! – wyłkała. – Na pewno rozbiłeś sobie głowę...

Dopiero po tej uwadze śledczy zdał sobie sprawę z potwornego bólu głowy. Widział wszystko jakby w negatywie. Włosy, oczy, usta kobiety były blade niczym rtęć.

– Boję się, że umrzesz...

– Nie umrę – odrzekł. – Dopiero zacząłem śledztwo, chcesz wszystko zapeszyć gadaniem o umieraniu?

– Ja? Zapeszyć? – rozzłościła się. – Ja tylko powiedziałam, że się boję o twoje życie!

Ostry ból głowy sprawił, że śledczy stracił zainteresowanie rozmową. Wyciągnął rękę i dotknął twarzy kobiety na znak zgody. Następnie zarzucił jej rękę na ramiona, a ona, niczym sanitariuszka na polu walki, przeprowadziła go na drugą stronę Uliczki. Długa, smukła limuzyna otwarła nagle ślepią i ruszyła po cichu, zalewając oboje strumieniem światła reflektorów. Śledczy przeczuwał, że za chwilę może dojść do zabójstwa. Siłą odepchnął kobietę, lecz ona tym mocniej przyłgnęła do niego. Nikt nikogo nie zabił – limuzyna, wyjechawszy na ulicę, ruszyła szybko w swoją drogę; siwy dym z rury wydechowej w czerwonym świetle reflektorów wyglądał naprawdę pięknie.

Stali przed wejściem do restauracji „Yichi”. Było tam pełno światła, jakby właśnie odbywała się jakaś uroczystość.

Po obu stronach udekorowanej kwiatami bramy stały dwie kelnerki, nieprzekraczające metra wzrostu. Miały identyczne jaskrawoczerwone mundurki, na głowach identyczne koki, bardzo podobne twarze i takie same uśmiechy. To skrajne podobieństwo stwarzało silne wrażenie fałszu – śledczemu wydawało się, że ma przed sobą dwa manekiny z gipsu i plastiku.

Stojące za nimi kwiaty także były zbyt piękne, by mogły być prawdziwe; im piękniejsze się wydawały, tym bardziej wyglądały jak martwe.

– Serdecznie witamy! – oznajmiły kelnerki chórem.

Oszklone drzwi w kolorze herbaty stanęły przed przybyszami otworem. Pośrodku sali, w kolumnie wykładanej kwadratowymi szklanymi płytkami, śledczy zobaczył odbicie wynędzniałego mężczyzny, podtrzymywanego przez brudną kobietę. Gdy zdał sobie sprawę, że widzi siebie i swoją towarzyszkę, ogarnęło go uczucie kompletnej beznadziei. Już chciał się odwrócić i wyjść, gdy mały chłopiec, od stóp do głów odziany w czerwień, zbliżył się do nich w podskokach, zdumiewająco rączo.

Śledczy usłyszał jego cienki głosik:

– Proszę pana, szanowna pani, życzą sobie państwo coś zjeść czy napić się herbaty? Może chcą państwo zatańczyć, a może wolą karaoke?

Głowa malca ledwie sięgała śledczemu do kolan, więc jeden z nich musiał wysoko zadrzeć głowę, a drugi się schylić. Dwie twarze – wielka i malutka – znalazły się naprzeciw siebie; śledczy zajmował górną, dominującą pozycję, co wpłynęło na tymczasową poprawę jego nastroju. Przyjrzał się twarzy chłopca i dostrzegł w niej mrozący krew w żyłach, złowrogi wyraz. Spod specyficznego uśmiechu, ani dumnego, ani przesadnie uległego, jak u wszystkich dobrze wyszkolonych pracowników restauracji, przebijało zło niczym tusz przesiąkający przez podłej jakości papier.

– Chcemy się czegoś napić i zjeść – odpowiedziała kobieta. – Jestem przyjaciółką waszego dyrektora Yu Yichiego.

Malec zgiął się w głębokim ukłonie i rzekł:

– Oczywiście, proszę pani, poznaję panią. Na piętrze są specjalne miejsca.

Szedł przez nimi, wskazując drogę. Śledczy nagle zorientował się, że malec ogromnie przypomina mu demona z powieści Podróż na zachód. Wyobraził sobie, że w kroku jego obszernych, bufiastych portek kryje się lisi albo wilczy ogon. Buty ich obojga, odbijające się w lśniącym marmurze podłogi, sprawiały wrażenie brudniejszych niż w rzeczywistości, co wpędzało śledczego w jeszcze głębsze poczucie niższości. Na sali bogato wystrojone kobiety tańczyły w objęciach mężczyzn o tryskających zdrowiem twarzach. Karzełek w czarnym smokingu i białej muszce pod brodą, przycupnięty na wysokim stołku, przygrywał im na fortepianie.

Szli za malcem krętymi schodami, aż znaleźli się w eleganckim pokoju. Za nimi wbiegły dwie kelnerki z kartami dań.

– Poproście dyrektora Yu, żeby tu przyszedł – poleciła kobieta-kierowca. – Powiedzcie mu, że Dziewiątka przyszła.

Gdy czekali na Yu, kobieta bezceremonialnie zrzuciła z nóg kapcie i wytarła ubłocone stopy w puszysty dywan. Być może ciepłe, suche powietrze we wnętrzu podrażniło jej nos, bo zaczęła siarczyście kichać. Gdy kichnięcie nie chciało nadejść, zadzieriała głowę, przewracała oczami, wykrzywiła usta i patrzyła na lampę, starając się je wywołać. Śledczy nie był zachwycony tym widokiem. Przypominała mu samca osła w rui, wietrzącego woń moczu samicy. W jedną z przerw między kichnięciami udało mu się wcisnąć pytanie:

– Grywasz w koszykówkę?

- Apsik! Co?
- Skąd ta „Dziewiątka”?
- Byłam jego dziewiątą kochanką. Apsik!

## II

Drogi Panie Mo Yan,

Witam!

Przekazałem wiadomość od Pana panu Yu Yichiemu, a on odrzekł na to z satysfakcją: „No i co? Mówiłem, że się zgodzi pisać moją biografię – i proszę, zgodził się”. Dodał, że drzwi jego restauracji zawsze stoją przed Panem otworem. Niedawno władze miejskie przeznaczyły znaczne fundusze na renowację tego lokalu. Jest teraz czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę. Urządzono go z wielkim przepychem i luksusem – to naprawdę świetna restauracja, skromnie licząc, trzy i pół gwiazdki. Ostatnio gościła tu grupa Japończyków – mali nicponie wyjechali wielce uradowani, a szef wycieczki napisał nawet artykuł do „Podróżnika”, w którym ocenił restaurację „Yichi” bardzo wysoko. A więc gdy przybędzie Pan do Alkoholandii, zamieszka Pan u Yu Yichiego i będzie zażywał wszelkich przyjemności i wygod, nie wydając na to złamanego grosza.

Co do opowiadania-reportażu Yichi bohater, które Panu wysłałem – to prawda, obfituje ono w rozmaite pisarskie igraszki. W ostatnim liście dałem do zrozumienia, że jest to mój podarunek dla Pana, do ewentualnego wykorzystania przy pisaniu biografii pana Yu. Przyjmuję jednak Pańskie krytyczne uwagi; dały mi one wiele do myślenia. Moją wadą jest zbyt wybujała wyobraźnia, często daję się jej ponieść, wpadam w dygresje i odchodzę od podstawowych reguł pisania. Od dziś, mając cały czas na uwadze Pańskie zastrzeżenia, będę pracował w pocie czoła, dopóki nie stworzę czegoś na naprawdę przyzwoitym poziomie.

Drogi Nauczycielu, z wielką nadzieją oczekuję Pańskiego przybycia do Alkoholandii. Bo żyć na tym świecie i nie odwiedzić Alkoholandii to tak, jakby żyć na marne. W październiku odbędzie się pierwsze Święto Małpiego Wina. To bezprecedensowa uroczystość, szykuje nam się cały miesiąc pełen atrakcji. Absolutnie nie może Pan przepuścić takiej okazji. Oczywiście za rok odbędzie się następne, drugie Święto,

jednak nie będzie już ani tak przełomowe, ani tak uroczyste jak pierwsze. Mój teść, który prowadzi badania „małpiego wina”, już od trzech lat mieszka z małpami na zboczach Góry Białej Małpy, na południe od naszego miasta. Zżył się z tymi stworzeniami w nieprawdopodobnym stopniu – inaczej nigdy nie nauczyłby się robić „małpiego wina”; to jedyny sposób, podobnie jak przy pisaniu powieści, istnieje tylko jedna droga do stworzenia czegoś naprawdę dobrego.

Kilka lat temu widziałem u teścia książkę, której Pan potrzebuje – Dziwne przypadki w Alkoholandii, lecz nie natknąłem się na nią nigdy więcej. Dzwoniłem do mojego przyjaciela z wydziału propagandy Miejskiego Komitetu Partii z prośbą o zdobycie za wszelką cenę egzemplarza dla Pana. Ta niewielka książeczka zawiera mnóstwo bezczelnych insynuacji – nie mam żadnych wątpliwości, że została napisana przez współczesnego autora, lecz również żadnych dowodów, że rzeczywiście był to Yu Yichi. Jak Pan pisze, Yu jest istotą na wpół boską, na wpół diabelską. W Alkoholandii bywa równie często wychwalany, co potępiany. Ponieważ jest karłem, nikt nie wyzwie go na pojedynek, dlatego nie ma najmniejszych zahamowań – robi, co mu się żywnie podoba, posuwając się tak daleko, jak to możliwe, zarówno w czynieniu dobra, jak i zła. Ja, skromny uczeń, dysponuję zbyt miernymi zdolnościami i zbyt płytką wiedzą, by podjąć choćby próbę ogarnięcia wewnętrznego świata tej osobistości – całe złoto tej ziemi czeka, aż Pan, Nauczycielu, wydobędzie je na powierzchnię.

Od wysłania moich opowiadań do „Literatury Narodowej” minęło już sporo czasu – pozwolę sobie prosić Pana, Nauczycielu, o kolejną interwencję w tej sprawie. Proszę też o przekazanie panom redaktorom zaproszenia na Pierwsze Święto Małpiego Wina – zakwaterowanie i wyżywienie oczywiście biorę na siebie. Wierzę, że gościnni Alkoholandzycy zrobią wszystko, by ich zadowolić.

Na zakończenie – wysyłam Panu moje kolejne opowiadanie, pod tytułem Lekcja gotowania. Przed napisaniem go przeczytałem bardzo uważnie niemal wszystkie dzieła popularnych w ostatnim czasie twórców z nurtu „neorealizmu” i przyswoiłem sobie kwintesencję ich stylu, poddając go jednocześnie pewnym transformacjom. Mam nadzieję, że w moim imieniu przekaże Pan ten utwór redaktorom z „Literatury Narodowej” – wierzę głęboko, że uparcie wysyłając im moje teksty, wzbudzimy w końcu zainteresowanie tych boskich istot, zamieszkujących nefrytowe wieże i pawilony z jadeitu, podpatrujących dzień w dzień boginię księżycy Chang’e, gdy czesze swe cudowne włosy.

Z życzeniami pomyślnego tworzenia,

Pański uczeń

Li Yidou

### III

#### Lekcja gotowania

Moja teściowa, zanim oszalała, była wdzięczną, elegancką i piękną kobietą, choć w średnim wieku. Był czas, gdy wydawała mi się młodsza, ładniejsza i bardziej seksowna niż jej córka, a moja żona. Żona pracowała podówczas w „Dzienniku Alkoholandzkim”; redagowała tam specjalny dział, w którym zamieszczała kontrowersyjne wywiady. Była śniada i szczupła, miała pożółkłe, przypalone włosy, cerę o rdzawym odcieniu, a jej oddech cuchnął rybą. Teściowa za to była pulchna i dorodna, miała białą, miękką skórę, włosy czarne i lśniące, jak nasmarowane tłuszczem, a z jej ust przez cały dzień wydobywał się aromat pieczonego mięsa. Różnica między moją żoną a teściową, szczególnie jaskrawa, gdy stały obok siebie, naturalnie przywodziła na myśl różnice klasowe oraz walkę klas. Moja teściowa wyglądała jak dobrze odżywiona konkubina bogatego obszarnika, a żona – jak najstarsza córka starego, klepiącego biedę chłopa. Dlatego też powstała między nimi tak głęboka nienawiść, że przez całe trzy lata nie odzywały się do siebie. Moja żona nieraz wołała przesiedzieć noc na podwórzu swojego wydawnictwa niż wracać do domu. Za każdym razem, gdy wybierałem się w odwiedziny do teściowej, żona dostawała hysterii i obrzucała mnie wyzwiskami, których nie jestem w stanie powtórzyć – jak gdybym się udawał nie do jej rodzonej matki, ale do jakiejś prostytutki.

Szczerze mówiąc, w tamtych czasach uroda mojej teściowej rzeczywiście pobudzała mnie do pewnych niezbyt konkretnych marzeń, lecz nieskromne te myśli nie miały żadnych możliwości wzrostu ani rozwoju, jakby krępował je tysiąc grubych, stalowych łańcuchów. Obelgi mojej żony jednak, niczym buchające płomienie, nadtapiały stopniowo te kajdany. W końcu odpowiedziałem jej w złości:

– Jeżeli pewnego dnia pójde do łóżka z twoją matką, ty ponosisz za to wyłączną odpowiedzialność!

– Co?! – rzuciła z pasją.

– Gdyby nie twoje insynuacje, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że zięć może iść do łóżka z teściową! – odparłem jadownicie. – Twoją matkę i mnie dzieli tylko różnica wieku, nie jesteśmy skrępowani więzami krwi. Twoja własna gazeta niedawno opublikowała ciekawą historyjkę o jakimś Jacku, młodzieńcu z Nowego Jorku, który po rozwodzie ożenił się z własną teściową.

Moja żona wydała nieartykułowany okrzyk, jej oczy wywróciły się białkami do góry, i padła zemdlna. Czym prędzej wylałem na nią wiadro zimnej wody i zacząłem nakłuwać zardzewiałym gwoździem odpowiednie punkty akupunktury: jeden pośrodku górnej wargi, drugi w zgięciu między kciukiem a palcem wskazującym. Minęło co najmniej pół godziny, zanim opieszale powróciła do przytomności. Leżała w błocie, sztywna jak zwalony pień uschłego drzewa, z szeroko rozwartymi powiekami. W jej oczach migotała tak wielka, druzgocząca rozpacz, że krew zastygła mi w żyłach. Łzy wypełniły jej oczy, przelały się przez zewnętrzne kąciaki i popłynęły w kierunku uszu. Pomyślałem, że w takiej chwili mogę zrobić tylko jedno – przeprosić ją jak najszczerzej.

Z czułością wypowiedziałem jej imię i powstrzymując z całej siły obrzydzenie, pocałowałem ją w paskudnie cuchnące rybą usta. Całując, myślałem o ustach jej matki, zawsze pachnących pieczenią. Gdyby tak wypić łyk brandy, a potem ją pocałować! To tak, jakby skosztować najwspanialszego dania świata. Kęs wybornej pieczeni, popijany dobrą brandy. Co najdziwniejsze, upływ czasu ani trochę nie popsuł młodzieńczego uroku tych ust, które nawet bez szminki są tak czerwone i soczyste, jak nabrzmiałe słodkim sokiem górskie winogrona. Ust jej córki nie ma sensu porównywać nawet do winogronowych skórek. Rozwlekł, ciekawym głosem powiedziała:

– Nie kłam, wiem dobrze, że kochasz moją matkę, nie mnie. Ożeniłeś się ze mną tylko dlatego, że zakochałeś się w mojej matce. Jestem jedynie namiastką mojej matki. Gdy całujesz mnie w usta, myślisz o ustach mojej matki. Gdy się ze mną kochasz, myślisz o ciele mojej matki.

Jej słowa były ostre jak nóż, obierała mnie nimi ze skóry. Już miałem wybuchnąć gniewem, lecz poklepałem ją lekko po policzku, przybrałem ponury wyraz twarzy i powiedziałem:

– Bo ci przyłożę! Nie gadaj bzdur. Wymyśliłaś sobie to wszystko, masz jakieś urojenia. Ludzie by cię wyśmiali, gdyby się dowiedzieli. A twoja matka dopiero by się wściekła. Jestem doktorem alkoholologii, poważnym, szanowanym człowiekiem. Może i jestem bezwstydnym, ale nigdy nie zrobiłbym czegoś tak wstrętnego. Takiego obrzydlistwa nie dopuściłoby się nawet zwierzę.

– Zgadza się, nie zrobiłbyś, ale chciałbyś zrobić! – odparła. – Być może nie zrobisz tego nigdy, jednak przez całe życie będziesz tego pragnął. Nie będziesz pragnął w dzień – będziesz o tym myślał w nocy. Nie będziesz marzył na jawie – będziesz o tym snił. Nie zechcesz za życia – zapragniesz po śmierci!

Wstałem i krzyknąłem ze złością:

– Obrażasz teraz mnie, obrażasz swoją matkę, obrażasz siebie samą!

– Nie masz się co wściekać – powiedziała. – Nie oszukasz mnie. Nawet gdybyś miał sto jadaczek, a każda z nich pluła słodkimi słówkami. Ech, i po co ma żyć ktoś taki, jak ja? Żeby być tylko przeszkodą na czyjejś drodze? Przedmiotem nienawiści? Życ wyłącznie po to, by cierpieć? Byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym umarła... Kiedy umrę, będziecie mogli robić, co wam się podoba.

Twardymi piąstkami, przypominającymi ośle kopyta, okładała własne sutki – tak, sutki; gdy leżała na wznak, jedynie para sutków przypominających czarne daktyle odznaczała się na jej wyschniętej klatce piersiowej. Tymczasem piersi mojej teściowej były dorodne jak biust młodej kobiety, bez żadnych oznak zwiotczenia. Dwa odważnie sterczące pagórki widać było nawet wtedy, gdy miała na sobie bardzo gruby sweter. Tak jaskrawe różnice w budowie teściowej i żony po prostu muszą popychać zięcia na sam skraj otchłani zła. Czy to moja wina? Nie wytrzymałem, zacząłem krzyczeć. Nie ciebie obwiniam, lecz samego siebie. Otworzyła zaciśnięte w pięści dłonie i zaczęła nimi, jak szponami, rozdzierać ubranie na piersi. Guziki poodpadały, i moim oczom ukazał się biustonosz. O bogowie! To tak jakby beznogi uparł się nosić buty – ona naprawdę miała na sobie biustonosz! Widok jej kościstej klatki piersiowej zmusił mnie do odwrócenia głowy.

– Dość, słyszysz? – rzuciłem. – Przestań się wygłupiać. I co z tego, że umrzesz – jest jeszcze twój ojciec!

Usiadła, podpierając się rękami, i odparła ze złowrogim błyskiem w oku:

– Mój ojciec to dla was dobra przykrywka. Obchodzi go tylko wino, wino, wino, wino! Wino to jego kobieta. Gdyby mój ojciec był normalny, nie miałabym się o co martwić!

– Co z ciebie za córka... – rzekłem bezsilnie.

– Więc proszę cię, błagam, zabij mnie.

Padła na kolana i jęła walić twardą głową w betonową podłogę, mówiąc:

– Patrz, błagam cię na kolanach, tłukę głową o ziemię – zabij mnie! Doktorze, w kuchni jest nowy, nieużywany nóż z nierdzewnej stali, tnie ostro jak wiatr – weź go i zabij mnie, proszę, zabij mnie.

Podniosła głowę, wyciągnęła szyję, długą i cienką jak u oskubanej kury, o skórze sinoczerwonej, szorstkiej, na której odznaczały się trzy czarne znamiona oraz nabrzmiące, pulsujące, sine żyły. Przewróciła oczyma, jej wargi obwisły luźno, czoło było oblepione kurzem, przez który przesiąkały maleńkie krople krwi, potargane włosy przypominały sroczę gniazdo. Czy to stworzenie w ogóle przypominało kobietę? Lecz ta właśnie kobieta była moją żoną, i muszę przyznać, że jej zachowanie mnie przerażało; w końcu jednak przerażenie ustąpiło miejsca

obrzydzeniu. I cóż miałem robić, towarzysze? Uśmiechała się szyderczo, jej wargi przypominały bieżniki na oponie. Bałem się, że oszalała.

– Kochana żono – przemówiłem. – Mówi się, że po ślubie czeka małżonków sto dni szczęścia, a po tych stu dniach szczęście staje się głębsze niż ocean. Jesteśmy małżeństwem od tak wielu lat, jakże mógłbym podnieść na ciebie rękę? Wolałbym już zabić kurczaka – miałbym przynajmniej mięso i rosół do jedzenia. Gdybym zabił ciebie, na koniec musiałbym sam połknąć kulkę. Moja głupota jeszcze nie osiągnęła tak wysokiego poziomu!

Dotknęła swojej szyi i powiedziała cicho:

– Naprawdę mnie nie zabijesz?

– Nie, nie zabiję!

– Radzę ci, zrób to – rzekła, czyniąc ręką gest, jakby podrzynała sobie gardło nożem ostrym jak wiatr. – Ciach! Jedno zręczne pociągnięcie, i moje żyły się otworzą, świeża krew tryśnie jak fontanna, a po półgodzinie będę już tylko przezroczystą powłoką. A wtedy... – ciągnęła z mrocznym uśmiechem na twarzy – ...będziesz mógł spać w jednym łóżku z tą starą wiedźmą, która pożera dzieci.

– Pierdolone bzdety! – zakląłem obrzydliwie. Towarzysze, mnie, wykształconemu, wysublimowanemu intelek-

tualiście wcale nie było łatwo wydobyć z siebie coś tak ordynarnego, lecz moja żona doprowadziła mnie do pasji. Było mi wstyd.

– Ty pieprzona... – wymyślałem jej. – Po co mam cię zabijać, z jakiej racji akurat ja? Nie pozwalasz mi zrobić nic dobrego dla ciebie, aż tu naraz prosisz mnie, żebym popełnił coś takiego? Niech cię zabija, kto chce – na pewno nie ja!

Byłem wściekły. Odsunąłem się. Skoro nie mogę sobie z nią poradzić – zawsze mogę jej unikać. Złapałem butelkę „czerwonogrzywego rumaka” i – gul-gul-gul – zacząłem wlewać napój do gardła, kątem oka nie przestając obserwować poczynania mojej żony. Widziałem, jak podnosi się leniwie i z uśmiechem kieruje w stronę kuchni. Moje serce drgnęło. Usłyszałem szum wody z kranu. Poszedłem za żoną ukradkiem i zobaczyłem ją – stała z głową zanurzoną pod silnym strumieniem. Rękami trzymała się śliskiego brzegu zlewu. Była zgięta w pół pod kątem prostym, jej wypięte pośladki, chude i mizerne, przypominały trzydziestoletnie płaty suszonego mięsa. Nie próbowałem nawet porównywać tych suchych pości z kulami, jakimi dysponowała moja teściowa, lecz rozkołysany obraz tych dwóch kul uparcie majaczył mi w umyśle – zrozumiałem, że zazdrość mojej żony nie jest całkowicie bezpodstawna. Śnieżnobiały i zapewne zimny strumień wody uderzał w tył jej głowy z głośnym szumem i spływał w dół spienioną falą. Włosy wyglądały jak płaty kory palmowej,

zanurzone w białej pianie. Krztusiła się, łkając; przypominała starą kurę, dławiącą się połykanym łapczywie pokarmem. Bałem się, że się przeziębii. Moje serce na moment wypełniło się współczuciem. Poczulem, że doprowadzając tę słabą, mizerną istotę do takiego stanu, popełniłem straszną zbrodnię. Podszedłem do niej i dotknąłem jej pleców: były lodowate. Odezwałem się:

– Już dosyć, przestań wariować, nie wolno robić głupstw, które martwią najbliższych, a cieszą naszych wrogów.

Wyprostowała się gwałtownie i popatrzyła na mnie ognistymi oczyma, bez słowa. Milczała tak około trzech sekund, aż się cofnąłem, struchlały. Nagle z brzękiem wyciągnęła ze stojaka nóż o lśniącym ostrzu, nowiutki, prosto ze sklepu żelaznego, zatoczyła nim półokrąg przed swoją klatką piersiową, wycelowała w szyję i pchnęła. Rzuciłem się w jej kierunku, nie zważając na własne bezpieczeństwo, złapałem ją za nadgarstek i wyszarpnąłem nóż z ręki. Jej zachowanie zmierziło mnie.

– Idiotko, chcesz mnie zgubić!

Z całej siły cisnąłem nożem w deskę do krojenia, ostrze zagłębiło się w drewnie na dwa palce – trzeba by wielkiego wysiłku, by wyciągnąć je z powrotem. Rąbnąłem pięścią w ścianę, aż zadrżały mury, a sąsiad wrzasnął: „Co jest?!” Byłem zły niczym pręgowana złota pantera, miotająca się w żelaznej klatce.

– Już dłużej nie wytrzymam – powiedziałem. – Nie da się, kurwa, żyć w ten sposób.

Zacząłem chodzić w kółko. Po kilkudziesięciu okrążeniach doszedłem do wniosku, że muszę dalej z nią żyć – próba załatwienia rozwodu równałaby się zajęciu miejsca w kolejce do krematorium.

– Musimy wyjaśnić tę sprawę raz na zawsze – orzekłem. – Idź, zobacz się ze swoim ojcem i matką i opowiedz im wszystko, niech rozsądzą. Możesz zapytać matkę prosto w oczy, czy coś nas ze sobą łączy.

Wytarła twarz ręcznikiem i oznajmiła:

– Pójdę. Skoro wy się nie boicie uprawiać kazirodztwa, to czego ja mam się bać?

– Kto nie pójdzie, ten żółwi pomiot – dodałem.

– Tak jest, kto nie pójdzie, ten żółwi pomiot – zgodziła się.

To ciągnąc się, to popychając wzajemnie, skierowaliśmy się w stronę Uniwersytetu Gorzelnictwa. Po drodze natknęliśmy się na kawalkadę rządowych samochodów, jadącą na powitanie zagranicznych gości; kolumnę otwierały motocykle, których dosiadało dwóch policjantów w nowiutkich mundurach, błyszczących, czarnych

okularach i śnieżnobiałych rękawiczkach. Na chwilę przestaliśmy się kłócić. Staliśmy jak drzewa obok rosnących przy drodze kasji. Znad rowu unosił się odór rozkładających się zwierzęcych ciał. Żona trzymała mnie nieśmiało, lecz mocno za ramię swoją zimną dłonią. Nie podobała mi się cała ta kawalkada, a uchwyt lodowatych szponów żony przyprawiał o mdłości. Widziałem jej nieprawdopodobnie długie kciuk; pod twardym paznokciem tkwiło nieco zielonkawego brudu. Nie miałem jednak serca strącać z siebie tej ręki – trzymała tak, jakby podświadomie szukała we mnie oparcia niczym tonący, który czepia się źdźbeł trawy. „Kurwa mać!” – zakląłem. Wśród usuwających się z drogi imponującej kawalkady była łysa kobieta, która wykręciła głowę i spojrzała na mnie. Miała na sobie gruby, obszerny rozpinany sweter z rzędem białych plastikowych guzików na piersi. Bardzo dużych guzików. Na widok tych dużych białych plastikowych guzików poczułem gwałtowne obrzydzenie. Miało ono swoje źródło w dzieciństwie, kiedy to zachorowałem na świnkę. Lekarka, wężąc wścibskim nosem, dotykała moich policzków paluchami lepkiemi jak macki ośmiornicy, co doprowadzało mnie do torsji. Miała identyczne wielkie, białe, plastikowe guziki na piersi. Na ramionach łysej kobiety tkwiła wielka, tłusta głowa; widziałem opuchniętą twarz i usta pełne żółtawych jak miedź zębów. Gdy kobieta na mnie spojrzała, zadygotałem od stóp do głów. Już się odwracałem, by odejść, lecz kobieta podbiegła do nas truchcikiem. Okazało się, że to dobra znajoma mojej żony. Serdecznie złapała żonę za ręce i zaczęła nimi potrząsać. Potrząsając, napierała na nią górną połowę swojego grubego ciała; wyglądało na to, że za chwilę zaczynają się obejmować i całować. Zupełnie jakby była matką mojej żony. Naturalnie natychmiast przypomniałem sobie teściową – kobietę, która urodziła tę oto córkę – cóż za przedziwny wybryk natury. Poszedłem sam na Uniwersytet Gorzelnictwa Alkoholandii. Chciałem jak najszybciej zadać teściowej pytanie, czy jej córka jest sierotą z domu dziecka, czy też to pielęgniarki w szpitalu położniczym zamieniły noworodki. A jeśli tak było naprawdę, to co robić?

Moja żona dogoniła mnie, chichocząc – jakby już zapomniała, że dosłownie przed chwilą przykładała sobie nóż do gardła. Zapytała:

– Hej, doktorze, czy wiesz, kim jest ta starsza kobieta?

Zaprzeczyłem.

– To teściowa dyrektora wydziału organizacyjnego Miejskiego Komitetu Partii.

Prychnąłem wyniośle.

– Co tak prychasz? Przestań patrzeć z góry na innych i nie myśl sobie, że jesteś najmądrzejszy na świecie. A ja niedługo zostanę szefową działu kultury i życia codziennego w moim piśmie.

– Gratuluję, pani kierownik działu kultury i życia codziennego – odparłem. – Mam nadzieję, że napisze pani artykuł o własnych doświadczeniach w dziedzinie

urządzania scen małżeńskich.

Stała jak wryta.

– Ja urządzam sceny? Jestem najłagodniejszą kobietą na świecie. Inna na moim miejscu, gdyby się dowiedziała, że mąż kręci na boku z jej własną matką, wywaliłaby pewnie dziurę w niebie!

– Chodźmy szybciej – ponagliłem. – Niech twój ojciec i matka rozsądzą!

– Ale ze mnie idiotka – powiedziała, jakby właśnie obudziła się ze snu. – Niby po co mam iść z tobą? Żeby patrzeć, jak ty i ta podstarzała kokietka robicie do siebie słodkie oczy? Wy możecie sobie nie mieć wstydu, ale ja mam swoją godność. Na świecie jest tylu mężczyzn, ile włosów na bydlęcym grzbiecie – niezliczone mnóstwo! Czemu ma mi zależeć akurat na tobie? Idź sobie do łóżka, z kim chcesz, nic mnie to nie obchodzi.

Skończywszy swoją wypowiedź, oddaliła się swobodnym, wdzięcznym krokiem. Jesienny wiatr poruszał wierzchołkami drzew, złote liście opadały, kołysząc się bezszelestnie. Moja żona odchodziła, spowita w poezję jesieni. W jej ciemnej sylwetce dawał się zauważyć ledwie widoczny cień subtelności i uroku; jej swobodna wyniosłość wzbudziła we mnie ślad poczucia zawodu i utraty. Moja żona nazywała się Yuan, a na imię miała Piękna. Piękna Yuan wśród jesiennych liści – temat na melancholijny liryk o smaku wina marki Generał Grom, produkowanego w winiarni Zhengyou w Yantai. Wpatrywałem się w nią, lecz nawet nie odwróciła głowy – „sprawiedliwi idą naprzód, nie oglądając się za siebie”. Szczerze mówiąc, może i miałem przez chwilę nadzieję, że się odwróci, lecz przyszła pani kierownik działu kultury i życia codziennego w „Dzienniku Alkoholandskim” nie zrobiła tego. Szła objąć swoje stanowisko. Pani kierownik Piękna Yuan. Pani kierownik.

Sylwetka pani kierownik znikła wśród białych murów i czarnych dachów alei Owoców Morza. Stado gołębi poderwało się i wzleciało w błękitne niebo, na którym unosiły się trzy brzoskwinowożółte, wielkie balony, ciągnące za sobą szkarłatne wstęgi z wyhaftowanymi białą wielkimi ideogramami. W dole stał oszołomiony mężczyzna – to byłem ja, doktor alkoholologii, Li Yidou. Li Yidou, nie skoczyłeś chyba w wartki, spieniony nurt rzeki Liquan, by zakończyć swe życie w wodzie przepojonej alkoholowym aromatem? Nie, czemu miałbym to robić? Moje nerwy były twarde i mocne jak bydlęca skóra, wygarbowana sodą kaustyczną i saetrą – nie do zdarcia, nie do przerwania. Li Yidou, tak, to on, Li Yidou – kroczy naprzód z podniesioną głową i oto jest już na Uniwersytecie Gorzelnictwa, stoi przed drzwiami domu swej teściowej.

Uważałem, że gruntowne wyjaśnienie sprawy jest niezbędne. Niewykluczone, że będę musiał zadrzeć z moją teściową, która być może wcale nią nie jest. Byłaby to niewątpliwie wielka rewolucja w moim życiu osobistym – jakby ocean wystąpił z

brzegów, a rzeki odwróciły swój bieg. Na drzwiach wisiała kartka:

„Dzisiejsze przedpołudniowe zajęcia z gotowania odbędą się w Centrum Żywności Specjalnej, w sali ćwiczeń”.

Słyszałem kiedyś, że moja teściowa, dzięki swojemu wybitnemu talentowi, jest prawdziwą gwiazdą Akademii Kulinarnej, lecz jeszcze nigdy nie widziałem jej podczas wykładu. Li Yidou zdecydował się posłuchać wykładu swojej teściowej i popodziwiać jej dumną sylwetkę.

Przez małą tylną bramę Uniwersytetu Gorzelnictwa wkroczyłem na teren Akademii Kulinarnej. Aromat alkoholu był tu nadal wyczuwalny, lecz moje nozdrza atakowały głównie mięsne zapachy. Na dziedzińcu rosło mnóstwo rzadkich drzew i egzotycznych kwiatów, które przedziwnymi liśćmi w kształcie oczu zerkały na doktora alkoholologii, niemającego żadnego pojęcia o roślinach – patrzyły na niego wyniośle, spode łba. Kilkunastu uniwersyteckich policjantów w ciemnoniebieskich mundurach przechadzało się leniwie po dziedzińcu. Na mój widok ożywili się niczym psy myśliwskie, które zwietrzyły zwierzynę. Zastrzygli uszami, podobnymi do niedużych naleśników, z ich nozdrzy wydobył się chrapliwy dech. Nie bałem się, wiedząc, że sam dźwięk nazwiska mojej teściowej natychmiast przywróci ich do normalnego stanu leniwego odrętwienia. Teren Akademii miał bardzo skomplikowany układ, podobny do Wiejskich Ogrodów Urzędniczych w Suzhou. Wielki głaz koloru świńskiej wątroby sterczał ni w pięć, ni w dziewięć pośrodku ścieżki, widniała na nim żółta inskrypcja: „Urokliwa skała wskazuje Niebiosą”. Za przyzwoleniem policjantów błąkałem się krętymi ścieżkami, aż w końcu dotarłem do Centrum Żywności Specjalnej, przeszedłem między rzędami stalowych poręczy, minąłem budynek hodowli mięsnych dzieci, przeszedłem obok sztucznego wzgórza i fontanny, zostawiłem za sobą ośrodek tresury ptaków i zwierząt egzotycznych – w końcu trafiłem do mrocznej jaskini, gdzie kręty korytarz zaprowadził mnie do rześkiego oświetlonego miejsca, do którego nieupoważnionym wstęp był wzbroniony. Młoda panienka podała mi roboczą odzież, prosząc o przebranie się.

– Wasi ludzie właśnie filmują panią profesor – powiedziała. Widocznie pomyliła mnie z reporterem miejskiej telewizji.

Wkładając wysoką, walcową białą czapę poczułem świeży zapach mydła. W tym momencie panienka rozpoznała mnie.

– Chodziłam do szkoły średniej z pana żoną, Yuan Meili. Miałam dużo lepsze stopnie, ale to ona została wybitną dziennikarką, a ja jestem zwykłą odźwierną – rzekła ponuro, obrzucając mnie wrogim spojrzeniem, jakbym to ja był winien zaprzepaszczenia jej świetlanej przyszłości.

Kiwnąłem głową przepraszająco, lecz wyraz jej twarzy z zawiedzionego zmienił się w wyniosły.

– Za to mam dwóch synów – oznajmiła z pychą. – Wybitnie inteligentnych.

– A nie zamierza pani ich sprzedać do Centrum Żywności Specjalnej? – spytałem złośliwie.

Jej twarz momentalnie spąsowiała. Miałem już dość kobiet o czerwonych twarzach, więc szybkim krokiem skierowałem się do sali. Usłyszałem za sobą zgrzytanie zębów i słowa:

– Przyjdzie dzień, kiedy ktoś wreszcie zrobi z wami porządek, bestialscy kanibale.

Słowa odzwiernej wzbudziły falę drgań w moim sercu. Jacy bestialscy kanibale? Czy ja też jestem jednym z nich? Przypomniałem sobie słowa alkoholandzkich oficjeli, gdy podano do stołu pewne sławne danie: „To, co będziemy spożywać, to nie człowiek, lecz potrawa, przygotowana z zastosowaniem specjalnych technologii”. Wynalazczynią tego dania była moja piękna teściowa, ta sama, która teraz w przestronnej, jasno oświetlonej sali rozpoczynała wykład dla studentów. Stała na mównicy, padało na nią jasne światło lampy. Widziałem jej dużą, okrągłą jak księżyc w pełni twarz, gładką i lśniącą niby porcelanowy wazon.

Rzeczywiście, filmowali ją jacyś reporterzy z telewizji. Jeden z nich, o wydatnych ustach i małych policzkach, nazwiskiem Qian, okazał się szefem specjalnego działu w gazecie; zdaje się, że to z nim siedziałem kiedyś przy jednym stoliku i piłem wino. Kręcił się po sali z kamerą na ramieniu. Jego asystent, mały bładzi grubas, nosił reflektory, ciągnąc za sobą czarne kable, i według poleceń szefa kierował ostre, białe światło to na twarz mojej teściowej, to na leżącą przed nią deskę do krojenia, to na zasłuchanych studentów. Znalazłem wolne miejsce i usiadłem. Poczulem kochające spojrzenie jej szarobrązowych oczu, które spoczęło na mojej twarzy i pozostało na niej przez całe dwie sekundy; onieśmielony, spuściłem głowę. Trzy słowa, głęboko wyryte w drewnie pulpitu, wyskoczyły mi nagle przed oczyma: „Chcę cię pieprzyć”. Trzy kamienie wrzucone w spokojne wody mego umysłu, trzy rozchodzące się fale. Zdrętwiałem cały, niczym żaba drażniona słabym prądem elektrycznym. Drżały mi wszystkie cztery kończyny, a pewne miejsce pośrodku zdradzało wielki niepokój... Nieśpieszna, przyjemna dla ucha mowa mojej teściowej była jak fale przyływu, które podchodziły wciąż wyżej i wyżej, zalewając moje ciało potężnym ciepłym prądem; dreszcze podniecenia przebiegały mi wzdłuż kręgosłupa, raz po raz...

– ...Droży państwo studenci, czy przyszło wam kiedykolwiek na myśl, że w wyniku przyspieszenia rozwoju dzięki polityce „czterech modernizacji” i na skutek nieustannego wzrostu poziomu życia ludności jedzenie nie służy już wyłącznie napełnianiu żołądków, lecz przerodziło się w rodzaj kontemplacji estetycznej? Z tej właśnie przyczyny gotowanie przestało być jedynie umiejętnością techniczną, a stało się prawdziwą, wielką sztuką. Wykwalifikowany mistrz sztuki kulinarnej powinien mieć ręce wrażliwsze i czulsze od chirurga, wycucie barw lepsze niż u artysty

malarza, węch ostrzejszy od psa policyjnego, język subtelniejszy od węża. Kucharz jednoczy w sobie wszystkie te talenty. Poziom wyrafinowania dzisiejszych smakoszy wzrasta. Wymagają coraz droższych, wykwintniejszych składników, lubują się w nowościach i pogardzają rzeczami znanymi, rankiem chcą tego, wieczorem znów

czego innego – zadowolić ich jest niezwykle trudno. A my musimy pilnie pogłębiać naszą wiedzę, dokonywać coraz to nowych wynalazków, by zaspokoić ich potrzeby. Od tego zależy rozkwit naszej Alkoholandii, a także, rzecz jasna, świetlana przyszłość każdego z was. Zanim rozpocznę dzisiejszy wykład, przedstawię państwu pewne szczególne danie...

Chwyciła elektroniczne pióro i na magnetycznej tablicy wykaliografowała dynamiczną kreską znaki: „dziobak gotowany na parze”. Pisząc, odwracała się twarzą do studentów – uprzejmie, z wdziękiem. Następnie odrzuciła pióro i nacisnęła guzik pod blatem. Wisząca na ścianie draperia zaczęła się powoli zwijać, jakby miała odsłonić mapę bitwy na komendę generała, wydaną przyciśnięciem guzika. Za zasłoną znajdowało się ogromne akwarium, w którym nerwowo pływało kilka dziobaków o lśniącej sierści i błoniastych kończynach.

– Teraz opowiem państwu o składnikach i opiszę całość procesu przyrządzania potrawy. Możecie robić notatki – oznajmiła. – Te niepozorne zwierzątka swego czasu postawiły naszego wielkiego przywódcę proletariatu, utalentowanego uczonego Engelsa, w bardzo niezręcznej sytuacji. Stanowią one wybryk ewolucji jako jedyne znane nam ziemskie ssaki, które znoszą jaja. Dziobak jest zwierzęciem na wskroś wyjątkowym, dlatego w trakcie przyrządzania go trzeba być niezwykle uważnym. Pod żadnym pozorem nie należy pozwolić, by na skutek jakiegoś głupiego błędu doszło do zmarnowania tego cennego daru natury. Dlatego też polecam wszystkim, aby zanim wezmą się do dziobaka, poćwiczyli najpierw przyrządzanie żółwia, żeby uzyskać trochę niezbędnej wprawy. A teraz przedstawię państwu dokładnie sposób przyrządzania dziobaka.

Należy wziąć jednego dziobaka, zarznąć, a następnie powiesić głową w dół na mniej więcej godzinę, by się wykrwawił. Uwaga: Do uboju należy użyć srebrnego noża i wkłuć się bezpośrednio pod pyskiem, by uzyskać jak najmniejszy otwór po cięciu. Po wykrwawieniu zdejmujemy skórę, wkładając zwierzę do wody o temperaturze około siedemdziesięciu pięciu stopni. Następnie ostrożnie usuwamy wnętrzności, wątrobę, serce, jaja (jeśli są). Szczególną ostrożność zachowujemy podczas usuwania wątroby, by nie uszkodzić pęcherzyka żółciowego – w razie jego uszkodzenia bowiem mięso dziobaka zamieni się w niejadalne odpady. Następnie wyciągamy jelita, wywracamy je na drugą stronę i płuczemy dokładnie w osolonej wodzie. Pysk i stopy zanurzamy we wrzątku, ścieramy twardą skorupę z dzioba i szorstką skórę z palców, uważając na błonę między palcami, która musi pozostać nienaruszona. Po umyciu i oczyszczeniu chwilę gotujemy wnętrzności w oleju, a następnie umieszczamy je na powrót w jamie brzusznej. Do gotowania dodajemy przyprawy – sól, czosnek, posiekany drobno imbir, ostrą paprykę, olej sezamowy – tylko proszę pamiętać, żadnego glutaminianu

sodu. Gotujemy na wolnym ogniu, aż mięso przybierze barwę ciemnoczerwoną i zacznie wydzielać specyficzną woń. W większości wypadków jaja gotujemy razem z wnętrzościami, by potem umieścić je z powrotem w brzuchu. Jeśli jednak są one stosunkowo duże i dobrze ukształtowane, można przyrządzić z nich osobne wykwintne danie, postępując według przepisu na żółwie jaja duszone w sosie sojowym.

Wyczerpawszy temat dziobaka, poprawiła włosy, jak przywódca, który ma za chwilę obwieścić ważną decyzję, i spojrzała uważnie na studentów. Każdy z nich odczuł na twarzy pieśczośliwy dotyk jej serdecznego spojrzenia. Czułem, jak jej oczy pieścżą moją duszę.

– A teraz przejdziemy do przyrządzania niemowlęcia duszonego w sosie sojowym – oznajmiła z powagą.

Czułem się, jakby przekłuto mi serce zardzewiałym sztydłem. Chłodna ciecz falami chlustała do wnętrza mojej klatki piersiowej; zbierała się tam, uciskając i drażniąc pozostałe organy, wywołując we mnie skrajny niepokój. Zimny, lepki pot pokrył wnętrza moich dłoni. Twarze wszystkich studentów teściowej poczerwieniały, ich serca z emocji przyśpieszyły bicie. Niczym studenci medycyny, którzy po raz pierwszy przystępują do sekcji ludzkich organów płciowych, starali się jak mogli zachować obojętność, lecz zawzięcie skrywana prawda tym bardziej wychodziła na jaw – mieszanina lęku i podniecenia objawiała się w drganiach policzków, w nienaturalnych pokasływaniach. Moja teściowa mówiła dalej:

– Oto ostatnia, najwybitniejsza pozycja z repertuaru Akademii Kulinarnej. Z uwagi na rzadkość i bardzo wysoką cenę głównego składnika nie możemy zapewnić każdemu z was możliwości ćwiczeń praktycznych. Teraz przystąpię do szczegółowej prezentacji, a państwa proszę o bardzo uważną obserwację. Potem możecie przeciwyczyć wszystko na substytutach: małpach bądź prosiętach.

Na początek teściowa podkreśliła mocno, że serce mistrza kuchni jest twarde jak stal i że w dziedzinie uczuć nie może on sobie pozwolić na żadną przesadę.

– Niemowlęta, które będziemy zarzynać i gotować – ciągnęła – w rzeczywistości nie są ludźmi, lecz zwierzętami o ludzkim kształcie, produkowanymi dla zaspokojenia specyficznych potrzeb naszej rozwijającej się alkoholandzkiej ekonomii, na podstawie rygorystycznych umów, zawieranych za obopólną zgodą. W istocie niczym się nie różnią od dziobaków pływających w akwarium i czekających na ubój. Proszę o zachowanie spokoju i trzymanie nerwów na wodzy. Powtórzcie sobie państwo w myślach tysiąc, dziesięć tysięcy razy: „To nie ludzie, to zwierzęta w kształcie ludzi”.

Z wdziękiem ujęła bambusowy wskaźnik i postukała nim kilkakrotnie w brzeg akwarium, powtarzając:

– W istocie niczym nie różnią się od dziobaków.

Podniosła słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu i rzuciła jakieś polecenie. Odwiesiwszy ją, ponownie zwróciła się do studentów:

– Jest to słynne, wybitne danie, które pewnego dnia wstrząśnie światem, dlatego nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze nawet zaniedbanie w trakcie procesu wytwórczego. Mówiąc ogólnie, inwentarz domowy przed ubojem doświadcza pewnych napięć nerwowych, które wpływają na zawartość glikogenu w mięsie, co pogarsza metabolizm i w konsekwencji ma niekorzystny wpływ na aromat produktu końcowego. Dlatego doświadczony rzeźnik zawsze woli zakończyć życie zwierzęcia błyskawicznie – po to, by zapewnić jak najwyższą jakość mięsa. W porównaniu z przeciętnymi zwierzętami domowymi mięsne dzieci stoją na znacznie wyższym poziomie rozwoju umysłowego, dlatego też, by zagwarantować wysoką jakość surowca używanego do produkcji naszego słynnego dania, należy starać się utrzymywać je w jak najlepszym nastroju. Tradycyjna metoda, polegająca na ogłuszaniu za pomocą pałki, powodowała przekrwienie miękkich tkanek surowca, a nawet uszkodzenia czaszki, co znacznie pogarszało wygląd produktu końcowego. Ostatnimi czasy metodę ogłuszania stopniowo się eliminuje, zastępując ją odurzaniem alkoholem etylowym. Na Uniwersytecie Gorzelnictwa opracowano nowy typ słodkiego, łagodnego w smaku napoju o niezwykle wysokiej zawartości czystego alkoholu, który znakomicie spełnia nasze wymagania. Doświadczenia pokazują, że u mięsnych dzieci, ubitych po odurzeniu alkoholem, dzięki cząsteczkom etanolu, wnikającym do komórek i tkanek, wyraźnej redukcji ulega odór mleka, który wcześniej przysparzał najwięcej problemów w procesie przyrządzania potrawy. Co więcej, z rezultatów badań laboratoryjnych wynika, że mięsne dzieci, ubite po uprzednim odurzeniu alkoholem, mają znacznie wyższą wartość odżywczą.

Znów podniosła wiszącą na ścianie słuchawkę i powiedziała:

– Przynieście go.

Pięć minut po tym zdawkowym poleceniu dwie młode kobiety w śnieżnobiałych fartuchach i kwadratowych czapkach wniosły do sali na specjalnych noszach nagie mięsne dziecko. Kobiety były nawet urodziwe, lecz na widok ich bardzo bladych twarzy poczułem się nieswojo. Położyły nosze na desce do krojenia i odsunęły się na bok, z rękami zwisającymi bezwładnie wzdłuż ciała. Moja teściowa pochyliła się, by przyjrzeć się dokładnie różowemu mięsnemu niemowlęciu. Smukłym, delikatnym palcem wskazującym poszturchała je w pierś, po czym kiwnęła głową z aprobatą. Wyprostowała się i powtórzyła z powagą:

– Nie wolno państwu pod żadnym pozorem zapominać, że to tylko zwierzątko w kształcie człowieka.

Zanim dokończyła zdanie, zwierzątko w kształcie człowieka poruszyło się na

noszach, a studenci wydali tłumiony okrzyk zdumienia. Wszyscy, łącznie ze mną, sądzili, że malec zacznie raczkować. Na szczęście tylko przewrócił się z boku na bok, napełniając salę wykładową smacznym, miarowym pochrapywaniem. Okrągłą, pulchną, rumianą buzią odwrócił się w stronę studentów, w moją stronę. Zobaczyliśmy pięknego, zdrowego chłopczyka. Miał kruczoczarne włoski, długie rzęsy, nosek jak ząbek czosnku, różowiułkie usteczka. Cmokał różowymi wargami, jakby właśnie śnił o ssaniu cukierka. Byłem żonaty od trzech lat, jednak nie mieliśmy jeszcze dzieci. Uwielbiałem dzieci. Marzyłem, by rzucić się biegiem na drugi koniec sali, podbiec do deski i chwycić w objęcia tego malucha, ucałować jego buzię i pępek, dotknąć małego ptaszka i pieszczotliwie gryźć maleńkie stópki. A stópki miał bardzo pulchne – w miejscu połączenia z nóżkami rysowało się kilka fałdek tłuszczu. Z wyrazu twarzy studentów, a zwłaszcza oszołomionych, zafascynowanych studentek, wywnioskowałem, że w ich sercach już pluskają ciepłe fale miłości, tkliwości dla tego małego człowieczka. Jakby w odpowiedzi, w sali wykładowej rozległ się głos mojej teściowej, który nagle stał się zimny jak lód i rozbrzmiewał echem, zagłuszając miarowe chrapanie malca.

– Powtarzam wyraźnie jeszcze raz: musicie oczyścić wasze serca ze wszystkich niezdrowych emocji, w przeciwnym razie nie będę mogła kontynuować wykładu.

Złapała malucha za ramię i odwróciła go o sto osiemdziesiąt stopni, buzią w stronę szklanego akwarium z dziobakami, a pośladkami w stronę studentów. Szturchając go, powtórzyła:

– On nie jest człowiekiem, nie jest człowiekiem.

Niemowlak, jakby protestując przeciw temu twierdzeniu, puścił niezwykle głośnego, jak na swoje rozmiary, bąka. Studenci popatrzyli po sobie i dopiero po kilkunastu sekundach wybuchnęli śmiechem, który wypełnił całą salę. Moja teściowa starała się zachować powagę, w końcu nie wytrzymała i roześmiała się do wtóru.

Nagle uderzyła w stół, by uciszyć śmiechy, i oznajmiła:

– Te maluchy chwytają się najróżniejszych sposobów.

Studenci już chcieli się ponownie roześmiać, lecz napotkali jej opór.

– Nie ma się z czego śmiać – rzekła. – To najważniejszy wykład w ciągu całych czterech lat państwa studiów. Jeśli uda się wam opanować sztukę przyrządzania mięsnych dzieci, nie macie się czego obawiać, gdziekolwiek się znajdziecie. Chcecie chyba wyjeżdżać za granicę, prawda? Znajomość tego wybitnego dania to wasza wieczna wiza. Będziecie zawsze lepsi od cudzoziemców – lepsi od jankesów, od szkopów, od wszystkich obcych elementów.

Jej słowa najwyraźniej trafiły w czuły punkt – studenci zaczęli na powrót słuchać jej

z ogromną uwagą. Każdy z nich trzymał pióro w jednej ręce, drugą ręką przyciskał zeszyt, wszyscy bez wyjątku wpatrywali się w moją teściową. Teściowa oświadczyła:

– Mięśne dziecko, znajdując się w tym błogim stanie uśpienia, nie ma pojęcia, co się z nim dzieje. Cokolwiek uczynimy, nie będzie protestować. Pozostanie przyjemnie odurzone do samego końca.

Skinęła na dwie kobiety w bieli, które stały w kątach sali, czekając na jej polecenia. Pomogły mojej teściowej umieścić mięśne dziecko w specjalnym stelażu, przypominającym klatkę dla ptaków, wyposażonym w uchwyty służące do połączenia z metalowymi pierścieniami na desce do krojenia. Przy pomocy kobiet w bieli teściowa uniosła w powietrze klatkę wraz z mięsnym dzieckiem, uwięzionym w środku – z wyjątkiem jednej białej, pulchnej stópki, która wystawała na zewnątrz, co wyglądało doprawdy słodko. Teściowa mówiła dalej:

– Pierwszy etap to wykrwawianie – muszę nadmienić, że jakiś czas temu niektórzy towarzysze sądzili, iż bez wykrwawiania smak dziecięcego mięsa jest lepszy, a wartość odżywcza wyższa. Swoją teorię opierali na starej koreańskiej metodzie przyrządzania psa – bez nacinania i bez wykrwawiania. Jednak po przeprowadzeniu wielu badań uznaliśmy, że wykrwawione mięśne dziecko smakuje znacznie lepiej niż niewykrwawione. Metoda jest prosta – wypuszczamy krew z ciała mięsnego dziecka, a im dokładniej to uczynimy, tym kolor mięsa będzie ładniejszy. Jeśli dziecko nie zostanie całkowicie wykrwawione, produkt końcowy będzie miał kolor ciemny, a zapach stanie się nieprzyjemny i ciężki. Dlatego nie wolno nam lekceważyć tego etapu.

Moja teściowa wyciągnęła rękę i chwyciła dziecięcą stópkę. Mięśne dziecko zagaworzyło, a studenci nadstawili uszu, jakby usiłując uchwycić sens tej „wypowiedzi”. Teściowa kontynuowała:

– Należy wybrać odpowiednie miejsce nacięcia, by zapewnić integralność ciała mięsnego dziecka. Zazwyczaj praktykuje się cięcie na podeszwie stopy, by odsłonić tętnicę, którą należy przeciąć w celu umożliwienia wypływu krwi.

W trakcie tej przemowy w jej ręku nagle pojawił się lśniący nóż w kształcie liścia wierzby, skierowany ostrzem w kierunku małej stópki mięsnego dziecka...

Czym prędzej zamknąłem oczy – wydało mi się, że słyszę, jak malec w klatce wybucha głośnym płaczem, w sali rozlega się łoskot krzesel i stołów, studenci z okrzykiem wybiegają z sali. Otworzywszy oczy, zdałem sobie sprawę, że to tylko iluzja – mięśne dziecko nie krzyczy ani nie płacze, nacięcie w stopie już zostało zrobione, a z otworu zwiesza się sznur pięknych, lśniących jak drogie kamienie kropli, łączący się ze szklanym naczyniem poniżej. W sali zapanował niezwykły spokój – studenci i studentki wytrzeszczali oczy, wpatrzeni w stópkę mięsnego dziecka i w strugę krwi. Przyglądało jej się także oko telewizyjnej kamery; krew

migotała w silnym świetle reflektorów. Do moich uszu stopniowo dochodził odgłos oddechów studentów, głęboki jak szum fal przypląwu. Odgłos krwi kapiącej do naczynia był melodyjny i przyjemny dla ucha, niczym strumyk bulgoczący w rozpadlinie. Moja teściowa mówiła dalej:

– Krew mięsnego dziecka wyczerpie się po około półtorej godziny. Drugi etap to usunięcie organów wewnętrznych bez naruszania ich; trzeci – moczenie w wodzie o temperaturze siedemdziesięciu stopni w celu usunięcia włosów...

Szczerze mówiąc, nie mam najmniejszej ochoty dalej opisywać tej nudnej i obrzydliwej lekcji gotowania, prowadzonej przez moją teściową. Zapada noc, a pełen zdumiewających pomysłów umysł doktora alkoholologii powinien, pozostając wciąż pod pobudzającym wpływem alkoholu, zająć się obmyśleniem fabuły kolejnego opowiadania, zatytułowanego Zbiory jaskółczych gniazd – a nie marnować talent na opisy uczy kanibali.

## Rozdział 7

### I

Słowa kobiety-kierowcy ugodziły śledczego w serce niczym stalowe ostrze. Przyłożył rękę do piersi niczym zakochany młodzik i zgiął się w pół z bólu. Widział, jak kobieta różowymi, jeszcze ruchliwzszymi od dłoni stopami trze o dywan, raz po raz, tam i z powrotem. Serce zatopiła mu fala niepohamowanej złości.

– Dziwka! – rzucił przez zaciśnięte zęby i odwrócił się w kierunku wyjścia. Usłyszał za sobą głośny krzyk:

– A ty dokąd, dziwkarzu?! Co to ma znaczyć, jak śmiesz tak traktować kobietę?!

Ruszył wielkimi krokami ku drzwiom. Lśniący kieliszek ze świstem przeleciał mu koło ucha, uderzył w drzwi, odbił się i spadł na podłogę. Śledczy odwrócił się i zobaczył ją – z odsłoniętą piersią, oddychającą ciężko, z oczyma pełnymi łez. Czując w sercu skłębioną płataninę uczuć, rzekł zduszonym głosem:

– Nie miałem pojęcia, że jesteś taka bezwstydną. Poszłaś do łóżka z karłem, za pieniądze?!

Uderzyła w płacz. Łkała i łkała; nagle jeszcze bardziej podniosła głos, który stał się ochryply, piskliwy i tak wibrujący, że metalowe ozdoby wokół lamp z matowego szkła zaczęły drgać i dzwonić. Rozdarła ubranie z przodu i jęła okładać piersi pięściami, drapać się paznokciami po twarzy, rwać włosy i bić głową w kremowobiałą ścianę. W czasie tego szalonego ataku samookaleczania wciąż wydawała histeryczne wrzaski, od których śledczemu niemal popękały bębenki w uszach.

– Spadaj stąd! Spadaj! Idź do diabła!

Śledczy był przerażony. Nigdy w życiu nie widział niczego podobnego. Poczł się, jakby bogini śmierci pogłaskała go po nosie swoją lodowatą dłonią o czerwono polakierowanych paznokciach. Struga moczu spłynęła mu po udzie. Doskonale świadom, że zmoczenie spodni jest rzeczą i nieelegancką, i nieprzyjemną, pozwalał jej płynąć dalej, inaczej chyba rozpadłby się na kawałki. Obsikując własne spodnie, odczuwał przyjemną ulgę. Słabło dręczące go gigantyczne napięcie nerwowe.

– Błagam cię... – skamlał. – Nie rób tego... błagam...

Kobieta-kierowca nie zwracała uwagi ani na jego prośby, ani na niekontrolowane oddawanie moczu – nie przestała się nad sobą znęcać, nie obniżyła też swojego płaczliwego sopranu. Z jeszcze większym zapalem waliła głową w mur, który odpowiadał głuchymi stęknieniami. Pojawienie się mózgu na ścianie było tylko kwestią czasu. Śledczy rzucił się ku kobiecie i chwycił ją w pasie. Wyprostowała się i wysliznęła z jego objęć. Uwolnwszy się, zmieniła metodę – zamiast walić głową w ścianę, wgryzła się zachłannie we własną dłoń, jakby ogryzała świńską racicę – gryzła naprawdę, nie na pokaz; w krótkim czasie udało jej się zmienić grzbiet dłoni w mięsno-krwawą miazgę. Śledczy w geście rozpaczy i bezradności padł na kolana i zaczął bić jej pokłony, zaklinając nieszczęsną:

– Kochana dziewczyno – czy tak właśnie powinienem cię nazywać? Kochana, najukochańsza dziewczyno, szlachetna osobo, niechaj wybryki maluczkich nie zaprzętają twej głowy. Bądź jak ten mądry minister o sercu tak wielkim, że może pomieścić cały ogromny okręt! Potraktuj

moje nikczemne słowa jak pierdnięcie, jak śmierdzące pierdnięcie!

To wreszcie poskutkowało – kobieta przestała gryźć rękę, zamknęła oczy. Otworzyła usta: „Ua! Ua!” – zapłakała jak małe dziecko. Śledczy wyprostował się i, jak to czasem robią skruszeni złoczyńcy na filmach, wziął zamach i zaczął sam sobie wymierzać policzki, to z lewej, to z prawej. Bił się i łajał:

– Nie jestem człowiekiem, jestem zwierzęciem, jestem draniem, jestem psem, jestem muszą larwą na gównie! Bić, zabić skurwysyna!

W chwili gdy pierwszy cios wylądował na jego twarzy, poczuł piekący ból; po trzecim, piątym, było tak, jakby policzkował bydłą skórę – żadnego bólu, żadnego pieczenia, wyłącznie odrętwienie. Po kolejnych uderzeniach znikło i to odczucie, pozostało jedynie głośnie, przerażające „plask, plask”, jakby nie smagał własnej twarzy, lecz zwłoki prosiaka albo tyłek martwej kobiety. Bił dalej, raz za razem, bezlitośnie; w jego sercu nie wiadomo skąd pojawiło się uczucie zadowolenia ze słusznej zemsty. Po pewnym czasie przestał wykrzykiwać obelgi. Całą energię, jaką dotąd używał na mówienie, skierował w stronę ręki, zwiększając dodatkowo siłę ciosów. Odgłosy klepięć dłonią w skórę także zyskały na sile. Zauważył, że kobieta zamknęła usta, przestała płakać i patrzy na niego w osłupieniu. Śledczy był z siebie bardzo zadowolony. Wymierzył sobie jeszcze kilka siarczystych policzków i dał spokój. Usłyszał gwar ludzkich głosów dochodzący z korytarza. Zadał ostrożne pytanie:

– Czy pani już się na mnie nie gniewa?

Milczała nieporuszona, z wytrzeszczonymi oczami i półotwartymi ustami; na jej twarzy zastygł złowrogi wyraz, który przyprawiał śledczego o dreszcze. Stała tak niczym budzący grozę posąg. Śledczy wstał powoli i z ustami pełnymi słodkich słówek, którymi starał się zamaskować wściekłość, podążył w kierunku wyjścia.

– Proszę cię, nie bądź już na mnie zła, nie złość się, całe życie miałem taką niewyparzoną gębę, cuchnącą niczym brudny tyłek. Przez tę gębę zawsze miałem kłopoty, nie potrafię nic na to poradzić.

Oparł się zadkiem o drzwi.

– Bardzo cię przepraszam, przepraszam z całego serca.

Naparł pośladkami na drzwi, które zaskrzypiały przeraźliwie.

– Jestem nikczemną, godną pogardy, obrzydliwą istotą, taki właśnie jestem – mamrotał, czując na plecach chłodny powiew.

Spojrzał na nią po raz ostatni i prześliznął się przez wąską szczelinę na zewnątrz. Drzwi się zamknęły, a ona pozostała tam, po drugiej stronie. Niewiele myśląc, śledczy puścił się biegiem w stronę drugiego końca korytarza. Po drodze trafił na schludnie ubranego małego człowieczka, podążającego truchtem za małą kelnerką. Dał susa i niemal przeskoczył ponad głowami miniaturowych ludzików. Nie zważając na okrzyk przestrachu kelnerki, dobiegł nareszcie do końca korytarza, skręcił i otworzył upaprane tłuszczem drzwi. Mieszanka zapachów – słodkich, kwaśnych, gorzkich, ostrych – zaatakowała jego nozdrza; owionął go obłok gorącej

pary. We mgle pośpiesznie krzatali się lilipuci, ich niewyraźne sylwetki przypominały małe duszki. Niektórzy kroili, inni oskubywali, jeszcze inni zmywali naczynia albo mieszały składniki potraw – wyglądało to jak jeden wielki bałagan, lecz w rzeczywistości wszystko było tu na swoim miejscu. Ding potknął się o coś – był to sznur zamrożonych oślich wagin. Natychmiast przypomniał sobie „smoka i feniksa w szczęśliwym połączeniu” i oślą ucztę. Kilku małych ludzików przerwało pracę i przyglądało mu się z ciekawością. Odwrócił się i pobiegł z powrotem, trafił na schody i zbiegł nimi, trzymając się poręczy. Usłyszał rozpaczliwy kobiecy krzyk; resztką moczu opuściła jego pęcherz. Po krzyku zapadła martwa cisza. Ponura myśl zaświtała mu w głowie. A niech ją diabli! Nie zwracając uwagi na wystrojone kobiety i mężczyzn, kręcących się w tańcu po parkiecie wyłożonym marmurem „czerwień z Laiyangu”, zakłócając płynny rytm urokliwej muzyki, wpadł, przemknął i wypadł z głównej sali jadalnej restauracji „Yichi”, zalanej potokami światła i alkoholu, niczym uciekający zbity pies śmierdzący moczem albo jak czarny pocisk.

Zatrzymując się w ciemnym zaułku, uświadomił sobie, że gdy wybiegał przez bramę, karlice bliźniaczki wrzeszczały z przerażenia. Stał oparty o mur i dyszał ciężko, patrząc na jasno oświetloną restaurację. Neon nad wejściem mienił się różnokolorowo, nadając kroplom zacinającego deszczu barwę to czerwoną, to zieloną, to żółtą. Uzmysłował sobie, że jest jesienna, deszczowa, zimna noc, a on właśnie stoi pod gołym niebem, oparty o lodowaty kamienny mur. Taką temperaturę miewają tylko mury cmentarne, pomyślał. Wśród całej tej plątaniny nieszczęśliwych przypadków, która uwięziła go w Alkoholandii, dzisiejszy wieczór zaowocował jeśli nie uratowaniem skóry, to przynajmniej ucieczką z paszczy lwa. Urokliwe tony muzyki rozpraszały się w chłodnym nocnym powietrzu. Ding przysłuchiwał im się uważnie, czując w sercu smak żalu; kilka zimnych łez krzywdy popłynęło mu po policzkach. Przez chwilę wyobrażał sobie, że jest nieszczęśliwym księciem, lecz żadna księżniczka nie przybyła mu na ratunek. Powietrze było zimne i wilgotne; sądząc po bólu, jaki odczuwał w dłoniach i stopach, temperatura spadła poniżej zera. Pogoda w Alkoholandii nagle stała się mroźna i okrutna. Zacinające strugi deszczu zamarzały w locie, krople, uderzając o ziemię, rozbijały się na mnóstwo kawałków, które następnie się stapiały w lodową pokrywę. W oddali samotny automobil ślizgał się po lustrzanej powierzchni oświetlonej latarniami drogi. Obraz stada czarnych osłów, biegnących Oślą Uliczką, stanął Dingowi przed oczyma, niewyraźny niczym dawno zapomniany sen. Czy to wszystko wydarzyło się naprawdę? Czy ta dziwaczna kobieta-kierowca istniała w rzeczywistości? Czy śledczy Ding Gou'er istotnie przybył do Alkoholandii, by przeprowadzić śledztwo w sprawie dziecióźerstwa? Czy osoba nazwiskiem Ding Gou'er w ogóle istnieje? Jeśli tak, to czy ja nią jestem? Dotknął ręką muru – lodowaty, pomacał stopą ziemię – twarda. Zakaszał – poczuł ból w piersi. Odgłos kaszlu niósł się daleko i topniał w mroku. Ding Gou'er w końcu uwierzył w realność wszystkiego wokół, przez co jednak nie poczuł się ani trochę mniej przygnębiony.

Na wpół zamrożone krople deszczu, kłujące go w policzki, przynosiły uczucie chłodnej ulgi, niczym pazurki kociaka, drapiące swędzące miejsce. Palenie skóry na

twarzą przypomniało mu żalony pokaz walenia się po pysku. Powróciło odrętwienie, powróciły ukłucia piekącego bólu, a za odrętwieniem i pieczeniem przyszedł obraz złowrogiej twarzy kobiety-kierowcy. Twarz kołysała mu się przed oczami i nie dawała się odpędzić. Po twarzy złowrogiej przyszła kolej na twarz piękną, która tak samo długo majaczyła mu przed oczami i nie chciała zniknąć. W końcu ujrzał ją, razem z Yu Yichim – jedno obok drugiego. Poczłł jednocześnie uderzenia dwóch fal emocji – fali gniewu i fali zazdrości, które zmieszały się ze sobą, zatruwając mu duszę, niby podły alkohol o dziwnym smaku. Zrozumiał, że stało się najgorsze – zakochał się w tej kobiecie, byli już jak parka szarańczy związanych sznureczkiem za nóżki.

Śledczy walił pięścią w kamienny mur cmentarza czy też mauzoleum, klnąc w głos:

– Dziwka! Dzwka! Śmierzcząca dziwka! Śmierzcząca dziwka, co za jednego juana ściąga majtki!

Ostry ból ręki łagodził ból serca. Ding Gou'er zacisnął w pięść drugą dłoń i wymierzył kolejny cios w mur, w końcu dołączył głowę i kontynuował rytmiczne uderzenia.

Pochwyciła go plama ostrego światła. Dwóch policjantów z nocnego patrolu spytało surowo:

– Co pan tu robi?

Odwrócił się powoli, zasłaniając ręką oczy, język zeszywniał mu momentalnie – nie mógł wykrztusić słowa.

– Przeszukaj go.

– Po co, to jakiś wariat.

– Ej ty, przestań się wygłupiać, słyszysz?

– Wracaj do domu. Jak będziesz dalej rozrabiał, zabierzemy cię na komisariat!

Policjanci odeszli, wokół śledczego zapanowała absolutna ciemność. Człł zimno, głód i ostry ból głowy. W mroku wróciła mu jasność umysłu, a indagacje policjantów przypomniały o jego wspaniałej przeszłości. Kim jestem? Jestem Ding Gou'er, słynny śledczy z prokuratury w stolicy prowincji. Ding Gou'er, facet w średnim wieku, co z niejednego pieca chleb jadał, nie może wariować z powodu jakiejś baby, która przespała się z karłem. To przecież absurd! – Mamrocząc, wyciągnął chusteczkę, by zatamować sączącą się z czoła krew. Splunął kilka razy krwawą śliną. Gdyby wieści o moich dzisiejszych wybrykach dotarły do prokuratury, kumple pękliby ze śmiechu, pomyślał. Pomacał się w okolicach pasa – kawał twardego

żelaza był wciąż na swoim miejscu. To go uspokoiło. Trzeba iść, poszukać jakiegoś hotelu, zjeść coś, przespać się, a od jutra wziąć się porządnie do roboty. Nie spocznę, póki nie będę tych ptaszków trzymał w garści, postanowił. Rozkazał sobie ruszyć naprzód, zostawić za sobą restaurację „Yichi” i wszystkie te diabelstwa, które się tam wyprawiają. Iść naprzód i nie oglądać się wstecz.

Ruszył przed siebie ciemną uliczką. Po chwili potknął się i upadł do tyłu, z hukiem uderzając głową o ziemię. Podparł się rękami, czując lodowate zimno i śliskość podłoża. Podniósł się ostrożnie i ruszył niepewnie, potykając się na wyboistej, oblodzonej drodze. Nigdy jeszcze nie szedł po tak trudnym, niewygodnym terenie. Od czasu do czasu oglądał się za siebie – obraz rześńskie oświetlonej restauracji kłuł go w oczy, dźgał w serce. W końcu padł z jękiem na ziemię niczym postrzelone dzikie zwierzę. Błękitny płomień wybuchł mu w czaszce. Strumienie gorącej krwi uderzyły do głowy, mózg nabrzmiał jak balon, w każdej chwili groząc pęknięciem. Ból otworzył jego usta, zmusił je do krzyku. Krzyk, wydostawszy się z gardła, potoczył się po brukowanej alejce niczym cysterna z wodą na drewnianych kołach. Pod wpływem tego odgłosu ciało śledczego także potoczyło się bezwładnie po bruku, za stukotem drewnianych kół, po czym zaczęło uciekać przed nimi, by go nie przejechały; w końcu samo sformowało się w drewniane koło, stopiło się z nim w jedność. Z perspektywy drewnianego koła śledczy obserwował drogę, mur, drzewa, ludzi, domy... Wszystko kręciło się w kółko, wirowało bez końca, od 0 do 360 stopni. Tocząc się, uświadomił sobie nie całkiem wyraźnie, że jakiś twardy przedmiot uwiera go w bok. Ból w końcu stał się nie do zniesienia. Pistolet, pomyślał i wyciągnął go z pasa. Dotyk znajomego kształtu przyspieszył bicie jego serca, przed oczyma przemknęły mu obrazy wspaniałej przeszłości. Ding Gou’er, jak mogłeś upaść tak nisko? Turlasz się po ziemi jak jakiś pijaczyna. Zamieniłeś się w kupę śmieci przez głupią babę, która spała z karłem. Warto było? O nie! Podnieś się, stój prosto, jak mężczyzna, miej choć trochę godności! Wstał, podpierając się rękami, okropnie kręciło mu się w głowie. Jasne światła restauracji „Yichi” przyciągały go. Spojrzał raz – i zielony płomień rozgorzał mu w czaszce, tłumiąc światło rozumu. Zmusił się, by nie patrzeć w ten zły blask, który padał na rozwiązłość, narkotyki i najstraszniejsze zbrodnie, w te promienie o niezwyklej, ogromnej sile, wciągające go niczym wir, potężny wir; dla niego człowiek jest tylko lichym źdźbłem trawy, rosnącym na brzegu otchłani. Ding wgniał twardą kolbę pistoletu w ciepłe udo, chcąc bólem odegnąć zdrożne myśli. Jęknął. Krok za krokiem zanurzył się w mroku.

Ciemna uliczka ciągnęła się bez końca. Latarenie nie było, nikt nie świecił światła gwiazd wydobywało z ciemności zarysy murów po obu stronach alejki. Marzący deszcz padał coraz rześńsciej, z miękkim szelestem, po którym Ding domyślał się cyprysów i sosen, stojących godnie i w milczeniu po drugiej stronie kamiennego ogrodzenia niczym wcielenia niezliczonych bohaterów, którzy poświęcili życie, a teraz leżą martwi w tych murach. „Jeśli tysiące, dziesiątki tysięcy męczenników złożyły życie w ofierze dla dobra ludu, to czy istnieje jeszcze jakiś rodzaj cierpienia, którego żyjący nie mogą odrzucić?” – wyrecytował, parafrazując znany cytat. Ból w jego sercu łagodniał stopniowo.

Światła restauracji „Yichi” wsiąkały w kolejne warstwy mijanych budynków. Otoczona kamiennym murem uliczka tonęła w chaosie myśli Dinga. Czas płynął, czarna noc kroczyła naprzód pośród szumu lodowatej ulewy. Rozlegające się w oddali stłumione szczekanie psa wzmacniało

tajemniczą atmosferę głębokiej nocy w mrocznym miasteczku.

Ding niespodziewanie doszedł do końca brukowanej alejki. Powitała go sycząca latarnia gazowa. Podążył w jej kierunku jak ćma. W kręgu światła stał stragan z wontonami. Zobaczył złociste migotanie płomieni buzujących w piecyku, usłyszał trzaski palącego się węgla drzewnego, zauważył strzelające w górę iskry. Poczł zapach przypalanej fasoli i usłyszał bulgotanie gotujących się w garnku wontonów. Ich zapach przeniknął go do głębi, dotknął jego duszy. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał coś w ustach. Skręcone kiszki burczały głośno, ledwie trzymał się na nogach, drżał; zimny pot wystąpił mu na czoło. W końcu padł zemdłony tuż przed straganem z wontonami.

Stary handlarz wontonów chwycił go za ramiona, próbując podnieść.

– Dziadku, muszę zjeść wontona... – rzekł Ding.

Starzec usadowił go na stołku i podał mu miseczkę wontonów. Ding przyjął miskę i łyżkę i nie zważając na to, że jedzenie jest bardzo gorące, błyskawicznie zmiótł wszystko do czysta. Jedna porcja wontonów w brzuchu tylko spotęgowała jego głód. Po czterech miskach nadal nie czuł się nasycony, lecz gdy tylko schylił głowę, jeden wonton wymknął mu się z żołądka i zaczął wędrować z powrotem do góry.

– Jeszcze? – spytał staruszek.

– Wystarczy. Ile jestem winien?

– Niech pan nie pyta – odrzekł sprzedawca, rzucając mu współczujące spojrzenie. – Jeśli pan może, proszę mi dać cztery feny, jeśli nie – proszę się uważać za mojego gościa.

Duma śledczego doznała wielkiego uszczerbku. Wyobraził sobie, że ma w kieszeni wielki banknot studolarowy, nowiutki, o ostrych jak żyłeczka brzegach; wyjmując go i zaszeleściwszy nim w rękę, podaje staruszkowi z wyniosłym spojrzeniem, po czym odwraca się i odchodzi, pogwizdując. Jego gwizd niczym sztylet przeszywa nieskończoną ciemność nocy, pozostawiając po sobie niezatarte wrażenie, uczucie, którego nie sposób zapomnieć. Niestety, kieszeń oficera była zupełnie pusta. Razem z wontonami połknął swoje zażenowanie i wstyd. Lecz one wypływały z powrotem w górę, jeden po drugim, a on przeżuwał je i łykał znowu – w końcu mógł naprawdę poznać ich smak. Zamieniłem się w przeżuwacza, pomyślał smutno. Wściekł się na

myśl o łuskowatym demonie, który ukradł mu portfel, zegarek, zapalniczkę, legitymację i golarkę. Przypomniawszy sobie lśniącego od tłuszczu Jin Gangzuana, chimeryczną kobietę-kierowcę, sławnego Yu Yichi – w tym momencie jędrne, obfite ciało kobiety stanęło mu przed oczami i zielony płomień zazdrości rozgorzał w nim na nowo. Ding pośpiesznie wyzwolił się spod tego natłoku niebezpiecznych wspomnień, wracając myślą do zawstydzającej sytuacji, w jakiej się właśnie znalazł, zjadłszy wontony, za które nie może zapłacić. Cztery feny sprawiły, że spadł do poziomu żebraka. Bohater poniżony z powodu paru miedziaków. Pomacał kieszeń – ani fena. Slipy i podkoszulek wciąż wisiły na żyrandolu w mieszkaniu kobiety-kierowcy, z którego zwiął niczym przerażony szczur. W nocnym chłodzie przemarzył do szpiku kości. Nie mając lepszego pomysłu, wyciągnął pistolet i włożył go delikatnie do białej miski w niebieskie kwiatki. Metal lśnił niebieskawo.

– Dziadku – powiedział – jestem śledczym z prokuratury w stolicy prowincji. Napadli mnie złoczyńcy i zabrali mi wszystko, co miałem, z wyjątkiem tego pistoletu. To dowód, że nie jestem zwykłym naciągaczem, który chciał się najeść za darmo.

Staruszek schylił się gorliwie, chwycił w obie dłonie miskę z pistoletem, podniósł ją i powiedział:

– Oto prawdziwy mężczyzna. Mam szczęście, że zechciał pan się poczęstować moimi wontonami. Proszę jednak zabrać swojego kompana, bo okropnie się go boję.

Ding Gou'er wziął broń i rzekł:

– Staruszkule, chciałeś ode mnie tylko cztery feny, czyli już wcześniej uznałeś, że jestem bez grosza. Wiedziałeś, że jestem splukany, a jednak podałeś mi wontony, sądząc zapewne, że jestem bandytą, który może zniszczyć ci stragan. Nie nakarmiłeś mnie z własnej chęci, a ja z kolei nie mam ochoty pozostawiać cię z tym błędnym osądem mojej osoby. Zrobimy tak: Zostawię ci nazwisko i adres, a ty zgłosisz się do mnie, gdy sam będziesz w potrzebie. Masz coś do pisania?

– Jestem tylko starym sprzedawcą wontonów, nie umiem pisać, skąd panu wezmę coś do pisania? Pan jest ważną osobą, pan przybył z tajną misją, pokorne dzięki za pańskie nazwisko i adres! Proszę tylko zostawić mi moje stare życie...

Ding Gou'er zaśmiał się gorzko.

– Tajna misja, dobre sobie! Jestem największym pechowcem na świecie. Nie mam zamiaru jeść twoich wontonów za darmo, więc zrobimy jeszcze inaczej.

Uderzył dłonią w pistolet, wyjął magazynek, a z niego pojedynczy, lśniący złotawo nabój, i podał go staremu, mówiąc:

– To dla ciebie, na pamiątkę.

Stary zamachał rękami w proteście.

– O nie, szefie, nie mogę tego przyjąć. Parę misek kiepskich wontonów, przecież to nic! Samo spotkanie z tak porządnym, prawym człowiekiem jak pan to szczęście, które mnie, staremu, wystarczyłoby na co najmniej trzy życia. Nie mogę, naprawdę nie mogę...

Śledczy nie miał ochoty słuchać tego gadania w nieskończoność. Złapał starego za rękę i wcisnął nabój do trzęsącej się dłoni. Dłoń była rozpalona jak płomień.

W tym momencie usłyszał za sobą szyderczy śmiech, przypominający skrzek sowy siedzącej na nagrobku. Skulił głowę w ramionach ze strachu. Kolejna struga moczu popłynęła w dół.

– Śledczy, dobre sobie! – odezwał się starczy głos. – Od razu widać, że to zbiegły skazaniec!

Ding odwrócił się, dygocząc z przerażenia. Pod ogromnym pnem platanu stał chudy starzec w wyświechtanym wojskowym mundurze. Trzymał strzelbę dwururkę, obok niego siedział kudłaty pies w tygrysie pręgi, nieruchomy i cichy, oczy jarzyły mu się jak lasery. Siedział władczo niczym generał, budząc dużo większy respekt niż stojący obok człowiek.

– Dziadku Qiu, przepraszam, że znowu zawracam ci głowę... – bąknął nieśmiało handlarz wontonów.

– Liu Czwarty, tyle razy ci mówiłem, żebyś nie rozstawiał tu straganu, a ty wciąż to samo!

– Dziadku Qiu, nie gniewaj się. Jesteśmy biedni, córka potrzebuje pieniędzy na czesne. Nie mam wyjścia, dla dzieci zrobię wszystko, ale boję się iść do miasta. Tam mnie złapią, każą płacić karę, jedna taka kara to mój dwutygodniowy utarg...

Dziadek Qiu zamachał strzelbą i rozkazał:

– Hej, ty, rzuć ten pistolet!

Ding Gou'er posłusznie rzucił mu pistolet pod stopy.

– Ręce do góry! – rozkazał dziadek Qiu.

Ding Gou'er pomału podniósł ręce. Patrzył, jak chudy starzec, zwany przez handlarza wontonów „dziadkiem Qiu”, bierze strzelbę do jednej ręki, ugina nogi, cały czas

utrzymując resztę ciała w pozycji gotowej do strzału, i wolną ręką podnosi z ziemi jego służbową sześćdziesiątkędziewiątkę.

Poddawszy pistolet drobiazgowym oględzinom, dziadek Qiu oznajmił z pogardą:

– Stary grat!

– Mówi pan jak prawdziwy znawca broni – zauważył Ding Gou'er, korzystając z okazji.

Twarz starego rozjaśniła się na moment. Podniesionym, ochryłym, lecz dźwięcznym i pełnym dojmującej siły głosem rzekł:

– Masz rację, miałem w ręku niejedną zabawkę. Miałem ich ze trzydzieści, a może i z pięćdziesiąt – czeską strzelbę, chińskiego hanyanga, rosyjski pistolet maszynowy, thompsona, dziewięciostrzałówkę... tyle długolufowych, a z krótkich – niemieckiego mauzera, hiszpański „bębenek”, japoński „żółwi pancerz”, „kurzą nóżkę” i „szczeniaczka”, i „żrebaczka”. I tego tutaj też. – Podrzucił broń Ding Gou'era w powietrze i złapał wprawnym chwytem, zadziwiająco zręcznie jak na człowieka w jego wieku. Miał podługowatą głowę, małe oczka, haczykowaty nos; za to ani brwi ani bokobrodów. Jego pomarszczona, ciemna twarz przypominała pniak opalony w piecu.

– Ten tu pistolecik – oznajmił z pogardą – to zabawka dla dziewczynek!

– Dla mnie wystarczy – odparł śledczy obojętnie.

Stary przyjrzał się dokładniej trzymanej w ręku broni i stwierdził z przekonaniem:

– Na dziesięć metrów – może być. Dalej – do dupy...

– Znasz się na rzeczy, dziadku – powtórzył Ding Gou'er.

Chudy starzec parsknął i zatknął sobie pistolet za pas.

– Dziadek Qiu jest starym rewolucjonistą – wtrącił sprzedawca wontonów. – Kieruje strażą Cmentarza Bohaterów Alkoholandii.

– Nic dziwnego – odrzekł Ding Gou'er.

– A ty co robisz? – spytał stary rewolucjonista.

– Jestem śledczym z prokuratury w stolicy prowincji.

– Masz dokumenty?

– Ukradł mi jeden złodziejaszek.

– Wyglądasz mi na zbiega!

– Może i wyglądam, ale nim nie jestem.

– A jak mi udowodnisz, żeś nie złoczyńca?

– Możecie zadzwonić do sekretarza Komitetu Miejskiego Partii, do burmistrza, do szefa Urzędu Bezpieczeństwa albo naczelnika policji i zapytać, czy znają śledczego do zadań specjalnych nazwiskiem Ding Gou'er.

– Do zadań specjalnych? – zarechotał stary rewolucjonista – Skąd oni wzięli taką niezdarę?

– Dałem się oszukać pewnej kobiecie... – odparł Ding Gou'er.

To miała być autoironia; nie spodziewał się, że jego własne słowa ugodzą go prosto w serce. Stracił panowanie nad sobą. Padł na kolana przed straganem z wontonami i jął zakrwawionymi pięściami walić we własne zakrwawione czoło, krzycząc ochryple, do utraty tchu:

– Ta kobieta mnie zgubiła, kobieta, która poszła do łóżka z karłem...

Stary rewolucjonista podszedł do Ding Gou'era, szturchnął go zimną lufą w plecy i rozkazał gromkim głosem:

– Rusz się!

Ding Gou'er wstał i przez łzy, które zakręciły mu się w oczach, spojrzął na ciemną, podługowatą głowę starego rewolucjonisty – patrzył jak na starego przyjaciela albo jak podwładny na zwierzchnika, albo – i to jest najtrafniejsze porównanie – jak syn, który pierwszy raz po długiej rozłące ujrzał ojca. Z rozrzewnieniem objął starego rewolucjonistę za nogi i wyjąkał z płaczem:

– Dziadku, jestem kompletnym durniem, pozwoliłem się wykiwać babie...

Stary rewolucjonista chwycił Ding Gou'era za kołnierz i postawił go do pionu. Długo przeszywał śledczego spojrzeniem fosforyzujących źrenic – trwało to co najmniej połowę czasu, jaki zajęłoby mu wypalenie fajki. Wreszcie splunął, wyjął pistolet zza pasa i rzucił mu pod nogi, po czym odwrócił się i odszedł bez słowa rozkołysanym krokiem. Żółtawy pies cicho ruszył za nim, jego sierść pokrywały drobne krople wody, lśniące jak perły.

Stary sprzedawca wontonów położył złocisty nabój obok pistoletu, pośpiesznie złożył stragan, zgasił gazową latarnię, zarzucił wszystkie swoje ciężary na plecy i oddalił się w milczeniu.

Ding Gou'er stał nieruchomo w ciemności, odprowadzając wzrokiem znikającą postać starca, z której wkrótce pozostało jedynie nikle światełko, majaczące w oddali niczym diabelski ogień. Górująca nad Dingiem rozłożysta korona platanu zatrzymywała niezliczone krople deszczu, szumiąc i szeleszcząc – dźwięk ten, pod nieobecność ludzi i świateł, wydawał się rozbrzmiewać tym głośniejsze. Wstając, Ding był jak w transie – nie zapomniał jednak o broni i naboju. Powietrze było chłodne i wilgotne, wszystko go bolało, czuł się niewypowiedzianie obco. Wydało mu się, że właśnie nadszedł dlań sądny dzień.

Groźne spojrzenie weterana zawierało cień ojcowskiej przygany – Ding Gou'er poczuł potrzebę otworzenia się przed tym człowiekiem, zwierzenia mu się ze swoich trosk. Jakaż to siła spowodowała, że w tak krótkim czasie z twardziela, który zjada druty i sra sprężynami, zamienił się w parszywego psa, żalostną istotę bez własnej duszy? Czy to możliwe, żeby kobieta przeciętnej urody dysponowała aż taką mocą? Oczywiście, że nie – zrzucanie całej winy na tę kobietę byłoby nieuczciwe. Dzieje się tutaj coś bardzo dziwnego, a ten nocny patrol, złożony ze staruszka i jego psa, jest w posiadaniu klucza do tajemnicy. W tej podługowatej głowie musi się kryć jakaś wielka prawda. Ding postanowił pójść za starym rewolucjonistą.

Ruszył na sztywnych nogach w kierunku, w którym oddalił się staruszek z psem. Z daleka dobiegał odgłos nocnych ciężarówek, jadących po stalowym moście – odległy stukot i łoskot żelaza dodawał nocy głębi i tajemniczości. Droga to wznosiła się, to opadała. Na którejś z kolei pochyłości Ding przysiadł i zjechał w dół. Podnosząc głowę, ujrzał w świetle latarni stertę strzaskanych cegieł, pokrytych czymś białym, jakby warstwą szronu. Przeszedł kilka kroków i znalazł się przed starodawną bramą. W stróżówce obok paliło się światło, które padało na kutą z żelaza furtę i wielką białą tablicę; widniał na niej czerwony napis: „Cmentarz Bohaterów Alkoholandii”.

Ding podbiegł do bramy i złapał za stalowe pręty niczym więzień za kraty, przywierając dłońmi do stali tak mocno, że otarł sobie naskórek. Żółty pies rzucił się z ujadaniem w jego kierunku, lecz Ding się nie cofnął. Ochrypli, potężny głos starego rewolucjonisty, dobiegający z drugiej strony budynku, uciszył psa, który przestał szczekać i skakać, zwiesił łeb i zamerdzał ogonem. Po chwili pojawił się stary rewolucjonista we własnej osobie, ze strzelbą na ramieniu; złotawe blaszane guziki jego płaszczka lśniły dumnie.

– Czego tu chcesz? – spytał surowo.

Ding Gou'er pociągnął nosem i wyjąkał płacząco:

– Dziadku, ja naprawdę jestem śledczym z prokuratury.

– A co tu robisz?

– Prowadzę śledztwo. W bardzo poważnej sprawie.

– W jakiej sprawie?

– Alkoholandzcy dygnitarze-zwyrodnialcy gotują i zjadają dzieci!

– Zabiję! – zakrzyknął gniewnie staruszek.

– Dziadku, nie denerwuj się. Wpuść mnie, opowiem ci wszystko po kolei.

Stary rewolucjonista otworzył małą furtkę w bramie.

– Przeciśnij się tędy!

Ding Gou'er zawahał się, dostrzegłszy kilka żółtych, cienkich kudłów, zaczepionych w rogu furtki.

– Wchodzisz czy nie?

Ding Gou'er schylił się i wcisnął do środka.

– Ech, wy, spaślaki... Mój piesek jest bez porównania zręczniejszy...

Ding wszedł za starym rewolucjonistą do stróżówki. Przypomniawszy sobie bramę kopalni Luo Shan na przedmieściach; tamtejszy odźwierny z czupryną rozczochraną niczym psie kudły stanął mu przed oczyma.

Stróżówka była rzęsiście oświetlona, ściany śnieżnobiałe. Połowę pokoju zajmowało łóżko typu kang; u jego wezgłowia znajdował się piec oddzielony murem szerokości łóżka, na piecu stał garnek. W środku żywo paliły się sosnowe polana, rozsiewając mocny sosnowy aromat.

Stary rewolucjonista zdjął strzelbę i zawiesił na ścianie, ściągnął płaszcz, rzucił go na łóżko, zatarł ręce i rzekł:

– Palić drewnem i spać na ogrzewanym kangu to mój przywilej. – Spojrzał na Ding Gou'era. – Kilkadziesiąt lat walczyłem za rewolucję. Mam siedem albo i osiem blizn, wielkich jak misa ryżu, więc chyba mi się należy?

Ding Gou'er, zanurzony we wszechobecnym cieple, odpowiedział sennie:

– Pewnie, pewnie że się należy.

– A ten suchy syn, Yu, kierownik działu, chce, żebym zamiast sosną, palił w piecu soforą. Całe życie byłem rewolucjonistą, japońskie diabły odstrzeliły mi czubek ptaka, nigdy nie dorobię się synów ani wnuków. Co komu zaszkodzi, że na starość spalę sobie trochę sosny? Mam osiemdziesiąt lat, ile takich sosen zużyję do końca moich dni? Hm? Powiem tyle: sam król Niebios, choćby zszedł na ziemię, nie zabroni mi palić sosnowym drewnem!

Staruszek podniecał się coraz bardziej, wymachiwał rękami, w kącikach jego ust pokazała się piana.

– Co ty tam mówiłeś przed chwilą? Że jedzą dzieci? Ludożercy? Co za bestie! Kim oni są? Jutro pójdę i wszystkich pozabijam! Najpierw wystrzelam, a potem zdam raport! Najwyżej znów dadzą mi naganę. Zabiłem w życiu parę setek ludzi. Jestem specem od wykańczania złoczyńców, zdrajców, kontrrewolucjonistów, najeźdźców – na stare lata chętnie załatwię jeszcze paru kanibali!

Ding Gou'er czuł swędzenie na całym ciele, ubranie na nim parowało, wydzielając ciężki zapach wilgotnego popiołu.

– Właśnie w tej sprawie prowadzę moje śledztwo – powiedział.

– Śledztwo-sredztwo! – parsknął stary. – Trzeba ich wyłapać i rozstrzelać, żadne tam śledztwo-sredztwo!

– Dziadku, mamy czasy rządów prawa, bez niezbitych dowodów nie można nikogo rozstrzeliwać ot, tak sobie.

– No to szybko rób to swoje śledztwo, na co czekasz? Gdzie twoja świadomość klasowa? Twoje zawodowe morale? Wrogowie zjadają ludzi, a ty grzejesz się przy ogniu! Wyglądasz mi na trockistę! Jesteś burżuazyjnym diabłem! Imperialistycznym psem!

Potok wyzwisk padających z ust starego rewolucjonisty wyrwał Ding Gou'era z sennego odrętwienia, jakby pochłapano mu głowę psią krwią; fale gorąca rozsadzały jego pierś. Zamaszystym ruchem zdarł z siebie ubranie i pozostał nagi, z wyjątkiem stóp, które tkwiły w podniszczonych butach. Kucnął przy piecu, pogrzebał w palenisku i podsycił ogień kilkoma oleistymi sosnowymi szczapami, aż siwy dym uniósł się w górę i podrażnił mu nozdrza. Kichnął zdrowo, rozwiesił ubrania na bierwionach i przysunął je bliżej ognia. Ubranie skwierczało jak cuchnące ośle skóry. Żar ogrzewał mu ciało, skóra piekła go i swędziała. Drapał się i czochrał, co sprawiało mu coraz większą przyjemność.

– A ty co, kurwa, świerzbu dostałeś? – zapytał stary rewolucjonista. – Raz dostaliśmy świerzbu od spania na sianie. Cały pluton miał świerzb. Co za swędzenie!

Drapaliśmy się, skrobali, aż do krwi – i nic, swędziało dalej, swędziało nawet w środku, aż do kości. Straciliśmy gotowość bojową, straciliśmy ludzi – bez walki. Dopiero Ma Shan, zastępca dowódcy ósmego oddziału, wpadł na pomysł. Kupił cebulę, kupił czosnek, utarł je kamieniem na rzadką papkę, dodał soli i octu i garść po garści wcierał nam w ciała. Skóra szczypała, a potem zdrętwiała, i poczuliśmy się tak wspaniale, jak pies, któremu wreszcie udało się podrapać w jaja. Całe stada pasożytów załatwione na amen. Paskudna choroba wyleczona ludowym sposobem! Tak to jest, zachorujesz i masz państwową opiekę zdrowotną. A ja, stary, zawiesiłem własną głowę na pasku i poszedłem walczyć za rewolucję, więc teraz żądam państwowej opieki...

Ding Gou'er wyczuł w głosie starego rewolucjonisty smutek, gorycz i zawód, usłyszał echo naznaczonej trudem i cierpieniem historii rewolucji. Zamierzał zwierzyć się staremu z własnych trosk, tymczasem sam musiał wysłuchiwać jego żalów. Załamał się, odkrywszy smutną prawdę, że na tym świecie nikt nie może nikomu naprawdę pomóc – każdy ma własne kłopoty, a zwierzenia nie nakarmią głodnych, nie napoją spragnionych. Wytrzepał ubrania, zeszkrobał z nich resztki zaschniętego błota. Ubrał się. Gorące części garderoby parzyły – było mu cudownie jak w niebie. Podczas gdy ciało pławiło się w rozkoszy, ból duszy znowu podnosił łeb. Wyraźny obraz kobiety-kierowcy, nagiej, leżącej w łóżku z tą garbatą, krzywonożą kreaturą o kurzej piersi, stanął mu przed oczami, niezwykle realny, jakby podglądał ich oboje przez dziurkę od klucza. Im dłużej ich sobie wyobrażał, tym obraz stawał się żywszy, bogatszy. Ciało kobiety miało kolor złotawy, przypominała dorodną samicę piskorza. Pokrywał ją śliski, oleisty śluz, wydzielający nikły, nieprzyjemny zapach. Yu Yichi, pod postacią ropuchy o ciele pokrytym brodawkami, obejmował ją swoimi pletwiastymi odnóżami. „U-a, U-a” – skrzeczał, tocząc pianę. Serce Dinga drżało jak liść na wietrze, chciał otworzyć pierś, wyjąć je i rzucić jej w twarz... Dziwka, dziwka, śmierdząca dziwka! Wydało mu się, że widzi... tak, widział go wyraźnie: śledczy Ding Gou'er, majestatyczny jak marmurowy posąg, jednym kopnięciem stopy obutej w prawdziwą skórę otwiera kremowe drzwi do pokoju. W środku stoi łóżko, tylko łóżko, a na nim kobieta-kierowca i Yu Yichi. Yu Yichi, podobny do ropuchy, zsuwa się z łóżka – brzuch ma cały w paskudne, jaskrawoczerwone plamy – i staje w kącie, trzęsąc się i posykując – kurza pierś, garbaty grzbiet, krzywe, iksowate nogi, nieproporcjonalnie wielka głowa, białe gałki oczne, zakrzywiony kostropaty nos, usta pozbawione warg, rzadkie żółte zęby, gęba jak czarna dziura, z której wonieje ropą, wielkie uszy, cienkie jak prasowane tofu, wysuszone, półprzezroczyste, żółtawe. Czarne szympansie ręce, ściślej mówiąc, kończyny przednie, niemal zawadzające o ziemię, całe ciało porośnięte zielonkawymi, zmierzwionymi kudłami, zniekształcone, wielopalczaste stopy, i ten czarny, bezwstydnny organ, podobny do oślego penisa – jak można pójść do łóżka z taką pokraką? Śledczy nie był w stanie opanować przeraźliwego wrzasku.

– Co ty gadasz? Co ty, kurwa, gadasz? – dopytywał się zdezorientowany dziadek Qiu, stary rewolucjonista.

Wielki żółty pies z sierścią nastroszoną na karku rozszczękał się jak szalony.

Kobieta wydaje okrzyk przestraszenia i czym prędzej przykrywa kocem swoje nagie ciało, zupełnie jak na filmach. Pod przykryciem cała dygocze. W tym momencie spojrzenie śledczego spoczywa na tym ciele, które tak dobrze zna, obfitym, jędrnym, dorodnym, o cudownym zapachu... Czuje, jakby dziesięć tysięcy strzał przeszły mu serce, nigdy jeszcze nie odczuwał tak dojmującego żalu. W jego oczach tańczy niebieskawy błysk. Twarz szarzeje, przybierając kolor stali, i zastyga w szyderczym uśmiechu, zimna jak lód. Unosi pistolet, wtyka palec w kabłąk spustu, potrząsa bronią delikatnie, przesuwając ją w powietrzu eleganckim gestem, celuje i – paf! Huk wystrzału, wielkie lustro za plecami Yu Yichiego wybucha, migoczące odłamki szkła sypią się z brzękiem, Yu Yichi leży nieruchomo, śledczy chowa broń i odwraca się bez słowa i – nie oglądać się za siebie! – opuszcza restaurację rozkołysanym krokiem. „Wybacz mi, wybacz mi” – jęczy kobieta, klęcząc na podłodze, owinięta prześcieradłem, a śledczy – nie oglądać się za siebie! – idzie skapaną w słońcu ulicą stolicy Alkoholandii, po obu stronach tłumy, wpatrzone w niego z szacunkiem podszytym strachem, mężczyźni, kobiety, starcy, starsze panie, o, tamta starsza pani przypomina mu matkę, ma łzy w oczach, jej starcze wargi drżą, mówi: „Dziecko, moje dziecko...”. Odziana w długą, nieskazitelnie białą suknię dziewczyna o złotych włosach, spływających z ramion, przeciska się przez gęsty tłum, kryształowe łzy lśnią w oczach okolonych gęstymi, wywiniętymi rzęsami, wydatna pierś unosi się i opada gwałtownie; dziewczyna z trudem chwytając powietrze; roztrącając stłoczonych ludzi, krzyczy drżącym od płaczu, słodkim głosem: „Ding Gou’er! Ding Gou’er!” – lecz Ding Gou’er nawet nie patrzy w jej kierunku, nie odwraca wzroku nawet na chwilę. Podąża pewnym, twardym, grzmiącym krokiem w stronę słońca, w stronę wieczornej zorzy, by w końcu stopić się w jedno z ogromną czerwoną tarczą.

Stary rewolucjonista złapał Ding Gou’era za ramię wielką, twardą ręką. Śledczy, który właśnie stapał się w jedno ze słońcem, wzdrygnął się i z trudem powrócił do rzeczywistości. Jego serce wciąż tłukło się w piersi jak szalone, w oczach majaczyły łzy tragicznego bohatera.

– Co cię, kurwa, opętało? – zapytał stary rewolucjonista z pogardą.

Śledczy pośpiesznie osuszył łzy rękawem i zażenowany, zaśmiał się sztucznie.

Po tych wszystkich burzliwych wzlotach wyobraźni poczuł, że w jego przepelnionej smutkiem piersi pojawiły się jakby pęknięcia, znużony mózg stał się ociężały, a w uszach coś mu brzęczało, głośno jak stado pszczoł.

– Coś mi się zdaje, żeś się, kurwa, przeziębził! – rzekł stary rewolucjonista. – Gębę masz czerwoną jak małpi zadek!

Stary rewolucjonista odwrócił się, wyjął spod łóżka białą ceramiczną flaszkę wódki z czerwoną etykietką, potrząsnął nią i rzekł:

– Dziadek cię wyleczy z przeziębienia. Napijemy się wódki, wódka zabija zarazki, wypędza truciznę. Pewnego razu, kiedy z Mao Zedongiem przekraczaliśmy cztery razy Rzekę Purpurową, dwa razy przechodziliśmy przez powiat Maotai. Dostałem malarii i musiałem odłączyć się od oddziału. Ukryłem się w destylarni. Kiedy „biali” zaczęli strzelać, trząsałem się cały ze strachu. Trzeba było łyknąć dla kurażu! Gul, gul, gul, i wydołem za jednym zamachem trzy czarki wódki. Serce się uspokoiło, duch się wzmacnił. Już się nie trząsałem. Znalazłem jakiś kij, wybiegłem z destylarni, zatłukłem na miejscu dwóch „białych”, zabrałem im strzelbę i pobiegłem za oddziałem Mao Zedonga. Mao Zedong, Zhu De, Zhou Enlai, Wang Jiaxiang – wszyscy w tamtych czasach pijali maotai. Mao, kiedy sobie wypił, uzyskiwał niesamowitą zdolność przewidywania przyszłości. Gdyby nie to, ta garstka żołnierzy, którą dowodził, zostałaby od razu rozniesiona w puch. Wódka maotai była wielką siłą chińskiej rewolucji. Myślisz, że to przypadek, że na chiński alkohol narodowy wybrano właśnie wódkę maotai? Oczywiście, że nie. W ten sposób wystawiono jej pomnik! A ja, po tym, jak poświęciłem całe życie rewolucji, mam chyba prawo łyknąć czasem trochę maotai. A ten sukinsyn Yu, kierownik działu, chce mi zabrać moją maotai, a w zamian dać jakiegoś „czerwonogrzywego rumaka”. Niech go sobie wsadzi nie powiem gdzie!

Stary rewolucjonista nalał wódki do poobijanego emaliowanego kubka i wypił potężny łyk, odchylając głowę do tyłu.

– Ty też sobie gołnij – zachęcił. – Oryginalna maotai, co do kropelki.

Na widok załzawionych oczu Ding Gou’era rzucił pogardliwie:

– Co, strach cię obleciał? Tylko zdrajcy i sprzedawczyki nie chcą pić, bo się boją, że po wódce wygadają prawdę, że wypalają swoje tajemnice. Jesteś zdrajcą? Sprzedawczykiem? Nie? To czemu nie pijesz?

Pociągnął kolejny łyk. Wódka z bulgotem zniknęła w jego gardle.

– Nie pijesz, to nie, dziadek nie będzie cię zmuszał! Myślisz, że było mi łatwo skołować tę odrobinę? Ten trockista Yu, kierownik działu, ma na mnie oko. Ale feniks na ziemi jest słabszy od kurczaka, a tygrysa w stepie prześladują psy.

Wódka pachniała oszołamiająco, wzbudzając coraz większe pożądanie Ding Gou’era. Gdy coś bardzo wzruszy nas, to najlepszy picia czas! Wyrwał emaliowany kubek z ręki starego rewolucjonisty i duszkiem wychylił zawartość. W jednej sekundzie wysokie fale zalały mu żołądek, a przed oczami rozkwitły łany różowych lotosów, emanujące wśród delikatnej mgiełki poświatą głębokiej zadumy. Oto światło maotai, dusza maotai! W jednej chwili Ding odczuł nieskończone piękno świata – Niebios, ziemi, drzew, przeczystego śniegu na szczytach Himalajów. Stary rewolucjonista zachichotał, zabrał mu kubek i napełnił go znowu. „Pu-dun, pu-dun” – gulgotała

wódka, lejąc się przez otwór butelki. Dingowi huczało w uszach, w ustach zbierała mu się ślina. Zauważył, że twarz starego rewolucjo-

nisty promieniuje ogromną, nieopisaną dobrocią. Wyciągnął rękę i usłyszał własne słowa:

– Daj mi, daj mi jeszcze pić.

Stary rewolucjonista podskakiwał przed nim z zaskakującym wigorem.

– Więcej ci nie dam, nie jest łatwo dziadkowi skołować trochę wódki.

– Jeszcze – jęczał śledczy. – Chcę jeszcze! Najpierw obudziłeś we mnie demona łakomstwa, a teraz odmawiasz mi picia?

Stary rewolucjonista przytknął kubek do warg, pociągnął zdrowo. Ding poderwał się z furją, złapał za kubek i zaciśnięty na nim twardy, sztywny palec starego. Usłyszał dźwięk zębów uderzających o brzeg kubka, poczuł wilgoć – chłodny płyn chlapanął mu na dłoń. Próbując wyrwać naczynie z ręki starego, robił się coraz bardziej wściekły. Jego kolano przypomniało sobie starą sztuczkę, podpatrzoną u kumpli – zgiąć się i wbić w żołądek przeciwnika. Ding usłyszał jęk starego rewolucjonisty; kubek w końcu znalazł się w jego ręku. Nie mogąc się doczekać, od razu wlał sobie całą zawartość naczynia do gardła. Wcale nie poczuł się nasycony. Rozejrzał się w poszukiwaniu butelki – oto ona, leży na podłodze, niczym przystojny młodzieniec poległy w bitwie! Ding był nieutulony w żalu – czuł się, jakby to on własnymi rękami zamordował młodego człowieka. Chciał się schylić i podnieść tę białoskórą, przepasaną jaskrawą czerwienią butelkę, pomóc wstać pięknemu młodzieńcowi, lecz niespodzianie padł na kolana, a piękny młodzieniec poturlał się w kąt, gdzie stanął prosto i zaczął gwałtownie rosnać. Dorósł do wysokości metra i zatrzymał się. Ding wiedział, że ma przed sobą duszę wódki, duszę maotai – stała w kącie i uśmiechała się

do niego. Jednym podskokiem wstał i rzucił się ku niej, lecz tylko huknął głową w mur.

Delektując się rozkosznym wirowaniem całego świata dookoła, poczuł, jak czyjaś zimna ręka chwyta go za włosy. Domyślał się, kto jest właścicielem tej ręki. Podniósł się i wstał, podążając za bólem skóry na głowie. Czuł się jak kupa splątanych świńskich flaków, zimnych, oślizłych, poskręcanych i obrzydliwie śmierdzących. Zwój za zwojem prostował się i podnosił, wiedząc, że gdyby nie ręka starego rewolucjonisty, razem z całą tą mokrą masą ześliznąłby się z powrotem na podłogę. Wielka łapa odwróciła jego głowę; mógł teraz patrzeć na pociągłą, ciemną twarz starego. Dobroć, która wcześniej tak go urzekła, ustąpiła miejsca kamiennej obojętności. Na twarzy weterana rewolucji malowała się zimna bezwzględność antagonizmu klasowego i walki klas.

– Ty kontrrewolucyjny sukinsynu, dziadek częstuje cię wódką, a ty mu kopa w jaja?! Gorszy jesteś od psa! Jak dam psu wódki, to chociaż ogonem zamerda! – Stary rewolucjonista pryskał śliną naokoło; parę kropel dostało się do oczu Dinga, powodując nieznośny, kłujący ból. Ding zaczął krzyczeć. Nagle dwie ogromne łapy wylądowały mu na ramionach, a szyja znalazła się w psiej paszczy; czuł na niej ukłucia sztywnej sierści. Instynktownie usiłował schować szyję w ramionach niczym żółw, który poczuł niebezpieczeństwo. Czuł gorąco psiego oddechu oraz kwaśny, zgniły odór z pyska zwierzęcia. Nagle wróciło uczucie, że jest kupą zwiniętych świńskich flaków – sinobiała panika rozbłysła w jego umyśle. Przecież psy zjadają świńskie flaki! Siorb-siorb, jak dziecko wsysające ryżowy makaron! Wrzasnął z przerażenia, oczy zasnuła mu ciemność.

Nie wiadomo, ile czasu minęło, zanim śledczy, który sądził, że pies pozbawił go wzroku, znów ujrział światło.

Światło rosło jak słońce, przebijające się stopniowo przez warstwę chmur, aż w końcu – tadaam! – obrazy wszystkich zakątków stróżówki u bramy Cmentarza Bohaterów jednocześnie zaatakowały oczy Dinga. Zobaczył starego rewolucjonistę, który siedział pod lampą i polerował swoją dwururkę, czyniąc to z taką uwagą i pieczołowitością, jak ojciec kąpiący jedyną córeczkę. Wielki, tygrysio pręgowany pies leżał spokojnie, rozciągnięty przy ogniu, opierając długi pysk na stercie sosnowych polan, i patrzył w złote, wonne płomienie z zadumaną miną niczym filozof. O czym myślał? Śledczy był zafascynowany widokiem zamyszonego zwierzęcia. Pies wpatrywał się w ogień jak zahipnotyzowany, śledczy jak w transie obserwował psa. Obraz świata, zawarty w psim umyśle, olśniewający widok, krajobraz, jakiego śledczy nigdy w życiu nie widział, przedziwny, wzruszający, oszołamiający – powoli, stopniowo przenikał do jego mózgu, a towarzyszyła mu muzyka, piękna muzyka, podobna płynącym chmurom. Był głęboko wzruszony. Poczul w nosie piekące odrętwienie, jak po silnym ciosie pięścią; dwie strugi gorących łez nie wiedzieć skąd pojawiły się na jego policzkach.

– Widzę, że jesteś całkiem do niczego – orzekł stary rewolucjonista, spojrzawszy na Dinga. – Tak to jest, siejemy wilki i tygrysy, a co zbieramy? Gluty z nosa!

Ding podniósł rękę do oczu i otarł łzy.

– Dziadku – jęknął skrzywdzonym tonem. – To ta kobieta mnie tak urządziła...

Stary rewolucjonista obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, włożył swój pikowany płaszcz, zarzucił strzelbę na ramię i zawołał:

– Piesku! Idziemy na obchód, a ten żałosny idiota niech sobie płacze.

Pies wstał leniwie, spojrzął na śledczego ze współczuciem i podążając za starym

rewolucjonistą, opuścił stróżówkę. Drzwi na żelaznych sprężynach szybko zamknęły się same z głośnym stęknięciem; wilgotny, lodowaty powiew mimo to zdążył wdrzeć się do środka. Ding zadygotał. Poczł się opuszczony i zalękniony.

– Poczekajcie! – zawołał, otworzył drzwi i wybiegł za staruszkim i jego psem.

Niewyraźne, mroczne cienie zalegały u boku każdego z nich, gdy kolejno przechodzili pod latarnią nad wejściem. Marznący deszcz wciąż padał. Krople zdawały się dźwięczeć jeszcze głośniej i częściej niż przedtem, zapewne dlatego, że noc była już bardzo głęboka. Stary rewolucjonista nie wyszedł przez dużą bramę, lecz skierował się w głąb cmentarza, tam gdzie mrok był najgęstszy. Pies szedł u boku człowieka, człowiek szedł u boku psa. Z początku w świetle latarni można było dostrzec kontury przyciętych w kształt pagód cyprysów, rosnących po obu stronach wąskiej brukowanej dróżki, lecz po chwili i one roztopiły się we wszechogarniającej ciemności. Ding poznał, jakie to uczucie patrzeć na własną dłoń i nie móc dojrzeć palców. Im dalej w ciemność, tym głośniej szumiał deszcz w koronach drzew. Chaotyczna kaskada dźwięków wywoływała w Dingu niepokój i poczucie pustki. Tylko odgłosy i zapachy pozwalały mu się domyślać istnienia starego rewolucjonisty i wielkiego żółtawego psa. Ciemność jest substancją ciężką; dysponuje ogromną siłą nacisku, która może rozgnieść człowieka na placek. Przerażony śledczy czuł zapach grobowców bohaterów, ukrytych wśród zielonych sosen i szmaragdowych cyprysów. Drzewa kojarzyły mu się z mrocznymi postaciami potężnych mężczyzn, wyczuwał ich wrogość – stali z założonymi rękami, w kącikach ich ust czaiły się pogardliwe uśmiechy

w sercach – złe zamiary; u ich stóp, na zarośniętych zwiędłym zielskim grobach, siedziały pierzaste duchy zmarłych bohaterów. Strach całkowicie go otrzeźwił. Odruchowo sięgnął po pistolet; dotykając go, poczuł, że dłoń ma mokrą od zimnego potu. Nagle usłyszał niesamowity krzyk; zaraz potem szelest trzepoczących skrzydeł rozległ się w ciemnościach. Podejrzewał, że to jakiś ptak; co to za ptak – nie miał pojęcia, może sowa? Stary rewolucjonista zakasłał, pies szczeknął. Te dwa dźwięki, rodem ze słonecznego świata, bardzo uspokoiły śledczego. Sam też zakasłał umyślnie głośno, lecz słyszał wyraźnie, że to nieprawdziwy, sztuczny kaszel. Tam w ciemności, stary rewolucjonista na pewno wyśmiewa się ze mnie, pomyślał. I ten jego pies-filozof też się ze mnie śmieje. Zobaczył przed sobą dwa szmaragdowe światła jego oczu. Gdyby nie wiedział, że to pies, wzięłby go za wilka.

Mimo woli rozkasłał się na dobre. Nagle oślepiła go smuga elektrycznego światła. Zakrył ręką oczy i już otwierał usta, by zaprotestować, gdy światło niespodziewanie zmieniło kierunek i zatrzymało się na rzeźbionej płycie nagrobnej z białego kamienia. Napis na niej wyglądał na świeżo odmalowany, szokował jaskrawą czerwienią znaków. Oślepiiony szkarłatem Ding nie potrafił go odczytać. Światło znikło równie szybko, jak się pojawiło. W oczach tańczyły mu ogniste plamy, w umyśle szalała czerwień, niby w piecu pełnym płonących sosnowych polan. Z przodu dobiegał odgłos ciężkiego oddechu starego rewolucjonisty. Szum deszczu wśród

drzew ucichł. Nagle rozległ się potężny, ogłuszający huk, jakby zawałała się góra. Ziemia się zatrzęsła, Ding podskoczył odruchowo. Był ciekaw, co spowodowało ten wybuch, lecz nie miał ochoty się nad tym zastanawiać – teraz co innego stało się ważniejsze: w chwili gdy smuga światła padła na grób bohatera, przez jego ciało przetoczyła się fala niesamowitej odwagi, wypierając z niego całą zazdrość, cierpką jak ziołowa nalewka, złość i słabość, gorzkie jak wdowie wino, rozdrażnienie i niepokój, ostre jak wino miłości, i zamieniła je wszystkie w kwaśny pot i cuchnący mocz. A potem – buńczuczna niczym rumak galopujący po kozackim stepie mocna wódka stała się nim; niepohamowany, szorstki, lecz delikatny w swej szorstkości, przepelnięny duchem ryzyka, podobny do Hiszpana-miłośnika walk byków, pobudzający koniak, stał się nim. Ding czuł się, jakby zjadł garść ostrych purpurowych papryczek, wgryzł się w zieloną cebulę, przeżuł czosnek o czerwonej skórce, wyssał kawał starego, suchego imbiru, połknął cały słoiczek ziaren pieprzu; czuł się jak ogień podlany olejem, jak brokat rozkwitający pękami haftowanych kwiatów; jego duch sterczał dumnie, niby koguci ogon, olśniewał niczym wykwintny koktajl – tak właśnie Ding się czuł w chwili, gdy ujął w dłoń swą służbową sześćdziesiątkędziewiątkę, odrobioną z taką samą pieczołowitością, z jaką warzono „wielką esencję”, i ruszył ostro do przodu, krokiem pełnym taniej grozy, niczym grappa – ruszył, jakby miał w mgnieniu oka znaleźć się z powrotem przed restauracją „Yichi”, otworzyć kopnięciem jadeditowobiałe drzwi, unieść broń, wycelować w kobietę-kierowcę i siedzącego na jej kolanach karła Yu Yichiego i paf, paf! – rozwalić obydwie głowy. Cała ta sekwencja czynności była jak sławne na całym świecie „wino nożowe” – mocne, o słodkim i jednocześnie cierpkim, czystym smaku, wdzierające się w gardło niczym ostry nóż, tnący zwój splątanego konopnego sznura.

## II

Yidou, drogi Starszy Bracie!

Otrzymałem Twój list wraz z utworem Lekcja gotowania.

Co do mojej wyprawy do Alkoholandii, poruszyłem ten temat wstępnie z moim przełożonym. Nie jest on skłonny pozwolić mi jechać – cóż, jestem wojskowym, w dodatku właśnie awansowano mnie z kapitana na majora (zabrali mi dwie gwiazdki, a dodali jedną belkę, i wyglądam znacznie gorzej niż z trzema gwiazdkami i jedną belką – wcale nie jestem z tego zadowolony) – powinienem teraz mieszkać, jeść i ćwiczyć razem z moimi żołnierzami, i pisać opowiadania czy też „reportaże”, odzwierciedlające wojskowe życie w nowych czasach. Mój wyjazd w teren w celu zbierania materiałów nie byłby zbyt dobrze widziany, pomimo że Alkoholandia w

ostatnich latach wzbudza spore zainteresowanie – tyle się tam dzieje. Mimo to nie zamierzam rezygnować i będę kontynuował starania o wyjazd. Mam w zanadru mnóstwo świetnie brzmiących argumentów na poparcie tego przedsięwzięcia.

Pierwsze Święto Małpiego Wina z pewnością okaże się wielce interesującym wydarzeniem. Gdy wszyscy będą już jeść, pić i popuszczać pasa, gdy powietrze już nasyci się winnym aromatem i gdy adepci wina o ciężkich głowach i miękkich nogach zaczną unosić się w powietrzu niczym duchy albo Nieśmiertelni – mam nadzieję, że wtedy moja pulchna postać także pojawi się wśród nich.

Powieść, którą obecnie piszę, przechodzi niezwykle trudny etap. Ten śliski typ, śledczy z prokuratury, ciągle mi się sprzeciwia. Nie mogę się zdecydować, czy zabić go czym prędzej, czy też zrobić z niego wariata – a jeśli każę mu umrzeć, to czy ma się zastrzelić, czy też może zapić

się na śmierć. W poprzednim rozdziale znowu kazałem mu się schlać. Gnębiony twórczą męką, sam też się schlałem, lecz miast doznać rozkoszy Nieśmiertelnych, znalazłem się na dnie piekieł – wierz mi, tamtejszy krajobraz nie należy do urokliwych.

Spędziłem cały wieczór na czytaniu Lekcji gotowania (przeczytałem ją kilka razy). Mam coraz większy kłopot z komentowaniem Twoich opowiadań. Gdyby mnie zmuszono, powtórzyłbym to, co pisałem już wcześniej – o niespójności stylu, przesadnej swobodzie, braku samokontroli i tak dalej, i tak dalej, dlatego postanowiłem, że tym razem, zamiast powtarzać moją starą śpiewkę, będę trzymał gębę zamkniętą. Uczyniłem jednak zadość Twojej prośbie i zaniósłem opowiadanie do „Literatury Narodowej”. Nie zastałem panów Bao, więc zostawiłem im je z notką na biurku. Jeśli wydrukują, to znaczy, że masz szczęście. Według mnie, to raczej mało prawdopodobne. Jestem z Tobą szczery, bo choć nigdy się nie spotkaliśmy, uważam Cię za mojego starego przyjaciela.

Jestem pewien, że potrafisz napisać opowiadanie z prawdziwego zdarzenia, spełniające wszystkie kryteria „Literatury Narodowej” – to jedynie kwestia czasu, prędzej czy później osiągniesz sukces – nie wolno Ci się zniechęcać ani załamywać.

Do tej pory wysłałeś mi w sumie sześć rękopisów do oceny (w tym Yichi bohatera, którego mam u siebie). Jeśli uda mi się załatwić wyjazd do Alkoholandii, wpadnę przedtem do „Literatury Narodowej”, odbiorę je w Twoim imieniu i przywiozę Ci. Poczta jest niepewna i kłopotliwa, w dodatku zawsze, gdy ją odwiedzam, jestem podminowany przez kilka kolejnych dni – ci panowie i panie w okienkach patrzą na mnie tak, jakby właśnie przyłapali szpiega,

jakbym przyniósł bombę albo co najmniej paczkę kontrrewolucyjnych ulotek.

Jeśli nie możesz zdobyć Dziwnych przypadków w Alkoholandii, nie przejmuj się tym

wcale; w dzisiejszych czasach wszędzie pełno takich dziwaczych ksiązek, w większości marnie napisanych i kompletnie bezwartościowych.

Z życzeniami dobrego pisania,

Mo Yan

III

Mo Yan, drogi Nauczycielu!

Witam!

Oszalałem z radości na wieść, że masz zamiar jechać do Alkoholandii. Ja, uczeń, oczekuję niecierpliwie Twego przybycia – „wpatrzony w gwiazdy, wpatrzony w księżyc, tęsknię za słońcem, aż wstanie zza gór”. Kilku moich kolegów ze studiów pracuje w Miejskim Komitecie Partii oraz we władzach miejskich (nie jako zwykli urzędnicy, lecz na niezłych stanowiskach) – gdybyś potrzebował oficjalnego zaproszenia albo rekomendacji z administracji czy też z komitetu, w każdej chwili mogę ich poprosić o pomoc. Przywódcy naszego państwa szanują oficjalne pieczęcie, podejrzewam, że u Ciebie, w armii, nie jest inaczej.

Co do opowiadań, powiem szczerze, że jestem i zniechęcony, i załamany. Co więcej, mam pretensję do panów Zhou Bao i Li Xiaobao – trzymają u siebie już tak wiele moich rękopisów, a do tej pory nie zadali sobie trudu, by choćby odpowiedzieć, co nie świadczy zbyt dobrze o ich szacunku dla innych. Rozumiem doskonale, że są ogromnie zajęci i że gdyby odpowiadali każdemu pisarzowi amatorowi, nie mogliby robić nic innego, ale i tak mnie to złości. Jednakże czego nie dostaniemy od mnicha, dostaniemy od Buddy – tak czy owak, mam poparcie znanego pisarza, czyli Twoje! Wiem, że to niezdrowe myślenie i że źle wpływa na morale twórcy literatury. Obecnie staram się usilnie pracować nad swoim morale. „Nie mogę umrzeć, nie zobaczywszy Huang He”, „nie nazwę się prawdziwym mężczyzną, póki nie ujrzę Jangcy”. Postanowiłem pisać, pisać wytrwale, nie zważając na przeszkody.

W związku z przygotowaniem do Święta Małpiego Wina w całej uczelni wrze jak w ulu. Mój wydział powierzył mi zadanie przyrządzenia z części leczniczej nalewki, składowanej w naszym magazynie, specjalnego trunku, który ma być sprzedawany podczas Święta. Jeśli mi się uda, mam szansę na sporą nagrodę pieniężną. To dla mnie bardzo ważne – mimo to, rzecz jasna, nie zamierzam dla pieniędzy rezygnować

z pisania opowiadań. Będę dalej pisał – dziesięć procent moich sił poświęcę nalewce, a pozostałe dziewięćdziesiąt – literaturze.

Załączam mój najnowszy utwór, Zbiory jaskółczych gniazd, i proszę Cię, drogi Nauczycielu, o krytyczne uwagi. Staralem się ostatnio przemyśleć całą swoją dotychczasową twórczość i doszedłem do wniosku, że być może powodem, dla którego moje opowiadania nie mogą się doczekać druku, jest fakt, że wszystkie zatraćają o kwestie społeczne. W Zbiorach jaskółczych gniazd starałem się naprawić ten błąd. W opowiadaniu tym trzymam się z dala od polityki, a stolicę omijam szerokim łukiem. Jeśli ono także nie doczeka się publikacji, będzie to znaczyło, że „Niebiosa mnie opuściły”.

Z życzeniami spokoju

Twój uczeń Li Yidou

#### IV

#### Zbiory jaskółczych gniazd

Dlaczego moja teściowa wcale się nie starzeje? Czemu nie więdnie jej wiośniana uroda? Jak to się dzieje, że ponad sześćdziesięcioletnia kobieta wciąż może się pochwalić jędrnymi, sterczącymi piersiami i pełnymi pośladkami młódki? Czemu jej brzuch jest płaski i sprężysty niczym półmisek z najlepszej stali, czemu nie ma na nim ani jednej fałdki tłuszczu? Dlaczego jej twarz jest piękna jak jesienny księżyc, dlaczego nawet w kącikach oczu nie kryją się zmarszczki? Czemu jej zęby są wciąż nieskazitelnie białe, lśniące, mocne, bez choćby jednego ubytku? Dlaczego ma skórę gładką i delikatną jak „barani łój”, cenna odmiana jadeitu? Czemu wargi ma czerwone, czemu jej oddech zawsze pachnie szaszłykami, i każdy marzy, by ją pocałować? Dlaczego nigdy nie choruje, nie cierpi na żadne przypadłości, związane z wiekiem?

Jako zięć być może nie powinienem pozwalać sobie na zbyt wiele, lecz ja jestem materialistą z krwi i kości i zawsze mówię prawdę prosto z mostu. A nie ulega wątpliwości, że moja teściowa, mimo że już po sześćdziesiątce – gdyby tylko zechciała i gdyby polityka kontroli urodzin to umożliwiła – mogłaby bez przeszkód urodzić mi jeszcze z tuzin szwagrów albo szwagierek. I dlaczego tak rzadko puszcza bąki, a jeśli już coś jej się wymknie, to czemu nie cuchnie, lecz pachnie kasztanami smażonymi w cukrze? Ogólnie rzecz biorąc, brzuch pięknej kobiety pełen jest

najgorszych smrodów – kobieca uroda to rzecz powierzchowna. Więc jak to się dzieje, że moja teściowa, nie dość że piękna po wierzchu, to jeszcze urzeka wonnym i smakowitym wnętrzem? Wszystkie te znaki zapytania niczym wędkarskie haczyki powbijają się w moją skórę – wyglądam jak ryba kolcobrzuch. Dręczą mnie, sprawiają mi ból, a Wy, drodzy czytelnicy, macie już tego serdecznie dosyć. Mówicie: ten cały Li Yidou wystawia własną teściową na targ! Drodzy przyjaciele, wcale jej nie wystawiam – ja ją badam! Moje badania przyniosą ludzkości wiele pożytku, i nie zamierzam się wycofywać – trudno, podejmę to ryzyko, narażę się na gniew teściowej.

Początkowo sądziłem, że posiadanie teściowej urodziwej i smakowitej niczym sherry Oloroso o pięknej, klarownej barwie, mocnym, wyrazistym zapachu, pełnym, bogatym, delikatnym bukacie, smaku słodkim i jedwabistym, zdatnej do długiego przechowywania i z wiekiem coraz znakomitszej – zamiast teściowej podobnej do pędzonego po wsiach bimbru z ziemniaków, ciemnego, mętnego, o ostrej, kwaśnej woni, smaku stęchłym i bez wyrazu, grożącego ciężkim zatruciem już po pierwszym łyku – zawdzięczam przede wszystkim jej rodzinie, a pochodzi ona z rodziny zbieraczy jaskółczych gniazd.

Zgodnie z modnym obecnie stylem narracji mógłbym teraz oznajmić, że nasza historia właśnie się zaczyna. Lecz zanim zagłębię się we właściwej opowieści, która jest zarówno moją, jak i waszą własnością – pozwólcie, że wygłoszę Wam trzyminutowy wykład, w którym zawrę nieco specjalistycznej wiedzy – bez tego napotkacie mnóstwo przeszkód w trakcie lektury. Zamierzałem zmieścić się w objętości, która wystarczy Wam na półtorej minuty czytania, a pozostałe półtorej minuty zostawiam wam na refleksje. I mam gdzieś sentencje w rodzaju „gdy lis rozmyśla, tygrys się śmieje”, „nie zabronisz matce zamażpójścia, nie sprzeciwisz się wyrokowi Niebios”. ŚmieJCie się, śmieJCie. Paręset milionów zaśmieJCie się na śmierć – proszę bardzo, kontrola urodzin stanie się niepotrzebna, a moja teściowa będzie mogła uczynić użytek ze swoich starych, lecz wciąż zdrowych organów, i narodzić mi mnóstwo małych szwagrów i szwagierek. No dobrze, koniec gadania! Niech wam będzie, nie będę dłużej nudził. Już słyszę te niezadowolone okrzyki, widzę wasze zniecierpliwienie, które przypomina mi mocną wódkę, pędzoną na stepach Mongolii Wewnętrznej. Burzycie się jak ta harbińska wódka z sorgowej siecZki, sześćdziesiąt procent – a już dziesięć wystarczy, żeby głowa zaczęła się kiwać.

Collocalia restita, zwana salanganą złotopiórą, gromada: Ptaki, rodzina: jerzykowate, długość ciała około 18 centymetrów, pióra grzbietowe czarne lub brunatne, z granatowym połyskiem, brzuch szary. Skrzydła długie i spiczaste, nogi krótkie, różowe, wszystkie cztery palce skierowane do przodu. Żyją w stadach, owadożerne. Gniazda budują w jaskiniach. Samiec wydziela ślinę gruczołami umiejscowionymi w gardzieli; ślina po stwardnieniu tworzy tzw. jaskółcze gniazdo.

Salangany występują w Tajlandii, na Filipinach, w Indonezji, Malezji; w Chinach zamieszkują bezludne wyspy u wybrzeży prowincji Guangdong i Fujian. Okres

lęgowy salangany przypada na czerwiec. Przedtem samce i samice odbywają loty godowe. Po ich zakończeniu samce przysiadają na ścianach jaskini i niczym jedwabniki wysnuwające nić wydzielają ślinę. Wykonują przy tym rytmiczne ruchy głową, a przezroczyste pasma lepkiej wydzieliny przyklejają się do ściany. Gdy ślina stwardnieje, jaskółcze gniazdo jest gotowe. Według obserwatorów, w trakcie budowy gniazda samiec nie je ani nie śpi, a na jedno gniazdo przypada kilkadziesiąt tysięcy ruchów głową. Jego zadanie jest wyjątkowo żmudne i wymaga ogromnego poświęcenia. Pierwsze gniazdo nie zawiera praktycznie żadnych zanieczyszczeń, składa się wyłącznie ze śliny salangany. Ma kolor przezroczystobiały i jest doskonałej jakości – takie gniazda nazywamy „białymi gniazdami” lub „gniazdami dostojników”. Gdy usuniemy pierwsze gniazdo, salangana zbuduje kolejne. Nie mając już wystarczająco dużo śliny, jest zmuszona używać jako budulca piór wyskubywanych z własnego ciała. Zwiększony wysiłek, włożony w wydzielanie śliny, powoduje, że pojawia się w niej krew. W rezultacie powstaje gniazdo niższej jakości, zwane „pierzastym” lub „krwawym”. Gdy usunie się drugie gniazdo, ptak jest w stanie wybudować trzecie, lecz jako budulca użyje wtedy głównie wodorostów z niewielką domieszką śliny. Takie gniazdo nie ma wartości kulinarnej.

Moja teściowa, gdy ją zobaczyłem po raz pierwszy, wydłubywała srebrną igłą zanieczyszczenia z jaskółczego gniazda, płuczac je w roztworze sody. Usuwała krew, pierze, trawę morską – wiemy już, że było to „krwawe gniazdo”. Teściowa wydymała wargi i kwakała ze złością jak poirytowany mały dziobak:

– Popatrzcie no, to ma być jaskółcze gniazdo? Toż to kupa piór, nie gniazdo. To gniazdo jakiejś sroki albo gawrona, nie jaskółcze!

– Uspokój się – zwrócił się do swej żony mój nauczyciel Yuan Shuangyu, pociągając łyk własnoręcznie wyprodukowanej mieszanki alkoholi o delikatnym, wykwinowym posmaku orchidei. – W dzisiejszych czasach wszystko jest na niby, nawet salangany nauczyły się sztuki fałszu. Za dziesięć tysięcy lat, jeśli ludzkość przetrwa tyle czasu, salangany będą nam budować gniazda z psiego gówna.

Teściowa, trzymając oburacz duże, okrągłe, trzęsące się gniazdo, patrzyła oniemiała na swojego męża, a mojego przyszłego teścia.

– Nie mogę zrozumieć, jakim cudem ta rzecz, obrzydliwa jak psi mózdzek, może być cenniejsza od złota. Czy to naprawdę takie wspaniałe, jak twierdzicie? – zapytał teść, mierząc zimnym spojrzeniem okrągły przedmiot w jej ręku.

– Nie masz zielonego pojęcia o niczym oprócz alkoholu!

Poczerwieniała, rzuciła gniazdo, poderwała się i wybiegła w nieznanym kierunku niczym nagły powiew wietrzyka. To była moja pierwsza wizyta w domu mojej żony. Żona wcześniej zapowiadała, że matka zamierza urządzić popis swoich zdolności kulinarnych. Kto by pomyślał, że – ot, tak sobie – rzuci gniazdo i pójdzie. Czuję się

cokolwiek zakłopotany. Jej mąż rzekł:

– Nie martw się, ona wróci. Zna się na jaskółczych gniazdach tak samo, jak ja na alkoholach. Oboje jesteśmy najlepsi, każde w swoim fachu.

Miał rację – na teściową nie trzeba było długo czekać. Wyczyściwszy do końca jaskółcze gniazdo, zabrała się do gotowania jaskółczej zupy. Teść i żona odmówili jedzenia. Teść powiedział, że czuć ją kurzym gównem, a żona, że ma zapach krwi i że ta przepelniona okrucieństwem, bezwzględna zupa wyraża straszną prawdę o człowieku, przyczynie wszelkiego zła tego świata. Moja żona, osoba o wielce czułym sercu, ubiegała się właśnie o członkostwo w Światowym Stowarzyszeniu Obrony Zwierząt w Bonn. Teściowa rzekła:

– Li, nie przejmuj się nimi, to głupcy, ta ich „miłość totalna” to czysta hipokryzja. Konfucjusz wprawdzie trzymał się z daleka od kuchni, lecz znał się na jedzeniu, nie uznawał posiłków bez mięsnego sosu, „nie odrzucał jedynie potraw z najlepszego ryżu i najcieniej krojonego mięsa” 8. Przyjmując uczniów, żądał chętnego w postaci dziesięciu wiązek suszonego mięsa. Nie chcą, niech nie jedzą, sami zjemy – ciągnęła teściowa. – Chińczycy jadają jaskółcze gniazda od tysiąca lat. Jest to najcenniejszy na świecie środek wzmacniający. Wygląda paskudnie, lecz zawiera zdumiewające ilości składników odżywczych. Wspomaga wzrost i rozwój dzieci, przedłuża młodość i urodę kobiet oraz życie starców. Niedawno profesor He z Uniwersytetu Literatury Chińskiej w Hongkongu odkrył, że jaskółcze gniazda zawierają substancję, która zapobiega i leczy AIDS. Gdyby ona – tu teściowa wskazała na moją żonę – jadła jaskółcze gniazda, nie wyglądałaby tak, jak wygląda.

– Wolę wyglądać tak, jak wyglądam, niż jeść to kuriozum – odparła gniewnie moja żona. – No powiedz, dobre to? – zapytała, spoglądając w moją stronę.

Nie chciałem urazić ani mojej żony, ani teściowej.

– Jakby to powiedzieć... – bąknąłem. – Cóż... cha-cha-cha-cha-cha!

– Ty cwaniaku – rzuciła żona.

Teściowa naląła mi do miseczki kolejną porcję zupy, po czym spojrzała prowokacyjnie na córkę.

– Będziecie mieć koszmarne sny – oznajmiła moja przyszła żona.

– Jakże znów koszmarne sny? – zapytała teściowa.

– Stado salangan wydziobie wam mózgi! – odparła żona.

– Li, zajmij się zupą – rzekła teściowa. – Nie zwracaj uwagi na tę stukniętą

dziewczynę. Wczoraj zjadła kraba, a nie boi się, że kraby będą ją szczypać kleszczami w nos? Kiedy byłam mała, nienawidziłam z całego serca zbieraczy jaskółczych gniazd, lecz po przeprowadzce do miasta zrozumiałam, że moja nienawiść była nieuzasadniona. Amatorów jaskółczych gniazd jest coraz więcej, bo coraz więcej ludzi ma na to pieniądze. Lecz nawet spore pieniądze nie gwarantują dostępu do najwyższej jakości „gniazd dostojników”. Towar pierwszej jakości – sprowadzane z Tajlandii gniazda marki „syjamska danina” – jada się wyłącznie w Pekinie, a my tu, w naszym małym miasteczku, musimy się zadowolić „krwawymi gniazdami”, które kosztują osiem tysięcy juanów ludowych za kilogram. Przeciętnych ludzi nie stać nawet na to – wyjaśniła teściowa z powagą, w której pobrzmiwała chełpliwa nuta.

– Te jaskółcze gniazda może i mają cudowne właściwości, ale jeśli mam być szczerzy, ten drogocenny przysmak wcale nie jest smaczny – odparłam. – Nie dorównuje dobrej wieprzowinie, duszonej w sosie sojowym.

Teściowa dalej niezmordowanie edukowała mnie w dziedzinie jaskółczych gniazd. Omówiwszy wartość odżywczą tychże, przeszła do sposobu ich przyrządzania, co raczej mało mnie interesowało. Zaciekawiała mnie natomiast historia o zbieraczach gniazd, historia jej rodziny. Jej historia.

Moja teściowa urodziła się w rodzinie zbieraczy jaskółczych gniazd. Już w łonie matki słuchała żalonych świergotów salangan złotopiórych i przyswajała składniki odżywcze z ich wytworów. Matka mojej teściowej była żarłoczną kobietą, a po zajściu w ciążę jej zachłanność jeszcze wzrosła. Często za plecami swego męża po kryjomu wyjadała gniazda – była tak zręczną złodziejką, że nigdy jej nie przyłapał. Teściowa mówiła, że jej matka urodziła się z zębami twardszymi od stali i że potrafiła przegryzać nimi nawet wyschnięte, stwardniałe gniazda. Nigdy nie ukradła całej sztuki – jej mąż skrupulatnie je liczył – zawsze sprytnie odgryzała jeden cal z dolnej części gniazda, w miejscu, gdzie było widać ślady odcinania nożem – ślady zębów były więc nie do odróżnienia. Teściowa mówiła, że matka jadała wyłącznie najwyższej jakości „gniazda dostojników”. Gniazda surowe, przed poddaniem obróbce, są dużo bogatsze w składniki odżywcze – teściowa nadmieniła, że wszystkie wykwintne przysmaki w trakcie gotowania tracą znaczną ilość pożytecznych substancji. Zauważyła także, że postępek zawsze pociąga za sobą straty. Ludzie wynaleźli gotowanie, by dogodzić swoim kubkom smakowym, tracąc jednocześnie dziką, męzną naturę. Krzepa i niezwykła odporność na zimno u Eskimosów zamieszkujących okolice bieguna północnego są bez wątpienia wynikiem ich diety, opartej na surowym foczym mięsie. Z chwilą gdy Eskimosi opanują wyrafinowaną sztukę chińskiej kuchni, nie będą już w stanie przeżyć we własnym środowisku. Dzięki temu, że matka mojej teściowej wyjarła po kryjomu tak dużo jaskółczych gniazd, teściowa urodziła się niezwykle rozwinięta fizycznie. Miała kruczoczarne włosy i różową skórę, a płakała donośniej niż niejedno męskie niemowlę, w jej ustach zaś tkwiły cztery zęby. Ojciec mojej teściowej był człowiekiem przesadnym. Słyszał, że noworodek z zębami to zły omen, więc porzucił moją teściową gdzieś w

krzakach. Zima w prowincji Guandong nie jest zbyt surowa, jednak w grudniową noc można tam przemarznąć do szpiku kości. Teściowa przeleżała w krzakach całą noc, śpiąc smacznie. Przeżyła – jej ojciec był tym tak poruszony, że przyjął ją z powrotem.

Matka mojej teściowej, według słów córki, była bardzo ładną kobietą. Jej ojciec miał gęste brwi o opadających zewnętrznych końcach; głęboko osadzone oczy, płaski nos, wąskie wargi i spiczasty podbródek z kocią bródką. Całe dni spędzał, wspinając się na strome zbocza lub przeciskając przez wąskie korytarze jaskiń – miał ciało chude, postarzałe. Matka, która codziennie podkradała pożywne jaskółcze gniazda, miała cerę jasnorożową i świeżą niczym czerwcowy lotos – przy uszczypnięciu z jej skóry sączyła się woda. Gdy teściowa miała roczek, matka uciekła do Hongkongu z handlarzem jaskółczych gniazd. Teściowa dorastała więc pod opieką ojca. Wspominała, że po ucieczce matki ojciec codziennie gotował jej jaskółcze gniazdo. Można wręcz powiedzieć, że wyrosła na jaskółczych gniazdach. Opowiadała, że gdy była w ciąży z moją żoną – były to ciężkie lata sześćdziesiąte – nie skosztowała jaskółczego gniazda ani razu i właśnie dlatego urodziła taką czarną małpę – moją żonę. Gdyby ta chciała jeść gniazda, jej wygląd z pewnością by się poprawił, lecz odmawiała. Wiedziałem, że jej chęć w rzeczywistości nie zmieniłaby wiele – teściowa dopiero od niedawna kierowała Centrum Żywności Specjalnej w Akademii Kulinarnej, a przed objęciem tego stanowiska byłoby jej raczej trudno zdobyć jaskółcze gniazdo. Ta marnej jakości sztuka, którą dla mnie przyrzadziła, też nie pochodziła ze zwykłego źródła. Domyślałem się, że teściowa bardzo mnie polubiła – bardziej nawet niż moja żona. Ożeniłem się z moją żoną w dużej mierze dlatego, że jej ojciec, mój nauczyciel, był dla mnie bardzo dobry, a jednym z najważniejszych powodów, dla których się nie rozwiodłem, było moje upodobanie do teściowej.

Moja teściowa, karmiona zupą z jaskółczych gniazd oraz pisklętami salangan, wyrosła na duże, zdrowe dziecko. Gdy miała cztery lata, jej wzrost i inteligencja osiągnęły poziom normalnie rozwiniętej dziesięciolatki. Teściowa przypuszcza, że zawdzięczała to właśnie salanganom złotopióрым. Zauważyła, że w pewnym sensie to samce salangany wykarmiły ją swoją drogocenną śliną, ponieważ matka, z powodu tych czterech zębów, z którymi teściowa przyszła na świat, bała się karmić ją piersią. „Który ssak zdobyłby się na coś takiego?” – rzuciła ze złością. Na tej podstawie uznała, że ludzie są najbardziej okrutnymi, bezwzględными ssakami na Ziemi – tylko samica człowieka potrafi odmówić piersi własnemu niemowlęciu.

Rodzina mojej teściowej mieszkała w pewnym zakątku południowo-wschodniego wybrzeża. Gdy była słoneczna pogoda, teściowa siadywała na plaży i patrzyła w stronę łańcucha przybrzeżnych wysp, rzucających stalowozielone cienie. To z tamtejszych, wysoko położonych jaskiń pochodzą jaskółcze gniazda. Większość mieszkańców wioski żyła jednak z połowu ryb – tylko ojciec mojej teściowej i jej sześciu wujów zajmowało się zbieraniem gniazd. Zajęcie to odziedziczyli po swoich przodkach. Była to wyjątkowo niebezpieczna, lecz bardzo dochodowa praca, i zapewne każdy chciałby ją wykonywać, lecz bynajmniej nie każdy był do tego

zdolny. Dlatego już na początku wspomniałem, że moja teściowa urodziła się w rodzinie zbieraczy gniazd.

Teściowa opowiadała, że jej ojciec i wujowie byli bardzo silnymi mężczyznami – ich ciała nie zawierały ani grama tłuszczu, składały się wyłącznie z krwistoczerwonych mięśni o wysokiej zawartości białka, naprzężonych i mocnych, jakby skręcono je z konopnych sznurów. Człowiek, który posiada tak krzepkie ciało, jest bez wątpienia doskonalszy od małpy. Jej ojciec hodował dwie małpy – były jego nauczycielami, jak to ujęła. W porze, gdy nie dało się zbierać gniazd, ojciec i wujowie mojej teściowej przejadali dochody z poprzedniego roku i przygotowywali się do kolejnego sezonu zbiorów. Prawie codziennie szli z małpami w góry, gdzie kazali im wspinać się na zbocza i wchodzić na drzewa, i naśladowali je. Teściowa wspomniała, że na Półwyspie Malajskim zbieracze usiłowali wytresować małpy do zbioru gniazd, lecz nie bardzo im się to udało – chimeryczność małp niekorzystnie wpływała na wielkość zbiorów. Mówiła, że jej ojciec, przekroczywszy sześćdziesiątkę, był wciąż lekki i zwinny jak jaskółka i potrafił się wspinać na śliskie łodygi bambusa nie gorzej od małp. Generalnie wszyscy członkowie rodziny mojej teściowej, zarówno z przyczyn genetycznych, jak i dzięki doskonałemu treningowi, potrafili znakomicie wspinać się na skały i drzewa. Według teściowej, najzdolniejszy ze wszystkich był jej najmłodszy wuj, który potrafił ze zręcznością gekona, bez pomocy jakiegokolwiek sprzętu, gołymi rękami wspiąć się na skalną ścianę na wysokość kilkunastu metrów i zbierać gniazda. Mówiła, że wygląd pozostałych wujów zatarł się w jej pamięci, lecz tego jednego zapamiętała bardzo dokładnie. Jego ciało było pokryte postarzałą skórą, która przypominała rybią łuskę; w jego szczupłej, suchej twarzy tkwiło dwoje głęboko osadzonych, dużych, niebieskich oczu, świecących melancholijnym blaskiem.

Teściowa opowiadała, że latem tego roku, w którym skończyła siedem lat, po raz pierwszy wybrała się z ojcem i wujami na wyspy, by zbierać gniazda. Jej rodzina miała dwumasztową łódź z sosnowego drewna, obficie nasączonego olejem tungowym, które rozsiewało wokoło zapach lasu. Tamtego dnia wiał południowo-wschodni wiatr, długie fale goniły jedna drugą, biały piasek plaży lśnił w słońcu. Teściowa wspominała, że wizja tego ostrego, białego światła nie raz wyrwała ją ze snu. Leżąc w łóżku tu, w Alkoholandii, często słyszała szum fal południowego morza, czuła zapach morskiej wody. Jej ojciec palił fajkę i kierował pracą młodszych braci, każąc im ładować na łódź prowiant, wodę i szmaragdowe pręty bambusa. Jeden z wujów przyprowadził tłustego bawołu wodnego z jedwabną czerwoną wstążką, zawiązaną na rogu. Zwierzak miał nabiegłe krwią oczy i toczył pianę z pyska, wyglądał naprawdę groźnie. Dzieci z rybackiej wioski przybiegły popatrzeć, jak odpływają zbieracze jaskółczych gniazd. W dziecięcej gromadzie sporo było towarzyszy zabaw mojej teściowej: Morska Jaskółka, Fala Przyptywu, Foka... Stara kobieta, która stała na głazie u wejścia do wioski, wołała: „Foka, Foczka, wracaj do domu!” Mały chłopiec niechętnie opuścił gromadę; chwilę przed odejściem zagadnął moją teściową: „Jaskółeczko, złapiesz dla mnie złotopiórą salanganę? Przynieś mi ją żywą, a dam ci za nią szklaną kulkę” – pokazał jej kulkę trzymaną w zaciśniętej

dłoni. Nie miałem pojęcia, że moja teściowa miała tak wspaniałe mleczne imię – Jaskółeczka! Wielkie nieba! Toż to imię żony Karola Marksa!

– Ten chłopak, Foczka, jest teraz wysokim dowódcą wojskowym – rzekła teściowa z żalem w głosie. W jej słowach pobrzmiwał wyrzut pod adresem mojego teścia.

– A cóż jest takiego wspaniałego w byciu dowódcą? – oburzyła się moja żona. – Mój ojciec jest profesorem uniwersytetu, specjalistą alkoholologiem, jak możesz go porównywać z jakimś tam dowódcą?

Teściowa spojrzała na mnie.

– Ona jest zawsze przeciwko mnie, trzyma stronę ojca – poskarżyła się.

– Kompleks Elektry – zauważyłem.

Moja żona rzuciła mi nienawistne spojrzenie, a teściowa kontynuowała opowieść.

Mówiła, że tamtego dnia, gdy odpływali zbieracze jaskółczych gniazd, największym wydarzeniem było zaprowadzenie bawołu na łódź.

– Bawoły to bardzo inteligentne stworzenia – mówiła. – A najbardziej bystre są niekastrowane byki. Ten wiedział doskonale, po co prowadzą go na łódź – gdy zbliżali się do przystani, oczy mu poczerwieniały, zaczął się miotać w uprzęży, dysząc ochryple. Szarpał tak mocno, że mój wuj omal nie wylądował na ziemi. Kamienne nabrzeże łączyła z łodzią wąska, pochyła deska, wisząca w powietrzu nad zmaconą wodą. Bawół przednimi kopytami stanął na skraju deski i nie chciał zrobić ani kroku dalej. Wuj ciągnął linę z całej siły, wyężdżając się niczym niemowlę przy piersi, a czarny bawoli nos, ciągnięty za stalowe kółko, wydłużył się tak bardzo, że o mało nie pękł, co z pewnością sprawiało zwierzęciu nieznośny ból. Mimo to bawół uparł się, że nie wejdzie na pokład. W obliczu śmiertelnego zagrożenia nos się nie liczył...

Teściowa mówiła, że kilku wujów ruszyło i całą gromadą próbowało wepchnąć go na pokład, lecz ich wysiłek na nic się nie zdał. W dodatku bawół którymś ze swoich wściekłych kopnięć uszkodził nogę jednemu z wujów.

Teściowa opowiadała, że jej najmłodszy wuj przewyższał starszych braci nie tylko krzepą, był także najinteligentniejszy ze wszystkich. Wziął linę z rąk starszego brata i poprowadził zwierzę na spacer wzdłuż plaży. Szli i rozmawiali ze sobą, pozostawiając ślady stóp i kopyt na piasku. W końcu wuj ściągnął koszulę i przykrył nią bawoli łeb, po czym sam jeden zaprowadził zwierzę na łódź. Gdy przechodzili przez kładkę, deska wygięła się w łuk pod ich ciężarem. Bawół był doskonale świadomy, że idzie po niebezpiecznej drodze – stawiał kopyta z najwyższą ostrożnością, jak cyrkowe kozy wytresowane do chodzenia po linie. Gdy bawół

znalazł się wreszcie na łodzi, ludzie poszli za nim. Zabrano kładkę. Załopotaly postawione żagle. Najmłodszy wuj zdjął koszulę z bawolego łba. Bawół cały dygotał, stojąc na drżących kopytach, i wydawał z siebie żalosne jęki. Łąd oddalał się stopniowo, aż w końcu znikł, a wyspy się zbliżały, zasnuwane mgłą, spowite w chmury, niczym jadeitowe pałace w górskich siedzibach Nieśmiertelnych.

Teściowa mówiła, że gdy jej ojciec i wujowie zakotwiczyli łódź w zatoczce, najmłodszy wuj sprowadził bawoła na łąd. Wszyscy mieli poważny, nabożny wyraz twarzy. Gdy tylko postawili stopę na tej bezludnej, porośniętej ciernistymi krzewami wyspie, wściekły bawół zamienił się w łagodnego baranka. Krwawą czerwień jego oczu zastąpił głęboki lazur oceanu, podobny do barwy oczu najmłodszego wuja.

Teściowa mówiła, że gdy wylądowali na bezludnej wyspie, zapadał zmierzch. Morze lśniło czerwienią, nad wyspą kołowały stada ptaków, skrzecząc ogłuszająco. Położyli się do snu pod gołym niebem, w milczeniu. Następnego dnia rano, po śniadaniu, ojciec mojej teściowej oznajmił: „Do roboty”.

Rozpoczęła się niebezpieczna, tajemnicza praca zbieraczy jaskółczych gniazd.

Wysepka obfitowała w mroczne jaskinie. Teściowa opowiadała, że przed jedną z większych jaskiń jej ojciec ustawił niewielki ołtarz, spalił na nim nieco ofiarnych papierowych pieniędzy, oddał kilka pokłonów i rozkazał: „Zabić zwierzę ofiarne!” Sześciu braci wspólnymi siłami obaliło bawoła na ziemię. O dziwo, potężne zwierzę nie stawiało najmniejszego oporu – zostało nie tyle przewrócone przez sześciu mężczyzn, co z własnej woli położyło się na boku. Gdy bawół padał, nogi ugięły się pod nim miękko, jakby były utoczone z ciasta. Leżał spokojnie, jego potężny kark spoczywał rozciągnięty na skalistym gruncie, połączony z ogromną czaszką, zdobną w stalowozielone rogi; wyglądało to sztywno i nieco nienaturalnie, jakby głowa była przyspawana do szyi. Bawół całym sobą wyrażał szczerą wolę stania się ofiarą dla ducha jaskini. Moja teściowa niejasno przeczuwała, że jaskółcze gniazda są jakby prywatną własnością ducha i że jej ojciec i wujowie chcą podarować mu bawoła w zamian za nie. Duch ten musiał być wyjątkowo groźnym potworem, skoro potrafił pożreć tak wielkie zwierzę. Myśl ta przeraziła teściową. Przewróciwszy bawoła na ziemię, wujowie odsunęli się na bok. Patrzyła, jak jej ojciec wyjmując zza pasa toporek o lśniącym ostrzu i trzymając go w obu rękach, podchodzi do leżącego zwierzęcia. Jej serce niemal stawało po każdym uderzeniu, jakby ścisnęła je jakaś wielka dłoń. Ojciec obracał w ustach niezrozumiałe słowa, w jego czarnych oczach migotał niepokój. Nagle ogarnęło ją ogromne współczucie zarówno dla ojca, jak i dla bawoła. Poczula, że ten chudy niczym mała człowiek jest podobnie godzien pożałowania, jak spoczywający bezwładnie na skalistym gruncie bawół; czuła, że ani zabójca, ani zabijany nie działają z własnej woli, że popycha ich jakaś potężna siła. Patrząc na dziwnie ukształtowane, ogromne wejście do jaskini, słysząc dziwne szmery, dobiegające z wnętrza, i czując złowrogi powiew jaskiniowego powietrza, moja teściowa uświadomiła sobie wyraźnie, że tym, co budziło bojaźń jej ojca i lęk zwierzęcia, był właśnie duch jaskini. Patrzyła na zaciśnięte powieki bawoła, które

zmieniły jego długie rzęsy w cienkie linie. Szmaragdowozielona mucha wyżerała coś z wilgotnego kącika oka zwierzęcia. Ten paskudny widok wywołał u mojej teściowej swędzenie oczu, lecz bawół nawet nie drgnął. Ojciec mojej teściowej podszedł do niego z boku, rozglądając się na wszystkie strony, jak w transie. Czego szukał? Teściowa powiedziała, że w rzeczywistości nie widział nic, a rozglądanie się świadczyło tylko o tym, że w jego umyśle zapanowała całkowita pustka. Trzymając toporek lewą ręką, splunął we wnętrze prawej dłoni, następnie przełożył toporek do prawej ręki i splunął w lewą dłoń. W końcu ujął trzonek obiema rękami i poprawił się na nogach, przybierając stabilniejszą postawę. Westchnął głęboko i wstrzymał oddech; jego twarz poszarzała; wytrzeszczył oczy, uniósł toporek wysoko w górę i zadał gwałtowny cios. Moja teściowa usłyszała głuche uderzenie toporka w czaszkę zwierzęcia. Jej ojciec, wypuściwszy powietrze, stał dalej na miękkich nogach, tak niepewnie, jakby miał się za chwilę rozpaść na kawałki. Po dłuższej chwili schylił się po ostrze tkwiące w czaszce bawołu. Zwierzę wydało zduszony jęk. Kilka razy ze wszystkich sił próbowało unieść głowę, lecz na próżno – ścięgna w jego szyi były już zerwane. Konwulsje wstrząsały kolejno różnymi rejonami jego ciała, co działo się już wyraźnie bez udziału mózgu. Ojciec teściowej po raz drugi wznosił toporek i ciął potężnie, powiększając ranę na szyi. „He-ej!” – wołał, zadając kolejne ciosy. Pracował metodycznie, stopniowo pogłębiając ranę. W końcu z szyi bawołu buchnęła czarna krew. Zapach świeżej, gorącej posoki drażnił nozdrza mojej teściowej. Ręce ojca były lepkie od krwi. Wycierał je zawzięcie w trawę, raz po raz, wywołując u teściowej skojarzenie ze śliskim ostrzem topora. W wyniku ciągłego powiększania rany krew w końcu trysnęła na twarz ojca. Bawół miał uszkodzoną tchawicę, w ranie zbulgotały wielkie bąble powietrza. Teściowa się odwróciła, trzymając się za szyję. Gdy spojrzała znowu, ojciec zdołał już całkowicie odrąbać bawoli łeb. Rzucił toporek, zakrwawionymi rękoma podniósł łeb za dwa rogi stalowej barwy i zaniósł go na ołtarzyk przed wejściem do jaskini. Moja teściowa była zdumiona faktem, że bawół przed śmiercią zamknął oczy, a teraz, po odrąbaniu głowy, znowu miał je szeroko otwarte. W oczach tych, wciąż tak samo błękitnych jak morska woda, odbijały się postacie stojących wokół ludzi. Ojciec mojej teściowej złożył bawoli łeb na ołtarzu, cofnął się o krok, wymamrotał niezrozumiałe zdanie, ukląkł na ziemi i oddał kilka czołobitnych pokłonów w stronę wejścia do jaskini. Wujowie także uklękli na skalistym gruncie i bili pokłony.

Po zakończeniu ceremonii ofiarnej dla ducha jaskini ojciec i wujowie mojej teściowej wkroczyli do wnętrza, zabierając ze sobą narzędzia. Teściową zostawiono na zewnątrz, by pilnowała łodzi i ekwipunku. Mówiła, że gdy mężczyźni zniknęli w jaskini, zapadła taka cisza, jakby wielki głaz właśnie utonął w głębinach oceanu. Pozostawiona sam na sam z bawolim łebem o wytrzeszczonych oczach i z jego wciąż broczącym krwią ciałem, teściowa czuła narastające przerażenie. Spojrzała w dal, na morze. Nie mogła dojrzeć lądu. Nad wysepką kołowały stada wielkich, nieznanych ptaków. Kilka tłustych, popiskujących szczurów wygramoliło się ze skalnej szczeliny i otoczyło martwy kadłub. Gdy próbowała je przepędzić, rzuciły się na nią, podskakując na pół metra w górę. Już czuła, jak ostrymi szponami sięgają jej piersi. Rzuciła się z krzykiem do jaskini.

Wołając z płaczem ojca i wujów, zagłębiała się coraz dalej w mrok. Nagle zobaczyła światło – siedem oślepiających pochodni zapłonęło nad jej głową. Teściowa wspominała, że ojciec poza sezonem zbiorów robił pochodnie z wierzchołków drzew zanurzonych w sosnowej żywicy. Były one na metr długie i miały bardzo cienkie uchwyty, dostosowane do trzymania w ustach. Teściowa powiedziała, że gdy tylko zobaczyła światło pochodni, natychmiast przestała płakać – jej gardło zacisnęło się pod wpływem panującej wokół aury powagi i świętości. Poczowała, że w porównaniu z pracą ojca i wujów jej własne małe lęki nie miały żadnego znaczenia.

Jaskinia była przeogromna, wysoka na sześćdziesiąt metrów, szeroka na osiemdziesiąt – tak oceniała teściowa, przykładając dorosłą miarę do wspomnień z dzieciństwa, podkreślając, że jej prawdziwych wymiarów nie zna. W jaskini rozlegał się szum płynącej wody i odgłosy kapiących z góry kropli, czuło się chłodny powiew. Teściowa spojrzała w górę, na zawieszony w powietrzu płomień pochodni – ich blask padał na twarz jej ojca i wujów, a wśród nich – tego najmłodszego. Jego urzekająca twarz w świetle pochodni miała kolor i fakturę bursztynu. Ten poruszający widok na zawsze pozostał w jej pamięci. Był jak słynny szampan Veuve Clicquot, zwany wdowim winem, którego świeży, bogaty aromat jest niezwykle długotrwały i z niczym nieporównywalny. Trzymając ustami pochodnię i przywierając całym ciałem do skalnej szczeliny, wuj wyciągnął nóż w kierunku lśniącego, półprzezroczystego, mlecznobiałego przedmiotu – było to jaskółcze gniazdo.

Teściowa mówiła, że tym, na co od razu zwróciła uwagę, gdy znalazła się w środku, nie były ani płomień żywicznych pochodni nad jej głową, ani oświetlona ich blaskiem zachwycająca twarz jej najmłodszego wuja, lecz wirujące w powietrzu salangany, które wypełniały całą przestrzeń jaskini. Wystraszone przez ogień poderwały się z gniazd, lecz nie chciały odfruwać zbyt daleko. Stada trzepoczących skrzydłami ptaków przypominały łany górskich kwiatów w pełnym rozkwicie albo roje motyli. Powietrze napełniło się świergotem tak rozpaczliwym, jakby ptaki płakały krwią. Teściowa mówiła, że wyraźnie słyszała smutek i gniew w ich głosach. Ojciec, wysoko ponad jej głową, wsparty na długich, szmaragdowych bambusowych prętach, sięgał w stronę kilkunastu świeżo zakrzepłych jaskółczych gniazd na ścianie jaskini. Uniósł głowę przewiązaną białą opaską – jego twarz o czarnych, rozdętych nozdrzach przypominała pysk piezowanego prosiaka. Wyciągnął nóż z białą rączką i jednym cięciem odrąbał gniazdo. Złapał je w locie drugą ręką i wrzucił do torby wiszącej mu u pasa. Kilka niewielkich czarnych przedmiotów spadło, uderzając cicho o ziemię u stóp mojej teściowej. Schyliła się i podniosła parę kawałków rozbitej skorupki z przyklejonymi resztkami białka i żółtka. Teściowa mówiła, że poczuła wtedy żal. Widok ojca, który, opierając się jedynie na kilku wątych drążkach zielonego bambusa, kilkadziesiąt metrów nad ziemią, z narażeniem życia zbierał jaskółcze gniazda, także głęboko ją zasmucił. Stada salangan rzucały się w kierunku jego pochodni, jakby chciały ugasić płomień, by ocalić swoje gniazda i potomstwo, lecz w ostatniej chwili odstraszał je żar ognia. Cofały skrzydła gwałtownie tuż przed kontaktem z płomieniem, granatowe pióra lśniły w jego blasku. Teściowa mówiła, że

ojciec nie przejmował się ptasimi atakami. Nawet gdy ptaki biły skrzydłami w jego głowę, on, ze spojrzeniem niezmiennie utkwionym w przyczepione do skalnej ściany gniazda, odcinał je, jedno po drugim, metodycznie, pewnie, beznamiętnie.

Teściowa mówiła, że gdy pochodnie się wypalały, ojciec i wujowie zjeżdżali w dół z opartych o ściany bambusowych prętów, zbierali się, zapalali nowe pochodnie i wyładowywali gniazda z toreb na płachtę białej tkaniny. Teściowa mówiła, że wedle zwyczaju, jej ojciec zbierał gniazda tylko przez czas palenia się jednej pochodni. Przez kolejne trzy pochodnie pracowali jego młodszy bracia, a on pilnował gniazd, broniąc ich przed żarłocznością szczurów. Jednocześnie pozwalał odpocząć swojemu niemłodemu już ciału. Teściowa mówiła, że gdy ją zauważyli, byli zaskoczeni i uradowani, lecz ojciec skrzyczał ją za to, że samowolnie weszła do jaskini. Dziewczynka odrzekła, że bała się zostać zupełnie sama na zewnątrz. Teściowa wspominała, że gdy tylko wypowiedziała słowa „bałam się”, twarz jej ojca nagle zmieniła wyraz – spoliczkował ją, krzyżąc „Zamknij się!” Jego ręka była lepka, umazana śliną z jaskółczych gniazd. Teściowa opowiadała, że dopiero później dowiedziała się, że w jaskini używanie słów w rodzaju „spadać”, „pośliznąć się”, „umrzeć”, „bać się” było surowo zabronione, ponieważ miały one moc ściągania strasznych nieszczęść. Ojcowski policzek doprowadził ją do płaczu. Najmłodszy wuj pocieszył dziewczynkę: „Jaskółeczko, nie płacz, potem złapię dla ciebie małego ptaszka”.

Każdy z nich wypalił fajkę, otarł pot z ciała torbą, zagryzł w zębach trzonek pochodni i zagłębił się na powrót w mroku. Ojciec rzekł: „Skoro już tu jesteś, pilnuj towaru, a ja popracuję przez następną pochodnię”. Mieli zwyczaj zużywać cztery pochodnie dziennie.

Teściowa mówiła, że gdy jej ojciec oddalił się z pochodnią w zębach, zauważyła na dnie jaskini płynącą wodę, a w niej węże; wokół leżały szczątki zgniłych bambusowych prętów i łodyg pnączy, całe skaliste dno było pokryte warstwą ptasich odchodów. Wodziła wzrokiem za najmłodszym wujem, który obiecał schwytać dla niej żywą salanganę. Widziała, jak wspinał się po kilku bambusowych prętach tak zręcznie, jakby wlatywał w górę. Na wysokości dziewiętnastu metrów znalazł występ skalny, na którym postawił stopy, a następnie schylił się, podniósł pręt, na który wcześniej się wspinał, i umocował go w szczelinie. Podniósł kolejny i oparł ukosem na jeszcze innym pręcie, po czym ustawił jeszcze jeden, którym podparł pozostałe. Trzy pręty utworzyły karkołomne przejście, na którego widok włos zjeżył się teściowej na głowie. Najmłodszy wuj wkroczył na ten chwiejny most i zbliżył się po nim do sklepienia jaskini, z którego zwieszał się stalaktyt w kształcie grzyba, a na nim wyrastało kilkanaście wyjątkowo dużych jaskółczych gniazd. Inne salangany zawsze uciekały z gniazd, lecz tejsze nie ruszyły się z miejsca, sądząc zapewne, że wysokość gwarantuje im bezpieczeństwo. Z jednego z gniazd wychynęły dwie ruchliwe główki salangan; obok kilka ptaków zwisało ze stalaktytu głowami w dół i poruszało nimi rytmicznie, tkając z półprzezroczystej białej nici kolejne delikatne, eleganckie gniazdzka. Nie miały pojęcia, że najmłodszy wuj już czepia się śliskiej

skały rękami i stopami, i niczym ogromny, przerażający gekon posuwa się w ich kierunku, jest coraz bliżej, bliżej... Teściowa mówiła, że salangany złotopióre chwytają się skał swoimi skierowanymi do przodu szponami i w tej pozycji oddają się mozolnej pracy budowania gniazd. Ich krótkie dzioby przypominają zwinne członka tkackie, którymi poruszają w łukowato wygiętej płaszczyźnie, zwawo tkając materię gniazda. Po wysnuciu pewnej ilości lśniącej nici natężają się całym ciałem, trzepoczą skrzydłami i wykrztuszają z głębi gardzieli kolejną porcję drogocennej śliny, którą zatrzymują w dziobie, by wysnuć kolejne lśniące pasmo. Na powietrzu tworzywo to w mgnieniu oka zastyga w biały jadeit. Teściowa mówiła, że budowanie gniazd ze śliny to w przyrodzie bardzo rzadkie, wyjątkowe zjawisko i że ci wszyscy dygnitarze i prominenci, nie mając pojęcia ani o trudzie salangan, ani o poświęceniu zbieraczy gniazd, nie są w stanie docenić prawdziwej wartości jaskółczego gniazda.

Najmłodszy wuj mojej teściowej zwiślał niemal głową w dół z najgrubszej części grzyba i polegając wyłącznie na swoich stopach, trzymał się porowatej, lecz bardzo śliskiej skały. Wyglądało to wprost niewiarygodnie. Pochodnia sterczała ukośnie, płomień syczał z boku i ponad jego głową. Podwójna torba na gniazda zwiślała w dół, przypominając dwie zniszczone flagi, kołyszące się niezgrabnie na deszczu. Rzecz jasna, nie był w stanie nic mówić, a jego pozycja w oczywisty sposób uniemożliwiała mu włożenie zebranych gniazd do torby. Teściowa mówiła, że jej ojciec, spuściwszy się w dół ze ściany, stał obok z pochodnią w ręku i patrzył z uniesioną głową na młodszego brata, którego życie wisiało tam, wysoko, pod sklepieniem jaskini – gotów, by w odpowiednim momencie podnieść z ziemi odcięte gniazda.

Teściowa mówiła, że nigdy przedtem nie widziała tak wielkich jaskółczych gniazd. Były to bardzo stare gniazda. Mówiła, że salangany mają w zwyczaju nadbudowywać nowe fragmenty gniazd nad starymi – jeśli tylko stare części nie ulegną zniszczeniu, całe gniazdo może osiągnąć rozmiary wielkiego bambusowego kapelusza. Rzecz jasna, takie nienaruszone gniazda są zbudowane niemal wyłącznie ze śliny, bez jakichkolwiek zanieczyszczeń, i stanowią towar najwyższej jakości.

Wuj wyciągnął rękę, w której trzymał trójgraniastą, ostrą brzytwę. Jego ciało było niepokojąco rozciągnięte, przypominał węża. Teściowa mówiła, że widziała krople potu, kapiące obficie z jego włosów. Jego nóż już niemal dotykał krawędzi ogromnego gniazda, już, już dotykał! Wuj rozciągnął się jeszcze odrobinę, wbił ostrze w podstawę gniazda i ciął w tę i z powrotem. Pot dosłownie lał się z jego głowy. Salangany wyfrunęły na zewnątrz, z niezwykłą odwagą rzuciły się na wuja, ryzykując życie, i raz po raz uderzały w jego twarz. Teściowa mówiła, że gniazdo było wyjątkowo solidnie przymocowane. Bardzo stare, wyglądało, jakby wyrastało wprost ze skały. Dlatego najmłodszy wuj miał wyjątkowo ciężkie zadanie. Musiał zignorować rozpaczliwe trzepotanie salangan wokół jego twarzy, zachować spokój ducha i pewność ręki. Zaciskał zęby i powieki, ze wszystkich sił starając się wytrzymać, w końcu zagryzł wargę i spróbował smaku własnej krwi.

„Mój Boże, czułam się, jakby to trwało sto lat” – mówiła teściowa. Nareszcie

gigantyczne gniazdo przechyliło się i zwiśło – jeszcze jedno cięcie i odpadnie, runie na ziemię, niczym ogromny kawał białego złota.

„Wujku, mocniej!” – krzyknęła teściowa wbrew własnej woli. Gdy tylko przebrzmiał ten okrzyk, ciało wuja rzuciło się do przodu, białe gniazdo oderwało się od ściany i kołysząc się w powietrzu, w zwolnionym tempie spłynęło w dół, do stóp mojej teściowej i jej ojca. W tej samej chwili spadł wuj – najzręczniejszy ze wszystkich, najmłodszy wuj mojej teściowej. Jak już wspomniałem, potrafił on spuścić się na ziemię z wysokości kilkunastu metrów, nie robiąc sobie krzywdy, lecz tym razem wysokość była zbyt duża, a ciało ułożone pod niewłaściwym kątem. Mózg ochlapał leżące na ziemi gniazdo. Pochodnia płonęła, spadając z wysoka, aż w końcu zgasła w zetknięciu z płytką wodą, sączącą się po dnie jaskini.

Teściowa mówiła, że pięć lat po śmiertelnym upadku najmłodszego wuja jej ojciec także złamał kark w jakiejś jaskini. Zbieracze gniazd, rzecz jasna, nie zrezygnowali z wykonywania swej pracy tylko dlatego, że któryś z nich zginął. Teściowa nie mogła odziedziczyć fachu ojca, lecz nie chciała pozostać zależna od wujów – pewnego upalnego letniego dnia, dźwigając na plecach ogromne gniazdo, noszące ślady mózgu jej najmłodszego wuja, wyruszyła w daleką drogę. Miała wtedy czternaście lat.

Teściowa powiedziała, że w zwykłych okolicznościach na pewno nie zostałaby prawdziwym mistrzem gotowania jaskółczych gniazd. Za każdym razem, gdy czyściła gniazdo igłą, tamte tragiczne wydarzenia stawały jej przed oczami. Każde gniazdo traktowała z wielkim pietyzmem, ze świadomością ogromu cierpienia i trudu ptaków i ludzi,

włożonego w jego powstanie i zdobycie. Było to bezcenne doświadczenie.

W głębi duszy jednak wciąż coś ją dręczyło. Skojarzenie jaskółczego gniazda z ludzkim mózgiem nie dawało jej spokoju. Dopiero po tym, jak w Alkoholandii dokonano niezwykłego wynalazku mięsnych dzieci, wszystkie te gorzkie uczucia rozwiały się jak dym.

Teściowa mówiła z żalem, że w latach dziewięćdziesiątych popyt na jaskółcze gniazda w kontynentalnych Chinach znacznie wzrósł, podczas gdy zbieractwo gniazd w południowych rejonach kraju niemal zanikło. Dzisiejsi zbieracze wprowadzają do jaskiń windy hydrauliczne, przez co nie tylko gniazda ulegają zniszczeniu, lecz giną także same salangany. W dzisiejszych Chinach właściwie nie ma już co zbierać. W tej sytuacji, by zaspokoić potrzeby ludności, konieczny stał się import znacznych ilości gniazd z Azji Południowo-Wschodniej, co spowodowało nagły skok cen. W Hongkongu kilogram jaskółczych gniazd kosztuje teraz dwa i pół tysiąca dolarów, a ceny wciąż rosną. Hossa wzbudziła istne szaleństwo wśród zbieraczy za granicą. W dawnych czasach ojciec i bracia wyruszali na zbiory jedynie raz w roku, obecnie zbieracze w Tajlandii robią to cztery razy. „Za dwadzieścia lat dzieci nie będą już wiedziały, co to jaskółcze gniazdo” – rzekła moja teściowa, kończąc swoją porcję

jaskółczej zupy.

Odparłem, że liczba chińskich dzieci, które próbowały jaskółczego gniazda, już teraz nie przekracza tysiąca. Czy przysmak ten jest dostępny, czy też nie – dla zwykłych ludzi i tak nie ma to żadnego znaczenia. Więc czym tu się martwić?

## Rozdział 8

### I

Drogi Yidou, Starszy Bracie,

Twój list i opowiadanie dotarły szczęśliwie.

Lektura Zbiorów jaskółczych gniazd wywołała u mnie istny natłok myśli i skojarzeń. Kiedy byłem mały, słyszałem od dziadka, że gdy bogaci siadają do obiadu, ich stoły uginają się od rozmaitych specjałów, takich jak wielbłądzie kopyta, niedźwiedzia łapa, mózdzek małpi, jaskółcze gniazda. Widziałem kiedyś wielbłąda i przypuszczam, że jego potężne kopyta muszą być bardzo smaczne, lecz nigdy nie miałem okazji ich spróbować. Gdy byłem dzieckiem, mój drugi starszy brat potajemnie obciął kopyto zdechłego konia w swojej brygadzie produkcyjnej. Rzecz jasna, nie mieliśmy pod ręką wybitnego kucharza, więc moja matka ugotowała je zwyczajnie, w czystej osolonej wodzie. Nie było na nim wiele mięsa, lecz zupą można było się nasycić. Smak tej zupy z końskiego kopyta tak wrył mi się w pamięć, że pozostał w niej do dziś. Wspominamy go z braćmi za każdym razem, gdy spędzamy razem Nowy Rok, i czuję się zawsze tak, jakby odrobina tego wybornego aromatu wciąż siedziała mi na czubku języka. Było to w roku 1960, w czasach największego kryzysu, i pewnie dlatego przeżycie to pozostawiło tak głęboki ślad w moim sercu. Co do niedźwiedziej łapy, w zeszłym roku pewien przemysłowiec zaprosił mnie na obiad. Jako ostatnie danie podano nam półmisek czarnej, niejednorodnej substancji, a mój gospodarz oznajmił z wielką powagą: „Oto niedźwiedzia łapa, przywieziona prosto z prowincji Heilongjiang”. Z zapałem chwyciłem za pałeczki, wpakowałem kęs potrawy do ust i jąłem smakować z uwagą. To coś było kleiste i papkowate, a smak miało ani przyjemny, ani wstrętne – w gruncie rzeczy nie różniło się zbytnio od świńskich ścięgien. Zachowałem te

odczucia dla siebie, a na głos chwaliłem smak. Gospodarz spróbował odrobinę, orzekł: „Źle napęczniała!”, i skrytykował umiejętności kucharza. Nie miałem pojęcia, o co chodzi z tym „pęcznieniem”, ale wstydziłem się zapytać. Potem, w Pekinie, zagadnąłem o to jednego z moich przyjaciół, który pracował kiedyś w restauracji. Objął mi, że zapewne jedliśmy wtedy niedźwiedzią łapę suszoną, która powinna być napęczniona przed podaniem. Świeża niedźwiedzią łapa nie wymaga pęcznienia, lecz przyrządzić ją też nie jest łatwo. Mówił, że jeśli już uda nam się dostać świeżą niedźwiedzią łapę, należy wykopać w ziemi dziurę, dno wyłożyć warstwą wapieni, umieścić w środku łapę i przykryć kolejną warstwą. Następnie trzeba polewać całość gorącą wodą, do momentu, aż wapienie zaczną pękać z gorąca. Dopiero wtedy można usunąć sierść z łapy. Mówił jeszcze, że niedźwiedzią łapa wymaga wiele cierpliwości – im bardziej się ją rozgotuje, tym jest smaczniejsza. Tak więc jeśli zamierzamy jeść niedźwiedzią łapę na kolację, musimy ją włożyć do garnka już o świcie i rozpocząć duszenie. Mnóstwo z tym kłopotu. Pamiętam jeszcze, jak mój dziadek mówił, że niedźwiedzie przez całą zimę nic nie jedzą, a głód zaspokajają, liżąc łapę, i to dlatego niedźwiedzią łapę uważa się za taki skarb. Przypuszczam jednak, że nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. Co do małpiego mózdzku – kiedyś myślałem, że chodzi po prostu o mózg małpy. Później usłyszałem, że jest to pewien rodzaj huby. Nie jadłem nigdy tego specjału, ale zażywałem „tabletki z małpiego mózdzku” na problemy trawienne. Niedawno w pociągu spotkałem specjalistę z wytwórni leków, który uświadomił mi, że praktycznie nie da się zbierać potrzebnej ilości hub – bierze się więc trochę boczników, trochę pieczarek, dodaje do mieszaniny i gotowe. Byłem zdumiony – nie miałem pojęcia, że w medycynie także szerzy się fałszerstwo. Jeśli fałszuje się nawet lekarstwa, to co pozostało prawdziwe? Na koniec poruszę temat tych okropnych jaskółczych gniazd. Nigdy czegoś takiego nie widziałem ani nie próbowałem. Czytałem kiedyś Sen czerwonego pawilonu, gdzie chora na gruźlicę Lin Daiyu dosłownie co chwila je jaskółczą zupę. Domyślałem się, że to coś bardzo dobrego i zbyt drogiego dla zwykłych ludzi. Nie przypuszczałem jednak, że jest to aż tak drogie. Moglibyśmy przez pół życia ciężko harować, a naszej zapłaty nie starczyłoby nawet na parę funtów jaskółczych gniazd. Po przeczytaniu Twojego opowiadania nie mam ochoty próbować tego specjału – po pierwsze, z powodu ceny, po drugie, ze względu na okrucieństwo całego procederu. Nie należę do fałszywych obrońców praw salangan, lecz gdy tylko pomyślę o tych biednych złotopiórych ptaszkach, budujących gniazda z własnej śliny i krwi, robi mi się naprawdę nieprzyjemnie. Prezentuję podobną postawę, jak „zona” z Twojego opowiadania. I nie wierzę, że jaskółcze gniazda są czymś tak cudownym, jak utrzymuje Twoja „teściowa”. Hongkończycy bardzo lubią jaskółcze gniazda, a na tamtejszych ulicach widuje się samych mizernych pokurczy, podczas gdy u nas w Shandongu, gdzie żyjemy się plackami ze słodkich ziemniaków i wielkimi cebulami, często spotyka się wysokich ludzi. Wprawdzie nie wszystkie kobiety są pięknosciami, ale dość często się takowe widuje. Z tego wynika, że wartość odżywcza jaskółczego specjału nie dorównuje pieczonemu słodkiemu ziemniakom. Wydawać tyle pieniędzy na takie paskudztwo to doprawdy idiotyzm, a jeszcze gorsze od idiotyzmu jest okrucieństwo polegające na pozbawianiu ptaków ich własnych domów. W ostatnich latach, a już zwłaszcza teraz, po lekturze Twoich opowiadań, doszedłem do przekonania, że

Chińczycy mają obsesję na punkcie wymyślnego jedzenia. Rzecz jasna – ci, którym warunki pozwalają na spożywanie wykwintnych specjałów, w większości i tak nie muszą w tym celu sięgać do własnych kieszeni, podczas gdy zwykli ludzie napychają sobie brzuchy, czym popadnie. Żyjemy w czasach gór mięsa i jezior wina – ci wszyscy biurokraci z Twoich opowiadań są bardziej arogancy niż Liu Wencai, który żywił się wyłącznie kaczymi stopami. W dzisiejszych czasach to nic niezwykłego. Jeszcze kilka lat temu ktoś czasem opublikował błahy artykuł czy parę satyrycznych rysunków na ten temat, teraz nawet tego nie widać.

Wracając do tematu – Twoje Zbiory jaskółczych gniazd zawierają zbyt silne akcenty polityczne. Myślę, że powinieneś najpierw oczyścić swój umysł z wszelkich namiętności, a następnie napisać wszystko od nowa.

O zbieraniu jaskółczych gniazd, tej starodawnej, ginącej profesji, tajemniczej i owianej legendą, można napisać piękną historię. Podkreślam: Powinieneś skupić się na tej legendarności i tajemniczości.

Mój zwierzchnik w zasadzie już się zgodził, bym wyjechał do Alkoholandii. Zanim ruszę w drogę, muszę jednak dokończyć szkic tej powieści, nad którą ostatnio pracuję. Mam jednak cały czas w pamięci termin waszego Święta Małpiego Wina i z pewnością na nie zdążę.

Zwracam Ci rękopis pocztą ekspresową, proszę o potwierdzenie, że dotarł do Ciebie.

Z życzeniami owocnej pracy twórczej

Mo Yan

II

Mo Yan, Nauczycielu,

Otrzymałem od Ciebie list, a także rękopis, który wysłałeś ekspresem. Nie trzeba było wydawać tyle pieniędzy, wystarczyłoby zwykły polecony – kilka dni opóźnienia nie sprawiłoby mi żadnego kłopotu, zwłaszcza że właśnie piszę opowiadanie Małpie wino i przez jakiś czas nie zabiorę się do poprawiania Zbiorów jaskółczych gniazd.

Omawiając Zbiory jaskółczych gniazd, ujawniłeś tyle różnych emocji, przywołałeś nawet wspomnienia z lat dziecińczych, kiedy to jadłeś gotowane końskie kopyto.

Nawet gdyby Zbiory... miały się nigdy nie ukazać, już odegrały dla mnie ogromnie ważną rolę – gdyby ich nie było, czy napisałbyś do mnie tak długi list?

Jak słusznie zauważyłeś, ludzie znacznie przeceniają wartość odżywczą jaskółczych gniazd. Moim zdaniem, to nic innego, jak ptasia wydzielina o stosunkowo wysokiej zawartości białka, która nie ma żadnych cudownych właściwości – gdyby je miała, ci, którzy jadają po trzy, po pięć sztuk dziennie, mieliby już zagwarantowaną nieśmiertelność. Jadłem jaskółcze gniazda tylko raz w życiu, i odbyło się to dokładnie tak, jak opisałem w opowiadaniu. Gdy przybędziesz do Alkoholandii, znajdę sposób, by załatwić nieco tego specjału dla Ciebie – oczywiście chodzi nie tyle o samo jedzenie, co o zdobywanie nowych doświadczeń.

Co do moich emocji, od tej pory będę się starał trzymać je na wodzy. W obecnej sytuacji jednak nikt nie jest już w stanie powstrzymać tej rozszalałej fali. Uczciwie mówiąc, każdy z nas ponosi część odpowiedzialności za obecne przemiany społeczne. Ja sam, dzięki mojej pozycji zawodowej, miałem okazję pijać alkohole z całego świata, wcale nie tańsze od jaskółczych gniazd. Obawiam się jednak, że zwykli ludzie nigdy w życiu nawet nie widzieli trunków takich, jak francuskie Gevrey-Chambertin i de la Romanée-Conti, niemieckie Lay, Doktor, włoskie Barbaresco czy Lacrima Christi – a są to prawdziwe skarby wśród win, istne jadeitowe nektary. Drogi Nauczycielu, proszę, zjaw się tu jak najszybciej. Ja, skromny uczeń, nie mam nic wielkiego do zaoferowania, lecz nie ukrywam, że częstowanie Cię najsłynniejszymi trunkami będzie dla mnie wielką przyjemnością. Nie musisz się niczego krępować – lepiej, żebyśmy to my się napili przyzwoitego wina niż te bandy skorumpowanych urzędasów.

Mam Ci mnóstwo do powiedzenia, lecz ponieważ wkrótce zjawisz się osobiście w Alkoholandii, zaczekam z tym do naszego spotkania. Gdy już wzniesiemy kieliszki i wypijemy nasze zdrowie, jak bracia, będziemy mogli wreszcie pogadać od serca.

Załączam swoje najnowsze dzieło, Małpie wino, i proszę o krytyczne uwagi. Pierwotnie zamierzałem napisać coś nieco dłuższego, lecz w ostatnich dniach czułem się tak wyczerpany, że postanowiłem wcześniej zakończyć. Po przeczytaniu rękopisu nie musisz mi go odsyłać, po prostu przywieź go ze sobą do Alkoholandii. Teraz zamierzam jeden dzień odpocząć, a potem znów chwycę za pióro i zacznę następne opowiadanie. W dalszej kolejności zabiorę się do wprowadzania zmian do Zbiorów jaskółczych gniazd.

Z życzeniami wszelkiej pomyślności

Twój uczeń

Li Yidou

### III

#### Małpie wino

Małpie wino, czyli Wino Yuana. Kto je stworzył? Mój teść Yuan Shuangyu, profesor Uniwersytetu Gorzelnictwa w Alkoholandii. Tak jak Alkoholandia jest lśniąca perłą naszej ojczyzny, a Uniwersytet Gorzelnictwa – perłą Alkoholandii, tak mój teść jest perłą Uniwersytetu Gorzelnictwa – najpiękniejszą, o najbardziej zachwycającym połysku. Bycie uczniem tego starszego pana, a następnie – jego zięciem to największy zaszczyt, jaki mnie spotkał w życiu, to szczęście, które wzbudza podziw i zazdrość wielu osób. Zanim nadałem tytuł niniejszemu opowiadaniu, długo biłem się z myślami, wahając się, czy nazwać je Małpie wino, czy Wino Yuana. Po długich rozważaniach zdecydowałem się na roboczy tytuł Małpie wino, mimo iż trąci on nieco fowizmem.

Wiedza mego teścia jest rozległa, a jego charakter szlachetny. Poszukując przepisu na małpie wino, osiedlił się on na Górze Białej Małpy, gdzie dzielił życie z małpami, żywiąc się powietrzem i śpiąc wśród rosy, myjąc włosy w deszczu i czesząc je na wietrze. W końcu osiągnął to, czego pragnął.

Aby nieco przybliżyć czytelnikom niebędącym znawcami alkoholu głębię wiedzy mego teścia, pozwolę sobie przytoczyć obszernie fragmenty materiałów, które rozdawał nam kilka lat temu przy okazji wykładów z przedmiotu „pochodzenie napojów alkoholowych”.

W tamtych czasach byłem jeszcze pustogłowym żółtodziobem, który z ubogiej wiejskiej rodziny trafił w wysokie progi świątyni alkoholu. O alkoholu nie wiedziałem prawie nic. Gdy mój teść z elegancką laską, w białym ubraniu, wkraczał z gracją na podium, myślałem: „Alkohol – czyż nie jest to po prostu ostro przyprawiona woda? Ciekawe, co też staruszek ma na ten temat do powiedzenia?” Mój teść, stanąwszy na mównicy, najpierw głośno się roześmiał. Ze śmiechem wyciągnął zza pazuchy małą buteleczkę, odkorkował ją, pociągnął łyk, cmoknął i rzekł:

– Powiedzcie mi, drodzy państwo studenci, czego się właśnie napiłem?

Ktoś powiedział „wody z kranu”, kto inny „przegotowanej wody”, jeszcze inny „przezroczystego płynu”. W końcu padło słowo „alkohol”. Wiedziałem doskonale, że to alkohol, czułem jego zapach, lecz mimo to szepnąłem „mocz”.

– Bardzo dobrze, wystarczy – rzekł mój teść, uderzając dłonią o katedrę. – Kto powiedział „alkoholu”, proszę wstać.

Wstała studentka o włosach splecionych w długi warkocz. Czerwieniąc się, spojrzała na teścia, następnie spuściła głowę i zaczęła się bawić końcem warkocza, tak jak to mają w zwyczaju wszystkie dziewczyny z warkoczami, naśladując bohaterki filmowe. Mój teść zapytał:

– Skąd pani wie, że to alkohol?

– Poczułam zapach... – odrzekła słabym, ledwie słyszalnym głosem.

– Jak to możliwe, że pani węch jest aż tak czuły? – zapytał mój teść.

Dziewczyna poczerwieniała jeszcze bardziej, jej twarz płonęła.

– No? Słucham? – dopytywał się teść.

– Ja... – odrzekła jeszcze ciszej – ...mam bardzo dobry węch w ciągu ostatnich paru dni...

Mój teść klepnął się w czoło, jakby doznał olśnienia.

– W porządku, rozumiem. Niech pani siada.

Co zrozumiał mój teść? Nie wiecie? Dowiedziałem się o tym dużo później. Teść powiedział mi, że niektóre kobiety w czasie menstruacji mają wyjątkowo wyczulony węch i bardzo żywą wyobraźnię. Dlatego tak wiele ważnych odkryć w historii ludzkości było ściśle związanych w czasie z kobiecą menstruacją.

– A teraz kto powiedział „moczu”? Proszę wstać! – rozkazał groźnie mój teść.

W uszach mi dudniło, przed oczyma tańczyły gwiazdy, jakbym oberwał pałką po łbie. Nie przyszło mi do głowy, że stary może mieć taki dobry słuch.

– Proszę wstać, nie ma się czego wstydzic – dodał.

Moje zawstydzenie przyciągnęło uwagę całej grupy, w tym dziewczyny z warkoczem, która właśnie miała okres – nazywała się Jin Manli, typowe nazwisko agentki specjalnej. O naszych wzajemnych relacjach opowiem innym razem. Została potem doktorantką mojego teścia. A niech to, ta moja niewyparzona gęba, śmierdząca gorzej od psiej kupy, znowu napytała mi biedy. Ech, Li Yidou, Li Yidou, pamiętasz, co ci powtarzali ojciec i matka, zanim wyjechałeś z domu? Czy nie mówili ci, żebyś mniej kłapał dziobem, a więcej słuchał, co do ciebie mówią? Ale ty gadałbyś nawet z gębą zalepioną plastrem. To tak jak z tym dzięciołem, co umarł w dziupli – mój

własny dziób stał się moją zgubą. Wstałem, sparaliżowany wstydem, bojąc się nawet podnieść głowę.

– Jak pan się nazywa?

– Li Yidou9.

– No to nic dziwnego, że ma pan tak bujną wyobraźnię. Jest pan wcieleniem Winnego Nieśmiertelnego.

Jego słowa wzbudziły gromki śmiech na sali. Profesor uciszył chichoty gestem ręki, wypił kolejny łyk, cmoknął i rzekł:

– Niech pan siada, Li Yidou. Szczerze mówiąc, podoba mi się pan. Jest pan inny niż wszyscy.

Usiadłem kompletnie zdezorientowany, patrząc, jak teść zatyka korkiem butelkę, potrząsa nią energicznie i ogląda zawartość w promieniach światła wpadającego do sali przez okno, ciesząc oko widokiem drobnych bąbelków. W końcu oznajmił dźwięcznym głosem:

– Drodzy studenci, oto boska ciecz. Oto płyn, bez którego człowiek nie może się obejść. W obecnych czasach, czasach „reform i otwarcia”, jego znaczenie stale rośnie. Nie ma najmniejszej przesady w stwierdzeniu, że bez alkoholu „odnowa Alkoholandii” byłaby tylko pustym hasłem. Alkohol to słońce, powietrze, krew. Alkohol to muzyka, malarstwo, balet, poezja. Człowiek, który wytwarza napoje alkoholowe, jest mistrzem wielu sztuk, jednoczy w sobie wszystkie umiejętności. Mam nadzieję, że spośród was wyłoni się taki mistrz i przysporzy chwały naszej ojczyźnie, zdobywając złoty medal na międzynarodowych targach w Barcelonie. Słyszałem niedawno, jak ktoś wyrażał się pogardliwie o naszym zajęciu, twierdząc, że produkcja alkoholu nie ma przyszłości. Drodzy studenci, powiem wam jedno: Pewnego dnia, gdy kula ziemską przestanie istnieć, cząsteczki alkoholu będą wciąż krążyć po wszechświecie!

Wśród powszechnego entuzjazmu mój teść trzymał wysoko swoją buteleczkę, z podniosłym, nabożnym wyrazem twarzy, jak u bohaterów filmowych. Czułem wstyd z powodu bluźnierstwa, jakiego się dopuściłem, nazywając tę szacowną substancję moczem, mimo że ostatecznie i tak nim się staje.

– Co do pochodzenia boskiego płynu, pozostaje ono do dzisiaj zagadką – ciągnął mój teść. – Wiele tysięcy lat temu esencja alkoholowa dała początek całym rzekom, lecz wciąż nie znamy źródeł alkoholowej Huang He czy Jangcy. Możemy tylko snuć przypuszczenia. Chińscy astronomowie w trakcie analizy widmowej wszechświata odkryli w przestrzeni kosmicznej wielką liczbę cząsteczek alkoholu. Niedawno pewna astronautka amerykańska, przebywając w statku kosmicznym, nagle poczuła

intensywny aromat alkoholu, a następnie doznała przyływu radości, jakby była odrobinę pijana. Powiedzcie, skąd tam się wzięły cząsteczki alkoholu? Jak to się stało, że astronautka poczuła zapach? Czy cząsteczki te pochodziły z innej planety? A może były to rozproszone opary znad Alkoholandii? Drodzy studenci, rozwińcie skrzydła waszej wyobraźni!

Nasi przodkowie – kontynuował mój teść – przypisywali odkrycie alkoholu bóstwom i stworzyli na ten temat mnóstwo pięknych, wzruszających historii. Proszę, zajrzyjcie państwo do materiałów...

Starożytni Egipcjanie za pierwszego odkrywcę alkoholu uważali Ozyrysa. Ozyrys był bogiem – opiekunem zmarłych. Alkohol używano jako daru ofiarnego dla zmarłych przodków – miał wyzwalać ich dusze i dawać im skrzydła, by mogły ulecieć do raju. My, żyjący, upiwszy się, również doznajemy uczucia unoszenia się w powietrzu – tak więc prawdziwa natura alkoholu wiąże się z lotem. Starożytni mieszkańcy Mezopotamii laur odkrywcy przyznali Noemu. Twierdzili, że Noe nie tylko odtworzył ludzkość po potopie, ale także podarował jej alkohol, by uchronić ją przed klęskami. Mezopotamczycy ustalili nawet miejsce, gdzie Noe stworzył swój napój – był to Erywań.

Starożytni Grecy mieli własnego boga alkoholu imieniem Dionizos, specjalistę od wina wśród bogów olimpijskich. Dionizos reprezentował gromadne uciechy, wyzwolenie się z wszelkich więzów, prymat wolnego ducha.

Te spośród religii, które kładą szczególny nacisk na pierwiastek duchowy, prezentują różne poglądy na pochodzenie alkoholu. Buddyzm i islam są doń wrogo nastawione, widząc w nim źródło wszelkiego zła. Chrześcijaństwo natomiast uznaje wino za krew Jahwe, za materialną reprezentację ducha Zbawienia. Picie wina pozwala zbliżyć się do Boga, nawiązać z Nim silną więź duchową.

Religie traktują alkohol jako rodzaj substancji o charakterze duchowym, co dowodzi ich głębokiej mądrości – choć, jak doskonale wiemy, alkohol jest materią. Przypomnę wam jednak, że ci, którzy widzą w alkoholu jedynie substancję materialną, nigdy naprawdę nie posiadają sztuki jego wytwarzania. Alkohol jest duchem. W językach wielu narodów świata zachowały się ślady tego przekonania. Na przykład w języku angielskim mocny alkohol to spirits, a po francusku napój o wysokiej zawartości alkoholu określa się przymiotnikiem spiritueux – słowa te mają wspólny rdzeń, oznaczający ducha.

Ostatecznie jednak jesteśmy materialistami i podkreślamy duchowy charakter alkoholu wyłącznie po to, by pozwolić naszej wyobraźni rozwinąć skrzydła, a umysłowi wzlecieć na wyżyny – lecz gdy już zmęczymy się lotem i wylądujemy mocno na ziemi, wypadnie nam szukać pochodzenia alkoholu w stosach starożytnych zapisów. To jest dopiero pasjonująca praca! W Wedzie, najstarszym indyjskim zbiorze tekstów religijnych i dzieł literackich, wspomina się o napojach

alkoholowych – somie i haomie, których używano w ceremoniach ofiarnych. W hebrajskim Starym Testamencie znajduje się wiele wzmianek o „kwaśnym winie” i „słodkim winie”. Pewna inskrypcja na starożytnych chińskich kościach wróżebnych głosi: „To wino... dla Da Jia... dla Dinga” – co oznacza, że zmarłym Da Jia i Dingowi złożono w ofierze wino. Na kościach wróżebnych spotyka się także znak „chang”. Ban Gu, historyk z epoki Han, w swoich Dyskusjach w Sali Białego Tygrysa objaśnił to słowo następująco: „Chang ma aromat stu ziół. Chang powstaje ze wszystkich aromatów razem wziętych”. Chang to wyborne wino. Chang oznacza tyle co nieograniczony, radosny, swobodny, niepohamowany, żywy, niepowstrzymany, beztroski – jak swobodna rozmowa, nieograniczony dostęp, wolna myśl, beztroskie picie. Alkohol otwiera przed nami bramy królestwa wolności. W innych częściach świata najstarszym znanym świadectwem, dotyczącym alkoholu, jest odkryty w prehistorycznym egipskim grobowcu korek od butelki, na którym wyraźnie widać pieczęć winiarni Ramzesa III (1198–1166 p.n.e.).

Mogę podać jeszcze więcej przykładów wczesnych wzmianek o alkoholu. Na przykład, chińskie li oznacza rodzaj słodkiego wina. A oto przykłady z języków obcych: bodža w starożytnych tekstach hinduskich oznacza alkohol sporządzony z ekstraktów zbóż, a bosa w jednym z języków plemiennych starożytnej Etiopii oznacza wino z jęczmienia. Cer visia po gaelicku, pior po staroniemiecku, eolo po staroskandynawsku, bere po staroangielsku – to starożytne nazwy piwa w językach różnych narodów. Napój alkoholowy z mleka w starożytnym języku koczowników ze stepów Mongolii to kumys. Miód pitny po starogrecku to melikaton, Rzymianie nazywali go aqua musla, Celtowie – chouchen. Starożytni Skandynawowie dawali miód pitny w ślubnym podarunku, stąd wyrażenie „miesiąc miodowy”, używane do dziś niemal wszędzie. Tego typu świadectwa pisane spotyka się w kulturach całego świata, omówienie ich wszystkich tutaj jest niemożliwe.

Z pewnością macie już serdecznie dosyć tych przydługich cytatów z materiałów autorstwa mojego teścia – bardzo was przepraszam, ja także straszliwie się wynudziłem, ale nie było innego wyjścia – błagam o jeszcze odrobinę cierpliwości, za moment będzie już po wszystkim.

Niestety, w kwestii pochodzenia alkoholu źródła pisane nie pozwalają nam sięgnąć do czasów wcześniejszych niż okolice X wieku p.n.e. – mamy pełne prawo czuć się zawiedzeni. Twierdzenie, że odkrycie alkoholu poprzedza historię pisaną, jest całkowicie uzasadnione. Obfitość znalezisk archeologicznych jest wystarczającym tego dowodem. Ceramiczny trójnóg na wino z wykopalisk kultury Longshan, kunsztowne naczynia zun i jia z Dawenkou, freski w jaskiniach Altamiry w Hiszpanii, przedstawiające składanie ofiar z wina – wszystkie te znaleziska dowodzą, że historia alkoholu liczy sobie ponad dziesięć tysięcy lat.

– Drodzy studenci – ciągnął mój teść – alkohol jest związkami organicznymi i mógł powstać samoistnie jako wynik genialnej twórczej działalności matki Natury. Cukier pod wpływem enzymów przekształca się w etanol; po dodaniu innych substancji

otrzymujemy zeń napój alkoholowy. A przyroda jest niewyczerpanym źródłem substancji zawierających cukier. Owoce o dużej zawartości cukru bardzo łatwo się rozkładają pod wpływem enzymów – przykładem są winogrona. Jeśli kiść winogron za sprawą wiatru, wody lub jakiegoś zwierzęcia znajdzie się w wilgotnym zagłębieniu, odpowiednia ilość wody i odpowiednia temperatura doprowadzi do uaktywnienia enzymów znajdujących się na skórcie owoców, dzięki czemu ich sok zamieni się w smaczny, słodki napój alkoholowy. Mamy w naszym kraju stare powiedzenie: „małpy robią wino”. Starożytny tekst Nocne rozmowy w Penglong mówi: „W górach Huangshan żyje dużo małp, które wiosną i latem zbierają kwiaty i owoce, a następnie wkładają je do rozpadliny skalnej, by sfermentowały i zamieniły się w wino. Jego zapach rozchodzi się wokół na wiele setek kroków”. W Przepisach z Zachodniego Guang, zamieszczonej w Zebranych notatkach nieoficjalnych napisano: „W rejonie zachodniego Guang, w prefekturze Pingle i okolicach, w górach żyje dużo małp, które potrafią zbierać kwiaty i wytwarzać z nich wino. Gdy drwale idą w góry, ci, którym uda się natrafić na gniazda małp, potrafią zebrać nawet po kilka uncji alkoholu. Jest on niezwykle wonny i smaczny. Nazywają go «małpim winem»”. Jeśli nawet małpy nauczyły się zbierać różne owoce i składać je w rozpadlinach, by zmieniały się w wino, dla przodków rodzaju ludzkiego tym bardziej nie stanowiło to żadnej trudności. W innych krajach także znane są opowieści podobne do tej o robieniu wina przez małpy. Na przykład wśród francuskich winiarzy popularnością cieszy się przekonanie, że ptaki wrzucają do gniazd owoce, które – jeśli przez przypadek nie zostaną połknięte przez pisklęta – po pewnym czasie zamieniają gniazdo w naczynie pełne wina. Ludzie prawdopodobnie nauczyli się robić alkohol, naśladując ptaki albo inne zwierzęta. Samoistne pojawienie się alkoholu zapewne miało miejsce w podobnym czasie, co wystąpienie roślin o wysokiej zawartości cukru. Można powiedzieć, że jeszcze przed pojawieniem się pierwszych ludzi Ziemię przenikał aromat alkoholu.

Kiedy ludzie zaczęli sami wytwarzać napoje alkoholowe? Było to przede wszystkim związane z odkryciem istnienia alkoholu w przyrodzie. Zapewne ci najbardziej nieustraszeni albo wyjątkowo spragnieni skosztowali płynu ze skalnych rozpadlin czy też ptasich gniazd. Poznawszy smak tego boskiego eliksiru i doświadczywszy po tym cudownego uczucia szczęścia, ruszyli tłumnie w poszukiwaniu dalszych skalnych rozpadlin i ptasich gniazd, a gdy już wszystkie odnaleźli, i wszystko wypili, pojawiła się motywacja, by rozpocząć samodzielną produkcję. Motywację tę początkowo realizowano poprzez naśladownictwo – ludzie, podpatrując małpy, zaczęli wrzucać owoce do szczelin w skałach, lecz nie zawsze udawało im się uzyskać wino – czasami owoce wysychały, a niekiedy gnęły i zamieniały się w błoto. Ludzie wielokrotnie porzucali próby nauczania się od małp wytwarzania alkoholu, lecz przeogromna, kusząca moc tego cudownego płynu wciąż na nowo pobudzała ich odwagę do dalszych eksperymentów. W końcu udało się: Za pomocą sił przyrody człowiek stworzył wino owocowe. Oszołomieni radością ludzie zatańczyli w swoich jaskiniach, rozświetlonych płomieniami ognisk. Zdobyte umiejętności wytwarzania alkoholu zbiegło się w czasie z nauką uprawy roli i hodowli zwierząt. Kiedy zboże, w miejsce mięsa i ryb, stało się podstawowym źródłem pożywienia ludzi, rozpoczęły

się próby pozyskania alkoholu ze zbóż. Impulsem do tych nowych eksperymentów mógł być przypadek albo też boskie objawienie. Gdy ze skroplonej pary na ścianie schłodzonego glinianego naczynia powstała pierwsza kropla alkoholu, historia ludzkości weszła w nowy wspaniały etap – nastąpiły czasy rozkwitu cywilizacji. Na tym zakończę mój dzisiejszy wykład – oznajmił teść.

Po zakończeniu zajęć bulgotliwie opróżnił swoją flaszkę, pocmokał wargami raz i drugi i schował ją za pazuchę, a teczkę wcisnął pod pachę. Spojrzał na mnie groźnie i znacząco zarazem, a następnie, z podniesioną głową, wypiętą pierśią i spojrzeniem skierowanym prosto przed siebie, opuścił salę wykładową.

W cztery lata później skończyłem studia i dostałem się na studia doktoranckie u mojego teścia. Moja praca magisterska nosiła tytuł Destylacja alkoholi a powieści latynoamerykańskie, mieszczące się w nurcie realizmu magicznego. Praca zyskała wysoką ocenę teścia, obrona poszła gładko, a tekst wysłano do uniwersyteckiego periodyku, w którym ukazał się on jako główna publikacja numeru. Teść przyjął mnie na swego doktoranta. Moje zainteresowania badawcze można streścić następująco: Różne przejawy bogactwa emocjonalnego mistrzów destylacji i ich wpływ na przebieg procesów fizycznych i chemicznych, zachodzących w trakcie tego procesu, oraz na ostateczny charakter otrzymanego alkoholu. Teść bardzo pochwalał ten kierunek badań, twierdząc, że jest nowatorski, ciekawy i istotny. Radził mi, bym, zanim zacznę, spędził cały rok w bibliotece na intensywnym czytaniu i zbieraniu materiałów, a następnie bez pośpiechu zabrał się do pisania.

Posłuszny wskazówkom teścia zakopałem się w zbiorach Alkoholandzkiej Biblioteki Miejskiej. Pewnego dnia wpadła mi w ręce nader ciekawa książka pod tytułem Niezwykłe przypadki w Alkoholandii. Jeden z rozdziałów ogromnie mnie zainteresował. Poleciałem go mojemu teściowi, nie podejrzewając, że opęta go do tego stopnia, iż sam uda się na Górę Białej Małpy, by zamieszkać tam razem z małpami. Przytoczę tutaj tę historię. Przeczytajcie ją, jeśli macie ochotę, a jeśli nie, po prostu ją pomińcie.

Pewnego razu żył w Alkoholandii pewien staruszek nazwiskiem Sun, który przepadał za winem, a że miał mocną głowę, potrafił za jednym posiedzeniem wypić wiele miarek. Jego rodzina posiadała dziesięć mu ziemi i dziesięciopokojowy dom, kryty dachówką, lecz on wszystko to przepił. Jego żona, Liu, zabrała dzieci i wyszła za innego. Staruszek włóczył się po ulicach z potarganymi włosami i umorusaną twarzą, w łachmanach, wiodąc życie pospolitego żebraka. Gdy kto kupował wino, padał przed nim na kolana i bił pokłony, aż na jego czole pokazywała się krew, co wyglądało nader żałośnie. Pewnego dnia niespodzianie ujrzał siwowłosego starca o młodzieńczej twarzy, który zbliżył się do niego tak, jakby płynął w powietrzu, i rzekł doń te oto słowa: „Sto li stąd na południowy wschód znajduje się masyw górski, zwany Górą Białej Małpy. Porastają go lasy, w których mieszkają małpy. Małpy te wytwarzają całe jeziora wina. Czemu więc nie udasz się tam, by korzystać z napoju do woli, zamiast żebrac tutaj o cokolwiek do picia?”. Usłyszawszy to, nasz staruszek

skłonił się bez słowa i ruszył w drogę niezwłocznie, szybko jak wichur. Po trzech dniach znalazł się u stóp góry. Zadarłszy głowę, ujrzał jedynie gęsty las i żadnej drogi. Zaczął się więc wspinać, czepiając się korzeni i gałęzi winorośli. Stopniowo zagłębiał się w coraz większy gąszcz. Stare drzewa zasłaniały niebo, nie przepuszczając światła słonecznego, niżej kłębiła się gęstwina pnączy i korzeni, chóralny śpiew ptaków rozbrzmiewał wokół niczym szum potężnych fal. Oczom staruszka ukazało się potężne zwierzę rozmiarów byka, o oczach jak błyskawice. Bestia ryknęła, co zabrzmiało jak grzmot, zatrzęsły się drzewa i zarośla. Starzec przeraził się i rzucił do ucieczki. Drogę zagrodziła mu głęboka przepaść. Wpadł do niej; lecąc, zawisł na czubku drzewa. Był pewien, że zginie. Nagle do jego nozdrzy wdarł się silny zapach alkoholu. Woń ta napełniła go nową duchową siłą. Gdy udało mu się zejść z drzewa, poszedł za aromatem. Znalazł się wśród gęstych, mrocznych zarośli, gdzie przedziwne kwiaty i niezwykle owoce zdobiły gałęzie drzew. Mała biała małpka zerwała kiść purpurowych owoców, przypominających agaty. Zeskoczyła z drzewa i poszła dalej, a staruszek podążył za nią. Nagle ujrzał polanę, a pośrodku niej wielką skałę, szeroką na kilkadziesiąt stóp. W skale ziała czelusz głęboka na kilka metrów. Małpka wrzuciła owoce do otworu, rozległ się brzęk podobny do dźwięku rozbijanej dachówki. Rozszedł się winny aromat. Staruszek podszedł bliżej i zauważył, że zagłębienie jest pełne wybornego wina. Zbliżyła się gromada małp niosących wielkie liście podobne do okrągłych wachlarzy; małpy składały je w kształt miseczek, czerpały nimi wino i piły z nich. Wkrótce wszystkie małpy wpadły w trans – szczyrzyły zęby i robiły miny, był to bardzo zabawny widok. Gdy staruszek zrobił krok w ich stronę, cofnęły się o kilka metrów, krzycząc, jakby były zagniewane. Staruszek jednak, nie bacząc na ich gniew, rzucił się naprzód, przypadł do otworu w skale, wsadził głowę do środka i zaczął sączyć wino niczym wieloryb. Gdy wstał po dłuższej chwili, poczuł, że jego wnętrzności i organy doznały niezwyklego oczyszczenia, a usta wypełnił niezwykle aromat. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu, jak Nieśmiertelni. Zaczął naśladować zachowanie pijanych małp, podskakiwać i pokrzykiwać. Małpy przyłączyły się do niego. Zaprzyjaźnili się ze sobą. Od tej pory staruszek mieszkał w pobliżu skały. Spał, gdy był zmęczony, pił, gdy się budził, od czasu do czasu weselił się wraz z małpami. Był tak szczęśliwy, że wcale nie myślał o powrocie. Ludzie w wiosce myśleli, że staruszek zaginął, a opowieść o nim znały już wszystkie dzieci. Minęło kilkadziesiąt lat. Pewien drwal poszedł w góry i spotkał staruszka. Widząc starego człowieka o młodzieńczej twarzy, jasnym umyśle i zdrowym ciele, pomyślał, że ma przed sobą górskie bóstwo. Pokłonił mu się, pełen trwogi. Starzec przyjrzał się drwalowi dokładnie i spytał: „Nie nazywasz się przypadkiem Sanxian?” „Tak jest” – odrzekł drwal. „W takim razie jestem twoim ojcem” – oznajmił staruszek. Drwal w dzieciństwie słyszał, że jego ojciec był pijakiem i że ktoś go okłamał, przez co ten zaginął gdzieś w górach. Był bardzo zaskoczony spotkaniem. Staruszek opowiedział mu swoją niezwykłą przygodę, wspominał też dawne wydarzenia z życia rodziny. Młodzieniec w końcu mu uwierzył. Poprosił ojca, by wrócił wraz z nim do wioski i zamieszkał pod jego opieką, lecz starzec rzekł ze śmiechem: „Czy w twoim domu jest staw pełen wina, z którego mógłbym pić do woli?” Poprosił syna, by zaczekał na niego kilka chwil, sam zaś wspiął się po pnączach na drzewo, zręcznie niczym małpa, i zniknął. Wkrótce

wrócił, trzymając w ręku kawałek bambusa o końcach zatkanych kiściami purpurowych kwiatów. Podał go synowi, mówiąc: „W środku jest małpie wino, napój, który daje siłę i zdrowy wygląd”. Syn zabrał bambus do domu, rozpieczętował go i przelał zawartość do dzbana – płyn miał kolor indyga i niezwykle mocny, bogaty aromat, niemający sobie równych na świecie. Młodzieniec, który odznaczał się wielką cnotą synowskiego oddania, przelał napój do butelki i zaniósł go swemu teściowi. Teść z kolei darował trunek swojemu mistrzowi, dostojnikowi nazwiskiem Liu. Pan Liu, obejrzawszy i powąchawszy wino, zdumiał się niezmiernie i spytał, skąd ono pochodzi. Służący teścia przekazał mu wszystko, czego dowiedział się od młodzieńca. Pan Liu zdał na ten temat raport gubernatorowi prowincji. Gubernator posłał kilkudziesięciu ludzi w góry. Po wielu miesiącach poszukiwań odnaleziono wyłącznie niezliczone mnóstwo drzew oraz gęszcze ciernistych krzewów i leszczyny. Innymi słowy, poszukiwacze wrócili z niczym.

Przeczytawszy tę historię, poczułem się, jakbym znalazł wielki skarb. Czym prędzej poprosiłem o zrobienie kopii i zabrałem ją ze sobą do teściów, by dać tekst profesorowi. Było to przed trzema laty, wieczorem. Mój teść i teściowa właśnie siedzieli przy stole i sprzeczali się. Za oknem szalała burza, grzmiało i błyskało. Niebieskawe błyskawice smagały okna niczym długie, drgające bicze; szyby wibrowały. Potrząsnąłem głową, by strącić krople z włosów. Padał deszcz zmieszany z gradem, od uderzeń zamrożonych kropli bolała mnie skóra na nosie, oczy mi łzawiły. Teściowa spojrzała na mnie i rzuciła z irytacją:

– Zameżna córka jest jak rozlana woda. Sami macie rozwiązywać swoje problemy, nie jesteśmy waszym sądem!

Domyśliłem się, że zaszło nieporozumienie, i już chciałem wszystko wyjaśnić, lecz przerwało mi własne potężne kichnięcie. W trakcie nerwowego skurczu nozdrzy usłyszałem ponure mamrotanie teściowej:

– Ty też jesteś z tych, co traktują wino jak własną żonę? Pewnie tak...

Nie miałem wtedy pojęcia, o co chodzi mojej teściowej, teraz oczywiście już wszystko rozumiem. Wtedy słyszałem tylko jej zrzęczenie i widziałem czerwoną, prawie fioletową twarz. Teściowa wyglądała, jakby jej serce kipiało potężną nienawiścią. Zwracała się do mnie, lecz martwy, nieruchomy jak u węża, bezwzględny, zimny wzrok był twardo utkwiony w mego teścia. Nigdy w życiu nie widziałem podobnego spojrzenia; na samo wspomnienie po dziś dzień przechodzi mnie dreszcz.

Mój teść siedział przy stole jadalnym, zachowując godną postawę profesora uniwersytetu. Jego białe włosy w łagodnym świetle lampy przypominały jedwabne nici, lecz niebieskawe błyski zza okna nadawały im wygląd zimnych, sinawych klusek z zielonej fasoli. Nie zwracał uwagi na moją teściową, zajęty samotnym picciem wina. Przed nim stała butelka szampana Veuve Clicquot, zwanego wdowim.

Butelka złotego płynu, gładkiego i miękkiego niczym piersi dziewczyny z Zachodu. Pasemka drobnych bąbelków unosiły się w cieczy ze szmerem, łagodnym jak szept dziewczyny z Zachodu. Owocowy bukiet tego trunku jest bardzo elegancki i orzeźwiający. Im dłużej się nim delektować, tym dłużej trwa. Wydaje się po prostu niezrównany. Lepiej patrzeć na takie wino, niż podziwiać nagie ciało dziewczyny z Zachodu. Przyjemniej smakować jego aromat, niż całować dziewczynę z Zachodu. Rozkoszniej pić takie wino, niż...

Jedną dłonią czule pieścił gładką, jaspisową butelkę, drugą z miłością obejmował kieliszek na długiej nóżce. Jego szczupłe, długie palce gładziły butelkę i kieliszek z intymną delikatnością. Uniósł kieliszek do poziomu oczu, pozwalając, by jasne światło lampy przenikało przez płyn o łagodnej barwie. Gdy tak podziwiał zawartość kieliszka, w jego spojrzeniu migotało zniecierpliwienie. Zbliżył kieliszek do nosa, powąchał, wstrzymał oddech i otworzył usta radośnie. Następnie pociągnął maleńki łyk, naprawdę maleńki, ledwie zwilżając wargi i koniuszek języka. Oczy zapłonęły mu blaskiem podniecenia. Jednym łykiem opróżnił kieliszek i wstrzymał oddech. Nie przełykał wina przez dłuższą chwilę. Wydęte policzki sprawiły, że jego twarz wyglądała pełniej niż zwykle, lecz podbródek stał się jeszcze bardziej spiczasty. Ze zdumieniem odkryłem, że nie ma wcale zarostu, dosłownie ani włoska. To nie były usta i podbródek mężczyzny. Poruszając wargami, wprawiał w ruch trzymany wewnątrz płyn, co wyraźnie sprawiało mu ogromną rozkosz. Na jego twarz wystąpiły czerwone plamki, przypominające nierówno rozarty róż. Widok teścia, który tak długo trzymał wino w ustach, wywołał u mnie reakcję fizjologiczną – moje uszy wypełnił szum wody. Błysnęło za oknem, cały pokój na moment ogarnęła zielonkawa poświata. W czasie tego spazmu zieleni teść przełknął wino. Widziałem, jak płyn przedostaje się przez jego gardło. Następnie oblizwał wargi, oczy mu zwilgotniały – wyglądał, jakby przed chwilą płakał. Bywałem świadkiem, jak pił w sali wykładowej – był to raczej zwyczajny widok. Ale tu, w domu, zrobił się przesadnie egzaltowany, co sprawiało bardzo nienaturalne wrażenie. Sposób, w jaki pieścił kieliszek i delektował się winem, kojarzył mi się z homoseksualnymi mężczyznami. Wprawdzie nigdy nie widziałem homoseksualisty, ale wyobrażałem sobie, że ich zachowanie, gdy są ze sobą sam na sam, przypomina sposób, w jaki mój teść obcuje ze swoją butelką, kieliszkiem i winem.

– Obrzydliwość! – rzuciła moja teściowa w przestrzeń, waląc pałeczkami w stół. Wstała i wyszła do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Byłem ogromnie zażenowany. Nie miałem wtedy pojęcia, co wzbudziło jej wstręt, lecz teraz już wiem.

Dobry nastrój mojego teścia prysł. Podniósł się, wsparty dłońmi o brzeg stołu, i stał tak przez dłuższy czas bez ruchu, wpatrzony tępo w zielone drzwi sypialni. Wyraz jego twarzy w końcu zaczął się zmieniać – z początku był zawiedziony, potem – cierpiący, w końcu – gniewny. Jeszcze na etapie zawodu teść westchnął przeciągle, zakorkował butelkę i usiadł na kanapie pod ścianą. Wyglądał jak bezcielesny szkielet,

jak cień człowieka. Nagle zrobiło mi się ogromnie żal staruszka, chciałem go pocieszyć, lecz nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Przypomniałem sobie o kopii dziwnego opowiadania, którą miałem w teczce, i o celu mojej wizyty. Wyjąłem czym prędzej tekst i podałem teściowi. Nie nabrałem nigdy zwyczaju zwracania się do niego per „tato” i wciąż używałem formy „nauczycielu”, co nie podobało się mojej żonie, lecz on na szczęście nie miał nic przeciwko temu. Powiedział mi nawet, że zwrot „nauczycielu” jest wygodniejszy i bardziej naturalny, a „tato” wypowiedane przez zięcia do teścia trąci hipokryzją, że jest w tym obyczaju coś obrzydliwego. Zalałem mu herbatę w kubku – woda miała temperaturę około pięćdziesięciu stopni, a liście pływały po wierzchu. Wiedziałem, że herbata go nie interesuje, w związku z czym zapewne nie zależy mu na odpowiedniej temperaturze wrzątku. W podziękowaniu postukał dłonią w pokrywkę kubka i spytał zubożonym tonem:

– Znowu się pokłóciliście? No to się kłóćcie, kłóćcie się dalej...

W tych kilku słowach wyczułem ton całkowitej bezsilności wobec problemów małżeńskich obu pokoleń naszej rodziny. Nieduży salon tchnął smutkiem.

– Nauczycielu, dziś w bibliotece trafiłem na coś takiego. Ciekawy tekst, proszę rzucić okiem – powiedziałem, podając mu odbitkę.

Widziałem wyraźnie, że nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany ani opowiadaniem, ani zięciem stojącym naprzeciw niego na środku salonu. Sprawiał wrażenie, jakby bardzo chciał, żebym sobie poszedł i pozwolił mu z powrotem opaść bezwładnie na kanapę, zanurzyć się w trwającym wciąż w jego ustach posmaku Veuve Clicquot. Wyłącznie przez uprzejmość nie wyrzucił mnie i wyłącznie przez uprzejmość sięgnął wreszcie omdlewającą, jakby wyczerpaną po nocy pełnej rozpusty ręką po papiery, które mu podałem.

– Nauczycielu – próbowałem wzbudzić jego zainteresowanie – jest to opowieść o małpach, które wytwarzają wino. Małpy te mieszkają na Górze Białej Małpy, całkiem niedaleko Alkoholandii.

Wysłuchawszy mnie, niechętnie podniósł kartki do oczu i zaczął leniwie przebiegać po nich wzrokiem. Jego oczy przypominały stare cykady, wierzące się na wierzbowej gałęzi. Byłbym srodze zawiedziony, gdyby pozostał w takim stanie. Oznaczałoby to, że zupełnie go nie znam i nie rozumiem. Jednak znałem go, i byłem pewien, że ta historia go zainteresuje i ucieszy. Chciałem sprawić mu przyjemność, nie dla własnej korzyści, lecz dlatego, że coraz silniej przeczuwałem, że głęboko w umyśle tego starego człowieka kryje się naiwne, ufne małe zwierzątko, ni to kot, ni pies, o błyszczącym, gładkim futerku, krótkim pyszczku, dużych uszach, jasnoczerwonym nosie i czterech krótkich łapkach. To zwierzątko przyciągało mnie, czułem z nim bliźniacze pokrewieństwo. Uczucia te, rzecz jasna, były absurdalne, całkowicie bezpodstawne i niezrozumiałe. A jednak – tak jak się spodziewałem, oczy teścia nagle rozbłysły, bezwładne ciało się ożywiło, zaczerwienienie uszu i drzenie palców

u rąk zdradzały wielkie podniecenie. Wydawało mi się, że widzę, jak małe zwierzątko wyskakuje z ciała teścia i tańczy w powietrzu trzy cale nad jego głową, zostawiając za sobą smugi podobne do jedwabnych nici, skacze, wiruje. Byłem szczęśliwy, byłem uradowany, byłem zachwycony!

Przekartkował szybko kilka stron, a następnie zamknął oczy i zaczął machinalnie postukiwać palcami w papiery, które wydawały cichy szelest. W końcu otworzył oczy i oznajmił:

– Postanowiłem!

– Co pan postanowił?

– Po tylu latach spędzonych ze mną nie domyślasz się, co postanowiłem?

– Uczniowi brak talentu, jego wiedza jest płytka. Nie potrafi przeniknąć głębi słów swego nauczyciela.

– Cóż to za oklepane banały! – rzucił z niezadowoleniem. – Wybieram się na Górę Białej Małpy, gdzie zamierzam szukać małpiego wina.

W mojej podświadomości rozszalały się fale podniecenia i niepokoju. Poczułem, że za chwilę wydarzy się coś, na co czekałem bardzo długo. Moje życie, dotychczas spokojne niczym cisza morską, miały zalać spienione bałwany, a ta pasjonująca historia, wprost stworzona do opowiadania przy winie, miała wkrótce znaleźć się na ustach wszystkich mieszkańców Alkoholandii, otoczyć całe miasto, Uniwersytet Gorzelnictwa i mnie samego romantyczną aurą, która bierze się z syntezy literatury wysokiej i literatury ludowej, i to wszystko dzięki mojemu przypadkowemu odkryciu, dokonanej w bibliotece miejskiej. Mój teść niebawem uda się na Górę Białej Małpy w poszukiwaniu małpiego wina, a w jego ślady będą wyruszać kolejne grupy, poszukujące mojego teścia. Mimo wszystko powiedziałem:

– Nauczycielu, wie pan doskonale, że tego rodzaju historie są w znacznej mierze wymysłem znudzonych uczonych i literatów – to fantastyczne opowieści, których nie należy traktować poważnie.

Wstawszy z kanapy, ożywił się jeszcze bardziej; wyglądał jak wojownik gotujący się do bitwy.

– Już postanowiłem – powtórzył. – Nie zanudzaj mnie więcej.

– Nauczycielu, czy tak ważnej decyzji nie należałoby przynajmniej omówić z moją teściową?

Popatrzył na mnie lodowato i rzekł:

– Z nią nic mnie już nie łączy.

Zdjął zegarek i okulary, jakby zamierzał udać się na spoczynek, podszedł do drzwi wejściowych, otworzył je bez cienia wahania i równie zdecydowanie za sobą zatrzasnął. Cienka warstwa drewna rozdzieliła nas, znaleźliśmy się w dwóch różnych światach. Szum wiatru i deszczu, odgłosy grzmotów i lodowate, wilgotne powietrze burzliwej nocy wdarły się do wewnątrz, gdy wychodził, i zniknęły bez śladu, gdy zatrzasnął drzwi. Stałem w osłupieniu, nasłuchując słabnącego szurania jego kroków, gdy szedł w kapciach po betonowych schodach, zapiaszczonych i zaśmieconych skrawkami papieru. W końcu odgłos ucichł całkowicie. Salon moich teściów ział pustką po jego odejściu. Wprawdzie wciąż stałem na środku – wysoka, mocna postać – lecz nie czułem się w ogóle jak osoba ludzka. Nie różniłem się od betonowego słupa. To wszystko wydarzyło się tak niezwykle szybko, jakby było złudzeniem, lecz nie było nim – jego zegarek, jego okulary, wciąż ciepłe, spoczywały na herbacianym stoliku, dwie kartki kopiowego papieru, które mu osobiście wręczyłem, leżały na kanapie, butelka i kieliszek, które pieścił i gładził własnymi dłońmi, stały smutne i opuszczone na stole. Świetlówka brzęczała. Tik-tak, tik-tak – chodził staroświecki zegar wiszący na ścianie. Przez zamknięte drzwi słyszałem, jak teściowa, leżąc w łóżku w swoim pokoju, z twarzą wtuloną w ramię, ustami i nosem wydaje odgłosy przypominające siorbanie gorącego kleiku przez wiejską kobietę.

Po długim namyśle zdecydowałem, że powinienem jej o wszystkim powiedzieć. Najpierw delikatnie, na próbę, a potem zdecydowanie, zapukałem do drzwi. W przerwach między stuknięciami usłyszałem, że pochlipywanie zmieniło się w łkanie przerywane odgłosami wydmuchiwania nosa. Ciekawe, w co wycierała nos? To idiotyczne pytanie skakało mi uparcie po głowie, nie dając się odpędzić niczym natrętna mucha. Zrozumiałem, że doskonale wie, co się wydarzyło za drzwiami. Mimo to niepewnym tonem zacząłem:

– Poszedł... Mówił, że idzie na Górę Białej Małpy, szukać „małpiego wina”...

Wytała nos – ale w co? Przestała płakać. Na podstawie szmerów dobiegających z pokoju wyobraziłem sobie, że podniosła się z łóżka i stoi nieruchomo wpatrzona w drzwi albo w ścianę, tam gdzie wisi fotografia, którą zawsze tak podziwiałem – ich wspólny zaręczynowy portret. Oprawny w czarną ramę z rzeźbionego drewna, wyglądał jak dziedziczny z pokolenia na pokolenie portret przodka. W chwili utrwalonej na zdjęciu mój teść był przystojnym młodym człowiekiem. Uniesione kąciki jego ust zdradzały poczucie humoru i żywe usposobienie. Był uczesany z przedziałkiem – biała linia, biegnąca przez środek głowy, przypominała bliznę po cięciu nożem, które rozplątało czaszkę na pół. Na zdjęciu nachylał się nad moją teściową – spiczasty podbródek znalazł się o jakieś trzy centymetry ponad jej gładko przyczesanymi włosami, co miało symbolizować autorytet oraz miłość męża. Pod tą nieuniknioną presją autorytetu i miłości znajdowała się twarz mojej teściowej – okrągła, o gęstych brwiach, zadartym małym nosie i pełnych, wyrazistych ustach. W

tamtych czasach teściowa przypominała urodziwego młodzieńca, przebranego w kobiecy strój. W jej obliczu widoczny był ślad dziedzictwa zbieraczy gniazd – odwaga nieustraszonego wspinacza, rys, który tak bardzo nie pasował do jej obecnej dumnej, rozkapryszonej urody, przywodzącej na myśl cesarską konkubinę Yang Guifei. Dlaczego tak bardzo się zmieniła? I jak to się stało, że ci dwoje dorobili się tak paskudnej córki, której brzydota mogłaby okryć hańbą cały chiński naród? Matka wyciosana z kości słoniowej, córka ulepiona z błota. Wierzę, że prędzej czy później znajdę odpowiedź na to pytanie.

Pajaki niepostrzeżenie zasnuły dawno nieczyszczone szkiełko misterną siecią, w której tkwiły niezliczone, jasne drobinki kurzu. O czym myślała teściowa, wpatrując się w ten zabytek? Czy wspominała minione szczęśliwe lata? Czy mogę zakładać, że kiedykolwiek byli szczęśliwi? Mam teorię, że ludzie, którzy wytrzymują w swoich małżeństwach po kilkadziesiąt lat, muszą mieć niezwykle spokojną naturę i w pełni kontrolować swoje emocje. Szczęście, którego doświadczają, w najlepszym wypadku przypomina zmierzch – jest to powolny, mglisty, gorzki, lepki rodzaj szczęścia, mętny i nieciekawym jak osad na dnie kadzi z winem. Ci z kolei, którzy rozwodzą się w trzy lata po ślubie, są jak czerwonoogrzywe rumaki – ich uczucia buchają niczym pożar, który rozświetla cały świat wokół nich i przypieka go, aż ten zacznie ociekać tłuszczem. Są jak bezlitosny żar południowego słońca, jak burza na równiku, jak cięcie ostrym mieczem, jak mocna wódka, jak pędzel ciężki od farby. Takie właśnie małżeństwa tworzą emocjonalne bogactwo ludzkości, a tamte, niczym lepkie błoto, gaszą jej duchowy potencjał, spowalniają proces historycznego rozwoju. Dlatego zrewidowałem swoje wyobrażenia – moja teściowa, wpatrując się w starą fotografię, wcale nie myślała o minionym szczęściu, wręcz przeciwnie, przypominała sobie wybryki swojego męża, wszystkie te zachowania, które budziły jej wstręt przez tyle lat. Rzeczywistość szybko dowiodła, że to drugie wyobrażenie było bliższe prawdy.

Zapukałem powtórnie, mówiąc:

– Jak myślisz, co zrobić? Będziemy go namawiać do powrotu czy też zgłosimy sprawę władzom uczelni?

Milczała przez kolejną minutę. Milczała uparcie, przestała nawet oddychać, co bardzo mnie zaniepokoiło. Nagle wrzasnęła przeraźliwie. Ten głos, niczym cienki, zaostzony bambusowy pręt, zupełnie nie pasował do jej wieku, osobowości, do jej wytwornego sposobu bycia. Ten straszliwy dysonans wstrząsnął mną do głębi. Obawiałem się, że mogła zareagować przesadnie – niewykluczone, że już wisi na jakimś gwoździu, naga jak ugotowany łabędź. Czyżby na tym samym co fotografia? A może na tym, gdzie kalendarz? Albo tam, gdzie się wieszają czapki? Dwa z nich były zbyt cienkie, trzeci za cienki i za krótki; żaden nie wytrzymałby ciężaru tego dorodnego ciała, powleczonego śnieżnobiałą skórą. Moje obawy były zdecydowanie bezpodstawne. Ten niesamowity krzyk zmroził mnie jednak do szpiku kości. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to nieustannie pukać do drzwi w nadziei, że ją to uspokoi.

Nie poprzestałem jednak na pukaniu. Staralem się ją pocieszyć, ułagodzić słowami. Teściowa była jednym wielkim kłębkim splątanej wielbłądziej wełny. Cierpliwie starałem się przywrócić jej równowagę rytmicznym postukiwaniem i uspokajającymi słowami, jak leczniczą nalewką z żeń-szenia syberyjskiego. Co mówiłem? Było to coś w rodzaju: „Mój teść od wielu lat marzył o tym, by pewnej nocy wyruszyć na Górę Białej Małpy; to człowiek, który dla alkoholu jest gotów poświęcić życie”. Zapewniałem też, że jego odejście nie ma żadnego związku z jej osobą. Twierdziłem, że jest bardzo prawdopodobne, że odnajdzie swoje małpie wino, czym odda całej ludzkości wielką przysługę, wzbogaci jeszcze bardziej naszą wspaniałą kulturę picia wina, zapoczątkuje nową erę w historii winiarstwa, przysporzy chwały krajowi, przyniesie całemu narodowi chlubę, a naszej Alkoholandii – wymierne korzyści. Powiedziałem też: „Nie da się schwytać tygrysiątka, nie wchodząc do tygryziej jamy – gdzie zdobyć małpie wino, jak nie w małpich górach?” oraz: „Wierzę, że bez względu na wynik poszukiwań teść w końcu wróci, by u boku swojej żony spędzić resztę życia”.

Moja teściowa wybuchnęła krzykiem:

– Nie zależy mi na jego powrocie! Nie życzę go sobie wcale! Brzydzę się na samą myśl! Niech zdycha na tej swojej Górze Białej Małpy! Niech się zamieni we włochatą małpę!

Jej słowa zjeżyły mi wszystkie włosy na głowie, oblałem się zimnym potem. Już przedtem niejasno przeczuwałem, że ich pożycie nie jest zbyt harmonijne, że zdarzają się między nimi tarcia. Nie przypuszczałem jednak, że moja teściowa nienawidzi swego męża bardziej niż biedny chłop obszarnika, niż robotnik kapitalistę. Wpajane mi od dziesiątków lat przekonanie, że „nienawiść klasowa jest cięższa niż góra Tai”, legło w gruzach. Nienawiść jednej osoby do drugiej, która osiągnęła tak wielką intensywność, stanowi niewątpliwie specyficzną formę piękna, i jako taka jest wspaniałym darem dla ludzkości. Przypomina purpurowy kwiat trującego maku, rozkwitły na bagnach ludzkich uczuć. Pod warunkiem że go nie dotkniemy, nie naruszymy, pozostanie on formą istnienia piękna o magnetycznym uroku, niespotykanym u dobrych, przyjaznych kwiatów.

Teściowa opowiedziała mi wszystko o złych uczynkach mojego teścia. Każde jej słowo, każdy odgłos, który wydała, ociekał krwią i łzami.

– Czy on jest w ogóle godzien nazywać siebie człowiekiem? – mówiła. – Czy zasługuje na miano mężczyzny? Od dziesiątków lat traktuje alkohol jak swoją kochankę. To on zapoczątkował tę wstrętą modę na porównywanie pięknych kobiet do wybornych trunków. Picie jest dla niego jednoznaczne z uprawianiem seksu. Cały swój popęd płciowy skierował na alkohol, na te swoje butelki, kieliszki... Doktorze Li, wcale nie jestem pańską teściową. Nigdy nie rodziłam – bo jakim cudem?... Pańska żona była porzuconym niemowlęciem, które wyciągnęłam ze śmietnika.

Nareszcie prawda wyszła na jaw. Odetchnąłem głęboko, jakby zdjęto ze mnie wielki ciężar.

– Jest pan niezwykle inteligentnym człowiekiem, doktorze. Ziarnko piasku w oku nie zmąci pana bystrego spojrzenia. Musiał pan wyczuwać, że ona nie jest moim biologicznym dzieckiem. Dlatego mam nadzieję, że pozostaniemy bliskimi przyjaciółmi, że będę mogła zwierzyć się panu ze wszystkiego, co leży mi na sercu. Jestem kobietą, doktorze, nie kamiennym lwem u bram Cesarskiego Pałacu ani żelaznym kogutkiem na dachu, ani tym bardziej zwierzęciem niższym, pozbawionym płci. Mam pragnienia kobiety, lecz nie mogę ich spełnić. Któż zrozumie mój ból...

– To dlaczego się z nim nie rozwiodłaś? – zapytałem.

– Jestem słaba, boję się ludzkich języków...

– To absurdalne.

– Tak, to absurdalne. Lecz ten absurdalny czas właśnie dobiegł końca. Dlaczego się z nim nie rozwiodłam? Wytłumaczę ci, doktorze. Specjalnie dla mnie opracował nalewkę leczniczą, którą nazwał Ximen Qing10. Wywołuje ona halucynacje, czasem przyjemniejsze niż miłość fizyczna...

Wyczułem w jej głosie słodką nutkę nieśmiałości.

– Lecz gdy spotkałam ciebie, napój ten w tajemniczy sposób stracił moc...

Nie miałem już ochoty dłużej pukać do drzwi.

– Była sobie kobieta, która niczym niedźwiedzia łapa, obsypana mieszanką najróżniejszych przypraw, dusiła się na wolnym ogniu przez dziesiątki lat. Teraz jest już gotowa. Pachnie oszołamiająco. Z pewnością czujesz ten zapach. Mój doktorze...

Drzwi nagle otworzyły się na oścież. Aromat duszonej niedźwiedziej łapy rozchodził się falami. Trzymałem się framugi desperacko, jak tonący uczepony burty statku...

#### IV

Pocisk trafił czarniawego karła. Pokurcz podskoczył, jakby miał wzlecieć w

powietrze, lecz rozgrzana kula zdążyła już unicestwić centralny układ nerwowy – kończyny poruszały się energicznie, lecz całkowicie bezładnie. Ten bezład oznaczał, że ciało to nie posiadało ani odrobiny cudownych mocy, opisanych przez doktora alkoholologii w opowiadaniu Yichi bohater, w którym to Yu Yichi unosił się w powietrzu i przywierał do sufitu niczym gigantyczny gekon. Nic podobnego się nie wydarzyło – karzeł, wyskoczywszy w górę na zaledwie kilka centymetrów, ześliznął się bokiem z kolan kobiety. Ding Gou'er obserwował leżące na podłodze ciało, które wyteżało wszystkie siły, starając się wyprostować. Mięśnie ud miało tak sztywne i napięte, jak przewody wysokiego napięcia w mroźną wicherę. Krew i mózg wyciekały z czaszki i rozlewały się obrzydliwie po woskowanym parkiecie. Jedna noga zginała się i prostowała na przemian, ruchem kogucika, któremu wbito nóż w szyję; wierzganie to wprawiło całe ciało w płynny ruch obrotowy. Po kilkunastu obrotach noga znieruchomiła. Zaczęło się dziać coś nowego – karzeł przestał wierzgać, za to wpadł w konwulsyjne drgawki. Z początku trzęsło się całe ciało, szurając głośno po podłodze, potem konwulsje obejmowały kolejno różne jego rejony – poszczególne grupy mięśni zachowywały się jak wytrawni kibice piłkarscy, robiący „falę” na trybunach. Fala zaczęła się od czubka lewej stopy, przeszła na lewą łydkę, lewe udo, lewe biodro i lewe ramię, po czym skręciła w stronę prawego ramienia, przemieściła się do prawego biodra, prawego uda, prawej łydki i czubka prawej stopy, tam się odwróciła i podążyła tą samą drogą w przeciwnym kierunku. Po dłuższej chwili konwulsje ustały. Zanim ciało rozciągnęło się bezwładnie na podłodze, Ding Gou'er usłyszał, jak opuszcza je porcja gazów. Karzeł był martwy. Przypominał czarnego aligatora z tropikalnych bagien. Ding, zajęty obserwacją jego konania, nie zwracał uwagi na kobietę, która, kiedy już karzeł zsunął się z jej gładkich nagich kolan, padła na wznak na sprężynowy materac. Tapczan był przykryty śnieżnobiałym prześcieradłem, leżały na nim bezładnie rozrzucone poduszki i jaśki o dziwnych kształtach, wypełnione pierzem. Gdy głowa kobiety przygniotła sporą poduszkę, ozdobioną szlaczkiem z różowych kwiatków, Ding zauważył, że w powietrze wzbija się kilka delikatnych gęsich piórek. Kobieta leżała na wznak, a jej nogi, rozrzucone na boki, zwisały w dół. Widok ten momentalnie wzburzył osad wspomnień w umyśle śledczego. Przypomniawszy sobie miłe chwile, spędzone z tą kobietą; zapiekła zazdrość znowu podnosiła łeb. Zagryzł wargi. W jego sercu płonął zły ogień, wywołując gwałtowne spazmy bólu, jak u postrzelonej, lecz wciąż żywej ofiary, wyciskając ją między jego zaciśniętych zębów. Ding wymierzył kopniaka trupowi karła i z dymiącym jeszcze pistoletem w ręku rzucił się na łóżko obok kobiety. Jej ciało obudziło w nim na nowo miłość i jednocześnie nienawiść – miał nadzieję, że jest martwa, i jeszcze większą nadzieję, że tylko zemdleła ze strachu. Unosząc jej głowę, dostrzegł pomiędzy ledwie rozchylonymi, miękkimi, zwiotczalnymi wargami nikły błysk zębów podobnych do muszli. Wydarzenia tamtego późnojesiennego poranka w kopalni Luoshan nagle stanęły mu przed oczami. Dotyk jej zimnych, miękkich, pozbawionych jędrności, dziwacznych ust, przypominających kawał zużytej waty... Między jej brwiami dostrzegł czarny otwór, wielkości ziarenka soi, i rozsiane wokół niego stalowoszare metalowe opiłki – wiedział, że pochodzą z pistoletowej kuli. Zatoczył się na bok i znowu poczuł, jak obrzydliwie słodkawa ciecz podchodzi mu do gardła. Osunął się na kolana i

wylądował u stóp kobiety, wypluwając przy tym łyk świeżej krwi, która zachlapała jej płaski brzuch.

Zabiłem ją! – pomyślał. Czuł panikę.

Wyciągnął palec wskazujący i dotknął otworu między brwiami. Jego okolica była bardzo gorąca, a szorstka skóra wokół niego drapała go w opuszek palca. Znajome uczucie. Szukał go w pamięci i w końcu przypomniał sobie – to samo czuł, gdy w dzieciństwie dotykał koniuszkiem języka załazka wyrzynającego się zęba. Następnie wrócił pamięcią do chwil, gdy łąjał swojego synka za macanie językiem nowych zębów. Chłopiec o okrągłej buzi i okrągłych oczach, który zawsze wyglądał nieporządnie, bez względu na to, jak czysto i schludnie był ubrany, z tornistrem na plecach, w czerwonej chuście, niedbale związanej na szyi, z wierzbową witką w dłoni, podszedł do niego, cały czas macając językiem ząb w buzi. Śledczy poklepał go po głowce, na co malec przyłożył mu witką w nogę.

– Nie znoszę tego! – oznajmił z niezadowoleniem. – Po co mnie klepiesz po głowie? Nie wiesz, że od klepania po głowie człowiek może zgłupieć?

Przekrzywił głowę i rzucił ojcu kose spojrzenie, z poważną miną na dziecięcej twarzyczce. Śledczy odpowiedział ze śmiechem:

– Ty mały głuptasie! Od klepania po głowie się nie głupieje, a jak będziesz macał ząb językiem, to ci krzywo wyrośnie.

Serce Dinga załaza gorąca fala tęsknoty. Czym prędzej cofnął rękę, łzy trysnęły mu z oczu. Cicho powtarzając imię synka, walił się w czoło zaciśniętą pięścią.

– Ty skurwysynu! – wymyślał sam sobie. – Ding Gou'er, skurwysynu, jak mogłeś zrobić coś takiego?

Chłopczyk spojrzał na niego z wyrzutem, odwrócił się i odszedł, zwawo przebijając pulchnymi nóżkami. Zniknął szybko w ulicznym tłumie.

Z morderstwa trudno się wywinąć, pomyślał Ding. Przed śmiercią chciałbym jeszcze choć raz zobaczyć mojego syna. Przypomniał sobie stolicę prowincji – wydała mu się tak odległa, jakby leżała na innej planecie.

Chwycił pistolet z jednym, ostatnim nabojem w magazynku i wybiegł przed bramę restauracji „Yichi”. Dwie karlice, stojące po obu stronach wejścia, rzuciły się na niego, czepiając się jego ubrania. Udało mu się je strząsnąć. Ryzykując życie, wypadł na ulicę pełną samochodów. Z obu stron rozległ się zgrzyt hamulców. Zdaje się, że jeden z wozów potracił go w zadek – Ding wykorzystał ten dodatkowy impet i wskoczył na przeciwległy chodnik. Od strony restauracji dobiegał gwar niezrozumiałych głosów. Ktoś krzyczał. Ding ruszył dzikim galopem po zasłanym

zwiędłymi liśćmi chodniku, kątem oka rejestrując fakt, że jest wczesny ranek, a wymyte deszczem niebo pokrywają obłoki koloru krwistej czerwieni. Cała noc marznącego deszczu spowodowała, że podłoże było bardzo śliskie. Zwieszające się nisko gałęzie drzew pokryła warstwa puszystego szronu, co wyglądało niezwykle pięknie. Ding niemal od razu znalazł się na znajomej brukowanej uliczce. Z przydrożnego rowu buchała biała para. Świński łeb, smażone kulki mięsne, skorupa żółwia, krewetki duszone w sosie sojowym, gotowane nóżki wieprzowe i inne przysmaki unosiły się na powierzchni wody. Paru staruszków w łachmanach wyławiało je za pomocą sieci na długich drągach. Wszyscy mieli błyszczące od tłuszczu, rumiane twarze. To pewnie dzięki znacznym wartościom odżywczym tych wszystkich odpadków, pomyślał Ding. Kilku przejeżdżających obok rowerzystów odwróciło się z wyrazem najwyższego obrzydzenia na twarzach, po czym rozległy się zaskoczony okrzyki, i wszyscy po kolei – tym razem z najwyższym zdumieniem – wylądowali w rowie wraz ze swymi pojazdami. Padające ciała i rowery zmały gładkie lustro wody, w powietrze wzbijała się woń fermentacji i odór padliny, co niemal doprowadziło Dinga do torsi. Biegł dalej, trzymając się blisko muru, lecz potknął się na nierównym chodniku. Usłyszał za sobą bezładną wrzawę okrzyków: „Łapać go!” Podnosząc się z ziemi, odwrócił głowę. Zobaczył gromadę podskakujących i pokrzykujących ludzi, lecz żaden nie odważył się do niego zbliżyć. Ruszył więc dalej, zwalniając nieco kroku; serce boleśnie tłukło mu się w piersi. Za kamiennym murem rozciągał się znany mu doskonale Cmentarz Bohaterów, widoczne ponad murem śnieżnobiałe korony przystrzyżonych w kształt pagód zimozielonych drzew wyglądały niezwykle dostojnie, wręcz świątobliwie.

Biegając, zadawał sobie pytanie, po co właściwie ucieka. Niebiosy zarzucają swe sieci daleko – nigdzie nie można się przed nimi ukryć. Nogi jednak niosły go coraz dalej i dalej. Dostrzegł znajomy ogromny platan, a pod nim starego handlarza wontonów, który stał prosto jak kij; gorąca para buchała znad bambusowych koszyków z wontonami, to przesłaniając, to znów odsłaniając jego twarz, przywodzącą na myśl księżyc, przeświecający złowrogo przez chmury. Z pamięci Dinga wyłonił się niewyraźny obraz staruszka trzymającego w dłoni złocisty nabój, którym Ding usiłował mu zapłacić za wontony. Pomyślał, że dobrze by było ten nabój odzyskać, lecz w tym samym momencie poczuł w ustach smak wontonów nadziewanych wieprzowiną z dymką, a najsmaczniejsza dymka jest na początku zimy, wtedy też bywa najdroższa. Przypomniawszy sobie, jak razem z żoną robili zakupy na targu warzywnym w stolicy prowincji; handlarze warzyw z przedmieść, przykucnięci za kosztami pełnymi towaru, pogryzali zimne nadziewane bułki, gotowane na parze, które pozostawiały na ich zębach skrawki dymki. Zobaczył, że staruszek pokazuje mu na otwartej dłoni jego piękny nabój, z błagalnym wyrazem na wylaniającej się z oparów twarzy. Usiłował zgadnąć, o co staruszek chce go poprosić, lecz tok jego myśli zakłóciło szczekanie psa. Tygrysio pręgowane psisko zmaterializowało mu się bezszelestnie przed oczami. Szczekanie brzmiało, jakby dochodziło z bardzo daleka, jakby przemierzało po drodze odległe stepy, gdzie falowało nad wierzchołkami traw – tutaj było już ledwie słyszalne. Ding patrzył na psa z dziwnie zwieszoną, ciężką, ogromną głową, który bezgłośnie otwierał pysk – nierealny, niesamowity widok. Był

jeszcze bardzo wczesny poranek, lecz czerwone promienie wschodzącego słońca już przeświecały pomiędzy rzadkimi liśćmi, które tworzyły mozaikę subtelnych cieni na żółtawej sierści psa, jakby zarzucając na niego delikatną sieć. W wyrazie oczu psa Ding nie dostrzegł nawet cienia wrogości; jego szczekanie nie było groźne – przypominało raczej przyjazną radę czy też ponaglenie. Ding wymamrotał do starego handlarza jakieś bezładne zdanie, lecz podmuch wiatru rozwiął słowa natychmiast, gdy tylko wyszły z jego ust. Kiedy staruszek spytał go o to, co przed chwilą powiedział, Ding wykrztusił, zmieszany:

– Idę zobaczyć syna.

Skinąwszy głową psu, obszedł go szerokim łukiem i znalazł się po drugiej stronie drzewa, gdzie spotkał starego opiekuna Cmentarza Bohaterów, który stał oparty o pień, trzymając strzelbę z lufą wycelowaną w koronę platanu. W spojrzeniu starca dostrzegł tę samą przyjazną radę czy też ponaglenie, by ruszyć dalej. Poruszony do głębi, skłonił się staruszkowi, po czym puścił się pędem w stronę pobliskich bloków, zimnych, wyglądających na opuszczone. Za jego plecami rozległ się strzał. Instynktownie rzucił się na ziemię, przeturlał i ukrył za krzakiem wędnących róż. Usłyszał kolejny strzał i spojrzał w kierunku, z którego dobiegł huk – gałęzie drżały, kilka żółtych liści opadało w pomarańczowoczerwonych promieniach słońca. Stary strażnik cmentarza nadal stał oparty o pień, w całkowitym bezruchu; z obu luf jego strzelby unosiły się spiralne smugi sinego dymu. Tygrysio pręgowany pies obszedł drzewo i usiadł u boku starego strażnika; jego oczy w blasku słońca zamieniły się w świetliste złote punkty.

Zanim Ding wszedł między budynki, minął opustoszały park, pełen alejek, gdzie kilku staruszków spacerowało z ptaszkami w klatkach, dzieci skakały na skakance. Wetknął pistolet za pas, minął je z udawaną obojętnością i poszedł dalej.

Gdy znalazł się między domami, zorientował się, że popełnił błąd – odbywał się tu właśnie poranny targ staroci. Mnóstwo ludzi siedziało w kucki obok porozkładanych na ziemi straganów, na których leżały stare zegary i zegarki na rękę, popularne w czasach „rewolucji kulturalnej” plakietki z Mao Zedongiem, gipsowe popiersia przewodniczącego oraz cała masa najróżniejszych rupieci, w rodzaju starych gramofonów z tubą. Brakowało jedynie klientów. Sprzedawcy błyszczącymi spojrzeniami odprowadzali nielicznych przechodniów. Miał wrażenie, że znalazł się w zasadzce, że wszystko wokół to mistyfikacja, a handlarze starzyzną są tajnikami. Im dłużej na nich patrzył, tym natarczywiej jego kilkudziesięcioletnie doświadczenie podpowiadało mu, że ma rację. Wycofał się pośpiesznie za białą topolę i obserwował wydarzenia. Zza jednego z budynków wychynęło siedmioro, może ośmioro dzieciaków, chłopców i dziewcząt; z ich spojrzeń i ruchów Ding Gou'er wywnioskował, że są młodocianymi przestępcami. Idąca pośrodku dziewczyna w długim do kolan szarym płaszczu i czerwonej czapeczce, ze sznurem miedzianych monet z epoki Qing w charakterze naszyjnika, musiała być ich przywódczynią. Nagle dostrzegł na jej szyi kilka zmarszczek; oddech dziewczyny był przesiąknięty

zapachem zagranicznego tytoniu – poczuł go tak mocno, jakby się na nim położyła. Przyjrzał się uważnie twarzy nieznajomej – przebijały przez nią rysy kobiety-kierowcy, prześwitywały niczym sylwetka cykady, która właśnie usiłuje wydostać się z kokonu o cieniutkich ściankach. Z okrągłego otworu po kuli między brwiami sączyła się strużka krwi różanej barwy. Strużka popłynęła wzdłuż grzbietu nosa i dalej w dół, dzieląc usta na połowę, i jeszcze dalej, w kierunku pępka. Całe ciało dziewczyny niespodzianie pękło na dwoje, wnętrzności z bulgotem zaczęły wypływać na zewnątrz. Śledczy wrzasnął, odwrócił się i ruszył biegiem. Biegł coraz szybciej i szybciej, lecz mimo to wciąż nie mógł się wydostać z targu staroci. W końcu przycupnął przy straganie handlarza starą bronią i udając klienta, zaczął przerzucać upstrzone rdzą stare graty. Poczul, że rozcięta na pół dziewczyna stoi mu za plecami i owija się w coś w rodzaju papierowej taśmy zielonego koloru. Robiła to z zawrotną prędkością – z początku było jeszcze widać jej dłonie w gumowych, kremowożółtych rękawiczkach, poruszające się z prędkością wiatru, po chwili były to już tylko dwa żółtawe obłoki, które wkrótce roztopiły się w wilgotnej szmaragdowozielonej masie papierowych wstęg, przypominających delikatne, świeże wodorosty. Ich niesamowity szmaragd szmaragdował przemożną energią życia. I rzeczywiście – papierowe wstęgi zaczęły samodzielny taniec i w okamgnieniu owinęły się ciasno wokół ciała dziewczyny. Ding poczuł zimny dotyk na plecach. Z udawaną swobodą wziął do ręki piękny rewolwer i z całej siły spróbował wprawić w ruch jego straszliwie zardzewiały cylinder, raz, drugi – na próżno.

– Macie dojrzały ocet z Shanxi? – spytał handlarza.

Handlarz odparł, że nie ma żadnego octu z Shanxi. Ding westchnął, zawiedziony.

– Zgrywa pan eksperta – rzekł handlarz – a jest pan zwykłym amatorem. Nie mam dojrzałego octu z Shanxi, mam za to biały koreański – działa na rdzę sto razy mocniej niż ten z Shanxi.

Handlarz sięgnął białą, delikatną dłonią za pazuchę i zaczął macać, jakby czegoś szukał. Dingowi mignął koronkowy, różowy stanik, a w nim dwie butelki. Butelki były z zielonego szkła, nie była to jednak zwykła, przejrzysta zieleń, lecz matowa. Z takiego szkła często zrobione są butelki luksusowych zagranicznych alkoholi. Matowe zielone szkło wygląda bardzo kosztownie – wiadomo, że jest szkłem, lecz wcale go nie przypomina, i właśnie dlatego jest takie cenne. Ding w myślach uogólnił tę formułę i przyszedł mu do głowy analogiczny przykład: Wiadomo, że na półmisku siedzi prawdziwe niemowlę płci męskiej, lecz nie wygląda wcale jak prawdziwe – i właśnie dlatego jest tak kosztownym daniem. Ręka handlarza w końcu wyciągnęła zza stanika jedną butelkę. Widniały na niej dziwne, krzywe znaki. Ding nie rozpoznał żadnego z nich, lecz dał wyraz swej próżności, rzucając wyniośle: „To ły-sy-ki czy baj-ran-di?”, jakby chciał dać do zrozumienia, że zna wszystkie obce języki.

– To jest koreański biały ocet, który chciał pan kupić – odrzekł handlarz.

Ding przyjął butelkę. Podniósł wzrok i stwierdził, że wyraz twarzy handlarza bardzo przypomina mu jego zwierzchnika w tamtej chwili, gdy podawał mu pudełko papierosów „Chiny”. Jednak gdy śledczy przyjrzał się lepiej, nie wydawali się już tak bardzo podobni. Handlarz uśmiechnął się do Dinga, szczerząc lśniące białe kły, wyglądał przy tym bardzo dziecinnie. Ding otworzył butelkę, z której natychmiast wyskoczył biały bąbel piany.

– Czemu ten ocet zachowuje się jak piwo? – spytał.

– Czy na tym świecie tylko piwo się pieni? – odparł handlarz.

Ding zastanowił się chwilę, po czym rzekł;

– No cóż, kraby to nie piwo, a też plują pianą. Ma pan rację, a ja się mylę.

Polał spienioną cieczą rewolwer; rozeszła się ostra woń alkoholu. Zatopiony rewolwer wydawał pykające odgłosy, niczym wielki zielony krab. Ding wyciągnął po niego rękę i poczuł na palcu bolesne ukłucie, jakby użądlenie skorpiona.

– Czy wie pan, że handel bronią jest niezgodny z prawem? – zwrócił się głośno do handlarza.

Handlarz zaśmiał się ironicznie.

– Naprawdę pan myśli, że ja się zajmuję handlem?

Sięgnął ręką do piersi, wyszarpnął stanik zza pazuchy i zamachał nim w powietrzu – wierzchnia warstwa opadła, odsłaniając parę lśniących amerykańskich kajdanek sprężynowych z nierdzewnej stali. Handlarz w mgnieniu oka przeistoczył się w typa o krzaczastych brwiach, wielkich oczach, wydatnym nosie, brunatnej brodzie i bokobrodach – klasyczny typ komisarza policji. Złapał Dinga za rękę i – pstryk, pstryk – zatrzasnął kajdanki na nadgarstkach ich obu.

– Jesteśmy teraz ze sobą połączeni – oznajmił. – Żaden z nas się nie wymknie. No, chyba że masz pan siłę dziesięciu byków albo dwóch tygrysów, albo potrafisz uciekać, dźwigając mnie na plecach.

Ding Gou'er desperackim wysiłkiem poderwał policjanta w górę i zarzucił go sobie na plecy. Okazało się, że wielkie chłopisko waży tyle co nic, jakby było wycięte z papieru. Piana tymczasem opadła i odsłoniła rewolwer, który ukazał swój pierwotny, srebrnoszary kolor, bez śladu rdzy. Ding bez najmniejszego wysiłku schylił się i podniósł broń, czując w nadgarstku jej ciężar, a w dłoni – chłód.

– Świetny rewolwer! – usłyszał za plecami okrzyk podziwu. Zamachnął się z całej siły, poderwał komisarza policji w powietrze i rąbnął nim w mur obrośnięty

bluszczem. Splątane gałązki różnej grubości tworzyły ciekawy wzór, upstrzony gdziegdzie jaskrawoczerwonymi liśćmi – bardzo piękny. Ding patrzył, jak policjant z wolna odbija się od ściany i pada sztywno na wznak u jego stóp. Kajdanki, rozciągnięte niczym gumowa taśma, wciąż łączyły przeguby ich obu.

– To amerykańskie kajdanki – rzekł policjant. – Niech ci się nie zdaje, że dasz radę się uwolnić!

Dinga ogarniało rosnące przerażenie. Przystawił lufę rewolweru do rozciągniętego, niemal przezroczystego metalu i strzelił. Ogromna siła odrzutu szarpnęła go za ramię – rewolwer niemal wyskoczył mu z ręki. Spojrzał w dół – kajdanki nie doznały najmniejszego uszczerbku. Oddał jeszcze kilka strzałów z równie marnym skutkiem. Policjant wolną ręką wyjął z kieszeni papierosa i zapalniczkę. Papierosy były amerykańskie, zapalniczka japońska, oba towary pierwszorzędnej jakości.

– Macie tu w Alkoholandii konsumpcję na niezłym poziomie, co? – rzucił Ding.

– W dzisiejszych czasach – odrzekł policjant – odważni umierają z obżarstwa, a z głodu – tylko tchórzliwi. Banknoty fruują w powietrzu – czy sięgniesz po nie, czy nie, zależy tylko od ciebie.

– W takim razie – rzekł Ding Gou'er – to musi być prawda, że u was w Alkoholandii gotuje się i zjada małe dzieci.

– A co jest takiego nadzwyczajnego w gotowaniu i jedzeniu dzieci? – zdziwił się policjant.

– Jadł pan? – spytał Ding.

– A pan nie? – odparł policjant.

– To, co jadłem, było imitacją dziecka, zrobioną z różnych produktów – wyjaśnił Ding.

– Skąd pan wie, że dziecko nie było prawdziwe? – spytał policjant. – I jak to się stało, że prokuratura generalna przysłała tu takiego durnia?

– Bracie – rzekł Ding – mówię ci najszczerzą prawdę. Parę dni temu opętała mnie pewna kobieta...

– Wiem – rzekł policjant. – A ty ją zabiłeś, za co należy się kara śmierci.

– Wiem – przyznał Ding Gou'er. – Chciałbym jeszcze wrócić do stolicy prowincji, zobaczyć się z synem, a potem oddam się w ręce policji.

– To dobry powód – rzekł policjant. – Współczuję wszystkim rodzicom... Niech będzie, puszcze cię wolno!

Wypowiedziawszy te słowa, policjant zgiął się wpół, otworzył usta i przegryzł kajdanki. Nienaruszone przez rewolwerową kulę, w jego szczękach zachowywały się jak rozgotowany makaron.

– Bracie – rzekł policjant – w mieście już wydano rozkaz schwywania cię żywcem. Puszczać cię wolno, sprzeciwiam się władzom. Ale ja też mam syna i doskonale rozumiem twoje uczucia.

Ding Gou'er skłonił się w pas i rzekł:

– Bracie, Ding Gou'er nigdy ci tego nie zapomni. Będzie ci zawsze wdzięczny za twoją dobroć, nawet gdy stanie już u Dziewięciu Źródeł Zaświatów.

Śledczy pobiegł dalej. Minął dużą bramę, za którą dojrzał dziedziniec pełen luksusowych limuzyn. Wsiadali do nich bardzo elegancko ubrani ludzie. Wyczuł niebezpieczeństwo i czym prędzej skręcił w wąską uliczkę. Siedziała tam mała dziewczynka, naprawiająca buty. Miała nieobecne spojrzenie, wyglądała na zmartwioną. Mocno umalowana kobieta wyskoczyła przed drzwi małej restauracyjki, nad którymi wisiał kolorowy plastikowy szyld, i stanęła mu na drodze.

– Proszę szanownego pana – zaczepiła go – zapraszam, proszę wstąpić na coś do jedzenia i wino, dwadzieścia procent zniżki!

Przysunęła się bardzo blisko Dinga. Na jej twarzy malowała się napiętność o rzadko spotykanym natężeniu.

– Nie mam ochoty na jedzenie ani picie – odrzekł Ding Gou'er.

Kobieta chwyciła go za ramię i zaczęła ciągnąć do środka.

– Nie trzeba nic jeść ani pić – namawiała. – Posiedzi pan, odsapnie...

Ding stracił cierpliwość. Pchnął ją, aż wylądowała na ziemi. Kobieta zawołała z płaczem:

– Starszy bracie! Szybko, chuligan mnie bije!

Ding Gou'er drgnął. Chciał przeskoczyć przez leżącą kobietę, lecz ta objęła go rękami za nogi. Upadł ciężko prosto na nią, po czym podniósł się i wymierzył jej wściekłego kopniaka. Kobieta zwinęła się, łapiąc się rękami za brzuch. W tym momencie z restauracyjki wyskoczył potężny typ z flaszką wódki w lewej ręce i nożem kuchennym w prawej. Sytuacja wyglądała naprawdę groźnie, więc Ding wziął

nogi za pas. Czuł się znakomicie – płynął w powietrzu niczym chmura, mknął wartko jak strumień, swobodnie i z gracją, żadnego kołatania serca, ani śladu zadyszki. Po pewnym czasie odwrócił się i zauważył, że ścigający go mężczyzna stoi w rozkroku i sika pod betonowym słupem wysokiego napięcia. Ogarnęło go nagłe znużenie. Serce tłukło mu się w piersi, oblał go zimny pot. Nogi miał jak z waty, nie był w stanie zrobić kroku dalej.

Nagle nieszczęsny śledczy poczuł smakowity zapach. Cudem udało mu się dowlec do trójkołowca, za którym młody chłopak smażył placki na oleju, a starsza pani obok przyjmowała zapłatę. Wyglądali jak matka i syn. Ding był straszliwie głodny – jego żołądek prawie wystawiał przez gardło małą rączkę, domagając się chciwie czegoś do zjedzenia. Niestety, nie miał ani grosza. Wojskowy motocykl w kolorze trawiastej zieleni gwałtownie, z piskiem opon zahamował przed straganem z plackami. Śledczy aż podskoczył ze strachu i już miał się zerwać do ucieczki, gdy nagle usłyszał wołanie jednego z żołnierzy: „Szefie, usmaż no nam ze dwa placki!” Odetchnął z ulgą. Przyjrzał się obu wojskowym. Jeden był wysoki, drugi niski; wysoki miał duże oczy i gęste brwi, niski – delikatne brwi i drobne oczka. Stali obok straganu i rozmawiali z chłopakiem smażącym placki – tu słówko, tam słówko, banalna pogawędka o niczym. Młodzieniec posmarował gotowe placki czerwonym sosem z ostrych papryczek. Buchnęła para. Obaj wojskowi oburącz chwycili placki i zabrali się do jedzenia. Były bardzo gorące, więc co chwila przekładali je z ręki do ręki, posykując; to utrudniało jedzenie, ale wcinali z apetytem. W krótkim czasie obaj pochłonęli po trzy sztuki. Niższy wyjął z kieszeni płaszcza butelkę wina i podał wyższemu, mówiąc:

– Chcesz trochę?

– A łyknę sobie, czemu nie – odrzekł ze śmiechem wyższy żołnierz.

Ding patrzył, jak żołnierz przykłada lśniąca fłaszeczkę do ust i pociąga wyjątkowo obfity łyk, po czym nabiera głośno powietrza.

– Dobrze, dobrze! – zacmokał z zachwytem.

Niski przejął od niego butelkę. Pił, odchylając głowę do tyłu. Po chwili, mrużąc oczy, z wyrazem bezgranicznego szczęścia na twarzy oznajmił:

– Ależ pycha! Na moją babkę, to dopiero wino!

Wyższy wojskowy podszedł do motocykla. Wyciągnął z kufra dwie spore dymki, obrał je i podał jednemu niskiemu, mówiąc:

– Spróbuj, prawdziwe dymki z Shandongu.

– Mam ostrą paprykę – rzekł niski, wyciągając z kieszeni kilka jaskrawoczerwonych

strączków. – Prawdziwa, hunañska – dodał z dumą. – Chcesz trochę? Nie jadasz papryki? To co z ciebie za rewolucjonista? Żaden! Znaczy, kontrewolucjonista!

– Prawdziwi rewolucjoniści jedzą dymkę! – odparował wysoki.

Zapalali się coraz bardziej. Jeden wymachiwał swoją dymką, drugi papryką. W końcu rzucili się na siebie. Wysoki przyłożył niskiemu dymką w głowę, niski w odpowiedzi wepchnął mu paprykę w usta. Młody sprzedawca placków zbliżył się, chcąc ich uspokoić.

– Towarzysze, towarzysze, nie bijcie się! Obydwaj jesteście bardzo rewolucyjni! – zapewniał.

Żołnierze rozstąpili się, wściekle sapiąc, a młodzieniec-rozjemca aż zgiął się wpół ze śmiechu. Ding Gou'er po chwili dostrzegł komizm sytuacji i także wybuchnął śmiechem. Podeszła matka chłopca.

– A ty z czego się śmiejesz? – spytała. – Nie wyglądasz mi na porządnego gościa!

– Ale jestem porządnym gościem. Bardzo porządnym! – zaprotestował śledczy.

– To przejrzyj się i sam zobacz! – Stara kobieta szybkim gestem wyciągnęła nie wiadomo skąd małe okrągłe lusterko i podała Dingowi.

Ding Gou'er wziął lusterko. Na widok swojego odbicia doznał wstrząsu – między brwiami ziała mu krwawiąca dziura po kuli. Lśniący złociście pocisk wędrował kanałami wewnątrz jego mózgu – był doskonale widoczny. Ding wrzasnął z przerażenia. Upuścił lusterko tak nagle, jakby to był kawał rozgrzanego metalu. Lusterko potoczyło się po podłodze, po czym stanęło na krawędzi i zaczęło się obracać, rzucając białe świetlne zajączki na odległy mur koloru wyblakłej czerwieni. Na murze widniały wielkie ideogramy. Ding przyjrzał im się uważniej – ułożyły się w idiotyczne hasło: „Alkohol i seks – twoi wrogowie!” Gdy dotarł do niego sens dziwnego napisu, podszedł do muru i dotknął palcem znaków – parzyły niczym rozżarzone żelazo. Odwrócił się. Żołnierzy już nie było, zniknął też młodociany handlarz plackami i jego matka. Jedyne samotny motocykl pozostał na swoim miejscu. Ding podszedł bliżej i stwierdził, że w kufrze jest jeszcze jedna butelka wina. Podniósł ją i wstrząsnął – niezliczone bąbelki, podobne do małych perełek, buzowały w środku; napój miał kolor szmaragdowozielony, jakby zrobiono go z zielonej fasoli. Ding przez korek czuł jego bogaty aromat. Niecierpliwie odkorkował butelkę i przywarł do niej ustami. Czuł, jak gładka, chłodna szyjka wsuwa się między jego rozgrzane wargi, sprawiając mu niewypowiedzianą rozkosz. Szmaragdowe wino lało się do jego gardła nieprzerwanym, gładkim strumieniem, niczym płynny smar; żołądek i jelita wydawały entuzjastyczne okrzyki, niby dzieci szkolne z bukietami świeżych kwiatów; jego dusza radowała się jak sadzonka w deszczu po długiej suszy. Po chwili zauważył ze zdziwieniem, że butelka jest już pusta. Obejrzał ją tęsknie, po

czym wyrzucił. Uruchomił motocykl, chwycił za kierownicę, wskoczył na siodełko. Czuł, jak maszyna drga niecierpliwie, jak rwie się do galopu niczym parszający, przytupujący, potrzęsający ogonem rumak. Zwolnił hamulec. Motocykl rzucił się na drogę i pomknął z rykiem. Ding poczuł pod sobą maszynę o niezwyklej inteligencji – był pewien, że nie musi nią wcale kierować, wystarczy, że będzie siedział mocno na tyłku i trzymał się kierownicy. Ryk motoru zamienił się w końskie rżenie. Ding poczuł między nogami ciepło końskiego brzucha, a nosem – odurzającą woń końskiego potu. Wyprzedzał jeden lśniący wóz za drugim; nadjeżdżające z naprzeciwka pojazdy wytrzeszczały przerażone ślepie i zjeżdżały czym prędzej na pobocze. Był jak lodołamacz, który przebija twardą pokrywę lodu, albo jak parowiec prujący morskie fale. Odurzały go te wszystkie doznania. Wiele razy miał wrażenie, że tuż-tuż, za moment się z kimś zderzy, już słyszał przerażone okrzyki innych wozów, lecz zawsze o włos unikał katastrofy. Mknące szosą lśniące obiekty za każdym razem rozsuwały się na boki, niczym miękkie kluski z fasoli, robiąc przejście dla niego i jego rumaka. Nagle zobaczył przed sobą rzekę – mostu oczywiście nie było. Woda grzmiała w głębokim wąwozie, tryskały lodowate fontanny. Ding pociągnął kierownicę do siebie, podrywając motocykl w górę. Poczuł się lekki jak skrawek papieru, silne powiewy wiatru to gięły go, to skręcały. Wokół jarzyły się ogromne gwiazdy – blisko, tak blisko, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Czy jestem już w niebie? Czy jestem Nieśmiertelnym? – zastanawiał się. Miał wrażenie, że za moment coś, co zawsze wydawało mu się niezmiernie trudne do osiągnięcia, stanie się rzeczywistością – łatwo, bez najmniejszych przeszkód. Nagle zauważył, że jedno z wirujących kół odpadło od motocykla, po chwili następne, i jeszcze następne. Wrzasnął w popłochu. Jego krzyk niósł się daleko, falując ponad wierzchołkami drzew, muskając je jak wiatr. Ding spadał. W końcu motocykl bez kół niezgrabnie zawisł na gałęzi. Natychmiast zbiegła się gromada wiewiórek, które zaczęły obgryzać stalowe części pojazdu. Ding nie miał pojęcia, że wiewiórcze zębki są tak ostre i twarde – stworzenia wgryzały się w metal z taką łatwością, jakby to był spróchniały pień. Zamachał nogami. Były sprawne, ani trochę nie ucierpiały podczas upadku. Wstał i rozejrzał się dookoła, zdezorientowany. Jego oczom ukazał się gąszcz ogromnych drzew, oplecionych winoroślą. Długie pędy pnączy zdobiły wielkie fioletowe kwiaty, które wyglądały jak wycięte z bibuły, oraz kiście purpurowych i szmaragdowych owoców, przypominających winogrona, wyjątkowo jędrnych i lśniących, jakby były wyrzeźbione z drogocennego jadeitu. Półprzezroczyste kule wyglądały na pełne soku – idealny surowiec do produkcji wina. Ding przypominał sobie mgliście, że ktoś – może kobieta-kierowca, może jakaś inna ładna kobieta – opowiadał mu, że w górach mieszka pewien siwowłosy profesor, który razem z górkimi małpami produkuje najwyborniejsze wino na świecie. Wino o skórze gładziej od gwiazd Hollywoodu, oczach bardziej czarujących niż anielskie, wargach bardziej kuszących niż karminowo uszmkowane usta cesarzowej... To dużo więcej niż wino. To dzieło bogów, prawdziwa kreacja czystego ducha. Ding patrzył na snopy światła, strzelające spomiędzy gałęzi, i na wijące się w słonecznej poświacie pasma białej mgły. We mgle skakały małpy. Niektóre szczyrzyły zęby i robiły miny, inne iskały swoich towarzyszy, czyściły sobie nawzajem futra z pasożytów. Duży samiec o siwych brwiach, zdradzających starszy wiek, zerwał liść z drzewa, zwinął w rurkę,

wetknął jej koniec do pyska i dmuchnął. Rozległ się dźwięczny gwizd. Małpy natychmiast stłoczyły się wokół starego samca, po czym ustawiły się w trzech szeregach – komiczna parodia ludzi. Stały na baczność, rozglądając się to w lewo, to w prawo, by wyrównać szereg. A to dopiero, coś niebywałego, pomyślał śledczy. Popatrzył na ich ugięte kolana, schylone grzbiety, wysunięte do przodu głowy – cóż, małpy nie dorastały do pięt porządnie wyćwiczonej piechocie, lecz nierozsądnie byłoby wymagać od nich zbyt wiele. W końcu nawet ludzie, by osiągnąć poziom gwardii honorowej, muszą najpierw wytrzymać pół roku ciężkiego szkolenia, kiedy to wiązuje im się nogi sznurem, prostuje plecy na deskach i nie daje poduszek do spania. Nie, nie ma sensu krytykować małp. Zwrócił uwagę na ich wyprostowane ogony, podobne do drewnianych pali. Wiele drzew owocowych podpira się palami, by się nie połamały pod własnym ciężarem. A starcy? Też potrzebują lasek. W Pekinie jest Zaulek Lasek Przedni, mógłby więc być i Tylny – jeśli zaułkom potrzebne są laski, z przodu i z tyłu, to co powiedzieć o małpach? Mają laski tylko z tyłu, a śmigają po gałęziach tak zręcznie, że ich jaskrawoczerwone zadki aż migają między drzewami. Na hasło starego małpy rozproszyły się, wspięły na pnącza i kołysząc się na nich swobodnie, zaczęły zbierać purpurowe i szmaragdowe winogrona – gigantyczne, o rozmiarach piłeczek pingpongowych. Ding oblizał wargi, gorzka ślina wezbrała mu w ustach. Sięgnął po owoce, lecz nic z tego – były w zasięgu jego wzroku, ale poza zasięgiem rąk. Małpy ze stosami winogron na głowach podbiegały do studni i wrzucały je do środka. Pu-tung! – rozlegało się wokoło. Ze studni unosił się cudowny jak najpiękniejsza kobieta aromat wina, lepki niby gęsta mgła. Ding wyciągnął szyję, by zajrzeć do środka. Zobaczył złotą tarczę księżyca, odbitą w winie niczym w lustrze z brązu. Małpy zawisły nad studnią, jedna nad drugą, trzymając się siebie nawzajem, zupełnie jak w bajce. Cóż za zachwycający widok – te małpie twarze o dziwnym, lecz sympatycznym, słodkim wyrazie. Ding pomyślał, że wspaniale byłoby mieć przy sobie aparat i sfotografować te niezwykle zwierzęta. Jego zdjęcia zrobiłyby furorę w branży fotoreporterskiej i z pewnością przyniosłyby mu międzynarodową nagrodę – jakieś dziesięć tysięcy dolarów, które wymieniłby na sześćset tysięcy ludowych juanów. Mógłby za to smacznie jeść i pić do końca życia, wysłać syna na uniwersytet, a potem go ożenić. A synkowi wyrosły już stałe zęby, w tym dwa wielkie siekacze ze sporą przerwą pośrodku, co nadawało mu wygląd przygłupiej dziewczynki.

Nagle małpy zaczęły jedna po drugiej wskakiwać do studni, niszcząc odbicie księżycowej tarczy, hałaśliwie chlapiąc złotem dookoła. Po kilku chwilach zamieszania zawisły uczone ścian, niczym lepkie krople słodkiego syropu. Wnętrze studni porastał szmaragdowy mech oraz „ziela nieśmiertelnych”<sup>11</sup> koloru czerwonego złota. Nadleciał biały bocian z czerwoną czapczką na głowie, zerwał odrobinę „ziela nieśmiertelnych”, po czym, prostując długie nogi i trzepocząc skrzydłami, wzleciał w górę, w stronę jaśniejszego na niebie księżyca. Na pewno niesie ten podarunek księżycowej bogini Chang’ e. Na miękkim, złotym piasku, pokrywającym powierzchnię tego ciała niebieskiego, widnieją dwa odciski stóp amerykańskich astronautów – ślady te mogą przetrwać pięćset tysięcy lat w nienaruszonym stanie. Dwóch astronautów, dwa niebiańskie duchy. Tam, na

Księżycu, światło słoneczne jest zbyt jasne dla ludzkich oczu.

Stał pod Księżycem, z osrebrzoną głową, lecz bez śladu zarostu na pobliznionej twarzy, odziany w łachmany. W jednym ręku trzymał wiadro, w drugim drewnianą łyżkę. Wybierał wino z wiadra, unosił łyżkę i bardzo powoli wylewał płyn na ziemię; półprzezroczysta struga barwy miodu po zetknięciu z gruntem szybko zastygała w lepłą substancję, podobną do świeżo wyprodukowanej gumy. Wyglądała tak apetycznie, że Ding miał ogromną ochotę spróbować, jak smakuje. Chciał spytać: „To pan jest tym profesorem z Uniwersytetu Gorzelnictwa w Alkoholandii, który ma trochę źle w głowie?” Usłyszał: „Jestem chińskim królem Learem, spowitym w zachwycający blask księżyca. Król Lear stał smagany wiatrem i deszczem, przeklinając niebo i ziemię. A ja stoję tu, pośród księżycowej poświaty, głosząc pochwałę ludzkości. Starożytne baśnie w końcu stają się rzeczywistością. Wino jest największym wynalazkiem ludzkiej cywilizacji. Bez wina nie powstałaby ani Biblia, ani piramidy Egiptu, ani Wielki Mur Chiński. Nie byłoby muzyki ani fortec, ani wysokich drabin do ich zdobywania. Nie byłoby syntezy jądrowej, łososia w rzece Ussuri, migracji ryb ani odlotów ptaków. Człowiek już w łonie matki potrafi wyczuć zapach alkoholu. Z najlepszej krokodylej skóry robi się sakwy na wino. Powieści o sztukach walki służą jako inspiracja dla mistrzów gorzelnictwa. Czemu Qu Yuan pisał swoje elegie? Bo nie miał pod dostatkiem wina. Narkomania i handel narkotykami szaleją w prowincji Yunnan, ponieważ brakuje tam alkoholu przyzwoitej jakości. Cao Cao wydał zakaz produkcji alkoholu, by lud oszczędzał ziarno. Oto przykład idiotycznego postępu skądinąd mądrego człowieka. Jak można zdelegalizować alkohol? Zakazać produkcji i picia alkoholu to tak, jakby zabronić ludziom uprawiania seksu i jednocześnie popierać rozwój przyszłych pokoleń. Jest to zwyczajnie niewykonalne. Równie dobrze można by próbować oszukać przyciąganie ziemskie. Dopóki jabłka nie spadają do góry, dopóty ludzie nie przestaną pić. Kratery na Księżycu bardzo przypominają eleganckie czarki na wino. Rzymskie Koloseum można łatwo przebudować na gigantyczną piwnicę do fermentacji. „Kwaśne wino śliwkowe”, „bambusowy szmaragd”, „czerwień uczonych”, „przenikliwy aromat”, „słoneczna wiosna”, „upojenie cesarza Kangxi”, „migdałowa wioska”, „biel lotosu”... wszystko to są doskonałej jakości trunki, lecz „małpie wino” w porównaniu z nimi to prawdziwy nektar bogów. Pewnego razu ktoś wpadł na pomysł, że do fermentacji dobrze byłoby dodać moczu. Bardzo twórczy koncept. W Japonii urynoterapia jest dość popularna – picie szklanki własnego moczu co dzień rano ponoć leczy wiele chorób. Już Li Shizhen twierdził, że dziecięca uryna gasi nadmierne gorąco w sercu. Teoria ta ma wiele sensu. Prawdziwi koneserzy wina nie stosują zakąsek, tak więc Jin Gangzuan i jemu podobni, którzy raczą się przy winie męskimi niemowlętami, dają jedynie świadectwo swojej ignorancji.

I

Mo Yan, drogi Nauczycielu,

Witam serdecznie! Jeśli dobrze pamiętam, wysłałem Ci już osiem swoich opowiadań, lecz do dziś nie otrzymałem nawet słowa odpowiedzi od szanownych panów redaktorów „Literatury Narodowej”. Tak chłodne potraktowanie młodego pisarza wydaje mi się wysoce niewłaściwe. Skoro już prowadzą tę firmę, powinni z szacunkiem traktować każdego, kto powierzy im swój rękopis. Jak mówi przysłowie, „Niebo się kręci, ziemia wiruje – raz na wozie, raz pod wozem”, „góra z górą się nie zejdzie”. Nigdy nie wiadomo, czy pewnego dnia panowie Zhou Bao i Li Xiaobao nie znajdą się po tamtej stronie lufy mojego pistoletu. Drogi Nauczycielu, od dziś koniec z wysyłaniem rękopisów do „Literatury Narodowej”. Wprawdzie jesteśmy biedni, ale za to bogaci duchem. Świat jest wielki, a czasopism mnóstwo jak drzew w lesie – czy warto się wieszać akurat na tym drzewie? Jak sądzisz, Nauczycielu?

Przygotowania do obchodów Święta Małpiego Wina w zasadzie już się rozpoczęły. Udało mi się pomyślnie rozpocząć mój projekt wykorzystania rezerw leczniczej nalewki – posłałem próbkę do Miejskiego Zespołu Kontroli Jakości Napojów Alkoholowych, gdzie kilku specjalistów po starannym umyciu zębów i wypłukaniu jam ustnych skosztowało mego wynalazku. Ekspertcy owi orzekli, że jest to wyjątkowy trunek, którego aromat kojarzy się z wątlą, delikatną, melancholijną damą. Miejskie Stowarzyszenie Nazewnictwa Alkoholi wymyśliło dla niego nazwę: „chora Xi Shi”. Nie wydaje mi się ona odpowiednia – słowo „chory” ma złowróżbną konotację i może zasiać mrok w sercach naszych potencjalnych klientów, co stanowi poważne zagrożenie dla sprzedaży. Sugerowałem, by zastąpić „chorą Xi Shi” przez „zmarszczoną brew Xi Shi” lub „Daiyu grzebiącą kwiecie” – zachowalibyśmy w ten sposób motyw chorej piękności, a nazwa zabrzmiałaby łagodniej, budziłaby cieplejsze uczucia. Jednak członkowie Miejskiego Stowarzyszenia Nazewnictwa Alkoholi, zawistni i zarazem konserwatywni, uparcie obstawali przy „chorej Xi Shi”. Zirytowany do granic wytrzymałości całą sytuacją, poszedłem z butelką w rękę do sekretarza burmistrza. Obdarowany wybornym trunkiem i przekonany przeze mnie o szlachetności mych pobudek sekretarz był tak poruszony, że zaprowadził mnie czym prędzej do pani burmistrz. Pani burmistrz, wysłuchawszy, co miałem do powiedzenia, otworzyła szeroko migdałowe oczy, zmarszczyła brwi podobne liściom wierzby i wstała, uderzając pięścią w stół. Po chwili powtórzyła uderzenie, usiadła i czym prędzej chwyciła za telefon. Jazgotała do słuchawki tak długo, aż wreszcie dopadła przewodniczącą Stowarzyszenia Nazewnictwa Alkoholi. Przewodniczący był

zmuszony wysłuchać tyrady wygłoszonej surowym tonem sprawiedliwości, pewnym i tak niewzruszonym, że nie zadrżałby nawet, gdyby góra Tai rozpadła się na kawałki. Nie widziałem przewodniczącego, lecz wyobrażałem sobie, jak klęczy na ziemi z podkulonymi stopami, z czołem pokrytym kroplami potu wielkości ziaren soi. Pani burmistrz wychwalała mnie pod niebiosa, mówiąc, że położyłem ogromne zasługi dla Alkoholandii, angażując się aktywnie w przygotowania do Święta Małpiego Wina. Następnie delikatnie wypytała mnie o sytuację rodzinną, pracę, zamiłowania, stosunki z nauczycielami i przyjaciółmi. Poczuję się, jakby łagodna wiosna rozkwitła w moim sercu, i powiedziałem jej o sobie wszystko. Pani burmistrz okazała szczególnie życzliwe zainteresowanie Twoją osobą, drogi Nauczycielu, i poprosiła, bym przekazał Ci jej osobiste zaproszenie do uczestnictwa w obchodach Święta. Gdy wspomniałem o kosztach podróży, zakwaterowaniu oraz wyżywieniu, pani burmistrz parsknęła i rzekła: „Same resztki z dna alkoholandzkich butelek wystarczyłyby na wyżywienie dziesięciu panów Mo Yanów”.

Drogi Nauczycielu, postanowiłem przekazać Ci prawo do nadania nazwy mojemu nowemu napojowi. Czy ma to być „zmarszczona brew Xi Shi” czy „Daiyu grzebiąca kwiecie” – decyzja należy do Ciebie; rzecz jasna, możesz zaproponować coś zupełnie innego. Burmistrz obiecuje Ci tysiąc w złocie za każde słowo. Oprócz tego zwracamy się do Ciebie z prośbą o napisanie tekstu reklamowego. Zamierzamy doprowadzić do emisji reklam naszego nowego trunku w Centralnej Stacji Telewizyjnej, w najlepszym czasie reklamowym. Koszta nie grają roli. Chcemy przedstawić całemu narodowi (oraz całemu światu!) naszą „zmarszczoną brew Xi Shi” bądź „Daiyu grzebiącą kwiecie”. Słowa są dla nas bardzo ważne. Muszą nie tylko tryskać humorem, ale i poruszać wyobraźnię, tak by każdy, kto je usłyszy, ujrzał młodzieńką Lin Daiyu albo starszą siostrę Xi Shi, marszczącą brwi, z rękami przyciśniętymi do piersi, z motyką na ramieniu, zaciskającą wiśniowe wargi, idącą tak lekko, jakby płynęła w powietrzu, wątłą niby wierzbowa gałązka poruszana wiatrem. Któż zdołałby się powstrzymać przed zakupem? A zwłaszcza wszyscy ci chorzy z tęsknoty, o złamanym sercach? Wszyscy ci nadmiernie pobudliwi mężczyźni i egzaltowane kobiety, wychowane na literaturze klasycznej, sprzedadzą ostatnie portki, by kupić to wino, zrobią wszystko, by pić je, delektować się nim, leczyć się nim ze swojej miłosnej choroby bądź też uczynić z niego obtoczoną w cukrze armatnią kulę, którą wystrzelą w serce ukochanego, by użyć go w charakterze materialnego narzędzia psychologicznego ataku czy też jako bodźca psychicznego, mającego wywołać skutek materialny – a wszystko to, by osiągnąć swój cel. Pod wpływem Twojej wzruszającej opowieści o złamanym sercach smak tego wina, kojarzący się z chorobliwym znużeniem, zamieni się w niezdrowy, lecz fascynujący aromat miłości, który odurzy rzesze pobladłych dusz wątłych synów i córek niższej klasy średniej, lubujących się w odgrywaniu bohaterów romantycznych powieści, doda im skrzydeł, nadziei i siły, dzięki którym zaniechają pozbawiania się życia. To będzie wino miłości, wino, które zadziwi cały świat. Wszystkie jego niedostatki zyskają status wyjątkowych cech, godnych szczególnej uwagi, będą stanowić o jego indywidualnym charakterze.

Drogi Nauczycielu, w gruncie rzeczy wiele smaków wymaga, by świadomie się do nich przekonać. Jeśli wszyscy wokół chwalą jakąś rzecz, nikt nie ośmieli się wątpić w to, że jest znakomita. Upodobania mas mają ogromną moc, a także władzę nad nami, podobną do tej, jaką ma dyrektor miejskiego komitetu partii nad urzędnikami w terenie – jeśli mówi, że jesteś dobry, to musisz być dobry, niezależnie od tego, jaki jesteś naprawdę, a jeśli mówi, że jesteś zły – to jesteś zły i już, niezależnie od swoich zalet. Poza tym picie alkoholu, podobnie jak jedzenie, prowadzi do manii i uzależnienia, którego objawami są pogoń za nowością i odrzucanie wszystkiego, co stare, upodobanie do ryzyka, poszukiwanie coraz silniejszych podnieć. Tak zwane smakoszostwo częstokroć bierze się ze sprzeciwu wobec tradycji i z pogardy dla prawa. Kiedy ludziom znudziło się białe, świeże tofu, wymyślili nadpleśniałe, kleiste, brzydko pachnące „cuchnące tofu” tudzież „marynowane tofu”, gdy przejadła im się świeża, pożywna i smaczna wieprzowina, upodobali sobie mięso nadgniłe i zarobaczone. Idąc tym tropem – napiwszy się do woli nefrytowych ekstraktów i jadeitowych esencji, powinniśmy zacząć szukać smaków gorzkich, ostrych, kwaśnych, rozwodnionych i dziwacznych, by dostarczyć nowej podnieci naszym kubkom smakowym i błonom śluzowym jamy ustnej. Tak więc dopóki wszystko jest pod naszą kontrolą, nie ma takiego trunku, którego nie zdołalibyśmy sprzedać. Mam nadzieję, Nauczycielu, że w trakcie pisania swojej powieści znajdziesz choć chwilę na skreślenie tych paru słów. Przy niezłomnym poparciu, deklarowanym przez panią burmistrz, z pewnością możesz liczyć na znaczne honorarium. Twój dochód z tej jednej reklamy może przewyższyć sumę, jaką możesz zarobić w ciągu sześciu miesięcy pisania.

W ostatnich dniach jestem ogromnie zajęty. Pani burmistrz w czasie naszej rozmowy naświetliła mi pewną znakomitą koncepcję – otóż chciałaby zorganizować pod moim przewodnictwem grupę pisarską, która miałaby za zadanie opracować tak zwane prawo alkoholowe. Byłby to, rzecz jasna, zbiór najbardziej ogólnych, podstawowych praw, obejmujący całokształt kwestii alkoholowej. Jeśli nam się uda, to – nie ma w tym żadnej przesady – zapoczątkujemy nową erę, która blaskiem swej świetności opromieni tysiące lat i dziesiątki tysięcy przyszłych pokoleń. Będzie to dzieło o epokowym znaczeniu. Nauczycielu, gorąco zachęcam Cię do uczestnictwa w naszym grupowym projekcie prawa alkoholowego. Jeśli nie możesz osobiście wziąć udziału w pracach, zostań przynajmniej naszym głównym doradcą. Jeśli przedsięwzięcie to dojdzie do skutku, mam nadzieję, że mi nie odmówisz.

Proszę Cię, Nauczycielu, wybaczyć mi formę tego listu – niespójną i chaotyczną – przyczyną tego stanu rzeczy jest, rzecz jasna, alkohol. Załączam opowiadanie, które napisałem wczorajszej nocy w stanie upojenia, i zapraszam do krytyki. Czy kiedykolwiek ujrzy ono światło dzienne – zależy tylko od Ciebie. Twój uczeń napisał je pod wpływem szczególnego upodobania do pewnej szczęśliwej liczby. Zawsze darzyłem uwielbieniem liczbę dziewięć, a to opowiadanie, które zatytułowałem Alkoholowo, jest dziewiątym z kolei<sup>12</sup>. Chciałbym, by stało się ono moją nową gwiazdą, która rozświetli mroczną przeszłość i rzuci blask na kręte ścieżki przyszłości.

Czekam na Twoje przybycie. Czekają na Ciebie tutejsze góry i wody, czekają nasi chłopcy i dziewczęta. Dziewczęta są podobne kwiatom, a z ich ust unosi się winny aromat, cudowny jak niebiańska muzyka.

Pozostaję z szacunkiem i życzę pomyślności

Twój uczeń Li Yidou

## II

### Alkoholowo

Do naszego Alkoholowa można się dostać z dowolnego punktu na Ziemi – samolotem lub parostatkiem, na grzbiecie wielbłąda albo osła. Na świecie jest mnóstwo pięknych miejsc, lecz niewiele z nich przewyższa urodą Alkoholowo. „Niewiele” jest niedostatecznie precyzyjnym określeniem – „żadne z nich” bardziej zbliża się do prawdy. Mieszkańcy Alkoholowa mają prostolinijną naturę. Są podobni do pocisków raketowych, z tą różnicą, że pociski zawierają kręty zwój drutu, natomiast w ciałach alkoholowian od jamy ustnej do odbytu przebiega prosty przewód, bez jednego zakrzywienia. Tacy właśnie są obywatele Alkoholowa. Na wszelki wypadek, by zapobiec ewentualnym nieporozumieniom, informuję, że Alkoholowo jest stolicą Alkoholandii.

Zapach alkoholu jest wyczuwalny w promieniu stu li od Alkoholowa; osoby o osłabionym węchu czują go z odległości pięćdziesięciu li. Przelatujące nad Alkoholowem boeingi zawsze robią beczkę. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego – czynią to całkowicie naturalnie, z pijanym wigorem, zachowując przy tym pełne bezpieczeństwo pasażerów. Towarzysze, panie i panowie, drodzy przyjaciele, wygnajcie precz niepokój z waszych serc. Na pokładach samolotów zamienicie się w niewinne, rozbawione, pijane szczeniaki. Ten wyjątkowy, zachwycający aromat zaprasza was; lećcie nad Alkoholowem, doświadczajcie rozkoszy odurzenia najwspanialszymi zapachami świata.

W samym centrum Alkoholowa mieszczą się siedziby władz miejskich i Miejskiego Komitetu Partii. Na dziedzińcu Komitetu stoi wielka biała kadź na wino, a na dziedzińcu Urzędu Miasta – ogromny czarny dzban. Nie myślcie, że sobie z was kpię – gdzieżbym śmiał. Wraz z nastaniem „reform i otwarcia” wszystkie lokalne komitety i władze, mając na celu poprawę jakości życia obywateli, zaczęły

intensywnie łamać sobie głowy, wymyślać różne projekty i proponować nowe rozwiązania, idące w kierunku syntezy specyfiki lokalnej z duchem Centrali. Wcielono już w życie wiele różnorodnych rozwiązań i koncepcji – tam, gdzie są góry, żyje się z darów gór, tam, gdzie jest pod dostatkiem wody – handluje się wodą, w okolicach o ciekawym krajobrazie promuje się rozwój turystyki, tam, gdzie rośnie tytoń, produkuje się papierosy... Minęło dziesięć lat, a chmury dalej płyną z wiatrem. Powstało już Miasto Duchów, Tytoniowa Stolica, Fajerwerkowo... Atutem Alkoholandii jest dostępność znacznych ilości niezłego alkoholu, toteż nasz lokalny komitet i władze miejskie, wykorzystując tę sytuację, stworzyły Uniwersytet Gorzelnictwa; ponadto planują zbudowanie Muzeum Fermentacji, rozbudowę dwunastu istniejących destylarni i budowę trzech nowych, na ogromną skalę, w których będzie się kultywować najlepsze tradycje światowej sztuki gorzelniczej. Alkohol napędza tutejszą koniunkturę – dzięki niemu dynamicznie rozwijają się zakłady specjalnej obsługi klienta, restauracje, hodowle egzotycznych zwierząt... Całą dzisiejszą Alkoholandię przenika aromat alkoholu. W Alkoholowie liczba lokali idzie w tysiące, dzień i noc płoną tu światła, dźwięczą kieliszki. Doskonałe trunki i wykwintne dania kuchni alkoholandzkiej przyciągają tłumy gości z kraju i zagranicy. Zwabiają nie tylko smakoszy potraw i znawców win, którzy ściągają tu, do Alkoholowa, by smacznie zjeść i wypić, lecz – co najważniejsze – przyciągają także handlowców i dystrybutorów napojów wysokoprocentowych, a oni potem niosą w świat nasze dobre imię oraz wyborne trunki. Nasze wino płynie w świat, a do nas płynie strumień gotówki. W ostatnich latach z Alkoholandii corocznie trafia do państwowej kasy parę setek milionów juanów w postaci podatków. To naprawdę imponujący wkład. W dodatku poziom życia Alkoholandczyków bardzo szybko wzrasta. Wcześniej „średnio zamożni” – teraz stopniowo stają się „zamożnymi” i snują plany dołączenia do grona „bogactych”. A co oznacza „bogactwo”?

„Komunizm” – oto odpowiedź. Głęboko symboliczne znaczenie kadzi i dzbana na dziedzińcach siedziby Komitetu i władz miejskich z pewnością jest już dla Was jasne.

Szanowni czytelnicy, po tym przydługim wstępie ja powinienem powrócić do tematu, a Wy – do Alkoholowa. Proszę Was, abyście, podziwiając kolory alkoholandzkich win, wdychając ich cudowne aromaty i delektując się smakami, zechcieli wysłuchać tego, co zamierzam Wam powiedzieć – możecie jednocześnie rozkoszować się melodią biesiadnej pieśni śpiewanej przez nasze uroczę dziewczęta. Korzystajcie do woli, nie odmawiajcie sobie niczego. Kiedy piją przyjaciele, tysiąc kielichów to za mało, gdy rozmowa się nie klei – i pół zdania to aż nadto. Stojak przed Wami jest pełen najwyborniejszych trunków alkoholandzkich, a stół obok ugina się pod obfitością przysmaków. Proszę, częstujcie się do woli, na ile tylko pozwolą Wam chęci i możliwości Waszych żołądków. Jadło i napitek są gratis. Jako dyrektor wykonawczy komitetu przygotowawczego alkoholowskiej kampanii informacyjnej, początkowo zamierzałem pobrać od każdego z uczestników symboliczną opłatę za wyżywienie w wysokości pięciu mao. Nasza pani burmistrz stwierdziła jednak, że byłoby to tak, jakby wystawić pomnik prostytutce – czysta hipokryzja, bo pięć mao nie starczy nawet na pół oślego penisa, po cóż więc pobierać jakąkolwiek opłatę? Zwłaszcza że wszyscy nasi dzisiejsi goście przyjechali do nas z bardzo daleka, ich

obecność to dla nas prawdziwy zaszczyt. Wystawilibyśmy się na pośmiewisko, gdybyśmy zażądali od Was pieniędzy. Ludzie śmialiby się z nas tak długo, że wypadałyby im zęby, i najlepiej wyszłyby na tym kliniki dentystyczne. Nawiasem mówiąc – grupa badawcza z naszego Instytutu Stomatologicznego ostatnio opracowała niezniszczalne wypełnienia, więc jeśli ktokolwiek z Was ma kłopot z zębem, zapraszamy na leczenie – rzecz jasna, całkowicie bezpłatnie. Zaplombowany naszym produktem ząb będzie odporny na zimno i gorąco, na smaki kwaśne i słodkie, i żaden uparty wiktuał już nigdy nie oprze się sile Waszego potężnego zgryzu. Powróćmy jednak do tematu. Mieszkańcy Alkoholowa produkują alkohole od co najmniej trzech tysięcy lat – dowodzi tego znaczna liczba znalezisk archeologicznych. Proszę rzucić okiem na film. To miejsce nazywa się Yueguangdui, Kopiec Księżycowego Blasku; pod nim spoczywają starożytne ruiny, z których wydobyto ponad trzy tysiące obiektów. Połowa z nich to naczynia do przechowywania i picia alkoholu. Oto kielich typu zhi, oto dzban weng, urna lei, czarka bo, kubek he, a oto trójnogi puchar jue. Mamy tu dosłownie wszystko. Według specjalistów, ruiny Kopca Księżycowego Blasku liczą sobie trzy i pół tysiąca lat, co odpowiada późnemu okresowi panowania dynastii Xia. Już w głębokiej starożytności brzęczały tu puchary i trójnogi, a aromat wina unosił się w powietrzu. Ostatnimi czasy w alkoholowym świecie panuje pewna niekorzystna tendencja – każdy ciągnie w swoją stronę. Wielki Yu upijał się twoim winem? Moim za to delectował się cesarz Kangxi. Faworyta Yang Guifei odurzała się twoimi trunkami? A po moich spirytualiach zataczał się sam cesarz Han Wudi... i tak dalej. Absurd ten rozprzestrzenia się coraz bardziej ze szkodą dla nas wszystkich. Tu, w Alkoholowie, zajmujemy się jednak poszukiwaniem prawdy i dostarczamy wyłącznie przekonujących dowodów. Przyjaciele, rzućcie okiem na tę cegłę. Rzecz jasna, nie jest to zwykły kawałek cegły – widnieje na nim malowidło z czasów Wschodniej Dynastii Han, a wydobyto ją tu, w Alkoholandii. Malowidło przedstawia produkcję alkoholu. Zauważyliśmy z podziwem, że w Alkoholandii już w tak odległej starożytności stosowano w procesie produkcji podział pracy oraz kooperację. Przedstawiona na obrazie kobieta trzyma w lewej ręce dzban nad dużych rozmiarów

kadzią, a prawą ręką miesza schłodzoną wodę, mężczyzna na prawo od dzbana zajmuje się podgrzewaniem wody, a ten, który stoi obok korytka, uważnie obserwuje wypływający alkohol. U dołu obrazu widzimy mężczyznę z dwoma wiadrami na nosidle, którego zadaniem jest dostarczanie wody. Malowidło to w żywy sposób przedstawia proces otrzymywania napojów alkoholowych przed tysiącem lat – jest on identyczny z tym, jaki opisał nam pan Mo Yan w swojej powieści Czerwone sorgo.

Proszę się przyjrzeć kolejnej cegle – oto Winiarnia. Wzdłuż uliczki ustawiono rozmaite dzbany, za kontuarem stoi właściciel, a u góry po lewej widzimy dwóch klientów, śpieszących radośnie do sklepu. A oto trzecie malowidło – Przyjęcie. Przedstawia siedmiu ludzi przy stole, trzy osoby pośrodku, po dwie z lewej i z prawej strony, wszyscy siedzą w stosownym porządku. Kielichy stoją obok pucharów, za nimi talerze i misy. Biesiadnicy wznoszą kielichy, zachęcając się wzajemnie do picia, identycznie, jak czynimy to dzisiaj. Na zakończenie mojego przydługiego wywodu

stwierdzam, co następuje: Te trzy malowidła niezbicie dowodzą, że tu, w Alkoholandii, było źródło chińskiego alkoholu i że to Alkoholowo jest kolebką naszej narodowej kultury picia. Dzięki tym świadectwom możemy się radykalnie rozprawić z pokładami fałszu i kłamstw, narosłymi wokół historii alkoholu, potłuc te wszystkie „flaszki Wielkiego Yu” i „czarki Króla-Hegemona”. Konkubina Yang Guifei opuściła rodzinną Alkoholandię, by wyjść za mąż, cesarz Han Wudi także był synem alkoholandzkiej ziemi. A wszyscy ci chełpliwi oszuści niech czym prędzej wyleją swoje wino do rzeki. Alkohol z Alkoholowa – to alkohol historyczny. To alkoholem z Alkoholowa są przesiąknięte klasyczne zabytki kultury epoki Han.

Towarzysze, chełpliwi oszuści zapomnieli ponadto o pewnym powszechnie znanym fakcie – destylowane płyny, które wlewają do swoich flaszek, zaczęto produkować dopiero w epoce Han, a w zamierzchłych czasach rządów Wielkiego Yu znano jedynie trunki fermentowane. Niniejsze malowidła z epoki Han dowodzą, że destylacyjna rewolucja w gorzelnictwie dokonała się właśnie tu, na terenie Alkoholandii.

Drodzy przyjaciele, woda w Rzece Winnego Źródła płynie bez przerwy dniem i nocą. Alkoholandzkie wyborne wino liczy sobie wiele lat nieprzerwanej historii, a obecnie wchodzi w swój wiek dojrzały. Na początku epoki Qing powstała destylarnia Wielka Pomyślność. W tym samym czasie pojawiło się nieznaną produkcję „wino wdzięcznego kroku”. Od tych dwóch nazw pochodzi nazwa nowej destylarni – Wdzięczna Pomyślność, w której powstał najśłynniejszy trunek Alkoholowa – „wielka esencja chmur i deszczu”.

Powiadają, że w erze Shunzhi, w epoce Qing, żył pewien drobny kupiec o nazwisku Yuan, imieniu Zi i przydomku Sanliu (Trzy Szóstki). Kupiec ów najpierw prowadził tylko sklep z winem, potem zabrał się do produkcji. Wykorzystując tradycyjne metody, kultywowane przez alkoholowskich gorzelników, chciał wyrobić sobie własną, dobrą markę. Niestety, zachorował i zmarł. Dopiero trzecie pokolenie rodu zrealizowało jego marzenia. Za panowania cesarza Qianlonga z dynastii Qing praprawnuk Yuana imieniem Jiuwu (Dziewięć Piątek) sięgnął do bogatych doświadczeń swych przodków i podpierając się własną gruntowną znajomością rynku, otworzył sklep za wschodnią bramą Alkoholowa, w alei Studni Córki, w pobliżu świątyni Bogini Matki.

Powiadają, że pod świątynią Bogini Matki leży Oko Morza. Gdy kto zakłóci jego spokój, Alkoholowo zamieni się w ocean. By zapobiec potopowi, ufundowano i wybudowano tę świątynię, i ustawiono w niej, wprost na Oku Morza, złoty posąg Bogini Matki. Świątynię co dzień wypełniał dym kadzideł. Ósmego dnia czwartego miesiąca księżycowego odbywało się uroczyste zgromadzenie – palono kadzidła, panował wielki gwar, tłumy dobrze urodzonych dziewcząt napływały do świątyni niczym stada obłoków. Kręciło się też sporo rozrabiaków, którzy wkradali się między dziewczęta, macali piersi i szczypali pośladki, wywołując okrzyki oburzenia. Było to znakomite miejsce na produkcję i handel napojami wyskokowymi, feng shui było

tam wprost idealne. Yuan Dziewięć Piątek kupił więc kawałek ziemi w pobliżu świątyni i postawił sklep, który nazwał Wdzięczna Pomyślność; w alei Studni Córki zbudował też destylarnię o tej samej nazwie.

Studnia Córki mieściła się w odległości jednego li od świątyni. Woda w tej studni pochodziła z rzeki Feng Quan. Po przedostaniu się przez naturalny filtr z piasku i kamieni była czysta jak kryształ, lodowata i słodka. Studnię Córki uważano za najlepszą w całym Alkoholowie. Powiadają, że pewnego razu utopiła się w niej kobieta nadzwyczajnej urody. Po śmierci zamieniła się w obłok, który otoczył studnię i nie znikał przez cały rok. Praprawnuk Yuana nie zapomniał, że drogocenna woda ze Studni Córki w dawnych czasach prawdopodobnie służyła do produkcji „wina wdzięcznego kroku”, co dowodzi, że był nie tylko mistrzem wytwarzania doskonałych alkoholi, ale także człowiekiem o głębokiej świadomości historycznej. W destylarni Wdzięczna Pomyślność użyto tej wody do produkcji nowego trunku. Uczyniono tak nie tylko dlatego, że „woda jest krwią dla wina”, ale również dlatego, że z tej samej wody niegdyś powstawało „wino wdzięcznego kroku” – dlatego, że „bóstwa są duszą wina”. Dzięki temu nowe wino zawierało w sobie dziedzictwo historii i kultury.

Wysokie aspiracje, wybitne umiejętności, cudowna woda – to wszystko musiało zaowocować wielkim sukcesem. „Wielka esencja chmur i deszczu”, ledwie weszła na rynek, zaczęła przynosić ogromne zyski. We Wdzięcznej Pomyślności było stale gwarno jak na targu – słudzy, uczeni, starcy, pospolici rzezimieszki nadciągali tłumnie zewsząd. Pewien poeta, nazwiskiem Li Sandou (Li Trzy Miarki) napisał na cześć „wielkiej esencji” wiersz pochwalny:

Wiosna trwała już długo w świątyni Bogini Matki,

Gdy wonna woda ze studni zmieniła się w obłok.

Wielka była uroda damy, co spoczęła na dnie,

Wielki jest czar trunku, który uwarzono.

Odziana w wodę, z twarzą w obłoku,

Naga, odurzona Liu Ling spoczywa.

Kto pije deszcz i chmury, śnić nie potrzebuje.

Lepsze to niż spotkanie z górką nimfą.

Jakkolwiek nieco nieprzyzwoity, wiersz ten dobrze oddaje wyjątkowe zalety „chmur i deszczu”. Tu, we Wdzięcznej Pomyślności, zbudowanej przed świątynią Bogini Matki, ze sklepem-winiarnią od frontu i destylarnią na tyłach, trunek ten czekał na swych amatorów. Pielgrzymujący do Świątyni mogli już z daleka podziwiać złoty szyld z czarną inskrypcją, wykonaną pismem trawiastym, stylem eleganckim i śmiałym – dzieło słynnego na cały kraj kaligrafa Jina Maogui. Napisy po obu stronach drzwi skomponowała słynna uczona, pani Ma Kuni. Brzmiały one następująco:

Wchodzisz ze zmarszczoną brwią, pełen sprzecznych uczuć,

Z kochającym sercem w dłoniach opuszczasz to miejsce.

Winiarnia była urządzona bardzo elegancko i przytulnie. W głównym pomieszczeniu na centralnej ścianie wisiał barwny obraz autorstwa pani Li Mengniang, wybitnej alkoholandzkiej artystki malarki, przedstawiający pijaną konkubinę Yang Guifei w niekompletnym stroju. Jej dorodne ciało lśniło, a najbardziej sutki, czerwone jak wiśnie. Popijanie wina w takim otoczeniu było prawdziwą przyjemnością dla oczu i radością dla serca.

Tamtejsze naczynia różniły się znacznie od używanych gdzie indziej. Dzbany miały kształt zgrabnych damskich nóżek i występowały w pojemnościach: jednego lianga, trzech liangów oraz pół funta – do wyboru, wedle życzenia klienta. Trzymać w ręku taką nóżkę i smakować jej zawartość – oto prawdziwa rozkosz dla podniebienia i podnieta dla umysłu. Co za wdzięk! Co za wspaniałość! Cóż za niezrównane piękno!

Najlepsze trunki, wykwiłtne wnętrze, wielka sława – nic dziwnego, że miejsce to stało się tematem wielu niezwykłych opowieści i zabawnych anegdot.

Powiadają, że za panowania cesarza Guangxu z dynastii Qing pewnej mroźnej, zimowej nocy, gdy śnieg szalał w powietrzu, przykrywając cały świat warstwą bieli, właściciel Wdzięcznej Pomyślności zamierzał właśnie zamknąć lokal i udać się na spoczynek, gdy z mroku wyłonił się mężczyzna w obficie zaśnieżonym ubraniu, z latarnią w ręku, i wszedł do środka. Oznajmił, że pewna dama, która jest jego gościem, zapragnęła napić się „chmur i deszczu”; dlatego on mimo szalejącej śnieżycy przyszedł po wino. Na nieszczęście wino w sklepie właśnie się skończyło. Gospodarz przeproszał bez końca, gość jednak odmawiał wyjścia. Właściciel, poruszony jego uporem, posłał ucznia po wino do magazynu. Gdy drzwi magazynu

stanęły otworem, ze środka buchnął winny aromat. Gość, nie mogąc dłużej znieść oczekiwania, wpadł do magazynu z latarnią w ręku. Uczeń, próbując go zatrzymać, potracił latarnię. Papierowy lampion zajął się płomieniem. Ogień rozprzestrzenił się na cały magazyn. Wybuchł wielki pożar. Płonące strugi wina zalały magazyn i winiarnię. Błękitne płomienie, niczym świetliste smoki, wdarły się także do świątyni Bogini Matki i zamieniły ją w ruinę. Nie zapominajcie, drodzy czytelnicy, że tamtej nocy padał gęsty śnieg – zasypał on całą ziemię mrowiem jadeitowych okruchów, a tańczące błękitne smoki odbijały się w lśniącej, śnieżnej bieli – był to niewyobrażalnie, nieopisanie piękny widok. Przyczyny i przebieg pożaru w późniejszych opowieściach nabierały magicznego, niezwykłego charakteru. Sława Wdzięcznej Pomyślności, spotęgowana dzięki barwnym historiom o ogniowej katastrofie, przyciągała do odbudowanego zakładu jeszcze więcej klientów. Wielki pożar posłużył Wdzięcznej Pomyślności za najlepszą reklamę.

„Wielka esencja chmur i deszczu” jest nie tylko słodka, dojrzała i klarowna, ma także piękny, niepowtarzalny aromat. Pewnego razu, późną nocą, jeden z pracowników destylarni nieumyślnie upuścił na ziemię antałek z winem. Płyn wylał się na ulicę, silny zapach błyskawicznie rozszedł się w powietrzu. Oczy przechodzących w pobliżu młodych dziewcząt i chłopców wypełniły się łzami, ich policzki poczerwieniały, zaczęli się zachowywać całkiem nedorzecznie. W górze przelatywało właśnie stado ptaków – stworzenia momentalnie straciły poczucie kierunku, zaczęły się kręcić w powietrzu, aż w końcu, jedno po drugim, pospadały na ziemię. Tonące ryby, spadające dzikie gęsi. Zaczarowana dusza, odurzony umysł. Tysiąc odcieni delikatnych uczuć. Dziesięć tysięcy romantyczności. Tak, jak w tym wierszu:

Gdy „chmur i deszczu” kielich wleją ci do gardła,

Zobaczysz dziesięć tysięcy obrazów.

Takie wino w Niebiosach tylko istnieć może,

Śmiertelnik – ile razy skosztować go zdołam?

Szanowni goście, drodzy przyjaciele. Mógłbym jeszcze długo opowiadać o przymiotach „wielkiej esencji chmur i deszczu”. Muszę wam jednak przekazać coś jeszcze. Mój teść, profesor Yuan Shuangyu z Uniwersytetu Gorzelnictwa, jest w szóstym pokoleniu potomkiem pana Yuana Dziewięć Piątek, twórcy tego znakomitego trunku! Jako profesor i wykładowca, zawsze chętnie dzielił się wiedzą i umiejętnościami swego rodu. Pod jego przewodnictwem, a także dzięki opiece i doradztwu komitetu oraz władz miejskich, dosiedliśmy rumaka „reform i otwarcia” i

w ciągu zaledwie dziesięciu lat, wykorzystując wielkie dziedzictwo naszych przodków, stworzyliśmy tu, w Alkoholandii, kilkanaście rodzajów znakomitych trunków, które nie tylko mogą śmiało rywalizować z „chmurami i deszczem”, ale i pod pewnymi względami je przewyższają. Weźmy choćby „mrowie zielonych mrówek”, „czerwonogrzywego rumaka”, „miłość od pierwszego wejrzenia”, „ogniste chmury”, „Ximena Qinga” czy „Daiyu grzebiącą kwiecie”... Mam dla Was jeszcze bardziej ekscytującą wiadomość: mój teść, profesor Yuan, udał się na Górę Białej Małpy! Ten siwy starzec o młodzieńczej twarzy, z rozwianym włosiem i zakurzonym obliczem, stał się przyjacielem małp. Uczył się od tych dzikich stworzeń, przyswajał ich małpią mądrość. Wzbogacił wiedzę naszych przodków o doświadczenia obce. Sprawił, że to, co stare, posłużyło nowemu, to, co cudzoziemskie, posłużyło Chinom, a małpy przysłużyły się ludziom. Eksperyment zakończył się sukcesem: otrzymaliśmy najlepsze w naszym mieście, niemające sobie równych w świecie, „małpie wino”!

Zostanie ono uroczyście zaprezentowane na pierwszym dorocznym Świącie Małpiego Wina!

Łatwiej zdobyć tysiąc liangów złota, niż skosztować kroplę tak wybornego napoju!

Przyjaciele, nie wahajcie się ani chwili – przybywajcie do Alkoholandii!

Nie wolno wam przegapić takiej okazji!

### III

Yidou, drogi Starszy Bracie,

Otrzymałem Twój rękopis.

Akurat odwiedził mnie przyjaciel, pracujący w pewnym wydawnictwie, dałem mu więc do przeczytania Alkoholowo. Gdy skończył, uderzył dłonią w stół z okrzykiem: „Świetny towar!” Powiedział, że gdybyś rozszerzył tę historię do objętości siedemdziesięciu – osiemdziesięciu tysięcy ideogramów i dodał nieco ilustracji i zdjęć, wyszłaby z tego cała książka. Wydawnictwo chętnie przyznałoby jej numer i wzięłoby na siebie wszystkie prace wydawnicze, a wasze miasto wyłożyłoby fundusze na sto tysięcy egzemplarzy. Przyjaciel dodał, że skoro już przygotowujecie materiały propagandowe dla uczestników Pierwszego Świąta Małpiego Wina – czemu nie dołożyć do nich atrakcyjnej, ładnie wydanej książki? Każdy, kto weźmie

ją do ręki, otrzyma w wygodnej, interesującej formie informacje o historii Alkoholandii, kompendium wiedzy o alkoholandzkich trunkach i jednocześnie pamiątkę z waszego miasta. Moim zdaniem, to świetny pomysł, przedyskutujcie to koniecznie z waszą panią burmistrz. Będziecie musieli wyłożyć około pięćdziesięciu tysięcy juanów – dla was to chyba pestka? Proszę, daj mi znać od razu, gdy tylko podejmiecie decyzję w tej sprawie. Mój przyjaciel był tak zapalony do swojego pomysłu, że dałem mu Twój adres, na wypadek gdyby chciał się skontaktować z Tobą bezpośrednio.

Co do nadawania nazwy Twojemu napojowi oraz udziału w pracach nad projektem prawa alkoholowego – widzę tu dla siebie spore korzyści. Nie będę się bawił w fałszywą skromność – zgadzam się. Gdy tylko dokończę ostatni rozdział mojej powieści, wyruszam do Alkoholandii. Szczegóły omówimy po moim przyjeździe.

Z życzeniami owocnej twórczości,

Mo Yan

#### IV

...ua ua ua! Gdy tylko pomyślał o Jin Gangzuanie, o tych wszystkich małych dzieciach, pożeranych, a następnie wydalanych w klozetach, resztki poczucia sprawiedliwości i odpowiedzialności rozbłyły w jego umyśle niczym Gwiazda Polarna. Świetlisty promień padł prosto na świadomość, kryjącą się tchórzliwie w ciemnych zakamarkach umysłu. Poczul trudny do zniesienia, kłujący ból małżowin usznych i koniuszka nosa, jakby wbijano w nie ostre, zatrute szpikulce. Odruchowo poderwał się do siadu – ziemia i niebo zawirowały mu dookoła głowy ogromnej niczym wiklinowy kosz. Z wysiłkiem podniósł napuchnięte powieki. Trzy, może pięć szarych, niewyraźnych, wielkich cieni zeskoczyło z niego i wylądowało na ziemi z mięsistym, głuchym odgłosem. Jednocześnie usłyszał cienkie piski. Czy to świergot jakiegoś niezwykłego ptaka, czy głos jakiegoś innego egzotycznego stworzenia? Śledczy pomyślał, że to mogła być kuropatwa albo zajac, albo skrzydlaty smok, a może latająca wiewiórka? Zobaczył przed sobą parę roziskrzonych, szmaragdowych oczu na zamazanym tle. Z trudem poruszał wyschniętymi, szorstkimi gałkami ocznymi, starając się pobudzić gruczoły łzowe do wydzielania choć odrobiny płynu. W końcu pojawiły się łzy. Woniały tanim bimbrem. Przetarł oczy wierzchem dłoni; widział coraz wyraźniej – pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była gromada siedmiu, może ośmiu szarych, wielkich szurów domowych. Czarne, obrzydliwe oczka wpatrywały się w niego wrogo. Na widok spiczastych pysków, sterczących wąsów,

obwisłych brzuchów i długich, cienkich ogonów poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Otworzył usta – wydobyło się z nich coś pośredniego między wydaliniami a mieszkanką przednich win i wykwinnych potraw. Gardło zabolalo go jak rozcinane ostrym nożem, nos okropnie szczypał, przytkany wymiocinami. Nagle wpadła mu w oko lśniaca czarna dubeltówka, wisząca na ścianie. Ten wymowny widok natychmiast zbudził go z odrętwienia, przypominając mu całe mnóstwo odległych zdarzeń i postaci – paniczną ucieczkę, spotkanie z widmowym starcem – nielegalnym handlarzem wontonów, starego rewolucjonistę-opiekuna Cmentarza Bohaterów, tańczącego ducha maotai, przepasanego szarfą z czerwonego jedwabiu, i tego imponującego, groźnego psa o żółtawej sierści. Feeria przeróżnych obrazów i myśli rozkwitała w jego umyśle niczym sto kwiatów. To było jak sen i jawa zarazem – żywe, niemal namacalne, i jednocześnie nierzeczywiste. Niespodziewanie zaatakowało go wspomnienie ponętnych kształtów kobiety-kierowcy. W tym momencie wielki szczur wskoczył mu na ramię ze zdumiewającą zwinnością i wbił zęby w jego szyję. To zmusiło go do oczyszczenia umysłu z kłębowiska myśli i stawienia czoła teraźniejszości. Otrząsnął się, zrzucając szczura. Mimowolny okrzyk już wyrwał mu się z gardła, lecz uwiązał w nim pod wpływem przerażającego widoku. Ding otworzył usta ze zdumienia: na kangu leżał stary rewolucjonista, po nim biegalo kilkanaście szczurów. Nos i uszy starca zostały już pożarte przez wygłodniałe (a może wcale nie były głodne?) zwierzęta, spod ogryzionych warg wyzierały żółtawe dziąsła. Te usta, które niegdyś sypały perłami dowcipu, teraz przedstawiały wyjątkowo wstrętny widok. Ogołocona ze wszystkich wystających części czaszka wyglądała odrażająco. Szczury tymczasem z wielkim zapalem dobierały się do rąk starego rewolucjonisty. Te ręce, które niegdyś dzierżyły strzelbę bądź trzymały kij, teraz – ogryzione do białej kości – przypominały odarte z kory gałęzie wierzby. Śledczy żywił ciepłe uczucia dla starego rewolucjonisty – twardego starca, który w najtrudniejszych chwilach podał mu pomocną dłoń.

Wyteżywszy resztki sił swojego udręczonego ciała, Ding rzucił się w kierunku szczurów, chcąc je odpędzić. W tej samej chwili ich oczy zaczęły raptownie zmieniać kolor: od atramentowej czerni do różu, od różu do szmaragdowej zieleni. Śledczy cofnął się przerażony i oparł plecami o ścianę. Patrzył na wyszczerzone zęby, ruchliwe wąsy i wytrzeszczone oczy, a szczury, grzbiet przy grzbiecie, utworzyły zwartą formację, gotową do ataku. Nagle poczuł, że coś uwiera go w plecy. Dubeltówka. Olśniło go. Odwrócił się błyskawicznie, złapał broń, wycelował, poszukał palcem spustu i przyjął groźną postawę, jakby miał stawić czoło potężnemu przeciwnikowi.

– Nie ruszać się, bo strzelam! – krzyknął wielkim głosem.

Szczury popatrzyły po sobie i zatańczyły w miejscu, drwiąc sobie ze śledczego, który ruszył na nie z wściekłym zgrzytaniem zębów.

– Pierdolone szczury! Zaraz się dowiecie, z kim macie do czynienia!

Ledwie przebrzmiały te słowa, Ding pociągnął za spust. Przez pomieszczenie przetoczył się huk, potężny jak uderzenie pioruna, a wraz z nim strumień ognistego blasku. Pokój wypełnił się kłębam dymu. Gdy dym się rozwiął, śledczy zauważył z ulgą, że udało mu się tym jednym strzałem mocno nadwątlić siły wroga. Niedobitki zwiewały, aż się kurzyło, wspinając się po belkach dachowych i czepiając płatwi, śmigając pod okapami, biegając po ścianach, i przeklinając matki i ojców za to, że nie wyposażyli ich w dodatkowe komplety łap. Wkrótce nie było po nich śladu. Śledczego zaniepokoił fakt, że salwa z dubeltówki, oprócz uśmiercenia paru szczurów i przepędzenia reszty, podziurawiła mocno twarz starego rewolucjonisty, która teraz przypominała sito. Przyciskając strzelbę do piersi, oparł się o ścianę; stał na miękkich nogach, po czym osunął się na ziemię. Jego serce krzyczało z bólu. Był pewien, że stary rewolucjonista poniósł śmierć na skutek zagryzienia przez szczury, lecz teraz, na widok tej głowy, napakowanej ołowiem, nikt w tę wersję nie uwierzy. Ludzie pomyślą, że został zastrzelony, a szczury pokiereszowały go dopiero po śmierci. Ech, Ding Gou'er, Ding Gou'er, wszystkie wody Jangcy nie zdołają z ciebie zmyć tego brudu. Zmętnieją bardziej niż Huang He. „Wody Huang He przejrzyścieją, kiedy mędrzec się pojawia. Wszyscy razem z rodzinami puszczają na wodę lampiony. Jakie lampiony? Z białych melonów, z arbuźów oraz z dyń. I jakie jeszcze? Z japońskich melonów, z ogórków, z ludzkich głów”. Dziecinna piosenka dźwięczała enigmatycznie w uszach zgnębnego śledczego – początkowo cicho i niewyraźnie, jakby z oddali. Śpiew przybliżał się stopniowo, zyskując na sile i wyrazistości, aż zagrzmiął kaskadą głosów dziecięcego chóru, przestrzenny i melodyjny, jak płynące obłoki i szemrzące strumienie. Chórem liczącym setki dzieci dyrygował dawno niewidziany synek Dinga. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę i niebieskie krótkie spodnie – wyglądał jak płynący po lazurowym niebie biały obłoczek albo jak mewa szybująca ponad błękitnymi falami oceanu. Dwie strużki mętnej cieczy, gorącej niczym grzane wino, popłynęły z oczu śledczego, zwilżając policzki i kąciki ust. Wstał, wyciągając ręce w kierunku syna, lecz biało-lazurowy chłopczyk powoli odpływał coraz dalej i dalej. Do umysłu Dinga z powrotem wdarł się szokujący obraz dzieła szczurów, i ta nieprawdziwa, niebywale okrutna wizja straszliwego morderstwa, które miało wstrząsnąć całą Alkoholandią.

Podążając za fascynującym widokiem twarzy synka, śledczy zbliżył się do bramy Cmentarza Bohaterów. Zobaczył psa – tego samego, groźnego niczym tygrys pstrokatego czworonoga, na którego widok kiedyś włos zjeżył mu się na głowie. Stworzenie leżało wyciągnięte pod topolą, z pyska ciekła mu krew. Struchlały śledczy precyzyjnie się przez psią furtkę w bramie. Na wyboistej, zrujnowanej asfaltowej drodze, jak okiem sięgnąć, nie było żywej duszy. Ustawiony dokładnie pośrodku szosy samotny betonowy słup rzucał długi cień wzdłuż drogi. Śledczy stanął zrezygnowany twarzą w stronę zachodzącego słońca, które opromieniło go krwistoczerwonym blaskiem. Stał długo, pogrążony w rozmyślnościach, lecz sam nie bardzo wiedział, o czym myśli.

Huk przejeżdżającego pociągu w końcu pobudził go do działania. Poszedł dalej drogą, z niejasnym przecuciem, że zbliża się do stacji kolejowej. Na przeszkodzie

stanęła mu rzeka. Woda złociła się w blasku wieczoru. Widok był niezwykle malowniczy – kilka kolorowych łodzi, poskrzypując, sunęło w kierunku słońca. Na jednej z nich siedzieli mężczyźni i kobiety, z pewnością same zakochane pary – tylko zakochani potrafią obejmować się w taki sposób, i patrzeć w dal takim zaczarowanym wzrokiem, w całkowitym milczeniu. Na rufie stała postawna kobieta, odziana w staromodną suknię. Wyciągając szyję i ramiona, pracowała wielkim wiosłem, przecinając gładką, złocistą powierzchnię wody, mieszając unoszące się nad nią wonie gnijących ciał i gorącego ziarna z destylarni. Śledczy wyczuwał w jej ruchach pewną sztuczność – jakby nie wiosłowała naprawdę, lecz odgrywała wiosłowanie na scenie. Łódź odpłynęła, za nią kolejna łódź, potem następna i jeszcze następna. Wszyscy pasażerowie sprawiali wrażenie zaczarowanych, zakochanych, wszystkie kobiety na rufach wiosłowały w tak samo teatralny sposób. Śledczy odniósł wrażenie, że wioślarki i ich pasażerowie musieli wcześniej przejść rygorystyczny trening w jakiejś specjalnej szkole. Machinalnie ruszył za paradą łodzi wzdłuż rzeki, chodnikiem wyłożonym ośmiokątnymi cementowymi płytami. Późnojesienny brzeg był zasypany zwiędłymi liśćmi wierzby – te, które jeszcze trwały na gałęziach, wyglądały jak wycięte ze złotej blachy, piękne i drocenne. Podążając za łodziami, Ding uspokajał się, stopniowo zapominając o wszystkich troskach. Niektórzy chadzają w stronę wschodzącego słońca, on zaś dążył w kierunku zachodu.

Gdy minął zakole rzeki, znalazł się nad sporym rozlewiskiem. W oknach starych budynków wokół płonęły już światła. Łodzie cumowały jedna po drugiej. Zakochane pary zeszły rżędem na ląd i wmieszały się w miejski tłum. Śledczy także włączył się w ruch uliczny, czując wokół jakąś teatralną, jakby historyczną atmosferę. Przechodnie przypominali cienie, poruszali się tak, jakby płynęli w powietrzu. Na ten widok Ding poczuł wszechogarniającą lekkość, wydało mu się, że przestał dotykać stopami ziemi.

W końcu, podążając za tłumem, znalazł się w świątyni Bogini Matki. Piękne kobiety klęczały przed złotym posągim wielkogłowej, wielkouchej Bogini i biły pokłony, przysiadając na stopach obutych w pantofle na wysokich obcasach. Zafascynowany Ding podziwiał długie, cienkie szpilki, przypatrywał im się tak długo, aż wybiły mu mnóstwo dziurek w głowie. Schowany za kolumną stał nieduży łysy mnich z procą i strzelał kulkami z błota w wypięte pośladki kobiet. Za każdym trafieniem u stóp Bogini rozlegał się krzyk, a mały mniszek składał dłonie, zamykał oczy i recytował buddyjską mantrę. Ding Gou'er, ciekaw motywów takiego zachowania, podszedł i popukał go środkowym palcem w łysinę. Mnich wrzasnął dziewczęcym głosikiem. Naraz otoczyło ich kilkunastu ludzi. Krzykliwie zarzucali Dingowi chuligańskie wybryki tudzież napastowanie młodej mniszki, zupełnie jakby był Ah Q, bohaterem powieści Lu Xuna. Jakiś policjant chwycił go za kark, wywlókł ze świątyni, popchnął i poczęstował kopniakiem w zadek. Ding Gou'er padł na kamienne stopnie, lądując na czworakach, niczym pies walczący z innym psem o kupę. Poczul słony smak krwi sączącej się z rozciętej wargi i rozchwianych przednich zębów.

Idąc przez łukowaty most, spojrzął na wodę; na powierzchni tańczyły odbicia światła latarni. Rzeką płynęły dwie łodzie, na których grano i śpiewano – wyglądało to jak nocna parada bóstw i Nieśmiertelnych.

Wszedł do restauracji. Przy stole siedziało kilkunastu ludzi w kapeluszach z szerokimi rondami. Pili wino, jedli rybę. Smakowite zapachy zaatakowały nozdrza śledczego; zaczął się obficie ślinić. Miał ochotę podejść bliżej i zebrać o jedzenie, lecz powstrzymał go wstyd. W końcu jednak, pchany wilczym głodem, wypatrzył nieco wolnej przestrzeni przy stole i rzucił się w tym kierunku niczym głodny tygrys na ofiarę. Złapał flaszkę wina, porwał rybę i wybiegł na ulicę. Gdy usłyszał za sobą krzyki, był już daleko.

Skryty w cieniu muru, zabrał się do jedzenia i picia. Z ryby zostały głównie ości, więc przeżuł je i przełknął. Wino wypił do dna.

Spacerował po okolicy, podziwiając odbite w wodzie mrowie gwiazd. Wielki, czerwonawy księżyc przypominał złotowłosego chłopczyka, który wyskoczył z fal. Odgłosy dobrej zabawy rozbrzmiewały wyjątkowo donośnie. Spojrzął w kierunku, z którego dochodziły – ogromna malowana łódź płynęła powoli w dół rzeki. Na rzeźbiście oświetlonym pokładzie śpiewały i tańczyły kobiety w staroświeckich strojach, akompaniując sobie na bębnach i fletach. W kajucie przy stole siedziała kilkunastoosobowa grupa elegancko ubranych mężczyzn i kobiet. Grali w zgadywanki, popijając wyborne trunki i racząc się egzotycznymi smakołykami. Jedli łapczywie, kobiety łakomstwem dorównywały mężczyznom. Cóż... Inne czasy, inne obyczaje. Kobieta o wydatnych, krwistoczerwonych ustach opychała się jak maciora, nie podnosząc nawet głowy znad talerza. Ding Gou'er z wrażenia widział to wszystko jak przez mgłę, lecz w miarę, jak łódź zbliżała się ku niemu, twarze gości stawały się coraz wyraźniejsze, wyczuwał nawet woń ich oddechów. Dostrzegł wiele znajomych osób; jedna z nich bardzo przypominała jego samego. Wszyscy „starzy przyjaciele” brali właśnie udział w uczcie kanibali. Dlaczego kanibali? Proszę bardzo, oto ostatnie danie – usadowiony na środku połączanego półmiska, ociekający tłuszczem, smakowicie pachnący chłopczyk z czarującym uśmiechem na buzi.

Ding Gou'er ruszył w kierunku malowanej łodzi. Po drodze wpadł do dołu po publicznej toalecie, wypełnionego rzadką zupą ze sfermentowanego pożywienia i napojów, zwróconych bądź wydalonych przez mieszkańców Alkoholandii; na powierzchni unosiły się rozciągnięte prezerwatywy i największe plugastwa, jakie można sobie wyobrazić. Doskonała pożywka dla wszelkich bakterii i mikrobów, raj dla much, ogród rozkoszy dla robaków. Ding Gou'er poczuł, że to odpowiednie miejsce, by zakończyć żywot. Jeszcze przez chwilę trzymał się na powierzchni, śmiejąc się głośno, dopóki lepka masa nie zatopiła mu ust. Po kilku sekundach wszystkie największe świętości – ideały, sprawiedliwość, szacunek, honor i miłość – podążyły wraz z udręczonym śledczym na samo dno kloaczego dołu.

## Rozdział 10

### I

Yidou, Starszy Bracie,

Poprosiłem już kogoś o kupienie dla mnie biletu na pociąg do Alkoholandii, na dwudziestego siódmego września. Sprawdziłem w rozkładzie, że na miejscu będę o drugiej trzydzieści, dwudziestego dziewiątego. Bardzo to niewygodna pora, lecz innego pociągu nie ma – jestem więc zmuszony sprawić ci kłopot.

Przeczytałem Małpie wino – mam mnóstwo wrażeń, opowiem Ci wszystko, gdy się zobaczymy.

Wszystkiego dobrego,

Mo Yan

### II

Leżący na wygodnym – przynajmniej w porównaniu z twardymi siedzeniami – środkowym posłaniu w wagonie „twardych kuszetek”, otyły, łysiejący, o małych oczkach i krzywych ustach, podstarzały pisarz Mo Yan nie czuł się ani trochę senny. Pociąg wjeżdżał w noc. Zgaszono lampki pod sufitem; słabe, żółtawe światelka przy podłodze pozostały jedynymi źródłami światła w wagonie. Mam wiele wspólnych cech z tym Mo Yanem, wiem o tym, lecz równie wiele nas różni. Jestem jak krab pustelnik, a Mo Yan jest moją skorupą. Mo Yan jest bambusowym kapeluszem, który osłania mnie od deszczu i wiatru, psią skórą, chroniącą mnie przed mroźnym powietrzem, maską, którą zakładam, gdy uwodzę panienki z dobrych domów. Czasem czuję, że ten Mo Yan jest dla mnie tylko męczącym brzemieniem, lecz nie

jest mi wcale łatwo się z nim rozstać, podobnie jak krabowi pustelnikowi trudno porzucić swoją skorupę. Uczynić to na chwilę mogę tylko w ciemności. Widzę go, jak miękko wypełnia wąską środkową półkę, wielka głowa kręci się niespokojnie na cienkiej poduszce. Długie lata pisarskiej kariery spowodowały zwapnienie kręgosłupów, przez co szyja stała się sztywna, zimna, zdrętwiała i obolała; porusza nią z wyraźnym trudem. Autentycznie brzydzę się tego całego Mo Yana. W jego umyśle kłębią się właśnie przeróżne dziwaczne myśli – małpy robiące wino i kradnące księżyc, śledczy siłujący się z karłem, złotopióre salangany, budujące gniazda ze śliny, karzeł tańczący na brzuchu pięknej kobiety, doktor alkoholologii, romansujący po kryjomu z teściową, dziennikarka fotografująca niemowlę duszone w sosie sojowym, honoraria, wyjazdy zagraniczne, obelgi. Nie rozumiem, jak z posiadania takiej zbieraniny w głowie można czerpać jakąkolwiek przyjemność.

– Alkoholandia! Stacja Alkoholandia! – ogłasza drobna, szczupła konduktorka, która idzie chwiejnie korytarzem, klepiąc dłonią w saszetkę z biletami. – Alkoholandia, proszę odbierać bilety!

W okamgnieniu stapiam się w jedno z Mo Yanem. Mo Yan siada na swoim środkowym poślaniu, co oznacza, że ja siadam wraz z nim. Czuję wzdęty brzuch, zeszywniały kark, ciężko mi oddychać, mam paskudny smak w ustach. Zwyczajnie trudno mi przełknąć tego wstrętnego Mo Yana. Patrzę, jak wyjmuje numer z kieszeni szarej kurteczki, która ma już swoje lata, odbiera bilet, zeskakuje niezdarnie ze środkowej półki, paskudnie śmierdzącymi stopami szuka na ziemi równie śmierdzących butów; jego stopy przypominają kraby pustelniki szukające sobie nowych skorup. Pokasłuje raz i drugi, zawija brudny kubek w brudny ręcznik, którym zwykle wyciera twarz i stopy, wciska go do szarej podróżnej torby. Siedzi kilka minut bezczynnie, wpatrując się we włosy przedstawicielki handlowej firmy farmaceutycznej, która pochrapuje na dolnym poślaniu naprzeciwko. W końcu wstaje i wlece się w kierunku wyjścia z wagonu.

Wysiadam z pociągu, patrzę na siwe krople jesiennego deszczu, tańczące w żółtawym świetle lamp. Na peronie nie ma żywej duszy, z wyjątkiem przechadzających się leniwie kilku mężczyzn w granatowych płaszczach. Milczący konduktorzy stoją skurczeni w drzwiach wagonów, jak kury na grzędach, umęczeni kolejną długą nocą w podróży. W pociągu panuje taka cisza i spokój, jakby był zupełnie pusty. Z tyłu słychać głośny szum wody – pewnie napełniają zbiorniki. Z przodu płoną jasne światła. Mężczyzna w mundurze postukuje od niechcienia młotkiem w koła jak leniwy dzięcioł. Mokre wagony dyszą i sapią. Ciągące się w dal szyny błyszczą wilgocią w świetle latarń. Deszcz musiał padać już od dawna, lecz w czasie jazdy pociągami w ogóle tego nie zauważyłem. Pamiętam, że gdy wyjeżdżałem z Pekinu, mój autobus mijał plac Bramy Niebiańskiego Spokoju, skąpany w blasku słońca, pełen złotych chryzantem i ognistoczerwonych szaławii. Stojący na placu Sun Yat-sen wymieniał porozumiewawcze spojrzenia z Mao Zedongiem, wiszącym naprzeciwko, na bramie Zakazanego Miasta. Między nimi, na nowiutkim słupie, wisiała czerwona flaga z pięcioma gwiazdami. W gazetach pisano, że słup ten ma wysokość

czterdziestu metrów – nie spodziewałem się, że aż tyle, lecz jestem pewien, że to prawda – na budowie tego świętego filaru nikt nie odważyłby się oszczędzać. W skórze pisarza Mo Yana spędziłem w Pekinie całe dziesięć lat – zdążyłem całkiem nieźle poznać to miejsce. Bardzo korzystna budowa geologiczna, żadnych pęknięć... Tymczasem tu, w Alkoholandii, pada deszcz. Wybierając się w podobnie daleką podróż, i tak nie sposób przewidzieć pogody u celu. Nie spodziewałem się, że na stacji kolejowej Alkoholandia będzie panował tak ogromny, wszechogarniający spokój – drobny jesienny deszcz, jasne, miękkie, złotawe światło lamp, lśniące wilgocią szyny, chłodne, czyste i rześkie powietrze, mroczny tunel pod torami. Mała stacyjka jak z powieści kryminalnej – podoba mi się tu... Idąc tunelem, Ding Gou'er wciąż czuł w nozdrzach silny zapach niemowlęcia duszonego w sosie sojowym. Po twarzyczce złocistego chłopczyka spływał ciemnoczerwony, lśniący tłuszcz, w kącikach ust usadowiły się dwie zmarszczki tajemniczego, nieodgadnionego uśmiechu. Odprowadzam wzrokiem ruszający z gwizdem pociąg, do chwili gdy czerwone światła ostatniego wagonu znikają za zakrętem. Słyszę już tylko łoskot dobiegający z ciemnych głębin nocy – nierealny, senny odgłos. Podnoszę bagaż i schodzę do tunelu. Świeci tu kilka słabych żarówek, podłoga zieleje dziurami. Moja walizka ma kółka, więc stawiam ją na ziemi i ciągnę za sobą, lecz hałas irytuje mnie tak bardzo, że podnoszę ją z powrotem i dźwigam dalej na plecach.

Idąc tunelem, słyszę zwielokrotniony echem odgłos własnych kroków. Ogarnia mnie uczucie pustki. Ding Gou'er w czasie swojego pobytu w Alkoholandii też powinien był trafić tutaj. Tu powinien być targ, na którym odbywa się pokątny handel mięsnymi dziećmi. To miejsce powinno się roić od pijaków, dziwek, żebraków i na wpół oszalałych psów. Tutaj śledczy powinien wpaść na ważny trop... Ciekawa sceneria to pierwszy krok do sukcesu opowiadania. Wielcy pisarze zawsze każą swoim bohaterom

działać w nieustannie zmieniającym się otoczeniu – w ten sposób maskują własne braki, jednocześnie wzbudzając zainteresowanie i zachwyty czytelników, rozmyśla Mo Yan. Skręca. W kącie siedzi skulony staruszek, przykryty zniszczonym kocem, obok niego leży szmaragdowozielona butelka wina. Cieszy mnie to – widać, że nawet alkoholandzkim żebrakom nie brakuje napoju. Li Yidou, doktorze alkoholologii, tyle opowiadań napisałeś, wszystkie związane z alkoholem – dlaczego nie popełniłeś jeszcze żadnej historii o żebrakach? Żebrak alkoholik nie potrzebuje ani pieniędzy, ani jedzenia, prosi tylko o alkohol. Gdy jest pijany, tańczy i śpiewa – wie dzie beztrudny żywot Nieśmiertelnego. Ten dziwak, Li Yidou – ciekawe, jak wygląda? Muszę przyznać, że jego opowiadania, które czytałem jedno po drugim, spowodowały, że wprowadziłem gruntowne zmiany do mojej powieści. Mój Ding Gou'er w zamyśle miał być typem bohatera, genialnego detektywa, tymczasem zamienił się w opoja i beznadziejnego idiotę. Nie potrafię już dalej pisać o Ding Gou'rze. Właśnie z tego powodu przybyłem do Alkoholandii – w poszukiwaniu inspiracji, w poszukiwaniu innego zakończenia dla jego historii, lepszego niż śmierć przez utonięcie w kloacznym dole.

Mo Yan był już blisko wyjścia, gdy dostrzegł Li Yidou. Instykt podpowiadał mu, że ten wysoki, szczupły osobnik o trójkątnej twarzy to musi być on – doktor alkoholologii, pisarz amator. Ruszył więc w kierunku jego ogromnych oczu o lekko groźnym wyrazie.

Osobnik przełożył szczupłą, długą rękę przez żelazną barierkę i rzekł:

– Pan Mo Yan, jeśli się nie mylę?

Mo Yan ujął jego zimną dłoń, mówiąc:

– Li Yidou! Bardzo przepraszam, że sprawiłem tyle kłopotu!

Kontrolerka ponagliła Mo Yana, żeby pokazał jej swój bilet.

– Co pokazać? – krzyknął Li Yidou. – Wie pani, kto to jest? To jest Mo Yan, twórca scenariusza filmu Czerwone sorgo, gość honorowy Miejskiego Komitetu Partii i władz miejskich!

Kontrolerka zaniemówiła, wpatrzona w Mo Yana, który zmieszany, czym prędzej wyjął bilet, lecz Li Yidou pociągnął go za rękę i przeprowadził pomiędzy żelaznymi barierkami, mówiąc:

– Proszę nie zwracać na nią uwagi!

Li Yidou zdjął torbę podróżną z pleców Mo Yana i zarzucił ją sobie na ramię. Miał mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu i był od Mo Yana o głowę wyższy. Mo Yan natomiast zauważył z satysfakcją, że Li Yidou jest co najmniej pięćdziesiąt funtów lżejszy od niego.

– Mo Yan, mój Nauczycielu – zaczął entuzjastycznie Li Yidou – gdy tylko otrzymałem twój list, powiadomiłem nasz Miejski Komitet Partii. Sekretarz, pan Hu, powiedział: „A więc witamy, serdecznie witamy!” Już wczorajszej nocy czekałem na ciebie z samochodem.

– Przecież pisałem, że przyjadę dwudziestego dziewiątego nad ranem – zdziwił się Mo Yan.

– Obawiałem się, że zostaniesz tu całkiem sam, jeśli przypadkiem przybędziesz przed czasem. Wolałem przyjechać, niż pozwolić ci czekać na próżno.

– Ależ, doprawdy, robisz sobie zbyt dużo kłopotu – rzekł Mo Yan z uśmiechem.

– Władze miejskie zamierzały wysłać na twoje powitanie wicedyrektora Jin Gangzuana, ale powiedziałem im, że Mo Yan jest człowiekiem mi bliskim, że nie ma

między nami miejsca na formalności i że najlepiej byłoby, żebym to ja przywitał cię pierwszy.

Podeszliśmy do luksusowego wozu zaparkowanego na placu oświetlonym mnóstwem jasnych latarni. Lśniący od deszczu samochód robił imponujące wrażenie.

– Dyrektor Yu czeka w środku. Wóz należy do jego firmy – rzekł Li Yidou.

– Jaki dyrektor Yu?

– Yu Yichi, rzecz jasna!

Serce Mo Yana drgnęło. Cały pochód opisów i relacji dotyczących Yu Yichiego przedefiniował przez jego umysł. Ha, gdyby się okazało, że ten karzeł, który nigdy nie miał do czynienia z żadnym śledczym, rzeczywiście zginął od jego kuli – znaczyłoby to, że rządzą tu duchy i demony, a moimi Przygodami śledczego Ding Gou'era mogę sobie palić w piecu, pomyślał.

– Dyrektorowi Yu bardzo zależało na zjawieniu się tutaj – dodał Li Yidou. – Lubi być pierwszy tam, gdzie dzieje się coś ważnego. Poza tym Yu Yichi to człowiek, który zna wartość prawdziwej przyjaźni. Nauczycielu, bardzo proszę, postaraj się nie oceniać go po powierzchowności. Jeśli potraktujesz go z prawdziwym szacunkiem, odpłaci ci się po dziesięciokroć.

Tymczasem drzwiczki wozu stanęły otworem. Wskoczył przez nie miniaturowy mężczyzna – miał poniżej metra wzrostu, lecz na pewno mierzył więcej niż jedną stopę. Pełen wigoru, elegancki, wytworny mały arystokrata.

– Mo Yan, ty draniu, przyjechałeś w końcu! – wykrzyknął z zaraźliwą chrypką w głosie, gdy tylko znalazł się na zewnątrz. Natychmiast podbiegł do Mo Yana, złapał go za rękę i zaczął potrząsać nią zawzięcie, jakby witał się z dawno niewidzianym przyjacielem.

Mo Yan, ujmując tę ruchliwą, niecierpliwą dłoń, poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia na myśl o tym, jak uśmiercił karła rękami Ding Gou'era. Dlaczego musiał zginąć? Taki intrygujący, mały człowieczek, śliczny jak nakręcana zabawka – cóż złego w tym, że kochał się z kobietą-kierowcą? Nie trzeba było pozwolić mu umrzeć. Yu Yichi powinien był zaprzyjaźnić się z Ding Gou'erem, pomóc mu prowadzić śledztwo w sprawie dziecióherstwa.

Yu Yichi otworzył drzwiczki samochodu, zaprosił Mo Yana do środka i usiadł obok; jego oddech pachniał alkoholem.

– Ten doktor alkoholologii bez przerwy nawija na twój temat – rzekł. – Mówię ci, ten gość wielbi cię i czci. Ale coś widzę, że żaden z ciebie przystojniak. Właściwie to

wyglądasz mi na handlarza bimbrem.

Mo Yan poczuł się nieco urażony.

– Dzięki temu, mam nadzieję, uda mi się szybko zaprzyjaźnić z dyrektorem Yu Yichi  
– odparł zjadliwie.

Yu Yichi rozchichotał się jak dzieciak.

– Wyborne! – zawołał, gdy już mu przeszło. – Brzydał i karzeł przyjaciółmi!  
Ruszamy!

Milcząca kobieta za kierownicą nie była karłem. W żółtawym świetle parkingowych latarni Mo Yan zauważył, że ma ładną twarz i długą, smukłą szyję.

Zapłonęły przednie reflektory; kobieta-kierowca, zręcznie manewrując, wyjechała z placu. Niebieskawe strumienie wody tryskały spod kół. Wnętrze wozu było przesiąknięte zapachem elegancji. Puchaty tygrysek-zabawka kiwał się na desce rozdzielczej. Rozbrzmiewała senna muzyka; samochód zdawał się płynąć wraz z melodią. Ulica była gładka, szeroka i zupełnie pusta, nie spotkaliśmy nawet bezdomnego kota. Odniosłem wrażenie, że Alkoholandia musi być bardzo duża. Po obu stronach szosy wyrastały nowoczesne bloki. Doktor alkoholologii wcale nie przesadzał, gdy opowiadał o tutejszym dobrobycie.

Mo Yan wszedł za Yu Yichim do restauracji „Yichi”, a za nim Li Yidou z podrózną torbą na ramieniu. Wnętrza faktycznie robiły spore wrażenie. Podłoga sali była naprawdę wyłożona marmurem i wywoskowana na wysoki połysk. Za kontuarem recepcji siedziała dziewczyna w okularach, która wcale nie była karlicą. Yu Yichi kazał jej otworzyć pokój numer 310. Dziewczyna wzięła klucz, poprowadziła nas w stronę windy i nacisnęła przycisk, wyprzedzając nasze ręce, które już wyciągały się w jego stronę. Drzwi windy rozsunęły się, Yu Yichi pierwszy wskoczył do środka, wciągając Mo Yana za rękę. Mo Yan zachował powściągliwy wyraz twarzy. Za nimi wszedł Li Yidou, na końcu dziewczyna w okularach. Drzwi się zamknęły, winda ruszyła w górę. W metalicznej okładzinie odbijała się brzydka, wymęczona twarz. Mo Yana zaskoczyła własna smętna mina. Doszedł do wniosku, że bardzo się postarzał przez ostatnie kilka lat. Nagle zauważył obok swojego odbicia senną twarz dziewczyny w okularach i czym prędzej przeniósł wzrok na okienko wyświetlacza ze zmieniającymi się numerami pięter. Rozmyślał. Śledczy, wyczerpany, stanął tu, w tej windzie, twarzą w twarz ze swym rywalem Yu Yichim. Gdy spotykają się wrogowie, ich oczy rozpalają się do czerwoności... Moją uwagę tymczasem przykuł skrawek jasnej skóry nad kołnierzykiem dziewczyny w okularach. Zmusił on moją wyobraźnię do szalonego galopu; wspomnienia sprzed lat wdarły się do mojego umysłu niepohamowaną falą. Pewnego razu, gdy miałem czternaście lat, niby przypadkowo położyłem rękę na dziewczęcym biuście. Dziewczyna zachichotała i powiedziała:

– Ach! Już wiesz, których miejsc dotykać? A chcesz zobaczyć, jak wyglądają?

– Chcę – odrzekłem.

– Dobrze – zgodziła się.

Było mi zimno, czułem mróz w kościach. Oto wielkie, purpurowe wrota dojrzenia otwierały się przede mną powoli, z łoskotem, w miarę jak ręka dziewczyny rozpięła guziki bluzki. Przeszłam próg bez chwili wahania. Moja młodość, ten piękny czas biegania za krowami i oswojania ptaków, odeszła w przeszłość. Utraciłem ją bezpowrotnie i na zawsze.

Drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie. Dziewczyna w okularach wyszła pierwsza i poprowadziła nas do pokoju 310. Otworzyła drzwi i stanęła obok, zapraszając do środka. Apartament był bardzo elegancki. Mo Yan, który nigdy nie mieszkał w tak luksusowych warunkach, wkroczył do pokoju nonszalancko i od razu usiadł na kanapie.

– To nasz najlepszy pokój, mam nadzieję, że cię zadowoli – rzekł Yu Yichi.

– Może być – odparł Mo Yan. – Byłem w wojsku, potrafię mieszkać gdziekolwiek.

– Władze miejskie chciały cię zakwaterować w hotelu należącym do Komitetu – wtrącił Li Yidou – ale wszystkie lepsze pokoje były już zajęte przez gości z zagranicy oraz przez naszych rodaków z Hongkongu, Makau i Tajwanu, którzy przyjechali na pierwsze Doroczne Święto Małpiego Wina.

– Tym lepiej – rzekł Mo Yan. – Zwykle staram się unikać notabli.

– Pan Mo Yan lubi spokój, nie przepada za rozgłosem – skomentował Li Yidou.

Yu Yichi zachichotał.

– Czy twórca Czerwonego sorga może uniknąć rozgłosu? Ty nicponiu, dwa dni w dziale propagandy i już włączysz innym w tyłki jak stary!

– Dyrektor Yu słynie na całą Alkoholandię z ciętego języka. Mo, Nauczycielu, bardzo cię proszę, nie bierz sobie do serca jego słów – rzekł Li Yidou, mocno zmieszany.

– To nic, mnie też się zdarza nie przebierać w słowach – odrzekł Mo Yan.

– Zapomniałem ci powiedzieć, Nauczycielu, że w zeszłym miesiącu uzyskałem przeniesienie do wydziału propagandy miejskiego Komitetu Partii. Zajmuję się tam redagowaniem komunikatów i obwieszczeń – poinformował Li Yidou.

– A co z twoją rozprawą doktorską? Już skończyłeś? – zainteresował się Mo Yan.

– Odłożyłem to na później. Na razie bardziej odpowiada mi praca redakcyjna. Komunikaty prasowe są bliższe literaturze.

– To w porządku – rzekł Mo Yan.

– Ma, drogie dziecko – zwrócił się Yu Yichi do dziewczyny – leć szybko, przygotuj panu Mo kąpiel. Niech zmyje z siebie cały ten brud i smród.

Dziewczyna w okularach mruknęła przytakująco i udała się do łazienki. Po chwili rozległ się szum wody.

Yu Yichi otworzył kredens, w którym stało kilkadziesiąt butelek.

– Czego się pan napije? – zwrócił się do Mo Yana.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. Jest wczesnie rano...

– Jak to nie skorzystasz? Jesteś w Alkoholandii, picie to twoje główne zadanie!

– Wolałbym herbatę.

– Nie ma herbaty w Alkoholandii. Wino jest naszą herbatą!

– Takie są tutejsze obyczaje, Nauczycielu – nalegał Li Yidou.

– No dobrze, niech wam będzie – poddał się Mo Yan.

– To chodź tu i sam sobie wybierz – zaproponował Yu Yichi.

Mo Yan podszedł do kredensu. Widok tylu butelek pełnych najlepszych, najdroższych alkoholi przyprawił go niemal o oczopląs.

– Słyszałem, że jesteś niezły w te klocki – rzekł Yu Yichi.

– Mam raczej niewielkie możliwości – odparł Mo Yan – a moja wiedza na temat alkoholu też jest dość ograniczona.

– Coś taki skromny? Nawiasem mówiąc, czytałem wszystkie twoje listy do Li Yidou.

Mo Yan rzucił doktorowi alkoholologii niezadowolone spojrzenie.

– Dyrektor Yu jest w gruncie rzeczy jednym z nas – tłumaczył się gorączkowo Li

Yidou. – Zapewniam cię, że nie ma się czym przejmować.

Yu Yichi wyjął butelkę „mrowia zielonych mrówek” i rzekł:

– Zaraz po podróży lepiej zacząć od czegoś łagodniejszego.

– „Mrowie zielonych mrówek”, świetny pomysł – poparł go Li Yidou. – Recepturę opracował mój teść. To napój na bazie destylatu z zielonej fasoli, do którego dodano kilka gatunków rzadkich, aromatycznych ziół leczniczych. Pić ten trunek to tak, jakby słuchać gry na cytrze w wykonaniu klasycznej piękności – wywołuje on wrażenie kontaktu z tajemnicami dawnych wieków...

– Dosyć tego – przerwał Yu Yichi. – Ciągłe tylko zachwalasz te swoje towarki.

– Właśnie dzięki temu dostałem się do wydziału propagandy – odciął się Li Yidou. – Święto Małpiego Wina potrzebuje reklamy. W końcu jestem doktorem alkoholologii.

– Doktorantem, chciałeś powiedzieć – zauważył szyderczo Yu Yichi.

Wyjął z kredensu trzy kryształowe kieliszki i napełnił je „mrowiem zielonych mrówek”. Płyn miał niepokojąco zieloną barwę.

Mo Yan, zanim wyruszył do Alkoholandii, przerzucił trochę specjalistycznej literatury o alkoholu i dowiedział się co nieco o zasadach degustowania trunków. Wziął kieliszek, uniósł go wysoko, dotknął brzegiem czubka nosa, powąchał, a następnie powachlował dłonią, by rozproszyć aromat, który przylgnął do skóry. Powtórnie zbliżył kieliszek do nosa, wciągnął mocno powietrze, wstrzymał oddech, zamknął oczy i przybrał głęboko zamyślony wyraz twarzy. Po chwili otworzył oczy i rzekł:

– Rzeczywiście, całkiem niezłe. Ma kolor i aromat starożytności, elegancki i dostojny. Naprawdę niezłe.

– No proszę, stary draniu, jednak wiesz, co w trawie piszczy... – zauważył Yu Yichi.

– Pan Mo Yan ma wrodzony talent konesera alkoholu – wtrącił Li Yidou.

Mo Yan uśmiechnął się z zadowoleniem.

Wróciła dziewczyna w okularach.

– Kąpiel przygotowana, panie dyrektorze – oświadczyła.

Yu Yichi stuknął swoim kieliszkiem o kieliszek Mo Yana.

– Na zdrowie! A teraz weź kąpiel, prześpij się trochę, masz jeszcze jakieś dwie godziny – śniadanie podają o siódmej. Każę im cię zawołać.

Opróżnił kieliszek, klepnął Li Yidou w kolano i oznajmił:

– Doktorze, czas na nas.

– Wy dwaj też możecie sobie tu uciąć drzemkę. Jakoś się zmieścimy – zaproponował Mo Yan.

– W naszym hotelu mężczyznom nie wolno spać w tym samym pokoju – odparł Yu Yichi, robiąc perskie oko.

Li Yidou chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz Yu Yichi szturchnął go ponaglająco.

– No, idziemy, idziemy!

Wreszcie mogłem zrzucić z siebie Mo Yana – moją skorupę. Ziewnąłem, splunąłem, ściągnąłem buty i skarpetki. Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Pośpiesznie wciągnąłem do połowy opuszczone spodnie, poprawiłem koszulę i poszedłem otworzyć. Dziewczyna w okularach, imieniem Ma, wcisnęła się do środka.

Była cała w uśmiechach, senny wyraz całkowicie znikł z jej twarzy. Mo Yan, czując nagle podniecenie, zapytał układnie:

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Pan dyrektor prosił, żebyś dołała panu odrobinę „mrowia zielonych mrówek” do wanny – odrzekła panna Ma.

– Wódki do kąpieli? – zdziwił się Mo Yan.

– To wynalazek naszego pana dyrektora. Pan dyrektor twierdzi, że kąpiel z dodatkiem alkoholu jest korzystna dla zdrowia. Alkohol niszczy bakterie, rozluźnia mięśnie i poprawia krążenie krwi – wyjaśniła panna Ma.

– Alkoholandia... To miejsce naprawdę zasługuje na swoją nazwę – zauważył Mo Yan.

Panna Ma wzięła odkorkowaną butelkę „zielonych mrówek” i poszła do łazienki, Mo Yan za nią. W powietrzu unosiły się delikatne obłoczki pary, co wyglądało nad wyraz nastrojowo. Panna Ma wylała do wanny całą zawartość

opróżnionej do połowy butelki. Rozszedł się intensywny, bardzo pobudzający aromat.

– Gotowe. Panie Mo Yan, zapraszam do kąpieli.

Skierowała się do wyjścia z uśmiechem, w którym Mo Yan wyczuł łagodność i czułość. W gwałtownym porywie uczuć już chciał objąć ją ramieniem i pocałować w rumiany policzek, lecz zacisnął zęby, zdusił impuls i poczekał, aż panna Ma opuści pokój.

Postał chwilę w łazience, po czym zaczął zdejmować ubranie. W apartamencie było ciepło jak wiosną. Rozebrał się do naga, pogładził ręką wydatny brzuch. Gdy spojrzął na siebie w lustrze, dopadł go atak kompleksu niższości. Odetchnął z ulgą na myśl, że przed chwilą udało mu się uniknąć popełnienia okropnego błędu.

Wskoczył do wanny, z trudem wytrzymując kontakt z gorącą, wzmocnioną alkoholem wodą. Pomału zanurzył się aż po szyję i oparł głowę o gładki brzeg wanny. Woda z dodatkiem wódki miała lekko zielonkawy odcień. Czuł na całym ciele delikatne ukłucia, jakby niezliczonych maleńkich igiełek, odrobinę bolesne, lecz niezwykle przyjemne. Pieprzony karzeł, zaklął z podziwem, ten to umie korzystać z życia! Po kilku minutach ból zniknął bez śladu; Mo Yan poczuł, że jego krew zaczęła krążyć w tempie, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem. Ze stawów wyparowała cała sztywność. Po następnych kilku minutach pot wystąpił mu na czoło. Całym ciałem doświadczał tej wspaniałej rozkoszy, którą daje tylko porządne wypocenie się. Ileż to lat minęło, odkąd ostatnio się wypociłem? – zastanawiał się. Wszystkie pory miałem kompletnie zatkane. Trzeba było wsadzić Ding Gou’era do wanny pełnej wody z dodatkiem „zielonych mrówek” i przysłać mu kobietę – takie epizody są obowiązkowe w powieściach sensacyjnych.

Po kąpieli Mo Yan zarzucił na ramiona szlafrok pachnący wanilią i rozparł się leniwie na kanapie.

Poczuł się nieco spragniony. Wyjął z kredensu butelkę białego wina, lecz nim zdążył ją otworzyć, panna Ma znowu weszła do pokoju, tym razem nie pukając do drzwi. Mo Yan, spięty, pośpiesznie zawiązał pasek od szlafroka, zakrywając nogi. „Spięty” nie jest właściwym określeniem – w rzeczywistości uczucie, którego doznał, było raczej przyjemne.

Panna Ma wyręczyła go w otwieraniu butelki i napelniła kieliszek, mówiąc:

– Panie Mo Yan, dyrektor Yu prosił mnie, żebym zrobiła panu masaż.

Krople potu wystąpiły mu na twarz.

– Ależ... już za chwilę wszędzie słońce – wyjąkał. – Nie trzeba...

– To polecenie dyrektora – nalegała panna Ma. – Proszę, niech pan nie odmawia.

Mo Yan spoczął na łóżku i poddał się masażowi panny Ma, koncentrując się na wyobrażeniu pary lodowatych kajdanek. W ten sposób chronił się przed popełnieniem okropnego błędu.

Podczas śniadania Yu Yichi bez przerwy się uśmiechał, co wprawiało Mo Yana w ogromne zakłopotanie. Chciał coś powiedzieć, lecz czuł, że słowa są zbyteczne – milczenie mówiło wszystko.

Przybiegł zdyszany Li Yidou. Mo Yan, widząc jego poszarzałą twarz i sine podkówki pod oczami, zapytał z troską:

– Nie wróciłeś do siebie, żeby się przespać?

– Miałem do napisania tekst dla prowincjonalnego dziennika, nalegali na pośpiech, więc zająłem się tym.

Mo Yan nalał wina i podał mu kieliszek.

– Mo Yan, Nauczycielu – zaczął Li Yidou, skończywszy wino – sekretarz Hu zaprasza cię dziś rano na zwiedzanie miasta. Potem chciałby gościć cię na obiedzie.

– Ależ... naprawdę nie trzeba – pan sekretarz Hu z pewnością jest bardzo zajęty.

– Oczywiście, że trzeba – nalegał Li Yidou – jesteś naszym honorowym gościem. Alkoholandia liczy na to, że rozsławisz ją swym walecznym piórem.

– Ja? Walecznym piórem?

– Mo Yan, bracie, jedz na zdrowie! – zachęcał Yu Yichi.

– Mo Yan, Nauczycielu, jedz, proszę – wtórował mu Li Yidou.

Mo Yan przysunął się na krześle bliżej stołu i oparł łokcie na śnieżnobiałym obrusie. Jasne promienie słońca wpadały przez wysokie okna, oświetlając każdy kąt niedużej jadalni. Delikatne dźwięki jazzu sączyły się z okolic sufitu, stłumione, jakby dochodziły z bardzo daleka; trąbka brzmiała szczególnie sugestywnie. Mo Yan wspominał dziewczynę w okularach – pannę Ma, i masaż.

Śniadanie składało się z sześciu niedużych, apetycznych dań w barwach świeżej zieleni i czerwieni. Oprócz tego było mleko, jajecznica, tosty, dżem, bułeczki gotowane na parze, kleik ryżowy, solone kacze jaja, „cuchnące tofu”, małe ciasteczka sezamowe, rogaliki... wielka różnorodność przysmaków, zarówno chińskich, jak i cudzoziemskich.

- Dla mnie wystarczy bułka na parze i miska kleiku – rzekł Mo Yan.
- Jedz do syta, nie ma się co ograniczać, w Alkoholandii mamy pod dostatkiem jedzenia – zachęcał Yu Yichi.
- Czego się napije Nauczyciel Mo Yan? – spytał Li Yidou.
- Nie pijam na pusty żołądek, dziękuję – odrzekł Mo Yan.
- Ależ skus się chociaż na jeden kieliszek, takie są u nas zasady – nalegał Yu Yichi.
- Pan Mo Yan ma wrażliwy żołądek, myślę, że najlepsza byłaby rozgrzewająca nalewka imbirowa – zaproponował Li Yidou.
- Yang, chodź no tu, nalej nam wina! – krzyknął Yu Yichi.

Natychmiast zbliżyła się kelnerka – była jeszcze bardziej urocza niż panna Ma. Mo Yan wpatrywał się w nią, z lekka oszołomiony. Yu Yichi szturchnął go, mówiąc:

- I jak, bracie, podobają ci się dziewczyny w moim lokalu?
- Są niczym damy z Księżycowych Pałaców – odrzekł Mo Yan.
- Alkoholandia to nie tylko kraina wspaniałych win – rzekł Li Yidou. – Słyniemy także z pięknych kobiet. Matki słynnych piękności, Xi Shi i Wang Zhaojun, pochodziły właśnie z Alkoholandii.

Yu Yichi i Mo Yan wybuchnęli śmiechem.

- Nie macie się z czego śmiać – zaprotestował gorliwie Li Yidou – mam podstawy, by tak twierdzić.
- Daj spokój tym bajeczkom – rzekł Yu Yichi – jeśli chodzi o zmyślanie historii, Mo Yan jest w te klocki lepszy od ciebie.

Li Yidou roześmiał się również i rzekł:

- Macie rację, wymachuję toporkiem przed domem mistrza Lu Bana – nie ma sensu się popisywać przed ekspertem.

Wśród wesołych pogaduszek i śmiechów skończyli śniadanie. Panna Yang przyniosła Mo Yanowi ciepły ręcznik do rąk, zwilżony perfumowaną wodą.

Mo Yan wytarł nim twarz i ręce – po raz pierwszy w życiu doświadczył takiego uczucia luksusu. Dotknął policzków – były niezwykle gładkie i delikatne. Czuł się

wspaniale.

– Dyrektorze Yu – odezwał się Li Yidou – w kwestii obiadu liczymy na pana.

– Myślicie, że trzeba mi o tym przypominać? – zachnął się Yu Yichi. – Dla naszego Mo, szlachetnego gościa z dalekich stron, jestem zawsze do usług!

– Mo, Nauczycielu – rzekł Li Yidou – zamówiłem samochód, ale możemy też iść piechotą, jeśli masz ochotę.

– Odeślijcie wóz, chodźmy się przespacerować – zaproponował Mo Yan.

– W porządku – zgodził się Li Yidou.

### III

Mo Yan i Li Yidou idą razem Oślą Uliczką.

Oślą Uliczkę pokrywa stary, szaroniebieski bruk, wymyty do czysta przez nocny deszcz. Spomiędzy kamieni wieje chłodem, czuć woń padliny.

– Czy to tutaj pojawia się ten czarny osiołek-duch? – pyta Mo Yan, przypomniawszy sobie opowiadanie Li Yidou.

– To tylko legenda, w rzeczywistości nikt go nigdy nie widział – odpowiada Li Yidou.

– Tę ulicę muszą nawiedzać tłumy oślich duchów – zauważa Mo Yan.

– Zgadza się – potwierdza Li Yidou. – Ośla Uliczka liczy sobie co najmniej dwieście lat, zarżnięto tu niezliczone stada osłów.

– Ile sztuk dziennie się ubija?

– Około dwudziestu.

– Skąd bierzecie aż tyle?

– A jak by się utrzymały te wszystkie osłe jatki, gdybyśmy nie mieli pod dostatkiem

osłów? – odpowiada Li Yidou.

– To naprawdę sporo. Wszystko udaje się sprzedać?

– Zdarza się nawet, że brakuje towaru.

Gdy tak rozmawiają, z naprzeciwka nadchodzi mężczyzna, wieśniak, prowadzący dwa tłuste, czarne osły. Mo Yan podchodzi i pyta:

– Dziadku, te osły to na sprzedaż?

Stary wieśniak mierzy go chłodnym spojrzeniem, milczy i odchodzi, zabierając swoje zwierzęta.

– Chcesz popatrzeć, jak zarzynają osła? – pyta Li Yidou.

– Pewnie że chcę – odpowiada Mo Yan.

Zawracają; podążają za wieśniakiem i jego osłami. Zatrzymują się przed jatką rodziny Sun.

– Szefie, mam te osły! – woła wieśniak.

Łysy mężczyzna w średnim wieku wybiega z jatki ze słowami:

– A, to ty, stary Jin, co tak długo?

– Był tłok na przystani – odpowiada stary Jin.

Łysy otwiera furtkę obok.

– Dawaj je tu.

Li Yidou podchodzi bliżej i mówi:

– Witam, panie Sun.

Łysy patrzy zdziwiony.

– Bracie, a ty co, bladym świtem na spacerek?

– To jest słynny pisarz z Pekinu, pan Mo Yan, według jego powieści nakręcili Czerwone sorgo – wyjaśnia Li Yidou, wskazując palcem swego towarzysza.

– Nie rozgaduj się, Yidou – przerywa Mo Yan.

– Czerwone sorgo? – mówi łysy, patrząc na Mo Yana – A, wiem, niezłą wódkę z tego robią!

– Pan Mo Yan chciałby popatrzeć, jak zarzyniecie osła – mówi Li Yidou.

– Ale... ehem... – jąka się zmieszany łysy – krew tu się leje na wszystkie strony, to zła, nieczysta aura, po co wam to?

– Ejże, nie wykręcaj się – nalega Li Yidou. – Pan Mo Yan przyjechał na zaproszenie sekretarza Hu z Miejskiego Komitetu Partii. Będzie pisał artykuł o Alkoholandii.

– A! To pan jest reporterem! – ożywia się łysy. – W takim razie zapraszam, proszę rzucić okiem! Mojemu sklepikowi przyda się trochę reklamy.

Mo Yan i Li Yidou idą za osłami na zaplecze. Łysy obchodzi zwierzęta wokoło. Robią wrażenie wystraszonych – wyraźnie go unikają.

– Ten gość to dla nich ktoś w rodzaju władcy piekieł – objaśnia Li Yidou.

– Hej, Jin, niespecjalny ten dzisiejszy towar! – rzuca łysy.

– Delikatne mięso, czarna skóra, brzuchy utuczone na fasolowych plackach, czego jeszcze chcesz? – oburza się stary Jin.

– Jakby ci to powiedzieć? Te osły są pędzone hormonami, mięso będzie niesmaczne!  
– wyjaśnia łysy.

– A skąd, do cholery, miałem wytrzasnąć jakieś hormony? Gadaj prosto z mostu, bierzesz te osły czy nie? Jak nie, to je zabieram. Tu jest cała ulica jatek...

– Nie denerwuj się, bracie – uspokaja go łysy. – Tyle lat się znamy, choćbyś mi przyprowadził osły z tektury, i tak je kupię. Najwyżej złożę nabytek w ofierze bogu pieca.

Stary Jin wyciąga dłoń.

– Podaj cenę.

Łysy także wyciąga rękę, dwie dłonie łączą się ze sobą i razem kryją się w rękawach.

Mo Yan patrzy ze zdumieniem. Li Yidou wyjaśnia szeptem:

– Takie tu są zwyczaje. Przy handlu żywcem targują się na palcach.

Twarze łysego i handlarza osłów mienia się emocjami. Wyglądają jak mimowie na scenie. Mo Yan obserwuje ich z ogromnym zainteresowaniem.

Ramię łysego drgnęło.

– To moja ostateczna cena, nie dam ani grosza więcej! – mówi głośno.

Ramię handlarza drgnęło również.

– Tyle i już!

Łusy zabiera rękę.

– Ani grosza więcej, mówię! Nie chcesz sprzedać, to zabieraj je z powrotem!

Handlarz osłów wzdycha i mówi głośno:

– Ech, Sun, ty stary, łusy skurczybyku, niech cię piekło pochłonie! Niech cię zagryzą duchy dzikich osłów!

– Ciebie pierwszego zagryzą, pieprzony handlarzu! – odparowuje łusy.

Handlarz osłów odwiązuje linę. Interes ubity.

– Hej, matka! – krzyczy łusy. – Przynieś no Jinowi czarzę czegoś mocniejszego!

Zjawia się kobieta w średnim wieku, umazana tłuszczem, z dużą, białą czarzą pełną wódki i podaje ją staremu Jinowi.

Stary Jin przyjmuje czarzę, spogląda na kobietę.

– Szwagierko – mówi – przyprowadziłem ci dzisiaj dwa czarne samce. Dwa wielkie osły fiuty chyba ci starczą na jakiś czas.

Kobieta parska i mówi:

– Na nic mi takie zabawki, żeby ich było nie wiadomo ile. Twoja żona też pewno zadowolą się tym, co ma!

Stary Jin wybucha śmiechem, po czym z bulgotem wlewa sobie wódkę do gardła i oddaje czarzę kobiecie. Obwiązuje się w pasie liną.

– Hej, łusy, po południu przyjdę po forszę! – woła.

– Idź precz, zajmij się swoimi sprawami. Tylko nie zapomnij kupić „mięsnej ofiary”

dla wdowy Cui – radzi łysy.

– Już kogoś ma, nie trzeba jej ofiar od starego Jina – odpowiada Jin. Wielkimi krokami przechodzi przez sklep, mija ladę i wychodzi na Oślą Uliczkę.

Tymczasem łysy już przygotowuje swoje rzeźnicze narzędzia.

– Bracie – zwraca się do Li Yidou – stańcie sobie z panem reporterem z boku, żeby was nie ochlapało.

Mo Yan patrzy, jak oba przywiązane liną osły naiwnie chowają się w kącie, nie próbując nawet uciekać, i tylko dygoczą z przerażenia, nie wydając głosu.

– Każdy osioł, bez względu na to, jak groźny, na jego widok spuszcza głowę i się trzęsie – komentuje Li Yidou.

Łysy z zakrwawionym dębowym pobijakiem w ręku zachodzi jednego osła od tyłu, bierze zamach i uderza w miejsce połączenia osłego kopyta z nogą. Osioł ląduje zadem na ziemi. Łysy zamierza się powtórnie, tym razem celując w czoło. Osioł pada na wznak. Jego nogi sterczą sztywno w górę niby cztery kije. Drugi osioł nie próbuje uciekać, lecz ze wszystkich sił napiera głową na mur, jakby chciał się przebić na drugą stronę.

Łysy przynosi miskę, stawia ją obok szyi leżącego osła, chwyta rzeźniczy nóż i przecina tętnicę szyjną. Purpurowoczerwona krew tryska prosto do miski...

Napatrzywszy się na oślą rzeź, Mo Yan i Li Yidou wracają na Oślą Uliczkę.

– To było naprawdę okrutne – mówi Mo Yan.

– Teraz i tak wszystko odbywa się w sposób znacznie bardziej cywilizowany niż kiedyś – zapewnia Li Yidou.

– A jak było kiedyś? – pyta Mo Yan.

– Pod koniec rządów dynastii Qing – objaśnia Li Yidou – tu, na Oślej Uliczce, mieścił się sklep, znany z najlepszej ośliny do smażenia. Mieli następującą metodę uboju – kopali kwadratową dziurę w ziemi, wkładali do niej bardzo grubą deskę z czterema okrągłymi otworami w rogach, i wsadzali w te otwory nogi osła. Osioł nie był w stanie walczyć. Następnie parzyli go wrzątkiem i oskubywali z sierści. Klienci mogli sobie wybrać część, na którą mają ochotę, a rzeźnik od razu ją odcinał. Zdarzało się, że całe mięso było już sprzedane, a osioł jeszcze dychał. To dopiero było okrutne, nie uważasz?

– Raczej tak – przyznaje rację Mo Yan, cmokając z dezaprobatą językiem o

podniebienie.

– Niedawno w jatce rodziny Xue powrócono do tych okrutnych praktyk, klienci walili drzwiami i oknami, lecz władze miejskie wydały zakaz.

– Słusznie – zauważa Mo Yan.

– Mówiąc szczerze, przez te metody mięso było niesmaczne – mówi Li Yidou.

– Twoja teściowa twierdzi, że stres u zwierzęcia przed ubojem wpływa na jakość mięsa – pisałeś o tym w jednym z opowiadań – zauważa Mo Yan.

– Masz znakomitą pamięć, Nauczycielu! – zachwyca się Li Yidou.

– Jadłem kiedyś „żywe ryby duszone w sosie sojowym”. Te stworzenia, zanurzone we wrzącym sosie, wciąż otwie-

rały i zamykały pyski, jakby chciały coś powiedzieć – mówi Mo Yan.

– Mógłbym wymienić sporo takich okrutnych praktyk kulinarnych. Moja teściowa jest specjalistką w tej dziedzinie.

– Czy postać teściowej z twoich opowiadań bardzo się różni od pierwowzoru? – pyta Mo Yan.

– Różnią się jak niebo i ziemia – odpowiada Li Yidou, rumieniąc się.

– Odważny jesteś, bracie – mówi Mo Yan. – Jeśli twoje opowiadania ujrzą światło dzienne, twoja żona i teściowa uduszą cię w sosie sojowym!

– Mogą mnie dusić, gotować na parze i smażyć w głębokim oleju. Pod warunkiem że ktoś je wreszcie opublikuje.

– Nie warto się tak poświęcać.

– Warto.

– Pogadamy dziś wieczorem. Jesteś świetny, i na pewno dużo bardziej utalentowany ode mnie!

– Nauczycielu, pochlebiasz mi – mówi Li Yidou.

## IV

Uroczysty obiad odbywa się w restauracji „Yichi”.

Mo Yan siedzi na honorowym miejscu, sekretarz Hu zajmuje miejsce gospodarza. Towarzyszy im jakieś siedem, osiem osób, same ważne figury. Wśród gości jest też Yu Yichi i Li Yidou. Elegancki Yu Yichi bryluje z miną światowca. Nerwowy Li Yidou wygląda, jakby nie wiedział, co ze sobą począć.

Sekretarz Hu jest trzydziestopięcioletnim mężczyzną o okrągłej głowie, dużych oczach, włosach zaczesanych do tyłu i twarzy lśniącej od tłuszczu. Wygląda godnie, wyraża się elegancko, bije od niego prestiż i dostojność.

Spełniono trzy toasty. Sekretarz Hu oznajmia, że musi się pokazać jeszcze na kilku innych przyjęciach, wstaje i odchodzi. Wicedyrektor Jin z wydziału propagandy bierze karafkę i nalewa następną kolejkę. Po półgodzinie Mo Yanowi kręci się w głowie, ma kompletnie zdrętwiałe wargi.

– Panie wicedyrektorze Jin... – jęka Mo Yan – nie spodziewałem się, że jest pan tak wspaniałą, wybitną osobą... Myślałem, że jest pan raczej... potworem... pozerającym maleńkie dzieci...

Mo Yan nie widzi świeżych kropli potu na twarzy Li Yidou.

Jeden z dygnitarzy przerywa:

– Nasz wicedyrektor Jin potrafi też znakomicie śpiewać i grać na przeróżnych instrumentach. A jak wykonuje partię sędziego Bao! Głos ma jak dzwon, nie ustępuje wielkiemu Qiu Shengxu!

– Panie wicedyrektorze, bardzo prosimy, niech pan zaśpiewa! – prosi Mo Yan.

– Nie chciałbym was zanudzać jakimiś marnymi popisami – rzekł Jin Gangzuan.

Wstaje, odchrząkuje i uderza w śpiew. Głosem tak grzmącym, że mógłby skruszyć skałę, to wznoszącym się płynnie, to znów swobodnie opadającym, wyśpiewuje długą arię, bez śladu rumieńca wysiłku na twarzy, ani na chwilę nie tracąc oddechu. Skończywszy, składa ręce przed klatką piersiową – jedną dłoń otwartą, drugą zaciśniętą w pięść – w tradycyjnym pozdrowieniu.

– Proszę, nie śmieJCie się ze mnie! – mówi.

Mo Yan wydaje głośny okrzyk entuzjazmu.

– Panie Mo Yan, niech pan się ze mną podzieli odrobiną swojej wiedzy – prosi wicedyrektor. – Po co oddaje się mocz do kadzi z alkoholem?

– To tylko wymysły pisarza, niewarte, by je traktować poważnie – odpowiada Mo Yan, rumieniąc się.

– Wypijmy potrójną kolejkę, ale pod warunkiem że pan Mo Yan zaśpiewa arię Młodsza siostra kroczy mężnie naprzód – proponuje wicedyrektor.

– Kiepski ze mnie kompan do kielicha, a śpiewak jeszcze gorszy – wymiguje się Mo Yan.

– My, prawdziwi mężczyźni, przy winie zawsze śpiewamy pieśni. No, bardzo pana proszę – mogę wypić pierwszy! – nalega wicedyrektor.

Jin Gangzuan stawia przed sobą rządkiem trzy kieliszki, nalewa do pełna, opuszcza głowę, robi głęboki wdech. Następnie podnosi głowę, trzymając w ustach wszystkie trzy kieliszki, po czym przechyla się w tył, opróżniając je do dna. W końcu opuszcza głowę, stawiając kieliszki z powrotem na stole.

– Znakomicie! – chwali jeden z dygnitarzy. – To się nazywa Potrójny kwiat śliwy<sup>13</sup>!

– Drogi Mo, to był popisowy numer wicedyrektora Jina – wyjaśnia Li Yidou.

– Fantastyczne! – zachwyca się Mo Yan.

– Prosimy, prosimy, panie pisarzu! – zachęca wicedyrektor Jin.

Trzy pełne kieliszki stają przed Mo Yanem.

– Tym razem nie liczcie na potrójne kwiaty śliwy – uprzedza Mo Yan.

– Jeden kieliszek na jeden raz w zupełności nas zadowoli – mówi Jin Gangzuan łaskawie. – Zawstydzanie pana Mo w żadnym wypadku nie jest naszym zamiarem.

Po trzech kieliszkach Mo Yanowi straszliwie kręci się w głowie.

Wszyscy namawiają go do śpiewania.

Mo Yan ma wrażenie, że jego usta są kompletnie do niczego – wargi i język działają zupełnie niezależnie od jego woli tudzież od siebie nawzajem.

– Panie Mo Yan, nasz drogi pisarzu – prosi wicedyrektor Jin – jeśli pan zaśpiewa,

wypiję „łódź podwodną” za pańskie zdrowie.

Mo Yan śpiewa, fałszując okropnie.

Na koniec rozlega się chóralny aplauz.

– W porządku. A teraz wypiję „łódź podwodną” – oznajmia wicedyrektor Jin.

Nalewa piwa do wysokiej szklanki, a małą szklaneczkę napelnia wódką. Następnie topi szklankę wódki w szklance piwa, i wypija zawartość obu naczyń za jednym zamachem.

Do sali wchodzi kobieta. Pyta głośno, ze śmiechem:

– Cha-cha! Gdzie nasz pisarz? Dajcie mi wypić za niego trzy kielichy!

Li Yidou szepcze Mo Yanowi do ucha:

– To pani burmistrz Wang. Potrafi wypić całe morze!

Mo Yan przygląda się zbliżającej się pani burmistrz. Ma kwadratową, dużą twarz, białą i subtelną, oczy lśniące i wilgotne jak jesienny deszcz, elegancką suknię – wygląda jak dama z epoki Tang.

Mo Yan usiłuje wstać, lecz zamiast tego nurkuje pod stół.

## V

Mo Yan Mo Yan drogi nauczycielu co się z panem dzieje proszę się obudzić ten nicpoń napisał Wódkę z sorga sam jest kompletnym żółtodziobem jeśli chodzi o picie pić nie umie a przyjeżdża tu do Alkoholandii i robi zamieszanie do szpitala z nim sprowadźcie samochód dajcie mu rosół z karpia to go trochę otrzeźwi rosół z karpia pobudza laktację chyba nie urodził ostatnio dziecka mięsnego dziecka na pozłacanym półmisku udekorowanym szmaragdowymi liśćmi selera i lśniącymi czerwonymi smakowitymi wiśniami importowanymi z USA złocisty sos kleisty lepki jak miód spływa ale się nie rozlewa dzwoni do miejskiego szpitala wołaj karetkę jeśli coś mu się stanie nie wywinie się z tego reflektory karetki czerwone jak krew jak oczy wilka zbliżają się to jest wielka sprawa ważna sprawa nierozwiązana prawnicy dziennikarze ramię w ramię z Ding Gou’erem Ding Gou’er ty idioto

skompromitowałeś nas braki zboża zwalczać prawicowych reakcjonistów zdławić burżuazyjny liberalizm w stawach są stada całe stada trójnogich żab o czerwonych grzbietach pierwszy bank ludzkiej spermy Sny nowy film Akiry Kurosawy drzewka brzoskwini rozkwitają potwory demony wyją góra Fudzi duszona w sosie sojowym stopiona kapie jak kawał mięsa wyjęty z lodówki i pozostawiony na słońcu smak lat dziewięćdziesiątych wyborny wyśmienity ultradźwięki popiskują w kuchence pytam trzeciego wuja gdzie trzecia ciotka trzeci wuj odpowiada obojętnie udusiłem je w sosie sojowym i zjadłem prawicowe poglądy BUM niezliczone białe odłamki rtęci wybuchają zostaje tylko pusta łuska pierwsze wspomnienia z czasów wielkiego skoku jak ludzie mogą zjadać ludzi a właściwie dlaczego nie mogą Yi Ya ugotował syna i darował księciu Huanowi z państwa Qi Liu Bei zjadł żonę myśliwego Li Kui Czarne Tornado zjadł pieczoną nogę rozbójnika Li Gui Lu Xun przeglądał Dziennik szalonego stare księgi całe zapisane słowami „jeść ludzi” starszy brat zjedzony starsza siostra zjedzona mały chłopczyk też zjedzony Urzędnicze zepsucie zdemaskowane powieść pełna mrocznych tajemnic ty ofiaro daj mi kroplówkę z lekarstwem chroniącym wątrobę Ośmiu Nieśmiertelnych Wina wielki łyk gdy uczucie głębokie mały łycecz jeśli takie sobie ta powieść ma wzbudzać optymizm nie może być sarkastyczno-ironiczna dygnitarze mają być prawdziwi nie komiksowi to ma być poważna literatura nie historyjki o intrygach i spiskach złamana włócznia Lin Biao zagłębia się w piasku czy to prawda że użyto pocisku samonaprowadzającego kiedy ogłoszono szesnaście też zdarłem sobie gardło od krzyku zobaczyłem białe piersi Nuan to było nieuniknione powiedziałem daj mi popatrzeć jedno spojrzenie byłem przerażony żrebaki jagnięta bee bee brzuchy baranów owija się tkaniną kontrola urodzin największy problem Chin sprzeczność której nie potrafią przezwyciężyć inżynierowie dusz ludzkich ona jest największym mistrzem sztuki kulinarnej swego pokolenia gotując jaskółcze gniazda słyszała rozpaczliwe krzyki złotopiórych salangan Li Yidou ty lizusie przez ciebie moja powieść zeszła na złą drogę Fan Xiaotian zaprosił mnie do Wege-smakosza na nadziewane bułeczki gotowane na parze i postawił mi piwo kiedy piłem z Yu Hua powiedział Ding Gou'er stój kto by pomyślał że jesteś takim beznadziejnym idiotą twoje łapska lepią się od krwi ludu kocham cię wiem to dopiero teraz kiedy jestem pijany kocham cię tak bardzo nie ma ucieczki długa długa lina ciągnie się jak ogon kiedy szedłem przez pole był mróz ziemia pokryta śniegiem zające pozamarzały na śmierć jeże też Alkoholandia jest fikcją lecz stanowi syntezę wielu rzeczywistych miast Ding Gou'er jesteś obrzydliwym typem zgrywasz niewymuszoną elegancję ale ci nie wychodzi wszystkie alkohole są takie same upijasz się i lądujesz w błocie Luan Ping śledził bohatera Yang Zironga żeby dostać się do armii musiałem nieźle łamać sobie głowę od wielu lat seks i moralność wciąż pozostają w konflikcie który jest przyczyną wielu cierpień rozdwojenia jaźni Faulkner uczył się stylistyki na Ulissiesie Joyce'a a ja mogę się uczyć od ciebie tutaj można tylko w ten sposób pierwotnie ten tekst miał badać relacje między alkoholem a kobietą alkohol zmniejsza męskie pożądanie lecz zwiększa kobiece na tym opiera się konflikt między teściem i teściową Li Yidou Konfucjusz nie odrzucał jedynie potraw z najlepszego ryżu i najcieniej krojonego mięsa brak mi słów brak argumentów tak właśnie wygląda literacka robota dokąd uciekł ten łuskowaty młodzik nadchodzi Święto Małpiego Wina i jak tu pisać ten

rozdział to takie smutne im dalej tym bardziej tracę cierpliwość żale Boga Wina do tego wina domieszano pestycydów skurwysyn lekarz przetoczył komuś krew kobiety z porodu powodując zanieczyszczenie środowiska duchowego im bardziej rozwinięta kultura picia tym piękniejsze kieliszki w tej pułapce zawiera się następna pułapka wiejski urzędnik partyjny nieokrzesany pijak upił na śmierć sołtysa Songa żona tego sołtysa była moją nauczycielką w podstawówce sprawa trafiła do sądu sąd oddalił oskarżenie mówiąc zapił się na śmierć z własnej woli nauczycielka powiedziała Mo Yan jesteś sławny napisz artykuł do gazety opisz tę sprawę w moim imieniu ujawnij niesprawiedliwość urzędnicy chronią siebie nawzajem ta sprawa nie ma szans zwłaszcza że on już nie żyje Ding Gou'er prawie się zapił na śmierć zarzygał wszystko dokoła lee lee lee nie da się wprowadzić prohibicji Cao Cao chciał zakazać picia alkoholu przodek Konfucjusza Kong Rong ten co oddał gruszkę kpił sobie z niego mówiąc dynastia Shang upadła przez kobietę lecz król Wen z dynastii Zhou nie zakazał kobiet Cao Cao wpadł w gniew i zabił go Cao Cao grzał śliwkowe wino dyskutował o bohaterach huczne przyjęcia z okazji awansu burmistrza na stanowisko w administracji prowincji trwały czterdzieści dni wino lało się strumieniami niczym potężna rzeka wino jak Jangcy płynie dziesięć tysięcy mil poprzez picie do chwały kto pije ten wspaniały powiem ci dlaczego napisałem tę powieść otóż czytałem pewien artykuł o tym jak jeden człowiek co miał mocną głowę dzięki temu zdobył stanowisko i majątek i to mnie zainspirowało strona po stronie pijane słowa nonsensowny bełkot usta pełne piany zwymiotowane jedzenie przez to nasz pies zdechł z przepicia on to zjadł uczyć dziecko picia kobieta gwiazda wina mężczyzna gwiazda wina współzawodniczą ze sobą żadne nie przegrywa ani nie wygrywa zakochują się biorą ślub w noc poślubną kobieta mówi to boli do cholery wstrzyknąłeś mi do środka alkohol ty draniu mocz urzędników też jest bardzo ostry duża zawartość alkoholu urodziło się dziecko nie piło mleka ani wody tylko napoje wysokoprocentowe nazwano je Alkoholowym Bobasem zadziwiło cały świat wielkim pijakom stawia się ołtarze by oddawać im cześć po uroczystości ku czci człowieka który zapił się na śmierć wszyscy się spili dowcipne uwagi sypały się jedna za drugą lecz to wszystko beze mnie w moim umyśle rozszalałe morze mamó ratuj szczypanie w uszy nie pomaga więc szczypie mnie w nos rozwiera moje zaciśnięte szczęki i wlewa kieliszek czerwonogrzywego rumaka w jeden z otworów mojego ciała zwany ustami gaworzę jak niemowlę z matczynym sutkiem w buzi chcę wypluć ale nie mogę buchające płomienie wdzierają się przez moje zepsute gardło do cuchnącego żołądka i rozpuszczają się czuję się jakby rozcinano mi brzuch zamykam oczy chcę wstać ale nie mam nóg gdzie moje nogi wiszą pod sufitem kołyszą się jak szynki z Jinhua w sklepie mięsny albo jak protezy nóg na haczykach w sklepie ze sprzętem dla inwalidów dołożyć Li Yidou temu zdracliwemu szkodnikowi tylko że rąk też nie mam nic już nie mam jest tyle różnych zbrodni które powinny zostać ukarane czas jeszcze nie nadszedł już nadszedł czas nadszedł czas by umrzeć jak feniks trawiony płomieniem zanurzam się w szmaragdowych płomieniach obracam się a jednak zapiłem się na śmierć w Alkoholandii tak samo jak Ding Gou'er Ding Gou'er jest moim cieniem wychudł wygląda jak kulawa małpa cały oblepiony gównem i wszelkim plugastwem zwymiotowanym przez pijaków miliony muszych larw pełzają mu we włosach stoi naprzeciwko mnie patrząc mi w oczy i uśmiecha się

porozumiewawczo daje mi do zrozumienia bym spojrział w dół mój cień i jego cień nakładają się na siebie nie da się odróżnić jednego od drugiego wyciąga pistolet Ding Gou'era pamiętam że w magazynku jest jeszcze ostatni nabój zachowany na wszelki wypadek no rusz się nie ma się co zastanawiać mówi strząsając długiego robaka wypełzającego z lufy oblepionej łajnem odciąga zamek wytrząsa z lufy wymiociny tfu tfu wypływa coś podobnego do dziecięcego włosa mówi jasne że będę strzelał nie mam zamiaru być miły otworzę ogień do tych wszystkich dzikusów kanibali do tych faszystów a ty nie masz się co kulić możesz się wyprostować o właśnie tak jak czarne osłe przyrodzenie powiedział swoje po czym od razu wycelował w nasze cienie leżące jeden na drugim grubą warstwą na ziemi i wystrzelił ostatnią kulę cuchnąca pod samo niebo kula wyleciała z lufy za nią fala smrodu zgniłego mięsa i kłęb zielonkawego wilgotnego dymu o najbardziej przerażającej woni na świecie obaj czujemy w sercach ukłucie potwornego bólu podskakujemy niczym karpie na suchej ziemi pozbawieni nadziei tak jakby postrzelono nasze ciała lecz okazuje się że to tylko nasze cienie podskakują na ziemi trafione kulą a potem obaj padamy patrząc sobie w twarz uśmiechamy się do siebie jak rodzeni bracia po długiej rozłące

## Objaśnienia

Ah Q – bohater mikropowieści Lu Xuna pt. Prawdziwa historia Ah Q (chiń. Ah Q zheng zhuan). Antybohater, ucieleśnienie narodowych wad Chińczyków.

Akademia Hanlin – instytucja stworzona w VIII wieku przy chińskim dworze cesarskim, której głównym zadaniem było opracowywanie oficjalnej interpretacji kanonu konfucjańskiego (dzieła należące do tego kanonu stanowiły podstawę wyształcenia chińskich elit urzędniczych). Należeli do niej najwybitniejsi literaci i uczeni; działała do końca istnienia cesarstwa.

Ban Gu (32–92) – historyk, uważany za ojca chińskiej historiografii; autor Han shu, kroniki dynastii Han oraz dzieł filozoficznych i politycznych.

Bo Le – słynny znawca koni, minister na dworze dynastii Qin (221–206 p.n.e), odpowiedzialny za wybór odpowiednich wierzchowców dla armii. Jego postać symbolizuje zdolność trafnej oceny ludzkiego charakteru i uzdolnień.

Cao Cao (155–220) – wybitny dowódca wojskowy, cesarz, założyciel dynastii Wei; także poeta.

Czerwona latarnia (chiń. Hongdeng ji) – jedna z ośmiu tzw. oper modelowych, stworzonych i wystawianych w czasie „rewolucji kulturalnej”. Dzieła te, stylistyczne mieszanki tradycyjnej opery pekińskiej z dramatem w stylu zachodnim, powstawały pod kierownictwem Jiang Qing, żony Mao Zedonga. W okresie „rewolucji kulturalnej” były jedynymi widowiskami, których wystawianie było dozwolone; niektóre z nich są popularne do dziś.

„cztery modernizacje” – program unowocześnienia gospodarki chińskiej w czterech głównych dziedzinach: rolnictwa, przemysłu, nauki i wojskowości, przyjęty jako oficjalna linia KPCh w 1978 roku.

Du Fu (712–770) – jeden z najsłynniejszych poetów chińskich, uważany za największego chińskiego liryka wszech czasów; autor osobistych wierszy, często ukazujących okrucieństwa i bezsens wojny, w których snuje refleksje nad tragizmem ludzkiego losu wobec historii oraz porządkiem wszechświata.

Du Kang – chiński legendarny wynalazca napojów alkoholowych, jego imię bywa używane jako synonim alkoholu, jest też nazwą konkretnego trunku.

Dyskusje w Sali Białego Tygrysa (chiń. Baihu tong de lun) – dzieło Ban Gu, traktat reprezentatywny dla myśli filozoficznej epoki Han; tytuł pochodzi od dyskusji toczonych wówczas na dworze cesarskim przez uczonych konfucjańskich.

Dziewczyna o białych włosach (chiń. Bai mao nü) – opera i balet autorstwa Yan Jinxuana, zaliczana do ośmiu tzw. oper wzorcowych, stworzonych w czasie „rewolucji kulturalnej”. Na jej podstawie powstał film w reżyserii Shui Hua i Wang Bina, zrealizowany w 1950 roku; balet sfilmowano w roku 1972.

Guan Yu (160–219) – słynny generał z czasów Wschodniej Dynastii Han i Epoki Trzech Królestw, którego waleczne czyny opisuje wiele legend. Symbol prawości i lojalności, czczony do dziś jako bóstwo.

Guangxu (1871–1908) – cesarz z dynastii Qing, panował w latach 1875–1908; za jego panowania faktyczną władzę pełniła cesarzowa-matka Cixi.

Guo Moruo (Kuo Mo-žo) (1892–1978) – pisarz, historyk, działacz komunistyczny i polityk; od 1949 prezes Chińskiej Akademii Nauk; autor opowiadań i powieści, esejów, wierszy i dramatów oraz prac z historii i archeologii Chin.

Han – dynastia chińska, której panowanie dzieli się na dwa okresy: Zachodnią (Wcześniejszą, 206 p.n.e. – 9 n.e.) i Wschodnią (Późniejszą, 23–220); czasy ekspansji terytorialnej i rozkwitu kultury.

Han Wudi (Wu Di) (141–87 p.n.e.) – cesarz z dynastii Han, jeden z

najwybitniejszych władców tej epoki.

detektyw Hunter i Dee Dee McCall – para bohaterów amerykańskiego serialu kryminalnego Hunter w reżyserii Franka Lupo (1984–1991), bardzo popularnego w Chinach.

Kangxi (1654–1722) – cesarz z dynastii Qing, panował od 1662; mecenas kultury.

Kong Rong (153–208) – potomek Konfucjusza, urzędnik i pisarz z epoki Han. Opowiada o nim pewna popularna dydaktyczna anegdota: gdy ojciec Kong Ronga podarował synom półmisek gruszek, czteroletni Kong Rong zostawił dla siebie najmniejszy owoc, a inne, piękniejsze, ofiarował braciom.

Księga dziwów z pracowni Liao (chiń. Liaozhai zhiyi) – zbiór opowiadań fantastycznych autorstwa Pu Songlinga (1640–1715) o duchach i niezwykłych zdarzeniach.

Księga trzech ideogramów (chiń. Sanzijing) – rodzaj elementarza konfucjanizmu i historii Chin, przeznaczonego dla dzieci. Napisana w XIII wieku, przypisywana Wang Yinglinowi (1223–1296), składa się z ok. 1200 ideogramów ułożonych w wersy po trzy (stąd nazwa); dzieci uczyły się jej na pamięć przed rozpoczęciem nauki pisma, popularna jeszcze w XX wieku.

Kwiaty w lustrze (chiń. Jinghuayuan) – satyryczna powieść Li Ruzhena (1763–1830), opisująca fikcyjne państwo, w którym panuje odwrotny niż w tradycyjnych Chinach podział ról płciowych.

li – tradycyjna jednostka odległości, w ChRL obecnie równa 500 m.

Li Bai (Li Bo, Li Taibai, 710–762) – poeta, jeden z najwybitniejszych, obok Du Fu, liryków chińskich (obaj twórcy często są ze sobą porównywani). Autor wielkiej liczby wierszy, w których wyrażał taoistyczne dążenie do zjednoczenia z naturą i umiłowanie wolności; znany z upodobania do wina, które w jego poezji często towarzyszy mistycznym wędrownikom w świat nadprzyrodzony.

Li Shimin – pierwotne nazwisko Taizonga (601–649), cesarza z dynastii Tang (panował od 627 roku). Słynął m.in. z obsadzania urzędów państwowych na podstawie oceny zdolności i zasług kandydatów (rozwinął i udoskonalił system egzaminów na urzędników państwowych).

Li Shizhen (1518–1593) – lekarz i farmaceuta, autor Kompendium ziołolecznictwa (chiń. Bencao gangmu, dosł. „kompendium wiedzy o korzeniach i ziołach”), jednego z podstawowych dzieł tradycyjnej medycyny chińskiej. Zawiera ono m.in. opisy ponad 1800 ziół i ich zastosowania w leczeniu.

Li Yuhe – postać z opery rewolucyjnej Czerwona latarnia. Pracownik kolei, działał w konspiracji po stronie komunistów w czasie wojny chińsko-japońskiej (1937–1945). Wspomniana w powieści scena dotyczy jego aresztowania.

liang – tradycyjna jednostka wagi, w ChRL obecnie równa 50 g.

Lin Daiyu – jedna z bohaterek powieści Sen czerwonego pawilonu, której romans z głównym bohaterem Jia Baoyu stanowi jeden z najważniejszych wątków utworu; kobieta wielkiej urody i inteligencji, niezwykle wrażliwa emocjonalnie i o wątłym zdrowiu.

Liu Wencai (1887–1949) – bogaty obszarnik z Syczuanu; jego okazałą rezydencję zamieniono na muzeum.

Lu Xun, właśc. Zhou Shuren (1881–1936) – wybitny pisarz i krytyk literacki. Autor opowiadań, nowel i wielkiej liczby esejów oraz fundamentalnych prac z historii literatury chińskiej. Wzmiankowane w powieści opowiadanie Dziennik szalonego zawiera odniesienia do kanibalizmu.

Luan Ping i Yang Zirong – bohaterowie opery Zdobycie Góry Tygrysa (chiń. Zhi qu wei hushan, 1958), przekształconej w jedną z ośmiu tzw. oper wzorcowych, wystawianych w czasie „rewolucji kulturalnej”.

Opowieści o bóstwach (chiń. Soushenji) – zbiór opowieści i legend o nadprzyrodzonych istotach i cudownych wydarzeniach, skompilowany przez Gan Bao ok. 300 n.e.

Podróż na zachód (chiń. Xiyouji) – jedna z najpopularniejszych chińskich powieści klasycznych, wydana w końcu XVI wieku, tradycyjnie przypisywana Wu Cheng'enowi (ok. 1500–1582); opowiada o pielgrzymce mnicha Xuanzanga do Indii po święte teksty buddyjskie, w której towarzyszą mu trzej pomocnicy o nadprzyrodzonych zdolnościach. Wędrowców spotykają niezwykle przygody oraz ataki licznych demonów i potworów.

Qianlong (1711–1799) – cesarz z dynastii Qing, panował w latach 1736–1796; za jego rządów cesarstwo osiągnęło największą w swojej historii potęgę terytorialną. Poeta, mecenas kultury.

Qing – mandzurska dynastia panująca w Chinach w latach 1644–1911; ostatnia dynastia, jej rządy poprzedziły utworzenie Republiki Chińskiej.

Qu Yuan (340–278 p.n.e.) – pierwszy nieanonimowy poeta chiński, autor elegijnego poematu Li Sao („pożegnanie z żalem”), jednego z najsłynniejszych dzieł klasycznej poezji chińskiej.

Ruan Ji (210–263) – wybitny poeta, członek grupy Siedmiu Mędrców z Bambusowego Gaju, taoista, ekscentryk znany z zamiłowania do wina. Wzmianka o „pogardliwym spojrzeniu” nawiązuje do relacji o tym, jak poeta przyjmował kondolencje po śmierci swej matki – przyjaciela, poetę Ji Kanga, powitał spojrzeniem żrenic, a ku jego nielubianemu bratu zwrócił jedynie białka swoich oczu (ignorując go wyniośle).

Sen czerwonego pawilonu (chiń. Hongloumeng) – osiemnastowieczna powieść obyczajowa autorstwa Cao Zhana (ok. 1715–1763), uważana za jedno z najwybitniejszych chińskich dzieł tego gatunku.

Shang – pierwsza historycznie potwierdzona dynastia chińska, panowała w latach 766–1027 (wg tradycyjnej historiografii 1122) p.n.e.; z epoki tej pochodzi wiele cennych wykopalisk (naczynia z brązu, skorupy żółwia z inskrypcjami). Według starożytnych przekazów, przyczyną upadku dynastii było zepsucie moralne ostatniego władcy i jego poddanych, w tym nadużywanie alkoholu.

„szesnaście tez” – rezolucja w szesnastu punktach, wydana przez KC KPCh w 1966, ogłaszająca początek „rewolucji kulturalnej” i wytyczająca jej kierunek.

Tang – dynastia chińska, panowała w latach 618–907; czasy rozwoju ekonomicznego i ożywionych kontaktów z innymi krajami Azji oraz wielkiego rozkwitu poezji i sztuk pięknych.

Urzędnicze zepsucie zdemaskowane – prawdopodobnie aluzja do powieści Li Boyuana (1867–1906) Biurokracja zdemaskowana (chiń. Guanchang xiangxing ji), obnażającej egoizm i korupcję urzędników państwowych u schyłku panowania dynastii Qing.

Wang Lianju – postać z opery rewolucyjnej Czerwona latarnia. Działal w konspiracji w czasie wojny chińsko-japońskiej (1937–1945) po stronie komunistów wraz z Li Yuhe; doprowadził do jego aresztowania i śmierci.

Wang Meng (ur. 1934) – pisarz, autor opowiadań nawiązujących do czasów „rewolucji kulturalnej”.

Wen (Wen Wang) (żył w XII w. p.n.e.) – władca chińskiego państwa Zhou, ojciec założyciela dynastii Zhou, Wu Wanga; w konfucjanizmie ucieleśnienie ideału mądrego władcy.

Wielki Yu – legendarny władca Chin, założyciel dynastii Xia; według tradycji, panował 2205–2198 p.n.e.; opanował wielką powódź i uregulował rzeki.

Xi Shi (ur. 506 p.n.e.) – jedna z najstynniejszych piękności starożytnych Chin. Pochodziła z państwa Yue, które zostało podbite przez państwo Wu; darowana

władcy Wu jako konkubina, oczarowała go tak bardzo, że ów zaniedbał sprawy kraju, co przywiodło go do klęski.

Xia – półlegendarna dynastia, której panowanie (według tradycyjnej historiografii 2205–1766 p.n.e.) poprzedziło rządy pierwszej potwierdzonej historycznie dynastii Shang.

Yang Yuhuan, znana także jako Yang Guifei (713–756) – słynna z niezwyklej urody konkubina cesarza Xuanzonga (685–762) z dynastii Tang. Według chińskich historyków, cesarz zakochany bez pamięci w konkubinie zaniedbywał sprawy państwowe, co doprowadziło dynastię do upadku. Uroda Yang Guifei i tragiczna historia jej związku z cesarzem były tematem wielu dzieł.

Yi Ya – dostojnik na dworze księcia Huana z państwa Qi (Epoka Walczących Królestw, 480–221), pełniący funkcję nadwornego kucharza, odznaczający się nadzwyczajnym talentem w tej dziedzinie. Według legendy, pewnego razu książę rozkazał mu przygotować potrawę z mięsiwa, którego jeszcze nigdy nie próbował. Oddany kucharz ugotował mu własnego maleńkiego synka.

Yu Hua (ur. 1960) – prozaik, poeta i eseista, autor m.in. znanej powieści *Życ* (chiń. *Huozhe*), sfilmowanej przez Zhanga Yimou (1994) oraz *Historii Xu Sanguana*, który handlował krwią (chiń. *Xu Sanguan maixue ji*), których akcja rozgrywa się w czasie „rewolucji kulturalnej”.

Zhou – dynastia chińska, panowała w latach 1027 p.n.e. (wg tradycyjnej historiografii 1122 p.n.e.) – 256 p.n.e. (po dynastii Shang); dzieli się na dwa okresy: dynastię Zachodnią Zhou (do 770 p.n.e.) i Wschodnią Zhou – epokę konfliktów między książętami wasalnymi i rozbitcia Chin na niezależne państwa.

\* \* \*

1 Imię Gangzuan w języku chińskim oznacza „diamentowe wiertło” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 Kang – tradycyjne chińskie łóżko-prycza, zbudowane z cegieł, ogrzewane od spodu.

3 Yu (chiń.) – ryba.

4 Chodzi o mityczne jednorogie zwierzę qilin, które zapowiada m.in. narodziny niezwykłego dziecka.

5 Osmanthus fragrans, krzew o aromatycznych kwiatach, używanych m.in. jako dodatek do herbaty.

6 W piśmie chińskim ideogram oznaczający „dziesięć” ma postać krzyżyka.

7 Bao po chińsku znaczy „skarb”.

8 Dialogi konfucjańskie, Ossolineum 1976, s. 102.

9 Imię Yidou po chińsku znaczy Jedna Miarka.

10 Bohater powieści Kwiat śliwy w złotym wazonie

11 Prawdopodobnie lakownica lśniąca (Ganoderma lucidum), grzyb stosowany jako lek w tradycyjnej medycynie chińskiej.

12 W języku chińskim słowa „dziewięć” i „alkohol” wymawia się podobnie (różnią się jedynie tonem).

13 Potrójny kwiat śliwy – popularna tradycyjna melodia chińska, znana od XV w.